

MAJ

DAJ

NA WYJAŚNIENIU
TEJ KATASTROFY STRACIĆ
MOGĄ WSZYSCY.
PRÓCZ NIEGO. BO ON NIE MA
JUŻ NIC DO STRACENIA.

GRZEGORZ BRUDNIK
FILIA

GRZEGORZ BRUDNIK

MAYDAY

FILIA

Copyright © by Grzegorz Brudnik, 2017
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2018

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Dorota Wojciechowska
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-501-7

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA / MROCZNA STRONA
mrocznastrona.pl

*Mamie. |Bo| pierwszą |książkę|
dedykuje się mamie. |
(Tak twierdzi moja mama).*

PROLOG

Świetlisty neon Holiday Inn rzucał jaskrawozielone światło na pusty podjazd przed hotelem.

– Szesnaście dolarów, panie Coleman. – Taksówkarz sprawiał wrażenie znudzonego. Zapewne nie chciał dać po sobie poznać, że cały wieczór spędzi na opowiadaniu każdemu, kogo dzisiaj wiózł. Tom Coleman zdążył się już przyzwyczaić, że od jakiegoś czasu wszyscy wiedzą, kim jest. Podał szoferowi cztery banknoty pięciodolarowe.

– Proszę zatrzymać resztę.

Wysiadł z taksówki. Postawił kołnierz, żeby choć trochę ochronić się przed deszczem, i leniwym krokiem ruszył w kierunku obrotowych drzwi.

W recepcji zastał Sophie. Jak zwykle elegancką i ze starannym, choć delikatnym makijażem.

– Dobry wieczór, panie Coleman. Pana ulubiony pokój jest wolny.

Była śliczna. Miała czarne, lekko falujące włosy sięgające łopatek i przyjemny dziewczęcy głos. Spoglądała na niego spod nieco przymrużonych powiek, jakby chciała sobie dodać uroku. Tom wiedział, że jej się podoba. Od lat. Ale doskonale zdawał sobie sprawę, że ona nigdy nie uczyni pierwszego kroku. Z kolei on po prostu nie miał na nią ochoty. Od lat. Właściwie nie wiedział dlaczego. Była tak bardzo w jego typie jak chyba żadna, z którą się spotykał przez ostatnie lata. Może po prostu Sophie znała zbyt wiele jego tajemnic. Bywał tu bardzo często. Przed wszystkim kiedy zdradzał żonę z którąś ze swoich kochanek. A miał ich wiele. Chodziły plotki, że przespał się z każdą stewardesą lądującą kiedykolwiek na LAX. Irytowało go to, choć faktycznie do świętoszków nie należał.

– Panie Coleman?

– Dziękuję. Dziś mam ochotę na inny. Podobno numer tysiąc jest

bardzo wygodny. Chciałbym spróbować.

Recepcjonistka zerknęła do komputera.

– Niestety jest zajęty. A może tysiąc jeden? To tuż obok. Bliźniaczy.

Tysiąc jeden. Jak w arabskiej baśni erotycznej. Czy ona zrobiła to specjalnie? Nie, szybko odrzucił tę myśl. Uspokój się, Tom, bo wszystko popsujesz.

– Wezmę – odparł tylko.

Dziewczyna westchnęła cicho, postukała czerwonymi paznokciami w klawiaturę, po czym położyła na ladzie klucz elektroniczny.

– Dziesiąte piętro. Należność jak zwykle pobierzemy z karty. Życzę miłego pobytu.

Gdy drzwi windy się zasunęły, zegarek Colemana cichym pyknięciem oznajmił zmianę daty. Minęła północ.

Pokój okazał się istic królewskim apartamentem. Ale i noc nie była byle jaka.

Tom podszedł do przeszklonych drzwi prowadzących na balkon. Otworzył je. Poczuł na twarzy lekką, przyjemną mżawkę. Ponad głową usłyszał szybko narastający huk. Odruchowo zadarł głowę, ale podstawa chmur była nisko i niczego nie mógł dojrzeć.

Nie musiał.

– American Airlines 454. Z Dallas. Airbus A321. Dwie minuty za wcześniej – powiedział, zupełnie jakby nie skończył zmiany godziny temu. – Wiatr z kierunku sto czterdzieści stopni, jedenaście węzłów, widzialność trzy mile, pas dwadzieścia pięć prawy, zezwalam lądować. Po przyziemieniu skontaktuj się z ground na częstotliwości 121,400. Do zobaczenia.

Uśmiechnął się. Uwielbiał tę robotę.

Nie zamknął za sobą drzwi, gdy szedł do łazienki. Niech się trochę przewietrzy. Ktoś taki jak on, człowiek z wyostrzonymi zmysłami, potrafił wyczuć zaduch nawet w królewskich apartamentach Holliday Inn. Po drodze wziął tylko swoją niewielką kosmetyczkę.

Kabina prysznicowa była ogromna i wyposażono ją w deszczownicę. Coleman uwielbiał ten wynalazek. Na

dotykowym panelu wybrał temperaturę wody i uruchomił natrysk. Jednak najpierw golenie. Odruchowo potarł podbródek i skrzywił się z niezadowoleniem. Nie należał do facetów z gęstym i szybko rosnącym zarostem, ale trzy dni bez żyletki zrobiło swoje. A tej nocy chciał wyglądać zjawiskowo.

Wyjął przybory z kosmetyczki i zabrał się do pracy. Wykonywał ją starannie. Nawet nieco zbyt starannie.

Uspokój się, Tom.

Gdy skończył, wszedł pod prysznic. Woda była ciepła i przyjemna. Chwilę stał w bezruchu, pozwalając, by spłukała z niego ślady minionego dnia. Odkorkował buteleczkę z hotelowym szamponem, jednym z tych, które choć tanie i kiepskiej jakości, to pachną tak, że ludzie zabierają je do domu. Wylał na siebie połowę zawartości opakowania, które natychmiast zmieniło się w lekko różową pianę. Chwilę się pomoczył, a potem wyłączył natrysk. Nie wytarł się dokładnie i gdy wrócił do pokoju, woda wciąż kapała mu z posrebrzanej szczeciny.

Siwe włosy w wieku trzydziestu pięciu lat. Katastrofa.

Znow otworzył walizkę, schował kosmetyczkę, nie zważając na to, że jest jeszcze mokra, a wyjął swój ulubiony czarny garnitur od Gucciego, w foliowym pokrowcu. Właśnie miał sprawdzić, czy się nadto nie wymiał, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Zastygł, jakby się bał, że najmniejszy ruch zdradzi jego obecność. Taki odruch ostrożnego człowieka. U każdego faceta zbyt często zdradzającego żonę można się go doszukać.

– Panie Coleman, jest pan tam? Muszę z panem porozmawiać. Natychmiast – odezwał się męski głos.

Tom ochłonął w końcu i cichutko, na paluszkach podkradł się do drzwi. Przyłożył oko do wizjera, ale natychmiast je cofnął. Kolejny irracjonalny strach. *Jeśli ja widzę jego, to czy on przypadkiem nie widzi mnie?*

– Halo!

Wziął się w garść.

– Kto tam? – zapytał, starając się, by jego głos brzmiał swobodnie.

- Wszystko panu wyjaśnię, proszę otworzyć.
- Jest pan dziennikarzem?
- Nie.
- Więc kim? Jak się pan nazywa?
- Aleksander Gall.

Aleksander Gall? Gall? Znał to nazwisko. Tylko skąd, do cholery? Tymczasem intruz nie odpuszczał:

- To naprawdę bardzo ważne. Przede wszystkim dla pana. Musimy natychmiast porozmawiać.
- Tylko się ubiorę. Za dziesięć minut będę na dole.
- Świetnie. Dziękuję. Poczekam w restauracji.

Przez chwilę Coleman wsłuchiwał się w odgłosy oddalających się kroków. Gall? Gall? Brzmiało znajomo, ale w ciągu ostatnich sześciu miesięcy miał do zapamiętania tak wiele nowych nazwisk. Facet twierdzi, że nie jest dziennikarzem. Czyżby ktoś z komisji? Nie, chyba nie. Te nazwiska znał bardzo dobrze. A może to mąż jakiejś stewardesy, którą przeleciał? Albo zwykły fan, bo – o popierdolony świecie! – i tych mu nie brakowało.

Skąd, do diabła, wiedział, że tu będę?

Garnitur leżał doskonale. Coleman potrafił je dobierać. Mechanicznie zawiązał krawat. Ostatnie spojrzenie w lustro upewniło go, że wszystko wygląda tak, jak trzeba. Popatrzył na zegarek.

Zostało siedem minut. Czas na trochę przyjemności. Nalał do kieliszka odrobinę martini. Wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro i wyszedł na balkon. Chwilę mocował się z zapalniczką. Dopiero za trzecim razem udało mu się utrzymać płomień wystarczająco długo, by przypalić papierosa. Zaciągnął się głęboko. Stary pocziwy marlboras. Smakował jak nigdy dotąd. Martini też było niczego sobie, choć zwykle gustował w innych trunkach.

Odczuł namiastkę relaksu. Zamknął oczy i przez chwilę stał w bezruchu. Uwielbiał, gdy krople deszczu moczyły mu twarz. Teraz porządnie się rozpadało. Gdzieś w oddali usłyszał grzmot. Każdy na jego miejscu pomyślałby, że to burza. On jednak wiedział, że to Alaska Airlines 436 z Seattle. Boeing 737.

Spojrzał na zegarek. Czas się skończył. Martini również. Gall zapewne już się niepokoi, że Coleman go wystawił. Ale on nie należał do ludzi, którzy wystawiają kogokolwiek. Zgasił papierosa o barierkę.

– Za dziesięć minut na dole. Tom, ty jajcarzu.

Zaśmiał się.

I skoczył.

ROZDZIAŁ 1

Motocyklista był zły. Głównie na siebie, bo choć stanowczo nie miał tego dnia szczęścia, zdawał sobie sprawę, że to wszystko jego wina. Właśnie zakończył sukcesem zadanie, któremu bez reszty poświęcał się przez ostatni miesiąc. Niewielki bagaż wysłał kurierem i w południe opuścił Charlotte. Jego czarna honda CBR 1100XX powinna go dowieźć do stolicy w pięć godzin, ale uznał, że ma ochotę na przejażdżkę. Zasłużył na odrobinę przyjemności. Lubił jeździć tym motocyklem, choć na każdym forum świata wypisują, że pokonywanie na ścigaczu dystansów większych niż sto kilometrów to objaw masochizmu.

Uznał więc, że zamiast przelecieć osiemdziesiątką, ruszy na północ, a potem przez góry. Tylko nie przewidział, że dopadnie go taka ulewa. W Hot Springs musiał zrobić dziesięciogodzinną przerwę, bo nie dało się jechać. Pieprzony George Washington and Jefferson National Forest przywitał go oberwaniem chmury, ale przynajmniej zażył kąpieli w tamtejszych gorących źródłach, a to już coś. Koniec końców stwierdził, że ma przecież coś w rodzaju urlopu, więc nie musi się spieszyć.

Zdrzemnął się kilka godzin w motelu. O czwartej nad ranem ruszył dalej. Akurat zaczynało świtać. Wprawdzie słońce miało pozostać za horyzontem jeszcze przez półtorej godziny, ale tak bardzo paliło się do roboty, że już teraz przegnało z drogi nieprzeniklioną czerń i jazda stała się nieco bardziej komfortowa.

Pojechał na północ drogą numer dwieście dwadzieścia, po ośmiu kilometrach skręcił w Mountain Valley Road, która miała go doprowadzić do drogi numer sześćset dwadzieścia dziewięć, a potem dwieście pięćdziesiąt. Na koniec wystarczyło przejechać jeszcze kawałek czterdziestkądwójką aż do Harrisonburga, gdzie miał zjechać na międzystanówkę. Wówczas zostaną mu do

Waszyngtonu zaledwie dwie godziny szybkiej, bezstresowej jazdy.

W praktyce wyglądało to nieźle.

W teorii rumakowanie skończyło się zaledwie pół godziny później. W mokrym asfalcie na drugim wirażu, licząc od Łażni Jeffersona, ujrzał odbicia niebieskich kogutów. Zwolnił, a gdy wyjechał na prostą, ujrzał czerwone światła kilku zaparkowanych na drodze aut. Kawałek dalej, w poprzek jezdni, stał czarny radiowóz policji hrabstwa Bath.

Motocyklista wyminął zator i zatrzymał hondę na początku kolejki, wzbudzając wyraźne niezadowolenie pozostałych kierowców. Wyłączył silnik, zsiadł z maszyny i oparł ją na nóżce. Przeszedł kawałek w bok, by zobaczyć, co przysłania masywny radiowóz.

W bladym świetle rozstawianej właśnie lampy ujrzał rozbitą o drzewo białą luminę, najpewniej z początku lat dziewięćdziesiątych. Przy aucie jeden z policjantów opatrywał kierowcę, który wprawdzie twarz miał zakrwawioną, ale poza tym chyba nic się mu nie stało.

Nieźły farciarz – pomyślał motocyklista. – Jak na taki dzwon, to cud, że żyje.

Kilka metrów dalej w rowie wylądował żółty ford crown victoria. Taksówka. Auto miało zarysowany bok, ale poza tym przesadnie nie ucierpiało. W przeciwieństwie do jego kierowcy. Wielki grubas leżał na jezdni twarzą do dołu. Nikt się nim zbytnio nie interesował, więc motocyklista uznał, że tłuścioch nie żyje. Co było naprawdę dziwne.

Kawałek dalej, na przeciwległym pasie ruchu, stał bordowy chrysler town & country. Nieuszkodzony. Jego kierowca musiał być świadkiem zdarzenia, bo wspomagając się bogatą gestykulacją, wyjaśniał coś zafrasowanemu gliniarzowi.

Motocyklista zdjął kask. Miał długą czarną brodę i gdyby nie honda za dziesięć tysięcy dolarów, ktoś mógłby go wziąć za jednego z okolicznych drwali. Podszedł do traktora stojącego tuż przy radiowozie. Jego kierowca, stary farmer, był pierwszy w kolejce oczekujących. Musiał się tam zjawić kilka chwil po

zdarzeniu, a teraz spokojnie kimał w kabinie. Motocyklista zapukał w szybę. Farmer otworzył jedno oko, potem drugie. W końcu dźwignął się z fotela i pchnął drzwi.

– Długo to jeszcze potrwa? – zapytał motocyklista, a w jego głosie zabrzmiał delikatny, ledwo wyczuwalny wschodnioeuropejski akcent.

– A ja tam wiem? Potrwa, aż skończą. Ale szybko to nie skończą, nie ma szans.

– Dlaczego?

– No widzisz pan. Grubas pijany. Póki szeryf nie przyjedzie, to nas nie puszczą.

Dopiero teraz motocyklista spostrzegł, że leżący na ziemi grubas lekko dygocze, a ręce ma nienaturalnie złożone na plecach. Kajdanki.

– Widział pan, co się stało?

– Nie. Ale słyszałem.

– Co pan słyszał?

– No, jak tamten tam gadał. Świadek, no nie? Grubas pijany w sztok. Taryfą na zakręcie wyprzedzał tego z luminy. A z naprzeciwka jechał ten świadek w chryslerze. To grubas pewnie zrobił wielkie oczy, odbił w prawo i zepchnął luminę na drzewo.

– A pan go nie zna?

– Kogo?

– Kogokolwiek. Pan przecież tutejszy.

– No, ja to tak. Ale oni nie. Grubas to chyba z Mallow, bo tak ma na taryfie napisane. Ale innych to ja nie znam.

Farmer zakończył konwersację i powrócił do przerwanej drzemki. Motocyklista skinął dłonią w podziękowaniu. Ruszył w kierunku rozbitej luminy, a gdy mijał radiowóz, z wnętrza wyskoczył młody policjant.

– Hej, co ty wyprawiasz? Myślisz, że bez powodu tu stoję? Droga zamknięta.

Motocyklista zignorował młodzika i skierował się wprost do wraku.

– Trudy, Trudy! – krzyczał młodzik.

Trudym był ten, co przesłuchiwał świadka. Starszy od młodzika najwyżej o dwa lata, ale już nieco wyrobiony, o bardziej wyprostowanej postawie i czujniejszym spojrzeniu. Biła od niego jakaś hardość. Gdy zobaczył, co się dzieje, położył dłoń na kaburze i ruszył powoli w kierunku motocyklisty. Ten, co opatrywał rannego, również nieco się ożywił. Widać perspektywa awantury bardziej go ekscytowała niż babranie się w ludzkiej krwi.

Lumina wbiła się w drzewo tak głęboko, że silnik wpadł do kabiny. Wszędzie wałały się plastikowe i metalowe szczątki. Pod butami chrobotą szkło. Motocyklista wyjął smartfon i włączył latarkę. Drzwi od strony kierowcy wygięły się na zewnątrz. Wystarczyło je lekko popchnąć, by otworzyły się na oścież. Wnętrze pojazdu było całkowicie zniszczone. Pomiedzy porozrywanyymi i zakrwawionymi blachami bujała się wisząca na kablu stacyjka. Kierownica złamała się w trzech miejscach. Część wciąż przymocowana była do kolumny, część motocyklista zauważył na tylnym siedzeniu, a reszta zalegała wśród walających się wszędzie połamanych plastikowych elementów. Prędkościomierz zatrzymał się na trzydziestu milach na godzinę. Z pewnością nie działał poprawnie.

– Czego pan tam szuka? – Usłyszał za plecami.

Bardzo powoli wysunął się z poszarpanej kabiny. Prawym rękawem kurtki skórzanej zahaczył o przecięty na dwoje boczny słupek.

– Spokojnie – ostrzegł policjant. Dłoń wciąż trzymał nad kaburą, ale doskonale panował nad nerwami. Motocyklista przyjrzał mu się uważnie. Gliniarz mógł mieć dwadzieścia pięć lat. Był wysoki i dobrze zbudowany. Typ gościa, za którym uganiały się dziewczyny z całego hrabstwa. Dwóch pozostałych funkcjonariuszy wyglądało na smarkaczy, i to skorych do awantury, ale na szczęście żaden z nich tu nie dowodził.

– Pan jest zastępcą szeryfa? – zapytał motocyklista.

– Zgadza się. Zastępca szeryfa Tom Trudy. A pan?

– A ja chcę się rozejrzeć.

– Dlaczego miałbym się zgodzić?

- A dlaczego miałby się pan nie zgodzić?
- To miejsce wypadku. Zatrze pan ślady.
- Nie sądzę.
- Że zatrze pan ślady?
- Że to miejsce wypadku.

Zastępca szeryfa zbyt późno zdał sobie sprawę, że powinien przynajmniej udać niezainteresowanego. Motocyklista dostrzegł to natychmiast, uśmiechnął się i bez słowa ruszył w kierunku leżącej w rowie taksówki. Policjanci podążyli za nim.

- Zna się pan na tym? - zapytał Trudy.

- Trochę. A to coś zmienia?

- Nie jestem jednym z tych, co uważają się za wszechwiedzących. Fachową pomocą nigdy nie pogardzę.

Żółty ford crown victoria leżał na prawym boku, ale nie zdołał się całkowicie przewrócić, bo rów był za płytki. Motocyklista przyświecił sobie smartfonem.

- Proszę - powiedział Trudy, wręczając mu porządną LED-ową latarkę.

- Dziękuję.

Natychmiast dostrzegł na podłodze butelkę. Sięgnął po nią, ale była za daleko. Odsunął do tyłu fotel kierowcy, a potem wczłogał się do środka.

- Old Virginia. Dobry bourbon. Czterdzieści procent. Zero siedem litra - rzekł, podając zastępcy szeryfa zupełnie pustą flaszkę.

- Prawie czterdzieści dolarów za butelkę. Rzekłbym, że pił z radości, a nie z żalu.

- Wątpię - odparł motocyklista, zaglądając do schowka. Był pusty.

- Jeśli szuka pan dokumentów, to już je zabraliśmy.

- Co mi pan powie o kierowcy?

- Tyle, ile mogę. Czterdzieści jeden lat. Długi staż za kierownicą. Licencja wydana w Mallow. Nie budzi podejrzeń.

- Jest cały?

- Tak. Gdy przyjechaliśmy, drzwi były otwarte, a on leżał nieprzytomny obok auta. Ale nie jest ranny, a jedynie kompletnie

zalany. Zapewne trafi do szpitala, gdy wreszcie pojawi się karetka.

Motocyklista wysunął się z taksówki i stanął naprzeciw policjantów. Deszcz się nasilił. Robiło się coraz jaśniej, ale nic nie wskazywało na to, że słońcu uda się dziś przebić przez ciężkie, nasiąknięte wodą chmury.

Trudy taksował wzrokiem brodatego mężczyznę. Dopiero teraz mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Metr osiemdziesiąt wzrostu. Pewnie z dziewięćdziesiąt kilo wagi.

– I co mi pan powie ciekawego? – zapytał w końcu.

– Widzę, że coś pana męczy – odparł motocyklista. – Coś panu nie daje spokoju. Niech mi pan powie co, a ja powiem panu, co nie daje spokoju mnie.

Policjant przygryzł dolną wargę, a motocyklista uśmiechnął się lekko. Też zawsze tak robił, gdy się nad czymś zastanawiał.

– Dobra – powiedział Trudy. – Nie mam nic konkretnego. Po prostu to wszystko jest dziwne. *Earl...* to znaczy taksówkarz... jest porządnie pijany. Nie mogę uwierzyć, że dał radę tu przyjechać. To dość trudna droga. Kilometr stąd znajdują się dwa ostre wiraże. Nawet trzeźwi kierowcy, jadący za dnia i po suchej jezdni, miewają tam problemy. Inna sprawa, że nie rozumiem, po co właściwie tu przyjechał. Z Mallow jest z pięćdziesiąt kilometrów. W taką pogodę i o takiej porze? I w takim stanie? Jechał sam, więc nie realizował kursu, zresztą gdyby próbował, zaraz ktoś by nam to zgłosił.

– I jakie z tego płyną wnioski?

– Dla mnie żadne – odparł policjant, a motocyklista uszanował tę szczerość. Policjant bez syndromu bohatera. To zbyt często się nie zdarzało. – A pan coś zauważył?

– Tak. Przynajmniej cztery rzeczy.

– Cztery? – zdumiał się Trudy. – Jest pan tu od pięciu minut.

– Po pierwsze: płyny. Blok silnika jest cały połamany. Pod autem powinno być sporo oleju, ale nie licząc deszczu, jest zupełnie sucho. Po drugie, w stacyjce nie ma kluczyka.

– Mógł go wyjąć. Nawet powinien, żeby odłączyć źródło prądu.

– Nie. Stacyjka jest wyrwana. Wisi na kablu. Nie dałoby się

w niej przekręcić kluczyka jedną ręką. A żeby wsadzić drugą, po prostu brak miejsca. Po trzecie, drzwi nie mogły się tak wygiąć. Wyglądają, jakby zostały potraktowane rozpierakiem pneumatycznym. Środkowy słupek jest przecięty, a nie rozerwany. A przecież straży pożarnej jeszcze tu nie mieliście.

Trudy milczał, tylko wpatrywał się w motocyklistę. Wtrącił się za to młodszy policjant:

– Co to wszystko oznacza?

– To oznacza, że macie tutaj kiepską próbę wyłudzenia odszkodowania.

– Pan żartuje – jęknął Trudy.

– Nie. Nie żartuję. Niech zgadnę, ofiara zapewnia, że nie potrzebuje pomocy medycznej.

– Skąd pan wie?

– Bo gdyby zajął się nim lekarz, to szybko by odkrył, że krew na jego twarzy nie jest prawdziwa.

Policjanci spojrzeli po sobie, a potem jak na komendę odwrócili się w stronę zakrwawionego mężczyzny. To był błąd. Dostrzegł ich spojrzenia i natychmiast zrozumiał, że przegrał.

– Zatrzymaj go, Jenkins – rozkazał Trudy. Ale tamten zdążył już się podnieść, wskoczył do chryslera, którego kierowca natychmiast dodał gazu, zawrócił, ocierając się o przydrożne drzewo, i rzucił się do ucieczki.

– Skurwysyn. Był w zмовie ze świadkiem! – wrzasnął Jenkins. – Łby im poukręcam!

– Uspokój się i wezwij posiłki – polecił Trudy, a potem zwrócił się do motocyklisty: – A po czwarte?

– Po czwarte?

– Wspomniał pan, że zauważył cztery rzeczy.

– Ach, prawda. Żeby wleźć do taksówki, musiałem odsunąć fotel. Nie ma szans, żeby taki tłuścioch jak *Earl* zmieścił się za kierownicą.

– Czyli?

– Czyli spili go i przywieźli tutaj nieprzytomnego. Jest niewinny.

– A wrak?

– Przywieźli go na lawecie. Sprawdźcie wszystkich laweciarzy

w okolicy, a na pewno coś znajdziecie. Porozrzucali plastik i szkło. Potem wjechali samochodem *Earla* w narożnik luminy, żeby pozostał ślad po zderzeniu. Wpakowali taksówkę do rowu, położyli *Earla* obok i wystarczyło odegrać teatrzyk. Podejrzewam, że wezwał was rzekomy świadek.

– Dokładnie.

– No to sam pan widzi, zastępco szeryfa Trudy.

– Czy pan pracuje w ubezpieczeniach?

Motocyklista zaśmiał się, machnął Trudy'emu na pożegnanie i wrócił do hondy. Chwilę później jechał już w kierunku drogi sześćset dwadzieścia dziewięć.

A zastępca szeryfa zastanawiał się, jak, do jasnej cholery, ma to wszystko opisać w raporcie. Nawet nie zapisał nazwiska tego człowieka – pomyślał. – I co? Mam napisać: brodaty facet mówiący z leciutkim wschodnioeuropejskim akcentem?

ROZDZIAŁ 2

Kapitan Akira Hikoshi rozsiadł się wygodnie w fotelu. Pilotował naprawdę komfortowy samolot, a teraz, kiedy znajdowali się w powietrzu od pół godziny i wyszli już ze strefy wzmożonego ruchu, poczuł się naprawdę zrelaksowany.

Spojrzał uważnie na swojego pierwszego oficera Kenjiego Fuku. Dwudziestopięcioletek bardzo sumiennie wykonywał swoje obowiązki. Kapitan Hikoshi był zupełnie spokojny. Mówiąc szczerze, chętnie poszedłby do swojej kabiny, żeby się zdrzemnąć, jednak zdawał sobie sprawę, że nikt tak jak on nie zna GB91 – zupełnie nowego, największego samolotu pasażerskiego świata. Zatem na wszelki wypadek, pomimo pełnego zaufania do swojego zastępcy, postanowił pozostać na stanowisku. Przynajmniej jeszcze przez godzinę. No, może pół.

Hikoshi był chyba najbardziej znanym pilotem w Japonii. Trochę go to śmieszyło, a trochę złościło. Podczas drugiej wojny światowej zestrzelił dwadzieścia sześć amerykańskich myśliwców, mimo że miał wtedy zaledwie szesnaście lat. Kiedy sytuacja geopolityczna nieco się zmieniła, latał z sukcesami nad Koreą i Wietnamem. Jednak dopiero teraz stał się naprawdę sławny, w wieku osiemdziesięciu czterech lat, jako pierwszy na świecie pilot Kolosa.

Mimo że Hikoshi był stary, to jego kondycja psychofizyczna zawstydziała młodszych pilotów. Kiedy przekroczył wiek emerytalny, błagali go, by został. Zgodził się bez wahania, gdyż kochał latać.

Japonia nie miała wiele wspólnego z tym projektem – raptem kilka systemów elektronicznych wykonanych dla amerykańskiego producenta – ale on uczestniczył w nim od samego początku. Hikoshi większość swojej komercyjnej kariery spędził w American Airlines, latając na wszystkich modelach Great Bird. Poza tym był najstarszym latającym na świecie

pilotem, trudno więc było znaleźć kogoś bardziej doświadczonego. Prawie siedemdziesiąt lat w przestworzach. Był starszy niż najstarszy odrzutowiec świata.

Propozycję przyjął bez chwili zastanowienia. Nie chodziło nawet o te ogromne pieniądze. Praca nad stworzeniem największego samolotu świata zabierającego na pokład o trzystu pasażerów więcej niż airbus A380 miała być ukoronowaniem jego kariery. I teraz, zaledwie sześć lat po rozpoczęciu prac, Hikoshi siedział za sterami GB91.

Znał maszynę doskonale. Był jej oblatywaczem. Następnie przyprowadził pierwsze zakupione przez Nippon Wings egzemplarze do Tokio. W wyniku kolejnej bardzo intratnej propozycji rozstał się ostatecznie z American Airlines i zajął szkoleniem pilotów dla japońskiego przewoźnika. Wyszkolił przeszło stu, choć na razie w Nippon Wings latało zaledwie trzydzieści dziewięć GB91.

Teraz, jako nestor japońskiego lotnictwa, uznał, że może w końcu przejść na emeryturę. Za rok albo dwa. Najpierw chce jeszcze trochę polatać.

Nippon Wings dzięki nowym maszynom urosło w siłę i w cuglach wygrało rywalizację z Japan Airlines. Nowe maszyny były szokująco oszczędne. Spalały dużo mniej paliwa niż zwykłe boeingi 747, mogły zabrać na pokład nawet tysiąc pasażerów w zależności od zastosowanej konfiguracji. Nic dziwnego, że pierwszą setkę wyprodukowanych kolosów wyprzedano na piu. Narodowy przewoźnik się nie załapał i szansę na nawiązanie walki z lokalnym konkurentem będzie miał dopiero przy okazji przekazywania do użytku drugiej transzy. Niemal za rok. Do tego czasu Nippon Wings zostanie już hegemonem.

Hikoshi się uśmiechnął. Doskonale pamiętał, że dziesięć lat temu, kiedy zmęczył go amerykański tryb życia i chciał wrócić do Japonii, przedstawiciele Japan Airlines uznali, że jest za stary, by u nich latać. Za stary, dobre sobie. A pół roku temu błagali, żeby rzucił robotę w Nippon Wings i zechciał do nich dołączyć. Przyczłapali z kontraktem w zębach. Gigantycznym kontraktem. Z przyjemnością im odmówił.

Z rozmyślań wyrwał go odgłos pukania do kokpitu. Pierwszy oficer odruchowo spojrział w monitor pokazujący obraz z kamery na zewnątrz, a potem wcisnął guzik i drzwi zabzyczały.

– Herbaty, kapitanie? – zapytała miss świata, chwilowo występująca w roli stewardesy.

– Może kawy. Kenji?

– Ja również poproszę. – Pierwszy oficer skłonił się lekko.

Dziewczyna opuściła kokpit, zostawiając za sobą resztki zapachu owocowych perfum. Kapitan nieco teatralnie wciągnął go w nozdrza. Pierwszy oficer odwrócił twarz do przyrządów. Nie chciał, by Hikoshi usłyszał jego cichy śmiech. To nie wypadało. Jednak kapitan usłyszał. I miał to gdzieś. Złościł go ten japoński patriarchat. Przeciętnemu Japończykowi trudno byłoby to zrozumieć. Ale on, żyjąc tak długo w Stanach, przyzwyczaił się do partnerskich relacji w kokpicie. Jego styl życia daleko odbiegał od standardów obowiązujących w Kraju Kwitnącej Wiśni. Inne było podejście do pracy, do kobiet i w końcu do młodszych kolegów. Gdy latał dla American Airlines, każdy chciał być jego drugim pilotem. Tworzono nawet specjalne listy kolejkowe. Na zaszczyt odbycia lotu ze starym kapitanem trzeba było czasami czekać kilka miesięcy. Każdy z nich doskonale się orientował, jak wiele można się nauczyć od Hikoshiego, a on chętnie dzielił się swoją wiedzą. Młodzi Amerykanie czuli się tak, jakby latali z ojcem. A tutaj? Tutaj był bogiem, a w prawym fotelu siedział przydupas, który bez pytania nie ważył się nawet wyjść do kibla.

– Sprawdź, proszę, pogodę – polecił Hikoshi.

– Już sprawdziłem, proszę pana. Na całej trasie do Sydney piękne niebo.

– Nippon 1212 – odezwał się głos z radia. – Obszar Tokio. Za chwilę wychodzicie z naszego zasięgu. Za minutę mijacie się z Nippon 1111 na poziomie dwieście pięćdziesiąt, kurs trzysta dwadzieścia. Separacja tysiąc stóp, więc zachowajcie czujność. Przejdźcie na Guam jeden dwa zero kropka pięć. Do miłego.

– Nippon 1212, utrzymujemy poziom dwieście czterdzieści, będzie wesoło. Przechodzimy na jeden dwa zero kropka pięć. Do widzenia.

- Będziemy się mijać z naszymi? - zapytał pierwszy oficer, choć doskonale wiedział, że tak właśnie będzie.

- Owszem. Z naszym GB91 - odparł Hikoshi, zmieniając ustawienie częstotliwości pasma radiowego. Następnie odezwał się do mikrofonu: - Guam, Nippon 1212 na poziomie dwieście czterdzieści, kurs sto, powiadomieni o trafficu. Prosimy o zgodę na trzysta pięćdziesiąt.

- Nippon 1212, kłania się Guam. Utrzymujcie dwieście czterdzieści, po minięciu z Nippon 1111 macie zgodę na trzysta pięćdziesiąt. Zameldujcie przecięcie trzystu. Kurs jeden-sześć-dziewięć. Zameldujcie NIMITZ.

- Dwieście czterdzieści, po minięciu trzysta pięćdziesiąt meldujemy trzysta. Jeden-sześć-dziewięć. Meldujemy NIMITZ.

Przerwał. Ale po krótkiej pauzie dodał po japońsku:

- Nippon 1111, tu Nippon 1212. Uważajcie na podejściu. Mocno podwiewa od prawej burty.

- 1212, wiatr od sterburty, dziękuję, 1111 - odezwał się spokojny głos.

- Proszę bez prywaty na otwartym! - krzyknął kontroler.

- Guam. Nippon 1212. Przepraszam - rzucił do głośnika Hikoshi i rozłączył nadawanie. - Co za duppek.

- Proszę? - Kenji zręcznie udał, że nie usłyszał ostatniej uwagi pod adresem kontrolera.

- Nic nie mówiłem. - Hikoshi uśmiechnął się paskudnie.

- O rany. Zobaczymy go? - zapytał Kenji.

- Być może. Są gdzieś nad nami. Za to oni z pewnością widzą nas doskonale od dłuższego czasu.

- Szczęściarze. Kapitanie, mogę wyjść do łazienki?

Hikoshi westchnął.

- Idź. Dowiedz się przy okazji, co z tą kawą. I sprawdź, czy...

ROZDZIAŁ 3

Posadzka była mokra i Pauline się poślizgnęła. Przykucnęła, jednak nie dlatego, że straciła równowagę, ale po to, by uniknąć skręcenia kostki. Czerwone szpilki może i wyglądały obłądnie, ale nieprzyzwyczajonym stopom groziły nieprzyjemną kontuzją.

Wyglądam, jakbym tu sikała – pomyślała i wybuchnęła śmiechem. Jednak na wszelki wypadek podniosła się szybko i rozejrzała po holu. Nad drzwiami dostrzegła kamerę, ale wątpiła, by o tej porze ktokolwiek siedział przed monitorem. Pewnie gdyby ktoś ukradł rower sąsiadowi z dziesiątego piętra, ten wyczynowy za grubą kasę, to ochrona przejrzałaby taśmy. A tak?

Szybkim ruchem zrzuciła buty, podniosła i w dalszą drogę udała się na bosaka. Nie miała daleko. Chwilę potem była już przy windzie, ale nim zdążyła nacisnąć guzik wzywający kabinę, drzwi się rozsunęły i z wnętrza wysiadła starsza pani z yorkiem uwiązany w cieniułkiej czerwonej smyczy.

– Och, ależ mnie przestraszyłaś, Pauline! – powiedziała staruszka, śmiejąc się.

– Dobry wieczór, pani Green. W środku nocy na spacer? Miło znów ma biegunkę?

– Bezustannie, moje dziecko. Skaranie boskie z tym psem. No ale widzę, że przynajmniej ty się dziś zabawiałaś. – Wskazała palcem na bosc stopy Pauline i zrobiła rozbawioną minę.

Cały blok nienawidził tej starej baby i jej przekłętego psa. A Pauline ją uwielbiała. I jego też.

– Ale teraz już grzecznie do łóżeczka – zapewniła dziewczyna.

– Właśnie widzę. Nawet zbyt grzecznie. Taka młoda, a sama wraca.

Obie chwilę pochichotały, a potem pani Green poszła w swoją stronę, a Pauline wsiadła do windy.

Z głośnika umieszczonego gdzieś pod sufitem dobiegały trzaski

w zamyśle administracji mające być podobno muzyką. Przydałoby się wymienić głośnik, choć przecież ten był zupełnie nowy. Alborosie narzekał właśnie, że Babilon ukradł mu całe zielsko. Pauline pogibała się chwilę w rytm muzyki, po czym uzmysłowiła sobie, że nigdzie nie pojedzie, jeśli nie wdusi przycisku z numerem piętra.

– Jedenaście, jedenaście – zaśpiewała wesoło, po czym jej się czknęło i znów wybuchnęła śmiechem. Winda ruszyła.

Na jedenastym piętrze nie mieszkał nikt prócz niej. To był nowy blok. Sama sprowadziła się tu zaledwie dwa tygodnie temu. Tanecznym krokiem opuściła windę, podfrunęła do drzwi oznaczonych numerem tysiąc sto osiem i otworzyła je, co zważywszy na jej stan i fakt, że musiała użyć trzech kluczy, przyszło jej nadspodziewanie łatwo.

Nie wypła dużo. Zaledwie pół butelki wina. Ale po prostu nie była przyzwyczajona. Na studiach piła raczej niewiele, a wcześniej...

Nie. Nie będziemy myśleć o tym, co było wcześniej! – postanowiła, upadając na wielkie, zasłane czarną pościelą łóżko. – Dziś się bawiiiiimy.

No bo ostatecznie nie codziennie młoda dziewczyna zaraz po studiach dostaje pracę w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa Transportu. A ona zaczyna za dwa dni.

Leżała przez chwilę, rozpamiętując wydarzenia kończącego się właśnie wieczoru. To, jak powiedziała Betty o swoim sukcesie, a ta uznała, że obowiązkowo muszą to opić; to, jak potem przetańczyła cały wieczór z Jeffem, starszym bratem Betty; i to, jaki był zawiedziony, gdy nie zaprosiła go na „drinka”.

O, kochany. Na „drinka” to sobie trzeba zastrzyżyć.

Znów się roześmiała. Jeff był naprawdę przystojny. Może kiedyś się razem „napiją”. Ale na pewno nie dziś.

Gdy wstawała, zdawało jej się, że waży tonę. Mimo to poszła do łazienki, po drodze zrzucając z siebie czerwoną, skandalicznie seksowną sukienkę i czerwoną, skandalicznie asekualną bieliznę. Przez kilka minut zmywała makijaż, potem weszła pod prysznic.

Gdy wyszła z łazienki, czuła się już znacznie lepiej. A przynajmniej do chwili, gdy dostrzegła niewielkiego pryszczka na pośladku.

Niech to szlag.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Oto kobieta sukcesu. Dwadzieścia trzy lata, MIT ukończony z wyróżnieniem. Nowa asystentka głównego śledczego NTSB, a to przecież zaledwie fucha na początek.

I w dodatku niebrzydka. Metr sześćdziesiąt, szczupła, o biuście i pupie w akceptowalnych rozmiarach i co najważniejsze, z włosami w kolorze blond. Ale naturalnymi, nie z tubki. Tylko trochę cienkimi. No i te rozdławające się końcówki...

Przez tę krótką chwilę czuła się naprawdę szczęśliwa. Dorastała w małym teksańskim miasteczku, położonym na brzegu rzeki Sabine, tuż przy granicy z Luizjaną. Całe zmieściłoby się na terenie kampusu jej uczelni. Kobiety nie nosiły tam spodni, a spódnice obowiązkowo musiały zakrywać kolana. Dekolt? Co to jest dekol? Ojciec Pauline był tradycjonalistą. Czyli bił matkę zawsze, kiedy nie miała ochoty na seks, i wysyłał ją do spowiedzi zaraz po tym, gdy już sobie użył. Kawał sukinsyna. Na szczęście szybko umarł i nikt go nie żałował. Jedno zawdzięczała staremu: pilnował, żeby się uczyła. Dzięki temu bez problemu dostała się do MIT i wyjechała do Bostonu. A tam wiadomo: świat i ludzie. Trochę kelnerowała, dzięki czemu nie była zależna finansowo od matki. Kupiła nieco fajnych ciuchów, zapisała się do klubu pływackiego i w zeszłym roku została wicemistrzynią Massachusetts w pływaniu stylem klasycznym na dystansie dwustu metrów. Do złota zabrakło jej piętnastu setnych sekundy. A potem przeprowadzka do stolicy i praca w NTSB. Jeszcze na studiach postanowiła, że chce pracować w Radzie. I udało jej się. Dostała tę robotę ledwie dwa tygodnie po złożeniu CV.

Kobieta sukcesu.

Której telefon właśnie zadzwonił. O trzeciej nad ranem.

Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Spojrzała na wyświetlacz. Ciąg cyfr. Dzwoniący nie znajdował się w jej książce telefonicznej. W końcu odebrała.

- Halo?
- Halfield, kurwa, dlaczego nie odbierasz? – odezwał się głos w słuchawce.
- Przecież odebrałam.
- Po piątym sygnale. Myślisz, że mam czas czekać?
- Ale kto mówi?
- Jak to kto, do kurwy nędzy? Jordan. Twój pan i władca. A w każdym razie ktoś, od kogo zależy twoja pieprzona kariera.
- A... ale ja zaczynam dopiero pojutrze – wyjąkała.
- Zaczynasz natychmiast, Halfield. Za godzinę masz być na lotnisku Dullesa.
- Ale...
- Halfield, na Boga, czy ja mówię w suahili?
- Nie, szefie.
- Więc włącz telewizor. I za godzinę na lotnisku. Lecimy do Japonii.
- Przyśle pan kogoś po mnie?
- Nie ma czasu. Łap taksówkę. I nie spóźnij się, bo urwę ci jaja.
- Jaja?

Rozłączył się.

Scottie Jordan. Główny śledczy. Gdyby nie to, że miał sześćdziesiąt sześć lat, można by pomyśleć, że jego starzy uwielbiali Bullsów. Jordan, fanatyczny fan waszyngtońskich Bullets, a potem Wizards, nienawidził tego. Dlatego nikt nigdy nie używał jego imienia. Po prostu Jordan. Tyle. Człowiek legenda. I to jeszcze za życia. Przede wszystkim dlatego, że był bardzo dobry w tym, co robił. Badał wiele ważnych wypadków. Między innymi katastrofę American Airlines 191 w Chicago i United 232 w Sioux City. Z ramienia producenta pomagał wyjaśniać wypadek boeinga 747 Japan Airlines, osławiony lot 123, w którym zginęło ponad pięćset osób.

Przez kilka sekund siedziała w bezruchu na łóżku. Rozpaczliwie usiłowała ułożyć plan na kilka najbliższych minut. Do lotniska Dullesa jechało się od niej pół godziny. Tyle że przecież, do jasnej cholery, zmyła już makijaż. Trzeba też wybrać jakieś ciuchy. I spakować się. Ale na ile dni? I jaka właściwie jest pogoda

w Japonii? I o co właściwie chodzi? Aha, zaraz, Jordan kazał włączyć telewizor.

Tylko przecież ja nie mam telewizora!

Wiadomości!

Chwyciła komórkę i kliknęła ikonkę Chrome. Ale zaraz odrzuciła telefon na łóżko. Potem sprawdzi. Teraz nie ma czasu.

Popędziła do łazienki.

Wróciła z łazienki.

Chwyciła komórkę i zamówiła taksówkę.

Wróciła do łazienki. Przygotowanie makijażu w wersji mini zajęło jej sześć minut. Musi wystarczyć.

Wybiegła do przedpokoju i otworzyła szafę, z której natychmiast wypadła byle jaka walizka na kółkach. Nie zdążyła kupić nic lepszego. No trudno. Otworzyła szafę i wrzuciła do walizki wszystkiego po pięć par. Majtki, staniki, koszulki i skarpetki latały na wszystkie strony. Potem jakieś spodnie. I buty... Nie, po chwili namysłu zrezygnowała z butów. Pojedzie w adidasach. Szpilki zostaną w domu. Ostatecznie nie jedzie tam na pokaz mody.

Cholerny pierwszy dzień w nowej pracy.

Dorzuciła do zestawu ręcznik, szampon i elektryczną szczoteczkę do zębów, a potem zapięła zamek. Spojrzała na zegarek. Od telefonu Jordana minął kwadrans. Nieźle.

Wyjęła z szafy swoje ulubione džinsy. Chwała niebiosom – czyste. Wskoczyła w nie, a potem przypomniała sobie, że przecież mają niewielką dziurę na kolanie.

Szlag by to...

Sześć minut później była gotowa. Siedziała na łóżku w beżowym trenczu, dysząc ciężko.

„Włącz telewizor”.

Chwyciła komórkę. Weszła na stronę „Washington Post” i natychmiast wszystko zrozumiała.

– Jezu...

Wpatrywała się w ekran, usiłując poskładać ciąg literek w sensowną całość. Alkohol dawno z niej wyparował, a jednak nadal nie potrafiła sprostać temu zadaniu. Rozpraszał ją wielki,

wytluszczony nagłówek.

621 OFIAR

Nagle komórka zawibrowała. Pauline przestraszyła się i wypuściła telefon z ręki. Upadł na pościel. Podniosła go szybko i odebrała połączenie.

- Pani Pauline Halfield? - zapytał przyjemnie chropowaty kobiecy głos.

- Tak.

- Taksówka czeka na dole.

ROZDZIAŁ 4

Taksówkarz był Amerykaninem. To stanowiło pewną odmianę. Mężczyzna, który przed minutą wsiadł do rozklekotanego forda crown victoria, przysiągłby, że od kiedy mieszka w Waszyngtonie, jeszcze nigdy nie spotkał szofera bez turbanu. Zwłaszcza w nocy.

Kierowca w milczeniu przyjął zlecenie i ruszył w kierunku mostu na Czternastej Ulicy. W radiu leciały wiadomości.

– Najprawdopodobniej sześćset dwadzieścia jeden osób zginęło w katastrofie lotniczej, do której doszło dziś w nocy nad Pacyfikiem. Z naszych informacji wynika, że w powietrzu zderzyły się dwa samoloty GB91. Byłaby to pierwsza katastrofa tego typu maszyn.

Pasażer się poruszył. – Czy może pan zrobić głośniej? – zapytał.

Kierowcy nie spodobał się jego leciutki wschodnioeuropejski akcent. I jeszcze ta broda. Na wszelki wypadek spełnił życzenie pasażera.

– Przez trzydzieści sześć lat wypadek na hiszpańskiej Teneryfie był najgorszą katastrofą w historii lotnictwa. Dziś wszystko się zmieniło. Agenci NTSB są już w drodze. Poprowadzą śledztwo, ponieważ lokalnym specjalistom brak odpowiedniej wiedzy o GB91. Mówi się jednak, że prawdopodobnie wypadek spowodował japoński kontroler, który przydzielił dwóm maszynom tę samą wysokość. Mężczyzna został już zatrzymany przez policję. Według wstępnych i niepotwierdzonych jeszcze informacji na pokładach obu samolotów znajdowało się kilkunastu obywateli Stanów Zjednoczonych. O szczegółach będziemy państwa informować na bieżąco. Z Tokio mówiła Alicia Brown.

Brodaty mężczyzna coraz bardziej nie podobał się kierowcy.

Do diabła, mógłbym przysiąc, że facet się uśmiechał. Ludzie giną, a ten się śmieje. Al-Kaida. Jak nic.

ROZDZIAŁ 5

Droga do Międzynarodowego Portu Lotniczego Waszyngton-Dulles zajęła Pauline nieco więcej niż pół godziny. Dojazd utrudniał deszcz, mgła i cała masa innych powodów, które Jordan uznał za zwykłe pierdoły. Gdy tylko postawiła nogę w specjalnym rządowym boeingu 747, szef strasznie ją opieprzył, a jej sytuacji nie poprawił nawet fakt, że odlot i tak opóźnił się o pół godziny. Przez deszcz, mgłę i inne zwykłe pierdoły. Ochrzanił również pilotów, personel naziemny, a nawet szefa zmiany kontrolerów lotów.

Pauline spodziewała się wybuchu złości szefa. Jego paskudny charakter stał się już legendarny. Nawet w MIT o tym plotkowali. Stary choleryk, ot co. Ale za to kompletnie zaskoczył ją jego wygląd. Jordan był potężnym mężczyzną. Miał prawie dwa metry wzrostu i dobre sto kilo wagi, łąsą jak kolano głowę i siwy, niemal zupełnie biały zarost à la Hulk Hogan. Spodziewała się zobaczyć go w starej, wyświechtanej marynarce, zamiast tego włożył zwykły czarny podkoszulek eksponujący jego muskulaturę. Jak na faceta w tym wieku naprawdę imponującą.

Po odebraniu obowiązkowego opieprzu Pauline miała odrobinę czasu dla siebie. Jordan zarządził, że pierwsze spotkanie robocze odbędzie się godzinę po starcie, kiedy maszyna przebije już wiszące nad okolicą chmury, wyjdzie ze strefy złej pogody i będzie można spokojnie postawić kubek z kawą na stole. Pauline zauważyła, że Jordan wszędzie nosi ze sobą papierowy kubek z kawą, która dawno musiała wystygnać.

Poszła na tył boeinga 747 i usiadła cichutko w ostatnim rzędzie. Chciała złapać jeszcze odrobinę snu przed wylotem. Przytuliła głowę do zagłówek i zamknęła oczy. Poczuła, jak robi się jej niedobrze. Dopiero teraz stres trochę odpuścił, a organizm przypomniał sobie, że przecież wciąż jeszcze ma w sobie alkohol. W takich warunkach na pewno nie pośni. W dodatku ten

przyciszony, ale przecież wciąż wwiercający się w uszy szum ludzkich rozmów.

Wraz z nią na pokładzie znajdowała się cała armia ludzi. Pauline nie miała pojęcia, że to będzie tak liczna wycieczka. Kilkunastu mechaników i metalurgów, piloci, kadłubowcy, systemowcy, silnikowcy, elektrycy, elektronicy, specjaliści od meteorologii, kontroli lotów, prawa lotniczego i kto tam żyw jeszcze.

Pewnie zabieramy nawet swojego kucharza – pomyślała Pauline i znów odczuła mdłości. A jednocześnie nieprzyjemny, skręcający wewnątrz głód. Ostatnio jadła... Co to było? Tortilla i guacamole. Dobre sześć godzin temu.

Kwadrans później Jordan miał już zupełnie zdarte gardło, ale najwyraźniej ta ofiara się opłaciła, bo samolot odepchnięto od bramki, chwilę się pobujał po drogach dojazdowych, a potem cztery silniki ryknęły potężnie i maszyna wystartowała w czternastogodzinny lot. Pauline udało się jednak zdrzemnąć. Nie pamiętała startu ani wznoszenia. Z przyjemnego półsnu wyrwało ją delikatne masowanie ramienia. Otworzyła oczy.

– Pan Jordan prosi panią do sali konferencyjnej na piętrze – powiedziała z uśmiechem stewardesa. – Czy podać najpierw coś do jedzenia?

Pauline zastanowiła się chwilę. Mdłości chyba ustąpiły. Głód też. Pytanie, co wróci pierwsze.

– Czy mogę zjeść w sali konferencyjnej?

Stewardesa skinęła głową, znów się uśmiechnęła i odeszła w kierunku części kuchennej. Pauline wgramoliła się po schodach na galeryjkę, gdzie znajdowała się niewielka sala konferencyjna. Wewnątrz siedziało kilku mężczyzn.

– Wreszcie, Halfield! – ryknął Jordan. – Ile to mamy jeszcze czekać na śpiącą królownę?

Weszła do środka i zajęła jedyne wolne miejsce.

– Panowie, to jest Pauline Halfield. W przyszłości być może najlepszy specjalista od elektroniki, jakiego kiedykolwiek zatrudniała Rada. Tak w każdym razie zapewnia jej promotor. Ale na razie moja asystentka.

– Coraz młodsze asystentki przyjmujesz. – Wysoki facet

z dziwacznymi wąsami, siedzący dokładnie vis-à-vis Pauline, zaśmiał się nerwowo. – Twoja żona o tym wie?

– Nie do wiary – odpowiedział mu niewysoki czarnoskóry mężczyzna. – A myślałem, że tu pracują dojrzały ludzie. No wiecie, tacy po studiach.

– Co chcesz powiedzieć? – odciął się tamten. – Że ludzie po studiach nie mają poczucia humoru? Czy że nie uprawiają już seksu?

– U ciebie zapewne sprawdza się jedno i drugie.

– Cisza! – wrzasnął Jordan i klimaty rodem z festynu barbecue rozwiały się, nim jeszcze na dobre zaczęło śmierdzieć starym, odsmażanym i wyjątkowo niesmacznym żartem. – Nie przejmuj się nimi, Halfield, zwykle to dojrzały, kulturalni faceci. Ale dziś ze strachu mają pełne gacie i tą durną gadką usiłują to zamaskować. Dobra. Szybka prezentacja, bo nie ma czasu na pierdoły. Jak już wspomniałem, Halfield jest moją asystentką. Halfield, ten, co słusznie zauważył, że masz nikły staż, to Rusty Logan, szef specjalistów od ATC.

– Czyli kontroli ruchu lotniczego, gdyby nasza nowa koleżanka nie wiedziała. – Logan ziewnął. Najwyraźniej nie tylko Pauline przeżywała ciężki poranek po lekkim wieczorze. Nie spodobał jej się protekcyjny ton tego dupka. Chciała nawet coś powiedzieć, ale uznała, że to jeszcze nie ten moment. Później skopie mu tyłek.

– Obok siedzi Greg Dirt – ciągnął Jordan. – Jest szefem elektromechaników. Czasami, podkreślam, czasami da się lubić.

Dirt intensywnie wpatrywał się w ekran laptopa i nawet na nią nie podniósł wzroku. Ale machnął w jej stronę ręką, a gest ten miał raczej wyrażać „cześć, jestem Dirt” niż „mam cię w dupie”. Jordan zrozumiał, że na bardziej wylewne przywitanie Pauline liczyć nie może, więc kontynuował:

– Obok niego, tamten dziwak z dredami, to Hans Gross. Jest operatorem podwodnego robota.

– Sam jesteś „robot”, Jordan. *Deepy* to...

– Jezus, znów to samo. Halfield, nigdy nie podejmuj z Grossem rozmowy o tej jego *Deepy*. Jest wtedy śmiertelnie niebezpieczny. Zaraża nudą, która zabija szybciej niż ebola. Dobra, dalej. Ten

Afroamerykanin to Antwone Depree, metalurg kadłubowy. Jego problem polega na tym, że nie znosi czarnych.

– O rany, naprawdę to powiedziałeś? – rzucił Depree, ale Jordan kompletnie go zignorował.

– Sama się zresztą przekonasz – ciągnął szef. – Cokolwiek powiesz, dowiesz się, że Murzyn jest gorszy od białego.

– Nie, że jest gorszy – syknął metalurg – tylko że jest gorzej traktowany. Sześćdziesiąt dziewięć procent czarnoskórych zarabia mniej niż biali na tych samych stanowiskach. A awansujemy nawet osiemdziesiąt procent rzadziej.

– Powiedział facet, który jest szefem moich metalurgów i jeździ challengerem srt hellpack z dwa tysiące dwunastego roku, wartym sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

– Moja komfortowa sytuacja życiowa nie zwalnia mnie z obowiązku piętnowania niesprawiedliwości społecznej, która...

– Dość! – krzyknął Jordan, łapiąc się za głowę. – Sam jestem sobie winien. Pamiętaj, Halfield, nigdy nie wdawaj się z nim w takie gadki. Ale jednocześnie pamiętaj, że choć Depree pochodzi z Harlemu, gdzie jakoby ludzie nie mają żadnych perspektyw, to skończył MIT z wyróżnieniem i najlepszym od pięćdziesięciu lat wynikiem. Jeśli chodzi o metalurgię, jest prawdziwym geniuszem.

Depree nerwowym ruchem poprawił bejsbolówkę. Nie lubił, kiedy Jordan chwalił go w taki sposób. Trudno było orzec, w jakim jest wieku. Na pierwszy rzut oka około czterdziestki, ale miał na sobie szerokie dżinsowe spodnie i czerwoną bluzę z kapturem, które – przynajmniej w jego własnym mniemaniu – odejmowały mu trochę z metryki.

Niezły dziwak – pomyślała Pauline – trochę bandzior z Bronxu, trochę społecznik z wyższych sfer.

Na szczęście Depree wiedział, kiedy zbastować. Inaczej chyba nigdy nie skończyliby tej prezentacji. Tymczasem Jordan przeszedł płynnie do kolejnego uczestnika spotkania:

– Ten obok Depree to Ira Bolton, nasz nowy szef zespołu specjalistów zajmujących się rejestratorami parametrów lotu. Uważaj na niego. Ma opinię nadętego dupka.

– I vice versace – rzucił Bolton.

– Obok Boltona siedzi mój stary kumpel Josh Berry, który jest szefem meteorologów. Z Joshem znamy się mniej więcej od paleozoiku. Nic więcej o nim nie powiem, bo to straszny nudziarz i mógłbym zasnąć, przytaczając jego niewątpliwe sukcesy. – Jordan puścił oko do Berry’ego, który pokazał mu środkowy palec. – Tam, w rogu, siedzi Michael Manson, szef zespołu silnikowców, a obok pan Daimler van den Crooigh, główny inżynier Great Birda. Bardzo na niego liczymy.

Lekko tęgawy, siwiejący mężczyzna z fryzurą à la Trump ukłonił się. Na jego dostojnej twarzy próżno było szukać zniesmaczenia panującą atmosferą. Przeciwnie. Stary Holender wydawał się rozbawiony.

Ktoś zapukał. Jordan otworzył drzwi. Stewardesa przyniosła tackę z posiłkiem dla Pauline, ale Jordan nie wpuścił jej do sali.

– Po odprawie – warknął i zamknął dziewczynie drzwi przed nosem, a potem zwrócił się do swojego zespołu: – Dobra. Teraz proszę o odrobinę powagi.

Zgasił światło i uruchomił projektor.

– To jest GB91. – Jordan wduśił przycisk na pilocie i pojawiło się zdjęcie maszyny. – Dziś o godzinie czwartej po południu czasu lokalnego, to jest o drugiej nad ranem w Waszyngtonie, nad Pacyfikiem w japońskiej strefie kontroli, około tysiąca dwustu kilometrów od Honsiu, doszło do zderzenia dwóch tego typu maszyn. Lot Nippon 1111 z Sydney do Tokio i lot Nippon 1212 z Tokio do Sydney. Będziecie ustalać, jak to się mogło stać. Za kilka godzin rozpęta się piekło i każdy z nas dobitnie to odczuje. Mamy do czynienia z największą katastrofą lotniczą w historii ludzkości. Sześćset dwadzieścia jeden ofiar. Prawdopodobnie, bo tyle osób było na pokładzie, a akcja ratunkowa leży i kwiczy, ponieważ skośni nie potrafią nawet zlokalizować wraków. W każdym razie jest gorzej niż na Teneryfie, więc cały świat będzie od nas żądać odpowiedzi. A my je światu damy. Będziemy pracować non stop, dopóki nie ustalimy, co się wydarzyło. Może się okazać, że nie wrócicie do domu przez kilka miesięcy. Czy to jasne? Za jakieś dziesięć godzin lądujemy w bazie lotniczej

Yokota, niedaleko Tokio. Czekają już tam na nas szef Japońskiego Panelu Transportu, który oficjalnie prowadzi dochodzenie. To znaczy uśmiecha się do kamer, bo całą robotę odwalamy my. Musicie być świadomi, że to jest wielka sprawa. I przy okazji wielka sława.

– Niewiarygodne! Jordan chce się z nami podzielić fejmem! – krzyknął Depree.

– Śnij dalej. Śmietankę jak zwykle spijam ja. Być może wymienię wasze nazwiska w autobiografii, jak już się okaże. Dobra. Jakies pytania?

– Co z kontrolerem obszaru? Zatrzymano go? Przesłuchano? – zapytał Logan.

– Z tego, co wiem, kontroler został zatrzymany. Podobno zarzeka się, że separacja była właściwa. Mówi, że informował załogi o bliskim minięciu i obie potwierdziły swoje wysokości. Transpondery też miały wskazywać, że maszyny dzieliło tysiąc stóp. Ale to tylko słowa kontrolera. I właśnie dlatego ty z nami lecisz, Logan. Sprawdzisz systemy i zapisy, a potem przesłuchasz kontrolera.

– Dawno nie mieliśmy kolizji w powietrzu – rzucił Logan bardziej w przestrzeń niż do kolegów.

– Zgadza się – odparł Jordan. – Halfield, wymień największe kolizje w powietrzu.

Pauline się zawahała, ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, był praktyczny test z wiedzy o historii wypadków lotniczych. Szybko przejrzała katalog danych, jakie zgromadziła w głowie przez ostatnie lata.

– Ty tak na serio, Jordan? – zapytał Dirt.

– Nie wpierdalaj mi się w proces dydaktyczny! – ryknął stary śledczy.

– Oczywiście Teneryfa... – zaczęła Pauline, ale Jordan przerwał jej uderzeniem pięścią w stół.

– Na Teneryfie do kolizji doszło na ziemi. Siadaj, pała.

– Zderzenie nad Überlingen – dodała szybko Pauline, ignorując szefa. – Potem Saudi Arabian Airlines i Kazakhstan Airlines niedaleko Dehli, dwa samoloty Aeroflotu nad

Dnieprodzierzyńskim, zderzenie niedaleko Lwowa, nad Nowym Jorkiem, nad Amazonią w dwa tysiące szóstym roku i nad San Diego. I do tego jeszcze jakieś pomniejsze.

- O kurwa - szepnął Logan. - Jordan zatrudnił Wikipedię.

- Nieźle - przyznał Jordan. - Ale coś ominęłaś.

- Rany, człowieku, zapomniała o Wielkim Kanionie - nie odpuszczał wąsacz. - To było w pięćdziesiątym, jebanym, szóstym. Daj jej spokój.

- Jordan już wtedy pracował w zawodzie - rzucił jakiś żartowniś.

- A w dziób chcesz? - odparował Jordan, choć nie wiedział za bardzo do kogo. - Sto dwadzieścia osiem osób nad Wielkim Kanionem, Halfield. Sto trzydzieści cztery nad Nowym Jorkiem, w dwóch wypadkach. I sto siedemdziesiąt sześć nad Zagrzebiem. Twoje pierwsze zadanie po wylądowaniu: skrótowy raport o każdym z tych wypadków. Może znajdziemy jakieś ciekawe analogie. Dobra. Ktoś jeszcze ma pytania?

- Incydent nad zatoką Suruga - przerwała mu Pauline. - W Japonii.

- Co?

- Incydent nad zatoką Suruga. Być może dla nas najważniejszy. Dwa tysiące pierwszy rok. 747 i DC-10 minęły się o niecałe sto metrów na wysokości przelotowej.

- Ciekawe. Nie słyszałem o tym.

- No bo nic się nie stało.

- Przyczyna?

- Identyczna jak ta nad Überlingen. Błąd kontrolera i sprzeczne komunikaty kontrolera i TCAS.

- Jak to? To jakim cudem to się powtórzyło?

- Bo przyczynę ustalono, ale regulacji nie wprowadzono - wtrącił się Logan. Jako specjalista od kontroli lotów czuł się w obowiązku coś powiedzieć. Cokolwiek. - Dopiero po Überlingen. W każdym razie przyjrę się raportowi na temat tego zdarzenia. Może Japończycy mają jakiś problem w swoim systemie zarządzania lotami.

- Dobra. Ktoś jeszcze ma pytania?

– A pogoda? – zapytał Berry. – Dysponujemy jakimiś mapami?
– Właśnie je dla nas sporządzają. Na podstawie danych Japońskiego Instytutu Meteorologicznego. Do dwudziestu czterech godzin wstecz.

– Brzmi w porządku. Ale chciałbym też wiedzieć, jakimi mapami i jakim sprzętem dysponowała załoga. I potrzebuję zapisów komunikatów z najbliższego ATIS.

– Załatwione. Jeszcze jakieś pytania?

– Kontroler poinformował, że transpondery wskazywały różne wysokości – odezwała się Pauline. – To oznacza, że cały czas były włączone. Czy zatem mogły dokonywać błędnych wskazań?

W sali zapanowała chwila ciszy, którą przerwał Logan.

– Teoretycznie to możliwe, gdyby urządzenia były źle skalibrowane. Ale szczerze mówiąc, bardzo w to wątpię. GB91 to nowe i przełomowe maszyny. Atestowanie trwało kilka lat. Poddawano je setkom testów jeszcze przed oblotem. Potem były odbiory. Później przeglądy przed pierwszą rejestracją w liniach lotniczych. Swoje sprawdzali też ludzie z IATA i ICAO. Nie sądzę, by przegapili wadliwe wysokościomierze czy transpondery. Przypuszczam, że to pomyłka kontrolera. Ewentualnie nawalił naziemny odbiornik i kontroler otrzymał błędny odczyt w swoim komputerze. Co jednak nie powinno spowodować wypadku, bo przecież wciąż są jeszcze paski postępu lotu i kontrolerzy szybko powinni odkryć swój błąd.

– Gdzieś mam odczyty – powiedziała Pauline. – Bardziej zastanawia mnie, dlaczego nie zadziałało urządzenie przeciwdziałające kolizji, mimo że transpondery były włączone.

– Ma pani na myśli TCAS? – odezwał się van den Crooigh. Mówił wolno, silnie akcentując każde słowo. – To bardzo dobre pytanie. W naszym samolocie zainstalowaliśmy bardzo nowoczesną wersję tego urządzenia. Pan Logan wspomniał o kalibracji transpondera. W GB91 takiej kalibracji się nie przeprowadza, ponieważ transponder nie pobiera informacji z rurek Pitota i innych urządzeń nawigacyjnych. Każda maszyna ma wbudowane urządzenia, dzięki którym jest stale namierzana za pomocą systemów satelitarnych. Komputer ustala położenie

maszyny w przestrzeni z dokładnością do jednego metra w dowolnym punkcie lotu. Samolot nie określa swojej pozycji, tylko pobiera dane z satelity. A transponder wysyła pakiet informacji na ziemię. Tu nie ma miejsca na błędy, bo nie ma żadnego liczenia.

- I rozumiem, że TCAS również korzysta z tego algorytmu, co czyni go absolutnie niezawodnym? - zapytała Pauline.

- Niezupełnie, drogie dziecko - odparł Holender, a Pauline poczuła lekkie ukłucie złości. - TCAS nadaje i odbiera komunikaty. Zatem podczas wysyłania informacji, owszem, korzysta z naszego systemu lokacji przestrzennej. Ale TCAS musi się łączyć z innymi samolotami. Tymczasem nasz system jest opatentowany i inni producenci z niego nie korzystają. Dlatego może się zdarzyć tak, że nasza maszyna przyjmie błędne informacje ze źle skalibrowanego urządzenia innego samolotu. Wtedy nic już nie możemy poradzić. Nasz TCAS nie zdoła zweryfikować wiarygodności odbieranych danych. Tyle że takie sytuacje zdarzają się raczej rzadko.

- A poza tym - wtrącił się Gross - w omawianym wypadku taki błąd nie może się pojawić, bo przecież mamy do czynienia z dwiema identycznymi maszynami, wyposażonymi w ten sam system lokacji przestrzennej i ten sam model TCAS.

- Właśnie - potwierdził van den Crooigh. - Nasze samoloty to prawdziwe dzieła sztuki. Wykonujemy je z najnowocześniejszych materiałów i instalujemy im absolutnie rewolucyjny software. Wykupiliśmy połowę Doliny Krzemowej, żeby sprostać oczekiwaniom, jakie stawiają przed nami kontrahenci. Ten samolot jest bezpieczny. I ponad wszelką wątpliwość bezawaryjny. Po prostu komputer nie pozwoliłby mu się zepsuć. A jeśli zawiedzie komputer, to jest jeszcze inny komputer, który pilnuje, czy ten pierwszy pracuje prawidłowo. Proszę państwa, GB91 to prawdziwy przełom w lotnictwie. Jest tani w eksploatacji i przynosi ogromne zyski swoim liniom. W dodatku zaimplementowaliśmy w nim rozwiązania, na jakie świat czekał od dawna.

- Na przykład? - zapytał Jordan.

- Na przykład system Controlled Flight Into Terrain Avoidance, zapobiegający kontrolowanemu lotowi ku ziemi. Nawet dwadzieścia pięć procent katastrof nie wiąże się w żaden sposób z awarią samolotu. Piloci popełniają błąd i rozbijają zupełnie sprawną maszynę. W dodatku pamiętacie zapewne wypadki SilkAir lot 185 i EgyptAir 990. Do dziś nie ma pewności, ale spekuluje się, że piloci tych maszyn doprowadzili do katastrof umyślnie, popełniając rozszerzone samobójstwo czy jak to się tam fachowo nazywa. System CFITA uniemożliwi tego typu praktyki. Mówię zarówno o samobójstwach, jak i błędach pilotów. Po prostu nie dopuści do lądowania poza lotniskiem.

- To dość niebezpieczne - zauważył Manson. - Wiem, że to raczej rzadkość, ale czasami zachodzi konieczność posadzenia maszyny poza lotniskiem. Na przykład Sully musiał lądować na rzece Hudson. A pamiętacie ten wypadek... Nie wiem w sumie, co to był za lot, ale piloci wylądowali na wale przeciwpowodziowym w Nowym Orleanie.

- TACA Airlines lot 110 - uzupełniła szybko Pauline.

- No właśnie.

- Panie Manson - Holender uśmiechnął się wprawdzie, ale był to wyjątkowo mało przyjazny uśmiech - w obu wymienionych przez pana przypadkach przyczyną lądowania były awarie silników. W takiej sytuacji system CFITA i tak nie mógłby zadziałać, bo jego działanie polega na tym, że na wysokości poniżej trzystu metrów nad ziemią, jeśli pokładowy GPS uzna, że samolot jest za daleko od lotniska, pozbawia pilotów autonomii i włącza automatyczną przepustnicę i autopilota. Ale przyznam, że samo pytanie jest skądinąd słuszne. W trakcie lotu mogą wystąpić okoliczności zmuszające pilotów do podjęcia próby natychmiastowego lądowania. Na przykład poważne uszkodzenia strukturalne płatowca lub jego urządzeń, krytyczna awaria komputera czy choćby pożar. Dlatego z systemem CFITA współpracuje ponad dziesięć tysięcy czujników w samolocie. Komputer na bieżąco analizuje stan maszyny. Jeśli uzna, że należy natychmiast lądować, system ulega dezaktywacji. Ale decyduje o tym komputer. Nie pilot.

– O kurwa, powinien pan być przedstawicielem handlowym – rzucił Logan. – Tak pan pięknie o tym opowiada, że chyba sobie kupię taki samolot.

– Musiałby pan pracować na to jakieś dziewięć tysięcy lat.

– Mam całkiem wydolną linię kredytową.

– Tak czy inaczej – przerwał Jordan, patrząc Holendrowi prosto w oczy – to nie te cudowne zabawki sprawią, że historia będzie o was pamiętała. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Van den Crooigh rozumiał, więc już więcej się nie odzywał.

ROZDZIAŁ 6

Jordan szalał. Ale nie tak, jak zwykle. Przez ostatnich kilkanaście godzin Pauline zrozumiała, że większość jego wybuchów to zwykła poza. Element image'u. Taka gra, którą codziennie przez całe swoje życie podejmował ze współpracownikami, podwładnymi, a zapewne również przełożonymi. Tym razem jednak nawet Berry bał się do niego podejść. A Berry był w ekipie od trzech dekad i miał u Jordana szczególne względy.

Zaczął się, gdy lecieli nad Alaską. Pauline akurat przysypiała, a w półśnie odwiedził ją Buck. Ktoś, kogo uważała za swojego pierwszego chłopaka. Mieli wtedy po czternaście lat. Ojciec Pauline go nie znosił. Młody wieśniak – mawiał o nim. Ale ten młody wieśniak miał ojca pilota, z którym latał opryskiwać pola, i sam marzył o tym, by zostać pilotem. Najlepiej w American Airlines. To właśnie Buck opowiedział jej o ortodromach. Nie mieściło jej się w głowie, że ze wschodniego wybrzeża do Japonii można latać nad Alaską. Teraz, kilka chwil po tym, jak pilot poinformował, że właśnie przelatują nad deltą Jukonu, wspomnienia powróciły do niej z pełną mocą. Przypomniała sobie pierwszy, niewinny pocałunek, spacer za rękę po parku stanowym North Toledo Bend, do którego jeździli na rowerach, i jak po raz pierwszy, przepełnieni dziecięcym wstydem, kąpali się tam razem nago, bardziej siebie nawzajem ciekawi niż spragnieni. I jak pewnego dnia nad miastem pojawiła się łuna, a nazajutrz w szkole wszyscy razem modlili się do Boga, by przyjął pod opiekę starego Bubbę Joego Dugana i jego syna Bucka. Potem wspólnie odśpiewali *Old time religion*, jakby nie wierząc do końca, że Bubba Joe zasłużył sobie na łaskę u Najwyższego.

Obudził ją głośny, nieprzyjemnie wysoki ton interkomu, a chwilę potem kapitan nakazał Jordanowi przyjść do kokpitu. Śledczy był tam dobre piętnaście minut, a gdy wrócił, sprawiał

wrażenie, jakby miał się rzucić z pięściami na pierwszą istotę, która mu stanie na drodze. Gwałtownym ruchem zerwał ze ściany słuchawkę interkomu i ryknął:

– Drodzy państwo, mówi wasz wkurwiony szef. Dowiedziałem się właśnie, że skośni są jeszcze głupszy, niż nam się zdawało. Mają jakąś dużą awarię i przestrzeń powietrzna nad Japonią jest zamknięta. Lecimy do Pusan. A żeby dolecieć do Pusan, musimy dotankować we Władywostoku. Czyli u Ruskich, jakby któryś tuman nie znał geografii. W sumie stracimy przez to przynajmniej pięć godzin.

Siedzieli w niewielkiej salce konferencyjnej lotniska Pusan-Kimchae, czekając na kogoś, kto powie im cokolwiek. Taki ktoś zjawił się dziesięć minut później i przyjął postać dwudziestoparoletniego kurdupła z naželowanymi włosami. Identyfikator zwisający z szyi informował, że to szef protokołu. Chłopak otworzył sobie drzwi biodrem, bo w rękach niósł komputer i mnóstwo zwisających na boki kabli.

– Dzień dobry, dzień dobry – odezwał się śmieszoną, ale zrozumiałą angielszczyzną. – Jestem Park Hae-wook będę się państwem zajmować. Witamy w Pusan. Chwileczkę, tylko się z tym podłączę.

– Słuchaj no He-wook czy jak ci tam – warknął Jordan, ale Koreańczyk natychmiast mu przerwał.

– Nie, nie, nie, panie Jordan. Nazywam się Park. U nas jest odwrotnie. Najpierw nazwiska.

– Świetnie. Bez urazy, ale kiedy w końcu spotkamy się z kimś ważnym?

– Za momencik. Jak tylko podłączę.

– Co pan podłączy?

– Komputer. Major Hosuto skontaktuje się z państwem przez Skype'a.

Jordana jakby ktoś walnął pięścią w twarz. Zerwał się z miejsca i wrzasnął:

– Czy pan sobie żartuje, Park?!

– Ani trochę, ani trochę. – Koreańczyk nie dał się sprowokować. Wyglądał na kogoś, kogo nawet wybuch wulkanu nie zdołałby wyprowadzić z równowagi. – Przecież pan wie, że oni mają awarię. Nie latają. Zresztą ja tu jestem tylko po to, by państwu pomóc. O resztę pytajcie majora Hosuto.

Wcisnął przycisk, który na pierwszy rzut oka wydawał się włącznikiem światła, a w rzeczywistości rozsunał zasłaniającą jedną ze ścian roletę. Oczom ekipy ukazał się wielki telewizor.

– O jebaniutki. – Bolton westchnął. – Plazma, sto pięćdziesiąt dwa cale.

Park podłączył do telewizora komputer, po czym spojrzął na zegarek.

– No, w ostatniej chwili. – Zaśmiał się, uruchamiając Skype'a. – Gotowi? Łączę.

Po drugiej stronie odebrano niemal natychmiast. Zobaczyli mężczyznę o marsowej twarzy, siwych, krótko przyciętych włosach i krótkiej, ale oplatającej całą twarz brodzie, jaką nosili japońscy wojownicy w czasach feudalnych. A w każdym razie według Hollywood. Hosuto mógł mieć sześćdziesiąt lat, ale bardziej sześćdziesiąt jak George Clooney niż Mickey Rourke.

– Dzień dobry państwu – rzekł mężczyzna. – Nazywam się Hosuto, jestem majorem Japońskich Morskich Sił Samoobrony i prowadzę sprawę zderzenia Nippon 1111 i Nippon 1212.

– Jak to? – zdziwił się Jordan. – Wojsko? Dlaczego nie Japońska Rada Bezpieczeństwa Transportu?

– Dojdziemy do tego – odparł rozmówca. – A pan to...?

Jordan w krótkich słowach przedstawił siebie i swój zespół, po czym zapytał:

– Co tam się u was, do cholery, dzieje?

– Jeszcze nie wiemy, panie Jordan. Badamy sprawę. Ale wygląda na to, że do naszego systemu zarządzania lotem wgrano wirusa.

– I co to oznacza?

– To, że nie mamy dostępu do żadnych urządzeń sterowania ruchem. Nie mamy również żadnych zapisów. Lotów, rozmów, echa radarowego. Nic.

Jordan jęknął.

– Ale chyba łatwo sprawdzić, kto miał sposobność, żeby zainfekować sieć? – odezwał się Gross.

– Nie tak łatwo, jak się panu zdaje. Zainfekowany został serwer główny oraz serwer zapasowy. Nasi specjaliści od IT rozkładają ręce. W życiu nie widzieli takiego robaka. Przypuszczalnie przez najbliższe dwie lub trzy doby nad Japonią nie przeleci ani jeden samolot. Co może oznaczać straty liczone w miliardach jenów.

– Kiedy odzyskacie dostęp? – zapytał Jordan.

– Nie wiem. Ale chyba powinien pan się pogodzić z myślą, że danych już nie odzyskamy.

– Świetnie. Po prostu doskonale.

– Obecnie skupiamy się na tym, by schwytać sprawców – ciągnął Hosuto. – Nasz system został stworzony specjalnie dla nas. Nie można do niego wpuścić standardowego wirusa. A to oznacza dwie rzeczy. Po pierwsze, że robaka stworzył ktoś, kto pracował przy systemie. Niestety, są to tysiące osób, podlegające bezpośrednio Ministerstwu Obrony...

– A nie Ministerstwu Ziemi, Infrastruktury, Transportu oraz Turystyki? – przerwała mu Pauline. – Zdawało mi się, że...

– Milcz, Halfield – syknął Jordan.

– Akurat panna Halfield dobrze kombinuje – powiedział Hosuto. – Ministerstwo Ziemi, Infrastruktury, Transportu oraz Turystyki zajmuje się kontrolą przestrzeni powietrznej. Jednak gdy rozpisywaliśmy przetarg, zgłosiła się tylko jedna firma, kontrolowana przez wojsko. Rząd uznał, że w takim wypadku powinna podlegać swojemu ministrowi. W każdym razie, jak mówiłem, to tysiące osób i znalezienie tego, kto stworzył wirusa, zajmie prawdopodobnie wiele czasu.

– Łatwiej będzie znaleźć kogoś, kto wirusa wprowadził do systemu – zwróciła uwagę Pauline. Jordan spiorunował ją wzrokiem, ale nie zdążył wygłosić kolejnej tyrady.

– Zgadza się – potwierdził Hosuto. – Japońskie Biuro Lotnictwa Cywilnego również zatrudnia wiele osób, ale dostęp do systemu miała najwyżej setka. Właśnie je prześwietlamy. Mówimy o obsadzie kontroli lotów, ale również o testerach, operatorach systemu, konserwatorach, inżynierach baz danych, specjalistach

od bezpieczeństwa, analitykach ruchu powietrznego, statystykach, logistykach linii lotniczych i tak dalej.

– No, to też wam chwilę zajmie – powiedział Jordan. Patrzył w stronę telewizora, ale Pauline była pewna, że go nie widział. Myślał tak intensywnie, że nabrzmiały mu żyły na potężnym karku.

– Zgadza się. – Hosuto zdjął okulary i przetarł je mikrofibrową szmatką. Nawet ślepy by zauważył, że jest wzburzony. – Bardzo mi przykro, panie Jordan, że fatygowaliście się taki kawał drogi na darmo. Czy jest coś, co...

– Moment – przerwał mu śledczy. – Jak to „na darmo”? Pan chyba nie myśli, że jakaś drobna awaria nas powstrzyma. Przecież na pewno pływają tu jakieś promy.

– Jeśli można – wtrącił się Park – mamy tutaj szybkie połączenie promowe z Kitakyūshū. Rejs trwa pięć godzin. Potem półtorej godziny pociągiem z Kitakyūshū do Hiroszimy. No a stamtąd to już Shinkansen. Pięć godzin, licząc z przesiadką w Kioto. Wszystko jest ze sobą skomunikowane, więc w ciągu dwunastu godzin możecie być na miejscu. Tyle że najbliższy prom odpływa dopiero jutro rano.

– W takim razie jutro pod koniec dnia się zobaczymy – podsumował z zadowoleniem Jordan.

– Obawiam się, panie Jordan, że mnie pan nie zrozumiał – powiedział powoli Hosuto i zrobił pauzę. Chciał sprawdzić, w jaki sposób zareaguje jego rozmówca. A Jordan zareagował w sposób kompletnie dla siebie nietypowy. Bardzo spokojnie. Wyprostował się, jakby zamierzał stać się większy i zdobyć nad przeciwnikiem przewagę psychologiczną. Wyciągnął szyję w kierunku wiszącej nad telewizorem kamery.

– Obawiam się, że faktycznie nie – rzekł, akcentując każde kolejne słowo.

– Decyzją Ministerstwa Obrony nie zostaniecie dopuszczeni do śledztwa.

– Halfield, czy ty też to słyszałaś? Czy tylko ja mam omamy?

– Słyszałam, szefie.

– Panie Jordan – kontynuował major – zapewne pan rozumie, że

awaria, której doświadczyliśmy, nie jest przypadkowa. Dla jasności dodam jeszcze, że ona nie nastąpiła po katastrofie, tylko wcześniej. Podejrzewamy akt terroru, który w konsekwencji doprowadził do największej katastrofy lotniczej w dziejach. Mamy zresztą więcej przesłanek, by tak sądzić. Pytał pan, dlaczego śledztwa nie prowadzi Japońska Rada Bezpieczeństwa Transportu. Właśnie dlatego. U nas, kiedy zachodzi podejrzenie aktu terroru, sprawę przejmujemy my, czyli wojsko. U was, o ile dobrze pamiętam, FBI. Więc znacie procedury. I wiecie, dlaczego nie mogę się zgodzić...

– Dość tego pierdolenia. – Wbrew pozorom Jordan wciąż jeszcze się nie zdenerwował i Pauline w końcu zrozumiała, że najgorszy Jordan to nie ten, który pluje na wszystkie strony za każdym razem, gdy ma coś do powiedzenia, a ten, który jest spokojny i opanowany. Takiego go dotąd nie widziała. I przerażał ją.

– Proszę? – Hosuto jakby nie wierzył własnym uszom.

– Słyszał pan. W dupie mam wasze procedury. Działam w zgodzie z konwencją chicagowską, która jest nadrzędna względem waszych durnych przepisów, i tak długo, jak mój rząd wymaga ode mnie wyników, będę je dostarczał. Rozumiemy się?

Twarz Hosuto stężała. Przyjemny starszy pan gdzieś się ulotnił. Zamiast niego spoglądał na nich teraz mężczyzna o oczach rozpalonych gniewem. Ale i on, podobnie jak Jordan, zachowywał się spokojnie. Naprzeciwko siebie siedziało dwóch zaprawionych w bojach graczy. I żaden nie chciał okazać słabości.

– Z mojej strony nie otrzyma pan żadnej pomocy, Jordan.

– I panu się zdaje, że to mnie powstrzyma? Pan chyba jeszcze o mnie nie słyszał, Hosuto. Na pewno pan nie słyszał. Ale teraz panu coś powiem. Amatorzy, tacy jak wy, ludzie, którzy dobę po katastrofie nie wysłali w morze nawet jednego statku, nie zasługują na pomoc najlepszych specjalistów z NTSB, a takimi mam przyjemność zarządzać. Ale na pokładzie tych samolotów byli amerykańscy obywatele. A rząd Stanów Zjednoczonych nie zostawia swoich obywateli na pastwę losu. Nawet martwych. Więc skoro nie chce mi pan udzielić pomocy, którą gwarantuje mi konwencja chicagowska, to nie ma sprawy. Poradzimy sobie

bez tego. Po prostu się pan nie wpierdalaj. Wyraziłem się jasno? Tylko jak już odnajdę czarne skrzynki, to nie przybiegajcie z płaczem po dane. Bo chuja dostaniecie.

– Niby w jaki sposób zamierza je pan odnaleźć?

– Od tej chwili to już nie pańska sprawa, Hosuto. Ale powiem panu. Znajdę statek, który mnie zabierze na miejsce zdarzenia.

– Strefa zostanie otoczona kordonem. Nie wpuścimy pana.

– Tak? A jak mnie chcecie zatrzymać?

– Za pomocą wszystkich dostępnych środków.

– Co takiego?! – wrzasnął Jordan, a siedzący obok Park aż się skulił ze strachu. Ale i ten wybuch gniewu był jedynie na pokaz. Hosuto musiał to rozumieć, bo ani drgnął. – Czy pan właśnie... Momencik, chwila.

Sięgnął do kieszeni i wyjął smartfon. Chwilę pogmerzał przy ekranie dotykowym.

– To jeszcze raz – powiedział, gdy urządzenie było już gotowe. – Proszę mieć na uwadze, że to nagrywam. Główny śledczy Scott Jordan, szef zespołu specjalistów Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, regulowanej przez federalny kodeks Stanów Zjednoczonych. Bezpośredni wysłannik Kongresu Stanów Zjednoczonych, waszego największego sojusznika w tym rejonie świata, gwaranta waszego bezpieczeństwa zewnętrznego. Czy pan właśnie zasugerował, że Japońskie Morskie Siły Samoobrony zamierzają podjąć wobec mnie i moich ludzi działania zbrojne?

Hosuto nie odpowiedział. Doskonale zdawał sobie sprawę, że przegrał.

– A może mam wezwać na pomoc patrolowców US Navy? – ciągnął Jordan. – Pełno ich tutaj, prawda? Bronią waszych wód terytorialnych przed Chińczykami. Albo krążownik rakietowy. Wydaje mi się, że na Okinawie stacjonuje USS Lake Champlain. No, Hosuto? Bo nie mam czasu.

Major nadal milczał.

– Świetnie – powiedział Jordan, wyłączając nagrywanie. – Proszę mi przesłać wszystkie informacje, które do tej pory pan zgromadził.

- Z mojej strony nie otrzyma pan żadnej pomocy - powtórzył Hosuto.

- Sami sobie poradzimy - wtrącił się Berry. - Trasy obu maszyn są jawne, resztę sobie policzymy.

- Miło było z panem pracować, majorze - rzekł Jordan i skinął na Parka, by zakończył połączenie.

- Moment. - Major westchnął. Wyglądał na zrezygnowanego. Pauline nie potrafiła rozpoznać, czy to dalszy ciąg gry, czy Japończyk naprawdę skapitulował. - Może pan myśleć, co chce, Jordan, ale mam rozkazy, które są bardzo jasne. Niemniej zrobię dla pana niewielki wyjątek. By zrozumiał pan, z jak poważną sytuacją mamy do czynienia. Ma pan dziesięć minut.

Machnął ręką i ktoś poruszył kamerę. Kadr był teraz znacznie szerszy i ekipa ujrzała toporne, przecięte żółtą lamperią wnętrze niewielkiej sali konferencyjnej. Hosuto wstał, otworzył drzwi i krzyknął coś do człowieka ukrytego przed ich spojrzzeniami. Po chwili do sali wprowadzono młodego człowieka. Wyglądał na przestraszonego. Jego dłonie skute były kajdankami. Hosuto usadził go na krześle naprzeciwko kamery.

- Dziesięć minut - powtórzył i wyszedł.

- Ktoś pan? - zapytał Jordan.

- Doi Kigen - wyjąkał mężczyzna. - A pan to kto?

- Jordan. Śledczy NTSB.

- NTSB?

- Kim pan, do cholery jest, bo tracę cierpliwość?

- Chwila. Jordan? Pan badał wypadek Japan Airlines 123?

- Zgadza się.

- Jestem kontrolerem obszaru Tokio. Kontrolerem lotów...

- Wiem, co to znaczy, panie Kigen. Dlaczego ma pan kajdanki?

- Oni chyba myślą, że ja... Nie wierzą mi.

- Pan nadzorował ten lot?

- Oba loty.

- Jak je pan separował?

- Standardowo. Tysiąc stóp.

- Dlaczego tak mało?

- Mówię panu, że to standardowy układ. Północ, południe. Co

tysiąc stóp.

– I nie popełnił pan błędu?

– Żadnego. Do momentu awarii wszystko było tak, jak powinno.

– Kiedy nastąpiła awaria?

– Nie wiem dokładnie. Po prostu w pewnym momencie straciłem kontakt z załogą. Komputer pokazywał, że samoloty lecą na różnych wysokościach. A potem markery się na siebie nałożyły i znikły. A ja nie miałem kontaktu ani z jednym, ani z drugim. Oni mnie nie słyszeli i ja ich też nie. I chyba... Ktoś mnie zastąpił.

– Co znaczy „ktoś mnie zastąpił”?

– No po prostu, ktoś inny wydał komendy pilotom. Tylko tak mógł doprowadzić...

– Ale mówi pan, że komputer pokazywał różne wysokości.

– Bo pokazywał, ale gdyby lecieli na różnych wysokościach, toby się przecież nie zderzyli, no nie? Sabotaż musiał zablokować moje wskazania.

– Sabotaż?

– To nie była zwykła awaria, proszę pana. Ktoś wprowadził do systemu wirusa, za pomocą którego przejął moje stanowisko, a potem wykasował wszystkie dane. To był zamach terrorystyczny.

– Skąd ta pewność?

– Bo potem, po zderzeniu, terrorysta się do mnie odezwał. Usłyszałem go w moich słuchawkach.

– I co powiedział?

– *Sābanto kara kon'nichiwa.*

– Co?

– Pozdrowienia od Sługi – szepnął Bolton.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy jedenastego marca rozbrzmiały syreny alarmowe, kapitan Funanori był na morzu. Odbierał właśnie ryby, gdy dostał powiadomienie z japońskiego systemu ostrzegania. Przy obu burtach kołysały się trzydziestometrowe lugrotrawlerzy i miało tak pozostać jeszcze przez dwie godziny. A przecież w kolejce na przekazanie połowu czekało jeszcze pięć jednostek. Funanori wiedział, że ich szyprowie mają pecha. Stracą ryby. Ale za to zachowają życie.

Pobożne życzenie.

Kiedy wszyscy już wiedzieli o ostrzeżeniu, praca nabrała tempa. Spieszyli się tak samo jak zawsze, gdy zbliżał się sztorm. Ale przecież tym razem niebo było bezchmurne, a tafla równa jak stół.

Zlekceważyli niebezpieczeństwo. Czterech spośród tych, co czekali na swoją kolej, gdy dowiedziało się, że nie zdadzą połowu na *Minato*, postanowiło samemu odtransportować go na brzeg. Nie po to łowili przez całą dobę, by teraz wyrzucać wszystko za burtę. Funanori nigdy więcej nie zobaczył ani szyprów, ani kogokolwiek z ich załóg. Zginęli na płytkich, przybrzeżnych wodach, gdzie fala tsunami osiągała nawet dwadzieścia metrów.

Zachował spokój. Był Japończykiem. Trzęsienia ziemi nie były dla niego niczym nowym. Przeżył po niejednym tsunami i wiedział, że jeśli już mierzyć się z czymś takim, to tylko na pełnym morzu. Porządna łajba z pewnością to wytrzyma. A *Minato* była najlepszym statkiem przetwórczym w Japonii. Tak uważał. Zwodowano ją zaledwie trzy lata wcześniej. Miała sto dwadzieścia metrów długości i dwadzieścia szerokości. I trzy tysiące trzysta siedemdziesiąt dwie tony nośności latem w wodzie morskiej. Czteropiętrowa nadbudówka wznosiła się tuż nad pokładem dziobówki, a w rufowej części prócz czterech ładowni znajdowała się przetwórcza z urządzeniami wartymi

pięć milionów dolarów.

Funanori służył na *Minato* od początku. I natychmiast zakochał się w tym statku. Jego fantastyczna dzielność morska sprawiała, że chciało się płynąć dalej i dalej. Za horyzont. I dałoby się to zrobić, bo *Minato* była w pełni autonomiczna. Nie wpadała w rezonans, dzięki czemu kiwanie i kołysanie były zupełnie znośne, nie nurzała się ani dziobem, ani rufą, nie myszkowała na fali. Istne ferrari. Tyle że niewiarygodnie śmierdzące rybą.

Uderzenie fali kompletnie ich zaskoczyło. Znajdowali się szesnaście mil morskich od brzegu i pięćdziesiąt cztery od epicentrum trzęsienia. Najwyraźniej ostrzeżenie przyszło z minimalnym wyprzedzeniem. Funanori wiedział, że tsunami potrafi być bardzo szybkie, ale na pełnym morzu zwykle nie sprawia problemów, bo choć fale osiągają po kilkaset kilometrów długości, to ich wysokość nie przekracza na ogół dwudziestu centymetrów.

Dużo później, gdy wydarzeniami w Japonii żył już cały świat, Funanori dowiedział się, że w jego statek uderzyła fala wysokości półtora metra i pędząca z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę.

Dostali w bok i natychmiast złapali trzydziestostopniowy przechył. Lugrotrawler cumujący przy sterburcie, który przyjął pierwsze uderzenie, wybił w burcie *Minato* dziurę długości dziesięciu metrów, a sam przełamał się na dwie części. Ta cięższa, rufowa, natychmiast poszła pod wodę, zabierając na wieczną wachtę dziewięciu marynarzy. Dziób jeszcze pływał. Pływała również *Minato*, gdyż na szczęście rozdarcie znajdowało się nad linią wody. Siedemnastu mężczyzn z lugrotrawlera cumującego do bakburty nie miało szansy zrozumieć, co ich zabiło. Chylący się na bok statek przetwórnia nakrył ich swoim wielkim cielskiem i wcisnął pod siebie. Nigdy już nie wypłynęli na powierzchnię, ale nim poszli na dno, przeorali stępkę *Minato* w kierunku rufy, zrywając ster i śrubę. Funanori zrozumiał, że to koniec. Wszystko trwało siedem sekund.

Tego, co nastąpiło później, nie pamiętał. Obudził się w szpitalu dopiero w połowie kwietnia. Powiedziano mu, że fala poniosła

Minato do miasta Ishinomaki. Poraniona, z pokrzywionymi wręgami i do połowy zerwaną nadbudówką zatrzymała się dopiero w ruinach supermarketu Ito Yokado, prawie pięć kilometrów w głąbi lądu. Korzystając z ciężkich pontonów, odholowano ją potem do stoczni remontowej w Niigata. Tę przeszło pięciusetmilową podróż odbyła jedynie po to, by inżynierowie stwierdzili, że nie ma już dla niej ratunku. Postawiono ją w doku i stała, czekając na transport do jednej ze stoczni złomowych w Bangladeszu.

Funanori nie zamierzał się na to godzić. Gdy wyszedł ze szpitala, natychmiast rozpoczął starania o wyremontowanie *Minato*. Ale armator postawił już na statku krzyżyk i wszelkie próby kapitana spełzły na niczym.

Topielica.

Tak ją nazwali. Powiedzieli mu, że jeśli chce, to może odkupić wrak za cenę złomu. Oczywiście ogołoceny ze wszystkich urządzeń, bo co tylko się dało, wymontowali. Mówili, że po tsunami muszą wyremontować połowę floty i kupić dwanaście nowych jednostek w miejsce tych, których już nie ma. Funanori nie zniechęcił się tym oświadczeniem. Rozpoczął odyseję po urzędach i instytucjach. Zachęcał, prosił, groził. Przekonywał, że tak nowa i nowoczesna jednostka powinna zostać wyremontowana. Że koszt na pewno będzie niższy niż wyprodukowanie następnej, na co pokazywał dowody w postaci wiarygodnych, wykonanych przez wykwalifikowanych inżynierów wyliczeń. Że zniszczenia to w gruncie rzeczy kawałek poszycia i nadbudówka, a urządzenia da się kupić za bezcen lub wymontować z innych wraków. Takich, dla których naprawę nie ma już ratunku.

I wszystko na nic. Nikt nie chciał mu pomóc. Topielica, powtarzali na okrągło. Ale Funanori nadal nie chciał się poddać. Jego zaangażowanie graniczyło z szaleństwem. Wiele osób się od niego odwróciło. Ostatecznie na *Minato* zginęło trzydziestu jego marynarzy, a on zamiast wspomagać rodziny w walce o odszkodowanie, zamierzał przywrócić do życia łajbę, która wysłała ich do diabła.

W lutym dwa tysiące dwunastego roku, po przeszło dziewięciu miesiącach starań, znalazł w końcu inwestora, który zgodził się odkupić i wyremontować wrak. Nowym armatorem jednostki został koreański Uniwersytet Narodowy Czedżu, który poszukiwał niedrogiej jednostki dla swojego Wydziału Oceanografii.

Czedżu. Miasto na wyspie o tej samej nazwie, u stóp wulkanu Halla-San, wysokiego prawie na dwa tysiące metrów i pozostającego w uśpieniu od tysiąc siódmego roku. To właśnie tam, nieco na południe od kampusu, zaledwie siedem kilometrów od krateru, Funanori wynajął i wyremontował starą chatę. Droga do portu zajmowała mu niecałe pół godziny. Był szczęśliwy.

Remont przeprowadzono w stoczni na wyspie Geoje. Trwał jedenaście miesięcy. Byłoby szybciej, ale nowy armator uznał, że skoro statek ma służyć celom badawczym, a z powodu powyginanych wręg i tak wymaga wymiany fragmentu kadłuba, warto go nieco przedłużyć. Dzięki temu jednostka zyskała dwadzieścia metrów długości.

Gdy w końcu Funanori ubrany w nieco znoszony garnitur, ten sam, który towarzyszył mu w całej tej batalii o *Minato*, zjawił się w stoczni na uroczystym wydokowaniu jednostki, nie potrafił powstrzymać łez. Statek puszczono na wodę bez nazwy. Poprzednia została wykreślona z rejestrów. Funanoriego poproszono, by wybrał inną. Wybrał *Dekishi*. Topielica. Kolejne trzy miesiące to doposażanie w urządzenia niezbędne do prowadzenia badań na oceanie. W swój pierwszy rejs *Dekishi* wypłynęła dziewiątego kwietnia dwa tysiące trzynastego roku. Dla jej kapitana był to pierwszy raz na morzu od czasu tsunami.

Zebranie informacji i dotarcie do Funanoriego zajęło Jordanowi nieco ponad trzydzieści godzin. Odwiedził go w jego domu na Czedżu. Kapitan nabił sobie fajkę i zaproponował odrobinę sake. Jordan nie odmówił.

– Może być dość nieprzyjemnie – powiedział bez ogródek śledczy. – Japoński rząd zakomunikował nam wprost, że nie życzy sobie naszej obecności. Zamierzam zadziałać z pozycji siły. Nie wierzę, że odważą się wywołać skandal dyplomatyczny. Nie

w sytuacji, kiedy Korea Północna ma nowego wodza, który najwyraźniej jest jeszcze bardziej szalony niż jego ojciec. Ale z pewnością zrobią wszystko, by nam uprzykrzyć pracę.

– Mówi pan, panie Jordan, że zamierza zagrać na nosie japońskiemu rządowi, dobrze zrozumiałem?

– Zamierzam zrobić to, co do mnie należy. Ale w efekcie zapewne będzie tak, jak pan mówi.

Funanori się uśmiechnął.

– Świetnie. Kiedy wyruszamy?

ROZDZIAŁ 8

Profesor Baldur Eysturvind spojrział nerwowo na zegarek. Do końca zajęć pozostawał kwadrans. Ale on nie potrafił myśleć o niczym innym, jak o tym esemesie.

– Moi drodzy – powiedział. – Mam dla was niespodziankę. Dziś skończymy kwadrans wcześniej. Czyli właśnie teraz.

Audytorium zahuczało z radości. Zrobił się rozgardiasz. Studenci zbierali swoje rzeczy i krzyczeli do siebie, jakby normalna mowa była w dzisiejszych czasach zakazana.

– Hej! – krzyknął Eysturvind. – Ciszej. Inne grupy wciąż mają zajęcia.

Nie umilkli zupełnie, ale krzyki zmieniły się w znośny szum. Długo to zresztą nie trwało. Aula opustoszała w ciągu trzech minut. Jak zwykle.

Co ja tu robię? – pomyślał profesor. – Uczę czegoś, czego nie chcę uczyć, grupki ludzi, którzy mają to głęboko w dupie. A potem wróciła do niego dyskusja, którą już tyle razy przeprowadzał sam ze sobą. Był rozsądnym człowiekiem. Wiedział, że jakoś po prostu trzeba żyć. Nie chodziło o pieniądze. Tych miał bardzo dużo. Po prostu każdy jest w życiu kimś. Każdy coś robi na co dzień. On wybrał to, co było najłatwiejsze.

Gdy w końcu wyszli, wyjął komórkę i raz jeszcze wczytał się w treść wiadomości.

Wypami Owczymi, z których pochodził, mało kto się interesował. Prócz tych kilku dni w roku, kiedy Green Peace, WWF i cała masa innych dzieciaków zjeżdżają na archipelag, by głośno protestować przeciwko czemuś, czego nie znają i nie rozumieją. Grindadráp. Słynne na cały świat polowanie na grindwale. Taka tradycja. Nikt nie wie, dlaczego grindwale wpływają do zatok Wysp Owczych. Nikt też nigdy nie wie, kiedy dokładnie przyplyną. Ale gdy już to robią, Farerzy zwołują się zawołaniem: Grindaboð! Oznacza ono, że należy wszystko rzucić

i ruszać na wybrzeże. To coś więcej, niż tylko zwykłe wezwanie do działania. Raczej symbol jedności, przyjaźni i zaufania. Nawet ci, co się na co dzień nie znają, tworzą jedną wielką wspólnotę.

„Grindaboð”.

Tak brzmiała wiadomość.

Profesor wybrał numer.

– Witaj, Baldur – powiedział mężczyzna o wschodnioeuropejskim akcencie.

– Dawno już nie dostałem tego wezwania.

– Tak się ułożyło.

– Wiem. Jak sobie radzisz?

– Dobrze. Dziękuję.

– Niech zgaśnie. Jesteś w drodze do Japonii.

– Już przyleciałem. Przez Seul. Mają tu jakieś problemy techniczne, których do końca nie rozumiem.

– I chcesz, bym to sprawdził?

– Właśnie.

– Coś jeszcze?

– Tak.

– Co?

– Właściwie to sam jeszcze nie wiem.

– Rozumiem. Przygotuję wszystko.

– Dziękuję, Baldur.

– To ja dziękuję.

– Za co?

– Och, nieważne.

Profesor uśmiechnął się i rozłączył. Następnie wybrał inny numer. Oczekał kilka chwil, ale nikt nie odbierał.

No trudno – pomyślał Eysturvind i szybko napisał wiadomość.

„Rezygnuję”.

Rektor Collins będzie niepokieszony. Ale to już jego problem.

ROZDZIAŁ 9

Ostatnie metry do swojego gabinetu Doug Skinner pokonał niemal biegiem. Niemal, bo miał świadomość, że jego ludzie wciąż jeszcze się na niego gapią. Pewnie znów był czerwony na gębie, jak zwykle gdy się zdenerwuje.

W końcu szarpnął klamkę. Nieco zbyt nerwowo, więc znowu odpadła. Na miłość boską, jeszcze tego nie naprawili? Upadła na ziemię z głośnym brzdęknięciem. Ci, co jeszcze starali się udawać, że zajmują się swoimi sprawami, teraz odwrócili się w jego kierunku, wymieniając po cichu komentarze. Skinner był pewien, że uszczypliwe. Poczzerwieniał jeszcze bardziej.

Podniósł z ziemi klamkę, umocował ją jako tako na trzpieniu i popchnął drzwi, a gdy był już po drugiej stronie, znów za mocno je odepchnął. Drzwi trzasnęły, a klamka ponownie upadła na podłogę.

– Kurwa! – wrzasnął Skinner, zupełnie jakby cienka dyktowa ściana mogła mu zapewnić jakąkolwiek prywatność. Niemal słyszał, jak gadają. Te wszystkie „tsss tsss tsss” i „psz psz psz”. Obgadują go. Drwią z niego. Od dawna wiedział, że nie ma w Radzie zwolenników. Że jak tylko nadarzy się okazja, to go odsuną. Jego miejsce zajmie Jordan. To pewne. Ludzie go lubią. Kongres szanuje. Choć przecież jest od Skinnera dziesięć lat starszy. Na emeryturę, dupku! Ryby łowić w Vermoncie, a nie pchać się do zarządu.

Skinner wiedział, że ma przejebane. Mógłby pewnie utrzymać stanowisko, gdyby Jordan coś spieprzył. Ale jeśli Jordan coś spieprzy, to i tak będzie na Skinnera. Ale jeśli mu się uda, jeśli dowie się, dlaczego dwa najnowocześniejsze i największe samoloty świata zderzyły się w powietrzu, no, drodzy państwo, wtedy to już na pewno dadzą mu ten zasrany awans. A roli Skinnera nikt nie doceni.

Pieprzyć to. I pieprzyć całą NTSB. A nade wszystko pieprzyć

Jordana!

Chwycił słuchawkę i wcisnął klawisz z napisem „Jenny”.

- Już łączę - rzuciła dziewczyna.

- Co?

- Na pewno chce pan porozmawiać z panem Jordanem. Jak po każdej konferencji.

- Czy ja ci płacę za mędrkowanie?

- Więc co mogę dla pana zrobić, szefie?

- Połącz mnie z tym pieprzonym Jordanem i ani słowa więcej! I herbatę mi zrób.

- Łączę - rzekła beznamiętnym tonem. Chwilę trwało, nim wybrała numer. Potem ze słuchawki dobieły się piski i skrzypnięcia, a w końcu rozległ się głos, którego nie dało się pomylić z jakimkolwiek innym.

- Czego?

- Jordan, kurwa!

- Halo!

- Co tam się dzieje? Dlaczego tak źle cię słyszę?

- A czego się spodziewałeś, Skinner? To telefon satelitarny. Jestem na środku cholernego morza!

Skinner westchnął. Wziął głęboki oddech. Jeszcze nie zaczął mówić, a już czuł, że przegrywa to starcie.

- Czy możesz mi powiedzieć, co tam się dzieje? - wycedził w końcu, nieudolnie siląc się na spokój.

- Sprecyzuj pytanie.

- Miałem właśnie konferencję prasową. Wszyscy tu powariowali. Twierdzą, że ukradłeś statek.

- Nie ukradłem, tylko wynająłem.

- Za czyje pieniądze?

- Za twoje oczywiście. Służbowo.

- Nie mogłeś mnie uprzedzić? To może bym się nie skompromitował na konferencji prasowej. Czy ja naprawdę muszę o takich rzeczach dowiadywać się od prasy? O co chodzi z tym statkiem?

- Japończycy coś kombinują.

- Co?

– Nie wiem. Ale się dowiem. Czytasz maile? Wszystko ci napisałem.

– Ja nie mam maila, Jordan.

– To sobie w końcu załóż. Wysłałem do Jenny.

– Mam do ciebie tylko jedną prośbę. Nie wywołaj zasranej wojny, dobra?

– Wrzuc na luz, Skinner. Robimy, co trzeba.

– Co mam mówić dziennikarzom?

– Po co mnie o to pytasz? Zawsze byłeś dobry we wciskaniu kitu. Prace trwają, ekipa działa, potrzeba czasu, bla, bla, bla. Współpraca z Japończykami? Bardzo dobra. Że niby odsunęli nas od śledztwa? Plotki. I takie tam. Sam wiesz najlepiej.

– Jordan...

– Halo, halo, Skinner. Słabo cię słyszę. Hal...

Połączenie zostało przerwane. Skinner był pewien, że Jordan zrobił to specjalnie. Nawet mu się nie dziwił. On był tam, w samym środku tego wszystkiego. W swoim żywiole. Nie to co Skinner, biedny, nieszczęśliwy przekładacz papierów. Może ta emerytura nie jest ostatecznie taka zła?

Znów podniósł słuchawkę i wcisnął przycisk z napisem „Jenny”.

– Już idę – rzuciła, nim zdążył cokolwiek powiedzieć. – Woda się musiała zagotować.

– Czy dostałaś jakiegoś maila od Jordana?

– Oczywiście. Przedwczoraj. Zrobiłam wydruki i położyłam panu na biurku.

Rozsunął stertę papierów. No tak. Niebieska teczka z napisem „korespondencja”. Teraz sobie o niej przypomniał. Nawet do niej nie zajrzał.

– Nieważne – rzekł zrezygnowany. – Przynies mi tę herbatę.

ROZDZIAŁ 10

Pauline ziewnęła i przetarła zmęczone oczy. Czowała się już nieco lepiej. Pierwszy dzień na morzu naprawdę wiele ją kosztował, ale postanowiła robić dobrą minę do złej gry. Ostatecznie starzy marynarze powtarzają, że ten, kto za pierwszym razem nie przeżyje choroby morskiej, to ani chybi ma coś nie tak z błędnikiem. I nigdy nie wiadomo, kiedy mu coś odbije.

Zacisnęła więc zęby i walczyła. Zauważyła nawet, że jej postawa imponuje chłopakom, a to już coś. Może jeszcze nie traktowali jej jak swojego człowieka, ale już nie jak obcego. I dobrze. Wszystko szło po jej myśli. Miała nadzieję, że jeśli będzie dobra, zdobędzie ich zaufanie. I tak właśnie się działo. Powolutku do przodu.

Znowu ziewnęła. Ostatnie siedem godzin spędziła w bazie danych FBI. Boże, pobłogosław Internet satelitarny. Zadanie, które postawił przed nią Jordan, kompletnie ją wykończyło, ale efekt był bardziej niż zadowalający.

Usłyszała pukanie.

– Kto tam?

– Gross – zadudniło zza drzwi. – Jak się czujesz? Mogę wejść czy jeszcze rzygasz?

– Tylko jak usłyszę naprawdę kiepski żart.

– To mnie nic nie grozi – rzekł buddysta, wchodząc do niewielkiej kajuty. – W młodości uprawiałem stand-up. Miałem nawet pewne sukcesy.

– Z pewnością. – Puściła do niego oko.

– No co? Hej, przyjemnie tu!

Faktycznie, było przyjemnie. Gdy Pauline po raz pierwszy zobaczyła *Dekishi*, pomyślała, że warto by się przeżegnać przed wejściem na pokład. Oczywiście nie zrobiła tego. Wiara w Boga za bardzo kojarzyła jej się z ojcem, więc na wszelki wypadek zrezygnowała z niej kilka lat temu. W każdym razie statek wyglądał tak sobie. Tak go określił Berry i poczuła się, jakby

czytał jej w myślach. Nie chodziło o to, że był stary i zapuszczony. Co to, to nie. Jordan mówił, że jest prawie nowy. I że dopiero co przeszedł remont generalny. Pauline sprawdziła historię tej łajby na marinetraffic.com. Remont generalny, dobre sobie. Raczej odbudowa. Dlatego nie czuła się zbyt pewnie, gdy wchodziła na pokład po mokrym trapie. Miała wrażenie, że jednostka jest pochylona, skrzypi, jęczy i w ogóle zaraz się rozpadnie. Naprawdę potężna jest siła ludzkiego umysłu.

Tymczasem w środku *Dekishi* okazała się nowoczesnym i wygodnym statkiem. Dość dużym, by pomieścić pięćdziesiąt osób i zapewnić im komfortowe warunki. Ona dostała nawet prywatną kajutę. I to z łazienką. Była jedyną kobietą na pokładzie i wszyscy uznali, że to najlepsze rozwiązanie. Pauline nie wnikała, czy chcą być mili, pragmatyczni, czy po prostu nikt nie zamierza z nią mieszkać. Tak, tak. Znała te wszystkie durne przesady o babie na pokładzie, która przynosi pecha.

– Skończyłaś? – zapytał Gross.

– Co?

– Bujać w obłokach. Bo widzę, że gdzieś cię wyniosło.

– A tak. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko się pospiesz. Wszyscy czekają!

– Co? – Spojrzała na zegarek. – Cholera jasna!

Szybko zebrała notatki, chwyciła pod pachę macbooka i była gotowa do drogi.

– Ruchy. Jordan nie lubi czekać – rzucił do niej i wybiegł z kajuty.

Nic nie odpowiedziała, tylko poszła za nim.

Jej kajuta znajdowała się w skrajniku dziobowym. To było dość nietypowe jak na jednostkę o tym rozmiarze, ale Pauline od razu zakochała się w tym miejscu. Inne kajuty były w nadbudówce, dobre dwadzieścia metrów dalej. I trzy pokłady wyżej. Skrajnik pozostawał niemal kompletnie odcięty od reszty statku, miała więc święty spokój. By dostać się na mostek, a raczej do położonej pokład niżej sali konferencyjnej, musieli przebiec długim tunelem pomiędzy dwoma dziobowymi zbiornikami balastowymi. Na końcu tunelu znajdowały się ciężkie,

wodoodporne drzwi. Wbiegli przez nie na klatkę schodową najniższego pokładu. Pachniało tam rybą. To znaczy na całym statku pachniało rybą, a raczej śmierdziało, bo nie ma takiego remontu, który zdołałby uwolnić byłą przetwórnnię rybną od tego piętna, tym razem jednak Pauline z przyjemnością wciągała zapach w nozdrza. Dobiegał z kuchni, gdzie szykowano właśnie posiłek. W jednej chwili zapomniała, że wymiotowała nie dalej niż godzinę temu.

Winda jeździła dopiero od wysokości głównego pokładu, musieli więc wejść trzy piętra. Kabina pojawiła się szybko, a potem równie szybko zawiozła ich na czwarty poziom.

– No wreszcie! – krzyknął swoim zwyczajem Jordan, gdy tylko drzwi windy się rozsunęły. Wszyscy siedzieli już przy długim stole ze szklanym blatem.

– Przepraszam. Straciłam poczucie czasu.

– Przepraszam. Straciłam poczucie czasu – przedrzeźniał ją szef.
– Gotowa?

– Tak jest!

– Tyle dobrego. Siadaj i podłączaj się do rzutnika.

– Nie mam obrazków. Będę tylko mówić.

– Jak chcesz. Dobra, słuchajcie. Halo!

Zamilkli. Poprawili się w swych niewygodnych krzesłach i jak jeden mąż spojrzeli na Jordana.

– Jak wspomniałem wcześniej – powiedział Jordan – w dupie mamy Sługę. Nie nasza broszka. My mamy wydobyć czarne skrzynki i tyle części, ile damy radę. A najpierw to wszystko znaleźć. Resztą zajmą się Japończycy. Ale! – Zrobił krótką przerwę, by dodać swojej wypowiedzi dramatyzmu. Jordan zawsze był na scenie. – Dobrze mimo wszystko wiedzieć coś o naszym ulubionym skurwysynu z listy najbardziej poszukiwanych. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy takie informacje się przydadzą. Dlatego poprosiłem wczoraj Halfield o przygotowanie monografii tego gagatka. Której teraz wysłuchamy. Proszę, Halfield.

Kilku niemrawo zaklaskało.

– Co jest, kurwa? – warknął Jordan. – W Amwayu pracujecie?

Trochę powagi.

Pauline otworzyła komputer i rozłożyła notatki. Chwilę jej to zajęło. Miała lekką treść, zupełnie jak ostatnio, kiedy jeszcze w Japonii wygłaszała raport o podniebnych zderzeniach. Jordan bardzo dobrze go ocenił.

- No więc... - zaczęła i natychmiast przeklęła się w myślach. *No więc? Serio?* - Nie wiadomo, kim jest Sługa. Nie znamy imienia ani nazwiska. Nie mamy pojęcia, jakiej jest narodowości, ale w licznych odezwach mówi o sobie jako o mudzahedinie, co sugeruje pochodzenie arabskie, perskie albo...

- Albo marsjańskie - warknął Jordan. - Na Boga, Halfield. Konkrety.

- FBI podejrzewa, że to Afgańczyk, a w każdym razie że przebywa na terytorium Afganistanu. Szuka go tam specjalny oddział powołany z żołnierzy wszystkich obecnych w kraju kontyngentów. Jak dotąd bezskutecznie.

- Dawaj jego CV - ponaglił ją szef, a ona przerzuciła kilka kartek i w końcu znalazła tę właściwą. Nie zdążyła przepisać wszystkiego do komputera. Za dużo poświęciła researchowi. Zresztą zawsze wolała notować długopisem.

- Pierwsza robota w dwa tysiące piątym roku. Zamach na samolot American Airlines, lot 44 z JFK do Paryża. Sto szesnaście ofiar, w tym ponad stu obywateli USA. W tym samym roku jeszcze dwa zamachy. W lipcu na lotnisku w Atlancie, szesnaście ofiar, i w październiku na lotnisku w Minneapolis, dwadzieścia dwie ofiary.

Zawahała się na moment.

- Słuchajcie, ja wiem, że wszyscy to znamy. Każdy Amerykanin...

- Halfield, poprosiłem cię o podsumowanie, a nie pracę naukową.

- Tak, szefie. No więc zrobił się szum i Sługa został uznany za potencjalnie niebezpiecznego. Ale potem nadszedł dwa tysiące szósty i wszystko się zmieniło.

- *Thomas Woodrow Wilson* - rzucił Gross, a Pauline w końcu odetchnęła. Słuchali jej. Wbrew jej obawom od początku

traktowali ją przyjaźnie. Gdy jeszcze w Pusan wygłaszała referat o podniebnych zderzeniach, rozgorzała ciekawa dyskusja. Każdy miał coś do dodania, kłócili się ze sobą jak najęci, bo każdy miał swoje zdanie. Ze sobą. Ale nie z nią. Gdy mówiła, kiwali głowami. Czuła, że jej ufają. I to dodawało jej skrzydeł. Dlatego teraz, gdy ponownie udowodniła sobie, że potrafi ich zainteresować, nabrała wiatru w żagle.

– Właśnie – powiedziała głośno. – Lotniskowiec atomowy typu Nimitz. Poszedł na dno w wyniku wybuchu dziesięciu potężnych ładunków umiejscowionych gdzieś na śródkręciu. Ponad dziewięćset ofiar. Sami żołnierze. To wszystko zmieniło. Na dobrą sprawę wtedy zaczęła się prawdziwa wojna. Kongres przeznaczył grubą forszę, by ktoś w końcu rozwiązał ten problem.

– Zawsze się zastanawiałem, jakim cudem Sługa dostał się na okręt? – rzucił Depree.

– Nie wiadomo. To, co odkryto, zaraz utajniono. Prawdopodobnie miał swoich ludzi w załodze. I chyba to właśnie spowodowało, że rząd tak mocno się przestraszył. Waszyngton nie bał się tak bardzo od czasu WTC. A to nie był koniec. Później doszło do trzech zamachów na pociągi Amtraka. Silver Meteor z Nowego Jorku do Miami wysadzony w okolicach Jacksonville w stanie Floryda. Ponad sto ofiar. Wolverine z Chicago do Pontiac w stanie Michigan, sześćdziesiąt dwie ofiary po wybuchu niedaleko Kalamazoo. I najbardziej bezczelny ze wszystkich ataków, Acela Express z Waszyngtonu do Bostonu. Sto jedenaście ofiar trzy minuty po wyruszeniu w trasę. W samym sercu stolicy.

– To na pewno on?

– Przyznał się do każdego zamachu. Wyobraźcie sobie, przeprowadził trzy ataki terrorystyczne w ciągu zaledwie siedmiu dni. W całym kraju zapanowała psychoza strachu. Wtedy też pojawił się pierwszy manifest. Nie będę go streszczać, bo jest wszystkim znany. W każdym razie do tego momentu było tylko „w imię Allaha”. Tym razem Sługa zadzwonił do CNN i nagadał tych samych bzdur, którymi karmią nas wszyscy islamscy terroryści. Że Ameryka to wielki szatan, należy ją zniszczyć i że on nie ustąpi, nawet jeśli Amerykanie zupełnie wycofają się

z Bliskiego Wschodu. Ktoś ogarnięty w CNN nagrał tę rozmowę. Potem umieścili ją w swoim serwisie internetowym, gdzie wszyscy ją usłyszeliśmy. Oczywiście do akcji wkroczyły FBI i CIA. Namierzali rozmowę. Połączenie nawiązano z Kabulu i głównie stąd podejrzenia o afgańską narodowość Sługi. Kiedy grupa operacyjna dotarła na miejsce, zastała tylko zgłiszczca. Budynek spalono. Znajdował się w dzielnicy Dar ul-Aman. Niedaleko słynnego pałacu...

– Brawo, Halfield. Świetna znajomość topografii. Dalej.

– Nie. To ważne, szefie.

– Bo?

– Bo w Dar ul-Aman mieszka mniejszość szyicka. Nie jest łatwo być szyitą w sunnickim Afganistanie. Chcę powiedzieć, że oni tam się krwawo zwalczają, więc szyici tworzą lokalne społeczności, zwykle pod miastem...

– Na Boga, Halfield, do rzeczy.

– Jordan, zażyj meliskę – włączył się Berry. – Nie rozumiesz, co ona chce powiedzieć? Nawet ja, prosty meteorolog, rozumiem.

– Ja też – wtrącił Depree. – Pauline sugeruje, że być może mamy nowego gracza na boisku. Al-Kaida i w ogóle Talibowie to przecież sunnici. To by znaczyło...

– To tylko domysły – przerwała mu szybko Pauline. – Ale ważne, bo Al-Kaida przyznała się do każdego zamachu Sługi, a on sam z kolei nigdy nic o Al-Kaidzie nie powiedział.

– Dobra – rzekł Jordan, machając ręką. Pauline uznała to za swój triumf. – Co było dalej?

– Parę tygodni po akcji w Afganistanie wybuchła amerykańska ambasada w Abudży, w Nigerii. Dziewiętnaście ofiar, w tym wiceambasador Collins. I to był koniec zabawy w dwa tysiące szóstym roku. A od stycznia dwa tysiące siódmego Kongres do sprawy Sługi wyznaczył swojego człowieka, kongresmana Harolda Tyne'a, który zabrał się na poważnie do roboty. Dlatego w całym dwa tysiące siódmym roku wybuchły tylko dwie bomby i zginęło siedem osób. Nie ma o czym mówić. Natomiast rok później było znacznie gorzej. Od lutego do lipca wybuchły trzy bomby. Jedna w amerykańskiej szkole w Rijadzie, w Arabii

Saudyjskiej, zginęło dwanaścioro dzieci i siedemioro dorosłych. Kolejna bomba eksplodowała na tankowcu *Solution*, zginęła jedna osoba. Ale wybrzeże Ziemi Baffina zalało sto czterdzieści milionów litrów suchej ropy naftowej, czyli więcej niż Exxon *Valdez* wylał do Zatoki Księcia Williama. Kanadyjczycy o mało nie wypowiedzieli nam wojny. Serio, strasznie się wściekli. No i British Airways 212 z Bostonu do Londynu. Tym razem bez ofiar, bo pilot zdołał wylądować w irlandzkim Shannon. A potem Słudze powinęła się noga. Ekipa Tyne'a udaremniła zamach na czarter, którym reprezentanci USA lecieli na igrzyska do Pekinu.

– Kłamstwo! – wrzasnął Bolton i naraz wszyscy zamilkli. Słysząc było szum klimatyzacji i przytłumione dudnienie fali rozbijającej się o kadłub statku. Bolton zrozumiał w końcu, że wszyscy na niego patrzą.

– No bo skąd takie rewelacje? – powiedział cicho. – Znaczy... Słyszeliście coś o tym? Ja nie słyszałem. Wszyscy powinniśmy wiedzieć...

– Wybacz mu, Pauline – rzekł w końcu Gross. – Żona Boltona jest kulomiotką.

– Dyskobolką – poprawił go specjalista od rejestratorów.

– A jaka to różnica?

– Jakieś pięćdziesiąt kilo, Gross.

– Hej, jesteś mężem tej Nelly Bolton?! – krzyknęła Pauline. – Tej, co zdobyła srebro rok temu w Londynie?

– Skąd masz te informacje, Pauline? – zapytał Bolton. Był już spokojny. Przynajmniej na pozór. Ale przecież wszyscy widzieli, jak podskakuje mu lewa noga.

– Ze sprawozdania grupy Tyne'a. Tej informacji faktycznie nie upubliczniono, ale nie jest tajna.

– Ze sprawozdania grupy Tyne'a? – zdziwił się Gross. – Skąd...

– Skąd miała uprawnienia? – przerwał mu Jordan. – Nie miała. Ale ja mam. Więc załatwiłem jej te dokumenty. Koniec tematu. Co było dalej, Halfield?

– Sługa się wściekł. W przesłanym filmie poinformował, że w zamian za to zamieni w piekło życie wielu Amerykanów. I dotrzymał słowa. Do końca roku wybuchło jeszcze jedenaście

bomb. Dwadzieścia jeden ofiar i spore straty materialne, ale nic bardzo poważnego. W dwa tysiące dziewiątym roku miały miejsce dwie duże akcje. Zamach na *Pride of Atlantic*. Duży norweski wycieczkowiec pływający na Hawaje. Statek nie zatonął, ale zginęły trzydzieści dwie osoby. A potem wybuch na lotnisku niedaleko Monrovii w Liberii. Prawie pięćdziesiąt ofiar. Dane nie są jednoznaczne. A potem zupełnie nagle zamachy się skończyły. Chodziły plotki, że Sługa nie żyje, ale Tyne stanowczo je dementował. Jego zdaniem ukrył się w Afganistanie, bo zacieśniali wokół niego pierścien i nie był już w stanie wodzić ich za nos. No ale wiadomo, Tyne to polityk. Kto wie, jaki ma w tym interes.

– Trochę to się nie trzyma kupy – zauważył Logan. – Sługa dużo podróżuje. Również po Stanach. Dość nietypowe, jak na ściganego przez połowę amerykańskich służb.

– Właśnie – zawtórował mu Berry. – Wysadza Amtraka w Waszyngtonie, a dzień później dzwoni do CNN z Kabulu?

– Pewnie nie działa sam, i tyle – podsumował Jordan. – Dobra. To wszystko, Halfield?

– Wszystko.

– W takim razie spisz to i wyślij do każdego. Wykujcie to sobie. A teraz do roboty.

Zaszurały krzesła. Pauline poukładała papiery, położyła je na wierzchu laptopa i wstała z miejsca.

– Ty zostań – zatrzymał ją Jordan. Podszedł do okna i wyciągnął papierosa.

– Tu nie wolno palić, szefie – zwróciła mu uwagę, gdy Depree zamknął drzwi od zewnątrz i zostali w pomieszczeniu sami. Ale Jordan nie zamierzał palić. Przerzucał jedynie papierosa z ręki do ręki.

– Zobacz – powiedział. Pauline podeszła do niego i wyjrzała przez okno.

– Wciąż tu są.

– Nie odpuszczaj. Poczekają, aż coś znajdziemy.

– I co wtedy?

– Bóg jeden wie, Halfield.

Japoński niszczyciel towarzyszył im od momentu, kiedy znaleźli się na japońskich wodach przybrzeżnych. Potem płynął za nimi przez cieśninę Kanmon i dalej, Morzem Wewnętrznym, kanałem Bungo, aż na pełne morze. Teraz bujał się o niecały kilometr od nich.

- Trochę mnie to niepokoi, szefie. To chyba niszczyciel rakietowy typu Kongo.

- Nieźle - pochwalił Jordan. - Ale się mylisz. To starszy model. Typ Hatakaze. Mimo to nadal piekielnie niebezpieczny. Chcą nas zastraszyć.

- Jeśli o mnie chodzi, to skutecznie.

- Myślisz, że to on, Halfield? Że to Sługa?

- Pyta mnie pan o zdanie?

- Tak, pytam cię o zdanie. Jesteś moim doradcą czy nie?

- Asystentką...

- Więc?

- Myślę, że nie.

- Dlaczego?

- Bo to zbyt wyrafinowane, jak na Sługę. Dotąd wybierał raczej prostackie rozwiązania. Bomba i cześć. Żadnych porwań, żadnego cyberterroryzmu. Nic z tych rzeczy. A teraz miałyby zhakować japońską kontrolę lotów, podszywać się pod kontrolera? Nie, raczej nie.

- Jaka się z ciebie znawczyni zrobiła, Halfield.

- Zmusił mnie pan do tego.

- Mów mi Jordan, Halfield. Wszyscy tak do mnie mówią. I wynocha do swoich obowiązków. Wyślij gotowy raport, jak tylko skończysz.

- Tak jest.

Ruszyła w kierunku drzwi.

- Halfield.

- Tak, szefie?

- Dobra robota.

ROZDZIAŁ 11

Gdy maszynista zatrzymał skład oznaczonej literą E linii Ōedo na stacji Tsukishima, inspektor Ryōko Murasaki westchnęła. Nieco zbyt głośno i nieco zbyt teatralnie.

- No co? – zapytał Hajime.
- Dziesięć centymetrów za daleko.
- I co z tego?
- Ścianki bezpieczeństwa, to z tego.
- Nie bądź taka dokładna, dobra? Przecież nie utrudnią wejścia.

Najwyżej trochę.

- Starasz się o awans, więc staraj się bardziej.
- Mam cofnąć?
- I złapać minutę spóźnienia?

Hajime zaklął pod nosem. Tu już trzeci raz, jak Ryōko nadzorowała jego pracę. Nienawidził tego. Wolał, jak robili to faceci. Zresztą ktokolwiek, byle nie ona.

- No? Ruszysz w końcu? Czy będziemy tu stać do jutra?

Nie odezwał się, a ona zauważyła, że popsuł mu się humor. Uśmiechnęła się w duchu. Uwielbiała swoją robotę. Zapisała coś w notatniku.

- Co tam piszesz? – zapytał zaniepokojony, popychając nastawnik do pozycji „jazda pociągowa”.

- Raportuję spóźnienia. Trzydzieści sekund.

Jęknął i dodał gazu.

- Nie za szybko – syknęła.
- Czego ty właściwie chcesz? – nie wytrzymał.
- Próbujesz mnie przekupić?
- Nie. Po prostu...
- Hm. Właściwie jest coś.
- Co?

- To. – Przynęła się i lewą ręką chwyciła go za krocze.

- Przestań – pisnął, a ona odskoczyła i wybuchnęła śmiechem.

Też się zaśmiał. Przysunęła się na powrót, tym razem jednak tylko oparła głowę na jego ramieniu.

– Jutro przyjeżdża mama. I chce w końcu poznać mojego narzeczonego.

– Jak to? Nic nie wspominałaś.

– Bo znów byś się wykręcił.

– Lepiej się odsuń. Wjeżdżamy na stację.

– Jestem inspektorem. Mogę przebywać w kabinie.

– Ale nie możesz się przytulać do maszynisty.

Miał rację. Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że od roku chodzi z maszynistą, oboje w najlepszym wypadku straciliby pracę. Gdyby ktoś uznał, że jej pozytywne raporty dotyczące Hajimego wynikały z pobudek osobistych, oboje trafiliby do więzienia. A one wynikały z takich pobudek. Hajime był kiepskim maszynistą.

Dlatego się odsunęła, a on wprowadził skład na stację Kachidoki. Tym razem trafił idealnie.

– Nieźle – pochwaliła. – Ale nadal trzydzieści sekund spóźnienia.

Po kilku chwilach Hajime zamknął drzwi i ruszył. Powoli. Wkrótce trasa odchyli się ostro w prawo i nieco w dół, by przemknąć pod rzeką Sumida i targowiskiem z owocami morza.

Gdy tylko wagon przechylił się w łuku, Ryōko zachichotała i nim Hajime się zorientował, zrzuciła bluzeczkę i wskoczyła mu na kolana. Pod bluzeczką nic nie miała. Najwyraźniej planowała to od rana.

– Ryōko – jęknął.

– Cicho! Mamy tylko czterdzieści sekund – rzuciła i wpiła mu się w usta.

Wariatka, normalnie wariatka – pomyślał. Ale nic z tym nie zrobił. Nie potrafił. Uśmiechnął się, gdy oderwała usta od jego ust, a potem bezceremonialnie szarpnęła go za włosy, umieszczając jego nos dokładnie między swoimi piersiami. Potrząsnęła nimi jak podrzędna gwiaźdzka porno. Piersi były małe, ale były. Jemu to w pełni wystarczało, a ona zdawała sobie z tego sprawę.

– Naprawdę nigdy nie myślałeś, żeby to tu zrobić? – zapytała.

Odpowiedział jej na to pytanie dopiero po wielu latach. Po całej tej aferze, po przesłuchaniach, po tym, jak ją upokorzono, gdy składająca się z czterdziestu mężczyzn komisja przez sześć godzin oglądała nagrania z jej cyckami w roli głównej, rozstali się na niemal dekadę, by później spotkać się przypadkiem w jakimś pubie i pozwolić wspomnieniom odbudować to, co między nimi pękło.

Teraz jednak Hajime gwałtownie szarpnął hamulec zespolony, a potem jeszcze dodatkowy i awaryjny. Wszystko w ciągu jednej sekundy. Ryōko poleciała na pulpit sterowania, a głową uderzyła o przednią szybę. Na szczęście pociąg nie jechał szybko.

– Co... – zaczęła, gdy się zatrzymali, a jej minął pierwszy szok. – Dlaczego to zrobiłeś?

Patrzył na nią przerażony. Widział krew lecącą jej z rozciętej głowy. Powinien zapytać, czy jest cała. Czy potrzebuje pomocy. Ale nie zapytał.

– Tam... Jest coś. Chyba. Na torach. Widziałem.

– Uspokój się! – krzyknęła. – Jeszcze raz.

– Widziałem coś na torach. To chyba człowiek.

– Cholera, przejechałeś go?

– Nie. Chyba. Wyhamowałem. Cholera. Mamy przesrane. Na pewno sprawdzą nagrania z kamer. Zobaczą, co tu robiliśmy.

– Może nie. Nie wiem. Zobaczymy. Czekaj tu.

Otworzyła drzwi zamontowane w czole wagonu i wyjrzała na zewnątrz.

– Kurwa, Hajime.

– Przejechałem go?

– Nie. Ale nie żyje. Ma głowę wykręconą o sto osiemdziesiąt stopni.

– Musiał wpaść pod poprzedni.

– To byłby zmasakrowany. A nie jest. Po prostu ma skręcony kark. Ktoś go chyba zabił.

– Wracaj do środka.

– Czekaj.

– Ryōko, poprzedni pociąg jechał tędy trzy minuty temu. Jeśli ktoś zabił tego typu, to morderca ciągle tam jest.

- I co z tego? Na pewno się ukrywa. Opuść pantograf.
- Co?
- Opuść pantograf. Nie chcę, żeby mnie przez przypadek kopnęło.
- Zrobił, jak kazała. Zawsze robił, jak kazała. Wyskoczyła na zewnątrz. Zaskrzeczał głośnik.
- Trzydzieści jeden dwanaście, dlaczego stoisz w tunelu? - zapytał dyspozytor.
- Mam wypadek - odpowiedział szybko. - Wyślijcie pomoc do tunelu. Martwy człowiek na torach.
- Dyspozytor dociekał, ale Hajime już go nie słuchał.
- Co robisz?! - krzyknął tak przestraszony, że poczuł łzy napływające mu do oczu.
- Upewniam się, że nie żyje - dobiegł go głos Ryōko. - Takie procedury.
- Kto to jest?
- A skąd mam wiedzieć? Co za durne pytanie. Poczekaj.
- Poczekał.
- Znalazłam jego portfel.
- Nie powinnaś go dotykać.
- Jestem inspektorem. Mam obowiązek ustalić wszystko, co można.
- I co ustaliłaś?
- Tylko jak się nazywa. Doi Kigen.

ROZDZIAŁ 12

Jordan nie widział gwiazd i trochę go to zaniepokoiło. Niebo przysłoniły chmury, które przyciągnęły ze sobą naprawdę paskudną pogodę. Kiedy świeciły gwiazdy, można było wyrzucić do morza GPS i płynąć wedle średniowiecznych zasad nawigacji, choć stary śledczy szczerze wątpił, czy ktoś na tym statku potrafiłby jeszcze dokądkolwiek dopłynąć bez elektroniki.

Dopalał papierosa, nie zważając zupełnie na to, że *Dekishi* coraz gwałtowniej buja się na falach, a morze z niebieskiego zmienia się w białe. Wściekła słona piana z hukiem przewalała się przez pokład dziobówki.

Deszcz zgasił mu papierosa.

– Kurr... – zaklął pod nosem i wyrzucił peta za burtę.

Nie opuścił jeszcze pokładu widokowego na dachu nadbudówki. Spoglądał w morze z wściekłością. Noc była czarna, ale nie tak czarna jak myśli Jordana.

Od siedmiu dni starali się zlokalizować położenie wraków. Jednak samoloty przepadły. Baterie w nadajnikach rejestratorów powinny nadawać jeszcze blisko dwa tygodnie i Jordan zdawał sobie sprawę, że wielkimi krokami zbliża się klęska. Musiał znaleźć te urządzenia, ale próbował już wszystkiego i skończyły mu się pomysły.

Czarne skrzynki tak naprawdę wcale nie są czarne. Maluje się je na pomarańczowo, by łatwiej je było odnaleźć na miejscu katastrofy. Każdy samolot ma dwa rodzaje rejestratorów. CVR, który nagrywa wszystkie odgłosy z kokpitu i pozwala śledczym posłuchać, o czym mówią piloci i jakie ostrzeżenia wydaje system alarmowy, oraz FDR, który zapisuje parametry lotu na osi czasu. W przypadku GB91 to ponad trzy tysiące różnych informacji. Jeśli rejestratory nie zostaną wydobyte z dna oceanu, być może nigdy nie uda się wyjaśnić przyczyn tego wypadku.

Meldunki stacji meteorologicznej zwiastowały zbliżający się

cyklon. Telewizyjny Pan Chmurka czasem się myli, ale wojskowi specjaliści raczej rzadko. Śledczy wiedział, że jego czas się skończył. Jeżeli nie dotrą do wraku w ciągu dwudziestu czterech godzin, operację trzeba będzie przerwać. Badanie się wydłuży. Nie miał ochoty na powtórkę z katastrofy lotu Air France 447. Pracował przy tej sprawie gościnnie. Francuzi szukali wraku dwa lata.

Przetarł dłonią brodę i zdał sobie sprawę, że jest cała mokra. Czas wracać. Z uwagi na pogodę kapitan Funanori wyraził zgodę na palenie w mesie. Ale on miał ochotę na krótki spacer. Chciał się przejść na rufę, ale pokład uciekał mu spod nóg, więc bał się skorzystać z metalowych schodów umocowanych do ściany nadbudówki. Przykucnął więc po prostu i chłonał zapach morza.

Stary śledczy odczuwał wyrzuty sumienia. Najlepsi specjaliści świata, zamiast wykonywać swoją robotę, siedzą w mesie i grają w pokera. Nie mają pracy, bo on nie może odnaleźć wraków. Skarbnik NTSB powiesił sobie w biurze podobiznę Jordana i ciska w nią rzutkami. No i Skinner. Jordan wiedział, że szef się go boi. Ale on lubił tego starego durnia. Pamiętał, że dawniej, nim zdziadział za biurkiem, Skinner był naprawdę dobrym śledczym. Tylko kiedy to było? Za braci Wright albo niewiele potem.

W końcu westchnął głęboko, chwycił się mocno metalowej barierki i powoli zszedł schodami na niższy pokład. Z furią pchnął metalowe drzwi i po chwili był już w sterówce. Przeszywający chłód i wściekły huk morza znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

W sali konferencyjnej było tłoczno. Gdy wszedł, zamilkli.

Oho, te gnojki coś kombinują – pomyślał. – Ciekawe, który chojrak przyjmie na siebie rolę posłańca.

Chojrakiem okazał się Gross.

– Chyba trzeba będzie do niego zadzwonić, szefie – powiedział.

– Ach więc o to chodzi?! – wrzasnął Jordan. – Myślisz, że sam sobie nie poradzę?

– Jordan, odpuść. Wiesz dobrze, że każdy z nas pójdzie za tobą w ogień. Zawsze. Ale kończy nam się czas.

– Rejestratory będą nadawać jeszcze dwa tygodnie.

– Tak, ale nie mamy tyle czasu – wtrącił Berry. – Byłeś na zewnątrz? Widziałeś, co się dzieje z oceanem?

– Nic, z czym byśmy sobie nie poradzili.

– Na razie. Według moich zabawek wieje siódemka. Siedem w skali Beauforta, Jordan. Ale zbliża się cyklon. I to duży. Będziemy musieli uciekać i pewnie przynajmniej tydzień nie wyjdziemy w morze. To oznacza, że zostanie nam w najlepszym razie kilka dni. Może cztery albo pięć. A nawet nie wiemy, gdzie szukać.

Jordan nie odpowiedział. Stał przed nimi wyprostowany jak struna. Jakby chciał im pokazać, że jest od nich większy i ważniejszy. Żyłka na skroni pulsowała mu tak mocno, że dostrzegła to nawet siedząca na samym końcu Pauline.

– Daj mi telefon – rzekł wreszcie Jordan. – Zadzwonię do tego dupka. To prawda, że nie ma już czasu na błąkanie się po Pacyfiku. Może on coś zaradzi.

W pomieszczeniu panowało napięcie. Jordan zabrał telefon i wyszedł.

– Do kogo on będzie dzwonić? – zapytała Pauline.

– Później ci powiem – odparł Gross, bezwiednie zaplatając warkoczyki na swojej długiej i gęstej brodzie.

Po niespełna pięciu minutach drzwi otworzyły się z hukiem i do sali wpadł Jordan. Stojący najbliżej drzwi Logan musiał uskokczyć, by go nie stratował. Jordan nacierał z impetem lokomotywy. Z ust kapała mu biała piana, trudno ocenić, czy to sztorm go tak sponiewierał, czy własne gruczoły. Jordan nie był wściekły jak zawsze. Był wściekły jak nigdy.

– Skurwysyn! – krzyknął śledczy. – Od dawna siedzi w Tokio. Wiedział, że do niego zadzwonimy. Wyobrażacie sobie? Przyznał, że czekał na telefon. Jemu się wydaje, że bez niego nie możemy nic zrobić.

– Nie ma tego złego, szefie. Przynajmniej szybko przybędzie.

– Tak. Halfield, prosba. Idź do Funanoriego i zapytaj, czy Tokio znajduje się w zasięgu naszego śmigłowca. Jeśli tak, to niech natychmiast wyruszają na Hanedę. Kurwa, albo Naritę. Powiedział tylko, że będzie czekał na lotnisku. Nie zapytałem na

którym. Ustal to jakoś.

Wyszła, a Jordan podszedł do stołu. Depree odsunął mu krzesło i stary śledczy opadł na nie jak worek kartofli. Mechanizm sprężynujący zazgrzytał złowieszczo. Jordan schował twarz w dłoniach.

Do czego to doszło?! Żeby tak wielka instytucja jak NTSB do tego stopnia uzależniła się od jednego amatora. „Czekałem na wasz telefon” – przedrzeźniał go w myślach Jordan. – Boże, jak ja nienawidzę tego jego wschodnioeuropejskiego akcentu!

– Szefie? – Depree delikatnie klepnął Jordana w plecy, a ten odskoczył, zupełnie jak ktoś, kto zdrzemnął się na służbie i został na tym przyłapany przez przełożonego.

– Dobra, słuchajcie – rzucił do zgromadzonych. – Wracamy na pozycję pierwszą. Tam gdzie zaczęliśmy. Zajmie nam to około pięciu godzin. Nim dotrzemy na miejsce, nasz ptaszek powinien być już na pokładzie. Chcę, żeby za pięć godzin wszyscy byli gotowi do działania w trybie awaryjnym. Czy to jasne?

Jordan wyszedł z centrum konferencyjnego, nie czekając na odpowiedź.

ROZDZIAŁ 13

Dwie godziny później Pauline przetarła dłonią mokrą twarz i zakręciła kurek prysznic. Ostatnią godzinę spędziła na pokładowej siłowni. Postanowiła, że najwyższy czas nieco pobiegać. Dawno tego nie robiła. Najpierw miała kłopoty z żołądkiem, potem z terminarzem. A teraz, po tym, jak skończyła pisać raport, postanowiła poświęcić resztę wieczoru swoim pośladkom. Pokład był mokry, dlatego uznała, że bezpieczniej będzie skorzystać ze stacjonarnej bieżni, którą marynarze postawili obok kilku stanowisk z ciężarami w najmniejszej ładowni na rufie. Wprawdzie znajdowała się tam również serwerownia, ale komputery pochowano w żelaznych szafach i nic im nie mogło się stać. O dziesiątej wieczorem zwykle nikogo tam nie było, toteż Pauline spokojnie wykonała swój plan treningowy.

Łazienka w jej kajucie była czysta i dziewczyna czuła się w niej komfortowo. Tylko konstruktorzy nie przewidzieli miejsca na wieszak, więc ręcznik zostawiła w sypialni. Znalazło się za to miejsce na niewielkie lustro. Pauline bardzo się starała obejrzeć własny tyłek. Ostatecznie to dla niego tyle się wysilała. Ale drzwi wyjściowe były nieco za blisko, otworzyła je więc i wyszła na zewnątrz.

– Pauline. – Usłyszała Grossa i zareagowała błyskawicznie. Wskoczyła do łazienki i zatrzasnęła drzwi.

– Gross, do cholery, co ty wyprawiasz!

– Przepraszam, przyszedłem sprawdzić, czy wszystko okej.

– A co miałoby nie być okej? Nie umiesz pukać?

– Pukałem. Ale spokojnie. Siedzę tyłem. Więc...

– Świetnie. Przydaj się do czegoś. Widzisz tam mój ręcznik?

– Taki czarny w żółte pasy?

– Ten sam. Możesz go podać?

Usłyszała kroki i po chwili metalowe drzwi jej łazienki

zaskrzypiały. Przytuliła się nieco do ściany. Prysznicowi brakowało osłonki i nie miała się gdzie schować, a nie chciała Grossowi świecić cyckami. Buddysta wsunął rękę przez uchylone drzwi i na ślepo rzucił ręcznik w kierunku dziewczyny, a ona złapała go w locie.

– Gross! – krzyknęła w kierunku drzwi. – Wynocha z mojej kajuty. Chcę się ubrać, a ciuchy mam w szafie.

Nie odezwał się, ale hałas świadczył, że nigdzie nie poszedł. Po chwili rozległo się pukanie i drzwi znów skrzypnęły. Dziewczyna szybko okręciła się ręcznikiem. Gross wszedł do środka, niosąc stosik rzeczy. Odwrócił skromnie wzrok.

– Serio, Gross? Przegrzebałeś mi szafę z bielizną?

– Wybacz. – W jego głosie nie było ani zażenowania, ani skrywanej perwersji. – Ale naprawdę musimy pilnie pogadać.

– Dobra, zaraz wyjdę. Wybacz, ale nie poczęstuję cię niczym dobrym. Całodobowy był już zamknięty.

– W takim razie to chyba szczęście, że nie piję.

Wyszła na zewnątrz, wycierając włosy.

– No to czego ci trzeba, Gross?

– Niczego, Pauline. Za to tobie potrzeba. Choć straszna z ciebie mądrała, to jest coś, czego jeszcze nie wiesz.

– Chodzi ci o tego faceta, po którego Jordan wysłał jayhawka?

– Zgadza się. Jeśli chcesz tańczyć w tej ekipie, musisz wiedzieć, kto to jest. I lepiej, żebyśmy ja ci o nim opowiedział. Bo jeśli zapytasz Jordana, to masz jak w banku, że się wkurzy.

– Zabrzmiało poważnie.

– Bo to jest poważne, Pauline. Pamiętasz wypadek lotu British Airways 2049 w Los Angeles?

– No proste. GB11 z LAX do Londynu przez Waszyngton. Jakies trzy czy cztery lata temu. Rozbił się podczas startu.

– Tak. Ściśle mówiąc, zaraz po starcie. Zginęło około stu trzydziestu osób. Wśród nich pewna kobieta i jej mała córeczka. Ta kobieta miała męża. Jakiegoś tam inżyniera. Facet bardzo źle to wszystko przyjął. Cóż, chcę powiedzieć, że każdy przyjąłby to źle, jednak jego coś opętało. Po pół roku NTSB wydała raport, w którym jednoznacznie stwierdzono, że winny wypadku był

kontroler. Nie zastosował się do przepisów o właściwej separacji. Ponoć udzielił pozwolenia na start o trzydzieści sekund za wcześnie. Wiesz, jak jest. Oni podlegają naprawdę dużej presji. Ogromny ruch, kolejka oczekujących, a każdy narzeka, bo dopóki samolot stoi na ziemi, to nie zarabia. Więc bezustannie popędzają kontrolerów. W każdym razie ten facet udzielił zgody na start trochę za szybko i samolot BA wpadł przez to w silną turbulencję w śladzie aerodynamicznym startującego moment wcześniej A380. I spadł.

– Wiem. To była głośna sprawa. Jedna z głośniejszych. Zupełnie niedawno przerabiałam ten przypadek na studiach. NTSB po raz pierwszy w historii zmuszona była przyznać się do błędu. A zanim to nastąpiło, niesłusznie obwiniony kontroler wyskoczył z hotelowego balkonu. Jak on się nazywał? Coler? Coleman?

– Coleman. Szefem zespołu śledczych był wtedy Jordan – rzekł Gross. – Już po opublikowaniu raportu zgłosił się do niego pewien człowiek. Powiedział, że ma informacje, które mogą odwrócić losy śledztwa. Jordan go wyśmiał. No bo już przecież było po śledztwie. Zresztą facet nie wzbudzał zaufania. Wyglądał... Dziwnie. Miał brodę...

– Świetnie, Gross. Spójrz w lustro.

– Ale on miał taką, no wiesz. Ja o swoją dbam. On sprawiał wrażenie, jakby pewnego dnia po prostu przestał się golić. Wyglądał trochę jak wariat, a trochę jak jakiś trep. A wiadomo, z wariatami jest tak, że lepiej ich nie wkurzać. A ten się wkurzył i zagroził Jordanowi, że przekaze swoje informacje mediom. No i Jordan spękał. Okazało się, że facet miał nosa. Badania metalurgiczne wykazały wadę jakiegoś mechanizmu. Nie wiem za wiele, bo się tym nie zajmowałem, jednak raport został skorygowany. Jordan bardzo to przeżył. Raz, że nie zwykł popełniać takich błędów, a dwa, że... Cóż, to w gruncie rzeczy przyzwoity facet. Ten kontroler...

– Rozumiem.

– W każdym razie ostatecznie wziął wszystko na siebie. Niewiele brakowało, a jego kariera przeszłaby do historii, bo zrobił się wokół tego szum. I było bardzo nieprzyjemnie. Na

swoje szczęście Jordana bardzo cenią w Kongresie.

– Rozumiem, że tym tajemniczym śledczym okazał się...

– Aleksander Gall. Nasz nieszczęsny inżynier, który stracił rodzinę.

– Dziwne. Nigdy o nim nie słyszałam. A powinnam.

Gross zaśmiał się serdecznie. Zdjął z półki czystą szklanekę, wypełnił ją złocistym płynem i podał dziewczynie.

– Pauline... Jesteś jeszcze bardzo młoda.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic złego. Dopiero zaczynasz karierę. Musisz pamiętać o jednej rzeczy. Dzięki skończonym studiom możesz się tytułować specjalistą. Ale prawdziwym specjalistą będziesz za wiele lat. To kwestia doświadczenia. Wielu rzeczy dopiero się dowiesz. Wiele mechanizmów pracuje zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażasz. Wiem, że pewnego dnia doznasz ogromnego rozczarowania. Zdasz sobie sprawę, że to, czego cię nauczyli wykładowcy, jest albo nieistotne, albo nieaktualne, albo po prostu błędne. Będziesz poświęcać godziny na uzupełnianie wiedzy. Ale przede wszystkim poznasz zasady panujące w firmie. Normalnie nikt nie przyznałby się do takiego błędu. Jordan ma jaja i to zrobił. Ale Rada starała się ukryć jego odpowiedzialność. Wiesz, NTSB jest bezimienna. W świadomości ludzi jest jedynie organizacją. Łatwo na nią zwalić winę. Do publicznej wiadomości podano więc, że pierwotny raport był błędny, ale dzięki wyłożonej pracy Jordana udało się w końcu znaleźć prawdziwą przyczynę wypadku. O dziwnym brodaczu nikt się oczywiście nawet nie zająknął. Pominięto jego udział, a on wydawał się z tego faktu zadowolony.

– Żartujesz.

– Nie. Od tamtego dnia w Jordanie coś się zmieniło. Myślę, że uwiera go poczucie winy. I wydaje mi się, że właśnie dlatego tak nie znosi Galla. Samą swoją obecnością przypomina mu o tym wszystkim. Ale Jordan to przede wszystkim profesjonalista. Dlatego zaproponował Gallowi współpracę. Zatrudnił go przy trzech kolejnych sprawach. Sukinsyn jest naprawdę dobry. Nie wiem, chyba ma po prostu instynkt. I gigantyczną wiedzę. Zresztą

pracuje nie tylko z nami. Jordan polecił go swoim znajomym. Gall również dobrze radzi sobie z katastrofami morskimi i kolejowymi. Podobno nawet Kim Dzong Un ściągnął go do siebie. No wiesz, ten z Korei Północnej. Mieli tam jakiś dziwny wypadek. Tak czy inaczej, jeśli ktokolwiek może nam teraz pomóc, to tylko on.

ROZDZIAŁ 14

Mężczyzna kończył pastowanie buta. Podniósł go, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Gdy prostował plecy, coś w nich delikatnie chrupnęło. Starość nie radość.

W mieszkaniu było ciemno. Zastłonięte żaluzje próbowały powstrzymać chylące się ku zachodowi słońce, ono jednak wciąż jeszcze miało dość mocy, by nagrzać niewielki apartament do absurdalnej temperatury. Lipiec w Waszyngtonie. Albo deszcz i chłód, albo bezlitosne upały. Albo tak jak teraz – oberwanie chmury, a za kwadrans skwar jak na pustyni Gobi.

Usiadł w fotelu i włożył but za tysiąc dolarów. Z niezadowolaniem stwierdził, że ta prosta czynność trochę go zmęczyła. To już nie te czasy, gdy biegał po lasach Wietnamu z M16 i dziewięciokilogramowym plecakiem. Ech, to było życie. Świat należał do nich. Nie mieli nic swojego, a czuli, że mają wszystko.

A teraz? Był zamożny. Właściwie to obrzydliwie bogaty. A jednak nie potrafił się cieszyć pieniędzmi. Nigdy tego nie potrafił, choć odkąd sięgał pamięcią, zawsze pożądał kasy. Kiedy już ją zdobył, natychmiast inwestował. Przybywające na koncie zera nie robiły na nim wrażenia. Chyba zawsze wolał zarabiać pieniądze, niż po prostu je mieć.

Starzec westchnął i podniósł się z krzesła. Miał jeszcze coś do zrobienia. I choć stać go było, by zapłacić za to jakiemś specjalście, nie zdecydował się na ten krok. Sam nie potrafił sobie odpowiedzieć dlaczego. Czy ze strachu? Czy może z tęsknoty za dawnymi czasami?

Gdy tak się nad tym zastanawiał, w jego kieszeni zawibrowała komórka. Wyciągnął telefon i przez chwilę patrzył na wyświetlacz. Nie miał ochoty na pogawędkę. Zwłaszcza z nim. Ale odebrał.

– Gdzie jesteś, do diabła? – zapytał niski, męski głos.

– Dzień dobry, kongresmanie Tyne. Czy mam meldować panu za każdym razem, kiedy wyjdę na miasto? – zapytał spokojnie starzec. Już dawno temu zauważył, że nie umie wyzwolić w sobie gniewu, nawet wobec człowieka, którego tak bardzo nienawidzi.

– Po prostu martwię się o ciebie.

– Martwi się pan o swój tyłek.

– Niech będzie. Czy naszej operacji coś zagraża?

– Waszej operacji nic nie zagraża.

– Czy ci się to podoba, czy nie, to również twoja operacja. Dlatego zapewnię ci ochronę.

– Panie kongresmanie. Jeżeli choć raz zobaczę kręcących się wokół mnie agentów, a proszę mi wierzyć, mam doświadczenie w rozpoznawaniu tajniaków, to całą operację będzie pan mógł sobie wsadzić w dupę. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

– Do diabła, dlaczego jesteś taki uparty? Dziesięciu już nie żyje.

– Jedenastu. Dziś zginął Reginald Haraldson junior.

– Do cholery, Haraldson nie żyje? Skąd wiesz?

– Mam przyjaciół w policji. Zadzwonili do mnie kwadrans temu. Lada moment będą oficjalne komunikaty.

– Dlaczego mnie nie poinformowałeś?

– Bo nie zdążyłem.

– Mniejsza z tym. Co teraz robisz? Dokładnie?

– Pastuję buty. Dokładnie prawy.

– Tylko ci się wydaje, że jesteś zabawny. Nie mam pojęcia, co tam zmalowaliście w przeszłości, ale jedno jest pewne. Giną ludzie. Ludzie z twojego dawnego oddziału. Nie wiemy, kto i dlaczego ich zabija. I nie wiemy, czy ich przed śmiercią nie wypytuje. A ty miałbyś co opowiadać, prawda? Ja mam jeszcze trochę do zrobienia. I wciąż cię potrzebuję. Jak skończę, to możesz się dać zaszlachtować.

– Zastrzelić.

– Proszę?

– Oni giną od kuli w głowę.

– Wszystko mi jedno.

Po drugiej stronie telefonu zapanowała cisza. Starzec słyszał cichy świst w oddechu Tyne'a. Oj, panie kongresmanie, chyba

czas definitywnie rozstać się z drogimi cygarami.

– Kończę, panie kongresmanie. Jak już mówiłem, żadnej ochrony. Albo zniknę i nigdy mnie nie znajdziecie. Mam dość pieniędzy, by stać się niewidzialny. A niewidzialni lubią mówić.

– Nie groź mi. Ludzie nienawidzą takich jak ty. A znienawidzeni nigdy nie będą niewidzialni. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zadzwoni gdzie trzeba.

– Świetnie – odparł starzec. – No to jesteście umówieni. Tymczasem czeka na mnie fryzjer. Do widzenia, kongresmanie Tyne.

Rozłączył się. Schował telefon do kieszeni. Jeszcze przed chwilą chciał na moment usiąść, odsapnąć. Ale teraz odzyskał wigor. Spojrzał na zegarek. Zostało mu najwyżej dziesięć minut, a drugi but sam się nie wypastuje. Zabrał się do pracy.

Porucznik Reginald Haraldson junior. Starzec dobrze wspominał dawnego dowódcę. I nic dziwnego. Zawdzięczał mu życie. To właśnie porucznik z narażeniem życia wyciągnął go z owianego złą sławą tunelu Cù Chi, kiedy on, wówczas jeszcze niespełna trzydziestoletni osiłek, dostał niemal śmiertelny postrzał od młodego żółtka. Nosił wilk razy kilka...

Kiedy wojska sojusznicze poznały już podziemne tajemnice Wietkongu, zastawianie pułapek na podziemnych partyzantów stało się niemal ich hobby. Mężczyzna z radością wstąpił do oddziału Szczurów Tunelowych formowanego z ochotników. Wytropili i wybili do nogi setki północnowietnamskich partyzantów. Ale cóż z tego, skoro i tak przegrali tę wojnę.

Haraldson był dobrym żołnierzem i starzec szczerze go żałował. Wiele razem przeżyli. Nie tylko w Wietnamie, ale też w Korei i podczas operacji Pustynna Burza. Zwłaszcza wtedy. Porucznik nie zasługiwał na taką śmierć. Strzał z bliska, dokładnie w punkt pomiędzy brwiami. Precyzyjna robota. Haraldson znał swojego zabójcę. Nie dałby się zabić w tak banalny sposób obcemu. Nie on.

Mężczyzna ponownie spojrzął na zegarek. Już czas. Robota zakończona. Buty lśnią. Podszedł do XVI-wiecznego dębowego krzesła i zdjął wiszącą na oparciu marynarkę. Włożył ją

i odruchowo pomacał kieszeń, by sprawdzić, czy jest w niej wszystko, co powinno być. Zapiął guziki. Przechodząc przez pokój, zerknął w lustro. Zauważył, że węzeł krawata nieco się przekrzywił, więc poprawił go z niemal pedantyczną starannością. Naciągnął rękawiczki. Zgasił światło w przedpokoju i odblokował zamek drzwi. Nim jednak pociągnął za klamkę, raz jeszcze się odwrócił.

Ze smutkiem spojrzął na leżącego w kałuży krwi Haraldsona. Potem ostatni raz spojrzął na pokój, zastanawiając się, czy dokładnie wszystko wytarł. Na koniec zerknął jeszcze na swój but, jednak niepotrzebnie. Na delikatnej skórze z pewnością nie było już śladów krwi.

Wyjął komórkę. Tę jednorazową, którą kupił dziś rano. Wybrał numer sto dwanaście.

– Halo? Dzień dobry. Mieszkam przy Massachusetts Avenue Northwest. Słyszałem strzały. Chyba u sąsiada.

ROZDZIAŁ 15

Trzy godziny temu Pauline obserwowała, jak targany wiatrem sikorski HH-60 jayhawk ostrożnie podchodził do lądowania na rozhuśtanym pokładzie. Uwielbiała tę maszynę. Ucieszyła się, kiedy pierwszy raz ujrzała ją zaparkowaną na rufie *Dekishi*. Biało-pomarańczowy śmigłowiec wyglądał jak skrzyżowanie kaczkę z ważką. Gdy stał na swoich trzech niewielkich kołach, z oklapniętym śmigłem, wyglądał bardzo niepozornie. Ale gdy tylko wirniki ruszały i maszyna wzbijała się w powietrze, stawała się najpiękniejszym latającym obiektem na świecie. Funanori powiedział jej, że to maszyna amerykańskiej Straży Przybrzeżnej, która uległa wypadkowi w trakcie przeglądu technicznego. Wrak wystawiono na sprzedaż, a władze Uniwersytetu Narodowego Czedżu skrzętnie skorzystali z okazji. Najwyraźniej lubowali się w przywracaniu do życia skazanych na żyletki pojazdów. W każdym razie nawet nie zmienili kolorów. Zastąpili jedynie stare numery rejestracyjne nowymi, a na prawej burcie namalowali fikuśny czterokolorowy zawijas, będący symbolem uczelni.

Pilot bez większych problemów posadził maszynę tam, gdzie należało. Gdy wirnik zwolnił nieco bieg, drzwi odsunęły się i wyszedł on. Gall.

Pauline zaskoczyło to, że pomijając długą, sięgającą piersi czarną brodę, wyglądał raczej zwyczajnie. I całkiem atrakcyjnie. Mógł mieć z metr osiemdziesiąt. Dobrze zbudowany, ale bez potężnego karczycha czy rozrywających rękawy koszulki bicepsów. Nosił niedbale włożoną, niezbyt czystą czerwoną bejsbolówkę.

Gall wolnym krokiem skierował się ku włączowi nadbudówki. Siekący deszcz i silne podmuchy wiatru zdawały się mu nie przeszkadzać. Było w tym coś heroicznego. Jakby ten człowiek nie poddawał się wciąż przybierającej na sile potędze żywiołów.

Nie osłonił twarzy przed zacinającym deszczem, nie pochylił się w próbie pokonania naporu wiatru. Nawet nie przyspieszył kroku, by szybciej znaleźć się wewnątrz ciepłego i suchego cielska *Dekishi*. Przytrzymał jedynie czapkę.

Wkrótce zarządzono odprawę, podczas której gość nie odezwał się ani słowem. Gdy Jordan skończył przedstawić sytuację, Gall zażądał dostępu do map morskich i pogodowych oraz materiałów dotyczących locji. To ostatnie bardzo się spodobało Funanoriemu, który pokiwał z uznaniem głową. Kiedy otrzymał wszystko, o co prosił, zapewniono mu pomieszczenie i asystentkę w pakiecie. Pauline.

Teraz siedzieli we dwoje na zapleczu mostka kapitańskiego. Pokój był dość przestronny. Pośrodku przyśrubowano stół. Gall rozłożył na nim dziesiątki map i raportów pogodowych.

– Po co ci właściwie ta broda? – zapytała Pauline, próbując zagaić rozmowę, i natychmiast zdała sobie sprawę, że pytanie jest po prostu głupie. Pewnie dlatego odpowiedziała jej cisza. Dziewczyna uznała, że to i tak najlepsze, na co sobie zasłużyła.

Brodaty mężczyzna analizował dokumenty z tak stoickim spokojem, że Pauline zastanawiała się, czy w ogóle oddycha. Pewnie rozpoczęłaby resuscytację, gdyby co jakiś czas nie wyciągał ręki, łapiąc przesuwający się po stole tam i z powrotem kubek z kawą. Morze rozpoczęło swój taniec i wyglądało na to, że zabawa będzie dość żywiołowa. Mimo to kapitan pędził kursem wyznaczonym przez Jordana.

– Przepraszam, o co pytałaś? – odezwał się niespodziewanie Gall.

– Co? A. Pytałam o brodę, ale to było głupie.

– Co z nią?

– Dawno jej nie goliłeś.

Znow cisza. Siedzieli tu od godziny. A on tylko rysował. Kółka, elipsy, kwadraty, linie. Chryste, jeszcze trochę i zacznie szkicować serduszka i małe jednorożce.

– Od dawna badasz wypadki?

Cisza.

– Pewnie było ci ciężko po śmierci Weroniki.

Przestał kreślić. Oparł się łokciami o stół. Spojrzał na Pauline wzrokiem mężczyzny, którego nie chciałyby spotkać w ciemnej uliczce. Wytrzymała. Uśmiechnęła się. Chyba mu zaimponowała, bo patrzył na nią z większą uwagą niż dotąd.

– Przepraszam. Mamy pracować razem, więc chciałam się o tobie czegoś dowiedzieć. Trochę mi opowiedzieli. Potem sprawdziłam listę pasażerów tamtego rejsu. Dwa kliknięcia w Internecie. Pani Weronika Gall. Ale to było głupie. Przepraszam, sama nie wiem, dlaczego tak się zachowuję. Chyba po prostu jestem ciekawska.

– Proszę bardzo. – Aleks patrzył jej prosto w oczy. – Po śmierci żony i córki było mi bardzo ciężko. Zadowala cię taka odpowiedź? Chcesz jeszcze coś wiedzieć? A tak, broda. No więc nie goliłem jej, bo jakoś mi się nie chciało, Pauline. A teraz, kiedy już to sobie wyjaśniliśmy, czy możemy wrócić do pracy? Chcę sprawdzić, jak falowało morze w dniu katastrofy, i...

– A ja chcę wiedzieć, co odkryłeś w GB11. Dobrze wiem, że te swoje pieprzone fale policzyłeś już dawno temu.

– Skąd to przekonanie?

– Bo też umiem je policzyć. Mogę ci mówić „Aleks”? Inni tak do ciebie mówią.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. Coś się zmieniło. Jego spojrzenie przestało być lodowate.

– Możesz – odparł Aleks. – Co się tyczy pierwszego pytania: wybrakowany mechanizm zamka luku bagażowego. W czasie startu pękł na pół i drzwi się otworzyły.

– I co z tego? Za nisko, żeby mogła nastąpić dekompresja.

– Owszem. Ale nie za nisko i nie za wolno, by zniszczyć awionikę. Zaraz po starcie samolot wchodził w ciasny zwrot. Startował w wychyleniu na lotkach. Drzwi luku się otworzyły i pęd powietrza wyrwał je z łożysk. Nieszczęśliwie się złożyło, że w tym samym segmencie znajdował się główny komputer odpowiadający za fly-by-wire. Odpadające drzwi rozerwały główny moduł i samolot został na wychylonych lotkach. Nic się nie dało zrobić.

– Przecież to idiotyzm. Kto montuje komputer w takim miejscu?

- Nie wyraziłem się precyzyjnie, Pauline. Komputer umieszczono z tyłu maszyny na osi wzdłużnej i centralnie w osi poprzecznej, poniżej przedziału pasażerskiego. To najbezpieczniejsze miejsce dla takiego urządzenia. Niestety drzwi wyrwały fragment fundamentu, do którego przymocowano komputer. A fundament, przesuwając się, rozerwał moduł.

- Niesamowite. To była pierwsza katastrofa GB11. Stary Bird musiał się chyba wściec.

- Nie rozumiem.

- No... Harvey Bird. Producent Great Birda. Swoją drogą strasznie megalomańska nazwa.

- Stary Bird się załamał.

- Nie wierzę. O wszystko mogę podejrzewać tego człowieka, ale nie o sentymenty.

- Stracił w tym wypadku córkę i wnuczkę.

- O czym ty mówisz?

- O swojej żonie i córce.

- Co takiego?

- Bird jest moim teściem, Pauline. Nie sprawdziłaś tego? A teraz wyjdź, proszę. Mam coś do zrobienia. Wolę się tym zająć bez asystentki.

- Chyba się nie obraziłeś?

- Nie. Ale chcę być sam.

Wyszła. Przeszło jej przez myśl, jakie znaczenie dla śledztwa może mieć to, czego się właśnie dowiedziała. Przecież jeśli nastąpiła awaria, Gall może kryć Birda. Ale z drugiej strony udowodnił i nagłośnił prawdziwe przyczyny katastrofy lotu British Airways 2049. Przecież za winnego początkowo uznano kontrolera. To Gall go oczyścił, choć niestety Coleman tego nie doczekał. Co mogło skłonić człowieka do występowania przeciwko własnej rodzinie? A może Aleks uznał, że to teść przeciwko niej wystąpił? Ostatecznie jego córka i wnuczka zginęły z powodu wadliwego projektu. Zwyczajnego bubla. Aleks może sobie gadać, co chce, ale jeśli urwane drzwi luku bagażowego mogą rozerwać główny komputer, jest to zwyczajny

bubel.

Statkiem porządnie kołysało, jednak dziewczyna nie zwracała już na to uwagi. Przyzwyczaiła się. Kadłub wystawiany przez żywioł na bardzo wymagającą próbę jęczał i trzeszczał złowieszczo. Jeszcze kilka dni temu Pauline bałaby się, że pęknie. Teraz jednak wiedziała już, że jęki, stuki i puki wszelkiego rodzaju to norma, do której należy przywyknąć.

Z rozmyślań wyrwał ją potężny huk i gwałtowny przechył. Znacznie głębszy niż inne. Światło na moment zgasło, jednak niemal natychmiast słaba żarówka rozjarzyła się na nowo. Statek wrócił do swego normalnego położenia.

To musiała być naprawdę wysoka fala – pomyślała i uśmiechnęła się. A jeszcze tydzień temu zesrałaby się ze strachu.

Dotarła na klatkę schodową i ruszyła w dół. Tam gdzie nie powinna iść. Wstęp do ładowni numer sześć, największej i zlokalizowanej na samym końcu jednostki, był zakazany. Pauline nie miała pojęcia dlaczego. Wiedziała tylko jedno. Tam umieszczono *Deepy*. A tam gdzie była *Deepy*, znajdzie Grossa. Odnosiła wrażenie, że buddysta zaczyna patrzeć na nią w sposób nieco inny niż jedynie koleżeński. No cóż, buddyzm, nie buddyzm, a natura robi swoje. Wzdrygnęła się. Ale jedynie dla alibi. Nie chciała przyznać przed samą sobą, że jest coś, co ją w tym człowieku pociąga. Nie zamierzała jednak sprawdzać co. Trzy lat wcześniej, kiedy pracowała jako kelnerka, bardzo jej się spodobał jeden barman. I ma to po dziś dzień fatalne konsekwencje. Facet, o którym chciałaby raz na zawsze zapomnieć, do końca życia będzie zamieszkiwać w jej myślach. Cóż. Tego pierwszego się pamięta. Gdy się między nimi popsulo, musiała zmienić robotę. Zrozumiała wtedy, że miłości należy szukać poza pracą.

I tego się trzymajmy.

Dotarłszy do drzwi, zawahała się. Nie była pewna, czy powinna tam wchodzić. Zdążyła już zrozumieć, że Jordan ma do niej pewną słabość i podoba mu się jej zadziorny charakterek. Niemniej słabość to jedno, a świadome łamanie zakazu to

zupełnie inna sprawa. To się mogło skończyć solidną awanturą. Ale przecież zawsze może udawać, że się zgubiła. Światła ciągle gasły, statkiem rzucało, no, pomyliła się, i już.

Pchnęła drzwi i jej oczom ukazała się sporych rozmiarów hala. Pośrodku na ogromnej palecie stała *Deepy*. Pauline nie miała wątpliwości, że to, co widzi, jest właśnie słynnym robotem, ale jednocześnie była pewna, że gdyby zobaczyła to w zwykłym hangarze, nie miałyby pojęcia, do czego służy. Ot, dobre dziesięć ton poskręcane go metalu, poprzetykanego kilometrami kabli zatopionych w gumowej izolacji.

Kłapa w tylnej części robota była otwarta i Pauline zobaczyła zagłębionego w nim po pas Grossa. Nie słyszał jej. Nie zdawał sobie sprawy, że tu jest. W ładowni było bardzo głośno. Do tego cała podłoga nieprzyjemnie wibrowała.

Pauline odepchnęła się od ściany, o którą opierała się, od kiedy tylko przekroczyła próg, i podeszła do żelaznej barierki. Musiała teraz pokonać kilkanaście stopni po schodach zbudowanych z metalowej kratownicy. Ruszyła w kierunku maszyny. Gross, jakby wyczuwając czyjaś obecność, wysunął się z robota i spojrzał w jej kierunku. Jego twarz i ręce pokrywał smar.

– Halfield, do cholery, co ty tu robisz?! – wrzasnął, by przekrzyczeć odgłosy wściekłego morza.

Pauline zatrzymała się na moment. Nigdy wcześniej nie widziała Hansa rozeźlonego. To do niego kompletnie nie pasowało.

– Oho, czyżbym przerwała romantyczną schadzkę? – zapytała, siląc się na złośliwość. – To już mnie nie ma.

Gross machnął ręką i poprawił czerwoną bandanę na głowie. Długie i gęste dredy miał związane kilkoma kolorowymi gumkami. Zapewne bez tego już dawno wkręciłyby się w jakieś urządzenia.

– Po prostu nie jestem przyzwyczajony, że ktoś tu wchodzi! – krzyknął. – Ta maszyna jest wiele warta. Zwykle nie pozwalam się do niej nikomu zbliżać.

– Jest niesamowita.

Halfield nie czarowała. Z bliska *Deepy* wyglądała naprawdę

imponująco. Sześć metrów długości, trzy wysokości. Wyglądała jak niewielka ciężarówka.

– No ba – mruknął Gross, niby od niechcenia, a jednak wyraźnie zadowolony. – To maleństwo wpłynie do każdej dziury na świecie. Z Rowem Mariańskim włącznie. Nic nie może się z nią równać.

– Mówisz? Przecież do Głębi Challengeera docierały już inne maszyny.

– Proszę cię, Pauline. – Hans się zaśmiał. – Mówisz o tym japońskim złomie Kaikō? Spuścili go tam, zmierzył odległość i zgarnął trochę piasku z dna.

– Ale był jeszcze Cameron. No i Trieste z pięćdziesiąt lat temu z małym okładem. Uczyłam się o tym.

– W porządku. Trieste to była fajna maszyna, ale tylko batyskaf. Nic więcej. Spuszczali go dziewięć godzin i nie potrafił nawet dobrze zmierzyć głębokości. Z Cameronem było nieco lepiej, ale ten jego Deepsea Challenger skonstruowano jedynie po to, by zejść do głębi. No wiesz, żeby Cameron mógł porobić ładne fotki i trochę się polansować.

– Pobrał próbki – zaprotestowała Pauline.

– E tam. Wydali kupę kasy na zabawkę dla Camerona. Jasne, fajnie jest zobaczyć zdjęcia 3D z Rowu Mariańskiego, jednak pozwól, że naszkicuję ci różnicę. *Deepy* może zejść na głębokość do piętnastu kilometrów i...

– Po co?

– Co po co?

– Po co na piętnaście kilometrów, skoro z tego, co wiemy, najgłębsze miejsce na Ziemi ma około trzynastu?

– Właśnie, Pauline. Z tego, co wiemy. Widzisz, o wiele łatwiej jest badać góry, nawet te najbardziej niedostępne, jak Himalaje czy Karakorum, niż dowiedzieć się czegoś o dnie oceanu. Na tę chwilę zbadaliśmy jedynie pięć procent mórz i oceanów. Może się okazać, że w przyszłości, dzięki maszynom takim jak *Deepy*, odkryjemy znacznie głębsze uskoki. Poza tym podstawowa różnica pomiędzy *Deepy* a Kaikō to użyteczność. *Deepy* nie tylko schodzi głęboko, ale może tam pozostać nawet do stu godzin.

I wykonuje zaawansowane prace. Nie jakieś tam idiotyczne zbieranie próbek, ale naprawdę ważną robotę. Prace poszukiwawcze i wydobywcze. Skomplikowane, precyzyjne naprawy. Na pewno nie słyszałaś o zatonięciu okrętu atomowego USS Przykładowy w zeszłym roku na Morzu Arktycznym.

- USS Przykładowy?

- Tak, Pauline. USS Przykładowy. Chyba się nie spodziewasz, że zdradzę ci prawdziwą nazwę okrętu tak tajnego, że wie o nim dwadzieścia osób na świecie? Wiesz, mogę cię lubić, ale życie mi miłe.

- Dobra. Gadaj.

- Zaległ na głębokości sześciu kilometrów. *Deepy* go naprawiła. Wykręciła po kolei dwieście śrub mocowania pokrywy, po czym wprowadziła do środka sondę z mechaniczną dłonią i wymieniła spalone układy scalone. A wszystko przy zachowaniu odpowiedniego ciśnienia i szczelności.

- Brzmi imponująco.

- A najlepsze jest to, że *Deepy* potrafi wyciągnąć na powierzchnię elementy ważące nawet trzydzieści ton. Wkrótce sama się przekonasz.

- Myślisz, że Gall znajdzie rejestratory?

Halfield zachwiała się pod kolejnym uderzeniem fali. Gross złapał ją w pasie.

- Myślę, że znajdzie. On jest naprawdę dobry.

Popatrzyła na niego o ułamek sekundy za długo. Wyszczrzył zęby, a ona wyślizgnęła się z jego objęć.

- Ale powiedz mi, jak to się spuszcza do wody? Górą? - zapytała szybko, by ukryć zmieszanie.

- Można górą. Luk ładowni się otwiera. Ale nie ma potrzeby tak kombinować. Tu jest śluza.

- Co?

Migocząca żarówka dawała kiepskie światło. Jednak Pauline w końcu dostrzegła to, co wskazywał jej Gross. Ogromne żelazne wrota umocowane do ściany.

- To są drzwi do śluzy. Wodoszczelne. Za nimi znajduje się jeszcze jedno pomieszczenie. Nie tak wysokie jak to, ale

wystarczająco duże, żeby przemieścić tam *Deepy*. A tamto pomieszczenie przylega do rufy, w której są kolejne wrota. Prowadzą na zewnątrz. Jesteśmy dwa metry poniżej linii wody. Pod nami znajduje się już tylko tunel wału przylegający do stępki. Wiesz, jak działa śluza, nie? Wprowadzamy tam *Deepy*. Zamykamy te drzwi, a otwieramy tamte. Woda zalewa pomieszczenie, *Deepy* może wypłynąć.

– Po co śluza na rybackim statku?

– Całkiem przydatna, wbrew pozorom. To był statek przetwórnia, ale przystosowany do ciągnięcia włoku pelagicznego. To gigantyczna sieć. Tak wielka, że zwykle ciągną ją dwa statki. I jak taki włók wkręci się w śrubę, to jest problem. Dlatego zaprojektowano śluzę. Dzięki niej nurkowie wraz ze sprzętem bez problemów mogą zejść pod wodę.

– Znasz się na rybołówstwie?

– Znam się na wszystkim, co jest związane z morzem, Pauline.

– A kable?

– Nie rozumiem.

– *Deepy* jest chyba połączona kablem?

– A, o tym mówisz. Tak. Jest połączona kablem, który przechodzi przez śluzę przy wykorzystaniu dławnicy.

– A co tam jest? – Pauline wskazała na znajdujący się w głębi pomieszczenia i tonący w mroku kontuar.

– Pulpit sterowania śluzą i moje stanowisko.

– Stanowisko?

– Z którego pokieruję *Deepy*.

– Myślałam, że będziesz miał z miliard różnych monitorów.

– Bo będę. Jeszcze nie są rozpakowane.

Dwie godziny później Pauline opowiadała Grossowi o tym, jak występowała w szkolnym przedstawieniu o arce Noego ubrana w niebieską bufiastą sukienkę, śpiewając *Lieutenants of the Lord* i tuląc się do wielkiej pluszowej żyrafy. On zaśmiewał się do łez, a ona nie mogła uwierzyć, że mu to opowiedziała.

– Jak komuś wygadasz, będę musiała cię zabić – zagroziła.

Podniósł dłonie, jakby mówił: „Hej, no co ty, niby dlaczego miałbym zaraz pójść na górę i opowiedzieć o tym absolutnie

każdemu, kogo napotkam?”.

I wtedy w oddali zadzwonił telefon. Ledwo go usłyszeli w tym hałasie. Gross podszedł do kontuaru i podniósł słuchawkę.

– Gross – rzucił i chwilę słuchał. – Nie. Tu jej oczywiście nie ma. Ale może biega na siłowni. Pójdę sprawdzić, mam trzy kroki.

Odłożył słuchawkę.

– Jordan szuka cię po całym statku – poinformował Pauline. – Masz się zameldować na mostku.

Droga na mostek zabrała Pauline prawie dziesięć minut. Sztorm rozszalał się na dobre i nawet jeśli był jedynie preludium do nadciągającego tajfunu, już teraz bardzo utrudniał poruszanie się po statku. W końcu jednak udało jej się dotrzeć na miejsce. W ogromnym pomieszczeniu znajdował się tylko Jordan oraz sternik skupiony na joystickach i ekranach.

– Gdzie się, do cholery, podziewałaś, Halfield?! – wrzasnął standardowo rozjuszony Jordan.

– Biegałam – odrzekła Pauline nieco speszona.

– Nie płacę ci za bieganie.

– Ja...

Machnął tylko ręką. Doskonale wiedział, że zmyśla. Osobiście pofatygował się do siłowni, zanim zaczął wydzwaniać po wszystkich sekcjach statku. I zajęło mu to mnóstwo czasu. Ale jej kłamstewko nie wyprowadziło go z równowagi. Młoda jest. Pewnie jej się któryś spodobał. I pewnie jest to Gross, skoro przylazła chwilę po tym, jak do niego zadzwoniłem – pomyślał. Może zresztą chciał jej coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo do pomieszczenia wszedł kapitan Funanori, a zaraz za nim Gall. Na widok Halfield zatrzymał się w progu.

– Co ona tutaj robi, Jordan? – zapytał z wyraźnym niezadowoleniem Gall. – Mówiłem wyraźnie. Ty, ja i kapitan Funanori. Plus sternik, bo ktoś musi to pudło prowadzić.

– Halfield to moja asystentka – odburknął Jordan. – Ma tu być i koniec.

– Nie wydaje mi się, żeby...

– Słuchaj, wiem, że nadęty z ciebie dupek, jednak zapamiętaj sobie raz na zawsze. To ja tu rządzę. Jasne? I jak mówię, że

Halfield zostaje, to zostaje.

– Jak chcesz, Jordan. – Gall się uśmiechnął. – Ale skoro zwołujemy spotkanie robocze, to przydałby się jeszcze Bolton.

– Halfield, znajdź Boltona. Migiem. Prawdopodobnie jest u siebie i gada przez Skype’a z synem.

Nie spodobało jej się to. Ale nie odezwała się słowem, tylko wsiadła do windy i pojechała dwa piętra niżej, gdzie mieściły się kajuty.

– Rozumiem, że wiecie, na jakiej częstotliwości nadaje ULB rejestratorów? – zapytał Gall, gdy zamknęły się za nią drzwi.

– Nigdy nie nauczysz się reguł, co, Aleks? – zapytał Jordan, a w jego głosie po raz pierwszy dało się odczuć zmęczenie. – Specjalnie się jej pozbyłeś. Co odkryłeś? Sondujemy standardowo – 37,5 kiloherca.

– No właśnie.

Gall pogładził się po brodzie, patrząc nieobecny wzrokiem. Spoglądał na zalewaną morską pianą szybę okalającą mostek. Wycieraczki, choć pracowite jak nigdy, nie nadążały ze zbieraniem wciąż napływającej wody. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo widoczność i tak była znikoma. Gall widział zarys dziobu statku, umocowane do pokładu windy kotwiczne tonęły już w przepastnych trzewiach gigantycznego, stalowosinego cumulonimbusa lepiącego się do statku.

– No właśnie – powtórzył. – Tyle że niezupełnie.

– Jak to niezupełnie, do cholery?

– Dlaczego nie skanujemy dna laserem?

– A po co? Impuls ultradźwiękowy co sekundę rozchodzący się w promieniu stu mil morskich to najskuteczniejszy sposób prowadzenia poszukiwań. Zwłaszcza w sytuacji, gdy stary Pacyfik wybiera się na tańce. Nie ma lepszej metody. A laser daje niekiedy błędne odczyty. Pierwszy raz szukasz czarnych skrzynek?

– Przypuszczam, że dawno już przepłynąłeś nad rejestratorami – rzekł Gall, ignorując zaczepkę Jordana. – I że są dokładnie tam, gdzie powinny. Gdybyś przeskanował dno laserem, już byś je miał.

Stary przetarł dłonią zmęczone oczy.

– Nie wyglądasz dobrze, Jordan. Chcesz kawy? Bo ja sobie zrobię. – Gall wstał i włączył czajnik elektryczny.

– Poproszę. I powiedz w końcu to, co masz do powiedzenia.

– Dobra. Tylko to dość skomplikowane. CVR i FDR nadają impuls na 37,5 kiloherca. I na odbiór takiej częstotliwości został zaprogramowany software naszego skanera. Żeby odebrać taki sygnał, wystarczy mieć urządzenie mierzące z dokładnością do jednego miejsca po przecinku. Jednak według specyfikacji nasze urządzenie może skanować częstotliwości z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku, ze skokiem 0,05 kiloherca. Przy czym ograniczenie to wynika jedynie z software'u, bo sama maszyna mogłaby skanować dużo dokładniej. Problem w tym, że obecnie odbiornik operuje w trybie do trzech miejsc po przecinku i skoku 0,001.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Kapitan powolnym ruchem zdjął okulary. Przetarł je szmatką z mikrofazy.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zapytał.

– Chcę powiedzieć, że obecnie nasłuchujemy w poszukiwaniu sygnału o częstotliwości 37,555 kiloherca.

– Przecież to niemożliwe! – krzyknął Jordan.

– Sam sprawdź – oznajmił spokojnym tonem Gall.

– Dobra, dobra. Wierzę ci przecież. Ale skoro tak, to na 37,555 kiloherca i tak odbieralibyśmy sygnały. Może trochę zniekształcone, ale wyraźne.

– No właśnie – przerwał mu Gall. – W normalnych warunkach przyznałbym ci rację. Ale to nie są normalne warunki. Chodzi o to, że urządzenie zostało pozbawione elastyczności. Zaprogramowano je tak, by odbierało wyłącznie ustawioną częstotliwość. W tym wypadku do trzech miejsc po przecinku. Resztę automatycznie wycisza.

– Chyba się gubię – odezwał się Funanori. – Czy sugeruje pan, że powinienem aresztować obsługę odbiornika?

– Nie zrozumiał mnie pan, kapitanie. Urządzenie działa w trybie, do którego nie zostało zaprogramowane fabrycznie. Krótko mówiąc, w tym modelu nie da się zmienić dokładności

skanowania do trzech miejsc po przecinku.

- Czyli mamy wirusa?

- Nie wydaje mi się. Uważam, że ktoś podmienił cały system.

- To przecież sabotaż! - wrzasnął Jordan blady jak ściana.

- Ty to powiedziałaś.

- Ale po co tak? Nie lepiej było po prostu uszkodzić odbiornik?

- Wtedy włączyłby się program diagnostyczny.

- Panowie - wtrącił się Funanori, ale go zignorowali. Powtórzył więc głośniej: - Panowie!

Spojrzeni na niego i zrozumieli, że powinni zamilknąć.

- Obawiam się, że widzę inną możliwość. Ten skaner zamontowano w przeddzień naszego wyjścia w morze.

- Jak to? - zapytał Gall.

- Poprzedni się zepsuł. W ostatniej chwili kupiliśmy nowy. Dlatego przygotowanie jednostki do drogi zajęło nam dwa dni.

- Od kogo kupiliście?

Kapitan zamilkł.

- No niechże pan powie, Funanori. Nie ma czasu na tajemnice - popędził go Jordan.

- Dobrze. Ale to dla mnie dość trudne. Zakupem odbiornika zajął się mój człowiek. Bosman.

- Ufa mu pan?

- Nie znam go.

- Co takiego?

- Jest nowy. Zatrudniłem go trzy dni przed rejsem. Jego pierwszym zadaniem było zdobycie skanera. Po prostu go przyniósł. Urządzenie zainstalowali specjaliści z uczelni.

- Czy zatrudnił go pan, zanim popsuł się radar czy potem?

- Zanim.

- Zanim dogadał się pan z Jordanem czy potem?

- Potem.

- To nie może być przypadek - doszedł do wniosku śledczy. - Jak się nazywa bosman?

- Nitta Yoidesu.

Aleks i Jordan wymienili spojrzenia. Nie uszło to uwagi kapitana.

- O co chodzi? - zapytał.
- Ten pański bosman to Japończyk? Nazwisko na to wskazuje.
- Tak. Pochodzi z Kobe. Miał niezłe referencje.
- A co się stało z poprzednim bosmanem?
- Nie wiem. Przyszedł i powiedział, że odchodzi.
- Kiedy?
- Tego samego dnia, którego przyjąłem Nitte.
- To nie może być przypadek - powtórzył Jordan.
- Kapitanie, niech pan ustali, gdzie obecnie znajduje się Nitta. Musimy sobie uciąć pogawędkę.

Funanori wykrzyczał kilka słów i sternik natychmiast wybiegł z mostka, pozostawiając *Dekishi* pod czujnym okiem komputera.

- Muszę przejąć ster - oznajmił Funanori, podchodząc do manetek. - W takim sztormie nie możemy płynąć na automacie. Ale niech mi pan wyjaśni jedno, bo nie pojmuję. Jak pan do tego doszedł? Mam na myśli ten bałagan ze skanerem.

- Przejrzałem wszystkie wyliczenia związane z wiatrem i pogodą, a także raporty o kursach obu maszyn i punkcie ich przecięcia. Nie popełniono w nich żadnego błędu. Jordan ma za dobrych ludzi do dyspozycji, by się tak mylić. Zatem skoro mimo to nie zlokalizowano sygnału, postanowiłem przyjrzeć się odbiornikowi. Mam przenośny skaner częstotliwości. Nieco zmodyfikowany. Umożliwia nie tylko nasłuch, ale i wysyłanie sygnału dźwiękowego w interwale jednosekundowym.

- To nielegalne - zauważył Jordan.

- Aresztuj mnie. W każdy razie nadawałem na wszystkich częstotliwościach po kolei, ale skaner nadal milczał. Podejrzywałem, że po prostu się zepsuł, jednak wewnętrzny program testowy wykazał, że wszystko jest w porządku. Przetastowałem więc nadajnik na dokładność do trzech miejsc po przecinku. I uzyskałem wynik przy 37,555 kiloherca. A przy 37,554 i 37,556 kiloherca nic. Absolutną ciszę. Wniosek z tego może być tylko jeden. Dlatego wolałem o tym z wami pogadać bez Halfield.

- Halfield tu jest i od pewnego czasu słucha - dobiegł ich jej głos. - Naprawdę mnie podejrzewałeś?

– Nic podobnego. Z całym szacunkiem, ale do tego potrzeba ogromnej wiedzy, a ty jesteś bardzo młoda. Ale gra się zaczęła. I nie wiadomo, kto jest w przeciwnej drużynie.

Pauline chciała coś jeszcze dodać, jednak Jordan zakończył dyskusję stanowczym poleceniem:

– Znajdźcie w końcu tego cholernego bosmana i z nim pogadajcie. Halfield pójdzie z tobą, Aleks. Masz coś przeciwko?

– Nie.

– Świetnie. Ja spróbuję rozwiązać problem ze skanerem. Do roboty.

ROZDZIAŁ 16

Aleks pchnął drzwi i wszedł do siłowni. Pauline wśliznęła się za nim. Tak to ustalili. W niewielkim pomieszczeniu ćwiczyło kilku mężczyzn, a jeden z nich był naprawdę potężny. Leżał na ławeczce i dźwigał sztangę. Po liczbie krążków Aleks oszacował, że wielkolud trzymał nad głową przynajmniej sto trzydzieści kilo. Nikt go nie asekurował i nie wyglądało na to, by tego potrzebował.

– Wszyscy wyjść – rzucił po angielsku Aleks, nie będąc pewny, czy ktokolwiek go zrozumie. Ale zrozumieli i nie protestowali. Został tylko olbrzym, który jak gdyby nigdy nic wyciskał sztangę po raz dziesiąty.

– Musimy porozmawiać, Nitta – oświadczył Aleks, ale nie doczekał się odpowiedzi. Bosman nadal wyciskał żelastwo, głośno przy tym sapiąc. Gall nie zamierzał czekać. Podszedł do niego od tyłu, a gdy bosman obniżył gryf do wysokości szyi, oparł się o niego rękami. Żelazny drąg nacisnął grdykę olbrzyma, a ten, wytracony z rytmu, zacharczał i szarpnął się rozpaczliwie.

– Aleks – powiedziała Pauline.

Bosman spojrział w końcu w oczy intruzowi. Gniew tryskał z nich niczym lawa z rozbudzonego po trzystuletniej drzemce Fudzi. Gall przycisnął mocniej i uchwyt dłoni bosmana na gryfie zelżał.

– Aleks! – powtórzyła Pauline. Tym razem głośniej. Nitta wyczuł chyba zaniepokojenie w jej głosie, bo gniew nagle opuścił jego spojrzenie. Teraz wyzierał z nich strach.

– Musimy porozmawiać – rzekł spokojnie Aleks. – Teraz.

Bosman wycharczał odpowiedź, a Gall uznał, że oznacza ona „tak”, i pomógł olbrzymowi podnieść ciężar.

Ale w rzeczywistości oznaczała ona coś w rodzaju „zabiję cię, skurwysynu”. I gdy tylko gryf wylądował na podpórkach, Nitta Yoidesu zerwał się z ławeczki i rzucił na przeciwnika z pięściami.

I był to błąd. Jego niedotlenione ciało nie miało ani dość siły, ani szybkości, by cios mógł sięgnąć celu. Gall za to zrobił błyskawiczny zwrot i kopnął bosmana w wewnętrzną stronę kolana. Nitta upadł na stojącą pod ścianą metalową szafę. Po drodze potracił sztangę, która z hukiem zwała się na podłogę.

– Aleks, uważaj! – krzyknęła Pauline. – To jest główny komputer statku!

– Zrobili serwerownię w siłowni? – zapytał zdziwiony, wyprowadzając potężne uderzenie łokciem prosto w nos bosmana.

– Siłownię w serwerowni, Aleks.

Bosman już się nie podniósł. Gall postawił mu stopę na szyi.

– Ostatni raz powtarzam. Musimy porozmawiać.

– Dobrze – wysapał Nitta.

– To siadaj.

Chwilę trwało, nim Japończyk uspokoił oddech na tyle, by dotlenić w końcu wszystkie komórki swojego wielkiego cielska. Kiedy dochodził do siebie, Aleks przyjrzał mu się nieco dokładniej. Facet miał około dwóch metrów wzrostu i ważył pewnie ze sto pięćdziesiąt kilo. Nie był gruby, za to imponująco umięśniony. Prawdę mówiąc, Gall nigdy czegoś takiego nie widział. Ale krótka, nienaturalnie obrobiona tkanką szyja wskazywała, że Nitta nie stronił od metanobolu.

– Czego ode mnie chcesz? – wyjęczał w końcu.

– Opowiedz mi o skanerze.

– Jakim skanerze?

– Tym, który kupiłeś przed rejssem.

– Kapitan mi kazał.

– Kazał, a ty zdobyłeś go w ciągu niecałej doby.

– Miałem szczęście.

– Ciekawe.

– No, przyszedł do mnie facet. Nie wiem skąd, ale wiedział, że szukamy urządzenia. Miał jedno. Zutylizowane.

– Zutylizowane?

– Kradzione. Po tsunami na rynku jest masa kradzionego sprzętu wszelkiego rodzaju.

- I co było dalej?
- A co? Kupiłem. Było sprawne.
- Przetestowałeś?
- Nie. Nie znam się na tym. Ale się włączało. Kapitan kazał się spieszyć.
- Pauline, czy przed wyjściem w rejs ktoś był na pokładzie?
- Pewnie. Wszyscy. Przylecieliśmy na Czedżu, ale minęły prawie dwie doby, nim łajba była gotowa do wyjścia w morze. Mieszkaliśmy na statku.
- Widzisz, Nitta, nie do końca ci wierzę – powiedział Aleks, spoglądając bosmanowi prosto w oczy, a ten odchylił się, jakby spodziewał się ciosu. Widać było, że długo zapamięta sobie lekcję, której doświadczył. – Mamy na pokładzie dywersanta. To pewne. Kogoś, kto zainstalował na statku zmodyfikowany skaner. Ten ktoś musiał zepsuć dotychczasowe urządzenie, a potem załatwić nowe, odpowiednio zmodyfikowane. To dość skomplikowana operacja.
- Nie wiem, nie znam się.
- Uporządkujmy to. Jordan dogaduje się z kapitanem Funanorim. Dawny bosman nagle odchodzi z pracy. Za to zjawiasz się ty. Potem psuje się skaner. Później ty przynosisz nowy, który jest przeprogramowany tak, by udawać sprawne urządzenie, a w rzeczywistości uniemożliwia dokonanie odczytów. Coś przegapiłem?
- Nitta milczał.
- On pojawił się na *Dekishi* dosłownie chwilę po nas – wtrąciła Pauline. – Zupełnie jakby na to czekał.
- O co wy mnie oskarżacie? Macie jakieś dowody?
- Myślę, że nam wszystko wyjaśnisz, Nitta.
- Wszystko już powiedziałem.
- Jesteś Japończykiem – rzekła Pauline.
- To jakaś zbrodnia?
- Nie – Aleks pokręcił głową – ale ostatnimi czasy trochę nie po drodze nam z Japończykami. Podejrzewamy, że celowo usiłują nam utrudnić śledztwo.
- Może i próbują, może nie. Co to ma ze mną wspólnego?

- To, że pojawiłeś się znikąd, pochodzisz z kraju, który nam nie pomaga, skombinowałeś wadliwe urządzenie i teraz zgrywasz durnia.

- Wcale nie pojawiłem się znikąd. Przecież ja nie byłem w Japonii od trzech lat. Od kiedy studiuję.

- Co studiujesz? - zdziwiła się Pauline.

- Jak to co? Oceanografię. Tutaj, w Czedzu. Mam uprawnienia bosmana. Pływam od małego. Ale teraz to tylko w wakacje. Poprzedni bosman się zwolnił, więc skorzystałem z okazji i wskoczyłem na jego miejsce. Czekałem na taką szansę. Co w tym niby podejrzanego?

- Pauline, sprawdź, czy mówi prawdę.

- Niby jak?

- Zapytaj kapitana. A ciebie - zwrócił się do Nitty - będę obserwował. Bardzo uważnie.

ROZDZIAŁ 17

Siedemdziesiątysięcny tłum zafalował i wydał z siebie wrzask, który z pewnością dało się słyszeć nawet w oddalonym o osiemdziesiąt kilometrów Nowym Jorku. I choć była to zaledwie impreza charytatywna, rozgrywana w tygodniu, w przerwie pomiędzy dwoma wyścigami regularnej Sprint Cup Series, każdy chciał zobaczyć kolejny w tym sezonie triumf Vessny Fuego. A zbliżało się właśnie trzechsetne, ostatnie okrążenie wyścigu.

Vessna była jedną z dwóch kobiet w stawce, ale w przeciwieństwie do Danicy Patrick radziła sobie w tym sezonie doskonale. Skompletowała siedem zwycięstw i choć w całej serii nie miała już szans na puchar, to wciąż mogła stanąć na drugim stopniu podium. A to było naprawdę coś. Danica dwukrotnie zdobyła pole position, mówiło się, że ma oferty z Formuły 1, ale to Vessna była pierwszą kobietą, która miała szansę zostać wicemistrzynią serii.

Pocono Raceway, w odróżnieniu od większości torów, na których ścigali się kierowcy NASCAR, nie był owalny, tylko w kształcie trójkąta zaokrąglonego na wierzchołkach. Tym samym rozgrywane tu zawody uchodziły za jedne z najtrudniejszych w serii. Na domiar złego z rana trochę popadało i asfalt był śliski, a impreza nie miała żadnego znaczenia dla układu tabeli, więc większość kierowców zdjęła nogę z gazu. Szkoda było ryzykować.

Ale nie Vessna. Ona nigdy tego nie robiła. Uwielbiała prędkość. I uwielbiała swojego chevroleta CC. W tym roku pojawiły się w stawce zupełnie nowe fordys fusion, od kilku lat serca kibiców i kierowców podbijała toyota camry, a jednak ona pozostawała wierna marce produkowanej od ponad stu lat w Detroit.

Przewodziła stawce już od dobrych dwóch godzin, a teraz właśnie dojeżdżała do mety. Tłum na trybunach wiwatował,

a skupieni na wewnętrznym placu właściciele kamperów oderwali się na moment od barbecue, by podziwiać spektakularny finisz. Vessna wpadła na metę sześć sekund przed jadącym za nią fordem. Wykonała okrążenie pokazowe i zjechała do parku maszyn.

Zaparkowała przy swoim stanowisku, a gdy wysiadła, zebrani tłumnie dziennikarze wydali ciche westchnienie. Jej ciało ledwo mieściło się w kombinezonie i choć nie był przesadnie obcisty, jeden rzut męskiego oka nie pozostawiał złudzeń. Pod ognioodpornym materiałem skrywało się ciało najgorętszej kobiety świata.

Vessna w istocie była kimś takim. W Wikipedii przy haśle „pożądanie” powinno być jej zdjęcie. Faceci zwykle różnią się w tym, co należy uznawać za piękne. Jedni twierdzą, że wolą małe piersi. Inni, że trochę bardziej płaską pupę. Ten woli trochę grubsze, tamten trochę wyższe. Ale prawda jest taka, że na widok Vessny każdy z nich mógł tylko powiedzieć: „O mój Boże”. Każdy wie, że w dzisiejszych czasach kanon piękna kształtują kosztowne sesje zdjęciowe i wprawny operator Photoshopa. Że prawdziwe kobiety pełne są wspaniałych niedoskonałości. Ale jednocześnie oczywiste jest, że na świecie istnieje promil kobiet doskonałych. I Vessna się do tego promila zaliczała. Niemal. Dziesięć lat temu zdecydowała się na jedną jedyną korektę urody – powiększenie biustu o dwa rozmiary.

Dziennikarze przygotowali kamery i aparaty fotograficzne, bo oto miało nastąpić najlepsze. Na oczach ich wszystkich powolnym, wyćwiczonym ruchem zdjęła kask, a potem białą kominiarkę, spod której w jednej chwili buchnęły płomienie. Krótkim, szybkim ruchem odrzuciła z twarzy długie, wściekle rude, kręcone włosy i posłała dziennikarzom promienny uśmiech. Zawsze tak robiła. A oni zawsze na to czekali. Nikomu nie przeszkadzało, że jej włosy lepily się od potu, a twarz świeciła jak reflektor nad stadionem. Kochali ją bezgranicznie.

Przed każdą jej konferencją prasową trwała walka – bywało, że zupełnie regularna rozróżba – o miejsca w pierwszych rzędach. By zrobić lepsze zdjęcie niż konkurencja. By mieć szansę zadać jej

jakieś pytanie, na które ona – jak zwykle – odpowie zdawkowo, za to z poczuciem humoru.

Teraz też tak było. Odpowiedziała na pięć pytań i wyszła. Rozdała kilka autografów. Jakiś kulturysta wypiął klatę i poprosił o podpis, a ona napisała mu: „dla posiadacza małego fiutka – VF”. Tak to już było. Uwielbiali ją. Podziwiali. Pożądali jej.

A przecież miała już czterdzieści pięć lat.

W końcu weszła do swojej przyczepy mieszkalnej i jeszcze w progu zrzuciła kombinezon i lepiącą się do ciała ognioodporną bieliznę. Niemal poczuła, jak jej skóra łapie w końcu oddech. Zupełnie naga rzuciła się na łóżko. Była wykończona. Delikatny powiew klimatyzacji sprawiał, że spocone ciało pokryła gęsia skórka. To było dość przyjemne i chciała się tym chwilę nacieszyć. Ale wtedy ujrzała leżący na biurku podłączony do ładowarki telefon. Dioda mrugała na zielono. Oczekiwał na nią e-mail.

Westchnęła i wstała z łóżka. Podniosła komórkę i odczytała treść wiadomości. Brzmiała: „Potwierdzam. Potwierdzam”. Vessna zastanawiała się chwilę, co to dla niej oznacza, ale szybko zrozumiała, że nadszedł czas ważnych decyzji.

Wybrała w swoim smartfonie użytkownika Numer Zero. Odebrał po trzech sygnałach.

– Tak? – odezwał się nieprzyjemny męski głos.

– Mamy kłopot – powiedziała Vessna.

– Mów.

– Nasz człowiek nie dał rady. Znaleźli rejestratory.

– Trudno. Wiesz, co masz zrobić. Zdaje się, że dokładnie to omówiliśmy.

– Owszem. I właśnie dlatego mamy kłopot.

– Jaki?

– Gall jest na statku.

– W takim razie... Do diabła, nie wiem, co w takim razie robić. Jesteś pewna, że to on?

– Tak.

– Co proponujesz?

– Plan B.

- Nie ma mowy! Gallowi nie może spaść włos z głowy.
 - Poradzi sobie. A my nie mamy wyjścia. Wiesz o tym.
 - Nie mogę ryzykować.
 - Musisz. Posłuchaj mnie. Wiem, że on jest ci potrzebny. Ale wiem też, że w ostateczności poradzisz sobie bez niego. A jeśli znajdą rejestratory, to jesteśmy skończeni. Ty jesteś skończony.
- Jej rozmówca milczał przez chwilę, a ona lekko zadrżała. Nie ze strachu czy podniecenia. Po prostu zrobiło jej się zimno.
- Wydadź swojemu człowiekowi rozkaz - polecił w końcu mężczyzna i się rozłączył.

ROZDZIAŁ 18

– Wszyscy zginiemy – rzekł beznamiętnie Josh Berry, odpalając papierosa od papierosa.

Pomieszczenie, w którym ślęczał nad mapami pogody, było wyjątkowo małe i pozbawione wentylacji. Jordan zastanawiał się, czy w tym dymie jego stary przyjaciel w ogóle coś widzi.

Śledczy zdawał sobie sprawę, że nieświadomie popełnił poważny błąd i zmarnował mnóstwo czasu. Czasu, którego może mu zabraknąć. I co z tego, że za wszystko odpowiada jakiś pieprzony dywersant? Niech no go tylko dopadnie.

Musiał jednak przyznać, że mimo wszystko szczęście zupełnie go nie opuściło. Już pierwsze skanowanie dna w punkcie wskazanym przez Galla przyniosło pozytywne efekty. Znaleźli miejsce katastrofy i to było najważniejsze. Teraz w razie potrzeby będą mogli tu wrócić. Oba wraki leżały znacznie płycej, niż się spodziewano, dzięki czemu *Deepy* dotarła do nich w niecałe pół godziny i w ciągu kolejnych trzech godzin wykonała dokładne zdjęcia całego wrakowiska. Byłoby szybciej, ale w sztormie wyjątkowo trudno zapanować nad robotem, który zboczył z zadanego kursu. Hans Gross robił, co mógł. Jordan widział to już wielokrotnie i za każdym razem na nowo zaskakiwało go, jak bardzo buddysta zmieniał się, gdy *Deepy* schodziła pod wodę. Zupełnie jakby sam również stawał się maszyną, dzielącą ze swoim robotem jeden procesor. Ale *Deepy* była pod wodą, a jej operator musiał nią manewrować z pokładu tańczącej na fali *Dekishi*. A to nie było proste. Jordan nigdy nie słyszał, by Gross wypowiadał aż tyle brzydkich słów w tak krótkim odstępie czasu. Właściwie to nigdy dotąd nie słyszał, by Gross przeklinał. Buddysta, dobre sobie. Pieprzona oaza pieprzonego spokoju. Najwyraźniej on też miał swoją granicę wytrzymałości.

Pobieżne przeszukiwanie dna nie pozwoliło zlokalizować

wszystkich skrajnych elementów obu kadłubów. Nic dziwnego, skoro samoloty zderzyły się w powietrzu. Zwykle, badając katastrofę, w pierwszej kolejności ustalali, czy kokpit, ogon i obie końcówki skrzydeł leżą w pobliżu siebie. Jeśli tak, wykluczało to rozerwanie maszyny w powietrzu.

Tym razem nie było takiej potrzeby. Wiedzieli, co się stało. Jednak *Deepy* odkryła, że przynajmniej jeden samolot uderzył w wodę w całości. Nie rozpadł się. Z drugim było gorzej. Nie zlokalizowano ani kokpitu, ani końcówek skrzydeł. Jedynie ogon. I po raz kolejny dopisało im szczęście, ponieważ to właśnie w części ogonowej zainstalowane były czarne skrzynki. Obecnie mieli ich na pokładzie cztery. Po dwa rejestratory z każdego wraku. Dalszych poszukiwań zaprzestali. Wprawdzie każdy GB91 wyposażony był w osiem urządzeń, jednak większość dublowała swoje działania, a dwa, które tego nie robiły, stanowiły sprzęt diagnostyczny dla mechaników i nie mogły zbyt wiele wniesić do śledztwa. Wobec pogarszającej się z minuty na minutę pogody Jordan zadowolili się czterema rejestratorami. *Deepy* rozpoczęła poszukiwania innych części. Jeśli trzeba będzie uciekać, to lepiej zebrać jak najwięcej elementów. Po pozostałe w morzu rejestratory wróci się później.

Bolton starannie przepakował rejestratory do plastikowych pojemników wypełnionych wodą morską. Lepiej, żeby nie zardzewiały, dopóki nie dojadą do producenta, który odczyta dane. Zabezpieczone pojemniki trafiły do żelaznej, zamykanej na kłódkę szafy w ładowni Grossa. Bolton i Jordan uznali, że tam panuje najlepsza temperatura.

Teraz Gross zajmował się silnikami. W ładowni *Dekishi* spoczywało już pięć jednostek napędowych i wiele innych części. Jordan nie wiedział jeszcze dokładnie, co ma, bo katalogowanie wciąż trwało. Niestety kwadrans temu Gross oznajmił, że dalsze korzystanie ze śluzu nie jest już możliwe z powodu sztormu i *Deepy* jak najszybciej musi się znaleźć w ładowni. Jordan zdawał sobie sprawę, że jego misja na północno-zachodnim Pacyfiku właśnie dobiega końca. Przynajmniej na razie. I był z tego faktu piekielnie niezadowolony.

– Jordan? – odezwał się Berry.

– Co mówiłeś? Rozumiem, że w tym dymie trudno zauważyć tabliczkę z zakazem palenia, ale zanim dym się pojawił, musiałeś ją widzieć.

– Widziałem. Ale ona jest po japońsku.

– Piktogram też jest po japońsku?

– Mówiłem, że wszyscy zginiemy, szefie, jeżeli dalej będziesz się ociągał. Naprawdę nie możemy tu dłużej zostać.

Jordan podrapał się po siwej brodzie. Miał szczerą ochotę wysłać Berry'ego do diabła, ale nagłe uderzenie fali położyło *Dekishi* na burtę i przypomniało mu, że z opiniami Berry'ego lepiej się liczyć. Mapy spadły ze stołu, jednak meteorolog nie ruszył się, by je podnieść. Jordan też tego nie zrobił. Statek powoli i z wysiłkiem dźwignął swoje wielkie cielsko i wrócił do pionu.

– Mów – powiedział Jordan.

– Czy wiesz, co to jest cimaron?

– Co?

– To taki rodzaj filipińskiego dzikiego wołu.

– Berry, na litość boską, co ty pierdolisz?

– Wół, Jordan. Widzisz, jeśli chodzi o nazwy cyklonów tropikalnych, to u nas sprawa jest prosta. Sześć list, po dwadzieścia jeden imion na każdej. Na zmianę męskie i żeńskie. Jeden rok, jedna lista. Zatem zestawy nazw powtarzają się co sześć lat. Obszar północno-zachodniego Pacyfiku też ma swoją tabelę nazw. Ustala ją specjalna komisja Światowej Organizacji Meteorologicznej, oddział Azji i Pacyfiku, a swoje nazwy proponują wszystkie kraje w regionie. Każdy po dziesięć. I o ile u nas są to głównie imiona, o tyle Azjaci i mieszkańcy Oceanii mają więcej fantazji. Właśnie wypada kolej Filipińczyków, a oni, nie wiedząc czemu, jedną ze swych nazw poświęcili dzikiemu wołu. Cimaron może pojawić się w roli cyklonu średnio co sześć lat, czyli interwał jest taki jak u nas. Tyle że ten, który właśnie się tu zbliża, jest raczej na pewno ostatnim Cimaronem.

– A to niby dlaczego?

– Światowa Organizacja Meteorologiczna, zupełnie jak nasz

NHC, wycofuje z obiegu nazwy wyjątkowo niszczycielskich cyklonów. Na naszych listach nie ma już Katriny, Mitcha, Gilberta, Flory, Jeanne i wielu innych. Oddział Azji i Pacyfiku rzadziej to robi. Ale tym razem pewnie tak postąpią, ponieważ ten Cimaron może być czymś na miarę Gilberta.

– Gilbert? Nie pamiętam. Pamiętam Katrinę. Póki nie zagraża nam coś w tym stylu, jestem raczej spokojny.

– Z ciebie to jest jednak niedouczony dureń. – Berry powiedział to bardzo swobodnie. Ich przyjaźń trwała zbyt długo i była zbyt silna, by można ją było skaleczyć słowami. – Katrina przy Gilbercie to jak pierdnięcie przy podmuchu odrzutowca. Zabiła więcej osób, bo akurat jej się przypadkiem napatoczył Nowy Orlean, ale Gilbert wiał o siedemdziesiąt kilometrów na godzinę szybciej. Rozumiesz? Gdyby Gilbert wpadł do jakiegokolwiek miasta, mielibyśmy powtórkę z Mitcha.

– Słuchaj, Berry, nie mam o tym zielonego pojęcia. Zadowolony jesteś? Mam od tego ciebie. Oszczędź mi więc tego akademickiego cyrku.

– Mitch zabił dwadzieścia tysięcy ludzi, Jordan. Katrina niecałe dwa. Mogłeś o tym nie słyszeć, bo zarówno Mitch, jak i Gilbert ledwo zahaczyły o Stany Zjednoczone. Ale już w Hondurasie...

– I sugerujesz, że taki Mitch czy inny Gilbert tu się zbliża?

– Sugeruję, że zbliża się tu coś, co może stać się największym cyklonem tropikalnym w historii. Szczerze mówiąc, myślę, że tak się nie stanie. Ale może się stać. I to jest wystarczająco przerażające. Tak naprawdę to dwa tajfuny, które zderzyły się ze sobą jakieś dwa tysiące mil morskich stąd i teraz tańczą razem. I jeśli natychmiast nas stąd nie zabierzesz, to mamy gruntownie przejebane.

– Piątka w skali Saffira-Simpsona?

– Nie. W tej części świata nie używa się Saffira-Simpsona, tylko unowocześnionej skali Fujity. Cimaron osiągnie wartość EF5 tylko dlatego, że wyższej już nie ma.

– To znaczy?

– To znaczy, że wieje z prędkością czterystu kilometrów na godzinę przy wodzie. A trzydzieści, czterdzieści metrów wyżej

może nawet pięciuset kilometrów na godzinę. Ponad dwa razy szybciej niż Katrina.

I uśmiechnął się niespodziewanie.

Na Boga, ten skurwiel się uśmiecha – pomyślał Jordan. Nie należał do przesadnie strachliwych, na pewno nie. Jednak zdawał sobie sprawę, że w jego rękach znajduje się życie nie tylko jego samego, ale również całej ekipy i załogi *Dekishi*. Nie miał zamiaru dać się zabić i zapisać się w historii NTSB jako ten, który potopił swoich ludzi. Wystarczyło mu to, co przeżywał przez tego nieszczęsnego Colemana. Wiedział, że kolejną porcję wyrzutów sumienia przypłaciłby zdrowiem.

– Mamy straszno go pecha, Berry. Wielkie samoloty, wielka katastrofa, wielki huragan.

– Tajfun, jeśli już. Tu wieją tajfuny. To oznacza „wiatr znad Tajwanu”. Tak, wiem. Akademicki cyrk. Nieważne. Na szczęście Cimarón osłabnie, zanim tu dotrze, a kiedy uderzy w japońskie wybrzeże, będzie już zapewne jedynie silnym sztormem tropikalnym, który i tak może zabić sporo ludzi. A wielu z nich popełni samobójstwo. Na przykład szefowie zakładów ubezpieczeń, jak zobaczą, ile trzeba będzie wypłacić odszkodowań. Tak czy inaczej mamy w tym wszystkim odrobinę szczęścia. Cimarón nadciąga od północnego wschodu i zanim wejdzie na ląd, prześliznie się po Oja Siwo, zimnym prądzie morskim płynącym od Wysp Kurylskich. Dzięki temu nieco wyhamuje. Gdyby szedł od wschodu, wpadłby na Kuro Siwo, ciepły prąd. Wtedy mielibyśmy tu piekło. Ale jak mówiłem, nasz filipiński wół i tak narobi trochę bałaganu. A nas wyśle w kosmos, jeśli mu nie uciekniemy.

– Dobra, Berry. Ile mamy czasu, zanim to gówno nas dopadnie?

– Cyklony tropikalne wieją szybko, ale poruszają się wolno. Nie więcej niż dziesięć, piętnaście węzłów. Wedle moich szacunków Cimarón dotrze do japońskiego wybrzeża mniej więcej za sześć godzin.

– No to mu uciekniemy. To pudło może i jest stare, ale rozwija trzydzieści węzłów. Sto dwadzieścia mil morskich pokona w cztery godziny.

– Ale nie w taki sztorm. Jeśli osiągniesz marszrutę na poziomie dziesięciu węzłów, to i tak będzie bardzo dobrze. Więc raczej w dwanaście godzin.

– Czyli i tak mu nie zwiejemy.

– Nie, ale jeśli ruszymy natychmiast, to mamy pewną szansę przeżyć. Gdy nas dopadnie, będzie o połowę słabszy.

Jordan wstał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że podłoga chyli się to na jedną burtę, to na drugą. Huk objadających się o kadłub fal stał się jakby głośniejszy i bardziej złowieszczy. Śledczy bez słowa podniósł krótkofalówkę i wywołał kapitana:

– Kapitanie Funanori, proszę ogłosić alarm. Jednostka ma być gotowa do natychmiastowego wyruszenia w stronę Tokio albo nawet jeszcze bliższego portu, kiedy tylko wydam takie polecenie.

– Panu się zdaje, Jordan, że my tu nie wiemy, co się dzieje? Załoga zwarta i gotowa.

– Dzięki, kapitanie.

Jordan przypiął krótkofalówkę do pasa.

– Idę sprawdzić, czy Gross wyciągnął już z wody swoje zabawki. I natychmiast się stąd zmywamy.

ROZDZIAŁ 19

Wciąż jesteś całkiem niezły, Frank – pomyślał Frank Cane, wychylając gwałtownie ster wysokości. Leciwy dwupłatowy steerman z otwartą kabiną posłusznie zanurkował i Frank zobaczył zbliżającą się z ogromną prędkością ziemię. Pozwolił maszynie opadać przez chwilę. Miał nadzieję przestraszyć trochę tego japiszona siedzącego przed nim na siedzeniu pasażera.

Jednak japiszon nie wydawał się przestraszony. Owszem, okropnie się wydzierał, ale raczej z uciechy niż przerażenia. Frank ponownie szarpnął stery, maszyna wyrównała, a pół sekundy potem wyłożyła się na lewe skrzydło, ponownie spadając w kierunku ziemi, tym razem jednak bokiem. Japiszon zaryczał z radości.

Frank zauważył, że jego pasażer usiłuje zrobić sobie zdjęcie smartfonem. Uśmiechnął się podle. Zdjął moc z przepustnicy i ściągnął ster do siebie. Samolot stanął dęba, a przeciążenie wyrwało japiszonowi telefon z ręki. Frank był z siebie naprawdę zadowolony. Ale tylko na moment, bo jego pasażer wyciągnął z kieszeni drugą komórkę, zupełnie nie przejmując się tą, która za chwilę roztrzaska się o ziemię.

Dziwny gość – pomyślał Frank.

Od powrotu z Afganistanu w dwa tysiące dziewiątym roku zarabiał na życie, organizując przeloty widokowe nad Wielkim Kanionem. Jak miał szczęście, trafiały się nawet trzy kursy dziennie, ale zwykle szczęścia brakowało. A może była to po prostu kwestia jego fatalnej reputacji. No bo kto chciałby latać z ćpunem? Wszyscy w okolicy gadali, że Frank Cane daje w żyłę. I Frank Cane faktycznie dawał w żyłę.

Wyprostował maszynę. Ostatecznie japiszon zapłacił mu za lot widokowy. Dodatkowe atrakcje pilot zapewnił mu w ramach nieskrępowanej kreatywności, która jednak też nie pomagała w prowadzeniu biznesu. Frank nigdy się nie zastanawiał,

dlatego pasażerowie rzadko podają mu rękę na pożegnanie i dlatego nigdy, absolutnie nigdy, nie polecają go znajomym. Nie zastanawiał się, bo wiedział.

Ludzie nie lubili kreatywności podczas lotu widokowego. Zwłaszcza ci starsi. W zeszłym tygodniu na jednym z forów dotyczących lotów nad kanionem znalazł wątek zatytułowany: „Nigdy nie lataj z Frankiem Cane'em”.

To się nazywa sława – pomyślał, uśmiechając się w duchu.

Żółty stearman wyprodukowany w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku prowadził się jak tramwaj, ale Frank i tak go ubóstwiał. To była jedyna rzecz, o jaką w życiu dbał. Wypatrzył go lata temu na jakimś złomowisku. Odkupił za bezcen i niemal dekadę poświęcił na renowację.

Teraz, mając trzydzieści dziewięć lat, zdawał sobie sprawę, że przy życiu trzyma go tylko ta maszyna. Nie, nie chodzi o pieniądze, bo te i tak zarabował na żetony w kasynach Las Vegas, narkotyki albo – do czego wstydził się przyznać nawet przed sobą – dziwki. Te trzeciego, może czwartego sortu, bo lepsze były zarezerwowane dla dzianych gości lokalnych hoteli. Zresztą Frank miał trochę kasy zarobionej już po powrocie z Afganistanu. Przewiózł wtedy na pokładzie swojego samolotu pewien cenny ładunek, za co został dość hojnie wynagrodzony.

W tym wszystkim nie chodziło tylko o pieniądze. Raczej o sens życia, jakkolwiek pompatycznie by to zabrzmiało. Gdyby nie ta żółta kupa złomu, Frank nie miałby po co wstawać z łóżka. Uwielbiał się wzbijać w przestworza jeszcze przed świtem i obserwować wschód słońca. Niby nic takiego, a jednak to właśnie takie poranki dawały mu siłę, by jeszcze starać się trochę pożyć. Jeszcze chwilę. Tydzień.

Frank czuł nadciągającą śmierć. Zbliżała się wielkimi krokami. Nie łudził się, że kiedykolwiek odstawi prochy. Za głęboko w to wdepnął. Poza tym chyba polubił bycie na haju. Pomagało mu zapomnieć o wszystkim, co widział przez tamte dwa lata. A widział dużo. Afganistan to nie jest miejsce dla wrażliwych chłopaków.

Tydzień. Za tyle stracą ważność jego badania lekarskie. Jeśli ich

nie odnowi, nici z przedłużenia licencji. A jeśli straci licencję, zabrają mu samolot. Frank wiedział, że tak się właśnie stanie. Nie mógł po prostu pójść do lekarza. Niby co miałby powiedzieć, kiedy lekarz mu powie, że w jego organizmie znaleziono kontenerowiec heroiny? Jebany post panamax.

To, że mu zabrają licencję i samolot to jedno, ale w Nevadzie za latanie, gdy jest się pod wpływem narkotyków, można trafić do pudła. W Arizonie też. I w Kolorado. I w Utah. Czyli wszędzie tam, gdzie zarabiał pieniądze.

Kilka ostatnich tygodni Frank spędził na bezskutecznych poszukiwaniach lekarza, który wystawiłby mu lewe zaświadczenie. Zaczął od ekskluzywnych prywatnych klinik, gdzie za pieniądze można było kupić niemal wszystko, a skończył na lekarzach ćpunach, których uprawnienia do wykonywania zawodu wisiały na jeszcze cieńszym włosku niż jego licencja lotnicza. Jednak kiedy podczas weryfikacji wychodziło na jaw, że zaledwie dwa lata wcześniej Frank został zwolniony ze służby w USAF, rozmowa się kończyła.

„Wiesz – mówili – po tobie widać, że siedzisz w tym gównie od dawna. W Afganistanie też ćpałeś, no nie? A wojsko ma w swoich kartotekach wszystko. Wiedzą, że jesteś narkomanem. Ja ci wystawię zaświadczenie, ty się rozwalisz i kogoś zabijesz, a oni dojdą do tego, że ci na lewo podpisałem świstek. I ląduję w pierdłu. A w Nevadzie, gdyby się znalazł wyjątkowo upierdliwy prokurator, można za to nawet dostać zastrzyk. Nie, dzięki, stary. Musisz poszukać kogoś innego”.

Nie znalazł nikogo innego.

Tydzień. Tyle mu zostało. Trzy dni temu odwiedził go Dean Anders. Dawniej skurwiel z tego samego korpusu. Dziś urzędas na garnuszku jednego z senatorów Nevady. I jeszcze większy skurwiel. „Wiesz – powiedział, uśmiechając się podle – właściwie twój steerman jest już mój”.

Niedoczekanie twoje, Anders, ty przebrzydła gnido. Nikt nie będzie latał steermanem prócz Franka Cane'a.

Zawsze marzył o tym, by umrzeć w samolocie. I nie zamierzał z tego marzenia rezygnować.

Spojrzał na pasażera. Durny japiszon nie miał pojęcia, że w każdej chwili może zginąć.

Mógłbym cię teraz zabić – myślał Cane. – Wystarczy jeden ruch sterem. Twoja kolumna nie działa, nic byś nie mógł zrobić. A nawet gdybyś mógł, to i tak nie wiedziałbyś jak. Mógłbym cię zabić, japiszonie.

Ale Frank za bardzo kochał latać, by zrezygnować z ostatnich dni, które mógł spędzić w powietrzu.

Tydzień, Frank. Jeszcze tydzień.

ROZDZIAŁ 20

Jordan pchnął drzwi ładowni numer sześć. Odruchowo zakrył uszy. Dobywający się z pomieszczenia hałas zbudziłby kontyngent umarłych. Zszedł po schodkach z kratownicy. W głębi hali przy panelu sterowania siedział Gross. Na jego skupionej twarzy wyraźnie malował się niepokój.

– Gross! – krzyknął śledczy. – Gross!

– Nie usłyszysz cię. – Gall wyłonił się z mroku jak duch.

– Co ty tu, do cholery, robisz? Tu nie wolno wchodzić.

Aleks tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Ależ ty mnie potrafisz wkurwić, Gall. Nawet bardziej niż Halfield.

Statkiem bujało od dawna, ale tym razem zakołysał się nieco mocniej i Jordan na moment stracił równowagę. Upadłby, gdyby Gall go nie podtrzymał.

– Puść mnie. Musimy się stąd wynosić. Gross!

Podeszli bliżej. W końcu go znaleźli.

– Gross, masz swoje zabawki na pokładzie? – Jordan zdierał gardło, starając się przekrzyczeć huk morza.

– Jeszcze nie, szefie.

– To wyciągaj to wszystko z wody i spierdalamy z tego piekła.

– Ale *Deepy* właśnie ciągnie jeden z silników.

– Olej silnik, Gross. Jeśli zaraz się stąd nie wyniesiemy, to będziemy go sobie mogli obejrzeć z bliska. I wszystkie pozostałe też.

– Czyli co? Mam go wypuścić? Rozwali się.

– No nie wiem – wtrącił się Gall. – Rejestratory są w idealnym stanie. Wszystkie. Ale jak wykażą usterkę silnika, to będziemy musieli go obejrzeć. Im więcej ich wyłowimy, tym większa szansa...

– To tu wrócimy, jak sztorm nieco odpuści – przerwał mu Jordan – i wygrzebiemy to gównno z dna. Mamy zamiar, nic więcej

nam nie potrzeba. A teraz uciekamy. Nawet Japończycy robią się nerwowi.

– Ale ten silnik się roztrzaska, szefie – jęknął Gross.

– I tak jest już roztrzaskany. Ile ci zajmie wyciągnięcie go na powierzchnię?

– Pół godziny. Może dwadzieścia minut.

– Nie mamy tyle czasu. Wypuszczaj. Za dziesięć minut *Deepy* ma być na pokładzie. Bo jak nie, to ona też zostaje.

Gross spochmurniał, ale zabrał się do roboty.

– Co się dzieje, Jordan? Myślisz, że ten sztorm się nasili? – zapytał Gall.

– Nie myślę. Ja to wiem. Berry to świr, ale lepszego meteorologa nigdy nie znałem. Twierdzi, że wkrótce będziemy tu mieli coś, przy czym Katrina to pierdnięcie odrzutowca, czy jak on to tam określił. Nie mogę ryzykować życia moich ludzi.

Gall chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo w tej samej chwili rozległo się ogłuszające wycie alarmu.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Jordan.

– Siedem krótkich, jeden długi. Alarm ogólny. Wszyscy na pokład.

– To niemożliwe!

– Będziesz się kłócił z alarmem, Jordan?

– Idziemy na górę. Zobaczmy, co się dzieje.

– A Gross? – zapytał Aleks.

– Nigdzie się nie ruszę, póki nie wyciągnę *Deepy*! – wrzasnął Hans.

– Za trzy minuty widzę cię na górze – warknął Jordan. – Albo tej twojej *Deepy* nogi z dupy powyrywam.

– Kurwa mać! Dobra. Opuszczę ją na dno w trybie awaryjnym. Ale potem po nią wrócimy. Bo jak nie, to moja zemsta będzie straszliwa! Idźcie. Zaraz dołączę.

– Skoro możesz ją opuścić w trybie awaryjnym, to nie wyrzucaj silnika – powiedział Aleks.

– Tak dobrze to nie ma. Tryb awaryjny to tryb awaryjny. Wyłącza wszystko, co niepotrzebne. Chwyta też.

Wyszli z hali i ruszyli przez korytarz. Statek co chwila kładł się

to na jedną, to na drugą burłę, jednak do tej pory wychodził z przechyłów bez większych problemów. Kiedy weszli do przedziału maszynowego, minął ich starszy mechanik

– Na górę! Na górę! – wrzasnął całkiem przyzwoitą angielszczyzną. – No ruszcie się.

– A ty? – krzyknął Gall.

– Ja tu mam stanowisko w razie alarmu. Ale wy macie się zameldować na głównym pokładzie.

Wycie alarmu nie ustawało. Jordan i Gall puścili się biegiem przed siebie. Minęli przedział maszynowni, magazyn części i pomieszczenia załogi. Na klatce schodowej panował ruch, ale udało im się dostać na górę. W niewielkim holu przed drzwiami na główny pokład kłębił się już tłumek.

– Co się dzieje?! – krzyknął Jordan.

– Nie wiadomo – odparł spokojnie Logan. – Sprawdzają to. Alarm włączył się automatycznie.

– Gdzie reszta? Za dwie minuty mają... Hej, a ty dokąd?

– Wychodzę na pokład – odparł Gall, siłując się z okrągłym zamkiem zasuw. – Zobaczymy, może coś stamtąd zobaczę.

– Uważaj, żebyś nie wyleciał za burłę.

– Jasne.

Wyszedł na zewnątrz, a Logan zaraz za nim.

– Spójrz! – wrzasnął specjalista od ATC, wskazując palcem coś na horyzoncie. Gall go nie usłyszał. Huk zupełnie go ogłuszył. Ale zauważył gest Logana i skierował wzrok we wskazywanym kierunku. Ujrzał dziób japońskiego niszczyciela.

– Wali prosto na nas – szepnęła Logan, a nim zdał sobie sprawę, że Gall go nie usłyszy, przez odgłosy wściekłego oceanu przebił się potężny huk i *Dekishi* szarpnęła jak byk na rodeo. Gall upadł na pokład, a Logan poleciał do przodu, fiknął nad relingiem i poleciał w toń.

– Logan! – wrzasnął Aleks. Podniósł się i z całej siły uderzył w szybkę alarmu znajdującego się przy drzwiach. Syrena zmieniła ton. Damski głos syntezatora zaczął powtarzać jak mantrę: „Człowiek za burtą. Człowiek za burtą. Człowiek za burtą”. Gall skoczył do relingu i ujrzał Logana wiszącego na

najniższym szczeblu barierki.

– Jezusie – jęczał.

– Trzymaj się! – wrzasnął Gall.

– Strzelają do nas! – krzyczał specjalista od ATC. – Jebane żółtki napierdalają w nas torpedami!

Gall przechylił się przez reling i chwycił Logana za golf swetra. Ten jednak był w szoku i zupełnie nie współpracował. Aleks próbował szarpnąć, ale z każdym ruchem Logan coraz bardziej wysuwał się ze swetra.

– Poczekaj – usłyszał za sobą. A choć czyjś głos krzyczał z całych sił, Aleks nie był pewien, czy mu się nie przestyszało. Jednak sekundę później Jordan dopadł relingu, przeskoczył na zewnętrzną stronę i opuścił się rękami po szczeblach.

– Jordan, co ty wyprawiasz! – wrzasnął Aleks. – Zabijesz się, stary durniu.

Ale śledczy go nie słuchał. Jedną ręką wciąż trzymał się barierki, drugą już obejmował Logana, który mocno krwawił z głowy i sprawiał wrażenie nieprzytomnego. *Dekishi* pochyliła się mocno na burtę i przez chwilę życie Jordana i Logana zależało jedynie od mocy dłoni starego śledczego. Ten jednak był silny jak tur. Przeczekał. A gdy statek się wyprostował, Gall chwycił śledczego za ramię i z całych sił pociągnął do góry. Pomógł mu Depree, który niespodziewanie pojawił się na pokładzie. Wspierany przez dwie silne dłonie Jordan puścił barierkę i chwycił szczebel wyżej. Potem jeszcze wyżej. W końcu znalazł oparcie dla stopy, ale *Dekishi* znów poleciała na burtę, więc zawiśli z Loganem nad zupełnie już białym oceanem.

– Długo nie wytrzymam! – krzyknął Jordan.

– Zaraz cię wyciągniemy! – wrzasnął Manson. Specjalista od silników też w końcu zorientował się w sytuacji i przybiegł na pomoc. Był niewielkim mężczyzną. Najmniejszym i z pewnością najstarszym z nich wszystkich. Okulary, które korygowały mu poważną wadę wzroku, były kompletnie zaparowane. Ale Manson nie pękał. W ekipie nazywali go Charlie, od Charlesa Mansona, znanego seryjnego zabójcy. Podobno silnikowiec Jordana miał nawet większe jaja niż jego słynny imiennik.

W końcu wyciągnęli ich na pokład. Po chwili cała piątka znalazła się z powrotem wewnątrz nadbudówki, dysząc i krztusząc się niemiłosiernie.

– Jordan! – krzyknął Berry, który przybiegł z apteczką, i nim jeszcze mężczyźni zdążyli się pozbierać z pokładu, tamował krew lejącą z rozbitej głowy Logana. – Co się dzieje?

– Japońce do nas strzelają. Co z Boltonem i Grossem? I gdzie jest Halfield?

– Bolton pobiegł do ładowni Grossa. Trzyma tam rejestratory.

– Niech to szlag! – krzyknął Aleks. – Dawno pobiegł?

– Z minutę temu.

– Aleks, idź i sprawdź, czy nie potrzebują pomocy – wycharczał Jordan. – Ja poszukam Pauline.

– Dobra! – wrzasnął Gall.

Skoczył w kierunku klatki schodowej i zbiegł dwa poziomy niżej. Kołysanie stało się nie do wytrzymania. *Dekishi* musiała mocno nabierać wody. Kładła się na boki coraz gwałtowniej i nie ulegało wątpliwości, że wkrótce zabraknie jej sił, by się podnieść.

Wbiegł na kratownicę biegnącą nad maszynownią i zobaczył Boltona zeskakującego z drabinki na niższy poziom.

– Bolton! – wrzasnął.

Kobięcy głos powtarzał już tylko jedno: „Alarm szalupowy, alarm szalupowy, alarm szalupowy”. Bolton mijał uciekającą ze stanowisk załogę. Ignorował ich krzyki. W przedziale maszyny natknął się na bosmana Nittę Yoidesu, który siłą próbował go zmusić do powrotu na pokład.

– Bolton! – krzyknął Gall, dopadając szarpiących się mężczyzn.

Ira Bolton rzucił do bosmana kilka słów po japońsku. Potężny mężczyzna odsunął się i podniósł ręce w geście uległości. Bolton ruszył dalej.

– Co mu powiedziałeś? – zapytał Gall.

– Żeby spierdalał.

Komunikat się zmienił. Syntezator przestał ogłaszać alarm szalupowy, a zaczął powtarzać coś po japońsku.

– Niedobrze – rzucił Bolton.

– Co się dzieje?

– Za sześćdziesiąt sekund zaczną zamykać grodzie. Jak nie zdążymy, to po nas.

– Znasz japoński?

– Wiadomo – odparł, jakby to było coś normalnego.

– Muszę ci coś powiedzieć! O rejestratorach!

– Potem!

Nie było już czasu na zabawę. Aleks skoczył do przodu i niespodziewanie chwycił Boltona za kaptur bluzy, walnął nim o ścianę korytarza i chwycił za gardło.

– Wracamy – oświadczył, spoglądając przestraszonemu Boltonowi prosto w oczy. I choć zachowywał się bardzo spokojnie, w jego wzroku było coś takiego, że Ira nie zdobył się na słowo sprzeciwu.

I wtedy zgasło światło. Komunikat alarmowy urwał się w pół słowa i zrobiło się przerażająco cicho, jeśli nie liczyć huku morza uderzającego o burty. *Dekishi* zadygotała, zajęczała potwornie, a następnie wyłożyła się na burtę.

I już się nie podniosła.

Gall i Bolton upadli na coś, co przed chwilą było ścianą korytarza, a teraz stanowiło substytut podłogi. Dookoła wzbierała woda. Wszystkie odgłosy żywego, targanego codziennymi obowiązkami statku naraz zamarły. Słychać było tylko morze. Morze wszędzie dookoła. I ten przeraźliwy gwizd, jaki dobywa się z rur, gdy woda wypycha zgromadzone w nich powietrze.

– Co jest? Co się dzieje?! – wrzasnął Bolton.

– Leżymy na burcie! Spadajmy stąd.

– Bez rejestratorów nie wracam – powiedział Bolton. – Na tym statku mam tylko jeden obowiązek. Dbać o rejestratory. I nie mam zamiaru tego zawalić.

– Utopisz się, durniu! Zaraz zamkną grodzie.

– Obudź się, Gall! Nie zamkną grodzi. Elektryka wysiadła. Woda musiała zalać generatory. Nie zamkną grodzi. Pójdziemy na dno jak kamień.

– Dlaczego nie uruchomił się generator rezerwowy?

– Bo pewnie też jest już pod wodą.

Gall wyciągnął dłoń i namacał ścianę. Zaczął powoli przesuwać się w stronę wyjścia z przedziału.

– Idziesz?! – krzyknął do Boltona.

– Nic nie widzę!

– Ja też nie. Ale to jeszcze nie powód, żeby tu zdy...

Przelewająca się przez korytarz fala uderzyła go w plecy. Wywrócił się i woda porwała go ze sobą. Chwycił się kratownicy, którą jeszcze chwilę temu miał pod nogami, a która teraz stanowiła ścianę pomieszczenia.

– Bolton! Bolton!

– Gall! Jesteś tam? Wyrznąłem w coś. Chyba skręciłem nogę!

– Podpłyn do mnie. Poholuję cię.

Niespodziewanie ciemność korytarza rozświetlił silny promień latarki. Gall obrócił się i zobaczył Pauline płynącą w ich kierunku. Pędziła jak motorówka. Miała na sobie pomarańczowy strój ratunkowy.

– Halfield!

– Gall! Uciekajmy stąd!

– Co tu robisz? – zapytał Bolton.

– Bolton, to ty? Byłam sprawdzić, co z Grossem! – wykrzyczała Pauline. – Ale nie dostałam się tam. Wszystko jest już pod wodą! A wy?

– Rejestratory – rzucił Gall.

– Gross na pewno jest już na górze. Od strony rufy biegnie druga klatka schodowa – powiedziała Pauline, a głos jej się łamał ze zmęczenia i strachu. – Na pewno zabrał ze sobą rejestratory.

Sekcja dziobowa *Dekishi* powoli pogrążała się w wodzie, gdy wpłynęli do przedziału maszynowni. Tam Gall poczuł silny uścisk na ramieniu.

– Jesteś cały? – zapytał Nitta Yoidesu.

– Tak. Bolton jest ranny. Zajmiesz się nim?

Bosman puścił Galla i chwycił Irę, który syknął z bólu. Wszyscy razem podpłynęli do żelaznej kratownicy, która wcześniej stanowiła balustradę przepustu nad komorą silnika, a teraz wznosiła się nieco ponad lustro wciąż wlewającej się wody. Bosman wdrapał się na pomost i wciągnął na niego Boltona. Po

chwili dołączyli do nich Halfield i Gall. Tu woda nie sięgała. Można było iść, ale podłoga z każdą chwilą nabierała kolejnych stopni przechyłu, więc poruszali się powoli. Zwłaszcza Bolton miał problem, bo skrzycona noga nie dawała mu podparcia. Na szczęście wielki Japończyk służył mu pomocą.

Woda pod kratownicą bulgotała i wypluwała czarną maź.

– To mazut? – zapytała Pauline

– Ropa – odparł bosman. – Lepiej nie wpadnijcie.

Przebrnęli przez maszynownię i umiejscowioną za nią sekcję mieszkalną. Kratownica się skończyła. Ich oczom ukazała się na wpół zalana klatka schodowa.

– Teraz będziemy musieli popływać – zawyrokował Nitta. – Bolton, dasz radę czy mam ci pomóc?

– Pomóż.

– A wy? – Bosman objął Boltona wpół i niemal siłą ściągnął do wody.

– Damy sobie radę! – krzyknął Gall, pomagając wejść do wody Pauline. – Gdzie mamy płynąć?

– Na wysokości czwartego pokładu w burcie są drzwi techniczne. Musimy tam dotrzeć. Będzie ciężko. Połowa klatki jest już zalana, tam sobie przepłyniemy. Ale w drugiej połówce czeka nas wspinaaczka po balustradach.

Wpłynęli do klatki schodowej. Gallowi chwilę zajęło, zanim się zorientował, gdzie właściwie jest. Okręt leżał na burcie. To, co wcześniej było klatką schodową, teraz zamieniło się w stalowy labirynt do połowy wypełniony wodą. Przepłynęli wzdłuż pierwszej sekcji schodów, jednak druga znajdowała się teraz powyżej pierwszej i żeby się na nią dostać, bosman musiał wyteńczyć wszystkie mięśnie. A choć miał je twarde jak stal, udało mu się dopiero za trzecim podejściem.

– Nie ma szans, żebym tam wszedł – powiedział Bolton. – Już nie żyję.

– Nie maż się! – krzyknęła Pauline. – Zaraz będziemy na miejscu.

Ostrożnie przeszli po metalowej balustradzie i dotarli do końca sekcji. Bosman wskoczył do wody i zanurkował, żeby zapoznać się z sytuacją. Po chwili się wynurzył. Jego mina nie wróżyła nic

dobrego.

– Tędy nie przejdziemy. Zamknięte! Musimy wracać. – Usiadł na wystającej z wody poręczy. Wyglądał na zmęczonego.

– Co jest zamknięte? – zapytał Bolton. Dygotał z zimna i głos mu lekko drżał.

– Pomiędzy sekcjami schodów znajdują się wodoszczelne drzwi. Ktoś je zamknął.

– To je, kurwa, otwórz – rzucił Bolton, usiłując obudzić w sobie resztki agresji.

Tylko adrenalina mogła mu teraz uratować życie, a on czuł, że obojętnieje. Że cała ta sytuacja przestaje go obchodzić.

– Pod wodą? – zapytał Nitta. – Wiesz, co to jest ciśnienie hydrostatyczne?

– Taki wielkolud jak ty nie da rady? Nawet nie spróbowałeś – zauważyła Pauline.

– I bardzo dobrze, że nie spróbował – wtrącił się Gall. – I tak nic by nie poradził. A jak straci siły, to kto będzie holował Boltona?

– Jezu, przecież to jedyna droga – dodał Bolton, spoglądając na Japończyka.

– Czy ja wiem? – Halfield przecierała szczypiące oczy. – To główny pion. Musi tu być jakaś winda. Chociażby dla zaopatrzenia.

– Nie ma windy, bo zaopatrzenie ładuje się od góry przez luki ładowni – powiedział bosman. – Kawalek dalej jest kuchnia. A mesa znajduje się trzy pokłady wyżej.

– No to musi być winda kuchenna! – Gall chwycił Boltona za kaptur. – Idziemy!

Bosman złapał go za ramię.

– Poczekaj. Szyb windy jest na pewno zalany. A będzie trzeba się nim przedostać aż do mesy. To dobre piętnaście metrów pod wodą. Bolton nie da rady.

– Morda w kubeł! – krzyknął Bolton. – Nie zamierzam tu zostawać!

Kuśtykając, ruszył w stronę wskazaną wcześniej przez bosmana. Rękami rozgarniał wodę, zupełnie jakby płynął, zamiast poruszać się po dnie.

– W szybie jest bardzo wąsko! – ostrzegł go Nitta. – Nie da się poruszać rękami. Będziesz musiał płynąć, korzystając tylko z nóg.

– No to będę machać jedną. Lepsze to niż nic!

Poszli. Nagły przyptyw energii u Boltona zadziałał na nich mobilizująco, choć Gall wątpił, by specjaliście od rejestratorów starczyło jej na tyle długo, żeby przeżyć.

Dotarcie do kuchni zabrało im pięć minut i mnóstwo sił. Zaraz za progiem natknęli się na martwego pomocnika kucharza. Jego ciało unosiło się na cuchnącej ropą wodzie. Bosman przesunął zwłoki, by reszta mogła przepłynąć.

– Gdzie ta winda? – zapytał Bolton.

– Tutaj! – odrzyknął Nitta. – Ale otwór jest pod wodą. Trzeba będzie zanurkować.

– Płyn pierwszy – zarządził Gall. – Tylko ty wiesz, gdzie prowadzi ten szyb.

– Nie – odparł smutno wielkolud. – Ja z wami nie płynę.

– Ocipiałeś? – Bolton odbił się jedną nogą od dna i podpłynął do Nitty. – To jedyna droga.

– Spójrz na mnie, chłopie.

Wszyscy zamilkli, tymczasem huk morza, odgłosy pękającego i wyginającego się metalu stawały się nie do zniesienia. Wszędzie dookoła nich rozlegał się przerażający gwizd. To woda wypychała powietrze z popękanych rur.

– Ja tam się nie zmieszczę – ciągnął bosman. – Nawet jeśli jakimś cudem uda mi się przecisnąć przez wsad, to zaklinuję się w szybie. Gdybym popłynął pierwszy, wszyscy byśmy zginęli. Jeśli ostatni, to nie mielibyście odwrotu. A cholera wie, co jest po drugiej stronie.

– I tak nie będzie tam jak zawrócić. Jeśli po drugiej stronie nie ma wyjścia, to jesteśmy martwi. Możesz za nami płynąć – powiedział Bolton.

– Jeśli mam zginąć, to wolę tutaj niż w jakimś przeklętym, klaustrofobicznym szybie. – Nitta się uśmiechnął. – Poza tym jest jeszcze jedna droga, bardziej ryzykowna.

– O jakiej drodze mówisz? – zapytała Pauline.

– O tunelu wału. *Dekishi* to wielka buda i tunel też jest spory. Ma

dwa metry średnicy. Przedostaną się nim na rufę.

– Nie jest zalany? – zapytał Bolton.

– Tunel wału jest odizolowany. Tutaj jest wejście. W środku na pewno nie ma wody.

– To samobójstwo – ocenił Gall. – Jest odizolowany, więc jak zamierzasz się do niego dostać? Zresztą załóżmy, że ci się uda. To co dalej?

– Przy samej rufie jest inne wyjście. Jeśli uda mi się przedostać do śluzy, będę miał szansę.

– To cholernie dużo nurkowania.

– Nurkuję całe życie. Potrafię wstrzymać oddech na dziewięć minut.

– Tak, widziałem na siłowni.

– Wtedy mnie zaskoczyłeś. W wodzie jest inaczej. Wyciszam się i mogę płynąć, i płynąć. – Uśmiechnął się do nich, a potem niespodziewanie huknął: – Pospieszcie się! Macie jeszcze szansę, bo stare pudło leży na wodzie. Ale jak się obróci, to po was. Zamiast gadać, lepiej przewentylujcie płuca, czeka was długa wycieczka pod wodą. No już, do roboty. Otwór jest dokładnie tutaj. Widzicie ten przewód? Biegnie do panelu wsadowego.

– Moment – zreflektowała się Pauline. – Przecież gdzieś w tunelu musi być winda.

– Spokojnie. Winda to tylko kawałek rusztu leżący luźno na prowadnicach. Na pewno już dawno spadł, a jeśli nie, to bez problemu go wypchniesz. Ruszajcie.

– Ty ruszasz pierwsza, Halfield – powiedział Gall. – Musisz zlokalizować wyjście, otworzyć je i znaleźć miejsce, gdzie da się wypłynąć powyżej poziomu wody. Zakładam, że mesa zawalona jest stołami i innymi przeszkodami. Ja spróbuję poholować Boltona.

– Pamiętajcie, że w mesie nie ma okien – zaznaczył bosman. – Musicie otworzyć boczny właz.

– Płynę! – rzuciła Pauline.

Adrenalina powoli przejmowała władzę nad jej ciałem. Popatrzyła chwilę na Japończyka. Starła się zawrzeć w tym spojrzeniu całą swoją sympatię dla olbrzyma. W końcu machnęła

mu ręką na pożegnanie, wykonała kilka wdechów i po chwili zniknęła pod wodą.

- Dobra, Bolton. Teraz my. Czy też wolisz wał? – rzucił Gall.

- Bardzo śmieszne, kolego – odparł Bolton, nabierając powietrza.

- Płyńcie już, do cholery! – krzyknął bosman.

- Ty też – odrzekł Gall.

- Aleks...

- No?

- Nie zrobiłem nic złego. Przysięgam.

- Wiem, Nitta.

- *Ja mata*. – Odwrócił się i odpłynął w kierunku korytarza klatki schodowej.

- *Mata ne!* – zawołał w przestrzeń Gall i wyczerpał całą swoją znajomość japońskiego.

- *Itterasshai!* – dorzucił Bolton. – No dobra, Aleks. Wynośmy się stąd.

ROZDZIAŁ 21

Venom miał trzydzieści trzy lata, a zabójcą był od piętnastu. To znaczy płatnym zabójcą, bo wcześniej zabijał za darmo. Dla przyjemności albo dlatego, że ktoś go o to poprosił. Niby już w miarę pokojowy, a jednak wciąż pogrążony w chaosie Belfast sprzyjał dynamicznemu rozwojowi jego kariery.

Bardzo dobrze pamiętał pierwszą ofiarę. Nie dość, że protestant, to jeszcze zwykły gnój. Wielki facet. Uśmiechał się podle i chciał Venomowi – wówczas wątłemu smarkaczowi – przetrzepać skórę. Durny uśmiech na jego czerwonej od wódki gębie nie zniknął nawet po tym, kiedy chłopak wytlukł mu w czole dziurę świeżo skradzionym browningiem HP. Facet umarł w ułamku sekundy. A szkoda. Dopiero miałyby minę, gdyby się zorientował, że do pana Boga wysyła go jedenastolatek.

Venom szczycił się swoją przynależnością do IRA, nawet jeśli to nie była już ta IRA co w latach siedemdziesiątych. Zatem bez większych sprzeciwów dawał się wykorzystywać starszym kolegom i dowódcom. Przez kilka lat zabijał dwie, czasem trzy osoby w miesiącu. W końcu był Irlandczykiem. Zabijanie najeźdźców było jego obowiązkiem. Zresztą po prostu to lubił.

W wieku piętnastu lat otrzymał pierwsze zlecenie. Stuknął starego kierowcę autobusu, który nie wykazał zrozumienia dla sprawy. Odmówił przewiezienia za darmo dwóch prominentnych, choć kompletnie pijanych chłopaków z zarządu grupy operacyjnej. Podobno zaraz po tym, jak ich pogonił na kopach, krzyknął: „Pieprzyć Fine Gael!”. Nikt tego nie potwierdził, ale czy to ważne? Chłopaki z grupy operacyjnej przecież nie kłamią. Tak czy inaczej Venom dostał za niego dziesięć funtów.

Potem wykonywał różne zlecenia, jednak kiedy po porozumieniu wielkopiątkowym zdecydował się przyjąć zlecenie na swojego byłego dowódcę, i to od szycy z UVF, wiedział, że

jego czas w Ulsterze dobiegł końca. Dzięki nowym przyjaciołom trafił do Stanów. Potem znalazł innych nowych przyjaciół. A starych nowych zabił.

Venom lubił zabijać. Jednak gdyby ktoś go o to zapytał, zaprzeczyłby. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ludzie nie lubią zabójców. Mają ich za psycholi. A on nie był psycholem. Był zwykły. Normalny. Może jego praca była nietypowa, ale ludzi wykonujących nietypowe prace nie brakuje na świecie. Są przecież tacy, co testują zapach końskiego gówna, bo ponoć można coś tam z niego wyrabiać. Na tle tego typu specjalistów Venom nie czuł się szczególnie spaczony.

Mało kto w życiu spotkał płatnego zabójcę. A jeśli spotkał, to się nie chwalił. Albo ze strachu, albo już nie żył. Tymczasem ci w filmach albo są bogobojni i zabijają w ramach pokuty lub umartwiania się, albo są pozbawieni uczuć, pomijając uczucie parcia na pęcherz. No i prawie zawsze mają pierdolca na punkcie sztuki. Zwykle słuchają oldskulowego jazzu lub czystej klasyki.

Venom, pomimo dawnej fascynacji katolickimi ruchami narodowowyzwoleńczymi, nie odnajdował w sobie przekonania co do słuszności wyznawania jakiegokolwiek wiary. Nie był również przesadnie wrażliwy na sztukę. Czasem chodził do teatru. Wykonał tam trzy zlecenia. Klasyki nie słuchał. Nudziła go.

Spojrzał w lustro. Poprawił nieco krawat. Dziwnie się czuł w garniaku za dwa tysiące dolców.

Niby fajny, ale wyglądam w tym jak jakiś pieprzony japiszon.

Spojrzał na stygnące zwłoki Franka Cane'a.

Niby ćpun, ale wciąż naprawdę dobrze latał. Aż szkoda było go zabijać. Ale zlecenie to zlecenie.

Włączył galerię w smartfonie. Przejrzał zdjęcia z lotu. Uśmiechnął się. Nie mógł przegapić okazji, by przelecieć się stearmanem. Pierwszy i – Venom nie miał co do tego wątpliwości – ostatni raz w życiu.

ROZDZIAŁ 22

Bała się. Dookoła było zupełnie ciemno. Nie widziała absolutnie nic, zupełnie jakby była ślepa od urodzenia. I choć jak najszerzej otwierała oczy, czuła jedynie to szczypanie, spowodowane przez słoną morską wodę. Nie oddychała już od dobrej minuty. Całe życie pływała. Potrafiła pokonać pod wodą basen olimpijski, ale teraz niczego bardziej nie pragnęła niż jednego haustu powietrza. To tak bardzo kusiło. Ten wewnętrzny głos, który podpowiadał jej, że natychmiast, w tej chwili musi otworzyć usta. Musi. Bo zginie.

Powstrzymała się.

Wypłynęła z zatopionego szybu. Teraz była... No właśnie. Gdzie? Straciła orientację. Nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Woda wdzieriała jej się do nosa. Przypomniała sobie to wszystko, o czym akurat teraz nie powinna myśleć. Natrętne, nieistotne wspomnienia. Dawne problemy, stare zobowiązania. Coś, co dziś już nie ma znaczenia.

Uspokój się.

Jak to było na szkoleniu? Jeśli nie wiadomo, jak trafić na powierzchnię, można zrobić dwie rzeczy. Wypuścić bąbelek powietrza i zobaczyć, gdzie wypłynie. Bąbelek zawsze płynie do góry. Tego jednak zrobić nie mogła. Bo nic nie widziała. Zresztą ten jeden bąbelek mógł się jej jeszcze przydać. Mógł być tym, który zadecyduje o jej życiu.

Wybrała więc drugą możliwość.

Znieruchomiała. W końcu jej ciało zaczęło płynąć do góry. Powolotku, w kierunku powierzchni. Nie. Moment. To złudne uczucie. Pozbawione powietrza ciało opada na dno. A więc skoro płynęła do góry, to znaczy, że dno było na górze. Ale czy naprawdę aż tak bardzo straciła orientację? To niemożliwe. A może jednak?

Niech to szlag – zdążyła jeszcze pomyśleć.

Czuła zmęczenie. Zamknęła oczy. Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? I tak nic nie widziała, ale nieprzyjemne szczypanie natychmiast ustało. Mała rzecz, ale dodała jej sił.

Postanowiła zaufać samej sobie. Popłynęła w dół. Tam gdzie jej zdaniem powinna być góra.

Góra się jednak nie zjawiała. Przeszło jej przez myśl, że im mocniej pracuje, tym więcej zużywa energii. I tlenu, którego tak bardzo jej brakowało. A może... A może góry w ogóle nie było? Może całe pomieszczenie zalała już woda? Może już nigdy nie wypłynie? Przecież, do diabła, powinna już być na powierzchni.

Zdała sobie sprawę, że popełniła śmiertelny błąd. Popłynęła w złą stronę. Zatrzymała się. Chciała zawrócić, ale zabrakło już sił. To koniec.

Poczuła przejmujący chłód na twarzy. Jakby chłodny jesienny wiatr rzeźbił delikatne bruzdy w jej zmartwiałych policzkach. Czy tak właśnie się umiera? Delektowała się tym ostatnim bąbelkiem. Ach, jak dobrze, że go nie wypuściła. Nie chciała myśleć, co by było, gdyby go teraz nie miała.

Zaraz. Moment...

Jak to „jesienny wiatr”? Czyżby...

Uniosła dłoń, która wydała się dziwnie lekka. To niemożliwe. Czyżby była już na powierzchni? Otworzyła oczy. Niemal wypchnęła je z oczodołów, rozpaczliwie usiłując dostrzec cokolwiek. Ale nie zobaczyła nic. Zrozumiała, że nadszedł już czas. Że się dusi. Że musi nabrać powietrza.

Zaryzykowała. Zresztą nie miała za bardzo wyboru. Otworzyła usta i w jednej chwili poczuła, jak powietrze rozrywa jej płuca. Bolało. I był to najcudowniejszy ból w jej życiu.

Zakrztusiła się raz i drugi. Wypluła resztki słonej wody.

– Kurwa mać – wycharczała.

– Halfield!

– Bolton, to ty?

– Nie. Steve Wonder.

Zaśmiała się cicho, choć normalnie przewróciłaby jedynie oczami. To nie był jej ulubiony rodzaj poczucia humoru. Boltona zresztą też nie. On sprawiał raczej wrażenie mruka. Ale teraz

potrafiła go zrozumieć. Gdy człowiek rozpaczliwie walczy o życie, gdy jest przekonany, że to jego ostatnie chwile na ziemskim padole, i nagle, nieoczekiwanie wygrywa czasowe przedłużenie pobytu, endorfiny eksplodują w ciele jak wulkan, zalewając tętnice i żyły.

- Gdzie jest Gall? - zapytała.

- Tutaj - odezwał się głos za jej plecami.

- Kurde, Bolton - zaśmiała się dziewczyna - szczerze mówiąc, nie sądziłam, że dasz radę.

- I nie dałem. Ale Gall nie mógł sobie odmówić odrobiny heroizmu i mnie podholował.

- Niby jak? - zapytała Pauline. - Tam nie ma miejsca.

- Chwyciłem się jego nogi, a on wiosłował tą drugą. Silny z niego sukinsyn.

- Po prostu nie miałem miejsca, by cię kopnąć, żebyś puścił moją nogę. Rozpaczliwie się jej trzymałeś. - Aleks się zaśmiał.

Pauline odetchnęła.

- Zgubiłam latarkę w szybie - powiedziała.

- Wiem - odparł Gall. - Znalazłem ją. Ale do niczego już się nie nadaje. Najwyraźniej nie była aż tak wodoodporna, jak myśleliśmy.

- Drodzy państwo - wtrącił się Bolton - co teraz robimy?

Pauline usłyszała cichy plusk. Zrozumiała, że Gall gdzieś płynie.

- Mamy szczęście - odezwał się po chwili. - Mogę sięgnąć sufitu.

- Co to znaczy? - zapytał Bolton.

- Zaraz znajdę klapę, o której mówił Nitta, i wyniesiemy się stąd. *Dekishi* jest już mocno zanurzona. Musimy się śpieszyć. Bolton, podpłyn tu.

- Gdzie?

- Tutaj. Mam klapę. Musisz mi pomóc.

- Da się ją otworzyć? - zapytała Pauline.

- Jeśli tylko burta statku wciąż jest nad wodą. A to raczej pewne.

- Dobra. Jestem. Gdzie to pokrętko? - zapytał Bolton.

- Tuż nad tobą.

- Mam. W którą stronę?

- Przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Gotowy? Dawaj.

Pomieszczenie przeszły jęk. Pauline wzdrygnęła się, słysząc te odgłosy nadludzkiego wysiłku dwóch mężczyzn. Ale po chwili wyraźnie usłyszała też ciche skrzypienie.

– Mocniej, chłopaki! – krzyknęła. – To działa. Słyszę, jak się otwiera.

– Kurrrrrr... – zastękał Bolton – ...wa!

– Jeszcze trochę – wysapał Gall. – Razem. Gotów? Kręć!

Nagle zrobiło się bardzo głośno. Kłapa odskoczyła do góry i do pomieszczenia wdarło się przytłumione światło. I wiatr. Straszliwy wiatr.

Pauline podpłynęła do włazu. Podciągnęła się lekko. To, co ujrzała, sprawiło, że nagle odechciało jej się wychodzić.

Na zewnątrz szalał tajfun. I nigdzie nie było widać oceanu. Pod stalowosine niebo strzelały górskie szczyty. Ostre, nieregularne granie zakończone ginącymi w chmurach turniami. Wszystko falowało, a wzdłuż żlebów staczały się pienne lawiny. Pauline przypomniała sobie trzęsienie ziemi, które nawiedziło kiedyś jej miasteczko. Władze Teksasu mówiły potem, że to z powodu szczelinowania. Że tak musi być, jeśli nadal chcą wydobywać ropę i pozostać bogatym stanem. Pamiętała, że to właśnie wtedy zawałił się stary, opuszczony dziesiątki lat temu ratusz, w którym jako dzieciaki bawili się w chowanego. A to były jedynie trzy stopnie w skali Richtera. Teraz dookoła niej trząsał się cały świat. Aż ją zemdliło.

Gall odsunął ją delikatnie, chwycił rękami krawędzie włazu i wspiął się na burtę. Wiatr natychmiast pochwycił jego ciało i gdyby nie to, że trzymał się krawędzi włazu, już by go nie było.

– Gall! – zawołał Bolton. – Jesteś tam?

– Jestem! Wychodźcie na burtę. Ale ostrożnie. Jest ślisko i bardzo wieje.

Posłuchali. Najpierw Pauline. Potem Bolton. Jemu Gall musiał trochę pomóc.

– Ślisko? To prawie lód! – krzyknęła Halfield. – Nie ma szans, żebyśmy się utrzymali przy tej wichurze.

– Spójrz na morze – wtrącił Bolton. – Tam nic nie ma. Nikogo.

– Patrzymy na ocean w stronę stępki! – krzyknął. – Oni wszyscy

muszą być po stronie pokładu. Tylko tak mogli się uratować!

– Musimy się wspiąć po burcie. Kąt nie jest zbyt duży – powiedział Bolton.

– Nigdzie nie idę! – wrzasnęła Pauline. – Jest za ślisko. Spadniemy i się utopimy.

– Nie ma na co czekać, Pauline! – krzyknął Gall. – Ta krypa zaraz pójdzie na dno! A my razem z nią. Wessie nas jak odkurzacz. Musimy iść. Po nitach, to się nie ześlizgniemy. Po nich dotrzemy na górę. Mamy dziesięć metrów do pokonania!

– I co potem? Co nam to da? Leżymy na burcie.

– Jeśli ktoś przeżył, to tylko tam. Może zdążyli spuścić szalupę. Jakoś znajdziemy sposób, żeby zejść z burty.

– Nadbudówka ma zmienną szerokość – zauważył Bolton. – Im wyżej, tym jest węższa. Zejdziemy po niej jak po schodach.

– Niech was szlag! Jeśli skrucę kark, to... – Zamilkła na moment, spoglądając w niebo. – Słyszycie to?

Przez chwilę wsłuchiwali się w huk morza. A potem ujrzeli przebijający się przez chmury pomarańczowy kształt. Powoli przesuwiał się wzdłuż wraku, aż w końcu zawisł piętnaście metrów nad nimi. Sikorsky HH-60 jayhawk. Dudnienie przybierającego na sile Cimaronu zupełnie zagłuszyło dwa potężne silniki pracujące na pełnej mocy. Przesuwane drzwi boczne maszyny były otwarte. Gall ujrzał w nich przypiętego pasami Jordana. Miał na uszach duże słuchawki. Wskazywał ich palcem i wrzeszczał coś do mikrofonu.

Jayhawk to jedna z wersji słynnego blackhawka. Służy do operacji poszukiwawczych i ratunkowych. Sztormy takie jak ten były dla niego chlebem powszednim. Niczym nadzwyczajnym. By móc podejmować rozbitków przy wietrze wiejącym z prędkością przekraczającą sto kilometrów na godzinę, wyposażono go w najdoskonalszy na świecie system stabilizujący pozycję w zawisie. Ale mimo to śmigłowiec tańczył na wietrze jak epileptyk na imprezie dla seniorów.

W drzwiach pojawił się metalowy kosz, a po chwili obsługujący go członek załogi. Sprawdził uprząż, windę i naprężenie liny. Potem przekroczył próg maszyny i runął wprost w objęcia

tajfunu.

Pilot skorygował zawis. Jayhawk obrócił się lekko w prawo i ratownik zahuszał się tuż nad głową Halfield. Zwolnił blokadę i powoli zaczął zsuwać się w dół. Cimaron pochwycił go w swoje objęcia. Gall wątpił, czy mężczyźnie uda się bezpiecznie zjechać z koszem. Ten jednak po chwili był już na burcie. Musiał to robić w przeszłości. I to często. Wyciągnął dłoń z wyprostowanym kciukiem, jakby chciał powiedzieć do pilota: „Okej, jestem tu, wszystko się udało”. Helikopter ponownie skorygował zawis.

– Dwie osoby do kosza! – krzyknął ratownik łamaną angielszczyzną.

– Pauline, ty pierwsza. – Gall podał dziewczynie rękę.

Ta w końcu przemogła się i puściła krawędź otworu. Wiatr popchnął ją w kierunku stępki, ale czujny ratownik chwycił jej kaptur i umieścił dziewczynę w koszu.

Ratownik wypiął się z uprzęży. W tym czasie Gall podprowadził do kosza Boltona. Kiedy Ira zajął miejsce, ratownik zatoczył dłonią koło i załoga śmigłowca uruchomiła windę. Kosz zahuszał się na wietrze, ale pilot natychmiast wykonał kolejną korektę. Halfield spojrzała w górę. Próg jayhawka zbliżał się bardzo szybko. Pośród pasażerów dostrzegła Jordana i Berry’ego. W głębi siedział zupełnie mokry Dirt i Logan z obandażowaną głową. A kawałek dalej Depree, który jako jedyny uratował ze statku coś swojego. Na plecach miał niewielki czerwony plecak. Stary, mocno podniszczony, a przede wszystkim brudny, jakby metalurg nigdy go nie prał. Na podłodze pod ścianą leżał okryty kocem Manson. Specjalista od silników wyglądał na śmiertelnie wyczerpanego.

– Kto tam jeszcze jest? – Jordan usiłował przekrzyczeć tajfun i potężne silniki śmigłowca.

– Gall – odrzekła.

– Co?! – wrzasnął, zsuwając z uszu słuchawki.

– Gall!

– A gdzie Gross?

– Nie ma go tu?

– Jasna cholera, Halfield!

Pauline pokręciła głową. Jordan pomógł jej wysiąść z kosza. Zaraz za nią na pokład wygramolił się Bolton i obsługa ponownie wysłała kosz na dół. Specjalista od rejestratorów potknął się o coś.

– Ostrożnie! – krzyknął Jordan.

Pokład zawalony był żelastwem. Pod jednym z foteli Bolton dostrzegł trzy wysokie plastikowe pojemniki.

– Rejestratory! – krzyknął.

– Przyniósł je jeden z marynarzy. Musieliście się minąć – powiedział stary śledczy. – Mamy też jakieś serwozawory, kilka fragmentów poszycia i trochę innych gratów. Wzięliśmy, co się dało. Ale nie dało się zbyt wiele. Pilot się nie zgodził.

– Mamy paliwo? – zapytała Pauline, zdejmując z głowy pomarańczowy kaptur. Włosy miała zupełnie mokre i polepione w grube strąki. Usiłowała rozczesać je palcami, ale nie miała w nich czucia.

– Spokojnie – odparł Jordan. – Zatankowali po przylocie Galla. Bez problemów dotrzemy do Tokio. Ta maszyna ma ponad tysiąc kilometrów zasięgu.

– Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Wysłałem Galla za Boltonem i wtedy Funanori kazał nam natychmiast biec do śmigłowca. Załadowaliśmy żelastwo i jak tylko wsiedliśmy do środka, statek się przewrócił. Na szczęście w razie alarmu pilot natychmiast przygotowuje maszynę do lotu i zajmuje stanowisko w kokpicie. Dzięki temu mógł zareagować. Ale cudem oderwaliśmy się od pokładu.

– Jordan oczywiście nie chciał lecieć – wtrącił Depree. – Oznajmił, że wraca po was. Kiedy łajba się wykopyrtnęła, wpadł do wody. Musieliśmy go wyłowić. Mansona też.

– Nic mi nie jest – burknął stary śledczy. – A Manson trochę zmarzł i to wszystko.

– Widzieliście innych? – zapytał Bolton.

– Jeszcze nie. Muszą być po drugiej stronie wraku.

– Kosz na pokładzie – rozległo się za ich plecami.

Pilot zwolnił blokadę stabilizatora i maszyną szarpnęło w bok.

Gall wypadł z kosza.

– Patrz na to – rzucił Bolton, wskazując na czarne skrzynki. – Jakiś żołnierz przyniósł.

– Tylko trzy? – zapytał Aleks, gdy przestał się krztusić.

– Jedna poleciała do oceanu, jak *Dekishi* fiknęła – wyjaśnił Jordan.

– Siadać – zatrzeszczało w słuchawkach Jordana.

– Siadajcie, lecimy dalej – powtórzył śledczy, nasuwając słuchawki na uszy.

Zajęli miejsca. Śmigłowiec pochylił się nieco i ruszył do przodu. Gall wyrztał przez wciąż otwarte drzwi. Masywny kadłub *Dekishi* był niemal zupełnie zalany wodą.

– W ostatniej chwili – szepnęła Pauline, ale nikt jej nie słyszał.

Jordan ciężko dyszał, ale trwał na swoim posterunku, z nosem przyklejonym do szyby.

– Niech pan przeleci wokół wraku. Szukamy mojego człowieka – rzucił do mikrofonu. Przez chwilę słyszał tylko trzaski, a potem pilot odpowiedział:

– Lepiej, żebyśmy go szybko znaleźli, panie Jordan. Bo za siedem minut stąd odlatujemy.

– Gross to nie tylko mój człowiek, kapitanie. To przyjaciel. Nigdzie bez niego nie polecimy.

– Z kolei ten helikopter to mój przyjaciel, panie Jordan. Odlatujemy za siedem minut. Paliwo nie jest tak cierpliwe jak pan.

Pilot uznał rozmowę za zakończoną. Podkreślił nieco przepustnicę i jeszcze trochę opuścił nos maszyny, żeby pokonać opór stawiany przez wiatr. Jednocześnie ściągnął drążek sterowy. Helikopter pochylił się na bok i przeciął linię wiatru. Wiał im teraz w plecy, więc pilot ponownie podniósł nos maszyny, żeby spowolnić lot.

Przeszli ponad burtą oblanej białą kipiela *Dekishi*.

– Patrzcie! – krzyknął Logan.

Przywarli do okien. Śmigłowiec zatrzymał się i przeszedł w zawis. Kilkanaście metrów niżej nieliczna obsada niewielkiej metalowej szalupy z całych sił walczyła, by odepchnąć łódź od

kadłuba *Dekishi*. Nie mieli jednak szans z potęgą żywiołu. Każda kolejna fala ciskała szalupą o sterzcący pionowo pokład główny.

– Rozwalą się o to! – wrzasnął Jordan.

– Jak łajba się przekreśli, to ich wciągnie! – dodał Gall i zerwał śledczemu słuchawki z uszu.

– Kapitanie, mamy rozbitków w szalupie. Zaraz rozbiją się o wrak.

– Nie możemy ich podjąć – odparł krótko pilot. – Przeciążymy maszynę.

– A co możemy zrobić?

– Możemy ich odholować. Ale to oznacza, że wyczerpiemy rezerwę czasową.

– Jordan... – zaczął Aleks, ale stary westchnął tylko i machnął ręką. – Dobra. Do roboty, kapitanie.

Pilot ponownie przechylił jayhawk. Operator windy zwolnił blokadę i metalowa lina rozpoczęła wędrówkę w dół. Jeden z mężczyzn na łodzi wyciągnął dłonie, by ją chwycić, czego omal nie przypłacił życiem, bo lina popchnięta przez wiatr zatoczyła szerokie półkole, nabrała przyspieszenia i przemknęła tuż obok niego.

– Musi pan zejść niżej! – krzyknął Gall. – Trzeba wsadzić hak do wody i przeciągnąć w kierunku szalupy. Inaczej ich pozabijamy.

– Trzymajcie się! – odparł pilot. – Niżej będzie bardziej rzucało.

Zdjął moc z przepustnicy. Śmigłowiec obniżył pułap i hak na końcu liny uderzył o wodę.

– Podprowadźcie mnie – poprosił kapitan. – Niewiele tam widzę, a nie mogę się teraz obrócić. Mógłbym wkręcić linę w wirnik na belce.

– Jaki ma pan kurs? – zapytał Gall.

– Nos dokładnie zero-osiem-zero.

– No to mamy szalupę mniej więcej na dwa-siedem-zero.

Jayhawk zachwiał się i powoli ruszył do tyłu, zaczął przechylać się nieznacznie na lewą stronę. Śmigłowcem wstrząsnęła potężna turbulencja. Bolton upadł i zaklął. Manson przeturlał się na bok i Pauline o mało go nie nadepnęła.

– Wszyscy siadać i zapiąć pasy! – krzyknął Jordan, dopadając do

Mansona. – Halfield. Pomóż mi go przypiąć.

– Czym?

– Pod fotelem Boltona widziałem pasy. Przynieś je.

– Jeszcze, kapitanie! Jeszcze. Trzy metry. Dwa metry! – krzyczał do mikrofonu Aleks.

Lina uderzyła o bakburtę szalupy. Śmigłowiec wspiął się nieco i po chwili metalowy hak wynurzył się z wody. Jeden z rozbitków pochwyił go i szybkim ruchem wpiął w żelazną szekłę, przyspawaną do dziobu. Gall natychmiast to dostrzegł.

– Przepustnica na jedną czwartą, kapitanie! – wrzasnął Gall. – Są podpięci.

– Przepustnica jest na full. Nie mamy dość mocy. Jesteśmy za ciężcy.

– Jordan! – krzyknął Aleks. – Co możemy stąd wywalić?

– Wszystko, prócz rejestratorów!

– To do roboty. Tylko nie zabij tych na dole.

Lina naprężyła się i wielka maszyna powoli zaczęła odciągać szalupę od statku. Pilot delikatnymi ruchami steru i pedałów starał się kontrolować uderzenia zmiennego wiatru. Jordan z Depree wyrzucali żelastwo na zewnątrz, wprost w paszczę oceanu.

– Daleko jeszcze? – zapytał pilot. – Są za ciężcy. Nie mogę ich uciągnąć. Albo nas zaraz zatrzymają, albo hol szlag trafi!

– Kapitanie, lina w porządku – zameldował ratownik.

– Jeszcze chwila, kapitanie! – odkrzyknął Aleks. – Dwadzieścia sekund. Wtedy będzie można ich...

Zamilkł w pół słowa. Leżąca na burcie *Dekishi* wydała przeraźliwy jęk. Jak ranny wieloryb, świadom, że zaraz przyjdzie mu umrzeć. Aleks słyszał w swoim życiu wiele przerażających dźwięków, wiedział jednak, że odgłosy wyginanego i łamanego przez wodę kadłuba zapamięta do końca życia.

Wydarzenia jakby przyspieszyły. W jednej chwili znajdującą się wciąż nad powierzchnią rufową część okrętu gwałtownie pochłonęła woda. W tym samym momencie dziób poszedł ostro do góry i *Dekishi* stanęła dęba. Jeszcze przed chwilą mostek kapitański okrętu widoczny był od strony zadaszania, teraz

jednak wyraźnie pokazały się jego okna, w większości nienaruszone. Przez jedno z nich dało się dostrzec przypasanego do fotela kapitana Funanori. W dłoni trzymał grube kubańskie cygaro.

– Sukin... – zaczął Jordan, jednak nie skończył.

Dekishi zahuściła się na fali, po czym jej cielsko zaczęło się przechylać w stronę szalupy.

– Lina! – zawołał pilot. – Zwolnij linę!

Ratownik skoczył do windy. Jednak w tym samym momencie w śmigłowiec uderzyła potężna fala wiatru. Mężczyzna się zachwiał. Pauline rzuciła się do przodu i chwyciła go za szelki. Koreańczyk wypadł przez drzwi i zawisł na pasach.

– Człowiek za burtą! – wrzasnęła Pauline.

Aleks i Jordan w jednej chwili dopadli drzwi. Gall chwycił ratownika za kombinezon i próbował wciągnąć.

– Zwolnij tę pierdoloną linę! – krzyknął pilot. – Zwolnij, bo zaraz wszyscy zginieemy.

Pauline była najbliżej windy, ale już nie zdążyła nic zrobić. Ogromny kadłub *Dekishi* przewrócił się, nakrywając szalupę z rozbitkami. Ci, którzy na niej zostali, musieli ponieść straszną śmierć. Czterech zdążyło wyskoczyć z łodzi, ale ich wysiłek nic nie dał. Na wysokiej fali nie byli w stanie daleko odplłynąć. Fala cisnęła nimi o kadłub. Wessało ich pod wodę i żaden już nie wypłynął.

Ułamek sekundy później potężne szarpnięcie zważyło Galla z nóg. Upadając, uderzył twarzą o podłogę i stracił przytomność. Tonąca pod stalowym cielskiem okrętu szalupa pociągnęła śmigłowiec za sobą. Pilot natychmiast dodał mocy i to był jego pierwszy błąd tego dnia. I ostatni w życiu. Ściągana do tyłu maszyna stanęła dęba i zaczęła opadać belką ogonową w dół. Kapitan rozpaczliwie odepchnął od siebie drążek, ale było już za późno.

– Jezu Chryste – szepnął Logan i się przeżegnał. W tej samej chwili wszyscy odczuli silne uderzenie z tyłu śmigłowca.

– Co się stało? – wychrypiał Jordan.

Świat zakręcił się dookoła nich. Wiatr porwał włosy Pauline

i owinał je wokół jej twarzy. Nic nie widziała. Chwyła się czegoś. Jordan upadł na podłogę. Jedną ręką chwycił się fotela, drugą usiłował przyciągnąć do siebie nieprzytomnego Galla. Loganem cisnęło w Dirta, któremu buchnęła z twarzy krew. Depree złapał się uchwytu w burcie, ale nie zdołał się utrzymać na nogach. Wszystko to stało się w jednej chwili. Pasy przytrzymujące ratownika pękły i nieszczęśnik wyfrunął na zewnątrz. Nikt nie widział, co się z nim później stało.

Kapitan wciskał pedał w podłogę tak mocno, jak tylko mógł. Bez rezultatu. Z niedowierzaniem spoglądał na wyświetlacz wskazujący kierunek. Wskaźnik kursu kręcił się jak szalony. Sztuczny horyzont falował, wskazując to niebo, to ziemię. Komputer pokładowy przyjął w końcu do wiadomości, że sytuacja jest zła i aktywował wszystkie możliwe ostrzeżenia. Kabinę wypełniła kakofonia syren.

– Trzymać się! Nie mamy śmigła na belce! – wrzasnął pilot, szarpiąc drążkiem.

– W ogóle nie mamy belki! – krzyknął Jordan.

Pauline odsunęła włosy z twarzy i spojrzała przez otwarte drzwi. Świat wirował jak szalony. Udało jej się jednak wyciągnąć dłoń w kierunku windy. Chwyła zawleczkę blokady, nie wiedząc za bardzo, jaki przyniesie to efekt. Urządzenie rozpadło się i wypluło linę. Śmigłowcem ponownie szarpnęło. W niekontrolowanej rotacji przeleciał nad tonącym kadłubem, kierując się wprost na japoński niszczyciel. Kapitan ściągnął do siebie drążek tak mocno, że łopaty wirnika wychyliły się ponad maksymalną pozycję. Maszynę przewróciło na bok, minęła Japończyków i z impetem zaryła nosem w wodę. Zderzenie było potężne. Śmigłowiec w jednej chwili skapotował. Szyby wystrzeliły na zewnątrz, jakby zostały wybite silną eksplozją. Leżąc do góry kołami, zaczął tonąć.

– Gall! – wrzasnęła Pauline. – Żyjesz?

Nie odpowiedział. Leżał nieprzytomny pomiędzy powyrywanyimi fotelami. Kapitan zginął. Ciału przypiętemu do fotela brakowało głowy.

– Halfield, gdzie jesteś? – Jordan, brodząc po pas w wodzie,

wychylił się zza szczątków podwozia, które podczas uderzenia przebiło kabinę i wpadło do środka.

– Tutaj, szefie. Gall jest nieprzytomny.

– A Logan? Dirt?

– Są! – krzyknął Depree. Jego głos dobiegał jakby z innego świata, przytłumiony, ale dość wyraźny. – Poranieni, ale cali.

– Pod fotelami są tratwy! Znajdź je, Halfield – zarządził Jordan. – Szybciej, na litość boską!

– Łatwo powiedzieć. Pod fotelami, to znaczy gdzie? Leżymy kołami do góry.

W tym samym momencie pojawił się obok nich Depree. Trzymał się za rękę. Była złamana i sterczała pod nienaturalnym kątem, ale metalurg nie czuł bólu.

– Tratwa już otwarta! – krzyknął. – Wypadła przy zderzeniu i sama się otworzyła. Przywiązałem ją do kadłuba. Musimy się pośpieszyć. Śmigłowiec tonie. Berry wyciągnął Boltona. Są już w tratwie.

Pauline obserwowała, z jaką łatwością Jordan przerzucił Galla przez ramię. *Do diabła, ten stary dziad wciąż ma krzepę.*

Jordan był już w pół drogi do wyjścia. Depree wskazywał mu drogę.

– Rusz tyłek, Halfield! – krzyknął stary śledczy. – Nie chciałbym tu po ciebie wracać.

Pauline w trzech susach dogoniła resztę ekipy. Przez dziurę w rozszarpanym kadłubie zauważyła bujającą się na fali tratwę. Wyglądała solidnie. Przypominała wielki namiot, zabudowany i pompowany ze wszystkich stron. Składała się z niezależnych od siebie pneumatycznych paneli. Przebicie jednego czy dwóch nadal pozwalało rozbitkom utrzymać się na powierzchni.

Logan i Dirt przejęli nieprzytomnego Galla. Niewiele brakowało, a wysliznęłyby się im z rąk i wpadł do wody, jednak Depree w porę zaasekurował kolegów. Następnie wyciągnął dłoń w kierunku Pauline. Złapała go, wyciągnęła drugą rękę w kierunku Dirta. Ten chwycił ją i pociągnął ku sobie. Pauline znalazła się na tratwie. Wewnątrz było zadziwiająco sporo miejsca. Dziewczyna zwinęła się w kłębek obok Galla, który

powoli odzyskiwał przytomność.

Bolton mocno krwawił. Usiłował się wyrwać z uścisku Berry'ego i w końcu mu się udało. Kuśtykając, ruszył w kierunku śmigłowca.

– Dokąd?! – wrzasnął Jordan.

– Rejestratory. Nie zostawię ich.

Jordan kiwnął głową i ruszył za Boltonem. Wskoczyli do wraku. Woda sięgała im po pas i szybko jej przybywało. Bulgotała jak w kotle.

Bez problemu znaleźli pomarańczowe pojemniki z rejestratorami. Jordan chwycił dwa, Bolton jeden i rozgarniając wodę, ruszyli do tratwy. Drzwi jayhawka w połowie były już zatopione. Depree podał Boltonowi rękę i pomógł wdrapać się na tratwę. Potem obaj odebrali od Jordana rejestratory. Gdy było po wszystkim, Bolton wyciągnął w kierunku Jordana rękę. Ten ją chwycił, ale sekundę później puścił gwałtownie.

– Jordan, co ty wyprawiasz?

Śledczy spojrzał na swojego człowieka pustym wzrokiem.

– Kontroluj sytuację, Bolton – polecił. – Jak śmigłowiec opadnie pod wodę, odetnij linę, rozumiesz?

– Jordan, kurwa!

– Zrób to! Tam na pewno jest jakaś skrzynka, w której znajdziesz nóż.

– Jordan!

Śledczy już go jednak nie słuchał. W śmigłowcu było już tyle wody, że aby dostać się do środka, musiał zanurkować.

– Manson! – wrzasnął, gdy był już w środku. – Manson!

Nikt mu nie odpowiedział. Specjaliści od silników nigdzie nie było widać. Przypomniał sobie, że przed samą katastrofą przypasali go do fotela. Ale fotele oderwały się od podłogi, a gdy ich obicia nasiąkły wodą, stalowe obramowania pociągnęły je pod powierzchnię. Jordan zanurkował, ale pod wodą było tak ciemno, że niczego nie zdołał dostrzec. Z przodu maszyny tylko jeden fotel ostał się w podłodze. Zwisало z niego bezgłowe ciało pilota. Poniżej kłębiły się szczątki i Jordan ruszył w tamtą stronę. Rozgarniał resztki foteli i pozrywane elementy kadłuba. Gdy

udało mu się trochę uprzątnąć przejście, napotkał kolejną przeszkodę. Podłoga pomiędzy kokpitem a przedziałem dla pasażerów była zerwana. Zwisały z niej kolorowe kable. Było ich tak dużo, że wyglądały jak plastikowa zasłonka. Huśtały się popychane przez falę. Śledczy się zawahał. Wątpił wprowadzić, by kable wciąż były pod prądem, ale kto mógł to wiedzieć na pewno.

Jordan, durniu – skarcił się w myślach – stoisz po pas w wodzie. Gdyby tu było jakieś napięcie, to już byś nie żył.

Szybkim ruchem uderzył w kable, ale postawiły niespodziewany opór. W tej samej chwili poczuł coś dziwnego. Coś go uderzyło w goleń. Coś miękkiego, leżącego pod wodą.

Rzucił się na ziemię i natychmiast wymacał ludzkie ciało. Chwycił je mocno za koszulę. Poruszyło się, ale nieznacznie.

– Co jest, kurwa! – wrzasnął śledczy i przesunął dłonie w kierunku głowy topielca. I rozumiał. Szyję oplotła wiązka kabli. Musiała się zaplątać w szczątki foteli, bo była napięta jak struna.

– Zaraz cię uwolnię, słyszysz?

Manson był nieprzytomny. Jordan przyłożył mu dwa palce do szyi i zdawało mu się, że wyczuł puls. Ale trudno jest wyczuć puls pod wodą.

Chwycił kable w obie dłonie i na ślepo usiłował je rozerwać. Włożył w to wszystkie siły, ale nie osiągnął niczego.

– Manson, na Boga. Wytrzymaj! – wysyczał, podejmując kolejną próbę. Nie dopuszczał do siebie, że jego silnikowiec nie żyje. Na pewno da się go jeszcze uratować. Ile może leżeć pod wodą? Dwie? Trzy minuty? Ludzie przeżywali gorsze rzeczy.

Może po jednym? Wysuwał z wiązki kabel i spróbował go rozciągnąć. Plastikowa osłona ani drgnęła. Wydał z siebie przeciągły ryk, jakby miał sobie tym dodać siły. Wszystko na nic.

– Odsuń się – usłyszał nagle za sobą i czyjaś dłoń odepchnęła go na bok. Stał nad nim Gall. Wyglądał upiornie. Twarz miał czerwoną od krwi, a jego broda wyglądała jak jeden wielki skrzep. W dłoniach trzymał nóż.

– Gall? Jesteś cały? Twoja twarz...

– Szczypie – przyznał spokojnie Aleks i upadł na kolana obok Jordana.

– Ma kable owinięte wokół szyi.

Gall wymacał kabel. Potem przesunął dłonią wzdłuż niego, by znaleźć dogodne miejsce do cięcia. W końcu znalazł. Pięć sekund później silnikowiec był wolny. Wyciągnęli go ponad wodę. Jego twarz była sina.

– Szybko, Gall. Trzeba... – Dopiero teraz się zorientował, że woda sięga im po szyję. – Jezu, utopimy się tu.

– Mamy kilka sekund, Jordan.

Chwycił Mansona za bluzę i pociągnął w kierunku wyjścia. Stary śledczy ruszył za nimi. Drzwi nie było już widać.

– Nurkuj – zażądał Aleks.

– Nie ma mowy. Najpierw ty z Mansonem.

Gall nie chciał się kłócić. Nabrał powietrza i wypłynął, holując za sobą silnikowca. Jordan odczekał sześć sekund i zanurkował. Przepłynął przez wejście, ale nie miał pojęcia, co dalej. Otaczała go ciemność. Śmigłowiec był już pod wodą. Ta niewielka ilość powietrza, która w nim została, nie mogła już równoważyć ciężaru zbierającej się we wraku wody. Poczul szarpnięcie. Wyciągnęli go za koszulę. We dwóch. Gall i Bolton. Pauline robiła masaż serca Mansonowi. Asystowali jej Dirt i Logan.

Było jej zimno. Dopiero teraz zdała sobie sprawę jak bardzo. A przecież jako jedyna zdążyła włożyć strój ratunkowy. Reszta musiała cierpieć katusze. Logan i Berry nie mieli nawet butów. Gall trząsał się jak w febrze. Zdawałoby się, że o tej porze roku ocean będzie ciepły, w tym rejonie świata jest całkiem ciepły. Nic bardziej mylnego. Zimne prądy nie wybaczą nieszczęśnikom, którzy wpadną do wody.

Skup się.

Zwiększyła częstotliwość ucisków. Wiedziała, jak to robić. Całe życie pływała. Przez chwilę nawet dorabiała jako ratownik na miejskim basenie w Bostonie. Wtedy gdy musiała zrezygnować z kelnerowania. Ale Manson nie reagował i powoli zaczynała wątpić, czy cokolwiek zdziała. Co chwila ktoś na nią wpadał, ponieważ tratwą strasznie rzucało.

W końcu zrozumiała, że nie tylko nie uratuje Mansona, ale być może sama zginie.

ROZDZIAŁ 23

Harvey Bird osłaniał się eleganckim czarnym parasolem. Jednak jego drogi letni płaszcz, oczywiście również czarny, nasiąkał wodą jak gąbka. Bird czuł jego ciężar.

Spoglądał na prosty betonowy nagrobek i czuł żal. A może raczej wyrzuty sumienia? Wspominał córkę, kochaną małą Weronikę. A także jej matkę. Piękną kobietę, którą życie potraktowało wyjątkowo podle, stawiając na jej drodze Birda.

Dawniej nie był tym czarującym, romantycznym mężczyzną, za którego dziś go uważano. Dopiero Weronika go odmieniła. Była jego najwspanialszą nagrodą i najstraszliwszą karą. Tylko dzięki niej po latach potrafił jeszcze zmierzyć się z własnym odbiciem w lustrze. Jednocześnie, kiedy patrzył, jak córka dorasta, odczuwał nienawiść do siebie samego. Nienawiść tak intensywną, że powodowała fizyczny ból serca. Być może dlatego był już po dwóch zawałach.

Przychodził na ten cmentarz w każdy piątek od czterech lat. Gapił się na płytę i zastanawiał, jakby to było, gdyby swego czasu nie okazał się takim kretynem. Z pewnością inaczej. I nie musiałyby zrobić tego, co będzie musiał zrobić dziś wieczorem. I jutro wieczorem. I pojutrze zapewne też.

Dyskretnie spojrział w bok i zauważył mężczyznę, który go śledził. Stał ukryty za drzewem i robił zdjęcia. Czy naprawdę ten biedny frajer nie zdaje sobie sprawy, że Bird odkrył jego obecność już wiele tygodni temu? Tak naprawdę w każdej chwili mógłby podejść do niego, wyrwać mu aparat, a w razie potrzeby nawet spuścić łomot. Wiek wiekiem, ale na takiego cieniasa krzepy mu jeszcze z pewnością wystarczy. Ale obecność fotografa leżała w interesie Birda.

– Wszystko idzie zgodnie z planem, Weroniko – rzekł cicho i dotknął dłonią płyty nagrobka. – Już niedługo odpłacę im za to, co nam zrobili.

ROZDZIAŁ 24

To cud, ale Manson przeżył. Pozostali również, prócz Grossa, którego uznano za zaginionego. Jordan bardzo odczuł jego stratę. Wyciągnęła ich załoga japońskiego niszczyciela. Manson trafił do pokładowego szpitala, z którego wyszedł już po dwóch godzinach. Prócz tych ze śmigłowca żołnierze podjęli jeszcze rozbitków z drugiej tratwy. Sześciu koreańskich marynarzy. Funanori nie zamierzał kolejny raz tracić *Dekishi*. Poszedł na dno wraz z nią. Nitty Yoidesu nie odnaleziono.

Japończycy nie mieli wyboru. Cimaron był tuż-tuż. Pozostało im uciekać na południe. A na Iwo Jimę mieli bardzo blisko.

Ekipę poszukiwawczą przewieziono do bazy Japońskich Morskich Sił Samoobrony, a to zapowiadało spore kłopoty.

I kłopoty nadeszły. Jeszcze pierwszego dnia.

– Dzień dobry – powiedział major Hosuto, siadając przy stole. – Miło mi pana poznać osobiście, panie Jordan. Przez Skype’a nie wyglądał pan na tak wielkiego faceta. Kim jest pana towarzysz?

– To Aleksander Gall. Mój współpracownik.

Siedzieli w sali odpraw. Po jednej stronie Jordan i Gall. Stary śledczy uparł się, by go zabrać na spotkanie. Po drugiej stronie Hosuto, który wyraził na to zgodę. Za jego plecami stało trzech żołnierzy ubranych w czarne mundury i marynarskie czapki. Jeden z nich, ten pośrodku, miał na twarzy paskudną bliznę. Wpatrywał się w Galla wyzywająco. Aleks wytrzymał, a tamten uśmiechnął się tylko. W bardzo nieprzyjemny sposób.

– Gratuluję panom owocnych poszukiwań – rzekł Hosuto. – Oddaliście wielką przysługę rządowi Japonii.

– Chyba się przesłyszałem – wypalił Jordan.

– Nie. Nie przesłyszał się pan. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że rejestratory zostaną u nas.

– I co pan z nimi zrobi? Potraficie je odczytać?

– Każdy dureń potrafi, panie Jordan. To wspaniałe urządzenia.

Zapisują tysiące parametrów. Ale odczytać je można za pomocą zwykłego laptopa. O ile ma się odpowiednie oprogramowanie. A my je mamy.

– Odradzam to panu – powiedział Aleks. – W świetle tego, co się stało, zostanie pan posądzony o fałszowanie zapisów. Przecież pan to wie.

– W świetle tego, co się stało? Co pan ma dokładnie na myśli?

– To, że odmówiliście współpracy.

– Jak już wspomniałem, podejrzewamy, że mamy do czynienia z aktem terroru. Nasza konstytucja daje nam prawo do przejęcia śledztwa.

– Jakiego śledztwa? – Jordan się zaśmiał. – Minął tydzień, a wy wysłaliście jeden statek. Ten, który nas potem ostrzelał.

– Milczeć! – wrzasnął Hosuto. – Japońscy marynarze, ryzykując życie, wyciągnęli was wszystkich z wody. Nie ma pan prawa wysuwać takich absurdalnych zarzutów.

– Ależ mam prawo, majorze. Byłem na tym statku. Wiem, co się stało.

– Najwyraźniej pan nie wie. Nasz okręt nie zaatakował *Dekishi*. Mieliśmy was jedynie eskortować.

– I ukraść nam rejestratory – wtrącił Jordan.

– Rejestratory należą do nas. To wy próbowaliście je ukraść.

– Dlaczego nie wyszliście w morze, majorze Hosuto? – zapytał Aleks.

– Zrobiliśmy wszystko, co należało.

– Gówna prawda! – krzyknął stary śledczy. – Siedzimy w bazie, która znajduje się zaledwie trzysta kilometrów od miejsca wypadku, i nie wysłaliście nawet jednego statku na pomoc. Nie mówię o śledztwie, tylko o poszukiwaniach.

– Myli się pan. Zaraz po wypadku wysłaliśmy w powietrze wszystkie samoloty, jakie mieliśmy. Ale nie wiedzieliśmy, gdzie szukać. Lataliśmy przez całą dobę. Aż do awarii, o której już panowie wiecie. Sami szukaliście wraków przez tydzień, choć mieliście skaner.

– Który nam... – zaczął Jordan, ale Aleks pokręcił głową. Śledczy zrozumiał. Gra się zaczęła. Teraz trzeba ważyć słowa.

– Zapewniam panów, że zależy nam na wyjaśnieniu tej katastrofy tak samo jak wam. Ale mam swoje rozkazy. Dlatego powtarzam. Rejestratory zostają u nas.

– Wobec tego żądam samolotu – powiedział Jordan. – Chcemy natychmiast lecieć do Waszyngtonu.

– Obawiam się, że to obecnie niemożliwe.

– Czyli jesteśmy więźniami?

– Skądże. Ale jak pan zapewne zauważył, mamy dość nieprzyjemną pogodę. Nie zamierzam ryzykować życia któregokolwiek z moich pilotów. Nasza stacja meteorologiczna informuje, że Cimaron zatrzyma was na naszej wyspie jeszcze przez trzy dni. Potem dostaniecie globemastera i polecicie, dokąd zechcecie. Bez rejestratorów. Czy to wszystko?

– Nie. Chcę jeszcze raz porozmawiać z kontrolerem.

– To niestety również nie będzie możliwe. Doi Kigen nie żyje. Popełnił samobójstwo.

– Co takiego?

– Rzucił się pod metro, panie Jordan.

– Pod metro? – zdziwił się Aleks. – Takie, co jeździ w podziemnych tunelach, do których zwykły śmiertelnik nie ma dostępu?

Hosuto wyraźnie się zmieszał, ale nie stracił rezonu.

– Powtarzam panu, co mi powiedziano. Jasne?

– Jasne, jasne. – Aleks wybuchnął śmiechem, a żołnierz z blizną wykonał krok w przód. Hosuto powstrzymał go jednak zdecydowanym ruchem dłoni.

– Co pana tak bawi? – zapytał.

– Pan, majorze. Te starania, wciskanie nam tych bzdur. Ale słabo to wypada. Widzę wahanie w pana oczach. Sam pan się zastanawia, o co tu chodzi. Zapewniam, że odkryję prawdę. Chce pan, bym wtedy do pana zadzwonił?

– Spotkanie zakończone – oznajmił Hosuto, ale nie ruszył się z miejsca. Aleks zrozumiał, że to oni muszą wyjść.

– Chodź, Jordan – rzucił i podniósł się z miejsca. – Odwiedzimy Depree? Podobno jest już po operacji. Wszczepili mu do ręki jakieś śruby.

– Dobra myśl – odparł śledczy.

Gdy wyszli, żołnierz z blizną zbliżył się do dowódcy.

– Panie majorze, mogę mówić otwarcie?

– Mówcie.

– Nie powinniśmy pozwalać, by wróg zwracał się do nas w taki sposób.

– Amerykanie nie są naszymi wrogami, sierżancie Yōko.

– Może teraz nie. Ale to tylko kwestia sojuszy wynikających z ekonomii. Szczególnie tu, na Iwo Jimie, powinniśmy o tym pamiętać.

Było przeraźliwie duszno. Klimatyzacja nie działała od dwóch dni i Hosuto pocił się jak w saunie. Przetarł dłonią twarz.

– Sierżancie Yōko – powiedział powoli. Był zmęczony. Śmiertelnie zmęczony. To wszystko trwało już za długo. I nie wiadomo było, ile jeszcze będzie się ciągnąć. – Jesteście tutaj zaledwie od trzech dni i już chcecie mnie pouczać?

– Przepraszam, panie majorze.

– Zapamiętajcie: jeśli Amerykanom spadnie włos z głowy, to osobiście doprowadzę was pod sąd. A teraz możecie odejść.

Yōko nawet nie mrugnął. Zsalutował tylko i skierował się do wyjścia. W progu poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń. Obrócił się. Był to jeden z towarzyszących mu szeregowych.

– Panie sierżancie – szepnął konspiracyjnie, a nieudolna próba ukrycia uśmiechu nadała jego twarzy diaboliczny wyraz. – Czy słyszał pan może o tunelach Iwo Jimy?

ROZDZIAŁ 25

Minęła dziesiąta wieczorem i Pauline odłożyła książkę, którą pożyczyła z należącej do bazy biblioteki. Mieli tu całkiem duży zbiór angielskich tytułów. Wzięła jakieś romansidło. Lubiła czasem przeczytać coś lekkiego, a przecież jak każda romantyczna dziewczyna od dziecka marzyła o prawdziwej miłości.

Cimaron w końcu odpuścił i następnego dnia mieli lecieć do domu. Japończycy nie sprecyzowali godziny, ale Pauline na wszelki wypadek wołała się wcześniej położyć. Jednak sen nie nadszedł. Po godzinie przewracania się z boku na bok wstała z łóżka i wyjęła z szafy jedyne ubranie, jakie tu dla niej znaleźli. Czarne dżinsy i czarną, nieco za dużą bluzę z kapturem. Nienawidziła czarnego.

Ubrała się i poszła do pokoju obok. Do Aleksa.

Zaskoczyło go, że przyszła, ale ją wpuścił. Nie miała w tej wizycie żadnego celu. Ot, po prostu chciała otworzyć do kogoś usta. Pogadać trochę o tym, trochę o tamtym. O paskudnym jedzeniu czy Japończyku z blizną na twarzy, który już dwukrotnie starał się sprowokować Aleksa.

Okolo północy ktoś zapukał. Spojrzeli po sobie. Aleks wzruszył ramionami, wstał i otworzył drzwi. Na progu stał Depree.

– Siema – rzucił i postąpił krok do przodu, ale zatrzymał się, gdy ujrzał Pauline. – O sorry, bracie, nie wiedziałem, że nie jesteś sam. To już mnie nie ma.

– Nie wygłupiaj się. – Pauline zaśmiała się krótko, by ukryć zmieszanie. Przez głowę jej przeszło, że jeśli się zaczerwieniła, to jutro przy śniadaniu nasłucha się uszczypliwości. – Wejdz. Tylko gadamy.

– No dobra. Zresztą może to i lepiej, że jesteście tu oboje.

Wszedł do środka, zamknął drzwi i spróbował zdjąć swój czerwony plecak. Szło mu opornie, bo jedną rękę miał

zagipsowaną od nadgarstka aż do stawu barkowego. Aleks mu pomógł.

– Wszystko dobrze?

– Nie, raczej nie. Jak masz trzy śruby w rękę, to raczej nie jest dobrze. W dodatku jutro znów idę pod nóż. Muszą mi wstawić jakąś płytkę.

– Przecież jutro lecimy do Stanów.

– Wy leciecie. Ja zostaję jeszcze dzień. A potem mnie odstawią do Tokio.

– Słabo. – Pauline się zmartwiła.

– Chcę wam coś pokazać – zmienił temat Depree, rozpinając zamek plecaka, a właściwie rozszarpując go, bo suwak chodził strasznie opornie. W końcu udało mu się wydobyć z czeluści kawałek powyginanej blachy. Była wielkości małego laptopa, cienka w przekroju i o poszarpanych krawędziach. Powierzchnię miała powyginaną i porozrywaną, ale bez wątpienia dawniej była gładka i wypukła. Jedna z krawędzi została tak przetrącona, że dałoby się oderwać fragment wielkości karty do gry.

– Co to jest? – zapytała Pauline.

– No właśnie. Myślałem, że może wy mi powiecie. Nie potrafię zidentyfikować tego fragmentu. Wiem na pewno, że to aluminium.

– W GB91 jest sporo aluminiowych elementów.

– Tak – zgodził się Depree. – Jakies dwadzieścia procent. Ale dużo więcej tam polimerów. Na przykład włókien karbonizowanych i szklanych, lepionych poliestrami i poliuretanami. To ponad pięćdziesiąt procent. I z tego w większości składa się kadłub. Tymczasem to tutaj to na bank jakiś element zewnętrznego poszycia.

– Skąd to masz? – zapytał Aleks.

– Ukradłem. Wiesz, my, czarni, zawsze kradniemy.

– Ha, ha, ha. – Aleks przewrócił oczami, a Pauline udała, że ziewa.

– No bo się głupio pytasz. Gross to wyłowił, a ja zabrałem.

– Ale dlaczego akurat to?

– Bo ten fragment wydaje mi się ważny. Spójrzcie. Widać, że był

wypukły i został zmiażdżony. Niemal na pewno miał kształt wycinka kuli. Coś jak dekiel samochodowy albo miska kuchenna. Od strony wierzchołka musiała zostać przyłożona ogromna siła. A jednocześnie jest porozrywany i wygląda to trochę jak po wybuchu. Tyle że tutaj siła została przyłożona od drugiej strony. Krótko mówiąc, ten element został zniszczony z dwóch stron naraz. I to pobudza wyobraźnię. Uszkodzenia od wierzchołka mogą sugerować, że jest to dokładnie punkt zderzenia, a uszkodzenia od wewnątrz wyglądają tak, jakby tam coś eksplodowało.

– Myślisz, że to bomba? – zdziwiła się Pauline.

– Nie wiem. Niekoniecznie. Jeśli element był hermetyczny, to równie dobrze mogło go rozwalić ciśnienie. Ale w tej chwili nie mogę wykluczyć wybuchu. Porobię swoje testy, a potem oddam to wszystko do zbadania specjalistom od materiałów wybuchowych.

– A to się w ogóle da jeszcze wykryć? Woda tego nie zmyła?

– Nie – odparł Aleks. – Jeśli zostały jakieś ślady, to spektrometr ruchliwości jonów je wykryje. Ant, czy możesz mi oderwać ten wystający fragment? Mam swojego człowieka w Atlancie. Zrobię badania na własną rękę.

– Da się zrobić. Ale sam to musisz zrobić. Wiesz, ręka.

Aleks pokiwał głową. Odebrał od Depree żelastwo, chwycił za końcówkę naderwanego fragmentu i próbował go przełamać. W końcu skręcił element w najcieńszym miejscu i połączenie wreszcie się poddało. Wsadził urwany fragment do kieszeni, a resztę oddał Antwone'owi, który natychmiast schował wszystko do plecaka.

– Jak wrócę do Stanów, to przeszperam dokładnie katalogi części. Straciłem na *Dekishi* laptopa i obecnie jestem w dupie. Nic nie mogę zrobić.

Chwilę jeszcze pogadali, a potem Depree stwierdził, że już późno i czas iść spać. Pauline mu zawtórowała, pocałowała Aleksa w policzek na pożegnanie i wyszła za metalurgiem.

Serio? Buziak w policzek? Jak kolegę ze studiów? Pauline, co ty wyprawiasz – skarciła się jeszcze w drzwiach.

- Ja w lewo - oznajmił Depree, gdy tylko wyszli.

- A ja w prawo - rzuciła i na wszelki wypadek jego też cmoknęła w policzek. Może dzięki temu nie będzie za dużo paplać ozorem przy śniadaniu.

- Rany - powiedział tylko, dotykając twarzy opuszkami palców.

- Dobranoc, Antwone.

Odwróciła się i szybkim krokiem skierowała do swojego pokoju. Droga zajęła jej dziesięć sekund. Otworzyła drzwi kluczem, a gdy je pchnęła, usłyszała za sobą kroki.

Kogo to diabli niosą o tej porze?

Wskoczyła do pokoju i przymknęła drzwi, zostawiając niewielką szparę do obserwacji. W bladym świetle wiszącej na kablu żarówki ujrzała czterech japońskich żołnierzy. Nie spodobali jej się. Głównie dlatego, że dwóch z nich niosło pistolety z tłumikami.

Na moment ogarnęła ją panika. W tej części bazy znajdowały się pokoje gościnne. Prócz nich nie było tam nikogo. Do kogo więc oni idą z bronią?

Odpowiedź poznała sekundę później. Usłyszała walenie do sąsiednich drzwi.

- Otwierać! - krzyknął po japońsku żołnierz.

Przez chwilę nie słychać było zupełnie nic. W końcu jednak zamek zgrzytnął, drzwi lekko zaskrzypiały i przytłumiony głos Aleksa zapytał:

- O co chodzi?

- Pójdzie pan z nami.

- Nie wydaje mi się.

- Stanowczo nalegam - odparł żołnierz, a Pauline zrozumiała, że w tym momencie Aleks stoi w progu swojego pokoju, a do głowy ma przystawioną broń. Jakby na potwierdzenie jej przypuszczeń drzwi Aleksa trzasnęły, a po korytarzu ponownie rozniósł się odgłos kroków. Szybko zamknęła swoje drzwi. Serce waliło jej w piersi jak subwoofer na transowej imprezie.

Nie, to niemożliwe. Nic mu nie zrobią. Nie wytłumaczyliby się z tego.

Sama nie wiedziała, dlaczego otworzyła drzwi i poszła za nimi.

Stąpała jak najciszej. Na szczęście odgłosy ich kroków słyhać było z daleka. Kawalek przed nią korytarz skręcał w prawo i wiódł wprost do wyjścia z budynku. Doszła do zakrętu i przywarła do ściany, nasłuchując, co się dzieje. Ale panowała cisza. Tamci najwyraźniej minęli już drzwi i byli na zewnątrz. Rzuciła się biegiem do wyjścia. Uchyliła drzwi i ich zobaczyła. Dwóch żołnierzy trzymało Galla, który jednak nie próbował się wyrwać. Ten trzeci na wszelki wypadek ubezpieczał kolegów z pistoletem w rękę. A ostatni gdzieś zniknął. Ale tylko na moment. Kilkanaście sekund później wrócił. Siedział za kierownicą czegoś, co przypominało jej humvee, ale miało na masce znaczek toyoty. Pauline знаła się na samochodach. Ojciec kazał jej się uczyć symboli. Nigdy nie rozumiała po co. W tylnej części auta nie było szyb.

Kierowca wysiadł z auta, obszedł je i otworzył drzwi. Ten z pistoletem powiedział coś do Aleksa, a ten spokojnie wsiadł do samochodu. Zupełnie jakby jechał na przejażdżkę, a nie ruszał dokądsz z porywaczami w samym środku nocy.

Zauważyła to już dawno. Ten człowiek nie miał układu nerwowego. A jeśli miał, to korzystał z niego nader rzadko. Zawsze zachowywał spokój. Gdy umierali ze strachu, walcząc o życie na *Dekishi*, on sprawiał wrażenie, jakby pływał w basenie. „Hej, czy ktoś widział moje klapki?” Fascynował ją. Nie potrafiła go rozgryźć. Ale z pewnością zawdzięczała mu życie.

Toyota ruszyła, a Pauline została.

Rozejrzała się wkoło. Kawalek dalej, przy rampie załadunkowej, stał rower. Na oko miał z pięćdziesiąt lat i przestraszyła się, że będzie skrzypieć. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Już zamierzała zrezygnować, gdy światła stopu toyoty rozbłysły intensywną czerwienią i auto zatrzymało się przy ruinach starej willi niedaleko głównego wjazdu do bazy. Przejechało zaledwie czterysta metrów. Najwyraźniej tamci czterej nie chcieli, by ktoś ich widział spacerujących z więźniem po głównej ulicy bazy. Głównej i oświetlonej.

Oświetlony nie był za to zagajnik biegnący równoległe do drogi. Pauline wahała się chwilę, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

Wskoczyła między drzewa i pognęła w kierunku ruin. Gdy dobiegła na miejsce, przykucnęła za grubym pniem dawno przekwitłej wiśni, niewątpliwie sztucznie wyhodowanej, jak zresztą cały zagajnik. Japoński żołnierz, zwłaszcza ten, który służy na odcinku odległym o tysiące kilometrów od Tokio, zdaje sobie sprawę, że jego życie dalekie będzie od tego, jakie wiódł w domu. Co jednak nie oznacza, że ma rezygnować z uczestnictwa w Hanami, dorocznym święcie kwitnących wiśni. Na takie poświęcenie żaden Japończyk by się nie zdobył.

Przed wejściem do ruin pozostawili żołnierza. Jednego z tych uzbrojonych w pistolet. Ale zrobili to chyba z przyzwyczajenia. Nie spodziewali się kłopotów. Żołnierz wyjął papierosa i chwilę pomocował się z zapalniczką, bo choć po Cimaronie zostały zaledwie wspomnienia i kilka tysięcy domostw bez prądu na japońskim wybrzeżu, to wciąż jeszcze wiało na tyle mocno, by zdławić płomień. W końcu jednak mężczyzna zaciągnął się papierosem. Potem jeszcze raz. Usiadł na kamiennych schodkach.

Łatwizna – pomyślała Pauline. Wciąż kryjąc się między drzewami, przeszła wzdłuż ruin. Boczne ściany miały niespełna dwa metry wysokości. Wszystko, co wyżej, zostało zniszczone, zapewne jeszcze w trakcie amerykańskiego desantu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Japończycy nieprzesadnie przykładali się do rewitalizacji wyspy. Podobno w lesie na północ od lotniska wciąż leżą pozostałości wraku transportowego douglasa C-124A, który w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku rozbił się tam zaraz po starcie z pasa 07. A ta willa nie miała tylnej ściany.

Pauline wzięła głęboki oddech i szybko przebiegła przez drogę. Nie bała się, że żołnierz ją spostrzeże. Wciąż siedział z papierosem w ustach pod frontową ścianą i nie mógł widzieć Pauline. Musiałby wstać, zrobić kilka kroków i spojrzeć na drogę przebiegającą wzdłuż ściany, a z pewnością tego nie zrobi. Stanie na czatach traktował raczej jako chwilę odpoczynku niż poważne zadanie. Ale Pauline bała się, że przebiegając przez oświetloną drogę, zwróci uwagę jakiejś innej pary oczu. Ktoś z pewnością patrzył. Nie wiedziała tylko skąd i w którym kierunku.

Zaryzykowała. Puściła się biegiem i dopadła ruin od strony dawno zarośniętego ogrodu. Jak najciszej weszła do budynku i skryła się za jedną z na wpół zawalonych ścian nośnych. Na parterze nie było nikogo. A pierwsze piętro nie istniało. Nie wiedząc, co o tym myśleć, zrobiła jeszcze kilka kroków w głąb budynku i ujrzała schody wiodące do piwnicy. Zrobiła krótki bilans zysków i strat. Co mogła zyskać? Co mogła stracić? Stracić mogła życie. Zyskać... No właśnie. Po co właściwie tu przyszła? Co prócz ciekawości miałyby spowodować teraz podjęcie tak wielkiego ryzyka?

Nie potrafiła na to odpowiedzieć, więc po prostu udała, że nie padło takie pytanie, i ruszyła w stronę piwnicy.

Gdy dotarła na dół, czekała na nią kolejna niespodzianka. Piwnica nie była duża. Zachowując środki ostrożności, spenetrowała ją w pół minuty. W głębi na jednej ze ścian znalazła niewysokie drzwi. Były otwarte. Za nimi rozpościerał się tunel. Trudno było dostrzec, jak jest długi, bo widziała zaledwie kilka metrów. Te, które oświetlało światło latarni wpadające do środka przez dziury w fasadzie. Reszta pogrążona była w mroku. Za to bardzo dobrze słyszała walenie kilku par ciężkich wojskowych butów o drewnianą podłogę. Zastanawiała się, jak to możliwe. Przebicie się przez zagajnik zajęło jej dobre dwie minuty. Kolejne dwie dotarcie do tego miejsca. Tamci najwyraźniej na kogoś tu czekali. Innej możliwości nie było.

By wejść do środka, musiała się pochylić. Nie była zbyt wysoka, ale te drzwi skonstruował chyba karzeł. Na szczęście dalej trochę się poprawiło. Wzięła głęboki oddech i ruszyła przed siebie.

Aleś ty głupia, Halfield – powtarzała sobie w duchu, ale szła. Od czasu do czasu podłoga pod jej butami zaskrzypiała cicho. Zatrzymywała się wtedy, by posłuchać, czy się nie zorientowali, ale nie. Szli spokojnie. Sami zresztą hałasowali jak oddział marines na paradzie z okazji Dnia Niepodległości.

Czuła, że się do nich zbliża. Serce zaczęło jej bić szybciej.

Uspokój się. Oni nie wiedzą, że tu jesteś. Nie spodziewają się ciebie. Będzie dobrze.

W końcu dostrzegła poświatę, jaką roztaczały dokoła ich silne

wojskowe latarki. Zwolniła jeszcze trochę. Gdy tunel skręcił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, znowu zrobiło się ciemno. Przysunęła się bliżej ściany, by wyrzeć za róg.

A za rogiem znajdowało się duże pomieszczenie zakończone drzwiami. Stali przed nimi w sześciu. Gall, czterech jego porywaczy i jeszcze ktoś. Ów ktoś poświecił sobie latarką po twarzy.

– Poznajesz mnie? – zapytał Aleksa po angielsku.

– Coś mi świta.

Uderzenie. Charakterystyczny plask, jaki powoduje otwarta dłoń, która z ogromnym impetem zderza się z czymś policzkiem. Zakryła usta, by nie krzyknąć. Ona również poznała tego człowieka. Widywała go już wcześniej. Miał paskudną bliznę na policzku. Sierżant Yōko.

Wydał żołnierzom jakąś komendę. Ludzie rozmawiający po japońsku zawsze sprawiają wrażenie, jakby krzyczeli. Ten jednak chyba ze złości naprawdę krzyczał. Dwóch żołnierzy chwyciło brutalnie Aleksa za ramiona, wprowadziło do ukrytego za drzwiami jasno oświetlonego pomieszczenia i rzuciło na stojące przy stole krzesło. Ten z blizną przyglądał się temu wszystkiemu, a uśmiech, który wypełził mu na twarz, bardzo się Pauline nie spodobał. Żołnierze wyszli na zewnątrz. Zaczęła się krótka wymiana zdań. Yōko przez chwilę coś tłumaczył, pozostali sprawiali wrażenie, jakby chcieli protestować. W końcu jednak pokiwali głowami, odwrócili się na pięcie i ruszyli w kierunku wyjścia.

W kierunku Pauline.

Zrobiło jej się słabo. Nie miała gdzie się ukryć. Nawet gdyby teraz puściła się biegiem do drzwi, to i tak by nie zdążyła. Musiałaby przebyć dobre dwieście metrów. A oni do załomu, za którym się skryła, co najwyżej dziesięć. Zresztą od razu by ją usłyszeli.

Odruchowo przywarła do ściany i zapadła się w niewielką wnękę. Ściany tunelu były nierówne i popękane. Ale wnęka była za płytka, by się w niej schować. Zobaczą ją, a wtedy...

Chyba że...

Czarne dzinsy. Czarna bluza. Nienawidziła czarnego. To się jednak mogło wkrótce zmienić. Szybko zarzuciła kaptur na głowę, skrywając pod nimi jasne włosy, a potem odwróciła się twarzą do wnętrza i wtuliła w nią tak mocno, że poczuła, jak drobne, zatopione w betonie kamyczki przecinają jej skórę na policzku. Tamci dochodzili już do zakrętu. Na początku narożnik zapewni jej ochronę. A potem, przy odrobinie szczęścia, jeśli będą świecić prosto przed siebie, zamiast rozglądać się na boki, być może uda jej się pozostać w mroku.

Gdy usłyszała, że mijają zakręt, wstrzymała oddech. Kiedy człowiek usiłuje być tak cicho, jakby wcale nie istniał, zawsze mu się wydaje, że powoduje niewiarygodny hałas. Choć rozmawiali ze sobą dość głośno, bała się, że usłyszą jej oddech. Ale nie chciała wstrzymywać powietrza. Wprawdzie potrafiła to robić przez trzy minuty, ale nie miała pojęcia, co się stanie. Jakie dostali rozkazy. Może miną ją i zatrzymają się o metr obok, czekając, aż ich dowódca skończy to, co zaplanował. Wtedy gdy skończy jej się powietrze, w końcu będzie musiała go nabrać, a jej niedotleniony organizm zażąda zwiłokrotnionej dawki życiodajnego gazu. Zakrztusi się, będzie dyszeć, a oni ją natychmiast usłyszą. Nie, wstrzymywanie oddechu to niedobry pomysł. Lepiej go uspokoić. Ale jak, do cholery, uspokoić oddech, przy stu pięćdziesięciu uderzeniach serca na minutę?

Tymczasem oni przeszli. Nie zauważyli jej. Nim ochłonęła, byli już dziesięć metrów od niej.

Uwielbiam pieprzony czarny!

Zostało jej tylko błyskawicznie skryć się po drugiej stronie zakrętu. Zrobiła to natychmiast i niewiele brakowało, a by wpadła. Bo gdy to zrobiła, zauważyła zamykające się drzwi do pomieszczenia, w którym fanatyk z blizną więził Aleksa. Najwyraźniej nie poszedł do niego od razu. Najpierw upewnił się, że tamci wyszli.

Podbiegła do drzwi. Zostały zbite z kilku desek. Musiała uważać, bo dziury pomiędzy nimi były tak wielkie, że mogła przez nie obejrzeć całe pomieszczenie. Widziała Aleksa wpatrującego się spokojnie w sierżanta i sierżanta gapiącego się spokojnie na

Aleksa. A skoro ona ich widziała, oni mogli zobaczyć ją.

– Co tak długo? – zapytał Aleks. – Spodziewałem się, że szybciej mnie tu zaprosisz.

– Powiem ci, jak to będzie wyglądać. Spuszczę ci teraz ostry wpierdol. Wiesz, taki, żeby nie było widać. Żebra, brzuch, jaja. Jak skończę, będziesz się słaniać na nogach. Potem cię tu zostawię, a jak moi ludzie po ciebie wrócą, będą mieli problem, by cię odtransportować na górę. Taki będziesz obolały. Niemal nieprzytomny.

– Coś jeszcze?

– Nie. To wszystko.

– Da się zrobić – odparł Aleks i niespodziewanie się roześmiał.

– Ciszej, na Boga! Bo cię usłyszą.

– Skąd się tu, do cholery, wziąłeś?

– A jak myślisz?

– On cię przysłał.

– Ta-dam. – Żołnierz z blizną wykonał gest, jakby żonglował niewidzialnymi piłeczkami.

– Ale skąd wiedział? Nawet ja się nie domyśliłem, że nas wywiozą na Iwo Jimę.

– Baldur się domyślił. Sam wiesz, jaki on jest. Pewnie coś ustalił.

– No tak. Cały Baldur. Zawsze dwa kroki przed tobą. Fajna blizna.

– Daj spokój. Ma taką facet, pod którego się podszywam. Codziennie muszę poświęcić godzinę, by to gówno założyć na twarz. Dobrze, że mam jednoosobową kwaterę. Ale to prędzej czy później się wyda. Dlatego zwijam się stąd, jak tylko wylecisz.

– Od dawno tu jesteś?

– Zjawiłem się dwie doby przed tobą. Było trochę kłopotów.

– Domyślam się. Dobra, sprawa jest prosta...

– Wiem, czego potrzebujesz. Rejestratorów. Załatwię to. Wasz samolot już czeka na płycie. Wylecicie rano. Na szczęście przez ten tajfun nie zdołali jeszcze wywieźć rejestratorów. Ale wiem, że planują to zrobić jutro.

– Przed naszym odlotem czy później?

– Później.

– No to sprawa jest prosta. Wiesz, gdzie je trzymają?
– Nie martw się.
– Nie martwię się, od kiedy pierwszy raz cię tu zobaczyłem.
– No, ba! – Tym razem to żołnierz się zaśmiał, ale szybko zasłonił usta dłonią. – Dobra. Idę stąd. Pamiętaj. Jesteś ledwo przytomny.

– Tak, tak. A przy okazji: nie miałem pojęcia, że mówisz po japońsku.

– Mówię w szesnastu językach, Aleks. Płynnie. I potrafię udawać akcent.

– Ale nie wiedziałem, że po japońsku też.

Zbliżył się, a Pauline uskokczyła w bok. Pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Potem niespodziewanie się odwrócił, bo Aleks coś jeszcze za nim krzyknął. Przez chwilę słuchał, a potem odparł:

– To będzie dość trudne. Wykraść rejestratory to kaszka z mleczkiem, ale to? Duże ryzyko. Muszę działać szybko.

Znów kilka słów od Aleksa.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał w końcu żołnierz. – Aleks... Uważaj na siebie. Ta sprawa cholernie śmierdzi.

Zamknął drzwi i ruszył korytarzem. Zdawała sobie sprawę, że na jego końcu spotka się z żołnierzami. Zastanawiała się, czy powinna tu zostać i spróbować gdzieś się ukryć. Nie miała jednak za bardzo gdzie. Ten ze sztuczną blizną szedł po omacku, bez latarki. Ale ci, co wrócą po Aleksa, będą je mieli i natychmiast ją wypatrzą.

Na pewno nie siedzą przy drzwiach tunelu – pomyślała. – Raczej na zewnątrz. Tam gdzie ten pierwszy. Nie wiedzą, jak długo przyjdzie im czekać. Może pałą papierosy. Cholera.

Ruszyła za tajemniczym znajomym Aleksa. Uznała, że w razie czego po prostu się ujawni. A on będzie musiał coś wymyślić. Nie był tym, za kogo się podawał. I teraz miał więcej do stracenia niż ona.

Mężczyzna dotarł do drzwi. Pchnął je i wyszedł do piwnicy. Pauline zaraz za nim. Tak jak przypuszczała, piwnica była pusta. Ruszył schodami na górę. Ona za nim. Skręcił w kierunku drzwi wejściowych, a ona przeskoczyła załom i pobiegła w stronę

ogrodu. Gdy ponagleni przez dowódcę żołnierze wchodzili do piwnicy, przecinała już jezdnię i po kilku sekundach znalazła się w zagajniku. Była bezpieczna.

ROZDZIAŁ 26

Wylecieli o dziewiątej rano i trzy minuty później dotarli do Waszyngtonu. Były to jednak najdłuższe trzy minuty w życiu. Trwały trzynaście godzin. Pauline czuła nadciągający jetlag i z tego powodu znacznie jej się pogorszył humor. Gdy Gall poinformował wszystkich, że nieoczekiwanie rejestratory znajdują się na pokładzie samolotu, bo przekupił kogo trzeba, i gdy oni wszyscy zareagowali entuzjastycznie, ona nie zareagowała w ogóle. Nie chciała za szybko ujawniać tego, co wie. Takie asy warto trzymać w rękawie do samego końca. Jedno było pewne. Nikt z nich nie miał pojęcia, kim tak naprawdę był ten dziwny brodac.

Międzynarodowy Port Lotniczy Dullesa w Waszyngtonie przywitał ich niechętnie. Z powodu gęstej mgły lotnisko zamknięto zaraz po świcie. O ósmej rano operacje wznowiono, ale przy wykorzystaniu tylko jednego pasa, przez co utworzył się ogromny korek na podejściu i ich samolot musiał pół godziny wisieć w holdingu. Jordan piekielnie się tym zirytował. Postarzał się w ciągu ostatniego tygodnia. Pauline była pewna, że to przez śmierć Grossa. Jej szef był naprawdę silnym człowiekiem, ale każdą skałę można skruszyć.

Lotnisko i kwaterę główną NTSB na L'Enfant Plaza dzieliła odległość nieco ponad pięćdziesięciu kilometrów, które dzięki szybkiej trasie Dulles Toll Road mogliby pokonać w czterdzieści pięć minut. Mogliby, gdyby nie mgła otulająca ich tak szczelnie, że zdawało się, jakby w ich aucie nie było szyb. Jechali już od godziny i nie minęli nawet Reston. Agencyjny chevrolet suburban spokojnie mieścił osiem osób. Halfield, Logan i Dirt przysypiali. Bolton gapił się w okno. Manson, cały i w zadziwiająco dobrej kondycji psychofizycznej, czytał książkę. Ile to się od niego nasłuchali głupich tekstów o drugim życiu, szansie od Boga, której nie zamierzał zmarnować, i w ogóle będzie teraz innym

człowiekiem. Acz bynajmniej nie kartkował teraz Biblii, tylko jakiś tani horror kupiony na lotnisku. Depree miał do nich dołączyć dopiero nazajutrz, jeśli Japończycy w ogóle go wypuszczą. Z całą pewnością będzie musiał odpowiedzieć na kilka nieprzyjemnych pytań dotyczących zniknięcia rejestratorów.

No i Gall. W ogóle się nie odzywał, a Jordan nie zamierzał go ciągnąć za język. Wiedział, że ten człowiek mówi tylko wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia. A czasami nawet wówczas milczy.

Kierowca, wysłany przez samego szefa Skinnera, sprawiał wrażenie zestresowanego. W pewnym momencie wyciągnął telefon i zaczął gdzieś dzwonić. Jego zachowanie działało Jordanowi na nerwy. Stary śledczy kolejny już raz układał sobie w głowie fakty.

Japończycy zrobili wszystko, by utrudnić im poszukiwania. I prócz pytania „dlaczego?” rodziło się jeszcze jedno: „kto?”. Aż tak szeroko zakrojoną akcję musiano zaplanować na samych szczytach władzy. Najpierw awaria systemów, potem odmowa współpracy, sabotaż i podmiana skanera, asysta niszczyciela rakietowego, a w końcu... Nie. Co do tego akurat Jordan wierzył majorowi Hosuto. Japońscy żołnierze do nich nie strzelali. To nie miało żadnego sensu. Mogli ich spokojnie aresztować i bez tego. Gdyby im zależało na rejestratorach, toby je sobie po prostu wzięli. A gdyby zależało im na ich śmierci, to nie wypuściliby ich z wyspy. Cimaron stanowił doskonałą sposobność, by upozorować wypadek. Nie, tam się musiało stać coś innego. Tylko co? Statki tak po prostu się nie wywracają. Nawet w paskudną pogodę. Wszystko to bardzo Jordana niepokoiło. Czyżby na starość wdepnął w jakieś wyjątkowo śmierdzące gówno? No i jeszcze ten nieszczęsny kontroler. Rzucił się pod metro? Nonsens. Umysł Jordana pracował na najwyższych obrotach, choć śledczy był bardzo zmęczony. Skoro awarii uległy skomplikowane systemy sterowania ruchem lotniczym, zaprojektowane przez Ministerstwo Obrony, to już wiadomo, gdzie szukać winnego. Pytanie tylko, czy zrobił to nieznanый sabotażysta, czy wierchuszka. Jeśli sabotażysta, to po co ta cała

szopka potem? I kto miałby ją przeprowadzić? Nie, nie. To na pewno wierchuszka. Trzeba będzie się dyskretnie przyjrzeć wszystkim tym ludziom, ich powiązaniom i interesom.

– Co planujesz? – odezwał się niespodziewanie Aleks.

– Nie wiem. Właśnie się zastanawiam – odparł Jordan. – Niewiele mamy. Trzeba się skupić na rejestratorach.

– Kiepsko – wtrącił Bolton. – Dobrze, że Gall je odzyskał. Ale mamy tylko trzy. Jeszcze na statku sprawdziłem numery seryjne. Mamy rejestrator parametrów lotu i rejestrator rozmów w kokpicie Nippon 1212, z Tokio do Sydney. I rejestrator parametrów lotu Nippon 1111.

– Trzy z czterech – zauważył Jordan. – Wziąwszy pod uwagę sytuację, to i tak dobrze. Zresztą to nasz jedyny ślad.

– Niezupełnie – powiedział Gall, a stary śledczy zmarszczył brwi.

– Zauważyłeś coś, co przegapiliśmy?

– Nie. Po prostu staram się wyciągnąć wnioski. A przynajmniej zadawać pytania.

– Takie jak?

– Dlaczego zabito kontrolera? Bo przecież nie wierzysz chyba, że się rzucił pod metro.

– Istotnie, nie wierzę.

– On jest naszym pierwszym śladem. Być może coś widział lub słyszał. Albo do czegoś doprowadził. Nieświadomie lub świadomie.

– Złożył już zeznania, więc trochę za późno na takie rzeczy.

– Ale jest jeszcze jedna możliwość – Pauline nieoczekiwanie włączyła się do rozmowy, zasłaniając dłonią usta, by nie widzieli, jak ziewa. – Powiedział, co mu kazali, a potem go zabili, żeby nie zmienił zeznań.

– To jest bardzo dobra myśl – pochwalił Gall. – Najbardziej sensowna ze wszystkiego, co mi przychodzi do głowy.

– Ale w takim razie musielibyśmy przyjąć, że kontroler nas okłamał. I czy to w ogóle był prawdziwy kontroler?

– Owszem – dołączył do dyskusji Logan. – Sprawdziłem to jeszcze przed zaokrętowaniem się na *Dekishi*.

- I nic nie wspomniałeś? – zezłościł się Jordan.
- A powinienem? Powiedziałbym, gdyby był podstawiony.
- Niech będzie. Tak czy inaczej tylko jedna rzecz mi przychodzi do głowy. Sługa. W tej sprawie nas okłamał.
- Tylko pytanie, czy okłamał nas co do Sługi, czy w ogóle co do zamachu – rzekł Aleks. – Prawdę mówiąc, ten zamach wydaje mi się mało prawdopodobny. Wszystko, co obserwujemy, wygląda na próbę zatuszowania czegoś. Zamach się planuje. Tutaj mamy raczej sprzątanie. No, chyba że coś nie wyszło.
- Mówiłam o tym wcześniej. – Pauline znów ziewnęła, przez co jej głos na moment się zniekształcił. Marzyła tylko o jednym. Ciepłej pościeli, w której wkrótce się zatraci. – To mi nie wygląda na zamach Sługi. Po pierwsze, zbyt wyrafinowane. Po drugie, bardzo trudne i ryzykowne. Po trzecie... Japonia? Co ma Japonia do dżihadu? A po czwarte, nie przyznał się.
- I tu się mylisz – powiedział Logan. – Przyznał się. Tylko my o tym nie wiemy, bo nas odcięli od świata na tydzień. Wszystkie gazety o tym piszą. Widziałem na lotnisku.
- Mamy straszne braki. – Jordan jęknął. – Dziś trzeba odpocząć. Ale od jutra ruszamy pełną parą. Zaraz zadzwonię do Skinnera, żeby ktoś przygotował dla nas pełen raport. W każdym razie jeśli Sługa faktycznie się przyznał, to jesteśmy w kropce. Tak czy inaczej mamy aferę w wyższych sferach. To oczywiste. Środki, jakie zaangażowano, by nam uniemożliwić pracę, musiały być ogromne. Pytanie tylko, czy dokonali zbrodni, czy usiłowali ukryć jakiś błąd.
- Musiałyby być naprawdę kompromitujący – zauważył Gall. – Zwykłe błędy popełnia każdy. Nie zabija się ludzi, żeby je ukryć. I nie zatapia się statków poszukiwawczych. Zwłaszcza takich, na które spogląda cały świat. Widzieliście te tłumy dziennikarzy na lotnisku?
- Nie zapominajmy o komputerze – dodała Pauline. – Unieszkodliwili go. Nie mamy echa radarowego, nie mamy komunikacji ATC z samolotami. Tajemnica kryje się gdzieś tam. Wyeliminowali kontrolera i całą kontrolę ruchu powietrznego. Poświęcili na to miliony jenów. To gruba afera.

- Jest niemal pewne, że to nie maszyny nawaliły - powiedział Jordan.

- Panie Jordan - odezwał się nieoczekiwanie kierowca suburba. - Mamy wypadek na trasie. Za Reston wszystko stoi.

- Nie możesz tego ominąć?

- Zjadę na sześćset siedemdziesiąt trzy. To dawna droga stanowa. Prowadzi przez las. Ma dość kiepską nawierzchnię, ale może będzie dzięki temu pusta. Zwłaszcza w tej mgle.

- No to jedź.

- Musimy sprawdzić wszystko, co w jakikolwiek sposób wiąże się z tym nieszczęsnym kontrolerem - kontynuował stary śledczy. - Logan, ty i Bolton się tym zajmiecie. Chcę, żebyście przeanalizowali całą komunikację pomiędzy maszynami a kontrolą obszaru.

- Niby jak, skoro mamy tylko jeden CVR? - spytał zdziwiony Bolton. - Gdybym miał urządzenia z obu maszyn, to mógłbym porównać ich parametry lotów, a Logan ustaliłby, jakie wskazówki dostawali od kontrolera. Razem byśmy to poskładali do kupy. Ale tak...

- Marudzisz, Bolton. - Tym razem to Gall ziewnął. - Składaj te klocki, które masz. Jeżeli założymy, że to był jednak wypadek, to z całą pewnością w kabinie rozległy się sygnały ostrzegawcze TCAS. Sprawdź, w jakim czasie od kolizji się aktywowały i jak od tego momentu wyglądała komunikacja ziemi z samolotem. Jeśli załoga konsultowała się z obszarem w kwestii postępowania po alarmie, dowiesz się, jak wyglądała separacja, bo kontroler z pewnością informuje samolot o trafficu. Dowiesz się, gdzie był ten drugi.

- Pan mądrała się znalazł - rzucił Bolton.

- Coś jeszcze przyszło mi do głowy - ciągnął Gall, zwracając się do Jordana. - Van den Crooigh mówił, że wszystkie dane maszyna pobiera z satelity. Jestem przekonany, że operator zapisuje te dane. Ciekawe, kto jest operatorem?

- Niemal na pewno NASA - odparł Jordan. - Mam tam kolegę, zapytam.

- Możesz sobie pytać. - Logan się zaśmiał. - Próbowałeś kiedyś

współpracować z NASA? Siedem miliardów stopni uprawnień. Nie wiem, kim musiałby być twój kolega, żeby...

- Tak się przypadkiem składa - Jordan uśmiechnął się - że mój kolega jest tam szefem wszystkich szefów.

- Wilkinson jest twoim kolegą? Kurde, załatwisz mi tam robotę?

- Nie. Ale mogę cię wypierdolić z aktualnej, jeśli ci nie pasuje.

- Tak czy inaczej - przerwał Gall - dowiedz się wszystkiego, co tylko możliwe.

- Ja mam pewną ciekawostkę - rzucił Logan. - Nippon 1111 był spóźniony o ponad osiemdziesiąt minut. Jak na japońskie linie lotnicze to szokująca wiadomość.

- I teraz mi to mówisz? Ta informacja powinna paść na briefingu.

- Nie mieliśmy jej wtedy - obruszył się Logan.

- Ciekawe, skąd tak duże spóźnienie.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Manson, a jego twarz w jednej chwili stała się zupełnie blada. - Zapomniałem.

Wszyscy zamilkli i wbili w niego spojrzenia, a on w końcu zrozumiał, kim naprawdę jest, gdzie naprawdę jest, a nade wszystko, po co się tam znalazł. Od momentu katastrofy zdawało mu się, że przed nią nie było niczego. A jeśli było, to nieważne. Teraz najwyraźniej jednak przypomniał sobie, kto płaci jego rachunki.

- Ja... Jeszcze na statku przyjrzałem się nieco jednemu z silników. Właściwie to bardziej z ciekawości niż w związku z jakimkolwiek podejrzeniem. Po prostu nie widziałem jeszcze czegoś takiego. No i on był dziwny.

- On był dziwny? - Jordan aż sapnął z gniewu. - Możesz mówić jaśniej?

- Chodzi o to, że Great Bird sam produkuje silniki do GB91. Rozumiesz? Są inne niż te, którymi zwykle się zajmujemy.

- Czyli nie Pratt & Whitney? - zapytała Pauline.

- Nie Pratt & Whitney, nie General Electric ani nie Rolls-Royce. Nawet nie Aviadvigatel, Soloviev czy inny Kuznetsov. Po prostu Great Bird.

- Skoro katalog silników mamy za sobą, to przejdź, kurwa, do

rzeczy! – Jordan wyraźnie odżył. Znów był w swoim żywiole. Pauline zaczynała podejrzewać, że stary odżywał za każdym razem, gdy miał sposobność kogoś opieprzyć.

– Silnik GB91 składa się z dwóch segmentów. Wewnętrznego i zewnętrznego. Podczas oględzin znalazłem w zewnętrznej części pięć kompletnie porozrywanych cylindrycznych pojemników i jeden cały, trochę pogięty. Zastanawiałem się, co to może być. I dlaczego zostały zniszczone? Wtedy uznałem, że był to skutek uderzenia w wodę. Pojemniki nie były przesadnie wytrzymałe. GB91 to potężna maszyna, ale tylko czterosilnikowa. Muszą mieć wielką moc i stosunkowo małą masę, więc poza trwałymi częściami ruchomymi i tymi narażonymi na duże obciążenia cała reszta to lekkie stopy.

Manson był zdenerwowany i mówił jednym tchem, a oddychał przez usta. Co jakiś czas przerywał wywód, żeby złapać trochę tlenu. Jordan już go nie poganiał.

– W każdym razie w czasie rekonesansu nie wiedziałem jeszcze, na co patrzę. Jak mówiłem, to nowe silniki. Dopiero się ich uczę. Miał mi pomagać van den Crooigh, ale jak zapewne pamiętacie, nie zgodził się z nami płynąć. Ale potem przysiadłem do komputera i przejrzałem plany. Wynikało z nich, że cylindry były gaśnicami. Normalnie gaśnice mieszczą się w płatowcu, a do silników dochodzi jedynie instalacja tryskaczowa. To zrozumiałe przez wzgląd na wysoką temperaturę panującą w silniku. Ale silniki GB91 są potężne i mają zupełnie inną budowę, która umożliwia...

– Dobrze, dobrze – przerwał ponownie Jordan. – Zatem mamy pięć rozerwanych gaśnic. Co to oznacza?

– Absolutnie nic – odparł Manson. – Być może jednak ta nierozzerwana coś nam podpowiada.

– Chyba rozumiem, o co chodzi – wtrącił Gall. – Gaśnice prócz środka gaśniczego zawierają gaz napędowy. Zwykle sprężone powietrze. Pod ogromnym ciśnieniem. W trakcie upadku do wody z dużej wysokości pojemniki uległy zmiażdżeniu, a sprężony gaz je rozerwał. Natomiast szósta gaśnica przetrwała, bo nie miała gazu.

– Właśnie. – Manson uśmiechnął się z uznaniem. – A była pusta, ponieważ została wcześniej zużyta.

Jordan aż podskoczył na siedzeniu i gdyby nie pas bezpieczeństwa, zapewne wyrznąłby głową w podsufitkę.

– Co ty masz pod czapką, Manson? Sugerujesz pożar silnika i mówisz mi o tym dopiero teraz? To jawny sabotaż!

– Ale ja... Zresztą pożar nie był za poważny, skoro już pierwsza gaśnica załatwiła sprawę.

– Nawet jeśli pożar nie był za poważny, mógł zmusić załogę do wyłączenia silnika – zwrócił uwagę Jordan. – Cholera wie, jak to wpłynęło na samolot. Jeżeli to był silnik górnej maszyny i nie pracował, mogło dojść do niekontrolowanego opadania.

– Albo pożar rozłączył autopilota lub automatyczną przepustnicę i górny samolot utracił wysokość – powiedział przysłuchujący się dotąd dyskusji Dirt. – A jeśli przytrafiło się to w dolnej maszynie, załoga mogła manipulować ciągiem, żeby równać poziom, i doprowadziła do niekontrolowanego zwiększenia pułapu. Michael, wiesz, z którego samolotu pochodzi silnik?

– Nie – odparł Manson. – Nie miałem tego jak sprawdzić. Ale spisałem numery seryjne, więc wkrótce się dowiemy.

– To z pewnością mogłoby wiele wyjaśnić – kontynuował Jordan. – Jeżeli jeden z samolotów miał problem z silnikiem, musiał to zgłosić kontrolerowi. I tylko kontroler mógł to potwierdzić. Jeśli więc komuś zależało, by informacja o awarii nie stała się powszechnie znana, musiał zlikwidować kontrolera.

– Ale są jeszcze rejestratory – zauważył Bolton.

– Owszem – wtrącił się Aleks – ale jak zapewne zauważyłeś, ktoś się bardzo postarał, by nas ich pozbawić. Przecież to oczywiste, że sabotowano nasze działania właśnie po to, byśmy nie znaleźli czarnych skrzynek.

Zapadło milczenie. Na krótko. Przerwał je Jordan.

– Myślisz, że zostaliśmy celowo zatopieni?

– Niewykluczone – odparł Gall. – Myślę, że...

Nie zdążył jednak powiedzieć, co myśli, bo stało się coś nieoczekiwanego. Samochód zwolnił, po czym zupełnie się

zatrzymał. Na środku drogi. Kierowca szarpnął klamkę i drzwi się otworzyły.

- Co ty robisz, człowieku?! - krzyknął Jordan.

- Muszę tu na chwilę wysiąść - rzucił i zniknął we mgle zaledwie po dwóch krokach.

- Oszalałeś?!

- Wyluzuj, Jordan. - Logan się zaśmiał. - Daj się chłopakowi odlać.

- To nie mógł choć zjechać na pobocze? Przecież zaraz nas ktoś...

ROZDZIAŁ 27

– Trzymajcie się – ostrzegł spokojnie swoich towarzyszy zamaskowany kierowca potężnego freightlinera classic XL z dwa tysiące siódmego roku, a ci chwycili się mocniej poręczy.

Kierowca wdepnął gaz do podłogi, z wielkich rur wydechowych umieszczonych po obu bokach kabiny buchnął czarny dym. Pozbawiony naczepy pięćsetpiętnastokonny potwór skoczył do przodu i z impetem wbił się w stojące na jezdni auto. Suburban nie miał żadnych szans z rozpędzoną ciężarówką. Przeleciał w powietrzu dobre dziesięć metrów, nim przewrócił się na bok.

Freightliner się zatrzymał. Z jego podłużnej kabiny, mieszczącej sypialnię dla kierowcy, większą niż niejeden motelowy pokój, wysiadło pięciu ludzi. Każdy z nich miał na sobie czarny mundur i maskę z wyciętymi otworami na oczy. Każdy był uzbrojony. I każdy potrafił zabijać.

Trzymali AK-47. Słynne kałasznikowy. Broń od lat przestarzałą, za to tak popularną i często podrabianą, że nie sposób jej namierzyć. Kiedy policja się tu zjawi i pozbiera wszystkie łuski, technik w laboratorium tylko wzruszy ramionami.

Podchodzili do wraku powoli, otaczając go ze wszystkich stron. Dowodzący akcją kierowca, Eddie Carter, rozglądał się uważnie. Mgła bardzo im ułatwiła zadanie, ale zaraz może się przeistoczyć w śmiertelnego wroga. Carter wiedział, kto podróżował suburbanem. Mimo że Jordan był już stary, nie należało go lekceważyć. Zwłaszcza gdy miał pod opieką ludzi. Przypominał w takich sytuacjach starą lwicę chroniącą dwa pokolenia swojego potomstwa.

Podniósł dłoń. Jego ludzie momentalnie się zatrzymali. Ruszył w kierunku wozu sam. Pod ciężkimi gumowymi podszwami trzeszczały drobinki szkła. Poza tym było zupełnie cicho.

Siła uderzenia rozerwała tył auta. Carter spodziewał się znaleźć rejestratory w bagażniku, ale nie było już żadnego bagażnika.

Przez zięjący w tylnej części wraku otwór dowódca zobaczył Jordana ze zmasakrowaną twarzą. Jego otwarte oczy nieruchomo wpatrywały się w przestrzeń. Nie żył.

Carter potknął się o coś. Gdy spojrzął w dół, dojrzał pomarańczową plastikową skrzynkę służącą do przewożenia rejestratorów. Tuż obok leżały kolejne. Skinął dłonią i natychmiast zjawił się jeden z jego ludzi, który zabrał wszystkie trzy pojemniki.

Pozostali napastnicy podeszli do wraku. Jeden z nich sięgnął do kieszeni munduru po granat.

– Nie – zaprotestował dowódca. – Lepiej, żeby to wyglądało na wypadek. Spójrz.

Carter wskazał na wielką plamę ropy wydobywającą się z przełamanej na pół baku suburbana. Jego podwładny skinął głową i wyciągnął zapalniczkę.

Ale płomień nie błysnął.

Carter przewrócił oczami. Olej napędowy kiepsko się pali. Przecież każdy dureń to wie. Prawie każdy. Jego człowiek w końcu się zorientował i pobiegł do freightlinera po kanister z benzyną. Na szczęście Carter był przewidujący. Mężczyzna szybko wrócił i rozlał zawartość kanistra po rozbitym wnętrzu pojazdu. Carter zapalił zapałkę i rzucił ją do środka. Płomień błyskawicznie objął cały wrak.

Dowódca zdjął maskę. Teraz nie była mu już potrzebna. Tego pożaru nikt nie mógł przeżyć. Pogładził dłonią brodę.

– Patrzcie, kogo tu mam! – krzyknął ktoś z tyłu.

Carter odwrócił się. Jeden z jego ludzi trzymał za ramię szamoczące się kierowcę NTSB.

– Zostaw mnie! Zrobiłem, co miałem zrobić. Czego jeszcze chcesz?

Dowódca podszedł bliżej.

– Jeszcze tylko jednej, małej przysługi.

– Jakiej? – Kierowca otworzył szerzej oczy.

– Naprawę drobnej – odparł Carter i z całej siły uderzył kierowcę w twarz kolbą kałasznikowa.

Mężczyzna osunął się na ziemię. Napastnik poprawił, a potem

uderzał jeszcze kilkakrotnie, aż uzyskał pewność, że kierowca nie żyje.

– Wsadźcie go do kabiny freightlinera. Niech policja myśli, że to on był kierowcą. Zanim go zidentyfikują, jeśli w ogóle im się uda, nasza sprawa już dawno przycichnie.

Dwóch mężczyzn wpakowało trupa do kabiny. Następnie jeden z nich oblał wielki dziób maszyny pozostałą resztką benzyny i podpałił.

Przez kilka minut patrzyli na pożogę. Chcieli mieć pewność, że nikt nie wyczołgał się z wraku. Dwie minuty później nie było już po nich śladu. Odjechali czekającym na nich nieopodal suburbanem. Identycznym z tym, który się właśnie dopalał.

ROZDZIAŁ 28

Gall wzdrygnął się. Zdawało mu się, że coś usłyszał. Delikatnie odchylił blaszaną żaluzję. Zaskrzypiała. Wyrżał. Przed motelem coś się działo. Obserwował tak długo, aż nabrał przekonania, że to tylko nowi goście. Motel, w którym się zatrzymali, był bardzo podły. Ale to dobrze. Nikt ich tu nie będzie szukać, gdy już zaczną obławę, co jego zdaniem nastąpi dość szybko.

Pauline spała, a sen miała najwyraźniej spokojny. Mocno zużyta kołdra unosiła się lekko w rytm jej oddechu. Gall ją obserwował. Wcześniej myślał, że dziewczyna nie zaśnie. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Najpierw zginął Jordan, zmiażdżony potężnym zderzakiem freightlinera. Stary śledczy nie miał żadnych szans się uratować. Gall podejrzewał, że Jordan nawet nie wiedział, że umiera. To samo dotyczyło Boltona i Dirta, którzy wraz z Jordanem siedzieli na ostatniej, tylnej kanapie suburbanda. Z tą jednak różnicą, że Dirt prawdopodobnie przeżył samo uderzenie i umarł kilka sekund później. Kiedy człowiekowi urywa nogę na wysokości miednicy, tętnica udowa wyrzuca krew z taką prędkością, że śmierć oczekująca, aż jej klient się wykrwawi, nie zdąży nawet wypić espresso.

Co do Logana Gall nie był pewien. Specjalista od ATC i meteorolog Berry siedzieli obok niego na środkowej kanapie. Berry z pewnością stracił przytomność po uderzeniu i Gall podejrzewał, że umarł przygnieciony wywracającym się na bok autem. Manson niedługo cieszył się swoim nowym życiem. Wypadł z wraku i umarł na jezdni.

Kiedy buchnęły pierwsze płomienie, Gall przeczołgał się na przedni fotel. Leżała na nim nieprzytomna Pauline. Spłonęliby żywcem, gdyby nie odrobina szczęścia.

Siła zderzenia wygięła suburbanda w harmonijkę i wyrwała przednie drzwi od strony pasażera. Gall poczuł pod kolanami

chłód mokrego asfaltu oraz odłamki szkła i metalu. Ale było tam coś jeszcze. Kłapa studzienki drogowej. W wyniku uderzenia nieco się przesunęła. Gall wyrwał żeliwny właz i bezceremonialnie wrzucił nieprzytomną Pauline do środka. Liczył, że w środku jest woda i że nikt nie usłyszy plusku, gdy dziewczyna do niej wpadnie. Potem sam zszedł i nakrył wejście włazem.

W studni była woda. Pauline, kiedy wpadła do niej, odzyskała przytomność, aby za chwilę znów zemdleć. Gall obawiał się o jej kondycję. Dziewczyna ledwo żyła.

W końcu całkiem się ocknęła. Dygotała z zimna i strachu. On nie. Od najmłodszych lat jego przyjaciele śmiali się, że nie ma układu nerwowego. Zawsze zachowuje spokój. To znaczy, jasne, potrafi się wściec. Ale nawet w tej wściekłości zachowuje pełną kontrolę nad sobą. Mógłby zabijać w złości jedną ręką, a drugą nawlekać nitkę na igłę. I nigdy, ale to nigdy się nie bał.

Siedzieli cicho, gdy usłyszeli samochód odjeżdżających bandytów.

Siedzieli, gdy pojawił się przejeżdżający przypadkiem samochód i gdy jego kierowca kręcił się przy wraku.

Siedzieli, gdy ciszę przerwały pierwsze syreny. Najpierw strażackie, potem pogotowia, a na końcu policyjne. Aleks potrafił je bez problemu rozróżnić.

Na górze pojawili się pierwsi dziennikarze. W ślad za nimi nadjechał koroner.

W końcu usłyszeli, jak dźwig drogowy podnosi szczątki suburba, a drugi – nadpalony wrak freightlinera.

Nie wyszli nawet wtedy, gdy wszystko ucichło. Minęły jeszcze dwie godziny, zanim zdecydowali, że jest już bezpiecznie. W sumie spędzili w studni siedemnaście długich godzin. Gdy Gall w końcu otworzył właz, była trzecia nad ranem. Przeszli prawie dwa kilometry, aż w końcu zatrzymali się na dziedzińcu mającego lata świetności dawno za sobą motelu „Sleep Inn”. Cóż za nazwa. Cóż za marketing. Młody recepcjonista miał trzy wyjścia. Po pierwsze, wziąć stówę od Galla, wydać mu osiemdziesiąt dolców reszty i poprosić o dokument. Po drugie,

wziąć stówę, nie wydawać reszty i wpisać zmyślone dane. I po trzecie, wziąć stówę, nie wydawać reszty i nie odprowadzać dwóch dych do kasy motelu, a w zamian opisać w protokole pokój numer dziewięć jako niezdatny do użycia i przypadkowo upuścić klucze na podłogę. Gall był za tym ostatnim rozwiązaniem. Młody recepcjonista również.

Przeciągnął się. Był śpiący, ale widział, że jeśli zaśnie, to nie wstanie o szóstej. A zgodnie z umową mieli się wynieść, nim sprzątaczkę przyjdą do pracy.

W recepcji był telefon i Aleks zastanawiał się, czy zadzwonić do Baldura. Ale po chwili zrezygnował. Dzwonił już do niego. Baldur nie potrzebował przypominania. Objawi się wtedy, kiedy będzie trzeba.

Baldur Eysturvind. Jego tajna broń. Dumny syn amerykańskiej nauczycielki i farerskiego rybaka. Urodzony i odchowany przez kochających rodziców w Klaksviku na Wyspach Owczych. Baldur oficjalnie od dziesięciu lat mieszkał w USA. Najbardziej niepozorny facet świata. Czterdziestka na karku, dość spory brzuch, grube okulary i pokaźna łysina. Wykładowca na Virginia Military Institute. Podobno. Aleks nie wiedział, co dokładnie wykłada Baldur, ale to i tak nie miało znaczenia. Jako przykrywka sprawdzało się doskonale. Eysturvind był wybitnym specjalistą od szpiegostwa komputerowego i jeszcze lepszym fałszerzem. W tej drugiej dziedzinie mało kto mógł się z nim równać. W Stanach i Europie na pewno nie było nikogo lepszego. Może w Azji by się znalazł.

Sen Pauline był spokojny. Oddech równy. Dwadzieścia trzy lata... Weronika miałaby tyle samo, gdyby nie zginęła.

Gall cierpiał po śmierci żony i córki. Tak po prawdzie, to bardziej córki. Związek z Weroniką był, jak mawiają, nowoczesny. Ona była modelką. Dużo jeździła po świecie. Nawet po urodzeniu dziecka świetnie sobie radziła, więc widywali się raczej rzadko. Małej Anny pilnowali na zmianę. Pech chciał, że tamtego miesiąca dziecko znajdowało się pod opieką matki.

– Zastanawiałam się nad tym wszystkim – odezwała się niespodziewanie Pauline. Aleks nie zauważył, kiedy się obudziła.

- No wiesz, *Dekishi*. Dlaczego zatonięła. Mam pewną teorię.
- Wiarygodną? - zapytał Aleks.
- Nie bardzo. Ale ciekawą.
- Dawaj.
- Przypomniał mi się Nitta. Ten bosman z *Dekishi*. Ten, co chciał uciec przez tunel wału.
- Mów dalej.
- Byłeś na pewno u Grossa w ładowni. Zauważyłeś, że tam się schodziło dobre półtora metra po schodach z kratownicy? To dlatego że ładownie na tym poziomie były najniżej położonymi pomieszczeniami na statku. Ale korytarz prowadzący do nich nie. Otóż poniżej był jeszcze jeden. Niemal takiej samej wielkości, ale zwężający się u dołu. Sięgał samej stępki.
- I zapewne w tym korytarzu biegł wał?
- Właśnie. Maszynownia statku znajdowała się w dość nietypowym miejscu. Na śródokręciu, bliżej dziobu niż rufy. Statek przedłużano i tak im wyszło. Ładownie z kolei znajdowały się bardziej w kierunku rufy. To oczywiście, że gdzieś w tym labiryncie musiał biec wał. Zresztą bosman wspominał, że tunel wału jest naprawdę duży.
- Mów dalej.
- A gdyby się okazało, że wał pękł? Bo ja wiem, może nastąpiło jakieś zmęczenie materiału? Jeśli wał się ukłębził i rozerwał poszycie? To grubo poniżej poziomu wody. I tłumaczy huk, który wzięliśmy za wybuch. Cały tunel wewnątrz nie miał przecież grodzi wodoszczelnych. Od strony maszynowni jedynie dławica. Gdyby poszycie się rozerwało, to do środka wpłynęłaby masa wody. Zwłaszcza w taki sztorm.
- Nie, Pauline.
- Słucham?
- Nie to było przyczyną zatonięcia *Dekishi*.
- A skąd to niby wiesz?
- Tunel wału biegnie przy samej stępce, dokładnie w osi statku. Gdyby zalała go woda, diametralnie zmieniłby się środek ciężkości. Statek przysiadłby mocniej w wodzie, ale nie wywróciłby się na burtę. Stateczność poprzeczna raczej by

wzrosła, niż zmaląta. *Dekishi* przegłębiłaby się na rufę, straciła stateczność wzdłużną, a w końcu i pływalność. Ale zesłaby pod wodę rufą do przodu. Nie przewróciłaby się. Tunel był szczelny. Woda nie miałaby jak rozlać się po statku, by go rozkołysać.

– W takim razie... – Chrząknęła, jakby wstydziła się tego, co zamierza powiedzieć. Zastanawiała się przez moment, czy powinna, ale w końcu zebrała się w sobie. – W takim razie to Gross musiał przypadkiem zatopić statek. Obsługiwał służbę. Spieszył się. To właściwie jedyna możliwość. Jeśli jej odpowiednio nie zabezpieczył, woda wyrwała drzwi i wlała się do ładowni. To wielka ładownia i zlokalizowana na burcie.

– Teoretycznie możliwe. Statek mógłby się wtedy przewrócić. A jeśli drzwi do ładowni nie byłyby zabezpieczone, to woda szybko wypełniłaby cały statek.

– No właśnie.

– Tyle że to również ślepy strzał. Kiedy rozległ się alarm, ja i Jordan znajdowaliśmy się w ładowni Grossa i zapewniam cię, że służa była zamknięta. A *Deepy* w ogóle nie miała być wyciągana, tylko opuszczana na dno w trybie awaryjnym.

– No to nie wiem. Masz jakiś inny pomysł?

– Może zapomniałaś zamknąć bulaj?

– Znaczy co?

– Bulaj, takie okienko.

– Wiem, co to.

– Kiedyś w jednym z polskich portów zatonął statek, bo woda wlała się przez otwarty bulaj. Jednego z marynarzy odwiedziła na statku żona. Ale go nie było. Miał odprawę czy coś. Poszła więc do jego kajuty. A w kajucie, jak to w kajucie, smród i stęchlizna. Więc postanowiła wywietrzyć. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że statek szykowany był akurat do próbnego balastowania na burtę. No to go zabalastowali. I już nie wstał.

– Jaja sobie ze mnie robisz, Aleks!

– Wcale nie – rzucił rozbawiony. – Opowiadam prawdziwą historię.

– To jeden z kolejnych, licznych dowodów, że kobieta na pokładzie przynosi pecha.

Zaśmiali się oboje. A gdy już im przeszło, zaległa krótka cisza, którą w końcu przerwała Pauline:

- Wdepnęliśmy w jakieś niezłe gównno.
- Aż po pachy.
- Co teraz zrobimy? Bez rejestratorów niewiele możemy zdziałać.
- Owszem, niewiele. Ale coś jednak możemy.
- Niby co?
- Jutro się dowiesz. Na razie idź spać. Rano nas czeka długa podróż.
- Cudownie. Uwielbiam podróże. Dokąd mnie zabierasz?
- W Appalachy.

ROZDZIAŁ 29

Nawet stolica Stanów Zjednoczonych ma swoje szemrane dzielnice. Foggy Bottom z pewnością do nich należy. Zwłaszcza o czwartej nad ranem. Kongresman Tyne nie czuł się zbyt pewnie. Do Foggy Bottom pojechał nowiutkim mercedesem SLS AMG.

Trzeba było wziąć cadillaca.

Spojrzał na zegarek. Vessna się spóźniała. Jak zawsze.

Nie pierwszy raz się zastanawiał, czy nie popełnił błędu, ufając tej kobiecie. Wprawdzie znał ją od lat, ponieważ dawniej była jego asystentką, jeszcze w czasach pracy dla CIA, ale ostatnio bardzo się zmieniła. W gruncie rzeczy należało przyznać, że zasadniczo robiła dobrą robotę. Jednak im bliżej końca operacji, tym bardziej Tyne był zaniepokojony. Zastanawiał się, czy to, co się ostatnio stało, było jedynie wpadką czy już grą. A Vessna potrafiła prowadzić gry i toczyć wojny. I to nie tylko na torze NASCAR.

Zaparkował na Ohio Drive. Nad samym Potomakiem. W takich miejscach ludzie nie potrzebują parkingu, by zostawić samochód. Okoliczni mieszkańcy stawiali auta po prostu na ulicy, w miarę możliwości blisko prawego krawężnika, a i to nie zawsze. Tyne znalazł wolne miejsce, wrzucił wsteczny bieg i wpasował się pomiędzy dwa stare fordys. Jego dwumiejscowy mercedes z drzwiami otwieranymi do góry zdawał się krzyczeć do okolicznej, pozbawionej kulturalnych rozrywek młodzieży: „Hej, napadnijcie mojego właściciela i ukradnijcie mnie! Słyszycie? Zabawimy się!”.

Tyne obserwował grupkę czarnoskórych zakapturzonych nastolatków, pijących piwo nad brzegiem rzeki. Stali zaledwie kilkaset metrów od niego, w miejscu, gdzie Ohio Drive skręca w prawo i przechodzi mostem nad kanałem łączącym Potomac i Tidal Basin. Wydawało mu się, że te dzieciaki nie są nim

zainteresowane. A może po prostu go nie widziały? Przecież od razu widać, że to młodociani bandyci.

Tyne, na Boga. To twój elektorat. Zmusz się, żeby przestać postrzegać ich jedynie jako potomków czarnuchów, zbyt słabych, by wiek temu obronić się przed łowcami niewolników – pomyślał kongresman.

Chciał pokręcić gałką radia, ale zorientował się, że jej nie ma. W tych cholernych nowych wozach radia były już cyfrowe. Cofnął rękę. Tak mało istotna rzecz, a jak wpływa na całe życie. Zdał sobie sprawę, że od kiedy ma ten samochód, jeszcze nigdy nie włączył radia. Następnie pomyślał, że nigdy nie włączył jakiegokolwiek funkcji w swoim komputerze pokładowym. A potem zorientował się, że myśli o strasznych pierdołach.

Niespodziewanie z prawej strony coś cicho syknęło. Drzwi od strony pasażera niemal bezszelestnie powędrowały do góry. Tyne nawet się nie ruszył.

– Gdybym to nie była ja, już byś nie żył – powiedziała Vessna Fuego.

Wsiadła do samochodu z kocią gracją, drzwi ponownie syknęły i zamknęły się za nią. Za każdym razem kiedy Tyne widział te rude fale, zastanawiał się, czy nazwisko Vessny jest prawdziwe. Bo jej włosy naprawdę zdawały się płonąć i byłyby to zadziwiający zbieg okoliczności. A z takimi ludźmi jak ona to nigdy nie wiadomo nic na pewno.

– Na miłość boską, Vessno. Dlaczego chciałaś się spotkać właśnie tutaj?

– Mieszkam tutaj, Tyne.

– Tutaj?

Westchnęła, niezbyt teatralnie.

– To była taka troszkę zawołowana, w miarę grzeczna wersja: „Chuj cię to obchodzi?”. Czego ode mnie chcesz, Tyne? Nie mam czasu na takie spotkania.

– Wiesz dobrze, czego chcę.

– Wyglądam na wróżkę?

– Nie. Wyglądasz na wiedźmę. I chcę wiedzieć, co tam sobie czarujesz na boku? Wydawało mi się, że mam do czynienia

z profesjonalistką.

– Uspokój się. To był wypadek.

– Jaki, kurwa, wypadek?! – wrzasnął, a ona się odsunęła. Nie ze strachu. Po prostu śmierdziało mu z ust. – Wysłałaś tam ekipę, żeby ich pozabijała.

– I to był właśnie ten wypadek – odparła, siląc się na spokój. – Moi informatorzy zawiedli. Donieśli, że Galla nie ma w samochodzie. Tymczasem nie było tego metalurga, jak mu tam?

– Nieważne.

– No właśnie. Pomylili się i już. Moi ludzie nie wiedzieli, że Gall jest w samochodzie. Jak się zorientowali, natychmiast przerwali akcję.

– I podpalili samochód?

– Samochód zajął się wskutek zderzenia. Ale przecież nic się nie stało, prawda? Gall żyje. Zresztą sam kazałeś go zabić na *Dekishi*.

– O nie! Nie pogrywaj ze mną w ten sposób. Niczego ci nie kazałem! Kiedy mi powiedziałaś, że tę starą łajbę trzeba będzie zatopić, zgodziłem się zaryzykować życie Galla, bo rejestratory były ważniejsze. Ale on się uratował. A ty masz się do niego nie zbliżać. Jasne?

– Nieważne. W samochodzie nie znaleziono jego zwłok. Samochód nie spłonął całkowicie. Wszystkich udało się zidentyfikować. Przynajmniej ten jeden raz się cieszę, że ktoś wykiwał moich ludzi.

– Na przyszłość radzę zmienić informatorów.

– Tak, Tyne. To z pewnością będzie konieczne. Tym bardziej że dotychczasowi już nie żyją.

– Dla jasności: jeśli jeszcze raz narazisz życie Galla, to umrzesz. Ja oczywiście wiem, że to ty ciągniesz za wszystkie sznurki. I spusty. Ale to ja potrząsam sakiewką. Jedno podejrzenie o niesubordynację, a odcinam ci kasę. I przeznaczam ją dla kogoś, kto cię nauczy, jak się gra w drużynie.

Vessna się uśmiechnęła. Kongresman Tyne był tak czarujący, kiedy groził ludziom. Tak czarująco śmieszny.

– Straszysz czy obiecujesz, Tyne? Wiele razy już to słyszałam

przez ostatnie... Ile? Dziesięć lat? Tyle już się znamy? Czy więcej? Wiem o tobie wszystko. Na przykład to, że kiedy się boisz, to drga ci lewa powieka.

– To nie jest zabawa, Vessno – odpowiedział kongresman, odruchowo przecierając oczy. – Gra idzie o bardzo wysoką stawkę. Jeśli mnie zawiedziesz, zginiesz. Zapamiętaj to sobie. I nie próbuj ze mną pogrywać, bo nawet gdybyś wpadła na pomysł, żeby mnie wyeliminować, to...

– Strasznie dramatyzujesz, Tyne. Skąd ta idiotyczna myśl, że chciałabym się ciebie pozbyć? Przecież to ty mi płacisz. Jesteś moim klientem, a ja kurewką na twoje zachcianki.

– Zaczynam tracić cierpliwość.

– Bo jesteś przesadnie spięty. Wszystko idzie dobrze. Odzyskaliśmy trzy rejestratory. Pozostałe leżą na dnie Pacyfiku i nasi japońscy przyjaciele zadbają o to, by tak zostało. Nie ma silników. Nie ma kadłuba. Nic nie ma. Nikt nam już nie może zagrozić. Kontroler nie żyje. Czego jeszcze chcesz?

– Chcę doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca. A do tego potrzebny jest mi Gall. Najlepiej żywy i w miarę możliwości nieprzesadnie okaleczony. Rozumiemy się?

– Oczywiście, panie kongresmanie. – Zasalutowała zamasyście.

– Dobrze. Jeszcze jedno. Stary Bird.

– Co z nim?

– Mam wrażenie, że dość opornie współpracuje.

– Oczywiście, że opornie. Ludzie zwykle nie przejawiają entuzjazmu, gdy zmusza się ich do współpracy szantażem. Będziemy w kontakcie.

– Musimy znaleźć Galla.

– Już go znalazłam.

– Gdzie jest?

– Nie wiem. Ale wiem, gdzie będzie jutro.

Otworzyła drzwi i do mercedesa wpadły przytłumione odgłosy niespokojnej okolicy.

– I załóż podsłuch temu metalurgowi. Może się do czegoś przyda! – krzyknął za nią Tyne.

Zamknęła drzwi. Deszcz się nasilił. Jej włosy były zupełnie

mokre, a biała bluzka przykleiła się do ciała. Bardzo seksownego ciała. Tyne nie znał drugiej tak atrakcyjnej kobiety. Może są lepsze gdzieś w dalekiej Europie, ale na pewno nie tutaj.

Vessna widziała, że się na nią gapi. Ale to jej nie przeszkadzało. Lubiła, kiedy mężczyźni spoglądali na nią w ten sposób. Nawet jeśli byli tak nieapetyczni, jak kongresman Tyne.

W końcu odjechał. Dość szybko. Vessna powolnym krokiem ruszyła w kierunku swojego chargeera z sześćdziesiątego ósmego. Uwielbiała muscle cary. Uśmiechała się. Była zadowolona z przebiegu tej rozmowy. Mogło być znacznie gorzej. I pewnie by było, gdyby Tyne nie rozmawiał z nią ze wzwodem w spodniach. Wiedziała, że to bardzo niebezpieczny człowiek. I że jego groźby należy traktować poważnie. Przynajmniej na razie, bo już wkrótce wszystko się zmieni.

Zadzwonił telefon. Numer Trzy.

– Mów – rzuciła do słuchawki.

– Mamy problem.

W głosie Cartera wyraźnie usłyszała delikatne nutki paniki. Vessna uwielbiała, kiedy jej się bał.

– Jak poważny? – zapytała słodkim głosem.

– Kurwa mać. Nie uwierzysz. Nie ma rejestratorów. To znaczy są, ale puste. Nie ma dysków. Ktoś je ukradł.

Chwilę milczała. Gdyby Tyne mógł ją teraz widzieć, zyskałby pewność, że dziesięć lat temu popełnił najgorszy błąd w swoim życiu. Że nigdy w życiu nie powinien zbliżyć się do tej kobiety.

– Storczyki – rzekła w końcu.

– Co mówisz?

– Lubię storczyki. Być może dzięki nim uda ci się mnie jakoś udobruchać. Bo jeśli nie, to już nie żyjesz.

Rozłączyła się, ale nie schowała telefonu. Wybrała połączenie. Numer Dwa odebrał po dwóch sygnałach.

– Szykuj się. Wkrótce wkraczasz do akcji.

Teraz pozostał jej już tylko szybki telefon do przyjaciela w FBI. Ktoś będzie musiał naprawić błędy tego durnia Cartera.

ROZDZIAŁ 30

Dochodziła szósta rano i trzeba się było zbierać. Pauline szybko się ubrała, niezbyt zwracając uwagę na obecność mężczyzny w pokoju. On zresztą wcale się na nią nie gapił. Zaskoczyło ją, że odebrała to z lekkim rozczarowaniem. Obserwował parking przez szparę w żaluzjach. Na zewnątrz panował jeszcze półmrok, dlatego wyraźnie widziała rozbłyśki czerwono-niebieskiego światła. Nieopodal wjazdu stał radiowóz policji stanowej Wirginii. Ford crown victoria. Aleks wydawał się zatroskany.

– Musimy się stąd wynosić, Pauline.

– Nie poczekamy, aż odjadą?

– Nie. Za moment zjawią się sprzątaczkę. Jak nas tu zastaną, będzie problem.

– To co robimy? – Halfield naciągnęła przez głowę cienki czarny sweter, który na szczęście zdążył nieco przeschnąć. – Ja jestem gotowa. Ale jak ich ominiemy?

– Nie ominiemy.

– Chcesz tak po prostu wyjść?

– Rozbierz się.

– Słucham?

– Zdejmij z siebie sweter.

– Nie mogę. Nie mam bielizny. Musiałam wyrzucić stanik.

– Wstydzisz się swojego biustu, Halfield? Bo jeszcze chwilę temu, kiedy wychodziłaś spod prysznic, miałem wrażenie, że jest wprost przeciwnie.

To ją rozgniewało.

– Chyba nie sądzisz, że będę paradować z gołymi cyckami przed policją stanową. Przecież zaraz mnie zamkną. Nie lepiej się gdzieś schować i przeczekać? Zresztą niby jak mamy się stąd wydostać?

– Halfield, na Boga, zamknij się wreszcie i posłuchaj. Oni stąd nie odjadą, ponieważ przyjechali tu po nas.

– Co takiego?

– Po nas. Wkrótce ci wytłumaczę. Ale teraz zdejmuj sweter. I podejdź tu do mnie.

Zdjęła. Bez entuzjazmu. Podeszła. Też bez entuzjazmu. Niespodziewanie Aleks chwycił ją za włosy i szarpnął.

– Kurwa, zwariowałeś?

– Zamknij się! – krzyknął i uderzył ją w twarz na odlew.

Niezbyt mocno, ale wystarczyło, by zdumionej dziewczynie z kącika ust pociekła strużka krwi. Upadła na podłogę. Odruchowo zakryła piersi.

– A teraz ani słowa. Rozumiesz? Ani jednego pieprzonego słówka. Ja mówię. Ty możesz sobie najwyżej trochę popłakać.

Chwycił w dłonie jej sweter i rozdarł go od dekoltu aż do pępka.

– Wkładaj. I masz sprawiać wrażenie wybitnie nieszczęśliwej. Jasne?

Wystraszona Pauline pokiwała dłonią. Gall chwycił klamkę i wyszedł na ganek. Sekundę potem zobaczył pistolet wycelowany w swoją twarz. Tego właśnie się spodziewał. Jego krzyk zwabił funkcjonariuszy. Było ich dwóch. Jeden młody, a drugi jeszcze młodszy. Gall uśmiechnął się i podniósł ręce.

– Policja! Co tu się dzieje?! – krzyknął ten młodszy, mierząc prosto w Aleksa.

– Panie oficerze, niech pan opuści broń, bo jeszcze komuś coś się stanie – powiedział Aleks, zupełnie jakby był Bruce'em Wayne'em. Młody, pewny siebie playboy, który przecież nie zrobił nic złego.

– Zamknij się, bo rozwalę ci łeb! – wrzasnął funkcjonariusz.

– Naprawdę? I co wtedy? Przecież tu są kamery. W Ameryce policja nie zabija ludzi za gadanie.

– Spokojnie – wtrącił się starszy gliniarz. – Jones, uspokój się. Proszę pani, czy wszystko w porządku?

Gall się odwrócił. W drzwiach ujrzał Halfield. Wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy. Krew ciekła jej z ust. Sweter rozerwała do końca i związała go sobie tak, żeby przykrywał chociaż piersi.

– Proszę pani? – ponowił policjant.

– Nic mi nie jest – szepnęła Pauline. – Możemy już iść?

– Proszę pokazać dokumenty – polecił ten młodszy.

Wciąż trzymał broń, jednak kierował ją ku górze. Gall odetchnął z ulgą.

– Czy mogę wiedzieć, z jakiego powodu ta kontrola? – zapytał.

– Poszukujemy dwóch osób. Mężczyzny z długą brodą, takiego mniej więcej jak pan, i młodej blondynki, takiej mniej więcej jak pani.

– A co to, jeden brodacze w Wirginii? Może nie ma tu tylu drwali co w Montanie, ale chyba pan przesadza.

– Dokumenty, powiedziałem! – Starszy policjant powoli tracił cierpliwość, więc Aleks uznał, że czas na zabawę się skończył.

– Widzi pan tę hondę? Tę srebrną. Tam, za tym el dorado.

– Legend?

– Tak. W schowku od strony pasażera są moje dokumenty.

– To pańskie auto?

– A czy w cudzym byłyby moje dokumenty? Niech pan sobie sam sprawdzi. Drzwi są otwarte.

Pauline niewiele z tego rozumiała, ale przeczuwała, że zaraz coś się wydarzy. Nauczyła się już jednak, że Gall zwykle wie, co robi. Dlatego się nie odzywała. Zauważyła, że młodszy policjant gapi się na jej niezbyt dokładnie zakryte cycki. Delikatnym, niezauważalnym ruchem pogłębiła nieco dekolt. Poczowała, jak sutek wyslizguje się spod materiału.

Cholera. No trudno. Niech się chłopak gapi. Może będzie z tego jakaś korzyść. Ale Gall mi za to zapłaci.

Starszy z policjantów podszedł do hondy. Szarpnął drzwi od strony pasażera. Otworzyły się bez problemu. Funkcjonariusz wyjął ze schowka portfel. Niespiesznym ruchem wrócił do swojego partnera, który szybko oderwał wzrok od sutka Halfield i spojrzał groźnie na trzymającego ręce w górze Aleksa. Pauline poprawiała resztki swetra.

Starszy otworzył portfel i wyjął z niego prawo jazdy. Spojrzał na zdjęcie. Z całą pewnością przedstawiało mężczyznę, na którego patrzył, choć nieco młodszego i bez brody. Zastanowiło go nazwisko.

– Pan Albert Gore III? – zapytał z lekkim wahaniem.

- No widzi pan przecież - odparł Gall, uśmiechając się niewinnie.

- Ten Gore?

- A zna pan innych?

Funkcjonariusze spojrzeli po sobie. Przez chwilę zastanawiali się, co dalej robić. Aleks nie dał im podjąć decyzji:

- Ma pan w środku moje dokumenty. I karty kredytowe. Niech pan to sobie sprawdzi.

- A ona? - Starszy funkcjonariusz wskazał na Pauline.

- A jak się panu zdaje? - Aleks uśmiechnął się bezczelnie i mrugnął do niego.

Policjant zrozumiał. Pauline też. Zagryzła wargi.

- Ta pani krwawi. - Policjant z ociąganiem oddał Gallowi portfel.

- Uderzyłam się - wyjaśniła szybko Pauline.

- Pewnie ze trzy razy w szafkę? Niech pani to opatrzy.

- Mam w samochodzie apteczkę - oznajmił ze spokojem Aleks.

Pauline spojrzała na niego z niedowierzaniem. Jakim cudem on zachowuje taki spokój? - zastanawiała się. Sama czuła, że zaraz serce wyskoczy jej z piersi.

- Szerokiej drogi, panie Gore - pożegnał się starszy funkcjonariusz.

- Dziękuję. Niech żyją demokraci.

Policjant nie odpowiedział. Pewnie jak każdy pies w tym stanie był republikaninem. Halfield wsiadła do hondy od strony pasażera. Gall zajął miejsce za kierownicą. Sięgnął pod swój fotel i podniósł kluczyki. Auto odpaliło natychmiast. Wrzucił wsteczny i samochód potoczył się po kamienistym placu, skręcając w prawo. Aleks przełożył bieg i szybko ruszył w kierunku wyjazdu z parkingu. Za chwilę byli już na szosie.

- Zrobiłeś ze mnie kurwę, ty draniu. - Pauline się zaśmiała.

- Życie, Halfield, życie.

- No dobra. To teraz będziesz mi musiał sporo wytłumaczyć, do jasnej cholery. O mało nie umarłam ze strachu. Skąd ten samochód? I skąd te dokumenty?

- Nie tylko dokumenty, ale zapewne również trochę kasy na

falszywej kredytówce.

- Od kiedy to jesteś krewnym Ala Gore?
- Dobrze, nie? Numer wymyślony przez starego kumpla.
- Niech zgadnę: Baldura?

Spojrzał na nią zdumiony. Tylko na chwilę, bo musiał się skupić na drodze, ale ona i tak odczuła satysfakcję.

- Podśledzałam cię - wyjaśniła.
- Kiedy?
- Wtedy gdy cię zaciągnęli do tunelu.
- Taki z ciebie mały szpieg? - Wybuchnął śmiechem.
- Myślałam, że chcą ci zrobić krzywdę. Kto to był ten facet z blizną? I kim jest Baldur? W co ty grasz, Aleks?
- Baldur jest dość specyficznym człowiekiem. Już kilka razy ratował mi tyłek w podobnej sytuacji. Ale nie lubi, jak się o nim za dużo mówi. Przed wylotem do Japonii poprosiłem go o pomoc. To wszystko.

- No dobra. Mów dalej.
- Na przykład co?
- Bo ja wiem? Może wszystko?
- Hm. Baldur to dość nietypowy gość. Z pewnością ma lekkiego aspergera. Nie ufa ludziom. Ale jak już komuś zaufa, to aż do śmierci. Kiedy go wzywam na pomoc, włącza mu się tryb czuwania. Teraz jest pewnie gdzieś w okolicy.

- Ciekawe, gdzie był, jak do nas strzelali.
- Dobrze pytanie. Kiedyś mu je zadam.
- I on zostawił to auto?
- Owszem.
- I skąd o tym wiedziałaś?
- Bo to nie pierwszy raz. Zawsze w środku chowa dokumenty. Baldur to najlepszy fałszerz, jakiego znam. I potrafi konstruować fajne zabawki. W schowku powinien być bezpieczny telefon. Nie da się go podsłuchać ani namierzyć.

- Ale dlaczego Gore? - Pauline wyjęła ze schowka zupełnie zwykłego samsunga. Obejrzała go ze wszystkich stron, ale w niczym nie przypominał telefonu Jamesa Bonda. Wepchnęła urządzenie z powrotem do schowka.

– Baldur ciągle robi mi takie papiery – powiedział Aleks. – Znane nazwisko pomaga w kryzysowych sytuacjach. Byłem już którymś tam z kolei wnukiem Busha, potomkiem Eisenhowera, młodym Rockefellerem, a nawet wnukiem Babe Rutha.

– Kogo?

– Halfield, nie kompromituj się. Nie można mieszkać w tym kraju i nie wiedzieć, kim był Babe Ruth. Tak czy inaczej teraz przyszła kolej na Ala.

– W każdym razie ten policjant to idiota. Nawet ja słyszę twój obcy akcent.

– Tak. Już dawno temu to zauważyłem. Ludzie słyszą mój obcy akcent, i nawet zwracają na niego uwagę, ale nigdy nie daje im to do myślenia. Dziś w Stanach jest tylu imigrantów, że każdy mówi inaczej. Ludzie przywykli.

– Szkoda, że i dla mnie nie ma dokumentów.

– Nie przesadzaj, Pauline. Baldur to fachowiec, ale jasnowidzem nie jest. W razie czego nadal udawaj kurewkę. Świetnie ci wychodzi.

– Wal się. Skąd wiedziałeś, że to ta honda? Z tego, co mówisz, wnioskuję, że numeru z papierami mogłeś się spodziewać. Ale skąd wiedziałeś, które to auto? Tajna naklejka na karoserii? Specjalna tablica rejestracyjna? Widoczne tylko dla ciebie znaki na podjeździe?

– Nie, Pauline. Po prostu znam ten samochód. Należy do mnie.

– Świetnie. Daleko jedziemy?

– Do Lasu Pisgah.

– Co? To jakieś siedemset pięćdziesiąt kilometrów.

– Raczej ponad tysiąc pięćset. Bo chyba nie spodziewasz się, że będę jechał międzystanową? Czeka nas wycieczka bocznymi dróżkami.

– Masa czasu na opowieści.

– Na przykład jakie?

– Gross mi mówił, że byłeś w Korei Północnej. Jak tam jest?

– Zimno.

– Co tam robiłeś? Przepraszam, że tak wypytuję, ale to strasznie ciekawe.

– Odpowiedź jest prosta. Przybyłem na zaproszenie Kim Dzong Una. Ktoś mu o mnie wspomniał.

– I co? Badałeś jakiś wypadek?

– Owszem. Auto jego sobowtóra zostało staranowane przez autobus. Chciał wiedzieć, czy była to próba zamachu, czy zwykły wypadek.

– I co się okazało?

Opowiedział jej wszystko. O wypadku, o podejrzaniach najwyższego przywódcy, o egzekucji trzech policjantów, którzy nie potrafili ustalić przyczyn. W końcu o tym, jak dowiódł, że w autobusie pękła opona. I jak Kim dobrodusznie zgodził się ułaskawić kierowcę, na którym wszyscy postawili już krzyżyk. Potem opowiadał jeszcze przez siedemnaście długich godzin. O podróżowaniu po kraju, o tym, co widział, a co mu zabroniono oglądać, i w końcu o dziwnej sympatii, jaką poczuł do niego przywódca Korei Północnej.

ROZDZIAŁ 31

Nagisa Ryoshi był już bardzo stary i tak naprawdę pragnął jedynie umrzeć. Miał dziewięćdziesiąt siedem lat i przeżył już własnego syna, wnuka i prawnuka. Został mu jedynie młody Nagisa. Praprawnuk. W rodzinie Ryoshi wszyscy mężczyźni nosili to imię. Dawno temu, jeszcze za czasów feudalnych, odległy przodek rodziny, znany w całym kraju samuraj – Nagisa oczywiście – zapragnął nieśmiertelnej sławy. Dlatego zarządził, by każdy mężczyzna z jego rodu nosił po nim imię. Od ponad stu lat wszyscy mężczyźni rodu Ryoshi mieli na imię Nagisa. Sytuacja ta do pewnego stopnia komplikowała życie rodziny, jednak już na początku dziewiętnastego wieku jeden Nagisa wpadł na genialny pomysł. Od tego czasu chłopcom dodawano przydomek od numeru miesiąca, w którym się urodzili. To wystarczyło.

Urodzony w listopadzie Nagisa Juichi spoglądał uważnie na swojego praprawnuka Nagisę Ni, urodzonego w lutym. Chłopak miał zaledwie piętnaście lat.

Od kilku pokoleń w rodzinie Ryoshi wszyscy mężczyźni trudnili się rybołówstwem. Każdy ojciec zabierał swego syna na łódź w jego piętnaste urodziny. Od tego czasu kończyło się dzieciństwo, a zaczynała ciężka praca. Młodzi adepci uczyli się, jak lokalizować łowiska położone niekiedy o setki kilometrów od wybrzeży, korzystać z sieci i jak je konserwować. Ale nade wszystko dyscypliny, która towarzyszyć im miała do końca życia.

Juichi był już stary. Ponad dekadę nie wypływał w morze, jednak kiedy zeszłego lata potężny sztorm zabrał w jednej chwili ojca, dziadka i pradziadka młodego Ni, starzec zrozumiał, że na jego barkach spocznie obowiązek wyedukowania potomka.

Dlatego siedzieli teraz na starym dwunastometrowym kutrze, który Juichi kupił w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku i który już dawno temu powinien zasilić jedną z licznych japońskich fabryk produkujących żyłki. Kiedyś to była

maszyna. Pierwszy metalowy kuter we wsi. Czterdziestokonny silnik. Spalinowe windy trałowe. Każdy chciał się na niego zamustrować. Ale to było dawno. Bardzo dawno. Mniej więcej w tych samych czasach, kiedy Juichi uchodził za najlepszego szypra na całym archipelagu Riukiu. Ponad pięćdziesiąt lat temu. Dziś zarówno łajba, jak i jej właściciel byli jedynie mglistym wspomnieniem dawnej epoki.

Jednak starzec nie martwił się przesadnie. Cimaron spuścił już z tonu, ocean był przyjemny, a oni nie wypłynęli bardzo daleko. Zaledwie pięćset kilometrów na południowy wschód. Dwadzieścia jeden godzin wcześniej pobrali wodę i paliwo, opuścili Aogashimę, swoją maleńką wysepkę, i ruszyli w kierunku archipelagu Ogasawara. Właśnie tam, w miejscu gdzie Morze Filipińskie łączyło się z Pacyfikiem, natura urządziła najwspanialsze łowisko świata.

Juichi był zmęczony, ale szczęśliwy, bo widział uśmiech na twarzy Ni.

Ni był zmęczony, ale szczęśliwy, bo widział uśmiech na twarzy Juichiego.

Chłopak za nic by się teraz nie przyznał, że był już na łowiskach setki razy. Ojciec nie potrafił utrzymać go z dala od morza, więc nawet za bardzo nie próbował. Po raz pierwszy zabrał go na połów, gdy Ni miał sześć lat. Oczywiście w tajemnicy przed swoim ojcem. Tyle że jego ojciec, dziadek Ni, również zabierał szkraba na swoją łódź. Oczywiście w tajemnicy przed swoim ojcem. I swoim synem. W wieku piętnastu lat młodzieniec miał już odłożone tyle pieniędzy, że stać go było na własną łódź. I właśnie wczoraj ją kupił. Nic szczególnego, starą drewnianą krypę z nieszczelnym kadłubem i kopącym dieslem. Ale połata się ją i jeszcze długo będzie służyć.

Trał ciągnął się za rufą kutra. W oczekiwaniu na wybieranie sieci mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Starzec był dumny ze swego potomka. Zadziwiały go postępy, jakie młodzieniec poczynił w ciągu zaledwie kilkunastu godzin. Młody z kolei starał się być tak nieporadny, jak to tylko możliwe. Kochał swojego prapradziadka. I wiedział, jak ważna jest dla niego ta wyprawa.

– Myślę, że już czas – rzekł w końcu Juichi i ciężko podniósł się ze starej drewnianej ławy, która w latach świetności była zielona, a dziś nikt by nie uwierzył, że w ogóle kiedykolwiek miała jakiś kolor.

Ni wyprostował się jak struna i skoczył do włącznika windy trałowej. Wdusił przycisk i mechanizm ruszył. Z rury wydechowej buchnął czarny dym i wielki bęben zaczął się powoli obracać, nawijając na siebie śnieżnobiałą sieć. Juichi może i był stary, jego łajba również, ale włoki zawsze były tu czyste i szczelne. Klar musi być.

Pamiętające drugą wojnę światową urządzenie strasznie się męczyło i Juichi pomyślał nawet, że ta łajba i on mają wiele wspólnego. Oboje chcieliby już odpocząć. Odejść na wieczną wachtę. Zasłużyli na to lata temu.

Jednak tym razem coś było nie tak. Wyciągarka pracowała wyjątkowo opornie. Pod obudową pojawiły się iskry.

– Ni! – zawołał starzec. – Bosak.

Młodzieńcowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. W gruncie rzeczy w ogóle nic mu nie trzeba było mówić. Stał już przy burcie z długą, wysłużoną żerdzią w dłoni. Wsadził bosak do wody i chwilę nim poruszał, szukając po omacku otworu, o który mógłby zaczepić. W końcu znalazł i zaczął ciągnąć włok do siebie. Odciążona wyciągarka zakasłała i zaczęła obracać się szybciej. Sieć powoli nawijała się na bęben.

– Będzie duża ryba! – krzyknął Ni.

Gdy przekładał bosak, hak natknął się na coś twardego. Ni podniósł żerdź i z całej siły uderzył w wodę. Poczuł, że coś przebija. Pociągnął z całą siłą. Spod wody wynurzył się przeraźliwy łeb rekina chochlika z szeroko rozwartą paszczą. Ni przerażony puścił żerdź, ale tylko na ułamek sekundy. Tyle zajęło mu stwierdzenie, że ryba jest martwa.

– Dziadku, popatrz na to! Załatwiłem go jednym uderzeniem! – krzyknął uradowany.

Ale stary Juichi nie podzielał radości swojego praprawnuka. Być może przez wzgląd na stary rybacki przesąd, że chochlik na pokładzie zwiastuje pecha. A może dlatego, że znał zwyczaje

rekinów i wiedział, że ten akurat zwykle pływa bardzo głęboko.

- Dziadku!

Poluje przy samym dnie.

- Dziadku!

I nie mógł zostać stamtąd zagarnięty przez krótki włók.

- Dziadku, słyszysz mnie? Musisz tu podejść.

Co mogłoby skusić chochlika, by podpłynął tak blisko powierzchni?

Nagle szarpnięcie przerwało kolejną niepokojącą myśl. To Ni schwycił starca za rękę i niemal siłą poderwał z ławy.

- Dziadku, spójrz.

Włók był już na pokładzie. Nie trzepotało w nim wiele ryb. Za to chochlik był przeogromny. Naprawdę wielki. Być może nawet największy, jakiego kiedykolwiek złowiono. Ale Juichi nie patrzył na rekina. Ni również. Obaj przyglądali się martwemu mężczyźnie zaplątanemu w sieć. Miał długą, gęstą brodę i równie długie, splątane dredy. Brakowało mu lewej ręki. Zamiast niej spod kraciastej koszuli wystawał rozszarpany kikut.

- Nie wiedziałem, że chochliki atakują ludzi - szepnął Ni.

- Nie atakują - odparł starzec.

- A jednak tego zaatakował.

- Nie wydaje mi się, chłopcze. Raczej po prostu natknął się na niego i skorzystał z okazji.

- Chcesz powiedzieć, że rekin znalazł w oceanie martwego faceta? A niby skąd on by się tam wziął?

Juichi nic już nie powiedział. Służył na Okinawie. I może miał te swoje dziewięćdziesiąt siedem lat, ale wciąż potrafił rozpoznać to, co zobaczył pośrodku czoła topielca. Dziurę po kuli.

ROZDZIAŁ 32

– Ty dupku! Zamierzałeś mi kiedyś o tym powiedzieć? – Pauline uderzyła pięścią w stół z taką mocą, że kieliszek półsłodkiego chambourcin wywrócił się, a jego aromatyczna zawartość zalała śnieżnobiały obrus. Czarnoskóra kobieta siedząca obok nawet się nie skrzywiła. Na jej twarzy wykwitł serdeczny uśmiech. Szybko ściągnęła przemoczone płótno, zdjąwszy ze stołu cztery niewielkie dyski i dwa talerze z hamburgerami, które przygotowała dla swoich gości.

Leonore Burley miała siedemdziesiąt jeden lat i na pierwszy rzut oka przypominała amerykańską farmerkę. Lekka nadwaga, poplamione ziemią džinsy i niedbale włożona kraciasta koszula. Miała delikatny makijaż i zadbane dłonie, choć nie stroniła przecież od ciężkiej pracy.

– Lepiej to zabiorę – rzuciła Leo. – No nie patrz tak na mnie, Aleks. Mówię o dyskach. Hamburgery zostawiam.

– Zamierzałeś mi powiedzieć? – powtórzyła Pauline.

– Przecież właśnie to robię – odparł Aleks.

Nie uśmiechnął się. Jego twarzy nie wykrzywił żaden grymas. Nie miał na to sił.

– Jak? Kiedy? – Pauline starała się uspokoić. Z mizernym efektem.

– Przecież podobno podsłuchiłaś moją rozmowę w tunelu. Poprosiłem przyjaciela, by przetransportował rejestratory na pokład naszego samolotu. Ale żeby najpierw wyjął dyski z obudowy i schował w panelu sufitowym przedniej łazienki. Czułem, że coś się święci.

– Wprost nie do wiary. Ukradłeś dyski z rejestratorów. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że to przez ciebie zginęli Jordan i reszta?

– Zginęli, ponieważ napastnicy myśleli, że uratowaliśmy rejestratory ze statku. Moim zdaniem to miało nigdy nie nastąpić.

– Nie da się ciebie wyprowadzić z równowagi, co?

– Nie.

Jechali tutaj bardzo długo, ale bez większych przeszkód, dlatego mniej więcej zgodnie z planem znaleźli się w Lesie Pisgah. Ostatnie trzydzieści kilometrów było najgorsze. Ciemność, mgła i wąskie, górskie drogi dawały się we znaki zmęczonemu Aleksowi. Pauline odetchnęła z ulgą, gdy w końcu zatrzymali się na jakiejś ukrytej w leśnych ostępach posesji, niemal u stóp Mount Mitchell. Kiedy wysiedli i jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, a uszy do odgłosów natury, jakich jeszcze w życiu nie słyszała, ujrzała stary, dość duży drewniany dom, zupełnie ukryty w mroku. Przez moment. Za chwilę lampa zawieszona nad podwórzem rozbliła całą mocą cichutko terkocącego gdzieś za domem spalinowego agregatu. W drzwiach domu pojawiła się Leonore Burley. O ramię opierała lufę mossberga 500. Pocisk kalibru 12 bez trudu powaliłby niedźwiedzia. Ale Leonore szybko się zorientowała, że tej nocy nie będzie potrzebowała broni.

Aleks wstał. Dębowa podłoga zatrzeszczała pod jego stopami. Był wykończony i o niczym nie marzył tak bardzo jak o ciepłej pościeli.

– Zabrałam dyski do pracowni – rzekła Leonore, gdy wróciła do nich po krótkiej chwili. – A wy chyba potrzebujecie snu.

– Zdecydowanie – odparł Aleks. – Najadłem się jak nigdy. Zapomniałem już, jak dobre robisz żarcie.

Uśmiechnęła się, a isierki w jej oczach dowodziły, że była stara jedynie ciałem.

– Mówiłam ci, żebyś mnie częściej odwiedzał. Tym bardziej jeśli masz tak interesujące towarzystwo. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– To towarzystwo – odwzajemnił uśmiech Gall – będzie potrzebowało osobnego łóżka. A najlepiej osobnego pokoju.

– Ach tak – zmartwiła się gospodyni. – A już myślałam...

– Za stara już jesteś na myślenie, Leo.

– Ta stara zaraz ci spuści łomot, smarkaczu.

Śmiali się przez chwilę. Zaraz potem Gall spoważniał.

- Leo - zaczął. - Tym razem chyba nieźle wdepnąłem. Myślę, że...

- Myślisz, że będą cię szukać - dokończyła. - Wcale mnie to nie dziwi. Nie spodziewam się, by dyski z rejestratorów rozdawano na lewo i prawo. Zwędziłeś je.

- Tak. Ale nie prawo nam teraz zagraża. Raczej ta druga strona.

- Rozumiem. Ale to nic. Pamiętasz jeszcze mój bezpieczny pokój? Niestety jest tylko jeden. Ale są tam dwa wyrka. Jakoś sobie poradzicie. Daj kluczyki. Schowam auto.

- Nie gadaj, że masz też bezpieczny garaż, Leo. - Pauline się zaśmiała.

- Mam tu sporo ciekawych rzeczy.

- O garażu to nawet ja nie wiedziałem - wtrącił Aleks.

- I bardzo dobrze. To nie twój interes. - Leo zabrała Gallowi kluczyki z dłoni. - Teraz idźcie spać, a ja przygotuję urządzenia i rano zobaczymy, co te dyski ciekawego zarejestrowały.

- Dobranoc. - Aleks ziewnął, po czym skierował kroki w głąb domu. Pauline podążyła za nim. Przeszli obok klatki schodowej, w kierunku zejścia do piwnicy. Minęli je i wyszli przed dom od strony ogrodu. Kilkanaście metrów dalej znajdowało się podmurowane wejście do piwniczki na wina. Gall pchnął drzwi i wymacał włącznik światła. Ich oczom ukazały się strome, wąskie schody. Aleks ruszył pierwszy. - Ostrożnie, Pauline - ostrzegł.

- Dzięki za troskę.

- Martwię się, że się potkniesz i na mnie spadniesz.

- Prosię - prychnęła i zamilkła.

Kolekcja win Burley zrobiła na niej wrażenie. W całym pomieszczeniu stały wysokie regały wypełnione butelkami.

- Kiedy ona to wszystko wypije? - zapytała.

- Podejrzewam, że jeszcze w tym roku - odparł, wybuchając śmiechem.

Podeszli do ostatniego regału, stojącego przy samej ścianie. Aleks mocno się o niego oparł. Regał drgnął, a następnie się przesunął. Ujrzeni metalowe drzwi przytwierdzone do gołej ściany. Obok framugi delikatnym światłem emanował panel

zamka elektronicznego.

– Odwróć się – rzekł Aleks.

– No wiesz co? – oburzyła się Pauline. – Ile trzeba z tobą przebywać, żebyś nabrał do człowieka zaufania?

– Dłużej. Tak czy inaczej to zamek Leo. Jeśli będzie chciała, to zdradzi ci kod. Ja tego nie zrobię. Jeśli nie chcesz spać na podłodze, to się odwróć.

W zupełnej ciszy spełniła polecenie. Ciche kliknięcie potwierdziło, że kod jest poprawny. Minęli drzwi, a mechanizm hydrauliczny zasunął za nimi regał. Ruszyli po kolejnych schodach. Tym razem były nieco szersze i zrobione z kamienia. W końcu dotarli do jeszcze jednych drzwi. Gall otworzył je, wstukując kod. Wszedł do pomieszczenia i zapalił światło.

Pauline ze zdumienia otworzyła oczy. Stali w dużej sypialni, jakiej nie powstydziliby się niezły waszyngtoński hotel. Na końcu pokoju znajdowały się drzwi do łazienki. Pauline z radością odkryła, że ma do dyspozycji dużą wannę.

– Powiesz jej? – zapytała.

– Co?

– Wszystko.

– Oczywiście – odparł Aleks, zrzucając z siebie przeпоconą koszulę. – Leo to obecnie najważniejsza kobieta w moim życiu. Jeśli jej nie mógłbym zaufać, to chyba nikomu.

Pauline uśmiechnęła się niemal niezauważalnie. Był naprawdę niezłe zbudowany. Zwłaszcza jak na pustelnika.

To nie ja – pomyślała – to hormony. Nic na to nie poradzę.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła.

– Potem. Teraz idź się myć. Chyba że wolisz, żebyśmy poszedł pierwszy.

– Może pójdziemy razem. – Zachichotała. – Wanna jest duża.

– Nie kąpię się z laseczkami na pierwszej randce – odparł Gall.

– Dobra, dobra. Żartowałam przecież. Za kogo ty mnie masz? W tym miesiącu uprawiałam już seks. Mama mi mówiła, że częściej to grzech.

– Daj mi do niej telefon. Zadzwoń i poproszę, żeby nauczyła cię poprawnego wykonywania komendy zamknij-się-i-

zapieprzaj-do-wanny.

Zamknęła się i znikła za drzwiami.

Obudziło go ciche trzaśnięcie drzwi. Rozejrzył się na wpół przytomny. Ułamek sekundy zbierał myśli. W końcu spojrzął na owiniętą ręcznikiem Pauline.

- Dłużej się nie dało? - zapytał.

- Musiałam umyć włosy.

- Dwie godziny?

- Nie było mnie piętnaście minut, Aleks. Chyba naprawdę potrzebujesz snu.

Spojrzął na zegarek. Był dopiero kwadrans po północy. Opadł ciężko na łóżko.

- Jeśli obiecasz, że nie będziesz się do mnie zbliżać, to możesz się dzisiaj nie kąpać. - Zaśmiała się, rozczesując włosy. - Ale zanim pójdziesz spać, opowiedz mi o Leo. Skąd ją znasz?

- Przyszła kiedyś do mnie.

- Aha. I...?

- To było jakiś czas potem, kiedy zginęły moja żona i córka. Nie mogłem się z tym uporać. Rzuciłem robotę i zacząłem się włóczyć po Stanach. Miałem nadzieję, że w ten sposób jakoś pogodzę się z tym, co się stało. Tyle że ja nie wiedziałem, co się stało. Uznałem, że tak będzie łatwiej. Nie czytałem gazet. Nie oglądałem telewizji. Nigdzie nie mieszkalem. Wędrowałem przed siebie.

- I się nie goliłeś. Co dalej?

- Wyniki badań wypadku ogłoszono bardzo szybko. Okazało się, że zawinił kontroler.

- Chciałeś go zabić?

- Nie.

- Ano tak. Aleksander Gall i jego nienaruszalny spokój.

- Czy wiesz, kto to był Witalij Kałojew?

- Jakiś Rusek?

- Naprawdę czasem się zastanawiam, skąd w NTSB biorą się tacy ludzie jak ty.

Pauline prychnęła, zdjęła ręcznik i cisnęła nim w Galla. Przez ułamek sekundy zobaczył ją nagą, a potem nie widział już nic.

Zanim zdążył się wyswobodzić, miała na sobie górę od męskiej piżamy, którą dostała od Leo w pakiecie z kołdrą i poduszką. Błękitna koszula w kratę sięgała jej niemal do kolan. Aleks poczuł, że nie różni się wiele od innych mężczyzn, ale szybko odegnał od siebie kilka przyjemnych myśli, które niespostrzeżenie wdarły się do jego głowy.

– Kałojew pochodził z Osetii Północnej – kontynuował.

– Z tego, co wiem, Osetia Północna wciąż należy do Rosji.

Gall zignorował tę wypowiedź.

– W dwa tysiące drugim roku stracił żonę i dziecko w zderzeniu samolotów Bashkirian Airlines i Cargo DHL nad Überlingen.

Pauline podniosła się gwałtownie.

– Wiem! – krzyknęła. – To ten świr, co zabił kontrolera.

– Zgadza się. Kontrolera uznano za winnego spowodowania wypadku. Niesłusznie. Kontroler nie zawiódł. Zawiodły procedury. Nie chce mi się wnikać w szczegóły. Zasadniczo kontroler Peter Nielsen pracował samotnie, nie zdając sobie sprawy ze sporych niedoborów w sprzęcie i kontrolując zarówno obszar nad Szwajcarią i częściowo Niemcami, jak i podejście do kilku okolicznych lotnisk. Zajmował się właśnie samolotem podchodzącym do lotniska w Friedrichshafen.

– Wiem. Znam. Uczylałam się o tym.

– Nie przerywaj. Nielsen zajmował się podejściem, a tymczasem w obszarze miał konflikt. Dwa samoloty na kursie kolizyjnym. Dość długo się nie zorientował, a ostrzeżenia od innych kontrolerów nie przychodziły z powodu zepsutego telefonu.

– O czym Nielsen nie wiedział, tak? To miałeś na myśli, mówiąc „nie zdając sobie sprawy ze sporych niedoborów w sprzęcie”?

– Nie tylko. W każdym razie Nielsen w końcu się zorientował w sytuacji. Wydał pilotom odpowiednie instrukcje i sprawa by się zakończyła, gdyby nie TCAS. Po wykryciu konfliktu TCAS automatycznie wydał załogom polecenia. Niestety nie było jeszcze wówczas procedur, kto ma decydujący głos. Kontroler czy TCAS. Polecenia Nielsena i TCAS były sprzeczne. Rosjanie posłuchali kontrolera. Piloci DHL – komputera. No i zderzyli się w powietrzu, zabijając siedemdziesiąt jeden osób. W tym rodzinę

Kałowjewa. A ten uznał, że jedynym sposobem na zasklepienie jego ran będzie krwawa zemsta. Wytropił Nielsena i zabił w jego własnym domu na oczach żony i córki.

– Jezu.

– Nie chciałem być taki jak on. Nie chciałem zabić Colemana. Miał zresztą opinię doskonałego kontrolera. Trudno mi uwierzyć, że popełnił tak prosty błąd jak skrócenie separacji.

– Co było potem?

– Potem pojechałem do Los Angeles. W pobliżu LAX odsłaniano właśnie pomnik ku pamięci ofiar katastrofy. Oprócz mojej żony i córki zginęło jeszcze sto trzydzieści osób.

– Gross mówił, że sto trzydzieści razem z twoją rodziną.

– Gross się mylił. W sumie sto trzydzieści dwie osoby.

– W zasadzie niewielka różnica.

Gall spojrział na nią takim wzrokiem, że aż jej zadrżała powieka. W ciągu ułamka sekundy ulotnił się gdzieś cały jego urok. Teraz spoglądał na nią niebezpieczny szaleniec. Człowiek zdolny do wszystkiego. Zaszokowała ją ta przemiana i na wszelki wypadek nieco się odsunęła.

– Aleks...

– Dwie istoty ludzkie to niewielka różnica, Halfield? – zapytał, ale w jego głosie nie było agresji. Nie utracił kontroli nad sobą. – To na przykład moja żona i córeczka.

– Przepraszam, Aleks. Nie złość się. Przecież wiesz, że nie miałam nic złego na myśli. Opowiadaj dalej.

Przez chwilę się nie odzywał. W końcu oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy. Pauline pomyślała, że pójdzie spać, on jednak kontynuował:

– W LA oglądałem uroczystość z pewnej odległości. Wtedy podeszła do mnie dziwna kobieta.

– Bawi mnie to twoje podtrzymywanie napięcia, Aleks – oznajmiła Pauline. – Podeszła do ciebie Leo.

– Nie. Właściwie nie. Podeszła do mnie jakaś bezdomna. Dał mi list od Leo. Oczywiście nie miałem wtedy pojęcia, kto to jest. Ale prosiła o spotkanie w Hard Rock Cafe na bulwarze Hollywood. Pisała, że ma informacje o śmierci mojej żony. Olałem ją

i wróciłem do Waszyngtonu.

– Dlaczego?

– Nie zrozumiesz tego, Pauline. Pogrzebałem żonę i dziecko. Nie chciałem już do tego wracać. Ale Leo nie pogodziła się z moją odmową. Odszukała mnie raz jeszcze. Tym razem w Nowym Jorku. Podeszła do mnie na lotnisku. Powiedziała wprost, że albo jej pomogę, albo stanę się drugim Kałojewem. Zrozumiałem, co chciała mi powiedzieć. Leo Burley okazała się śledczą NTSB u progu emerytury. Piekielnie dobrą śledczą. Pracowała przy katastrofie samolotu mojej żony. Była szefem zespołu.

– Długo utrzymywała aktywność zawodową.

– To prawda. Leo ma już siedem dyszek. Pięć lat więcej niż Jordan.

Przez chwilę nic nie mówili. Oboje przypomnieli sobie starego śledczego. Pauline pomyślała, że chyba będzie jej brakowało tego wrednego choleryka. W końcu Aleks podjął wątek:

– Leo dotarła do nagrań lotniskowych. Chodziło o kamerę na terminalu cargo. Na podstawie obrazu policzyła separację w śladzie aerodynamicznym.

– Jaka tam była kolejność operacji?

– A380, a za nim GB11.

– Czyli samolot z kategorii „duży” za samolotem z kategorii „super”. Minimum siedem mil separacji – wyrecytowała. Najfajniejsze w pierwszym roku pracy jest to, że wciąż jeszcze się pamięta, o czym mówili wykładowcy na studiach.

– I tu właśnie jest problem, Pauline. Kategorie, o których mówisz, są ustalone przez FAA, czyli Federalną Administrację Lotnictwa. Ale ICAO, czyli Organizacja Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego, ma własną kategoryzację. Według nich był to samolot z kategorii „średni” za samolotem z kategorii „duży”. I minimalna separacja sto dwadzieścia sekund. Leo policzyła, że Coleman zezwolił na start GB11 BA sto trzydzieści trzy sekundy za A380.

– Ze sporym zapasem.

– Tak. Ale według badań zapisu wtórnego radaru dozoru na lotnisku LAX, a także rejestratorów A380, okazało się, że

zdążył on odlecieć jedynie sześć i pół mili. Musiał być ciężki.

- Czyli zabrakło pół mili.

- Teoretycznie tak. Ale pomyśl. Jakim cudem taka sama separacja dla ICAO jest bezpieczna, a dla FAA już nie? Oczywiście jesteśmy w USA, więc obowiązują przepisy FAA. Ale gdyby to samo stało się w Londynie czy Paryżu, to nikt by kontrolera nie obwinił. Nie, Pauline. Kontroler być może popełnił drobny błąd, ale na pewno nie to spowodowało wypadek.

- No to ja już nic nie rozumiem. - Pauline rozłożyła ręce. - Dlaczego kontrolera uznano za winnego?

- Bo był świetnym kozłem ofiarnym! Poza tym GB11 to była wtedy nowa maszyna i każdy miał interes w tym, by okazała się niezawodna. Producent, linie lotnicze, które ją zakupiły, i tak dalej.

- Rozumiem.

- Muszę przyznać, że Jordan zrobił na mnie wówczas jak najgorsze wrażenie. To było fatalnie przeprowadzone śledztwo. Zbadano rejestratory, które nie dały żadnej odpowiedzi, przesłuchano kontrolerów, sprawdzono minima i tyle. Wprawdzie zgromadzono chyba wszystkie możliwe dokumenty, ale nikt nawet do nich nie zajrzał. Mamy winnego i koniec. Coleman był ugotowany, a jego protestów nikt nie słuchał. Potem wyszło na jaw kilka nieprzyjemnych spraw. Dwukrotnie przychodził do pracy pijany. Nie lubili go współpracownicy ani przełożeni. Nie wyleciał tylko dlatego, że był po prostu dobry.

- A jednak to dziwne. Nie wydaje mi się, by normy ICAO były gorsze niż normy FAA. Ta różnica musi zawierać pewien margines błędu. Trudno przypuszczać, by taka sama separacja w Anglii zapewniała bezpieczeństwo, a w Stanach prowadziła do katastrofy.

- No przecież to samo przed chwilą mówiłem. To właśnie przekazała mi Leo podczas naszego pierwszego spotkania. I obarczyła moje sumienie odpowiedzialnością za los Colemana. Gdybym zgodził się uznać go za winnego, stałbym się, w przenośni, drugim Kałojewem. Nie chciałem tego. A poza tym, no cóż, Leo mnie zaciekała. Mam na myśli to, że w pewnym

sensie wyrwała mnie z tego dziwnego letargu. Pomijając fakt, że jest dość oryginalną osobą. Zabraliśmy się do roboty. Jestem z wykształcenia inżynierem mechanikiem, więc bardzo szybko przyswajałem wiedzę. Po miesiącu GB11 nie miał przede mną tajemnic. Leo kilka miesięcy wcześniej straciła męża. Zawał. Nie doczekali się dzieci, więc została sama. Ja z kolei nie miałem się gdzie podziać, więc zaproponowała, żebym przez jakiś czas pomieszkał u niej. Przynajmniej dopóki nie rozwikłamy zagadki BA 2049.

– U niej, znaczy tutaj?

– Nie. Wtedy miała jeszcze dom w Waszyngtonie. Nie tak bezpieczny jak ten. A bardzo ryzykowała. Wynosiła z biura tony dokumentacji. Fotografie, transkrypcje zapisów rozmów pilotów, zapisy z ATC. Poszłaby siedzieć na długie lata, gdyby się wydało. Ale w końcu znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Na jednym ze zdjęć wyraźnie widać było nienaturalnie rozerwany zamek luku bagażowego. Leo zgłosiła to Darby’emu, a Darby Jordanowi. A Jordan powiedział, że odkształcenie jest skutkiem, a nie przyczyną katastrofy. Byliśmy zdesperowani, więc włamaliśmy się do magazynu NTSB.

– Włamaliście się?!

– Zakładam, że nie wypapłasz nowemu szefowi.

– Jezu! – jęknęła Pauline. – Bardzo żałuję Jordana. W każdym razie trudno mi sobie wyobrazić prawie siedemdziesięcioletnią Leo włamującą się gdziekolwiek.

– No widzisz. A jednak. Bez większego kłopotu znaleźliśmy ten fragment zamka, bo wszystko było elegancko skatalogowane i opisane. Leo go sobie pożyczyła.

– Znaczy ukradła. – Pauline zachichotała.

– Nie, pożyczyła – odrzekł z naciskiem Gall. – Oddała przecież. W każdym razie po dokładnym badaniu i ekspertyzie niezależnego metalurga uzyskaliśmy dowód, że mieliśmy rację. Mechanizm był rozerwany. Nie zmiądzony. Więc uszkodzenie nie mogło powstać w trakcie zderzenia z ziemią. Kiedy już to ustaliliśmy, uznaliśmy, że samo otwarcie się luku nie mogło spowodować wypadku. Po prostu samolot był za nisko.

Zaczęliśmy dokładnie analizować plany samolotu. I odkryliśmy, że fundament głównego komputera kontrolującego działanie fly-by-wire stykał się bezpośrednio z mocowaniem luku bagażowego. Ale o tym chyba już ci kiedyś opowiadałem.

– Owszem. I co było dalej?

– Dalej było trochę problemów natury osobistej. Bo jak wiesz, twórcą GB11 jest mój teść. Odwiedziłem go więc, ale wszystkiemu zaprzeczył. Zwyczajnie się wyparł. Twierdził, że fundament komputera był poprawnie umieszczony, a zamek nie mógł pęknąć w locie. Po takiej odpowiedzi uznałem, że prawda musi ujrzeć światło dzienne. Zawsze go lubiłem, ale naprawdę mnie wtedy wkurzył. Pozostała nam więc tylko krótka wycieczka do Jordana. Przedstawiłem mu wyniki naszych badań. I niezaprzeczone dowody. Ale mnie wyśmiał. Powiedział, że każe mnie aresztować za nielegalne posiadanie tajnych materiałów operacyjnych. Czuł, że pali mu się koło tyłka. Nie zwykł popełniać błędów w swoich śledztwach. Skoro Jordan nie chciał ze mną gadać, postanowiłem zwrócić się bezpośrednio do Colemana. Gdyby dostał do ręki takie dowody, to zrobiłby zadymę na cały świat. Ale nie dostał. Spóźniłem się o kwadrans. Wyskoczył z balkonu hotelowego. Wróciłem więc do Jordana.

– Ty jesteś z tych, co się nigdy nie poddają, tak? – Pauline uśmiechnęła się, ziewając przy okazji.

– Dlatego tym razem już się nie patyczkowałem z Jordanem. Oznajmiłem mu, że ma wybór. Albo uwzględni moje badania, przyzna się do błędu i tego, że odpowiada za śmierć Colemana, albo idę z tym bezpośrednio do „Washington Post”, a on jest skończony. Ugiął się. I tyle. Mogliśmy z Leo świętować jej emeryturę.

– A tobie praca śledczego najwyraźniej się spodobała.

– Trochę. Leo sprzedała dom w Waszyngtonie i przeniosła się tutaj. Ja też, z braku lepszego zajęcia. Wkrótce Jordan poprosił mnie o pomoc przy innym wypadku. Jedno mu trzeba przyznać. Nie był mściwy. Mieliśmy fajny układ. Robiłem robotę i dostawałem kasę z funduszu celowego. W wolnych chwilach Leo uczyła mnie wszystkiego, czego da się jeszcze nauczyć

inżyniera mechanika. A musisz wiedzieć, że ona jest chodzącą encyklopedią wiedzy technicznej. Nigdzie na świecie nie spotkasz pięciu takich specjalistów, którzy łącznie wiedzieliby więcej niż jedna Leonore Burley. Byłaby w stanie rozłożyć na części i zmontować z powrotem zarówno *Emmę Maersk*, jak i zaporożca.

– *Emmę* to znam. Kontenerowiec. Ale zaporożec?

– Takie radzieckie auto. Ukraińskie, ściśle mówiąc.

– To teraz już wiem, skąd u ciebie taka wiedza na każdy temat, panie ja-wiem-wszystko-i-zawsze.

– Leo jest dobrą przyjaciółką, ale przede wszystkim fantastyczną nauczycielką. Zresztą dzięki niej poznałem w NTSB więcej ciekawych osób. I nie tylko w NTSB. Kojarzysz Kjerstin Vasę?

– Tę Szwedkę? Naprawdę? Krążą o niej legendy, a chyba jest niewiele starsza ode mnie. Z tego, co wiem, ona pracuje w szwedzkim SHK. Mówią, że to siekiera.

– Zgadza się. Badałem z nią przyczyny zderzenia samochodowca *Harpoon* i drobnicowca *Thraki* na Morzu Północnym w dwa tysiące dwunastym roku. Vasa prowadziła śledztwo. A mnie wzięła do pomocy, ponieważ katastrofę spowodowała polska załoga. Ale zasadniczo to była nudna sprawa. Zwyczajne wymuszenie pierwszeństwa na szlaku wodnym i zaniedbania w poprawnym egzekwowaniu dobrej praktyki morskiej. Znacznie ciekawiej było rok wcześniej w Tiskilwa. Pracowałem tam z Jerrym Soto przy wyjaśnianiu przyczyn wypadku i pożaru pociągu towarowego, który przewoził bardzo nieprzyjemną chemię.

– I co tam się stało? – zapytała Pauline.

Gall zauważył, że od jakiegoś czasu dziewczyna nie otwiera już oczu. Sam też był bardzo śpiący.

– Pękła szyna – odparł. – A nie jest łatwo znaleźć kawałek pękniętej szyny wśród tysiąca ton porozrzucanego żelastwa.

– Aleks...

– Tak?

– Dlaczego się stąd wyprowadziłeś?

- No cóż. Może dlatego, że Leo jest kochliwa.
- Pauline poderwała się z poduszki, robiąc wielkie oczy.
- Nie opowiadaj! Narzucała ci się?
- Nie, głupia. - Zaśmiał się. - Po prostu znalazła sobie chłopca.
- I gdzie on teraz jest?
- Nie mam zielonego pojęcia. Dobranoc, Pauline.

ROZDZIAŁ 33

Chris Chase zjechał z mostu Roosevelta, po czym niespodziewanie, bez kierunkowskazu przeciął dwa pasy i skręcił w lewo, w Dwudziestą Trzecią Północno-Zachodnią. Wtedy raz jeszcze spojrzął w lusterko i nabrał stuprocentowej pewności, że ktoś go śledzi. Czarna toyota camry jechała za nim od stacji benzynowej, na której kilkanaście minut wcześniej zatrzymał swoje czerwone porsche cayman. S. Chase zapamiętał dwóch młodych Azjatów obserwujących każdy jego ruch, jednak początkowo zignorował ten fakt. Wiedział, że jego samochód przyciąga wzrok. Między innymi dlatego go kupił. Ale raczej rzadko ktoś go usiłował ukraść.

Zastanawiał się, co zrobić. Dochodziła piąta rano. Miał jeszcze kilka chwil do umówionego spotkania. Mógł wcisnąć gaz do dechy. Cayman w niecałe dziewiętnaście sekund rozpędzał się do dwustu kilometrów na godzinę i mało która toyota mogła go dogonić.

Chase jeszcze raz spojrzął w lusterko tylko po to, żeby sprawdzić, czy jego jasne włosy dobrze leżą. Leżały. Był ślicznym chłopcem. Lubił tak o sobie myśleć. Szlachetna uroda. W pracy i wśród jego znajomych panowało przekonanie, że Chris jest gejem, a on sam nie dementował tej informacji.

Jego wypielęgnowane delikatne dłonie stanowczo nie nadawały się do roboty, którą wykonywał, ale przyciągały spojrzenia. Zarówno kolegów, jak i koleżanek. Jeśli chodzi o mężczyzn, zwykle nie były to przyjazne spojrzenia.

Chase był przyzwyczajony do niechętnych spojrzeń. Ostatecznie był obrzydliwie bogatym trzydziestolatkiem i miał bardzo wysoko postawionego ojca. Mało kto rozumiał, dlaczego Chris wybrał tę robotę, za to wszyscy doskonale wiedzieli, że ma ją dzięki rodzinnym koneksjom. Ale byli w błędzie. Chase nic nie zawdzięczał ojcu. Prawdę mówiąc, od dziewięciu lat z nim nie

rozmawiał. Straszliwie się pokłócili, kiedy Christopher Chase senior dowiedział się, czym jego ukochany jednak zamierza się zajmować.

Chase przyspieszył. Tuż przed nim światło na sygnalizatorze drogowym zmieniło się z zielonego na żółte. Przeciął Virginia Avenue i zaraz za nią skręcił w wąską uliczkę oznaczoną na miejskim planie jako F Północno-Zachodnia. Zza jego pleców wyskoczyło czarne subaru impreza WRX STI.

Niedobrze – pomyślał Chase.

WRX w wersji regularnej może osiągać moc nawet trzystu koni mechanicznych. Tuningowane znacznie więcej. To coś, co go wyprzedziło, na oko wyglądało Chase'owi jak impreza drugiej generacji, a więc dość stary samochód. Ale jeśli zadbany, to wciąż piekielnie sprawny.

Czarne WRX wskoczyło przed caymana i gwałtownie zahamowało. Chase wcisnął hamulec. Spojrzał w lusterko. Toyota również się zatrzymała. Natychmiast wyskoczyło z niej dwóch facetów, którzy zaczęli biec w jego kierunku. Z subaru również wysiadło dwóch. Sami Azjaci.

Napastnicy się rozbiegli. Dwóch dopadło drzwi kierowcy, pozostali asekurowali stronę pasażera.

Młody Azjata ze śmiesznym wąsikiem, który w jego przekonaniu powinien budzić grozę, szarpnął za klamkę caymana. Chase nie pomyślał o tym, by zablokować drzwi.

– Wsiadaj, pedale, ale już! – krzyknął Wąsik.

W jego rękę błysnął nóż. Chase rozpiął pasy i powoli zaczął się przesuwać w kierunku drzwi.

– Łapy! Tak, żebym widział!

– Spokojnie, spokojnie. – Chase'owi drżał głos.

Wysiadł z samochodu. Przygładził marynarkę, która zmarszczyła się lekko pod pasem bezpieczeństwa.

– Samochód czysty. Nikogo więcej – rzucił jeden z bandytów stojących przy drzwiach pasażera, po czym wraz z kolegą podeszli do pozostałej dwójki.

– Powiem ci, jak będzie, pedziu – rzekł w końcu Wąsik. – Teraz zabiorę twoje auto. Ty sobie i tak kupisz nowe, a nam się przyda.

Przemaaluję je na czarno, żeby nie wyglądało tak pedalsko, i sprzedam komuś, kto mi za nie zapłaci górę szmalu.

– Dobrze, proszę pana – powiedział cicho Chase.

– Świetnie. Oprócz tego dasz mi swój portfel. Ile masz gotówki?

– Niewiele, proszę pana. Jakies pięćset dolarów.

Napastnicy się roześmiali.

– No dobrze. – Wąsik poklepał Chase'a po ramieniu. – Nie martw się. Pieniądze nie są najważniejsze w życiu. A teraz weź z samochodu kluczyki i portfel. Tylko pamiętaj, nauczyłem się posługiwać nożem, kiedy skończyłem pięć lat. Jeden nierozważny ruch i nie masz aorty. A jeśli będziesz grzeczny, to może pozwolę ci zrobić mi loda na pożegnanie.

Pozostali Azjaci znowu wybuchnęli śmiechem. Chase skulił się, jakby myślał, że dzięki temu zrobi się tak maleńki, że w końcu zniknie im z oczu. Potem powolnym ruchem, wciąż trzymając dłonie w górze, obrócił się w kierunku auta. Sięgnął do schowka po dokumenty.

Tak wyglądała ostatnia sekunda życia Wąsika.

Beretta zagrała w dłoniach Chase'a jak doskonale nastrojony instrument. Wąsik dostał kulę w głowę. Podobnie jak jego kolega. Dwaj pozostali rzucili się do ucieczki. Chase wycelował, ale był zbyt sprytny, by strzelać im w plecy. Strzelił po nogach.

O piątej rano w Waszyngtonie nie ma tłumów na ulicach. A w tej okolicy na odgłos strzałów nikt nie wychyla głowy przez okno, żeby sprawdzić, co się dzieje. Panowała cisza i spokój. Słysać było jedynie jęki rannych Azjatów. Gdzieś w oddali odezwały się pierwsze syreny policyjne.

Chase wyciągnął komórkę. Wybrał wewnętrzne połączenie awaryjne. Operator odebrał po dwóch sygnałach.

– Mówi agent specjalny Chase – rzucił do słuchawki. – Mam tu napad z bronią na funkcjonariusza federalnego. F Północno-Zachodnia, od strony Dwudziestej Trzeciej Północno-Zachodniej. Dwie ofiary śmiertelne, dwóch rannych. Przyślij mi tu ambulans i jakiegoś agenta. Tylko na jednej nodze, bo się spieszę.

– Chryste, Chase – powiedział operator. – Znowu rozrabiasz?

– Chcieli mi skroić caymana. Kiedy skończysz, zadzwoń do

Hazela i powiedz mu, że jeśli mam zdążyć na briefing za piętnaście minut, to musi wykonać szybki telefon do komendanta policji stanowej.

Rozłączył się. Chwilę później niewielką uliczkę rozświetliły czerwone i niebieskie światła.

ROZDZIAŁ 34

Obudziło go jakieś dziwne stukanie. Jakby kawałek metalu uderzającego o kamień. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Leo.

– Nie miałem pojęcia, że chodzisz o lasce, Leo – powiedział Aleks.

– Tylko gdy tu się wybieram. Schody są śliskie i nierówne.

– Jak długo spałem? – Aleks odruchowo spojrzął na Pauline. Słysząc było jej równy, spokojny oddech.

– Długo – odparła. – Jest prawie pierwsza po południu.

– Cholera.

– Nie przejmuj się. Kiedy organizm potrzebuje snu, to go sobie bierze. Chodź ze mną, muszę ci pokazać kilka rzeczy. Dziewczyna niech śpi.

– Dziewczyna idzie z wami – rozległ się zaspany głos z sąsiedniego łóżka. – Dajcie mi dwie minuty.

Zjedli jajecznicę na bekonie, a potem Leo zaprowadziła ich do pracowni.

– Skalibrowałam wczoraj urządzenia. Sprawnie poszło, choć nigdy nie badałam rejestratorów GB91.

– Trudno, żebyś je badała, skoro żaden się dotąd nie rozbił. – Pauline się zaśmiała.

– Celna uwaga. – Leo wyszczerzyła śnieżnobiałe, równiutkie zęby. Raczej sztuczne.

– Zgrałaś dane? – zapytał Gall.

– Owszem. I przeanalizowałam.

– Szybko ci poszło.

– My, starzy ludzie – uśmiechnęła się skromnie Leo – wstajemy z paniem koguta i nie lubimy marnować czasu. Mam złe wieści.

– Nie mów mi, że nie ma zapisów – powiedział Aleks, odkładając widelec.

– Nie jest aż tak źle. Ale rejestrator parametrów lotu Nippon 1111 jest w złym stanie. Ewidentnie ktoś przy nim majstrował.

– Niemożliwe. Wprawdzie na Iwo Jimie przez jakiś czas rejestratory znajdowały się w rękach Japończyków, ale...

– Nie rozumiesz. Ktoś przy nich manipulował przed katastrofą. Właściwie nie tyle przy rejestratorach, ile przy głównym komputerze. A wiesz, jak to jest. Zmodyfikujesz jedno, a sto innych rzeczy się wypieprzy. No więc wypieprzył się rejestrator. Ale mamy trochę szczęścia. Udało mi się odczytać zapisy dotyczące wysokości lotu. I robi się dziwnie.

– Oho. Leo Burley znowu na tropie.

Trzepnęła go w głowę stosikiem trzymanyh w dłoni kartek.

– Au! Za co?

– Za szydzenie ze starej kobiety. Patrz.

Podąła mu kartkę z wykresem. A po chwili drugą.

– A tu masz ten sam parametr z Nippon 1212. Widzisz to?

Chwilę się przyglądał, jakby nie potrafił zrozumieć skomplikowanych wykresów. Ale rozumiał je świetnie. Po prostu nie wierzył w to, co widzi.

– Nie, to niemożliwe.

– A jednak – ciągnęła Leo. – Zauważ, że dane pochodzą z trzech wysokościomierzy i systemu GPS.

– Co tam wyczytałeś? – zapytała zaciekawiona Pauline.

Gall podał jej arkusze. Spojrzała na nie.

– Mają różną wysokość w momencie zderzenia – wyszeptała.

– A różnica wynosi tysiąc stóp – powiedział Aleks. – To oznacza, że separacja pionowa była zachowana i nie doszło do zderzenia. Oba samoloty minęły się, poleciały dalej i wylądowały, a potem krasnoludki zawlokły je do oceanu.

– 1212 na poziomie lotu dwieście czterdzieści, a 1111 na poziomie dwieście pięćdziesiąt. Dane nie pozostawiają złudzeń. – Leo odebrała papiery od Pauline i spojrzała wyczekująco na Aleksa. Ale jemu nic nie przychodziło do głowy.

– Trzeba przyjąć, że jeden z samolotów leciał na niewłaściwej wysokości, ale w wyniku błędu urządzeń załoga nie zdawała sobie z tego sprawy – doszła do wniosku Pauline.

– W wyniku błędu czterech niezależnych od siebie urządzeń? – zapytała Leo.

- Czy te urządzenia mają jakiś wspólny obwód? – spytał Aleks.

- Nie. Działają niezależnie od siebie. Nie ma szans, żeby wszystkie zawiodły. To niemożliwe, żeby cztery pokazywały ten sam błędny pomiar. Chyba że i w tej kwestii rejestrator się myli. Ale wątpię. Pomijając sam moment katastrofy, odczyty są precyzyjne i wiarygodne.

- No dobrze. – Pauline zdmuchnęła z lewego oka niezdiscyplinowany blond kosmyk. – A czynnik ludzki? Może załoga celowo lub przypadkowo niewłaściwie skalibrowała urządzenia?

- Bardzo wątpliwe – odparła Leo. – GPS to elektronika. Można było go ewentualnie przeprogramować, ale nie wyobrażam sobie pilota, który zmienia oprogramowanie. To operacja raczej niemożliwa z poziomu kokpitu.

- No ale mówiłaś, że ktoś grzebał przy komputerze. Zatem zmiana oprogramowania to nie żadne science fiction, tylko fakt.

- Dobra, zostawmy to na moment – zdecydował Aleks. – Rozumiem, że w zapisach CVR nie znajdujesz żadnego wytłumaczenia.

- Rejestratora 1111 nie ma. Rejestrator 1212 nie nagrał nic ciekawego. Weź słuchawki i posłuchaj.

- Bardzo śmieszne. Dobrze wiesz, że po japońsku to ja znam trzy wyrazy: sushi, sake i sumo.

- Na *Dekishi* mówiłeś coś po japońsku do bosmana – zauważyła Halfield.

- Ano tak. Umiem się też przywitać i pożegnać – odparł z przekąsem, po czym zwrócił się do Leo: – Pokaż mi ten papier, więdźmo. Dobrze wiem, że zrobiłaś angielską transkrypcję.

Zaśmiała się, a śmiech miała tubalny, jak ryk silników startującego 747. Podała Aleksowi stosik kartek i poszła zrobić kawę. Gall otworzył szklane drzwi i wyszedł na werandę osłoniętą drewnianym zadaszeniem. Natychmiast przypomniał sobie, dlaczego tak bardzo kochał to miejsce. Odgłosy i zapach lasu. To było to, czego potrzebuje dusza zmęczonego człowieka. Jego dusza. Zakręciło mu się lekko w głowie od świeżego powietrza. Nie był do tego przyzwyczajony, więc szybko

wyciągnął papierosa. W końcu usiadł w białym plastikowym fotelu. Próbował rozłożyć arkusze na stoliku, ale przybierający na sile wiatr porywał kartki. Pierwsze krople deszczu zatańczyły na zadaszeniu werandy. Las był nieopodal. Drzewa zaszumiały i pochyliły się lekko, zrobiło się trochę ciemniej. Wraz z ogromnym cumulonimbusem nadciągała burza.

Aleks ułożył kartki jedna na drugiej i zabrał się do czytania. Według transkrypcji piloci poprawnie przeprowadzili checklisty i wznieśli się w powietrze zgodnie z planem. Dalej również wszystko przebiegało jak należy, więc Aleks skupił się na ostatnich sekundach lotu.

16:10:10.7		[dźwięk otwierania drzwi kokpitu]
16:10:12.3	CC:	herbaty, kapitanie?
16:10:13.2	CPT:	[niezrozumiałe] kawy. kenji?
16:10:14.4	F/O:	ja również poproszę.
16:10:19.1		[dźwięk zamykania drzwi kokpitu]
16:10:20.9		[odgłos śmiechu/mikrofon F/O]
16:10:21.0		[odgłos śmiechu/mikrofon CPT]
16:10:47.1	CPT:	sprawdź, proszę, pogodę.
16:10:48.2	F/O:	już sprawdziłem, proszę pana. na całej trasie do sy
16:11:26.3	TAT C:	nippon 1212. obszar tokio. za chwilę wychodzicie z za minutę mijacie się z nippon 1111 na poziomie 25 separacja 1000 stóp, więc zachowajcie czujność. prz

		120.500. do miłego.
16:11:49.8	CPT:	nippon 1212. utrzymujemy poziom 240, będzie we na 120.500. do widzenia.
16:12:00.0	F/O:	będziemy się [niezrozumiałe]?
16:12:01.7	CPT:	[niezrozumiałe] naszym g[eronimo]
16:12:01.8		[dźwięk przełączania częstotliwości/mikrofon CPT]
16:12:02.2		[dźwięk nowej częstotliwości/mikrofon CPT]
16:12:02.2		[dźwięk nowej częstotliwości/mikrofon F/O]
16:12:06.4	CPT:	guam, nippon 1212 na poziomie 240, kurs 100. po o trafficu. prosimy o zgodę na 350.
16:12:12.1	GAT C:	nippon 1212. kłania się guam. utrzymujcie 240, po 1111 macie zgodę na 350. zameldujcie [niezrozumiałe] zameldujcie NIMITZ.
16:12:18.9	CPT:	240, po minięciu 350 meldujemy 300. 169. meldujcie
16:12:21.3	CPT:	nippon 1111, tu nippon 1212. uważajcie na podejście podwiewa od prawej burty
16:12:27.3	RAR:	1212, wiatr od sterburty, dziękuję, 1111.
16:12:31.0	GAT C:	proszę bez prywaty na otwartym.
16:12:31.7		[dźwięk ostrzeżenia o minimalnej separacji]
16:12:31.9	CPT:	guam. przepraszam. 1212.

16:12:32.7		[dźwięk ostrzeżenia o minimalnej separacji]
16:12:33.1	CPT:	co za dupek.
16:12:34.1	F/O:	[nierozumiąle]
16:12:35.3	CPT:	[nierozumiąle] nie [nierozumiąle]
16:12:49.1	F/O:	[nierozumiąle] zobaczymy go?
16:12:50.3	CPT:	być może. [nierozumiąle] ponad nami. za to oni z nas doskonale od dłuższego czasu.
16:13:02.0		[dźwięk ostrzeżenia o minimalnej separacji]
16:13:03.0		[dźwięk ostrzeżenia o minimalnej separacji]
16:13:03.8	F/O:	szczęściarze. kapitanie [nierozumiąle] łazienki?
16:13:06.9	CPT:	idź. [nierozumiąle] przy okazji [nierozumiąle]. i
16:13:10.1		[koniec zapisu]

- Nic konkretnego, co? - zapytała Leo, kiedy pojawiła się na tarasie.

- Przeciwnie - odparł Aleks.

- Znalazłeś coś?

- Muszę pomyśleć.

Upił łyk kawy. Jego myśli powędrowały gdzieś daleko. Leo widywała go w takim stanie. Zupełnie jakby był w transie. Niedbałym, powolnym ruchem odrzucił na stolik arkusz. Leo błyskawicznie przycisnęła do stołu kartki. Gdyby nie ona, wiatr porwałby je w las.

- Co ja ci mówiłam o transkrypcjach? - rzuciła. - Przed opublikowaniem to są tajne dane. Do niszczenia.

Nawet nie drgnął. W głowie kłębiły mu się myśli. Coś się klarowało. Ale chciał się jeszcze nad tym zastanowić. Nabrać większej pewności. A przynajmniej wykluczyć inne możliwości, zanim podzieli się z Leo swoimi spostrzeżeniami.

– Rozumiem, że gdyby FDR wykazał jakieś problemy albo coś niestandardowego, to już bym o tym wiedział?

– Tak, Aleks.

– No dobrze. A co z drugą maszyną? Nie znalazłaś przypadkiem niczego o awarii silnika?

Leo się wyprostowała. Spojrzała podejrzliwie na Galla.

– Owszem. Pożar jedyńki. Ale uznałam, że to wskazanie wynika z awarii rejestratora. Skąd, u licha, to wiesz?

Nagle zdał sobie sprawę, jak niewiele powiedział Leo. Zamknął oczy. Musiał zebrać myśli. Od czego tu zacząć?

Pierwsza błyskawica przecięła niebo. Nieśmiało i bez mocy, jakby burza wysłała ją jedynie na zwiad. Cichy grzmot dobiegł ich uszu dopiero kilka chwil później. Ale deszcz się nasilił, a wiatr przestał przyjemnie muskać skórę i w jednej chwili zmienił się w agresywne monstrum, ostrymi szponami rozszarpujące włosy. Kilka chwil później opuścili werandę i usiedli w salonie. Leo uruchomiła biokominek. Nie żeby zwiększyć temperaturę, a jedynie po to, by stworzyć przyjemny klimat. Za oknem burza rozszalała się na dobre. Pioruny waliły jak wojsko w tarabany. Nadciągał wrogi front.

Aleks mówił przez dobrą godzinę. Czasami orientował się, że o czymś zapomniał. Musiał wtedy wracać. Kiedy indziej przekazywał informacje za szybko i Leo, nie znając kontekstu, nie potrafiła ich zrozumieć. Pauline, która w pewnym momencie do nich dołączyła, co jakiś czas wtrącała swoje trzy grosze. Opowieść była chaotyczna, niemniej kiedy Aleks skończył mówić, Leo wiedziała już wszystko, co powinna.

– Przepraszam cię – podsumował Aleks. – Sama widziałaś, jak wczoraj wyglądałem. A dziś mnie zaskoczyłaś analizą i zupełnie zapomniałem, że nic nie wiesz. Ale może to i dobrze. Przynajmniej nie kierowałaś się naszymi podejrzeniami przy analizie.

– Faktycznie, gdybym znała te informacje wcześniej, pewnie trochę inaczej poprowadziłabym badania. Widać jednak, że ktoś chce coś przed nami ukryć.

– A konkretnie coś, co jest w zapisach – sprecyzował Aleks.

– Co znalazłeś w transkrypcji?

– Dowód, że od początku jesteśmy manipulowani. Już wcześniej podejrzewaliśmy, że kontroler mógł nas okłamać. Teraz mam pewność.

– Rozumiem – rzekła Pauline, przeglądając kartki z zapisem rozmów pilotów. – Piloci Nippon 1212 musieliby słyszeć rozmowę fałszywego kontrolera z Nippon 1111. A tu nic nie ma.

– Nie. Nie o to chodzi. Kontroler powiedział wyraźnie, że nie słyszał tej rozmowy. Więc piloci Nippon 1212 też nie musieli. Technicznie to się da zrobić. Chodzi o jego końcowe słowa. Że zaraz po wypadku słyszał głos Sługi. Ale kłamał. Bo na nagraniach słychać wyraźnie, jak przekazuje 1212 kontroli na Guam. Rozumiesz? To nie on kontrolował samoloty w momencie wypadku, tylko Guam.

– O cholera. To dlaczego my nic nie wiemy? – zdziwiła się Pauline.

– Łatwo na to odpowiedzieć. Bo ktoś tego nie chce. Kontrolę nad strefą Guam sprawuje amerykańskie wojsko. Co oznacza, że w sprawę zaangażowane są siły ulokowane po obu stronach Pacyfiku. Jordan z Loganem na pewno by do tego doszli, gdyby tylko mieli szansę. A Guam zamiotło sprawę pod dywan. To znaczy, że ktoś tam jest zaangażowany w wypadek. Trzeba będzie się dowiedzieć kto.

– Ciekawe, czy na Guam też nieoczekiwanie wysiadła kontrola lotów.

– Wątpię. Mam wrażenie, że to wszystko nie było planowane. Że nie miało się zdarzyć w tamtym momencie i w tamtym miejscu.

– Musiało się zdarzyć w tamtym momencie – zaoponowała Leo.

– Przecież właśnie tam się mijały samoloty.

– Bo 1111 był spóźniony. Tak naprawdę te samoloty w ogóle nie miały się mijać.

– To gdzie powinien być 1111, gdyby leciał o czasie?

Aleks nie odpowiedział.

– Jezu. On powinien być już nad Tokio.

– Właśnie – przyznał Aleks. – A to oznacza, że nie miało być żadnego zderzenia. Co z kolei tłumaczy różne wysokości maszyn.

– Pogubiłam się – dała za wygraną Leo, a Pauline pokiwała głową, sugerując, że ona też nie rozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Hipotetycznie możemy przyjąć – kontynuował Aleks – że z jakiegoś powodu samolot lecący wyżej eksplodował w czasie mijania niższego i po prostu na niego spadł. W momencie wybuchu FDR się zatrzymał i dlatego pokazuje wysokość z ostatniej znanej pozycji. Prawidłowej pozycji.

– Ma to sens – stwierdziła Pauline. – Ale chyba zdajesz sobie sprawę, jak bardzo nieprawdopodobnie wygląda? Niesamowity zbieg okoliczności.

– Każdy wypadek, jeśli go przeanalizować i rozpisać, na papierze wygląda nieprawdopodobnie. Spójrz na Teneryfę. Ile tam musiało wystąpić zbiegów okoliczności? Po pierwsze, alarm bombowy na Gran Canarii i przekierowanie kilku samolotów na małe, nieprzystosowane do przyjmowania 747 lotnisko na Teneryfie. Po drugie, nieoczekiwana mgła. Po trzecie, awaria światła pasa. Po czwarte, akurat wypadła niedziela, więc obsada kontroli lotów była zmniejszona. Po piąte, brak radaru ground. Po szóste, niewiarygodny wprost błąd doświadczonego pilota KLM. Po siódme, równoległy błąd załogi Pan Am. Po ósme, pechowy układ dróg kołowania uniemożliwiający szybki zjazd z pasa samolotowi Pan Am. Po dziewiąte, nakładające się na siebie transmisje. Dwa kluczowe komunikaty padają przez radio dokładnie w tej samej sekundzie, przez co się zlewają. Zobacz, ile niecodziennych okoliczności musiało zaistnieć, by doszło do tego wypadku. Gdyby choć jeden z tych czynników nie wystąpił, nie byłoby wypadku. A jednak te samoloty się zderzyły i zginęły pięćset osiemdziesiąt trzy osoby.

– Dobra – rzekła Pauline. – Przyjmijmy, że masz rację. W takim razie widzę jeden zasadniczy problem. Kontroler powiedział nam o Słudze. To była najważniejsza informacja. Myślę, że to ona

miała być tym kłamstwem, do którego go zmusili. Bo inaczej nie podrzuciliby nam tej informacji. Rozumiesz? Wiemy, że z jakiegoś powodu nas okłamali, ale informacji o Słudze nie zataili. Chcieli, byśmy wiedzieli, że to on. A raczej, byśmy myśleli, że to on. W takim razie wygląda, że to nie on. Ale przecież się przyznał.

– To nie jest takie pewne – wtrąciła Leo. – Przyznała się też Al-Kaida. Przyznanie się do winy paradoksalnie nie stanowi żadnego dowodu. A skoro Japończycy raz usiłowali nas okłamać, to niewykluczone, że teraz też próbują. Nic prostszego, jak przygotować fałszywe wyznanie.

– Przez cały czas się zastanawiałem, dlaczego Hosuto pozwolił nam porozmawiać z kontrolerem. Odmówił nam jakiegokolwiek pomocy, a na to przystał. Wydaje mi się, że teraz znamy już powód.

Leo pokiwała głową i wszyscy na moment zamilkli, jakby zbierali siły na dalszą dyskusję.

– Wina? – zapytała w końcu Leo. Aleks odmówił. Pauline przystała.

– Leo, czy jesteś pewna, że ktoś manipulował przy tym rejestratorze? – zapytał Aleks, gdy Burley wróciła do nich z butelką wytrawnego pinot gris.

– Absolutnie. To nawet dość zabawne. Wyobraźcie sobie, że FDR ma specjalny katalog, w którym zapisuje dane dotyczące wszystkich awarii. Również własnych. W dodatku ktoś to całkiem sprytnie zaprojektował. Każdy zapis oznaczony jest deskryptorem, w którym zawarte jest kilka informacji. Jedna z nich dotyczy cykliczności alertu. Fajny wynalazek. Pozwala określić czas, w którym doszło do awarii, co z kolei pomaga w serwisowaniu. Krótko mówiąc, za każdym razem gdy w samolocie włączano zasilanie, komputer po raz kolejny wysyłał meldunek o awarii. Mieliśmy trochę szczęścia. Te dane akurat się zapisały na dysku. Według informacji, które udało mi się odczytać, w dniu katastrofy FDR zapisał swoją awarię numer czterdzieści sześć. Czyli nastąpiła ona czterdzieści sześć startów wcześniej. Więc teoretycznie mogło się to stać samo, ale na

pewno nie nastąpiło w wyniku wypadku. Po prostu ta awaria wydarzyła się dużo wcześniej.

– Czy mógł to zrobić pilot? – zapytała Pauline.

– Na pewno nie z poziomu kokpitu. Rejestrator można unieszkodliwić, rozłączając obwód, ale to wymaga sprzętu i dwóch dobrych mechaników. A poza tym wtedy nic by nie zapisał. Można też przeprogramować komputer. Jednak to potrafi tylko kilku specjalistów na świecie. Ściśle mówiąc, trzech, czterech.

Leo wstała i podeszła do okna. Choć burza przeszła, wichura jeszcze się wzmagała. Cieszyło ją to. Z zadowoleniem oglądała coraz szybciej obracające się łopaty niewielkiego wiatraka stojącego za domem. Jak tak dalej pójdzie, będzie można wyłączyć agregat na noc. Aleks również wstał. Podeszedł do niej i podał jej kawałek metalu, który dotąd trzymał w kieszeni.

– Leo, poznajesz może, co to takiego?

Odwróciła się do niego i wzięła do ręki powyginany element.

– Aluminium. Ale co dokładnie? Trudno powiedzieć. Za bardzo zdeformowane. Rozumiem, że to jakiś fragment wraku?

– Tak, dostałem od naszego metalurga. Coś go w tym zainteresowało.

– Spróbuję zidentyfikować tę część, ale raczej będzie trudno. Gdyby była cięższa, postawiłabym na tytanową osłonę wału silnika, ale tak? To nie jest kompletny element, więc wątpię, by się udało ustalić, co to jest.

– A masz jeszcze spektrometr ruchliwości jonów?

Spojrzała na niego lekko spode łba, krzyżując ręce na piersi.

– A dopiero co mówiłeś, że to raczej nie Sługa.

– Sługa czy nie, warto to przebadać pod kątem pozostałości materiałów wybuchowych.

– Mam spektrometr, ale prawdę mówiąc, wyniki nie będą zbyt wiarygodne. Nie wiemy, co to za element, jakie jest jego pochodzenie, no i trzymałeś go w kieszeni.

– Nie szkodzi. Jeśli znajdziesz cokolwiek albo przynajmniej będziesz miała jakieś podejrzenia, przejadę się z tym do Atlanty.

– Niech zgadnę. Honoré Bonaparte?

- Właśnie.
- Nie mam pojęcia, co ty widzisz w tym dziwaku, Aleks.
- Ja też nie. Ale to najlepszy specjalista od eksplozji, jakiego znam. Poza tym po prostu go lubię.
- Niech będzie. W każdym razie nie wiem jak wy, ale ja zgłodniałam. Chyba niczego więcej się nie dowiemy, więc bez przesadnych wyrzutów sumienia możemy zjeść po steku.

ROZDZIAŁ 35

- Na Boga, Chase. Czy to zawsze musisz być ty?
- Chcieli mi skroić caymana, szefie.
- Srajmana!

Hazel był wyraźnie wkurzony, ale Chase wątpił, by to jego skromna osoba była powodem takiego stanu rzeczy. W przeszłości zdarzały mu się już różne wybryki, ale szef nigdy nie pytał o więcej, niż musiał. Chase uważał, że to przez wzgląd na jego ojca. I to doprowadzało go do szału. W porządku, być może miał dość oryginalne spojrzenie na sprawiedliwość i praworządność, ale nigdy, przynajmniej we własnym mniemaniu, nie przekraczał granicy. I nigdy nie powoływał się na ojca. Nigdy.

- Szefie, co pan dla mnie ma? - zapytał Chase.

Hazel nie odpowiedział. Siedział w starym skórzanym fotelu i pustym wzrokiem spoglądał przez okno. Chase obdarzony szczególnymi i - co tu dużo mówić - dość wygórowanymi standardami w kwestii estetyki cierpiał katusze, spoglądając na przełożonego. Znoszona granatowa marynarka poplamiona od kołnierzyka aż po mankiety, plastikowe okulary, wielokrotnie podklejane superglue, i te idiotyczne wąsy, które były niemodne już w latach siedemdziesiątych. Jako szef tutejszego FBI Hazel musiał zarabiać sporo kasy. Po prostu nie widział zasadności jej wydawania. Chase brzydził się takimi ludźmi.

Hazel natomiast brzydził się takimi ludźmi jak Chase. Pedalami z wysoko ulokowanymi tatusiami. Jeszcze dwadzieścia lat temu nikomu nie przyszłoby na myśl, by takie wynaturzenia wcielać do sił strzegących prawa. A każdy szanujący się ojciec, zwłaszcza jeśli z jakiegoś powodu był ważny, prędzej strzeliłby sobie w łeb, niż pozwolił synowi wyglądać jak to coś. Czasy zmieniają się za szybko.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że to coś było najlepszym

agentem, jakiego Hazel miał do dyspozycji. Ojciec czy nie ojciec, Chase na każdym kroku udawał, że jest stworzony do tej roboty. A sprawa, do której został wyznaczony, była bardzo delikatna.

Szef waszyngtońskiego FBI wciągnął powietrze i rzucił na stół teczkę. Chase był pewien, że ze stołu uniosłby się kurz, gdyby nie Javier, całkiem przystojny Meksykanin, który sprzątał w gabinecie na nocnej zmianie.

– Czy słyszałeś o Aleksandrze Gallu? – zapytał Hazel.

– Nie, szefie – odparł Chase.

Hazel westchnął.

– Aleksander Gall. Polak. Facet o dość mglistej przeszłości. Wiadomo o nim tyle, że pracował jako inżynier mechanik gdzieś tam. Nie wiadomo dokładnie gdzie. Nie udało nam się tego ustalić i już samo to mnie niepokoi. Kiedy jego żona zginęła w katastrofie lotniczej, zajął się badaniem przyczyn różnych wypadków. Kilkakrotnie współpracował z NTSB. Przed tobą leży jegoteczka. Przeczytaj ją. Dokładnie.

– Okej, nie ma problemu. Na za miesiąc może być?

– Nie wkurwiał mnie, Chase. Za dwadzieścia cztery godziny chcę mieć tego cwaniaczka pod celą. A ty mi go przyprowadzisz. Żywego. Bo jeśli choć włos mu z głowy spadnie, jak to już bywało z twoimi aresztantami, osobiście cię zabiję.

Chase zupełnie zignorował zaczepkę szefa. Nie pierwszą i z pewnością nie ostatnią. Zresztą miał się dać sprowokować takiemu prostakowi? Okazałby żalną słabość. A ta była mu obca. W każdym razie lubił tak o sobie myśleć.

– Co takiego zrobił nasz inżynier, szefie? – zapytał.

– Rozumiem, że słyszałeś o zderzeniu samolotów w Japonii?

– Kto nie słyszał? Czyli on badał tę sprawę, tak?

– Podobno. Ale tylko do czasu. Potem ukradł rejestratory i tyle go widzieli. Masz go złapać i odzyskać czarne skrzynki.

– Aha. Ale mam go szukać po całym kraju czy zdołał już pan ustalić, gdzie się znajduje?

– Owszem – wycedził Hazel przez zęby. – W tej chwili grupa antyterrorystów pakuje się do śmigłowca. Na ciebie czeka drugi.

– A mój zespół?
– Wybierz sobie, kogo chcesz. Macie wyruszyć najpóźniej za godzinę.

– Daleka podróż?

– Niezbyt. Pooddychacie świeżym powietrzem w Appalachach.

– Chcę Jonesa i Vertugo.

– To bierz. O ile zdążą się przygotować. I naprawdę dobrze ci radzę. Nie spierdol tego.

Chase podniósł się z krzesła. Zabrał teczkę i wyszedł. Hazel przez kilka chwil patrzył niespokojnie w ślad za nim.

– Cholerny pedał – rzucił i wyciągnął komórkę.

Wybrał numer, odczekał kilka sygnałów.

– Załatwione – powiedział krótko.

– Dobrze się spisałeś.

– W ciągu doby powinniśmy go mieć. Vessno... Czy...

– Słucham cię.

– Pomyślałem, że może wyskoczylibyśmy na drinka. No wiesz. Powspominać dawne czasy.

– Nie ma czego wspominać, Hazel. Byłeś beznadziejny. Z takimi jak ty nigdy nie idę do łóżka dwa razy. Zapamiętaj to sobie i lepiej przeproś się z żoną.

Hazel zacisnął zęby. Nagle zrobiło mu się gorąco, poluzował kołnierzyk. Niezgrabnym ruchem najpierw lekko rozsunał, a potem z niecierpliwością zerwał z szyi krawat.

– Ja... – zaczął.

– Hazel, miałeś już swoje pięć minut. A teraz rób to, czego od ciebie żądam. Po pierwsze, przestań fantazjować na mój temat. Po drugie, wykonaj polecenie. I pamiętaj. Jeśli mnie zawiedziesz, zabiję cię w wyjątkowo brutalny sposób. Czy to ci wystarczy? Czy może mam jeszcze dorzucić kilka gróźb pod adresem twoich dzieci?

Rozłączyła się. Przymknęła na moment zmęczone oczy.

– Cholerny pedał.

ROZDZIAŁ 36

Aleks gdzieś przepadł. Początkowo jego nieobecność zaniepokoiła Pauline, ale Leo wyjaśniła, że Gall po prostu tak ma. Uwielbia się szwendać po lesie. Zwłaszcza chwilę po burzy. Wróci. I może przyniesie jakieś grzyby, to się wieczorem zrobi zupę. Dziewczyna machnęła więc ręką i cieszyła się chwilą. Ostatnie dni naprawdę dały jej w kość, dlatego z przyjemnością przyjęła od Leo propozycję spaceru. Potrzebowała chwili wytchnienia.

W końcu usiadły na drewnianym pomoście i patrzyły na delikatnie rozkołysaną taflę jeziora. Wiatr ucichł nieco, deszcz też już nie padał. W jednej chwili zrobiło się całkiem przyjemnie.

Towarzyszył im biało-brązowy buldog amerykański. Sześćioletnia suczka. Pauline nie mogła od niej oderwać oczu.

– Powiedz mi, Leo – zaśmiała się – jak to możliwe, że jej wcześniej nie zauważyłam?

– To jedna z zalet mieszkania na odludziu. Pies może biegać, gdzie mu się podoba, i żaden z sąsiadów się nie poskarży. Powiem ci tylko tyle, że nieprzypadkowo nazywa się Turbulencja.

Merdając krótkim ogonem, ogromny zwierz pędził po pomoście, po czym wskakiwał do wody. Potem płynął do brzegu, wbiegał na pomost i znów do wody. Za każdym razem gdy przebiegał obok Pauline, ta dostawała coraz gwałtowniejszych ataków śmiechu.

– System jej się zawiesił – powiedziała, rozmasowując obolałe od śmiechu policzki.

– A bo to pierwszy raz? – odparła Leo.

– Długo będzie tak biegała?

– Myślę, że do końca życia. Chyba że wcześniej gwizdniesz.

Pauline gwizdnęła. Turbulencja usłyszała. Wypadła z wody i ujadając, skoczyła w kierunku dziewczyny.

– Stój! Stój! – krzyknęła.

Ale było już za późno. Psisko skoczyło na nią, a zielona koszula, którą dostała od Leo, w jednej chwili pokryła się błotem. Tym razem to Burley pokładała się ze śmiechu, a jej śmiech wprowadziłby szyby w drżenie. Śmiała się jak facet. Głośno i basem.

– Masz jeszcze jedną koszulę? – zapytała Pauline, biorąc się pod boki.

Siedziały w tym miejscu od godziny. I tak nie miały nic innego do roboty.

W końcu Leo spojrzała na zegarek i zadecydowała, że czas się zbierać. I faktycznie był to już ostatni moment. Właśnie zapadał zmrok. Kiedy dotarły do domu, zrobiło się zupełnie ciemno.

Aleks przyszedł dwie godziny później. Był w doskonałym nastroju. Leo pamiętała, że zawsze wracał z lasu uśmiechnięty. Zupełnie jak ona.

Nie poruszali już tematu katastrofy. Aleks nawet próbował raz czy drugi, ale Leonore machnęła tylko ręką. Była zmęczona. Zresztą po prostu się za nim stęskniła. Było tyle ciekawych rzeczy do omówienia, że katastrofa mogła poczekać do rana. I tak omówili już wszystko, co powinni. Rano urzędzą sobie burzę mózgow i zastanowią się, jakie kroki należy poczynić w dalszej kolejności.

Tymczasem jednak gadali o niczym. Stary dom co chwila wypełniał się śmiechem, tak rzadkim, a jakże miłym gościem. Pauline rzuciła jakiś żart, a potem opowiadali sobie coraz głębsze historyjki, w czym prym wiodła Leo. Po jednej z opowieści, wyjątkowo sprośnej i wulgarnej, Pauline dostała takiego napadu śmiechu, że aż musiała się napić. Aleks chciał jeszcze uzupełnić czymś anegdotę, ale nie zdążył, ponieważ w tym samym momencie żarówka nad werandą zamrugnęła i zgasła. Zrobiło się cicho i bardzo ciemno.

– Agregat – stwierdziła Leo. – Dziwne. Wczoraj dolewałam ropy. Poczekajcie chwilę, zaraz sprawdzę, co się stało.

Podeszła do starej drewnianej szafy. Drzwi zaskrzypiały i Burley prawie zupełnie znikła w środku. Po chwili jednak wyprostowała się i z triumfalną miną pokazała im starą lampę

naftową.

– Jest! – krzyknęła wesoło.

– Leo, z całym szacunkiem dla twojego wieku – zaśmiała się Pauline – ale jakiś czas temu wynaleziono coś, co się nazywa latarka.

– Moje dziecko. W tym domu prąd jest na wagę złota. Zapas baterii zabezpieczyłam na trudniejsze czasy.

Raz jeszcze posłała Pauline serdeczny uśmiech i wyszła na zewnątrz, a Aleks za nią, ale machnęła tylko ręką.

– Zostań ze swoją przyjaciółką – powiedziała. – To mieszcuch. Pewnie boi się ciemności.

Ruszyła przed siebie i niemal natychmiast rozplynęła się w ciemności. Aleks wyjął papierosa i wsadził do ust. Za chwilę dołączyła do niego Pauline. Stali tak i wpatrywali się w mrok. Widzieli jedynie jasny płomień niesionej przez Burley lampy. Wyglądał, jakby lewitował.

A potem za ich głowami eksplodowała szyba starego, masywnego okna.

– Kryj się! – krzyknęła Pauline. – Strzelają!

Jej słowa zagłuszyła seria z karabinu automatycznego. Upadła na werandę. Kule nad jej głową rozpoczęły śmiertelną wyliczankę. Plastikowy stół nie stanowił żadnej osłony, więc wczłogała się przez uchylone drzwi do wnętrza domu.

– Aleks! Aleks! – wołała. – Tutaj. Do środka!

Gall leżał na werandzie i zastanawiał się, co zrobić. Dookoła było zupełnie ciemno, jednak strzały były dość precyzyjne. Bez wątpienia strzelcy korzystali z noktowizorów. Żył jeszcze tylko dlatego, że najwyraźniej nie mieli dobrej pozycji. Jeśli ruszy w kierunku drzwi, sytuacja może się zmienić.

Kanonada rozpoczęła się na nowo. Tym razem za domem. To Leo musiała dopaść swojego mossberga. Napastnicy otworzyli ogień w tamtym kierunku, a Aleks błyskawicznie zerwał się na nogi i przez roztrzaskane okno wskoczył do wnętrza domu. Kule natychmiast powędrowały jego śladem. Najwyraźniej strzelec zachował czujność. Nie był jednak dość szybki. Aleks zdołał się skryć. Leżał teraz na starej podłodze, poniżej parapetu.

- Pauline! – krzyknął. – Gdzie jesteś? Pauline!
- Tutaj.
- Nie podnoś się.
- Nie zamierzam. Co z Leo?
- Nie wiem. Chyba strzelała zza domu. Możesz się tu do mnie doczołgać? Uważaj na szkło.
- Spróbuję.

Udało jej się, choć nie bez problemów. Gdy była w połowie drogi, strzały ustały i nagle zrobiło się bardzo cicho. Zdawało jej się, że jej szuranie po podłodze jest słyszalne w sąsiednim stanie. Aleks też na to zwrócił uwagę i kiedy tylko się do niego zbliżyła, natychmiast kazał jej się zatrzymać. Dziewczyna zamarła w bezruchu. Ciche trzeszczenie drewnianej werandy uzmysłowiło jej, że po drugiej stronie ściany ktoś ostrożnie stawiał kroki.

Aleks również je słyszał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli napastnicy wejdą przez okno, to po prostu na nich nadepną. Kto wie, może nawet wytrąci to z równowagi pierwszego z nich, ale reszta na pewno dokończy robotę.

- Gall, jesteś tam? – krzyknął ktoś z zewnątrz. Pauline słyszała już ten głos. Należał do dowódcy oddziału, który napadł na ich konwój. – Powiem ci, co zrobię. Nie chce mi się z tobą bawić w kotka i myszkę w tej starej ruderze. Dlatego po prostu ją podpale. Co ty na to? Może tym razem uda mi się nieco cię przysmażyć.

Aleks milczał. Wsłuchiwał się w ciszę. Po kilku chwilach usłyszał to, czego najbardziej się obawiał. Cichy trzask rozprzestrzeniającego się ognia. Napastnik nie blefował. W jednej chwili zrobiło się bardzo gorąco. Do salonu wtargnął gęsty czarny dym. Pauline zakaszła.

- Zasłoń usta – polecił Aleks.
- Pali się – szepnęła przerażona Pauline.
- Wiem – odparł Gall. – Musimy stąd uciekać.
- Jak? Na pewno otoczyli dom. Jest tu jakiś tajny tunel?
- Nie ma żadnego tajnego tunelu. Ale jest garaż. A w nim samochód Leo. Trzymaj się blisko mnie. Przez chwilę dym nas

osłoni. Wstawaj! Biegniemy!

Puścili się biegiem. Niewiele było widać, ale Aleks dobrze znał ten dom i bez kłopotu odnalazł korytarz.

– Daj mi rękę, bo się zgubisz – szepnął do Pauline.

Ścisnęła dłoń Aleksa. Jego dotyk pozbawiony był jakiegokolwiek nerwowości. Dłoń nie była spocona i nie drgała nerwowo. Jak zwykle. To nie jest normalny człowiek – pomyślała.

Gdy tylko Gall otworzył drzwi, ciemność zmieniła się w jasność. W korytarzu szalał już ogień.

– Uważaj! – Starał się przekrzyczeć huk płomieni. – Jeśli ogień jest tutaj, to znaczy, że weszli do wewnątrz. Inaczej płonęłyby pomieszczenia przy oknach. A my jesteśmy w samym środku domu.

– Wolę zginąć od kuli niż ognia. Gdybym już musiała wybierać. Którędy teraz?

– Tutaj. Na końcu tego korytarza są schody do garażu.

Pobiegli lekko pochyleni, ale tym razem nikt nie strzelał. Dopadli drzwi. Aleks pchnął je i ujrzeni niewielką klatkę schodową. Zbiegli po kamiennych stopniach. Na końcu były jeszcze jedne drzwi. Aleks wpadł na nie, a one ustąpiły pod naporem.

Znaleźli się w starym drewnianym garażu, pośrodku którego stał ogromny dodge ram 2500 z dwa tysiące szóstego roku. Gall świetnie znał tego potwora, bo wielokrotnie nim jeździł. Ośmiolitrowy, dziesięciocylindrowy i trzystudziesięciokonny silnik to było dokładnie to, czego teraz potrzebował. Do tego napęd na cztery koła, najwyższy seryjny prześwit i prawie dwa metry wysokości. Mogło się udać.

Ruszył w kierunku czerwonego auta. Leo zawsze zostawiała kluczyki w stacyjnej, by ich potem nie szukać po całym domu. Zaledwie jednak postawił krok, tuż obok ucha usłyszał cichy trzask.

– Dzień dobry, Gall – odezwał się Carter. – Naprawdę myślałeś, że tego nie przewidzę? A ty, panienko, stój spokojnie. Bo jak nie, to rozwalę mu łeb.

Pauline zamarła w pół kroku. Wyglądała, jakby chciała coś

powiedzieć, jednak zakrztusiła się tylko. Carter wybuchnął śmiechem.

– No dobrze, już dobrze. Nie chcemy się tu chyba spalić żywcem, prawda? Wychodzimy przez bramę. Powoli. Moi ludzie obstawili cały teren, więc bez wygłupów.

Aleks czuł przy skroni zimną lufę pistoletu. Carter przyciskał ją coraz mocniej, by zmusić go do ruchu. Pauline posłusznie szła z przodu. Przebyli już połowę garażu, kiedy nagle coś przemknęło pod uniesioną bramą. Pauline uskoczyła na maskę rama. Carter odepchnął Galla i wycelował broń, ale nie zdążył.

Buldog skoczył na niego, jakby nie był psem, ale przynajmniej panterą. Carter odruchowo machnął ręką. Trafił psa otwartą dłonią i wytrącił z równowagi. Zwierzę uderzyło o szybę rama, która natychmiast pokryła się pajęczyną pęknięć. Pies zaskomlał, przetoczył się po masce i upadł po drugiej stronie auta. Carter na chwilę stracił koncentrację, a Aleks wymierzył mu potężny cios łokciem w twarz. Jego nos pękł jak zapałka. Gall chwycił napastnika za głowę i dwukrotnie uderzył nią w nadkole rama. Nieprzytomny bandyta upadł na posadzkę. Aleks przeszukał jego kieszenie. Znalazł portfel i komórkę, które przez otwarte drzwi wrzucił do samochodu. Zabrał również pistolet.

– Wsiadaj i zapnij pas! – krzyknął w kierunku zaskoczonej Pauline.

– A pies?

– Już wybiegł. Wsiadaj.

Ogromny silnik odpalił natychmiast. Aleks spojrział na wskaźnik paliwa i z zadowoleniem stwierdził, że bak jest pełny. To ważne w samochodzie, który spala prawie trzydzieści litrów na sto kilometrów.

Przerzucił dźwignię biegów na drive i wdepnął pedał w podłogę.

Stalowe cielsko potwora wyrwało się do przodu i wyskoczyło z garażu. Zmiażdżyło framugę bramy, której Aleks nie zdołał wyminąć. Wóz przeleciał przez drewnianą zaporę jak pocisk magnum przez plastelinę. Po niezbyt stromym podejździe wspięli się na górę, po czym skręcili w lewo i ruszyli w kierunku

bramy. Spod tylnych kół runęła lawina drobnych kamieni.

– Aleks, uważaj! – krzyknęła Pauline.

Gall szarpnął kierownicą, autem rzuciło nieco w bok, ale zdołał ominąć leżące na jego drodze płonące ciało.

Leonore Burley nie żyła. Ogień trawił jej ubrania i włosy. W zaciśniętej, nieobjętej jeszcze ogniem dłoni wciąż ścisnęła mossberga.

– Chryste... – zaszlochała Pauline. – Musimy...

– Nie możemy już jej pomóc – powiedział Gall.

Głos mu nie zadrżał, ale bił z niego smutek, o jaki Pauline nigdy by go nie podejrzewała. A więc może i zimny z niego sukinsyn, ale na pewno nie pozbawiony uczuć.

Nie miała jednak czasu dokończyć przemyśleń, bo Gall ponownie szarpnął kierownicą i Pauline poleciała na obitą skórą konsolę pomiędzy fotelami.

– Mówiłem ci, żebyś zapięła pasy.

– Co tu się stało? – zapytała dziewczyna, spoglądając przez okno. Na podwórzu leżały ciała. Wiele ciał. Przynajmniej siedem.

– Nie należy zadzierać z Leo Burley! – krzyknął Aleks i wcisnął gaz do dechy. Ośmiolitrowy silnik ryknął jak lew na sterydach. Aleks nie wymijał już ciał. Popędzili na przełaj przez ogród, tratując młode jabłonie i klomby z kwiatami. Kierował się w stronę bramy. Gdy jednak podjechali bliżej, okazało się, że zastawia ją inny ram. Jeszcze potężniejszy niż ten, którym jechali. Miał zupełnie przyciemnione wszystkie szyby i wielki rurowy zderzak zainstalowany przed chłodnicą. Ze szczytu zderzaka na drogę spoglądała trupia główka. Wykonana nie z plastiku czy metalu. Wyglądała na prawdziwą.

Aleks szarpnął kierownicą w prawo i dodał jeszcze gazu. Autem obróciło i Pauline w świetle potężnych halogenów ujrzała niewysoki ostrokół. Rozciągał się tuż przed ich maską. Przelecieli przez niego, jakby nigdy go tam nie było. Gall znów gwałtownie szarpnął kierownicą w prawo, tyłem pojazdu ostro zarzuciło, jeszcze bardziej niż poprzednio, ale kierowca wprawnym ruchem wyprowadził wóz z poślizgu i za moment pędzili już po mokrej, szutrowej drodze. Gnali na złamanie karku po wyżłobionych

przez deszcz koleinach.

– Weź jego telefon – powiedział. – Spróbuj sprawdzić, do kogo ostatnio dzwonił. Albo kto dzwonił do niego.

Pauline postukała kilka razy w dotykowy wyświetlacz.

– Brak informacji – odparła. – Musiał skasować przed akcją. W książce ma tylko pięć numerów.

– Do kogo?

– Nie wiem. Numer Zero, Numer Jeden, Numer Dwa, Numer Cztery i Numer Pięć.

– Brakuje Numeru Trzy. Więc to on nim był. Zadzwoń do Numeru Zero. Może odbierze.

Nie zdążyła, bo ekran komórki zamigał. Carter wyciszył ją przed akcją. Dzwonił Numer Jeden. Gall chwycił telefon i przyłożył do ucha, drugą ręką zręcznie prowadząc samochód po wybojach.

– Dobry wieczór, panie Gall – odezwał się kobiecy głos.

– Kim jesteś? Czego od nas chcesz?

– Nazywam się Vessna Fuego. Słyszał pan kiedyś moje nazwisko?

– Nie.

– Dziwne. W każdym razie ja pańskie słyszałam. Wielokrotnie. Mężczyzna, któremu ukradł pan komórkę, nazywa się Carter. I był moim najlepszym najemnikiem. Był, bo już drugi raz mnie zawiódł i osobiście go zabiję.

– Ho, ho, padają nazwiska – rzucił Aleks. – W telefonach jesteście tylko numerkami. A tu taka szczerłość.

– Bo chcę z panem zagrać w otwarte karty. Wpakował się pan w coś, co pana zabije. Ja mogę panu pomóc.

– Na razie to właśnie twoi ludzie usiłują mnie zabić. Już drugi raz. Chyba ci nie zaufam, Vessno.

– Moi ludzie chcą jedynie odzyskać coś, co jest mi bardzo potrzebne. Ale nie tylko mnie. Są też inni. Tacy, dla których jest pan bardzo niewygodny. Im nie wystarczą rejestratory. Oni muszą zrobić panu krzywdę, ponieważ za dużo pan wie. Ja mogę pomóc.

– Nic nie możesz – odparł spokojnie Aleks. – Jesteś tylko Numerem Jeden. Przypuszczam, że całą operacją dowodzi Numer

Zero.

– Jak to często bywa, panie Gall, najważniejsza osoba ma swojego człowieka od brudnej roboty. Numer Zero wystawia jedynie faktury i osiąga korzyści z mojej działalności.

– A może powiesz, kim jest?

– Niestety w tej chwili nie mogę zdradzić jego tożsamości. Być może powiem panu coś ciekawego, jeśli się spotkamy.

– Nie spotkamy się, Vessno. Choćby dlatego że nie mam już twoich rejestratorów. Nikt ich nie ma. Twój Carter z chłopakami podpalili dom. Rejestratory są odporne na wysoką temperaturę. Ale same dyski nie. Już ich nie ma. Rozumiesz?

Połączenie nagle się urwało. Aleks rzucił telefon Pauline.

– Dzwoni do Numeru Zero.

Pauline wybrała numer. Przyłożyła słuchawkę do ucha, ale po chwili oczekiwania zrezygnowała.

– Nie ma takiego numeru – odparła.

– Spróbuj Numer Jeden.

– Też nic – odparła po krótkiej chwili.

– Czyli zdążyli wyłączyć. Szybko.

– Zbyt szybko.

– To musi być jakaś agencja rządowa.

Szutrowa droga się skończyła. Aleks zwolnił odrobinę, przekręcił kierownicą w prawo i ram wyskoczył na asfalt. Docisnął gaz. Zdawał sobie sprawę, że muszą się stąd jak najszybciej wynieść. Spojrzał na wskazówkę prędkościomierza. Sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

Zbliżali się do ostrego łuku. Wcisnął hamulec. Samochód zwolnił. W tym samym momencie usłyszeli eksplozję i samochodem silnie szarpnęło. Ram skręcił w prawo, najechał kołami na stromy pagórek wznoszący się wzdłuż jezdni, po czym przewrócił się na bok. Przez chwilę sunął po asfalcie w takiej pozycji, wskrzeszając snop iskier. Potem przetoczył się na dach. Zatrzymał się po kilkunastu metrach, zwrócony bokiem do kierunku jazdy.

– Nic ci nie jest? – zapytał Aleks, krzywiąc się z bólu.

– Nie – odpowiedziała Pauline, ale bez wielkiego przekonania. –

A tobie? Masz na twarzy krew.

– To nic.

– Spójrz tam.

Usiłując się wyplątać z pasa bezpieczeństwa, dostrzegł podjeżdżający powoli samochód z włączonymi halogenami. Nim jeszcze auto się zatrzymało, otwarto drzwi i na ulicę wyskoczyło czterech mężczyzn z pistoletami. Mieli do przebiegnięcia dobre sto metrów. Kierowca musiał się obawiać, że sam stanie w ogniu.

– Uciekaj! – rzucił Aleks.

– A ty?

– Ja nie dam rady. Jeśli tylko wyjdę, to mnie zastrzelą. Ale ciebie chroni samochód. Wsiadaj natychmiast i zwiewaj do lasu.

Pauline się nie odezwała. Spojrzała uważnie na Aleksa, po czym podjęła decyzję. Otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Po chwili znikła za linią drzew.

Kilkanaście sekund później do auta podbiegli mężczyźni z pistoletami. Ktoś otworzył drzwi. Ktoś inny chwycił Galla za szyję. Jeszcze ktoś inny zaczął rozpinać jego pas. W końcu wyciągnęli go z wraku. Usiłował coś powiedzieć, jednak od razu oberwał kolbą pistoletu w głowę. Świat zawirował i zaraz zniknął.

ROZDZIAŁ 37

– Szlag by to!

Colcannon nigdy nie wychodził Venomowi i tym razem było podobnie. Ziemniaczane purée przywarło do garnka, a kiedy starał się je wymieszać łyżką, zbiło się w gęstą bryłę. Papka wyglądała obrzydliwie i nawet poutykany tu i ówdzie jarmuż nie poprawił sytuacji.

Mimo to Venom nałożył potrawę na talerz. Doskonale wiedział, jak będzie smakowała. Beznadziejnie. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Od maleńkości uwielbiał colcannon. Poza tym przypominał mu nie tylko dzieciństwo, ale również ojczysty kraj. A to ważne.

Z westchnieniem zatopił się w miękkiej sofie. Sięgnął po pilota i włączył swoją wielką, siedemdziesięciocalową plazmę. Na ekranie pojawił się obraz, ale pozbawiony dźwięku. Venom w ustawieniach sprzętu zazaczył, by plazma włączała się w trybie wyciszonym. Drażnił go ten amerykański jazgot. Na CNN lubił jedynie czytać paski informacyjne.

Pierwsza łyżka colcannonu jego roboty zawsze była obrzydliwa. Kubeczki smakowe przeżywały szok. Ale potem zwykle było trochę lepiej. Chcąc mieć to już za sobą, Venom wpakował łyżkę do ust. Przeżuwając purée, spojrzął na ekran i zastygł.

Zobaczył na nim twarz Galla. Włączył dźwięk.

– ...podejrzany o kradzież rejestratorów danych lotu i dźwięków z kokpitu – z zacięciem na twarzy informowała blond włosy dziennikarka – został schwytany półtorej godziny temu przez FBI. Wraz ze mną jest Jack Webber, rzecznik prasowy FBI. Panie rzeczniku, co nam pan powie o tej sprawie?

– Niewiele – odparł drobny mężczyzna w ciemnych okularach. – Śledztwo trwa. Mogę potwierdzić jedynie, że pan Gall został zatrzymany i przebywa obecnie pod naszą opieką.

– Podobno na terenie pobliskiej posesji znaleziono ciała.

- Nie mogę potwierdzić tej informacji. Natomiast mogą potwierdzić, że w okolicy wybuchł pożar.

- Mówi się, że wśród zabitych jest była agentka NTSB.

- Znaleźliśmy jej ciało, ale zginęła w wyniku pożaru. To tyle.

- Dlaczego Gall nie został jeszcze przewieziony do Waszyngtonu?

- Trwają czynności śledcze. Ponadto poszukujemy jeszcze jednego zbiega. Kobiety. Również agentki NTSB. Wkrótce prześlemy państwu jej zdjęcia.

Venom wyciszył dźwięk. Zastanawiał się, co zrobić, kiedy zadzwoniła komórka. Odebrał.

- Widziałeś? - zapytał głos w telefonie.

- Owszem - odparł Venom. - Właśnie się zastanawiałem, czy do ciebie zadzwonić.

- Musisz go zabić.

- Na pewno?

- Tak. Nie może nic powiedzieć policji ani federalnym.

- A dziewczyna?

- Nie obchodzi mnie dziewczyna. Aleks ma umrzeć. Wszystko mi jedno, jak to zrobisz. Wiesz, gdzie stoi chata Leonore Burley. Spiesz się.

- Przecież już go tam nie ma.

- Ale będzie gdzieś po drodze stamtąd do Waszyngtonu. Rusz tyłek i znajdź go.

Połączenie zostało przerwane. Venom wstał, narzucił skórzaną kurtkę i wyszedł.

ROZDZIAŁ 38

Gall siedział pośrodku tylnej kanapy cadillaca escalade należącego do FBI. Z obu stron otaczali go agenci. Czekala ich długa droga, więc nie skuli swojego więźnia, a jedynie zapięli pasami bezpieczeństwa. Obaj wbijali w niego wzrok, jakby był przynajmniej Houdinim, który za moment pstryknie palcami i zniknie. Chase siedział z przodu obok kierowcy. Nie odzywał się.

Kierowca wyglądał na zmęczonego, co bardzo niepokoiło Aleksa. Minęła druga w nocy, a oni powoli toczyli się po wąskich górskich serpentynach. Padał deszcz i niewiele było widać. Zużyte wycieraczki szurały po szybie, bardziej rozmazując wodę, niż ją usuwając. Ale ogromna terenówka płynnie pokonywała kolejne zakręty i strome wzniesienia.

– Więc? – Gall po raz kolejny podjął próbę rozmowy. Dwie poprzednie się nie udały, jednak teraz zauważył, że Chase wierci się niespokojnie.

– Zamknij się wreszcie – odparł zdenerwowany agent. – Wszystkiego się dowiesz w Waszyngtonie.

– Ach, rozumiem. – Aleks wygiął usta w delikatnym uśmiechu. Nie na tyle, by wyjść na dupka, ale wystarczająco, by wyprowadzić z równowagi Chase'a.

– Co takiego rozumiesz? – burknął agent.

– Rozumiem, że ty po prostu nie wiesz, o co chodzi. Wysłali cię tu, żebyś mnie złapał. Jesteś zwykłym psem gończym.

– Tak uważasz?

– Dokładnie tak.

– Strasznie jesteś gadatliwy. Mam nadzieję, że na przesłuchaniu też taki będziesz.

– Ale się nie dowiesz. – Aleks się zaśmiał. – Bo przecież nie ty je będziesz prowadził.

– Podziwiam twój spokój, Gall. Za to, co zrobięś, dostaniesz

zastrzyk. A może wolisz krzesło elektryczne? Będziesz miał wybór. Naprawdę podziwiam twój spokój.

- A ja podziwiam twój krawat. Barneys?
- Barneys jest dla pedałów. To jest Jil Sander.
- Ach, rozumiem. Elegancka z ciebie psina.
- Żebyś wiedział.

Zapadła krótka cisza. Teraz, kiedy Chase się rozgadał, Aleks czuł, że ma szansę czegoś się dowiedzieć.

- Chase, uważasz, że to ja zabiłem Burley?
- A czy ja wyglądam, jakbym nosił togę?
- Każdy wie, że byłem z Leo bardzo blisko.
- Byłeś. Ale już nie jesteś. I ja mam zbadać dłaczego.
- Jesteś absolutnie pewien, że to jej zwłoki?
- Jestem absolutnie pewien.
- Przecież są spalone.
- Ale dłonie nie. Odciski palców nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Gall zamilkł. Dotąd jeszcze łudził się, że Leo przeżyła. Że może to ktoś inny płonął. Przecież kiedy z dużą prędkością jechali przez ogród, nie mógł się dokładnie przyjrzeć. Teraz jednak okrutna prawda w końcu go dosięgnęła. Przyjął ją spokojnie. Jak zwykle. Ale czuł, że serce mu krwawi. Odechciało mu się rozmawiać. Przymknął oczy, żeby złapać choć kilka chwil snu.

Nie zdrzemnął się nawet minuty. Wewnątrz escalade'a rozległy się okrzyki. Aleks szybko otworzył oczy i ujrzał czarnego dodge'a rama. Tego samego, który wcześniej zastawiał wyjazd z posesji Leo. Zjeżdżał z ostrej skarpy tuż przed nimi. Jego osiem olbrzymich halogenów umieszczonych na dachu i w obrysie zderzaka zalewało światłem całą okolicę. Oślepiiony kierowca furgonu odruchowo wcisnął hamulec. Ram stoczył się na asfalt i z piskiem opon ruszył w kierunku escalade'a. Po chwili kierowca szarpnął kierownicę i z impetem wyrznął w lewe nadkole policyjnego vana. Samochodem gwałtownie rzuciło. Najechał kołem na wznoszącą się po prawej stronie skarpe i przewrócił się na bok.

Gall usłyszał strzały. Do diabła, ile razy jeszcze będzie leżał

w rozbitym samochodzie, podczas gdy ktoś do niego strzela?

Konwojujący go agenci nie mieli zapiętych pasów, więc ten po prawej stronie poleciał w dół i leżał teraz na tym z lewej strony. Gall wyczuł szansę. Rozpiął pas i otworzył w górę drzwi.

– Stój, sukinsynu, bo cię zastrzelę! – usłyszał ryk Chase’a.

Zignorował go. Wyszedł na karoserię, po czym zeskoczył z niej na asfalt. Napastnik z rama wciąż ostrzeliwał escalade’a. Po lewej stronie drogi znajdowało się strome urwisko. Aleks puścił się pędem w jego kierunku. Po chwili zbiegł z asfaltu na nierówną ziemię. Stracił równowagę i przewrócił się. Siła bezwładności zrobiła swoje. Zjechał w dół zbocza i zatrzymał się dopiero dobre trzydzieści metrów niżej. Dłonie i nogi piekły go od zadrapań. Spojrzał w górę i zauważył odjeżdżającego z piskiem opon rama.

– Gall! Zabiję cię! – usłyszał spotęgowane przez echo wołanie Chase’a.

Aleks za bardzo cenił własne życie, by sprawdzić, czy agent mówił serio. Przekroczył linię drzew. Kilka chwil biegł na przełaj pomiędzy starymi, gęsto pokrywającymi teren jesionami, aż dotarł do przecinki wiodącej w dół urwiska. Z tego miejsca wyraźnie zobaczył roztaczającą się trzysta metrów poniżej dolinę przeciętą wartkim górskim strumykiem. Nad jego korytem przerzucono żelazny most kolejowy. Dawniej wraz z prowadzącym do niego tunelem musiał być uznawany za cud techniki, teraz jednak sprawiał wrażenie, jakby ledwo utrzymywał własny ciężar, nie wspominając już o jakimkolwiek pociągu. Od dawna musiał stać nieużywany. Na całej długości oświetlały go równie stare i zniszczone jak on latarnie.

Aleks biegł coraz szybciej, bo stromizna stawała się większa. Łatwiej tu było skręcić kark niż podczas rodeo w Arizonie. Co chwila potykał się o wystające ze ścieżki korzenie. Droga, którą uciekał, była starym szlakiem turystycznym, dlatego co kilkaset metrów stały drewniane słupy, z których szczytu zwieszały się stare żarówki, dające odrobinę światła.

W końcu dotarł do zmurszałego drewnianego pomostu zawieszonoego nad przepaścią. Tutaj kończyła się droga. Już myślał, że zabłądził, gdy dostrzegł stare drewniane schody

odchodzące od tarasu wprost w przepaść. Wbiegł na nie. Stopnie zatrzeszczały, ale nie zważał na to. Pokonał ich kilkadziesiąt, nim znów stanął na stabilnym gruncie. Kolejny taras ze schodami znajdował się zaledwie dwadzieścia metrów dalej. Gall ponownie zbiegł w dół. Potem jeszcze kilkakrotnie, aż znalazł się na następnej leśnej przecince. Odetchnął lekko i zaczął biec w kierunku mającego w oddali mostu. Innej możliwości przedostania się na drugi brzeg rzeki nie było. Ścieżka prowadziła go dookoła masywu skalnego. Most i dolina zniknęły na moment za drzewami. Kawałek dalej zauważył świetlny punkcik. Zapewne kolejny słup z żarówką. Zwolnił. Nie biegł już, ale starał się pilnować, by jego tempo wciąż było w miarę szybkie. Nie miał wątpliwości, że Chase jest tuż za nim. Przypomniał sobie jego eleganckie i zapewne bardzo drogie lakierki i uśmiechnął się w duchu.

Dwie minuty później dotarł do kolejnej platformy. Tym razem, ku swemu zdumieniu, nie znalazł żadnych schodów. Zszedł z tarasu i rozejrzał się dookoła. Z trzech stron miał drzewa, z czwartej – przepaść. Obok platformy ujrzał starą tablicę informacyjną. Była jednak zupełnie przerdzewiała, a ciemność nie pozwalała odczytać nawet tych kilku liter, które się ostały.

Aleks ponownie wszedł na platformę. Zlustrował ją dokładnie. Dopiero teraz zauważył, że różni się nieco od poprzednich. Jeden z narożników kończył się wysoką, pionową kratownicą z drewna i metalu. W pierwszej chwili nie rozumiał, na co patrzy. Zszedł z platformy i przyjrzał jej się z drugiej strony. Rusztowanie połączone było z bujającą się na wietrze stalową liną, która prowadziła na drugi brzeg głębokiej rozpadliny.

Winda! – pomyślał.

Skoczył w kierunku wejścia na platformę, jednak w tej samej chwili coś zważyło go z nóg. Otrzymał cios pięścią w podbródek. I jeszcze jeden. Trzeci już zablokował.

– Poddaj się, Gall! – krzyczał wściekły Chase. – Nie masz szans.

Aleks uniknął czwartego ciosu, po czym posłał potężne uderzenie łokciem prosto w ucho śledczego. Ten upadł, ale zdążył kopnąć Galla w twarz. Aleks nie stracił przytomności, choć

na krótką chwilę rozmył mu się obraz. Zerwał się na nogi, lecz te odmówiły posłuszeństwa i upadł ponownie. Na łokciach podczołgał się do platformy i dopiero tam, opierając się o kratownicę, spróbował wstać. Teraz, kiedy już wiedział, czego szukać, natychmiast znalazł stary panel sterowania. Tymczasem Chase zdążył się podnieść i chwiejnie ruszył w jego kierunku. Aleks wcisnął pęknięty i mocno wytarty plastikowy przycisk. Mechanizm zazgrzytał, lina naprężyła się i uniosła platformę, przesuwając ją powoli w kierunku drugiego brzegu urwiska.

Chase zziębnięty podbiegł do krawędzi stoku, ale platforma była już za daleko. Nie mógł na nią wskoczyć. Wycelował pistolet prosto w Galla. Ten się nie ruszył, ale agent nie strzelił.

– Dlaczego nie strzelasz, Chase?! – krzyknął Aleks. – Masz mnie jak na widelcu.

Agent milczał. Nie opuścił również broni. Zastanawiał się nad strzałem w udo lub ramię, tak by spowolnić Galla. Jednak taki strzał był stanowczo zbyt ryzykowny. Platforma chwiała się na wietrze. Przez chwilę stał w bezruchu. Deszcz się nasilił. Jego blond włosy nie przypominały już cudownej rzeźby rodem wprost z katalogu Chrisa McMillana. Lepiły mu się do twarzy i wciąż musiał je odgarniać. Garnitur nadawał się do wyrzucenia. A buty? Szkoda gadać.

W końcu się otrząsnął. Opuścił broń i podbiegł do zewnętrznego panelu sterowania platformą. Kilkakrotnie wcisnął przycisk, ale nic się nie stało. Oprogramowanie najpierw zamierzało dostarczyć pasażera na drugą stronę, a dopiero później zrealizować kolejne wezwanie. Dostrzegł niewielką metalową skrzyneczkę. Bezpieczniki. Strzelił w nie dwukrotnie.

Platforma się zatrzymała. Wisiała teraz nad przepaścią, niemal w połowie drogi. Do przebycia pozostało jeszcze dobre trzydzieści metrów. Gall spojrzął na Chase'a, który uśmiechnął się obrzydliwie, po czym wskoczył na fundament kotwy trzymającej linę i chwycił ją mocno obiema rękami. Przesuwając się do przodu, zawisł nad przepaścią. Od kolejki dzieliło go około pięćdziesięciu metrów.

Tymczasem Aleks zrobił dokładnie to samo. Wskoczył na

balustradę i chwycił się liny. Nogi wciąż miał słabe, więc jedynie dzięki sile rąk powoli przesuwał się po linie na drugą stronę przepaści. Poruszał się wolniej niż Chase, bo piekły go poranione dłonie. Ale miał do pokonania krótszą drogę.

– Całkiem nieźle sobie radzisz, Chase. Zwłaszcza jak na takiego lalusia! – krzyknął, a jego słowa powtórzyło echo.

– Wkrótce się przekonasz, jaki ze mnie lalusu! – wysapał agent.

Nim jednak zdołał dotrzeć do zawieszonyj pośrodku drogi platformy, Gall zeskoczył już po drugiej stronie przepaści i puścił się biegiem w dalszą drogę. Ale powoli tracił siły. Czuł, jak pieką go rany na łydkach. Z każdą sekundą jego uda stawały się sztywniejsze. Opornie pokonywał kolejne metry leśnej ścieżki. Zaciśnął jednak zęby i biegł. Dno doliny było już blisko.

Po dłuższej chwili ujrzał most. I usłyszał to, czego nie spodziewał się usłyszeć. Na pojedynczy tor umocowany do wielkiej kratownicy powoli, z prędkością nie większą niż dziesięć kilometrów na godzinę, wtaczał się pociąg towarowy. A więc jednak ten most nie jest jeszcze całkiem martwy – pomyślał. – Coś tu jeździ.

– Szlag by cię trafił! – krzyknął Aleks w kierunku lokomotywy, zupełnie jakby maszynista mógł go usłyszeć w tym hałasie. – Cała doba do dyspozycji, a ty akurat teraz musisz jechać?

Podbiegł do betonowego fundamentu i ujrzał stalową kładkę techniczną zainstalowaną pod głównym pomostem. Zapewne dawno nie była używana, bo od przypadkowego przechodnia odgradzało ją całkowicie przerdzewiałe ogrodzenie. Nie zastanawiał się długo. Kopniakiem zerwał bramę wraz z przytrzymującym ją łańcuchem. Przebiegł kilka metrów i znalazł się przed przyśrubowaną do betonu stalową drabinką. Chwycił poręczę i zaczął się wspinać. Kładka przebiegała nie więcej niż dwa metry poniżej toru i dobre dziesięć ponad rzeką. Huk przetaczającego się powyżej pociągu był ogłuszający.

Nie wahał się ani chwili. Wbiegł na kładkę i popędził w kierunku drugiego brzegu. Szybko, ale ostrożnie. Nie miał pewności, czy kratownica wytrzyma, tym bardziej że niektóre elementy pomostu dawno już przerdzewiały i odpadły. Jeden

nierozważny krok groził w najlepszym wypadku kąpielą. W najgorszym – skręceniem karku. W dodatku metal był śliski, choć tu, poniżej głównego pomostu, deszcz nie padał tak intensywnie. Idąc dalej, Gall stwierdził, że jednak się pomylił. Kładka była regularnie używana. Okoliczne pijaczki z pewnością przychodziły tu bardzo często. Wszędzie walały się puste butelki i paczki po papierosach. Dojrzał nawet ze dwa koce, świadczące o tym, że w Lesie Pisgah też mieszkają bezdomni. I też pod mostem.

Wyjście ze stalowej matni było już blisko. Huk nie ustawał. Gall podejrzewał, że przez most nie przetoczyła się nawet połowa pociągu. W pewnym momencie wiszący metr od jego twarzy skorodowany łańcuch podskoczył. Zaskoczony Aleks obejrzał się i ujrzał zdyszanego Chase'a z pistoletem w dłoni. Kakofonia dźwięków zagłuszyła strzał. Agent stał nie dalej niż trzydzieści metrów od swojej ofiary i Gall nie miał wątpliwości, że chybił celowo.

Rzucił się do ucieczki. Zamiast schodzić po drabinie, wybrał bardziej bolesny sposób i zjechał po betonowej pochylni. Brama z tej strony nie była aż tak przerdzewiała, ale za to w ogrodzeniu widniała ogromna dziura, którą zapewne wchodzili tu dzicy lokatorzy. Aleks przemknął przez nią. Krew pulsowała mu w skroniach. Starał się coś wymyślić.

Zbiegł na sam dół. Tutaj musiała znajdować się jakaś droga.

Potknął się i upadł. Gdzieś po prawej stronie zamajaczyło słabe światło. Ruszył w tym kierunku, przedzierając się przez gęsto rosnące drzewa. Tuż przed nim przebiegł spłoszony ryś. Gall przedarł się w końcu przez gęste zarośla i ujrzał metalowy płot. Po drugiej stronie znajdowała się poręba. Na wprost stała opuszczona budka strażnicza. Najwyraźniej nocny etat niósł ze sobą zbyt wielkie koszty dla administracji. Na lewo od budki znajdował się niewielki plac oświetlony pojedynczą latarnią. A kawałek dalej zobaczył dwa żółte buldożery.

Aleks bez chwili wahania przeskoczył przez płot. Był przekonany, że pogoń jest już blisko. Musiał znaleźć schronienie. Budkę odrzucił od razu. To pierwsze miejsce, do którego zajrzy

Chase. Mógł się schować pomiędzy równymi stosami przygotowanych do transportu bali, ale to też nie była bezpieczna kryjówka. Nie chciał ryzykować walki. Nie w swoim stanie. Tym bardziej że Chase okazał się niebezpiecznym przeciwnikiem.

Palety z drewnem tworzyły prawdziwy labirynt. Gall wszedł pomiędzy nie i zwolnił kroku. Teraz mógł choć przez chwilę odpocząć. Kilka razy musiał skrócić to w lewo, to w prawo, aż w końcu wyszedł z labiryntu. Przed oczami ujrzał bezkres wykarczowanego lasu. A więc dlatego stoją tu buldożery. Po prostu tędy wytyczono nową drogę przez dolinę.

Buldożery.

Aleks szybko się obejrzał. Ogromne maszyny odsypiały ciężki dzień pracy. Ich wielkie metalowe łyżki były wysoko uniesione. Gdyby udało mu się dostać do jednej z nich, może Chase nie zdołałby go odnaleźć.

Puścił się biegiem w kierunku maszyny. Po żelaznej drabince wdrapał się na korpus gigantycznego caterpillara. Z przedniej maski przeskoczył na wznoszące się hydrauliczne ramię. Dalej robiło się naprawdę trudno. Stal była mokra i śliska, a maksymalnie wysunięta w górę łyżka znajdowała się osiem metrów nad ziemią. Aleksowi udało się w końcu dostać do ogromnej komory załadunkowej. Mogła ona bez trudu pomieścić dziesięciu takich facetów jak on, ale w jednej trzeciej wypełniała ją deszczówka. Nie zważając na to, położył się wewnątrz i czekał. Starając się wyrównać szarpany oddech, zdał sobie sprawę, jak wiele różnych odgłosów przerywa nocną ciszę. Szum ulewy, oddalający się powoli pociąg, śpiew nocnych ptaków poukrywanych przed deszczem w koronach starodrzewu i brzęczenie starego transformatora ustawionego przy wejściu na teren poręby. Aż w końcu usłyszał trzeszczący żwir. Uspokoił oddech, co nie było łatwe. Teraz zmęczenie i ból starały się przejąć kontrolę nad jego ciałem.

Nagle potworny huk rozległ się tuż obok jego głowy.

– Wiem, że tam jesteś, Gall! – krzyknął Chase. – I będę strzelał tak długo, aż hałas stanie się nie do zniesienia. Mam trzy

zapasowe magazynki. W każdym po piętnaście naboji. Do tego sześć w pistolecie.

Kolejny huk rozdarł ciszę. Trafiona łyżka nieprzyjemnie zawibrowała. Chase tymczasem jeszcze trzykrotnie pociągnął za spust.

– Dałem znać moim ludziom, że tu jesteśmy! – krzyknął ponownie Chase. – Jeśli nie wyleziesz sam, nie ma problemu. Wyciągniemy cię siłą.

Dwa uderzenia pocisków o łyżkę. Plus jeszcze jeden gdzieś w powietrzu.

Zapadła cisza. Z rodzaju tych, które przerażają bardziej niż najgorszy hałas. Chase przestał się odzywać. Przestał również strzelać. Gall nie miał wątpliwości, że agent czeka jedynie, aż on wystawi głowę ponad krawędź łyżki. Ale czy naprawdę byłby gotów go zabić? Przecież miał już swoją szansę. Nie, Chase nie należał do tego typu policjantów. Miał zamiar go pojmać. Przez krótką chwilę Aleks pomyślał, że biorąc pod uwagę okoliczności, w towarzystwie Chase'a prawdopodobnie byłby dużo bezpieczniejszy niż bez niego.

Jego rozmyślania przerwał głośny charkot tysiackonnego silnika. Sekundę później coś syknęło i łyżka drgnęła. Pneumatyczny mechanizm powoli opuszczał ją ku ziemi. A więc na tym polega plan Chase'a. Pewnie jedną ręką opuszcza lemiesz, a drugą celuje z beretty. Ale nie. To niemożliwe. Tym urządzeniem nie da się kierować jedną ręką. Beretta musi spoczywać na kolanach agenta. Aleks zrozumiał, że to może być jego jedyna szansa. Wystawił głowę ponad krawędź lemiesza. Gdy spostrzegł, że do ziemi pozostały dwa metry, zeskoczył na ziemię. W kabinie maszyny ujrzał Chase'a. Agent nie sięgnął po berettę. Nie krzyknął nic w kierunku Galla. Ponieważ miał przy skroni lufę czarnego sig-sauera.

– A ty skąd się tu wzięłaś? – zapytał zdziwiony Aleks.

– Bardzo długa historia. I bardzo zimna. W czasie jej trwania przemarzałam na kość.

Gall podszedł do Pauline i wziął od niej sig-sauera. Dopiero teraz rozpoznał broń zabraną Carterowi. Wymierzył pistolet

w siedzącego w kabinie agenta.

– No? Strzelaj! – rzucił Chase.

– Naprawdę? – zapytał z uśmiechem Aleks.

– Co naprawdę?

– Naprawdę to powiedziałaś? Za dużo naoglądałaś się Szklanej pułapki, co? Gdybym chciał cię zabić, to nie uciekałbym przez ten zasrany las. Po prostu zacząłbym się na ciebie i skręcił ci kark gołymi rękami.

– O, taki z ciebie chojrak? – wysyczał agent. – To dawaj. Odłóż klamkę. Ja też odkładam swoją. I blachę. Załatwmy to jak prawdziwi faceci, zasrańcu.

– Kusząca propozycja – odparł Aleks spokojnie – ale niestety, czas nam nie sprzyja, Chase. Może kiedyś.

– Ja bym go zastrzeliła – rzuciła Pauline. – Taki z niego agent FBI, jak ze mnie aktorka porno.

– Wydaje mi się – odrzekł Aleks – że on naprawdę jest agentem FBI, dlatego go nie zastrzelę. Zabierz kajdanki i przykuj mu rękę do ramy.

Pauline szybko zrobiła, co jej kazał. Chase nie protestował. Zrezygnowany wyciągnął z kieszeni mentolowe papierosy.

– Chcecie? – zapytał, rzucając paczką w kierunku Aleksa. Aleks złapał opakowanie w locie. Wziął jednego, wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił. Pauline podziękowała. Zapadło krótkie milczenie, po którym Chase zapytał:

– Dobra. Co teraz?

– Blefowałeś, że twoi ludzie zaraz tu będą. Dawno już byśmy ich tu widzieli.

– Owszem. Blefowałem. – Chase zaciągnął się tak mocno, że aż mu oczy zaszczyły mgłą. – Na razie wygraliście. Ale chciałbym się czegoś dowiedzieć.

– Na przykład czego? – zapytał Aleks.

– Na przykład, po co ukradłeś rejestratory i dlaczego zabiłeś Burley?

– Nie ukradłem rejestratorów, to po pierwsze. Badam wypadek i mam pełnomocnictwo NTSB. Tyle że ktoś próbuje mnie zabić. Nagrań już nie ma, spaliły się. Po drugie, nie zabiłem Leo i nie

będę więcej tego powtarzać.

– Powiedzmy, że ci wierzę. Przynajmniej w tej ostatniej kwestii. A co masz wspólnego z morderstwami emerytowanych żołnierzy?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Czyżby? – rzucił kpiąco Chase. – Nie masz pojęcia, o czym mówię?

– Ty też go nie masz, Chase. Nie wiesz, kogo ścigasz, nie wiesz, o co go oskarżasz. Nic nie wiesz. Kazali ci mnie złapać, więc mnie ścigasz. Ale nawet nie wiesz za co.

Agent uśmiechnął się i spojrzał na Aleksa przenikliwie, a ten wzdrygnął się przez moment. Natychmiast zrozumiał, że ma przed sobą bardzo inteligentnego przeciwnika. Przeciwnika, którego nie wolno lekceważyć, nawet jeśli jest przypięty kajdankami do wielkiego caterpillara.

– Pozwól, że coś ci wytłumaczę, Gall – odezwał się Chase. – Od kilkunastu tygodni regularnie co kilka dni umierają emerytowani żołnierze pewnego dość tajemniczego oddziału. W Departamencie Armii Stanów Zjednoczonych odmówiono mi jakichkolwiek informacji. A to dość nietypowa praktyka. Znajdujemy tych ludzi z dziurami w głowach. Tym właśnie się zajmowałem, zanim pewien sukinsyn kazał mi pojmać ciebie. Jednak widzę pewien związek pomiędzy tymi sprawami i zamierzam go zbadać.

– Niby jaki to związek? – zapytał Aleks.

– Przeczytałem twoje akta. Wynika z nich, że jesteś zięciem Harveya Birda. A on jest potencjalną ofiarą, bo też należał do tego oddziału.

Zapadło milczenie.

– Mam uwierzyć, że to wszystko jest zbiegiem okoliczności? – zapytał Chase. – Dwa samoloty Birda zderzają się w powietrzu, jego byli kumple z oddziału umierają od kul, a ty, jego zięć, robisz rozpiardol z rejestratorami. Dam głowę, że coś z nim kombinujesz. I dowiem się co.

Gall podszedł do niego. Prawą ręką wsunął mu do kieszeni na piersi telefon Cartera.

– Mylisz się. Wezwij sobie pomoc, póki jeszcze działa. Z całego serca życzę ci zasięgu. I pokombinuj z numerami zapisanymi na karcie. Już nieaktywne, ale może coś wygrzebieasz. A jak wygrzebieasz, to dowiesz się, kto i dlaczego chce mnie ukatrupić i przejąć dowody w śledztwie. Numer Jeden z listy przedstawia się jako Vessna Fuego.

– Vessna Fuego to znany kierowca NASCAR.

– Sprawdź to – rzekł Aleks, odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Jeszcze się spotkamy, Gall! – zawołał za nim śpiewnie Chase.

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz.

ROZDZIAŁ 39

– Nie znaleziono satelity – odezwał się piekielnie seksowny kobiecy głos.

Venom uderzył pięścią w GPS. Był zły. Nie tylko dlatego, że w środku najbardziej cywilizowanego kraju świata nie mógł skorzystać z głupiej nawigacji. Denerwowała go ta podła pogoda. Wycieraczki jego starego trans ama nie nadążały ze zbieraniem wody. Sportowe zawieszenie szalało po marnej jakości drodze jak rybacki kuter jego dziadka w styczniu na Morzu Irlandzkim. W dodatku drogę międzystanową numer osiemdziesiąt jeden jak zwykle remontowano. Od dziesięciu kilometrów zamiast dwóch miał do dyspozycji tylko jeden pas. I za każdym razem gdy mijał się z oświetloną jak choinka ciężarówką, na ułamek sekundy przestawał cokolwiek widzieć. Co to za cholerna moda z tymi światłami? – pomyślał zdenerwowany.

Niedawno minął Harrisonburg, co oznaczało, że przejechał zaledwie jedną piątą dystansu. Nie bardzo rozumiał, czego oczekuje od niego zleceniodawca. Ma w pojedynkę stoczyć walkę z całym oddziałem antyterrorystów z FBI? Nonsens. Venom był dobry. Ale tak dobry nie był nikt.

Frank Sinatra w radioodbiorniku skończył śpiewać New York i zaczął Fly me to the moon.

Dwie piosenki z rzędu? Dajcie spokój.

Jedną ręką trzymał gwałtownie szarpiącą się kierownicę, drugą namacał przycisk przełącznika stacji radiowej. Wcisnął go – bez rezultatu.

– Jedź dalej tą drogą – seksowny głos uświadomił mu, że nawigacja w końcu złapała kontakt z bazą. On jednak wciąż usiłował przełączyć tę idiotyczną stację.

Jego trans am miał trzydzieści lat i Venom uważał, że zainstalowanie do niego nowoczesnego radia stanowiłoby zwykłą profanację. Radio musiało być oryginalne. Dlatego ciągle

się zaczynało. Nawigację znosił tylko dlatego, że w każdej chwili mógł ją ukryć w schowku.

Coś ryknęło przeraźliwie. Venom spojrział w końcu na drogę i zorientował się, że jedzie pod prąd. Ogromne halogeny osiemnastokołowca waliły prosto na niego. Przekręcił kierownicę w prawo i dodał gazu. Zbyt gwałtownie. Auto skoczyło do przodu i Venom stracił nad nim panowanie. Skontrował i klnąc jak szewc, opanował samochód.

Po prawej stronie rozciągał się słabo oświetlony parking dla ciężarówek. Venom zjechał na niego, znalazł miejsce na uboczu i tam się zatrzymał. Nie wyłączając silnika, wysiadł i narzucił na siebie kurtkę.

Pieprzyć ten deszcz – pomyślał. – Muszę zająrać.

Przypalił czerwone marlboro. Dawno już tego nie robił. Zaciągnął się i od razu zakręciło mu się w głowie. Drugie sztachnięcie podtrzymało to przyjemne wrażenie. Trzeciego nie było, bo w radiu przestał śpiewać Frank, a zaczął gadać jakiś lokalny dziennikarzyna.

– Aleksander Gall, podejrzewany o kradzież rejestratorów lotu samolotów, które prawie miesiąc temu zderzyły się nad Pacyfikiem, zbiegł z rąk agentów federalnych niedaleko Asheville, w stanie Karolina Północna. Jest uzbrojony i niebezpieczny. Towarzyszy mu prawdopodobnie...

Venom nie słuchał dalej. Sięgnął po telefon. Wybrał numer.

– O co chodzi? – zapytał zaspany głos. – Gdzie jesteś?

– Minąłem Harrisonburg – odparł Venom. – Gall zwiął. Gadają o tym w radiu.

– Czy jesteś w stanie go zlokalizować?

– Nie. W tej chwili nie jest to możliwe.

– On nie da się tak łatwo złapać. Tym lepiej dla niego. Dobra, wracaj do domu, chwilowo Aleks nam nie zagraża. Ale masz być czujny. Jeśli znowu go złapią, zlecenie zostanie przywrócone. Rozumiesz?

– Doskonale. – Venom ziewnął i rozłączył się.

Od Harrisonburga dzieliło go piętnaście kilometrów. Tam na pewno znajdzie jakiś przyzwoity motel, żeby przeczekać ulewę.

ROZDZIAŁ 40

Niecałe dziesięć minut drogi od poręby wiła się wąska szutrowa ścieżka. Gdy tam dobiegli, Gall z zadowoleniem stwierdził, że Pauline zdobyła samochód.

– Jak to skąd? Ukradłam. – Uśmiechnęła się niewinnie. – A raczej pożyczyłam. Tu ludzie trzymają kluczyki w stacyjkach.

Szary cirrus był stary, ale jeździł jak złoto. Aleks przejął kluczyki, a Pauline nie protestowała.

– Zupełnie nie ogarniam tej skrzyni biegów – przyznała się i rozsiadła na siedzeniu pasażera. Była śpiąca.

Aleks jechał powoli, uważnie rozglądając się na boki. Słońce zaczęło nieśmiało wyglądać zza horyzontu. I choć ciężkie chmury nie zwiastowały zmiany pogody, robiło się niebezpiecznie jasno. W okolicy nadal czaili się ludzie Chase'a. Może nawet sprowadzili już posiłki. Pauline nie bała się FBI, dużo bardziej przerażał ją czarny ram. Aleks zaczynał żałować, że jej o nim opowiedział.

– Ten Carter nam nie odpuści, prawda?

– Raczej nie. Ale może to nie on.

– A niby kto? Przecież widzieliśmy już tego rama. Blokował wyjazd z ogrodu Leo.

– Tylko po co Vessna miałaby wysyłać Cartera przeciw FBI?

– Bo cię potrzebuje. Albo wiesz coś, co jej zagraża.

– Może. Ale odnoszę wrażenie, że FBI też siedzi jej w kieszeni.

– Ten androginiczny policjancik? Myślisz, że...

– Nie, nie myślę. Ale nie wykluczam.

– To Carter, Aleks. Ten facet cię nienawidzi. Dwa razy go upokorzyłeś. Tacy jak on nie wybaczą.

– Tacy jak on umierają, gdy zawodzą – odparł Aleks, spokojnie obserwując drogę.

Wkrótce szutrowy odcinek się skończył i wyjechali na asfalt. Teraz ruszył nieco odważniej, żeby zbyt wolna jazda nie przyciągnęła czyjegoś uważnego spojrzenia.

Po kilku kilometrach zjechał na pobocze. Chciał się zastanowić, co dalej. W aucie znaleźli niebieską paczkę z dwoma dunhillami. Właściciel musiał rzucić palenie już jakiś czas temu, bo papierosy były suche jak wiór. Mimo to Aleks zapalił, zupełnie nie zważając, że deszcz leje mu się na głowę.

– Patrz, co znalazłam na tylnym siedzeniu – rzuciła Pauline, otwierając drzwi. Wsiadła i w jednej chwili ponad jej głową rozkwitła parasolka zadrukowana kwiatowym motywem. Podeszła do Aleksa, wtuliła się w niego tak, by i on się zmieścił pod płótnem. Przez chwilę stali w milczeniu. Z nasadki drutu parasola spłynęła pojedyncza kropla i zgasiła Aleksowi papierosa. Zaśmiali się oboje, a on wyciągnął z paczki ostatniego dunhilla. – Głodna jestem.

– Zaraz poszukamy jakiejś budy z hamburgerami. Widziałem znaki. Kawałek dalej biegnie droga międzystanowa numer czterdzieści. Przy niej na pewno coś znajdziemy.

– Jesteśmy poszukiwani, Aleks.

– Owszem. Ale jeść trzeba.

– Co teraz zrobimy?

– Nie mam pojęcia – odparł po krótkim namyśle. – Rejestratory przepadły, Leo nie żyje. Nie mam nawet tego fragmentu od Depree...

– O kurde. – Pauline aż podskoczyła. Parasol przesunął się w bok i na głowę Aleksa znów lunęła woda.

– Co się stało?

– Zapomniałam! Na śmierć zapomniałam. Poszliśmy wczoraj z Leo na spacer. A jak wróciliśmy, to ciebie nie było.

– Zgadza się. Dawno temu odkryłem pewne ciekawe miejsce. Chodzę tam zawsze, jak przyjeżdżam do Lasu Pisgah.

– Co to za miejsce?

– Pole z dzikimi malinami. Mówię ci, palce lizać.

Zaśmiała się, ale zaraz spoważniała.

– No więc ciebie nie było – kontynuowała. – I Leo powiedziała, że możemy w tym czasie zbadać ten fragment od Depree spektrometrem ruchliwości jonów.

– To raczej mało wiarygodne badanie, Pauline.

- No wiem. Leo twierdziła to samo. Mało czasu, próbka zanieczyszczona. Ale i tak nie miałyśmy nic innego do roboty. Wykonałyśmy dwa badania.

- I jakie były wyniki?

- No właśnie niejednoznaczne. Pierwsze badanie nic nie wykazało. Ale Leo wprowadziła jakieś zmiany do kalibracji urządzenia. Drugie badanie... Czekał. Zapisałam to sobie.

Pomacała się po kieszeniach. Z jednej z nich wyciągnęła kawałek papieru. Był mokry i rwał się w rękach, ale Pauline zdołała odczytać skreślone niebieskim długopisem zdanie:

- Badanie wykazało śladową obecność RDX i poliizobutyleny. Co to znaczy, Aleks?

- To znaczy, że musimy odwiedzić mojego przyjaciela w Atlancie.

- Tego specja od wybuchów? Co to jest ten RDX?

- Heksogen. Materiał wybuchowy. A poliizobutylen to spoiwo. Razem tworzą C4. Jeśli faktycznie znajdowało się to na kadłubie, mamy do czynienia z zamachem bombowym.

- To się zgadza z tym, co mówisz. Że jeden samolot wybuchł i spadł na drugi. Ale nie mamy już tego fragmentu. Więc jak chcesz go zbadać?

- Mylisz się. Wciąż mamy ten fragment.

Wyjął z kieszeni komórkę od Baldura. Wybrał numer. Przez chwilę nikt nie odbierał. W końcu włączyła się poczta głosowa i Aleks rozłączył rozmowę. Spróbował jeszcze raz. W końcu w słuchawce dało się słyszeć ciche piknięcie.

- Co jest, do cholery? To już nie czasy niewolnictwa i czarny człowiek też ma prawo się wyspać. Wcześniej się nie dało? - zapytał zasnym głosem Antwone Depree. - Kto mnie budzi?

- Gall.

- A, to ty.

- Spodziewałeś się kogoś innego?

- Bo ja wiem? Chyba nie. Ale zrobiło się niebezpiecznie.

- O czym ty mówisz?

- A jak myślisz? Jordan nie żyje. Reszta też nie. Ale miałem fart, że połamane łapsko i nie poleciałem z wami. Słyszałem, że

ukradłeś rejestratory. Pewnie cię szukają. Mnie też zaraz będą.

– Mój telefon jest bezpieczny.

– Ale mój, kurwa, nie.

Depree miał rację. To dość niekorzystna okoliczność, której Aleks nie przewidział. Co najlepiej dowodziło, jak bardzo był zmęczony. Tak czy inaczej mleko już się rozlało.

– Posłuchaj mnie, Depree. Musimy pogadać o tym kawałku metalu, który wyłowiliśmy z wody.

– Jasne. Zrobiłem badania.

– Nie przez telefon. Możesz do mnie przyjechać?

– Do ciebie?

– Do Atlanty. Mam tam znajomka.

– Zapomnij.

– Szuka mnie FBI i cała zgraja jakichś bandziorów. Muszę się zamelinować. A bez informacji od ciebie nie ruszę do przodu.

– Spoko, stary. Rozumiem to, naprawdę. Ale nie mogę przyjechać. Nie mam prawka, rozumiesz? Zabrali mi.

– Za co?

– Bo czarny w białym challengerze z dwa tysiące dwunastego wzbudza wściekłość białego policjanta. Musisz pytać?

– Czyli za procenty.

– Srocenty. Białemu by nie zabrali.

Zapanowała cisza. Gall nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Jazda do Waszyngtonu byłaby samobójstwem. Ale musiał mieć te informacje.

– Słuchaj – odezwał się Depree. – Naprawdę tak cholernie ci na tym zależy?

– Jasne.

– Dobra. To przylecę tam jutro. Zadekuj się gdzieś. Dam znać. Ten numer będzie jutro aktualny?

– Tak. Uważaj na siebie. Jeśli masz podsłuch, to może być niebezpiecznie.

– Wiem. Ale co mi zrobią w samolocie? Mam nadzieję, że dopadniesz tych skurwysynów, człowieku. Za Grossa.

– Za Grossa?

– To ty nic nie wiesz? Gross dostał kulkę. Jakiś stary żółtek

wyłowił go z morza. Miał pośrodku czoła dziurę jak pierdolony Rów Mariański. Ta jego *Deepy* mogłaby wpłynąć do środa i pobrać próbki.

- Stary żółtek? I ty to mówisz?
- Nie łap mnie za słówka, dobra?
- Zabierz ze sobą swój metalowy skarb.
- Się wie. Cześć.

Gall podał telefon Pauline.

- Możesz go schować do torebki? Nie chciałbym go przypadkiem zostawić w tym gruchocie.

- Jasne.
- Gross został zastrzelony.
- Co?

- Depree mi powiedział. Gross dostał kulkę na *Dekishi*. Ktoś go wyłowił.

- Niemożliwe – szepnęła.
- Owszem, możliwe.

Chwilę powspominali Grossa, a potem wsiedli do cirusa i ruszyli w drogę. Jechali w milczeniu. Ulewa nie ustawała ani na moment. Aleks celowo wydłużył drogę o kilkanaście kilometrów, by z Karoliny Północnej wjechać bezpośrednio do Georgii, z pominięciem Karoliny Południowej. Uważał, że im mniej razy przekroczą granicę stanu, tym lepiej. W tym celu zaraz za miastem zjechał z dwudziestej szóstej i dalej poruszali się drogami stanowymi. Znowu przez góry.

W Mills River zjedli w końcu śniadanie. Niczego tam nie było, ale Subway owszem. Ukradli też nowe auto. Nic szczególnego, kilkunastoletni malibu. Aleks uważał, że cirus jest już na policyjnej liście kradzionych aut. W starym chevrolecie przeciekał dach i działała tylko jedna wycieraczka, co irytowało Pauline, bo nie mogła obserwować drogi. Gall, choć zmęczony, spokojnie prowadził auto po mokrej, wąskiej drodze. Dwieście osiemdziesiąta droga stanowa ciągnęła się w nieskończoność.

Pięć godzin później, tuż przed Gainesville, Aleks zjechał z trasy i zatrzymał się na niewielkim leśnym parkingu. Dochodziła dopiero jedenasta. Do przyjazdu Depree nadal pozostawała doba,

a on nie chciał wjeżdżać na międzystanówkę w środku dnia. Postanowili więc wykorzystać chwilę wolnego, by trochę pospać.

Obudzili się dopiero po dziesięciu godzinach, choć malibu nie był zbyt wygodny. Dwadzieścia sześć godzin bez snu zrobiło swoje. Gdy Aleks otworzył oczy, zapadał już zmrok. Uruchomił silnik. Musiał odczekać pięć minut, zanim odparowały wszystkie szyby.

W końcu wyjechali na trasę, a trochę później zjechali na dziewięćset osiemdziesiątą piątą międzystanową. Po niecałej godzinie znaleźli się na przedmieściach Atlanty. Aleks zostawił samochód na parkingu Walmarta w Chamblee świadom, że nigdy więcej go już nie zobaczy. Kawalek dalej znaleźli motel i wynajęli pokój jako Al Gore III.

Malibu przysłużył im się na tyle, że teraz nie mieli wielkiej ochoty na sen. Puścili film w motelowym odtwarzaczu DVD. W końcu, dobrze po drugiej w nocy, Aleks wziął szybki prysznic i położył się do łóżka. W myślach układał plan jutrzejszego dnia, jednak wiedział, że i tak wszystko będzie zależało od tego, kiedy Depree dotrze do Atlanty. Na pożyczonej w recepcji mapie miasta zaznaczył kilka miejsc, w których da się bezpiecznie spotkać i pogadać. W tej chwili nic więcej nie mógł zrobić.

Kiedy odłożył mapę, z łazienki wyszła Pauline owinięta w ręcznik. Mokre blond włosy starannie rozczesła. Zaskoczyło go, że ma na twarzy delikatny, ledwo widoczny makijaż.

Podeszła do niego nieśpiesznie. Kiedy była tak blisko, że poczuł jaśminowe perfumy, bez słowa, powoli zsunęła ręcznik, który natychmiast opadł na podłogę. Stała przed nim naga.

Uśmiechnęła się zalotnie, po czym przysiadła na brzegu łóżka.

– Zauważyłam, że pod tą brodą kryje się naprawdę czarujący mężczyzna.

Przeturlała się na niego. Jej biust znalazł się tuż przy jego twarzy. Chwyliła jego dłoń i przyłożyła do piersi. Przez chwilę bawił się krągłościami. Szybko zrozumiała, że mu się to podoba. Dało się to wyczuć przez pościel.

Pochyliła się nad nim, opierając pierś na jego ustach, a ręką powoli sięgnęła pod kołdrę. Zamruczała cicho.

W chwili gdy go dotknęła, brutalnie chwycił jej dłoń.

– Nie, Pauline – rzekł spokojnie, choć głos mu trochę drżał.

Zdecydowanym ruchem zrzucił ją z siebie i wstał z łóżka.

Pauline chwyciła leżący na ziemi ręcznik i zakryła się nim.

– Po prostu nie mogę. Nie chcę. Przepraszam.

– Chciałabym, żebyś stąd teraz wyszedł! – powiedziała Pauline.

Oddychała szybko. Bała się, że za moment zemdleje. – Wyjdź stąd, Aleks.

– Pauline...

– Wynoś się! – krzyknęła.

Włożył spodnie i koszulę. Nie oglądając się za siebie, opuścił pokój. A ona upadła na łóżko i się rozpłakała.

ROZDZIAŁ 41

Carter zdawał się nie tracić dobrego humoru, mimo że siedział przywiązany do drewnianego krzesła w jakimś starym, zrujnowanym magazynie, a do niedawna jego ludzie bili go teraz niemiłosiernie gumowymi pałkami. Nie odzywał się, ale uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Nie da satysfakcji skurwysynom.

Przez zapuchnięte oczy ledwo widział. Miał zmasakrowane usta. Szczęka wciąż była cała, choć trudno powiedzieć, jak długo jeszcze wytrzyma. Złamany nos się nie liczył, to akurat pamiętka po jego ostatnim spotkaniu z Gallem.

Carter odebrał kolejny cios. Charlie, dawniej jego prawa ręka, a teraz facet, który miał ochotę przejąć jego stanowisko, naprawdę się przyłożył. Carter z obrzydliwym uśmiechem wypłuł zbierającą się w ustach krew, kiedy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła Vessna.

– Wyjść – rzuciła krótko do strażników, a ci posłuchali polecenia bez słowa protestu.

Zostali sami i Vessna podeszła do swego więźnia drobnymi krokami. Zapewne z powodu bardzo ciasnej spódnicy opinającej pośladki.

– Witaj, Vessno. Co u ciebie? – zagadnął Carter, po czym ponownie wypłuł krew.

– Fantastycznie. A u ciebie? – zapytała Vessna.

– Bywało lepiej.

– Nie wątpię, Carter. Przykro mi, że do tego doszło. Ale ja nie uznaję fuszerek. I nie potrzebuję ludzi, którzy nie potrafią pojmać głupiego inżyniera. To nie jest żaden zabijaka, Carter. Rozumiesz? Dostałeś po łbie od jajogłowego.

– A jednak wciąż tu jestem, Vessno.

– Owszem. Masz dużo szczęścia. Wyobraź sobie, że Gall uciekł fedziom.

– Ho, ho, zwiął im ten jajogłowy?

Carter już się nie bał. Wiedział, że jest ocalony, a jego kara dobiegła końca.

– Masz go dopaść, zrozumiano?

– Stary, dobry Carter znów jest potrzebny? Spokojna głowa, Vessno. Zabiję skurwysyna, choćbym sam miał zginąć. Teraz to już sprawa osobista.

– Nie zabijesz go. Sytuacja się zmieniła. Chcę mieć go żywego.

– Naprawdę, Vessno. Ty to potrafisz człowiekowi zepsuć humor.

– Chcesz tę robotę? Czy mam zawołać chłopaków?

– Zawołaj. Będą mi potrzebni. Gdzie mam się udać?

Vessna rozwiązała mu ręce i nogi. On w tym czasie gapił się w jej głęboki dekolt, co zapewne przewidziała. Cała Vessna. Gdy wstał, podała mu glocka. W pomieszczeniu pojawiło się kilku mężczyzn.

– Lecisz do Atlanty i bardzo się spieszysz. Nie zawieź mnie tym razem. To twoja ostatnia szansa.

Uśmiechnął się. Sprawdził broń, po czym władował dwie kule prosto w twarz Charliego. Potężny facet zwałił się na ziemię.

– Faceci. – Vessna westchnęła.

Carter z zadowoleniem stwierdził, że pozostali chyba pojęli tę subtelną aluzję. Teraz pójda za nim choćby do piekła.

ROZDZIAŁ 42

Pauline kiepsko spała. Trochę miała wyrzuty sumienia, a trochę martwiła się o Aleksa. Wstała o ósmej i poszła do łazienki. Odkręciła kurek i woda pod skandalicznie niskim ciśnieniem delikatnie uderzyła o jej ciało. Niech szlag trafi tanie motele. Nawet umyć się porządnie nie można.

Namydliła się starannie, a potem szybko spłukała z siebie pianę, czując, że ten podejrzany, zapewne bardzo tani płyn do kąpieli wysusza jej skórę. Zakręciła wodę, owinęła się ręcznikiem i weszła do pokoju.

Gdy tam dotarła, zobaczyła półnagiego faceta grzebiącego w jej torebce. Wyglądał atrakcyjnie i miał naprawdę imponujące plecy, ale nie zamierzała dać się okraść.

– Stój! – krzyknęła. – Co robisz, dupku?

Odwrócił się i spojrzał na nią błyszczącymi niebieskimi oczami. Był spokojny i opanowany.

– O w mordę – szepnęła. – Zrobiłeś to.

Aleks potarł dłonią gładki podbródek.

– Była zbyt charakterystyczna. Wiele oczu nas teraz wypatruje.

– Wyglądasz... O rany. Inaczej.

– Uznam to za komplement. Dostaliśmy esemesa.

Aleks przebiegł wzrokiem po literkach na wyświetlaczu. Następnie włączył mapę w komórce i wprowadził adres.

– Pryor Street Southwest – oznajmił sucho.

– Tam się spotkamy z Depree?

– Tak. W starym zaułku za piętrowym parkingiem.

– Fantastycznie. Jak się tam dostaniemy?

– Taksówką. Nie chcę już kraść samochodu. Za dużo zostawiamy po sobie śladów.

Pół godziny później siedzieli w żółtym fordzie crown victoria. Kierowca wyglądał na zadowolonego. Niecodziennie trafiał mu się osiemdziesięciokilometrowy kurs.

Pauline trochę się krępowała. Chciała pogadać z Alekssem, ale przy taksówkarzu było jej głupio. Na szczęście kierowca okazał się bardzo inteligentnym człowiekiem. Uśmiechnął się do niej i włożył sobie do uszu słuchawki. Za chwilę zaczął rytmicznie poruszać głową. Pauline zanotowała w pamięci, że facet zasłużył na napiwek.

– Aleks – zaczęła niepewnie. – Co do wczoraj...

– Nie gniewaj się na mnie, Pauline.

Właściwie to sama chciała go przeprosić. Zrobiło się dziwnie, ale Gall szybko rozładował napięcie promiennym uśmiechem. Nie potrafiła się przyzwyczaić do jego nowej twarzy.

– Po prostu... – zająknęła się znowu i poczuła, jak włącza jej się „żenada alert”.

– Pauline, to nie twoja wina. Ja naprawdę nie mogę. Zastanawiałem się dlaczego, ale to nie jest takie proste. Wiem, że minęło sporo czasu. Tyle że nie zdążyłem się z tym wszystkim oswoić. Zabrzmi to banalnie, ale poczułem się, jakbym zdradzał żonę.

– Ale przecież ja to doskonale rozumiem. Po prostu... Sama nie wiem.

Odruchowo sięgnął dłonią w kierunku włosów Pauline i strzepnął z nich jakiś pyłek.

– Pozwól mi to powiedzieć – poprosiła. – Wyjaśnić.

Aleks kiwnął głową.

– Jest mi okropnie wstyd. Chodzi o to, że przez całe dzieciństwo miałam dużo kompleksów.

– Trudno mi w to uwierzyć, Pauline.

– Dzięki. Ale to prawda. Byłam dość tęgą, brzydką dziewczyną.

– W to już na pewno nie uwierzę.

– Zamknij się w końcu! – Uśmiechnęła się. – Moi rodzice byli bardzo, hmmm, powiedzmy, konserwatywni. Nie wolno mi się było malować. Nie mogłam się spotykać z chłopakami. Spódnica do kostek, brak dekoltu i tak dalej. Wiesz, Teksas. Twoim jedynym mężczyzną będzie Jezus. Mój ojciec... Był surowym człowiekiem. Prawdę mówiąc, gdy umarł na zawał, wszyscy odetchnęli. Ja, mama i całe miasteczko. Ja najbardziej. Moje życie

w końcu się zmieniło. Miałam szczęście. Na studiach poznałam fajne dziewczyny. Szybko przywróciły mnie światu. Miałam każdego faceta, którego chciałam. Od tamtego czasu odmówił mi tylko jeden. Ty. I w tej jednej chwili powróciły stare kompleksy. Wiem, że to głupie, ale przez moment znów byłam grubą brzydulą z Teksasu. Wygłupiłam się?

– Nie bardzo. Zresztą każdy ma jakieś kompleksy.

– Nawet ty?

– Nie, ja oczywiście nie. – Zaśmiał się. Ona też.

– Nie kłam! – Szturchnęła go przyjaźnie, ale tak mocno, że aż się przechylił w stronę drzwi.

Powróciła dobra atmosfera. Ani się spostrzegli, jak wjechali do Atlanty. Wysiedli na skrzyżowaniu Edgewood Avenue i Peachtree Center Avenue. Cztery przecznice przed celem. Jeśli ktoś faktycznie podsłuchiwał Depree, to w okolicy mogli się spodziewać zasadzki. W takim wypadku Gall wolał nie podjeżdżać taryfą pod sam zaułek.

Przecięli Decatur Street i znaleźli się dwieście metrów od celu. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć kilku przechodniów i jakiegoś wyrośniętego dzieciaka na deskorolce. Szli powoli przed siebie. Pauline rozglądała się podejrzliwie na boki. Aleks szturchnął ją lekko, by się uspokoiła.

– Ej, ziomuś! – krzyknął do niego chłopak w kapturze, zeskakując z deski. – Dasz fajkę?

– Jasne. – Aleks sięgnął do kieszeni.

Jednak nic z niej wyjął. Mocnym kopnięciem zwalił chłopaka na ziemię.

– Uciekaj! – krzyknął do Pauline. – Spotkamy się na miejscu!

Chase próbował się podnieść, ale dostał jeszcze jeden cios i ponownie rozłożył się na ziemi. Aleks rzucił się do ucieczki w kierunku, z którego przyszli. Kawalek przed sobą widział Pauline. Wbiegała właśnie do budynku College of Education Uniwersytetu Stanowego Georgii. Chase nie zwracał na nią uwagi, skupiając się na Aleksie. Pędził, wymachując beretką.

– Stój, sukinsynu! I tak cię dopadnę!

Przed przyjazdem do Atlanty Gall dokładnie przestudiował

mapę okolicy. Dlatego teraz szybko skręcił w prawo, w Wall Street. Kawałek dalej widniała wiata stacji metra Five Points. Chase był zaledwie trzydzieści metrów za nim.

Aleks dopadł wiaty. Wbiegł do niej na pełnym gazie, jednak kiedy tylko zniknął Chase'owi z pola widzenia, schował się za niewielkim stoiskiem z gazetami. Chwilę później agent przemknął obok niego i popędził schodami na peron. Gall opuścił kryjówkę i skoczył w kierunku wyjścia. Wiedział, że ten fortel nie da mu zbyt wiele czasu. Lada moment Chase zorientuje się, co jest grane.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

– Ruszaj, ale powoli! – krzyknął do kierowcy.

– Ale dokąd? – zapytał spokojnie pięćdziesięcioletni czarnoskóry kierowca, wciskając jednocześnie gaz.

– Prosto. I w prawo, w Pryor Street.

Wyciągnął z portfela pięćdziesiąt dolarów.

– Widzisz to? – zapytał, pokazując kierowcy banknot z Ulyssesem Grantem. – Zawieź mnie pod piętrowy parking, naprzeciwko Kenny's Alley, a będzie twój.

Kierowca spojrzał na niego jak na wariata.

– Człowieku, dobrze się czujesz? – zapytał. – Przecież to trzydzieści sekund drogi stąd.

– Zarobiłeś kiedyś pięćdziesiąt dolarów w pół minuty?

Kierowca uśmiechnął się i lekko przyspieszył. Gall podał mu banknot. Obejrzał się i zobaczył przez tylną szybę Chase'a wybiegającego ze stacji. Agent wściekle rozglądał się na boki, ale nie zwrócił uwagi na żółtego forda crown victoria. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

Kierowca skręcił w Pryor Street. Piętnaście sekund później Aleks wyskoczył z taksówki naprzeciwko parkingowi. Kierowca odjechał tak szybko, jakby się bał, że Gall zmieni zdanie i odbierze mu Ulyssesa.

Aleks odszukał zaułek. Przebiegł kawałek prosto, a potem skręcił w prawo. Na końcu znajdował się kolejny zaułek. Na starym zniszczonym bruku w kałuży krwi leżał Depree. Pauline przytrzymała mu głowę. Gall podbiegł do nich.

– Za późno – powiedziała przez łyzy dziewczyna. – Przybiegłam tu dosłownie trzydzieści sekund temu. Znalazłam go w takim stanie. Raczej nie przeżyje.

– Depree – odezwał się Aleks. – Kto to zrobił?

– Nie... wiem – odparł ciężko Depree. – Tyłem... stałem.

– Ma nóż wbity w serce aż po rękojęść. Zmiażdżone żebra. Jeśli ktoś go tak ciął od tyłu, to mamy do czynienia z zawodowcem – oceniła Pauline.

– Mam... złamany... nos – wyjęczał Depree.

– Nie martw się, stary – rzucił Aleks. – W Polsce mawiamy w takich sytuacjach, że do wesela się zagoi.

Ale Depree nie dożył wesela. Nie dożył nawet końca zdania. Deszcz zaczął już rozmywać jego krew. Cienkie strużki wpływały w zagłębienia kostki brukowej i płynęły gdzieś daleko poza załom w murze.

– Coraz gorzej to wygląda, Gall – powiedział Chase, który pojawił się w zaułku. Dyszał ciężko, a beretta w jego dłoni niebezpiecznie drgała. – Wcześniej była tylko kradzież i napaść na agenta FBI. W zabójstwo Burley za bardzo nie wierzyłem. Ale dlaczego zabiłeś tego faceta? Jeden fałszywy ruch i przysięgam, że odstrzelę ci jaja.

Usłyszeli cichy strzał, jakby ktoś używał tłumika. Agent krzyknął i upadł na ziemię.

– Ożeż kurwa! – wyjęczał. – Kto mnie tak...

W zaułku nie było nikogo. Aleks uniósł głowę. Miał wrażenie, że przez ułamek sekundy widział lufę karabinu.

– Pauline, pod ścianę! – krzyknął. Posłuchała go. Zdjął z siebie koszulę i wciąż obserwując dach, podbiegł do Chase’a. Z jego uda tryskała krew. Kula rozerwała tętnicę. Twarz agenta była blada, ale nie stracił przytomności. Aleks przewiązał mu udo pasem z koszuli i zacisnął mocno. Najmocniej, jak potrafił. Chase jęknął cicho.

– Spadamy stąd, Halfield! Nie. Nie tędy. W drugą stronę.

Podniósł z ziemi zakrwawioną berettę Chase’a i pięciokrotnie wypalił w powietrze.

– Twoi ludzie na pewno usłyszeli strzały – powiedział Aleks. –

Zaraz tu będą. Wybacz, ale ja w tym czasie muszę być gdzie indziej.

– Ktoś na ciebie poluje, Aleks – wymamrotał Chase. – I to nie jestem ja.

Aleks opróżnił pistolet z naboju. Następnie cisnął go na ziemię i zniknął w ślad za uciekającą na północny zachód Pauline.

ROZDZIAŁ 43

Venom szybkim ruchem odkręcił lunetę karabinu wyborowego i umieścił wszystko w futerale. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę w zaułku pojawią się gliniarze. Pewnie w pierwszej kolejności zajmą się rannym kumplem, ale jeśli któryś z nich spojrzy w górę, na ostatnie piętro parkingu, to sprawa może się wymknąć spod kontroli.

To całkiem zabawne. Jeszcze dwa dni temu miałem zabić tego człowieka. A teraz mam go chronić. Szczęściarz z niego – pomyślał.

Zamknął futerał i ruszył w kierunku klatki schodowej. Wynajęte auto na wszelki wypadek zostawił poziom niżej.

Telefon zadzwonił krótko po tym, jak okrył się kołdrą w motelu w Harrisonburgu. Zleceniodawca kazał mu natychmiast wracać do Waszyngtonu i złapać samolot do Atlanty. Na miejscu odwiedził starego znajomego i nabył u niego składany karabin o trudnej do określenia marce, który jednak strzelał wspaniale.

Pozostało mu jedynie namierzyć Galla, co zrobił starym, wypróbowanym sposobem. Wiedział dobrze, że Gall zatrzyma się na noc gdzieś na przedmieściach. W samym mieście było zbyt niebezpiecznie. Wytypował więc wszystkie niewielkie motele na północnych drogach wjazdowych do Atlanty. Było ich dziewięć. Zadzwonił do każdego z nich i obiecał dwieście dolarów w zamian za informację na temat faceta z długą brodą poruszającego się nieznanym samochodem w towarzystwie ślicznej blondynki.

Dwie godziny później zadzwonił menedżer z Chamblee. Venom pojechał tam i zapłacił mu dwie stówki. Potem wypił w barze drinka, siedząc stolik obok Galla. Zaczepił go pod byle pretekstem, zapalili razem papierosa, przez trzy minuty rozmawiając o niczym. Kiedy Aleks wyszedł do kibla, Venom wsunął mu do paczki papierosów małą białą pluskwę. Nie do

zauważenia, jeśli się jej nie szuka. To było łatwe.

Wsiadł do wypożyczonego auta i zjechał trzy poziomy. Na ulicy stały już trzy radiowozy, a dookoła kręcili się ludzie z żółtymi napisami FBI na czarnych kurtkach. Skręcił w przeciwną stronę i zastanawiał się, co jeszcze powinien zrobić. Gall chwilowo był bezpieczny. Ale co dalej? Dawno już znalazł się poza zasięgiem. Venom uznał, że zrobił, co mógł, i spokojnie ruszył do swojego hotelu.

ROZDZIAŁ 44

Zaraz za zakrętem zaułek kończył się ślepą uliczką. Pauline pierwsza dostrzegła duże szklane drzwi i wbiegła do środka. Pędem pokonali długi, zupełnie pusty korytarz, nie budząc niczych podejrzeń, po czym Aleks pchnął kolejne drzwi i znaleźli się w zakładzie fryzjerskim. Gruba kobieta z blond fryzurą à la lata pięćdziesiąte zdawała się nie zauważyć, że wbiegli od zaplecza. Minęli ją śpiesznie.

- Strzyżenie?! - zawołała za nimi, a gdy nie zareagowali, tylko machnęła ręką i wróciła do kartkowania czasopisma.

Wybiegli na Peachtree Street. Przecięli ją, a następnie jeszcze trzy kolejne przecznice. W końcu dotarli do torów kolejowych biegnących do Georgia Dome. Falcons musieli grać jakiś mecz przedsezonowy, bo była sobota, a przejeżdżający pociąg wypełniali kibice z czerwono-czarnymi szalikami i czapczkami.

Pobiegli w przeciwnym kierunku, pod kolejnymi wiaduktami estakady.

- Tam! - krzyknęła Pauline, pokazując zniszczony ceglany budynek.

Nim jednak dotarli do wejścia, musieli minąć starą kolejową obrotnicę. Zrobili z to z najwyższą uwagą. Jeden krok mógł się skończyć zwichnięciem nogi albo czymś jeszcze gorszym. W końcu dopadli wejścia.

Wnętrze było zupełnie zrujnowane i nosiło ślady zamieszkiwania przez okolicznych bezdomnych. Teraz jednak w hali nie było nikogo.

Po drugiej stronie budynku, nieopodal starej aluminiowej bramy, znajdowało się dawne pomieszczenie socjalne. Znaleźli tam zniszczoną kanapę, na której Pauline natychmiast usiadła.

- Do diabła, nie czuję nóg. Gdzie my w ogóle jesteśmy? To chyba stara lokomotywnia.

- Na pewno - potwierdził Aleks. - Tam dalej stoi nawet

lokomotywa.

Spojrzała we wskazanym kierunku. Faktycznie, pięćdziesiąt metrów dalej, pod gruzowiskiem stał stary model EF-4 General Electric. Ogromne stalowe cielsko dawniej było pomarańczowe. Teraz jednak przybrało brunatny kolor brudu przemieszanego z rdzą.

– To, na co patrzysz, to biały kruk – rzekł Aleks.

– Co biały kruk robi w takim miejscu?

– Najwyraźniej zdycha. To jest Little Joe. Byłem święcie przekonany, że w Stanach jeździły tylko w Milwaukee i Chicago. Ten egzemplarz musi mieć prawie pięćdziesiąt lat.

– Kiedyś Little Joe musiał być bardzo przystojny, nie uważasz?

– Kim jest Vessna, Halfield?

Pauline zdawała się nie rozumieć pytania. Odwróciła się w kierunku Aleksa. Jej wzrok wyrażał bezgraniczne zdumienie.

– Jak to kim jest? – zapytała w końcu. – Wiem tyle co ty.

– Nie, Pauline – odparł spokojnie Aleks. – Wiesz znacznie więcej niż ja. Ale wyciągnę z ciebie te informacje, choćbym miał ci urwać głowę i przemielić mózg, żeby się dowiedzieć.

Zapanowała cisza. Na twarzy dziewczyny odmalowało się przerażenie, ale starała się nad nim zapanować.

– Nie wiem, o co ci chodzi...

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Jeśli masz coś do mnie, to wyduś to z siebie! – krzyknęła. – Czego ode mnie chcesz?

Po krótkim krzysie powróciła jej pewność siebie. Poczuła się mocna. Jednak Aleks przejrzał ją na wylot.

– Dobrze, Halfield. – Oparł się o niewysoką betonową podpórę i skrzyżował ręce na piersi. – Moja teza brzmi następująco. Jesteś człowiekiem Vessny. Od samego początku. A twoim głównym zadaniem jest dywersja. Co ty na to?

– Jesteś popieprzony, Aleks – szepnęła Pauline. Adrenalina rozlała jej się po tkankach jak fala tsunami.

– Nie sądzę. Podejrzywałem cię od samego początku. Jesteś inteligentną dziewczyną, Pauline. I mógłby być z ciebie dobry żołnierz. Mógłby, ale nie jest. Od początku popełniasz błędy.

Masę błędów. Zaczęło się jeszcze na *Dekishi*, kiedy wymieniałś imię mojej żony. Podobno znalazłaś panią Gall na liście pasażerów. Ale żona nigdy nie przybrała mojego nazwiska. A na liście figurowała jako Weronika Bird. Potem, kiedy dopadliśmy Nittę w siłowni, zwróciłaś mi uwagę, żebym uważał na główny serwer. Ale skąd wiedziałaś, że on tam jest? Był schowany w zwykłej metalowej szafie, Pauline. Czyżbyś się uczyła schematu *Dekishi*? Po co? Ano po to, żeby ją zatopić. Byłaś w porcie odpowiednio szybko, by załatwić podmianę skanera. Wykorzystałaś do tego nieszczęsnego Nittę. Ale kiedy akcja nie wypaliła, dostałaś inny rozkaz. Zatopić łajbę. Żeby to zrobić, musiałaś się włamać do komputera. To dla ciebie pestka. W końcu jesteś specjalistką od elektroniki. Zainicjowałaś alarm, a gdy wszyscy wybiegliśmy na pokład, zeszłaś do ładowni, zastrzeliłaś Grossa i wysadziłaś służę. Mam rację? To nie Japończycy do nas strzelali. Spotkaliśmy się w korytarzu biegnącym do ładowni, pamiętasz? Mówiłaś, że szukałaś Grossa. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że doświadczeni marynarze, niektórzy z przeszłością w wojsku, uciekali ze statku w samych gaciach, a ty jedna zdążyłaś włożyć kompletny kombinezon ratunkowy, chociaż twoja kajuta znajdowała się po drugiej stronie statku.

Pauline się roześmiała.

– Czy ty siebie słyszysz, Gall? – zapytała. – Starasz się być jak Sherlock Holmes, ale wypada to raczej śmiesznie.

– Spieprzyłaś to. Nie spodziewałaś się, że ta łajba tak szybko wyłoży się na burzę, co? Mogłaś zginąć.

Już mu nie przerywała. Obserwowała, a on dostrzegł w jej oczach dzikość.

– Ale pewności nabrałem przed chwilą – kontynuował Aleks. – Tuż przed śmiercią Depree powiedział, że ma złamany nos. Tyle że z jego nosem wszystko było w porządku. Po prostu miał na myśli część samolotu, którą zabrał ze statku. Zidentyfikował ją. To fragment poszycia nosa. Sądząc po miękkości materiału, pokrywa radaru pogodowego. Dlatego była uszkodzona od wewnątrz i z zewnątrz. Spłaszczona od uderzenia i wypukła od

ciśnienia. Wiesz, co to oznacza? Że na tym elemencie nie mogło być śladów materiałów wybuchowych. Bombę umieszcza się w luku bagażowym lub przedziale pasażerskim. Pokrywa radaru pogodowego znajduje się za daleko i odgradzona jest zbyt wieloma elementami konstrukcyjnymi, by po takim wybuchu pozostały na niej jakiegokolwiek chemikalia. Z kolei, gdyby z jakiegoś powodu ktoś wpadł na idiotyczny pomysł, by umieścić bombę pod kopułą, to eksplozja rozerwałaby ją na strzępy i w życiu byśmy jej nie odzyskali. Tymczasem znajdowała się na miejscu. Odpadła od samolotu dopiero przy uderzeniu w wodę. Wydaje mi się, że właśnie dlatego zabiłaś Depree. Wiedziałaś, że na pewno zrobił testy spektrometrem. Gdybym go zapytał o ślady materiałów wybuchowych, z pewnością zaprzeczyłby ich istnieniu. Po co ta szopka, Pauline? Po co miałem wierzyć w materiały wybuchowe?

– Ty mi powiedz. – Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Nie wiem tego. Jak zabiłaś Depree, Halfield? Czyżbyś była zawodowym zabójcą? Nie da się w taki sposób wbić człowiekowi noża, żeby nie zauważył, kto wbija.

– I zauważył. – Pauline w końcu się poddała. – Ale Depree miał dzieci. A ja zapewniłam go, że jeśli ci cokolwiek powie, to one zginą. Oszukał mnie, ale jeśli cię to pocieszy, nie mam zamiaru spełniać swojej groźby.

– Jak długo dla niej pracujesz?

– W ogóle dla niej nie pracuję.

– Nie kłam.

– Nie kłamię. Pamiętasz, co ci mówiłam o moim ojcu? Że umarł na zawał. No więc kłamałam. Tak naprawdę to go zabiłam. Nie wytrzymałam, gdy kolejny raz stłukł do nieprzytomności matkę. Ojca w miasteczku nienawidzili. Do tego stopnia, że szeryf pomógł nam zatuszować morderstwo, a lekarz sfalszował akt zgonu. Nie wiem, skąd Vessna się o tym dowiedziała. Ale tamtego poranka, gdy lecieliśmy do Japonii, wezwałam taksówkę. Po chwili dostałam informację, że auto już czeka. Ale to nie była taksówka. To była Vessna. Złożyła mi propozycję nie do odrzucenia.

Błyskawicznym ruchem wyciągnęła z torebki sig-sauera odebranego wcześniej Carterowi i wymierzyła prosto w twarz Aleksa. Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła.

– Możesz to jeszcze odkręcić, Pauline.

– Nie. Nie mogę. Jest już za późno. Zresztą wyznam ci coś. Zabicie ojca sprawiło mi prawdziwą frajdę. A potem, kiedy zastrzeliłam Grossa, poczułam to samo. Ja to chyba lubię, Aleks. Lubię zabijać.

– Mnie nie możesz zabić. Nie możesz zrobić niczego, czego nie rozkazała ci Vessna.

Gall powiedział to z takim spokojem, że Pauline poczuła, jak ciarki pełzną jej po plecach.

– Nigdy się nie boisz, co? – zapytała. – Ale nie dostrzegasz jednego oczywistego faktu. Vessna wydała na mnie wyrok. Spieprzyłam sprawę z rejestratorami i stałam się niepotrzebna. Strzelali do mnie, kurwa mać. Chcieli mnie zabić tam, na drodze. Kiedy im się nie udało, Vessna dała mi jeszcze jedną szansę. Ale na farmie Leo znowu do mnie strzelali. Zabiją mnie przy pierwszej okazji.

– Więc po co to robisz?

– Bo chcę żyć. Vessnie z jakiegoś powodu zależy na rejestratorach. Mimo że wcześniej chciała, żeby ich nigdy nie odnaleziono. Coś się zmieniło. Ona coś kombinuje. Ponegocuję z nią. Rejestratory w zamian za życie.

– Rejestratory spłonęły... – Urwał. – Ty mała zmij. Ukradłaś je.

– Owszem, ukradłam. – Wybuchnęła śmiechem.

– Przez ciebie zginęła Leo.

– Przykro mi. Polubiłam ją. Tyle że ja i Carter nie gramy w jednej drużynie. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Leo.

– Oni i tak cię zabiją, Pauline. Za dużo wiesz, a za mało możesz zaoferować. Oddasz im dyski i zginiesz.

– Nie martw się o mnie. Oddam im dyski i nigdy mnie już nie zobaczą. Zapadnę się pod ziemię, a im nie będzie się chciało szukać.

Zapadło milczenie. Aleks dostrzegł, że dziewczyna się waha. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić.

– Nie możesz mnie zabić, Pauline – powtórzył, unosząc powoli rękę. – Nie możesz strzelić. Nie rób tego.

– Wybacz mi. Naprawdę żałuję. Akurat ciebie nie chciałam zabijać – oznajmiła wyrwana z chwilowej niemocy Pauline. Po czym nacisnęła spust.

Huk wystrzału przetoczył się po całej hali. Przysypiające na powale wrony poderwały się do lotu. Umieszczone wysoko nad ziemią stare, ogromne okna zadrżały. Little Joe oglądał tę scenę zmęczonymi elektrycznymi ślepiami. W tej hali, pod tonami gruzu dokonał żywota. Nie był jednak jedynym, który postradał tu życie.

Aleks podszedł do leżącej na ziemi Pauline. Jej ciało drgało w konwulsjach. Całkiem ładna do niedawna twarz zniknęła. Teraz widział tylko poszarpane mięśnie i połamaną zuchwę. Kość szczękowa była porozrywana na drobne fragmenty, a kość jarzmowa lewego policzka przestała istnieć. Wokół leżącej dziewczyny wciąż powiększała się plama krwi. Ale Pauline jeszcze żyła. Wpatrywała się w niego przymrużonym okiem. Lewym. Prawego już nie miała.

– Tak jak mówiłem, Pauline – powiedział Aleks, pochylając się nad nią – jesteś mało doświadczonym żołnierzem. Doświadczony żołnierz zawsze przed misją sprawdza broń. Zwłaszcza kiedy ktoś majstruje w jej pobliżu. Kiedy szukałem komórki w twojej torebce dziś rano, zatkałem ci wylot lufy większym nabojem. Czułem, że nie powinnaś mieć sprawnej broni w ręku. Powiedzieli ci, że jestem inżynierem. Ale nie wspomnieli, że inżynierem jednostek specjalnych. Moje zadania polegały głównie na naprawianiu i psuciu różnego rodzaju sprzętu w warunkach bojowych. I z całym szacunkiem, ale nigdy nie byłaś mi w stanie zagrozić. Od początku kontroluję sytuację. Wiem, wiem. Jestem zarozumiałym dupkiem.

Dziewczyna drgnęła. Aleks patrzył na nią spokojnie.

Pomieszczenie ponownie wypełniło się hukiem. Gall odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć rozpadającą się na kawałki aluminiową bramę, przez którą z mocą trzystu dziesięciu koni mechanicznych przebijał się właśnie potężny czarny ram

z ośmioma wielkimi halogenami i trupią główką na zderzaku.

Auto podjechało bliżej, nie zwalniając ani na moment. Dopiero gdy było już bardzo blisko, kierowca gwałtownie wcisnął hamulec. ABS uniemożliwił zablokowanie kół, ale na linoleum i tak pojawiło się sześć wyraźnych śladów po oponach. Dwa po przednich i cztery po zainstalowanych z tyłu bliźniakach.

Drzwi otworzyły się i z wielkiego auta wyskoczył niewysoki mężczyzna, trzymający w rękach samopowtarzalnego remingtona 11-87. Szybkim krokiem zbliżył się do Galla. Nim jednak do niego dotarł, wypalił ze strzelby do dogorywającej Pauline. Jeżeli wcześniej dziewczyna nie miała twarzy, to teraz nie miała już całej głowy.

Mężczyzna w milczeniu spojrzął na Aleksa. Ruchem głowy wskazał mu auto.

– Wsiadaj – rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

ROZDZIAŁ 45

Harvey Bird delikatnie uniósł szafirową igłę gramofonu. Przyglądał się jej krótką chwilę, jakby chciał ją zaostrzyć wzrokiem. To się mogło udać, bo spojrzenie miał harde i bezczelne. Całe życie taki był.

W końcu jednak delikatnie opuścił igłę, a ta zagłębiła się w starym, spracowanym już rowku czarnej winylowej płyty.

Kiedy trzy lata temu Bird przeniósł się ze swojej willi w Woodland do apartamentu przy Thomas Circle Park, zabrał ze sobą jedynie stary adapter. Pewnie, mógłby kupić nowy. Właściwie to mógłby kupić całą fabrykę, ale nie o to chodzi. Bird do swej pasji dorobił banalnie prostą ideologię. Jestem stary, to słucham starej muzyki, ze starych płyt i na starych gramofonach. Dziwnym trafem zasada ta nie dotyczyła głośników, wobec czego do eleganckiego szwajcarskiego revoxa z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku podłączony był przez wzmacniacz zestaw głośników Living Voice, za który Bird zapłacił prawie pół miliona dolarów. Audiofilia to bardzo drogie hobby.

Igła przesunęła się po rowku i zawibrowała. W głośnikach zatrzeszczało cicho, a potem zagrały pierwsze dźwięki *Concerto en Mi Mineur* Preisnera. Bird uwielbiał europejskich kompozytorów. Zwłaszcza tych z za dawnej żelaznej kurtyny. Cenionych w Europie, w Stanach znacznie mniej popularnych. Ale musiał się dopiero dorobić zięcia Polaka, żeby odkryć Preisnera.

Słuchając *Concerto en Mi Mineur*, uspokajał się, co samo w sobie dla niejednego psychiatry stanowiłoby poważną przesłankę, by zamknąć go w zakładzie dla obłąkanych. Niepokojące dźwięki rozplynęły się po apartamencie. Kolekcja kryształowych kieliszków do wódki zadrgała lekko, gdy Elżbieta Towarnicka rozpoczęła swą poruszającą, pełną grozy sopranową partię z Boskiej Komedii Dantego. Bird znał ją na pamięć.

Muzyki słuchał wyłącznie głośno. Tym razem również podkreślił potencjometr. Usiadł w swoim fotelu i oddał się Preisnerowi. W kulminacyjnym punkcie, gdy fortepian się rozpędzał, a Towarnicka przeskoczyła w najwyższe rejony skali wokalne, jakiś obcy dźwięk zakłócił doznania Birda. Harvey przyciszył muzykę. Teraz wyraźnie usłyszał dzwonek do drzwi.

Niezadowolony podniósł się z fotela i odryglował zamek. W drzwiach stał Florence Osgood. Wspomnienie z przeszłości. Człowiek, którego Bird widział po raz ostatni prawie dwadzieścia pięć lat temu. Jego dawny przyjaciel z oddziału.

Mimo upływających lat poznał go natychmiast. Osgood był bardzo stary. Choć dobre dziesięć lat młodszy od Birda, to wyglądał, jakby był już po wstępnych negocjacjach ze śmiercią. Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią się dobrze zestarzeć.

Bird zaproponował coś do picia. Osgood uśmiechnął się jedynie i poprosił o wodę. Rozmawiali kilka chwil o tym i o tamtym. Na ile im pamięć pozwalała, wspominali stare czasy.

– No dobrze, Flo. Co tak właściwie cię do mnie sprowadza? – zapytał w końcu Bird.

– Prośba.

Przez chwilę apartament wypełniała jedynie cicha muzyka. Potem jednak Osgood przeszedł do rzeczy.

– Ktoś się rozpruł, Harvey. Mieliśmy to zachować w tajemnicy.

Bird milczał.

– A jednak ktoś puścił farbę. I to po tylu latach. Dlaczego?

Bird milczał.

– To ty ich zabijasz, Harv. Naszych towarzyszy. Znam cię dobrze. To nie jest zemsta. Po prostu z jakiegoś powodu musisz się pozbyć wszystkich świadków. W sumie nie dziwię ci się. Z twoją pozycją... W każdym razie przyszedłem, żeby ułatwić ci zadanie.

Osgood wyjął z kieszeni stary pistolet Desert Eagle. Prawdopodobnie od lat nieużywany, ale bardzo zadbany. Położył broń na stoliku.

Bird milczał. Ale wyraźnie czuł, jak jego serce przyspiesza. Krew nieznośnie szumiała mu w żyłach.

– Przyszedłem, byś mnie zastrzelił, Harv – kontynuował

spokojnie Osgood. – Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Wiele razy ratowałeś mi życie.

– A ty mnie, Flo.

– Ratowałeś mi życie, teraz możesz mnie zastrzelić. Zrzucić na mnie winę. Powiesz, że przyszedłem tu i chciałem cię zabić. Możesz się jeszcze z tego wykręcić, Harv.

– Nic nie rozumiesz. Naprawdę ci wydaje, że chodzi tylko o usuwanie świadków? W tym jest coś więcej, przyjacielu. Dużo więcej. Od dziesiątek lat nienawidzę siebie za to, co zrobiłem.

– Co wszyscy zrobiliśmy, Harv. Jeśli więc wolisz, niech to nie będzie zemsta, tylko kara. Zasłużyłem na nią...

– To ja na nią zasłużyłem. Całe moje życie to kłamstwa i strach. Strach, że ktoś się dowie, jak podłym jestem skurwysynem. Ale są chwile, że chciałbym, by to się wydało. Patrzą na siebie jak na obcego człowieka. Znienawidzonego, obcego człowieka, który zasługuje na wszystko, co najgorsze.

– Nie potrafię zrozumieć twoich motywacji, przyjacielu.

– Zabierz tę pukawkę i idź do domu.

– I co potem, Harv? Mam tam czekać, aż do mnie przyjdiesz? Myślisz, że takie czekanie to prawdziwe życie? Gówno, nie życie.

Bird milczał.

– Jestem chory – rzekł w końcu Osgood. – Rak okrężnicy. W przyszłym tygodniu czeka mnie operacja, po której do końca życia będę chodził z plastikowym woreczkiem na gówno. Do końca gównianego i krótkiego życia. Pewnie rozumiesz, co to znaczy dla człowieka tak dumnego jak ja. Chciałbym umrzeć od kuli. Możesz to dla mnie zrobić? Wiem, że moja śmierć ci się przysłuży.

Gówno się przysłuży – pomyślał Bird. Prócz Osgooda na liście figuruje jeszcze siedem nazwisk. Dzieło musi trwać. Po prawdzie, to zabijając Osgooda teraz, u siebie w domu, przysporzyłby sobie więcej kłopotów, niż odniósłby korzyści. Z drugiej strony zyskałby trochę czasu.

Bird odegnał od siebie te myśli. Szanował Osgooda. Skoro jego stary towarzysz umiera na nieuleczalną chorobę, to po co go zabijać? Wystarczy poczekać. Po prostu poczekać.

– Zabierz pistolet, Flo. Nie zabiję cię. Nie w taki sposób.

– To ja cię zdradziłem, Harv.

Bird zamilkł. Osgood ściągnął okulary i przetarł je wyciągniętą z kieszeni starej marynarki szmatką.

– Przyszli do mnie. Kiedy to było, Harv? Nie pamiętam. Cztery czy pięć lat temu? Moja córka właśnie urodziła dziecko. Bardzo późno. Ona ma już czterdzieści lat. Dziecko przyszło na świat nie takie, jak oczekiwaliśmy. Urodziło się z poważnym niedokrwieniem mózgu. Ordynator powiedział, że operacja będzie kosztować dwieście tysięcy dolarów, bo jest tylko jeden chirurg naczyniowy, który jej się podejmie. Wtedy dowiedziałem się również, że moja córka od lat nie jest ubezpieczona. Wyobrażasz to sobie? Przyszli do mnie w nocy, kiedy siedziałem w szpitalu. Oznajmili, że wiedzą o wszystkim. Było ich dwoje. Ona i on. On podał mi walizkę pełną pieniędzy. Od ręki. Wyjaśnił, że jest moja, jeśli dam im coś na ciebie. Zgodziłem się natychmiast, Harv.

Bird milczał.

– Nie chcę się usprawiedliwiać. Nie jestem z tego dumny. Nawet przez sekundę nie pomyślałem o tym, że mogę ci zaszkodzić. Dlatego proszę cię. Weź ten pistolet i odstrzel mi łeb.

– Nie zrobię tego, Flo – odparł Bird. – Twoja śmierć nie jest mi potrzebna. Nie teraz. Poczekam, aż umrzesz. A zapewne nastąpi to szybko. Nowotwór i poczucie winy to porażająca kombinacja.

– Jeśli mnie nie zastrzelisz, powiem wszystkim, Harv. Powiem im, kto zabija naszych towarzyszy.

– Nie powiesz. Idź już, proszę.

Florence nałożył okulary na nos. Sięgnął po desert eagle'a. Po czym niespodziewanie pociągnął za spust.

Bird krzyknął i upadł ze strzaskaną nogą.

– Wybacz mi, Harv. Ale ja podjąłem już swoją decyzję. Albo mnie zastrzelisz, albo ja zastrzelę ciebie. Rozumiesz?

Strzelił jeszcze raz. Druga kula rozorała udo Birda. Osgood rzucił w jego kierunku pistolet, a z kieszeni wyciągnął drugi. Identyczny. Wymierzył w kierunku dawnego kompana.

Bird chwycił leżącą na posadzce broń i bez zastanowienia

wypalił Osgoodowi między oczy. Starzec bezwładnie zwał się na podłogę.

Harvey nie bał się śmierci. Ale nie skończył jeszcze swojej roboty. Dopóki jej nie skończy, nie może umrzeć.

Wystukał numer do Tyne'a.

– Właśnie zostałem postrzelony we własnym domu – rzucił do słuchawki, kiedy kongresman odebrał połączenie. – I zabiłem napastnika. Ktoś musi to posprzątać.

– Jesteś pewny, że nikt nie wezwał policji? – zapytał Tyne.

– Nikt.

– W takim razie wysyłam ekipę. Nie ruszaj się z miejsca.

ROZDZIAŁ 46

Aleks skierował kroki w kierunku rama. Niewielki mężczyzna spojrzął w stronę zwłok Pauline.

– Jak długo chciałeś się nad nią jeszcze znęcać, ty pieprzony sadysto?

Gall przypomniał sobie o dyskach. Przeszukał torebkę Halfield. Nie znalazł ich. Raczej nie blefowała. Musiała je gdzieś ukryć. Pewnie w motelu.

– Od kiedy zrobiłeś się taki empatyczny, co? – zapytał ze śmiechem.

– Odkryłem Boga.

– Pieprzysz, Baldur. Tacy jak my nie wierzą w Boga.

– Ale ja odkryłem innego. A raczej wielu. Wracam do swoich nordyckich korzeni.

– Wierzysz w Odyna?

– Jasne. I Thora. A teraz ruszaj się, bo nie mamy czasu.

Gall wszedł do samochodu. Baldur wskoczył za kierownicę. Czarny ram ślizgał się chwilę na starym linoleum, po czym ruszył do przodu. Wyprysnął przez tę samą bramę, którą wpadł do środka, rozrzucając dookoła fragmenty aluminium. Przecięli w poprzek niewielki parking i znaleźli się na Spring Street. Baldur nieco zwolnił. Jechali teraz z miejską prędkością, kierując się na południe.

– Wiem, że na to czekasz, ty zadufany w sobie dupku – rzekł z uśmiechem Aleks – więc teraz się tłumacz.

– Ja zadufany w sobie? – oburzył się mały Farer. – To kalumnia! Po prostu uważam, że powinienes wiedzieć, ile poświęciłem, by otoczyć cię dyskretną opieką.

– Ładna mi opieka. Blondynka mogła mi odstrzelić łeb.

– Nie mogła – przerwał mu Baldur. – W nocy zainstalowałem ci w pokoju małą kamerkę z mikrofonem. Widziałem, jak zapychasz lufę. Swoją drogą, pała z ciebie. Ona miała naprawdę fajne cycki.

Ze strony Chase'a nie groziło ci niebezpieczeństwo. Najwyżej musiałbym cię znowu odbijać.

- Tego mógłbym nie przeżyć.

- Dramatyzujesz. Nie było tak źle.

- A tam na drodze? A u Leo? Starzejesz się, bracie. Od kiedy w ogóle za mną jedziesz?

- Od momentu gdy wysiadłeś z samolotu na Dullesie. Nasz przyjaciel z Iwo Jimy dał cynk, kiedy ruszałeś.

- Co z nim?

- Wszystko w porządku. Już go tam nie ma. Co do tej sytuacji na drodze... - Zamilkł na moment, zbierając myśli. Był poruszony. Jak zawsze. Strasznie uczuciowy był z niego sukinsyn. - No więc jechałem za wami, ale w tej mgle nie zauważyłem, jak skręciliście w boczną drogę. Wpadłem w lekką panikę. Gdy was w końcu znalazłem, było już po wszystkim. Ale nie zobaczyłem twojego ciała, więc uznałem, że musiałeś zejść do kanału, spryciarzu. Wezwałem psy, i tyle. A u Leo... No chyba nie myślisz, że to ona rozwalila ich wszystkich.

- Nie - przyznał Aleks. - Widziałem twojego rama. Rozumiem, że w moim bezpiecznym telefonie jest pluskwa?

- Chyba kpisz. Pluskwy są niemodne od lat. Twój telefon ma zaawansowane, autorskie oprogramowanie namierzające.

- Ty to potrafisz przyczepić się do dupy.

- Jasne, człowieku. Znasz mnie przecież.

Baldur Eysturvind. Najbardziej niepozorny facet świata. Jeszcze kilka lat temu on i Gall służyli razem w niewielkim oddziale do zadań specjalnych AQIR. Zapewne najtajniejszym oddziale amerykańskiej armii, ponieważ przewidzianym do działania w czasach pokoju. Co oczywiście nie oznaczało, że nikt do nich nie strzelał. Paradoksalnie w czasach pokoju łatwiej było dostać kulkę niż na wojnie. Baldur był tam specjalistą od elektroniki, a Gall od maszyn. W zależności od zadań postawionych na briefingu naprawiali lub niszczyli wszystko, co wpadło im w ręce.

- Dobra, Aleks - rzekł w końcu Baldur. - Ja o nic nie pytam. Jak zwykle. Ale poszperałem nieco. I będziesz mi musiał to i owo wyjaśnić.

Opowiedział mu prawie wszystko. Gdy mówił, zjechali na autostradę, w kierunku zachodnim, a teraz dotarli do skrzyżowania z kolejną. Baldur ponownie odbił na południe. Aleks zastanawiał się, dokąd ten pomyłony Farer go wiezie. Ten jednak miał za dużo do powiedzenia, by skupiać się na nieistotnych szczegółach.

– Mam dla ciebie pewną niespodziankę – rzucił. – W schowku jest iPad. Wyjmij go. Znajdziesz na nim listę pasażerów i załogi. Już ją upubliczniono.

– Skoro ją upubliczniono, to co to za niespodzianka?

– Oj, nie uprzedzaj faktów, dobra? Spójrz na pilotów lotu 1111. Nazwiska.

– Kapitan Hayao Abe i pierwszy oficer Haruki Utada. Powinno mi to coś mówić?

– Nie.

– Zaraz ci lutnę, przysięgam. Skończ ten teatr.

– Dobra, dobra. Miałem trochę czasu, więc sprawdziłem pilotów. Ci, co lecieli z Tokio, nie wzbudzają podejrzeń. Kapitan Akira Hikoshi. Człowiek instytucja. Właściwie japoński bohater narodowy. Pierwszy oficer Kenji Fuku. Młody, ale uchodzący za wielki talent. Z lotniczej rodziny. Kartoteka w porządku. Słowem, nic niezwykłego. Ale kiedy przeszedłem do pilotów samolotu z Sydney do Tokio, to zrobiło się ciekawiej. Kapitan Hayao Abe i pierwszy oficer Haruki Utada. Tyle o nich wiadomo. Ich akta utajniono. A raczej skasowano. Nie ma ich w żadnej bazie danych. Zapewne istnieją tylko na papierze.

– To dziwne.

– No właśnie. To samo sobie pomyślałem. I przez moment przeszło mi przez myśl, że to nie są prawdziwe nazwiska. Bo akta aktami, ale na pewno coś bym o nich znalazł. Cokolwiek. Przeszperałem wszystko, co się dało. Banki, ubezpieczalnie, media społecznościowe. Nigdzie nie znalazłem żadnej informacji na ich temat. Takie rzeczy się nie zdarzają. Zajrzałem głębiej w dokumenty Nippon Air i wiesz co? Dotarłem do grafiku. Okazało się, że tę maszynę miała prowadzić zupełnie inna załoga. Miała, ale się nie stawiła. Nasze gagatki poleciały, bo akurat były

w Sydney. I pomyślałam: O nie, Baldurze Eysturvind, takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Ktoś z ciebie robi wała.

– Brawo, brawo! – Aleks wykonał gest, jakby klaskał w filharmonii. A Baldur, choć doskonale wiedział, że stary przyjaciel z niego drwi, rozpromienił się, jakby właśnie dostał numer telefonu najfajniejszej dziewczyny w klubie. – To wszystko pasuje do mojej teorii o wybuchu w samolocie lecącym wyżej – ciągnął Aleks. – Ale czy powinniśmy zakładać samobójstwo pilotów?

– Ha! No właśnie! Świetnie, że o tym wspomniałeś, bo dzięki temu będę mógł się teraz pochwalić swoją zajebistością.

Aleks przewrócił oczami.

– Zrobiłem założenie, że jeśli piloci doprowadzili do katastrofy, to warto by się dowiedzieć, co robili w noc poprzedzającą lot. Ponoć byli w Sydney, ale oczywiście nie namierzyłem ich w żadnym z hoteli. W Sheratonie, owszem, była rezerwacja, ale dla tego składu, który miał lecieć pierwotnie. Nigdy się tam nie zjawili. Uznałem więc, że nasi piloci zameldowali się pod innymi nazwiskami. Ale w porządnym hotelu nie da się tego zrobić, nie okazując dokumentów. A bardzo wątpię, by przygotowano im dwie fałszywe tożsamości. Za dużo z tym zachodu. Więc pozostało mi zrobić tylko jedno. Wiesz co?

– Ani trochę.

– Pokoje na godziny, Aleks. W Sydney, podobnie jak w każdym większym mieście, znajdziesz całą masę podrzędnych motelików. Wiadomo, do czego zwykle służą pokoje na godziny. I wiadomo, że jak zapraszasz do takiego pokoju dziewczynę, to nie masz najmniejszej ochoty wylegitymować się w recepcji. W większości tego typu przybytków wystarczy podać nazwisko. I nikt nie wnika, czy jest prawdziwe, czy nie.

– Autopsja?

– Cóż. Różne rzeczy się robiło w życiu.

– I co dalej?

– Wytypowałem sześć takich obiektów. Zrobiłem założenie, że muszą być jak najbliżej lotniska. Postanowiłem zadzwonić do wszystkich i zapytać, czy nie pojawiło się u nich dwóch facetów

wyglądających na pilotów. Wiesz, w motelach oferujących pokoje na godziny takie rzeczy zwykle wzbudzają ciekawość. Dwóch facetów, piloci, te sprawy. Trafiłem za pierwszym razem. Wynajęli dwa pokoje w Kiss And Fly, w dzielnicy Botany. Swoją drogą, co za nazwa.

– I obsługa powiedziała ci o tym tak po prostu?

– Jasne. Zrobiłem im szybki przelew na pięćset dolców. Wisisz mi.

– Tylko o ile będzie to coś warte. A ty gadasz i gadasz.

– Już przechodzę do najważniejszego. Poprosiłem obsługę, by podała mi nazwiska, pod którymi ci dwaj się zameldowali. I teraz uwaga, bomba. Tadashi Nakajima i Rikihei Inoguchi. Ta-daaam.

– Powinno mi to coś mówić?

– No raczej. – Baldur spojrział na przyjaciela w taki sposób, jakby ten odpadł z *Milionerów* na pytaniu w rodzaju: Kto wyreżyserował *Czas apokalipsy*, słynny film wojenny z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku? A) Coppola, B) Kanye West, C) Bruce Willis, D) ktoś tam jeszcze inny, ale równie bezsensowny, jak pozostali.

– Będziesz musiał jakoś przeżyć to rozczarowanie.

– Dobra. Oto wskazówka. Hurricane na Okinawie.

Aleks zrobił wielkie oczy. Sześć lat temu w lesie na Okinawie odkryto wrak hawкера hurricane'a z drugiej wojny światowej. Samolot wprost z Wielkiej Brytanii porwał japoński szpieg, który dzięki temu uratował się przed rozstrzelaniem. Po wielu perypetiach związanych z koniecznością dotankowywania maszyny w Związku Radzieckim udało mu się w końcu wlecieć w japońską strefę powietrzną, ale tam trwała już wojna. Dla własnego bezpieczeństwa poleciał nad oceanem i zbłądził z powodu złej pogody. Wszelki śluch po nim zaginął. Aż w końcu wiele lat później maszynę odnaleziono na Okinawie. Była lekko uszkodzona, najwyraźniej nieszczęsny lotnik przeprowadził całkiem udane awaryjne lądowanie.

Po odnalezieniu wraku wybuchła potężna awantura. Brytyjczycy żądali zwrócenia ich własności, ale Japończycy odmówili. Do gry włączyli się Amerykanie, którzy uznali, że za

samolotem kryje się jakaś interesująca tajemnica i warto sprawdzić jaka. Na Okinawę wysłano oddział AQIR, który w brawurowej akcji ukradł maszynę. W całości. To było coś. Okazało się potem, że zawierała ona tajne plany operacyjne podpisane przez samego Churchilla. Dotyczyły umowy ze Stanami Zjednoczonymi o podjęciu działań zmierzających do zduszenia potęgi japońskich kamikadze.

– Kamikadze...

– Bingo. Tadashi Nakajima i Rikihei Inoguchi. Nasi piloci przyjęli nazwiska twórców kamikadze.

– Baldur, gdzie ty mnie, do diabła, wiesz?

Mały Farer uśmiechnął się zagadkowo. Chciał nieco podtrzymać napięcie, ale mina Aleksa skutecznie go do tego zniechęciła. Zamiast kierować się na międzystanową, wciąż jechali na południe.

– Lecimy, drogi przyjacielu, do Japonii.

– O, świetnie. Dawno tam nie byłem. Rozumiem, że odkryłeś coś jeszcze.

– A jakże.

– Czyli?

– Zdradzę ci, ale najpierw musisz powiedzieć: Baldur, jesteś najlepszym tropicielem i mistrzem przenikliwości.

– Niech będzie. Jesteś.

– O nie, nie, nie. Pełnym zdaniem, kolego.

– Działasz mi na nerwy, panie najlepszy tropicielu i mistrzu przenikliwości.

– Akurat. Ty i nerwy. – Wybuchnął śmiechem. – Poszperałem trochę i nigdy nie zgadniesz, co znalazłem. No wiesz, chodzi mi o tych kamikadze. Zastanawiałem się, czy jest szansa, że oni nadal działają. Zeszli do podziemia czy coś. No i wyobraź sobie, że na pewnej małej japońskiej wyspie znajduje się ośrodek, którego oficjalna nazwa brzmi Szkoła Wiatru.

– Myślisz, że tam szkołą kamikadze?

– Owszem, przyszło mi to do głowy. W końcu kamikadze to „boski wiatr”. A teraz wierzę w to jeszcze bardziej. Pasuje do tego, co powiedziałeś o zamachu.

– Tylko jaka w tym wszystkim jest rola Sługi? Po co nam go wkręcali?

– Klasyczna zmyłka.

– No nie wiem. To wszystko było zupełnie nieprzygotowane. Miało przebiegać inaczej. Do wypadku powinno dojść gdzie indziej. Tak mi się wydaje. Chodziło im o Tokio. O tysiące ofiar. Tam by zapewne bez problemu przejęli rejestratory. Może o to chodzi? Może chcieli je do czegoś wykorzystać? Sfałszować zapis i wysłać w świat komunikat? Ale rejestratory przepadły, więc trzeba było improwizować. Wiedzieli, że nawet jeśli je wyłowimy, to im raczej nie oddamy. Myślę, że od samego początku chcieli zwalić winę za to wszystko na Sługę.

– Tylko po co?

– Trzeba jeszcze raz przejrzeć listę pasażerów. Może po prostu zamierzali kogoś się pozbyć.

– Za dużo zachodu i za wysokie koszty. To nie ma sensu, Aleks.

– Wiem. Ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Mnie też nie. Ale spokojnie. Dojdziemy do tego. Niech Odyn, bóg wojny, prowadzi nas przez życie.

– I niech ci pomoże znaleźć jakieś miejsce do zaparkowania. Strasznie tu tłoczno.

Byli na miejscu.

ROZDZIAŁ 47

Honoré Bonaparte był z tych Bonapartów, ale ci Bonapartowie od lat mieszkali już w Ameryce, a o ich świetności od dawna nikt nie pamiętał. Pochodził z wygasłej jakoby amerykańskiej gałęzi, zapoczątkowanej przez Hieronima, dawnego króla Westfalii, jednego z dwanaściorga rodzeństwa samego cesarza Napoleona I. Hieronim poznał w Baltimore Elżbietę, z którą złapał tak dobry kontakt, że w wyniku długich nocnych rozmów o życiu na świecie pojawił się mały Hieronimek. Ten z kolei spłodził Hieronima Napoleona, a ten Charlesa Josepha. Charles Joseph bardziej niż żonę kochał swoją pracę. Dlatego choć stworzył FBI, potomka się nie doczekał.

Tyle oficjalnie. Ale że szlachetnie urodzonym nikt do łóżka nie zaglądał, równolegle rozwijała się jeszcze jedna gałąź Bonapartów. I choć większość jej członków miała czarną skórę, to na amerykańskiej ziemi czuli się doskonale.

Choć może akurat nie w tej chwili. Honoré raz jeszcze spojrzał na wibrujący telefon z migającym napisem James Cameron. Zwrócił wzrok na mężczyznę, który trzymał mu pistolet przy głowie, a ten, świdrując go spojrzeniem, przyzwalał na skinął głową.

Bonaparte westchnął i odebrał połączenie.

– Och witaj, James – zaświergotał do słuchawki. – Nie, wszystko w porządku. Nie, jestem trochę przeziębiony, to wszystko. Tak, zaraz się położę. Tak? – Słuchał przez chwilę, choć rejestrował co piąte słowo. – Co ty mówisz? Ale jak to Titanic 2? Aha, grupa badawcza. No, brzmi ciekawie. Słuchaj, nie mogę teraz za bardzo rozmawiać, ale jestem zainteresowany. Zadzwoń jutro, zgoda? Uściskaj Suzy.

Odłożył telefon. Z kieszeni marynarki wyjął jedwabną chusteczkę i otarł pot z czoła.

– Wyłącz telefon – warknął Carter. – Denerwuje mnie, że ciągle

dzwoni.

– Proszę pana – powiedział Honoré, siłąc się na odrobinę odwagi. – Dzwonią do mnie najwięksi reżyserzy świata. Telefonów od nich nie można sobie ot tak nie odebrać. Pan wie, jakie pieniądze oni oferują?

– To naprawdę był Cameron? – zapytał ten z czarną bródką, który stał przy oknie. Co chwilę wyglądał na zewnątrz, jakby się bał, że nawet na ostatnim, piętnastym piętrze apartamentowca przy John Wesley Dobbs Avenue nie są zupełnie bezpieczni. Prócz niego przy oknie stał jeszcze tęgawy rudzielec. A w pozostałych częściach niewielkiego mieszkania kryło się trzech innych. Nie licząc Cartera. Wszyscy byli uzbrojeni.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał płacząco Honoré, siadając na krześle.

– Niczym się nie przejmuj – odparł Carter, podchodząc do niego i klepiąc go przyjaźnie po policzku. – Przechodziliśmy tylko. Zmęczyliśmy się. No, chyba pozwolisz nam odsapnąć?

– No... Tak. Oczywiście. Ale ta broń...

– Morda w kubeł.

Bonaparte nic już nie odpowiedział. Gdzieś pod sufitem, w niewielkich głośnikach wiolonczele podprowadzały właśnie motyw przewodni piątej symfonii Czajkowskiego. Za chwilę fagot i klarnet przejęły partyturę we władanie, a potem dołączyły do nich flety i oboje, a w końcu skrzypce i altówki. Honoré się wzdrygnął. Zawsze przechodziły go ciarki w tym momencie. Ale to nie był dobry czas dla melomanów.

– Ależ mnie wkurwia to rzępolenie – rzucił ten z bródką. – Szefie, błagam, każ mu to wyłączyć.

– To Czajkowski – zaprotestował Honoré.

– A chuj mnie to obchodzi! – wrzasnął tamten.

– Uspokój się, Danny – wtrącił się Carter. – Mnie się podoba.

– Jaja sobie robisz?

– Panowie, muszę do toalety – zajęczał Bonaparte i podniósł się z krzesła.

– Siadaj – syknął Carter, kierując lufę pistoletu w jego stronę.

– Kiedy ja naprawdę muszę – kontynuował cicho, bardziej do

siebie niż kogokolwiek innego.

– Możesz go puścić – powiedział rudy grubas. – Byłem w tym kiblu. Nic tam nie ma.

– To idź jeszcze raz. Sprawdź dokładnie.

Grubas spojrział na szefa z niemym wyrzutem, ale nie wyartykułował pretensji. Ociągając się nieco, po to jedynie, by nie wyjść na pieszka, co na każde zawołanie aportuje kość, ruszył w kierunku niewielkiej łazienki.

Tymczasem muzycy Moskiewskiej Orkiestry Symfonicznej wspólnym wysiłkiem wiodli utwór ku wielkiemu finałowi. Tylko Rosjanie powinni grać Czajkowskiego – pomyślał Bonaparte. Nieświadomie zamachał do taktu małym palcem, zupełnie jakby był dyrygentem. Może nie tak wielkim, jak Walerij Giergijew, który w londyńskim Barbican Hall potrafił poprowadzić Bolero za pomocą wykałaczki, ale takim choćby Tuganem Sochijewem czy tym fantastycznym Ukraińcem... Jak mu było? A tak, Kirill Karabits.

I gdy już muzyka powoli przejmowała kontrolę nad jego strachem, znów wdarły się jakieś nieprzyjemne dźwięki.

– A cóż to, do cholery?! – wrzasnęła.

– Zamknij się – rzucił Carter, wyjmując z kieszeni komórkę. Spojrział na wyświetlacz, a potem przesunął w prawo zieloną słuchawkę. 50 Cent zamilkł, a zamiast niego odezwała się Vessna.

– Gall nie przyjedzie – rzuciła. – Kończ imprezę i wracaj.

Nie odpowiedział, zresztą nie czekała na to i od razu zakończyła połączenie.

– Kończymy tu! – krzyknął Carter i cała piątka jego ludzi natychmiast stanęła u jego boku.

– Kończycie co? – zapytał Honoré.

– Naszą znajomość – odparł spokojnie Carter, przykładając pistolet do czoła Bonapartego.

Ten jednak zrobił coś niespodziewanego. Wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak bardzo, że aż mu zabrakło tchu.

– Dobrze, to było naprawdę dobre – rzucił, rozpaczliwie łapiąc powietrze. – Świetny żart. Taki sytuacyjny.

– Ten facet jest szurnięty – stwierdził bandzior z bródką.

– Sam jesteś szurnięty, palancie – odciął się Honoré, po czym odsunął od siebie lufę pistoletu. Zaskoczony Carter nie zareagował. – No dobrze, chłopcy. Skoro kończymy tę zabawę, to kończmy. Powiem wam, jak wygląda sytuacja. Jestem najlepszym specjalistą od materiałów wybuchowych na świecie. Przepraszam. Wiem, że to nieskromne, ale chyba nie czas na kurtuazję. Mam tu sporo ciekawych zabawek. Naprawdę myślicie, że nie zadbałem o swoje bezpieczeństwo? Owszem. Zadbałem.

– O czym on pierdoli? – zapytał rudy.

– Zamknij się – warknął Carter.

– Właśnie. Zamknij się – poparł Cartera Bonaparte. – Jest wiele ciekawych sposobów na takich jak wy. Na przykład ten wspaniały panic room. Drzwi są zatrzaśnięte, od kiedy tylko tu weszliście. I nie da się ich otworzyć. Nawet ja tego nie mogę. Zrobi to dopiero policja. Od zewnątrz. Od was tylko zależy, co zastaną. Pięciu morderców, czy zaledwie pięciu... Jak to nazwać? No, niech będzie, że napastników.

Carter popatrzył na gościa z bródką, a ten podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę, ale ta nawet nie drgnęła. Szarpnął za nią kilka razy, a na koniec kopnął w drzwi.

– Boże jedyny. – Honoré westchnął. – Co ci drzwi zrobiły, matole?

– Zamknij się! – wrzasnął facet z bródką i wypalił dwa razy w zamek.

– Panie Carter – rzekł Bonaparte, przewracając oczami – niechże pan powie temu ćwierćinteligentowi, że rygle tych drzwi mają pięć centymetrów średnicy i klinują się w ościeżnicach. A strzelając do zamka, może go jedynie uszkodzić i wtedy nikt już tych drzwi nie otworzy.

Carter nie odpowiedział. Spoglądał uważnie na Bonapartego, jakby usiłował dojść, czy ten mały czarny grubasek z niemodnym od paleozoiku wąsikiem blefuje, czy nie. Wynik przemyśleń był niepokojący.

– Policja jest już w drodze – oznajmił Honoré. – Bo przecież chyba zdaje pan sobie sprawę, że to nie Cameron do mnie

dzwonił. To moja ochrona. Dzwoni co godzinę. Myśli pan, że dla czego tak nalegałem, by odebrać ten telefon? Pamięta pan, co mówiłem? Że to ważne, że muszę odebrać, że bla bla bla.

– Nie masz pojęcia, z kim zadarłeś, Bonaparte.

– Och błagam, darujmy sobie ten protekcyjalny ton. Przegrał pan i tyle.

– Tak myślisz? – syknął Carter i znów wycelował w Bonapartego. – Powiem ci, co zrobię. Zastrzelę cię. Potem przyjedzie policja i mnie aresztuje. A potem moi przyjaciele wyciągną mnie z więzienia. Ot tak. – Pstryknął palcami.

– Nie wydaje mi się – odparł Honoré, ponownie odsuwając od siebie broń. – Znając takich jak pan i pańscy, jak pan to określił, przyjaciele, zmuszony jestem zauważyć, że tacy ludzie zwykle lubią pozostawać w cieniu. A pan będzie przesłuchiwany. I mógłby pan przypadkiem coś powiedzieć. Oj, oj, oj. Wydaje mi się, że zastrzelą pana, nim pan jeszcze dojedzie na posterunek. A teraz proszę wybaczyć, naprawdę muszę się odlać.

Tym razem Carter go nie zatrzymał. Musiał się zastanowić. Doskonale wiedział, że Bonaparte ma rację. Vessna mu nie wybaczy. I nie zaryzykuje operacji. Dlaczego nie przekazała mi więcej informacji o tym człowieku? A może mnie wystawiła? Wystawiłaś mnie, Vessno?

Drzwi od kibla się zatrzasnęły. Dopiero wtedy odezwał się rudy:

– Szefie, co robimy?

– Cicho, myślę.

– Po prostu weźmy go jako zakładnika i tyle – podsunął Bródka.

– Zastrzelą nas.

– I tak ktoś to zrobi.

– Dobra. Idź po niego.

Bródka podszedł do drzwi i załomotał w nie pięścią.

– Wyłaż, Bonaparte.

Odpowiedziała mu cisza.

– Bonaparte!

– Wyważ te pierdolone drzwi! – wrzasnął Carter.

Bródka wziął rozpęd i z całej siły przywalił ciężkim butem w drzwi, które natychmiast rozsypały się w drzazgi.

- O kurwa – jęknął.

- Co jest?

- Nie ma go, szefie.

- Jak to go, kurwa, nie ma? – Carter podbiegł do drzwi od kibla. Zajrzał do środka. Niewielka łazienka mieściła jedynie sedes, małą, fikuśną umywalkę i kabinę prysznicową z deszczownicą. Bonapartego nigdzie nie było.

- No przecież, kurwa, nie wyparował! – wydarł się Carter i kopnął w plastikową osłonę prysznica. Połamała się, ale nie odkryła żadnej tajemnicy.

W tej samej chwili głośnik przestał grać Taniec rycerzy Prokofiewa, który na liście odtwarzania ustawił się zaraz za Czajkowskim, i usłyszeli Bonapartego.

- Uwaga, frajerzy, zepsuliście mi osłonkę od prysznica. Trochę was rozumiem. Faktycznie, w prysznicu znajduje się zapadnia, której jednak nie otworzycie, bo nie znacie kodu. Ja tymczasem jestem już gdzieś między parterem a piętnastym piętrem. Bo pewnie wam nie powiedzieli, ale cały ten budynek należy do mnie. Jestem najlepszym specjalistą od materiałów wybuchowych na świecie. Myślicie, że mieszkałbym w tak spartańskich warunkach? Och, naprawdę, panowie. Naprawdę.

- Ten facet jest walnięty – szepnął rudy.

- Cisza! – wydarł się przez głośnik. – Teraz posłuchajcie.

Przez kilka sekund nie działo się nic, a potem w oddali coś kliknęło.

- No, słyszeliście? Bo wprawdzie powiedziałem, że was rozumiem, ale naprawdę lubiłem tę osłonkę. Dlatego zmieniam zasady gry, skurwysyny. Policja została odwołana. A blokada zamków zdjęta. Ale w zamian zaminowałem mieszkanie. Co wy na to? Od otwarcia drzwi do eksplozji minie sekunda. Jeden być może się uratuje. Sami wybierzcie który. A ja idę coś zjeść. Żegnajcie.

Prokofiew powrócił i jeszcze podbudował napięcie.

- Jeśli któryś się ruszy, to zabiję – ostrzegł Carter, wyciągając przed siebie broń.

- My też mamy pistolety, Carter – odparł ten z bródką, po czym

zamarł. – Gdzie jest Scott?

Honoré Bonaparte był megalomanem, to pewne. Bo niby jak ustalić, kto jest najlepszym specjalistą od materiałów wybuchowych na świecie? Nie ma żadnych zawodów czy konkursów tematycznych. Owszem, miał już na koncie trzy Oscary za efekty specjalne, owszem, tak naprawdę to Cameron do niego dziś dzwonił, a prawdę mówiąc, to raczej wydzwaniał od samego rana, i owszem, w swoim fachu zarobił już setki milionów. Ale czy był najlepszy? Tego nie dało się jednoznacznie stwierdzić. Natomiast z pewnością można było powiedzieć, że był cholernie dobry. Dlatego nikt w okolicy nie słyszał wybuchu. Nie powłóczyły się okoliczne alarmy. Ba!, nie wypadła choćby jedna szyba. Nie było żadnego wielkiego huku ani błysku. A pięciu mężczyzn zniknęło.

ROZDZIAŁ 48

Deszcz bębnił w parapet. Bird wstał z łóżka, podniósł kulę i dokuśtykał do okna. Waszyngton był nie do zniesienia tego lata. Najpierw upał, a teraz codziennie deszcz. Jak tu żyć? Spojrzał na swoją nogę w gipsie. Szlag by to trafił. Przez całe życie żadnego złamania. Ani w Wietnamie, ani w Korei, ani w Afganistanie. A teraz stary Osgood zafundował mu trzy naraz. Kość udowa, kość piszczelowa i kość strzałkowa. Wszystko, co tylko można w nodze złamać. I to dwoma strzałami. Stary dziad był jeszcze w formie.

Prywatne kliniki dla ważnych ludzi to fantastyczny wynalazek. Żadnych dziennikarzy, za to doskonałe jedzenie. Bird zastanawiał się, jak długo będzie tu musiał zostać. Nie żeby mu się nie podobało, ale planował odwiedzić jeszcze kilku starych kumpli.

Usłyszał pukanie do drzwi. Odwrócił się i ujrzał starego Hindusa, który był tutaj salowym.

– Ma pan gościa, panie Bird – rzekł z czysto brytyjskim, niemal oxfordzkim akcentem. – Wprowadzić?

Bird skinął ręką i salowy zniknął za drzwiami. Po chwili do jego pokoju, a raczej luksusowego apartamentu szpitalnego, wkroczył ostry, lekko niepokojący zapach perfum.

– Witaj, Vessno – rzekł Bird, nawet nie spoglądając w kierunku drzwi.

Vessna Fuego pojawiła się w ślad za zapachem. Miała na sobie obcisłą niebieską sukienkę ze sporym dekoltem. Rude włosy spięła w koński ogon. Wyglądała pięknie, ale to był ten dzień, kiedy każdy facet o IQ na poziomie przynajmniej paczki zardzewiałych gwoździ zdawał sobie sprawę, że jeśli podejdzie i powie coś w stylu: „Ej, mała, świetnie dziś wyglądasz”, to umrze w straszliwych męczarniach.

– Czy ty masz mnie za idiotkę? – zapytała.

- To pytanie retoryczne? – odparł Bird.
- Wiem, w co grasz, stary durniu. Wykańczasz swoich kolegów.
- Gratulacje. Jak mnie przejrzałaś?

Vessna podeszła do niego blisko. Bardzo blisko.

- Nie radzę ze mną pogrywać, Bird. Trzymam twoje jaja w żelaznym uścisku. Zrób to jeszcze raz, a je zmiażdżę.

- Weź moje jaja, Vessno, i wsadź sobie w dupę. O, przepraszam. Kiepsko to zabrzmiało. W każdym razie bawią mnie te twoje żałosne groźby.

Zaśmiała się. Niezbyt szczerze.

- Dobrze wiem, jak jest naprawdę – powiedziała. – Boisz się, Bird. Boisz się, że ludzie się dowiedzą. Tak naprawdę jesteś tylko małym, pazernym skurwysynem. Przeraza cię, że stracisz swoją fortunę. I szacunek ludzi. Przeraza cię, że być może jednak nie trafisz do podręczników historii. Spokojnie, zapewniam cię, że tam trafisz. Ale nie jako lotniczy wizjoner, tylko zwykła mała gnida. Nie lubię cię. Za to, co zrobiłaś tej nieszczęsnej kobiecie. Myślisz, że czegokolwiek od ciebie potrzebuję? Ty już swoje zrobiłaś. Trzymam cię jedynie po to, żeby w razie wpadki mieć kogo wrobić w to całe gównu. Rozumiesz? Naprawdę myślisz, że jak zabijesz wszystkich swoich kumpli, coś się zmieni?

- Owszem, Vessno. Zmieni się. Nie będziesz już miała świadków. Niczego mi nie udowodnisz, ponieważ ludzie potężniejsi niż ty tuszowali tę sprawę lata temu. Kiedy ostatni z oddziału zginie, nic już mi nie zrobisz.

- I naprawdę myślisz, że do tego dopuszczę?

- Owszem. Tak właśnie myślę.

- Bardzo jestem ciekawa, na jakiej podstawie.

- To proste, Vessno. Ponieważ teraz to ja przejmuję kontrolę nad tobą.

Ponownie się roześmiała. Głośno i pogardliwie. Bird po raz pierwszy przeniósł na nią wzrok. Powoli. A kiedy się odezwał, znów był tym człowiekiem, którego od dawna tak bardzo nienawidził.

- Zamknij się w końcu, głupia dziwko, i słuchaj, bo jak nie, to nie dożyjesz nawet jutrzejszego poranka. Wbrew temu, co mówisz,

jestem ci potrzebny. Dlatego że Tyne tak chce. A ty jesteś jedynie jego posługaczką i nie zrobisz niczego, co by mu się nie spodobało. W każdym razie nie jawnie. Operacja nie jest jeszcze zakończona i Tyne nie może sobie pozwolić, by mnie stracić. Za to może sobie pozwolić, by stracić ciebie. Tymczasem ja wiem, że ty kręcisz własne lody na boku. I wiem, że marzy ci się dowodzenie operacją. Aleks o mało nie zginął w ataku na konwój. I potem w Lesie Pisgah. Chciałaś przejąć rejestratory dla siebie, a gdy się okazało, że już ich nie ma, dostać Aleksa. W ten sposób miałybyś Tyne'a w garści.

– Jak na takiego ramola, masz naprawdę bujną wyobraźnię. – Vessna się zaśmiała.

– Ty z kolei jesteś po prostu głupia. Dziwne. Ile masz lat? Pięćdziesiąt? Czterdzieści pięć? A zachowujesz się jak durny podłotek. Pycha wyżarła ci rozum. Gdybyś mnie nie zmuszała szantażem, bym cię odwiedzał w twoim biurze, to zapewne nie mógłbym ci założyć podsłuchu. Chciałaś mnie upokorzyć. Chciałaś, żebym się płaszczył u twego biurka. Ale zapomniałaś, że masz do czynienia z żołnierzem. Starym, bo starym, ale żołnierzem. I teraz ja też mam na ciebie haka. Bardzo, bardzo ciekawe nagrania. I wystarczy, że udostępnię je Tyne'owi, a przestaniesz istnieć.

– Blef i nic więcej – rzekła Vessna, ale bez przekonania.

Tym razem to Bird się uśmiechnął. Podniósł ze stolika pilota i wcisnął „play”. Szpitalny sprzęt nie był zbyt imponujący i pod żadnym pozorem nie należało słuchać na nim muzyki, ale do tego, co zamierzał puścić Bird, w zupełności wystarczał.

– Halfield pokpiła sprawę z rejestratorami – odezwała się z głośnika Vessna. – Ale to nawet dobrze.

– Nie rozumiem – odrzekł Carter.

– Zmieniłam trochę plany. Zdobądź dla mnie te rejestratory. A Galla zabij.

– A Tyne?

– Nie rozumiesz, Carter? Jeśli je zdobędziemy, to Tyne będzie nasz. A wiesz, co to oznacza?

– Dużo pieniędzy.

– Nawet nie wiesz, jak dużo, Carter. Przejadę się po nim jak walec.

Bird zatrzymał nagranie.

– Chyba wystarczy, co? Mam tego znacznie więcej. Twoje rozmowy z Carterem i innymi. Plan ataku na konwój. Plan ataku na chatę Burley. I takie tam. A na koniec powiem ci jeszcze jedno, głupia suko. Bardzo źle sobie wybrałaś cel. Aleks przewyższa cię pod każdym względem. Nigdy z nim nie wygrasz. Kiedy tylko się dowie, że zabiłaś jego żonę i córkę, już się przed nim nie ukryjesz. A ja mu pomogę, jeśli tylko sobie tego zażyczy.

– Czego tak naprawdę chcesz? – zapytała Vessna, tłumiąc wzbierający gniew.

– Proponuję ci współzawodnictwo. Ja zajmę się swoimi sprawami, a ty swoimi. Jeśli ja skończę pierwszy, zniszczę cię. Jeśli ty skończysz pierwsza, zniszczysz mnie. Uczciwie, prawda?

– Mogłabym cię teraz po prostu zabić.

– Nie. Nie mogłabyś. Tyne by ci tego nie wybaczył. On się ciebie boi. Myślę, że coś przeczuwa. Jeden jedyny przejaw niekompetencji i wyśle kogoś, by ci wsunął na nogi eleganckie betonowe buciki. Strasznie pada tego lata. Potomac musi być głębszy niż zwykle.

ROZDZIAŁ 49

Aleks przeleciał pół świata, a deszcz nadal lał. Tym razem jednak nie mógł się dziwić. Przecież o wyspie Yakushima mówi się, że pada tam przez trzydzieści pięć dni w miesiącu. Ale jeśli gdziekolwiek na świecie deszcz można uznać za element sprzyjający krajobrazowi, to właśnie tu, na tej niewielkiej wyspie, położonej zaledwie siedemdziesiąt kilometrów od południowych wybrzeży Kiusiu. Aleks dużo w swoim życiu podróżował, ale tak pięknego miejsca jeszcze nie widział. Całą wyspę pokrywały gęsto zalesione wzgórza, tu i ówdzie przeistaczające się w regularne, surowe góry. Momentami przyroda wydawała się nietknięta ludzką stopą. Tych stóp zresztą nie było tu wiele. Yakushima liczyła zaledwie piętnaście tysięcy mieszkańców. Dwadzieścia sześć osób na kilometr kwadratowy, co w warunkach japońskich stanowiło niemal pustynię.

Do Japonii przybyli sześć dni temu, o piątej rano. Odpoczynek i droga do Kagoshimy zajęły im kolejny dzień. Na miejscu zaś spotkała ich nieprzyjemna niespodzianka. Jedyne pas startowy na Yakushimie został uszkodzony przez Cimaron. Obecnie można było się tam dostać tylko promem, co bardzo nie spodobało się Baldurowi. Dwie godziny na niewielkim, ale w pełni monitorowanym poduszkowcu to widmo nadciągającej kłęski. Aleks zgadzał się z nim. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Szkoła Wiatru stała za ostatnim zamachem i jeśli jej właściciele z jakiegoś powodu usiłują go dopaść, to na swoim terenie zachowają zdwojoną ostrożność.

Dlatego Baldur popłynął sam. Nikt go nie znał. Nie pisały o nim gazety i nie trąbiła telewizja. Ustalili, że mały Farer popłynie na wyspę i spróbuje się dowiedzieć wszystkiego, co się da. A w razie czego zadzwoni.

Zadzwonił po trzech dniach. Nie dowiedział się niczego, ale miał pewien plan. I potrzebował kogoś, kto odwróci uwagę personelu.

Aleks zaryzykował i przypląnął na Yakushimę. Nawet jeśli był obserwowany, nikt się nie orientował, że nie jest sam. Dzięki temu mogli działać. On był na widoku i odwracał uwagę, a Baldur mógł robić swoje.

Tyle w teorii. W praktyce Baldur wprawdzie miał plan, ale Aleks nie miał pojęcia jaki. Kiedy, do cholery, kurdupel przejął dowodzenie?

Polecenie było proste. Jedź do szkoły i beczelnie wypytaj co i jak. Albo cię poznają, albo nie. Albo się czegoś dowiesz, albo sprowokujesz ich do działania.

Aleks bezgranicznie ufał Baldurovi, który już tyle razy dowiódł swej lojalności, że obaj dawno przestali to liczyć. Jeśli przyjąć, że przyjaciele oddają przysługę za przysługę, to Baldur miał u niego opłacony abonament do końca życia. Choć przyznać trzeba, że sam również korzystał z pomocy Aleksa nie raz i nie dwa.

Z okna starej taksówki Aleks obserwował ponadtysiącletnie kryptomerie i tysiąc dziewięćset innych gatunków roślin, w tym prawie sto endemitów. Im wyżej pięła się droga, tym gęstszy stawał się las. Bezustannie padający deszcz nadawał okolicznej zieleni niezwykle intensywny, żywy blask. Gall widział niewielkie ogrody i posesje z drewnianymi domami.

Chyba właśnie tu chciałbym kiedyś zamieszkać – pomyślał.

Samochód zwolnił. Droga robiła się coraz węższa. Aleks wyrwany z przyjemnego transu spojrzął na zegarek. Była prawie druga po południu.

Taksówka minęła gruby, wysoki mur i wjechała na wysypany ozdobnym żwirem dziedziniec przed ogromnym drewnianym zamkiem, zwieńczonym wysoką pagodą. Aleks zapłacił taksówkarzowi i wysiadł.

Przyjrzał się budowli. Zauważył, że choć fasadę pokrywało drewno, fundament zbudowano z kamienia. Ogrom budowli sugerował, że drewno jest jedynie ozdobnikiem, a pod nim kryją się solidne betonowe ściany. Zapewne nie była to klasyczna budowla, a zaledwie współczesna rekonstrukcja. Przywodziła Aleksowi na myśl zamek Akashi, który miał kiedyś okazję zwiedzić.

Pokonał kamienne schody i przekroczył wewnętrzną bramę. Jego oczom ukazały się szklane drzwi wejściowe. Na wielkiej drewnianej tablicy zawieszanej powyżej portalu widniał japoński napis: Szkoła Wiatru. Aleks nie znał japońskiego, ale znał ten napis. Nauczył się go na pamięć.

Wszedł. Pośrodku gigantycznej sali stał okrągły kontuar, za którym urzędowała młoda Japonka. Aleks poprosił o spotkanie z dyrektorem Shinu. Dokładnie tak, jak polecił mu Baldur. Chwilę musiał poczekać. Po kilku minutach recepcjonistka oznajmiła, że dyrektor gotów jest go przyjąć, i zaprowadziła go do przestronnego, skromnie, ale elegancko urządzonego gabinetu, w którym dyrektor przyjmował gości. Shinu pojawił się pięć sekund później.

– Witam pana – rzekł nienagannym angielskim. – Pan Albert Gore III? Z tych Gore’ów?

– To dość skomplikowane.

– Ależ oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Dyskrecja to jedna z fundamentalnych zasad funkcjonowania naszej szkoły. Proszę usiąść.

Aleks spoczął w fotelu tak wygodnym, że przez kilka sekund zastanawiał się, czy go nie ukraść.

– Co pana do mnie sprowadza, panie Gore?

– Przychodzę w bardzo delikatnej sprawie. O pańskim zakładzie poinformował mnie pewien przyjaciel, który wolałby pozostać anonimowy. Zasugerował, że mógłby mi pan pomóc rozwiązać pewien wyjątkowo niewygodny problem. Chodzi o mojego brata. Z tego, co się dowiedziałem, uczycie tu dyscypliny. Ten młody człowiek bardzo jej potrzebuje.

– Narkotyki?

– Narkotyki to jego najmniejszy problem.

– Hazard?

– Hazard, prostytutki, alkohol, wszystko, co dzieciaki z bogatych domów praktykują na co dzień. Jednak mój brat ma jeszcze inne upodobania. Związane bezpośrednio z nieletnimi. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Rozumiem doskonale. I bardzo żałuję, ale nie mogę panu

pomóc. Obawiam się, że został pan wprowadzony w błąd.

– Doprawdy?

Shinu wstał i podszedł do okna. Uchylił je lekko. Pomieszczenie wypełniło się słodkim zapachem mokrego kwiecia i dźwiękami uderzającego o liście deszczu. Gdzieś w oddali pobrzękiwały dzwonki rurowe. Zapewne na werandzie chatki ogrodnika.

– Jak się panu u nas podoba, panie Gore? – zapytał Shinu.

– Bardzo.

– Proszę sobie wyobrazić, że wszystko, co rośnie na tej wyspie, jest prawdziwie japońskie. Rozciąga się tu w pełni chroniony park narodowy. Drzewa i krzewy, które pan mijał, są takie same jak tysiące lat temu. Bardzo nam na tym zależy. Jednak nie tylko roślinność jest tu żywym pomnikiem japońskich obyczajów. Również ludzka mentalność. Honor. Odwaga. Lojalność. To są cechy, które cenimy ponad wszystkie inne.

– Nie bardzo rozumiem, dyrektorze.

– Nasza szkoła działa w tajemnicy. Zawieramy specjalne umowy z naszymi klientami. Dlatego osoby polecane przez nich uznajemy za godne zaufania. Nie będę dopytywać, kto pana do mnie skierował. Po prostu się dziwię, że powiedział panu tak niewiele. Zresztą może to właśnie przez wzgląd na tę lojalność?

Dyrektor podszedł do swojego fotela. Przesunął go tak, by usiąść dokładnie naprzeciwko Aleksa. Zajrzał mu głęboko w oczy.

– My nie jesteśmy ośrodkiem dla trudnej młodzieży, ale sprofilowaną kliniką leczenia zdrowia psychicznego.

Shinu zrobił pauzę, jakby oczekiwał reakcji swojego gościa. Nie doczekał się.

– Na całym świecie toczą się wojny – kontynuował. – Walczą w nich miliony ludzi, w tym wielu japońskich najemników. Pan sobie nie wyobraża, co wojna robi z człowiekiem. Po kilku latach służby wracają odmienieni. Zamknięci w sobie, znerwicowani, niejednokrotnie prześladowani przez wszelkiego rodzaju wizje i omamy. Wielu nie potrafi się odnaleźć w warunkach pokoju. Nauka nazywa to zespołem stresu pourazowego, ale to ogromne uproszczenie. Nawet dziesięć procent spośród tych chłopców popełnia w końcu samobójstwo. Reszta albo ląduje w szpitalu dla

obłąkanych, albo bierze karabin i wychodzi na ulicę. My świadczymy usługi dla tych ludzi. Opierając się na japońskim kodeksie honorowym. Dlatego też przyjmujemy do naszej szkoły jedynie Japończyków.

– I robicie z nich kamikadze? Tak mi powiedziano.

– Tylko metaforycznie, panie Gore. Tylko metaforycznie. Wpajamy im stare japońskie zasady, dzięki którym po zakończeniu szkolenia faktycznie gotowi są oddać życie za ojczyznę. Zyskują wiarę w wyższy cel. Stoją wyprostowani i gotowi do tego, by podjąć wyzwanie, jakim jest życie w społeczeństwie. Ale proszę pamiętać, że kamikadze służyli cesarzowi. A dziś cesarz pełni w Japonii jedynie funkcje reprezentacyjne.

– Rozumiem. No cóż, w takim razie zaszła pomyłka i najwyraźniej nie rozwiąże pan mojego problemu.

– Po części poczuwam się do winy, najwyraźniej zawiódł nasz system polecania. Niech mi więc będzie wolno zaproponować zwrot kosztów podróży.

– Och, nie ma takiej potrzeby. Mieszkam obecnie w Nagasaki, więc mam dość blisko.

Aleks podniósł się, jednak jego wzrok przykuła leżąca na niewielkiej półce teczka. Spojrzał na zdjęcie i ujrzał młodego Japończyka o pogodnej twarzy i pewnym siebie spojrzeniu.

– Och, przepraszam, zabiorę to. Nie powinno tu leżeć – odpowiedział dyrektor Shinu.

– Przepraszam. Rozumiem, że to nowy pacjent. A wygląda na tak pełnego życia.

– Gdyby mógł go pan zobaczyć teraz. Nie nadużyję chyba zaufania mojego klienta, jeśli powiem panu, że mężczyzna, którego pan widzi, w wyniku traumy związanej ze służbą w Afganistanie niemal zupełnie przestał się kontrolować. Przywieźli go trzy dni temu. Nazywamy go Bu-Bu-Bu, ponieważ tylko tyle jest w stanie wyartykułować.

– Przeróżające. – Aleks westchnął.

– Na pocieszenie dodam, że mamy stuprocentową skuteczność w leczeniu takich przypadków.

– Jak długo to potrwa?
– Raczej długo. Z niektórymi pacjentami pracujemy nawet pięć lat. Inni dochodzą do siebie po dwóch miesiącach. W każdym razie ten na pewno nie dojdzie. A teraz proszę mi wybaczyć, i tak powiedziałem za dużo.

– Bardzo dziękuję, panie dyrektorze.

– Jeśli mogę coś zasugerować...

– Oczywiście.

– Słyszałem o bardzo dobrej placówce w Seattle. Oni powinni sobie poradzić z pańskim problemem. Nie podam panu z głowy nazwy ani adresu, ale jestem przekonany, że znajdzie pan bez problemu.

Uścisnął dłoń Galla, skłonił się lekko i wyszedł. Pięć sekund później pojawiła się recepcjonistka i odprowadziła Aleksa do wyjścia.

ROZDZIAŁ 5o

Shinu odczekał chwilę, upewniwszy się, że jego gość już wyszedł. Następnie wyjął z kieszeni marynarki telefon. Nie czekał długo na połączenie. Szef odebrał niemal natychmiast.

– Jest tutaj – rzucił do słuchawki Shinu. – Nie ma brody, ale to na pewno on.

– O co pytał?

– O naszą działalność.

– Tylko?

– Tak. Nie wiedział za bardzo, na czym ona polega. Myślał, że zajmujemy się młodymi, zaćpanymi pedofilami.

– Nie przywiązuj do tego wagi. To zwykły fortel. Nie pytał o naszą sprawę?

– Nie. Jeśli wolno mi coś powiedzieć, uważam, że jego obecność jest niepokojąca. Mówił o kamikadze. Skąd mógł o tym wiedzieć?

– On tylko się domyśla, bo nie zostawiliśmy żadnych dowodów. Na twoim miejscu martwiłbym się jednak o coś innego. Skoro niczego się nie dowiedział, to spróbuje znowu. Trzymaj ludzi w pogotowiu. To może być ciężka noc.

– Dobrze, proszę pana.

Rozmówca rozłączył się bez pożegnania. Zawsze tak robił. Shinu nie miał o to pretensji. Ludzie potężni mają prawo tak postępować. Pozostałość po czasach feudalnych. Czasach, gdy Japonia była naprawdę wielka.

Zegarek piknął na pełną godzinę i Shinu przypomniał sobie o obowiązkach. Miał obchód. Postanowił zacząć od nowego pacjenta. Nieszczęsnego Bu-Bu-Bu. Gdy przywieziono go trzy dni temu, był tak agresywny, że trafił do izolatki, która mieściła się w podziemiach i była najlepiej strzeżonym miejscem w całym obiekcie. Na dobrą sprawę Bu-Bu-Bu pozostawał tam więźniem, ale Shinu nie miał wątpliwości, że pewnego dnia, gdy będzie gotów oddać życie za Japonię, nie zapomni o tych, którzy

postawili go na nogi.

Tymczasem jednak dyrektor zamierzał sprawdzić, czy pacjenta można już przenieść na oddział otwarty. Ruszył długim, wykładanym marmurem korytarzem. Po minucie dotarł do klatki schodowej i zszedł po schodach poziom niżej. Z klatki można było wyjść na dwie strony budynku, jednak Shinu nie wybrał żadnej z nich. Podeszedł do ciężkich drzwi przeciwpożarowych i wstukał kod. Zamek puścił i mężczyzna pchnął drzwi. Za nimi znajdowały się kolejne schody. Wiodące jeszcze niżej.

Gdy dotarł na dół, od razu spostrzegł, że coś jest nie tak. Przed drzwiami do oddziału zamkniętego stało krzesło strażnika. Puste. Shinu szybko wstukał kod i pchnął drzwi. Natychmiast znalazł strażnika. Nieprzytomnego.

Dyrektor rzucił się do stojącego pośrodku korytarza kontuaru. Wdusił przycisk alarmowy i po chwili cały budynek rozbrzmiał przeraźliwie głośnym dźwiękiem syreny. Podbiegł do końca korytarza, gdzie po prawej stronie znajdowała się duża cela. Po Bu-Bu-Bu nie pozostał nawet ślad.

Shinu wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Następnie wybrał numer do szefa.

– Pacjent nam zbiegł – rzucił do słuchawki, gdy połączenie zostało nawiązane.

ROZDZIAŁ 51

Dwudziesty siódmy lipca dwa tysiące piątego roku. Samo południe. Najbardziej upalna godzina najbardziej upalnego dnia najbardziej upalnego lata dwudziestego pierwszego wieku w Alabamie. Ale Alain Lowe niemal trząśł się z zimna. To z pewnością był najgorszy dzień jego życia. Najbardziej przerażający.

Jeszcze trzy dni temu uważał, że powołanie w skład wielkiej ławy przysięgłych sądu federalnego stanowi powód do dumy. Nawet jeśli musiał wziąć trzydniowy urlop i przejechać prawie dziewięćdziesiąt kilometrów ze swojego Auburn do Montgomery. W stolicy stanu był po raz pierwszy w życiu i zaskoczyło go, że jest taka mała. W tym zapomnianym przez Boga stanie wszystko jest małe. Największe miasto Alabamy jest dwa razy mniejsze niż najmniejsza dzielnica Nowego Jorku. I dziesięć razy mniejsze niż największa.

– Oskarżony nie przyznaje się do winy – powiedział z naciskiem prokurator – dlatego o wartości zebranych dowodów zadecyduje wielka ława przysięgłych. Od ich decyzji będzie zależało, czy sąd zdecyduje się wszcząć proces przeciwko oskarżonemu Nathanielowi Kao.

Lowe niespokojnie poruszył się w ławie sędziów przysięgłych. Przywołał w myślach treść wiadomości, którą dostarczono mu wczoraj wieczorem do hotelu. Wielka ława przysięgłych ma podjąć decyzję korzystną dla Kao, bo jeżeli nie, to tajemniczy szantażysta wyciągnie na świat małe sekrety Alaina. Tak napisał. Małe sekrety. Na przykład ten, że jako księgowy pracujący w dużej międzynarodowej firmie przez dwadzieścia lat okradł swojego pracodawcę na ponad pięć milionów dolarów.

– Oskarżenie powołuje pierwszego świadka. Panią Lavonne Hendrix.

Dziewczyna, która podniosła się z ławy dla świadków, nie

wyglądała na więcej niż dwadzieścia lat. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ma azjatyckie korzenie. Lowe pomyślał, że jest piękna. Taka delikatna. Dziewczyna ze spuszczoną głową podeszła do barierki i przysięgła na Biblię, że będzie mówić prawdę, tylko prawdę, samą prawdę, tak jej dopomóż Bóg.

– Czy świadek zna oskarżonego? – zapytał oskarżyciel.

– Tak.

– Proszę zaprotokołować. Świadek zna oskarżonego i wyklucza możliwość pomyłki.

– Sprzeciw! – krzyknął obrońca.

– Wykluczam możliwość pomyłki – dodała spokojnie pani Hendrix.

– Proszę opowiedzieć sądowi, w jakich okolicznościach się poznaliście.

– Nate, to znaczy oskarżony, zaczął mnie od jakiegoś czasu. Byłam dla niego miła, ale nigdy nie dałam mu do zrozumienia, że jest dla mnie kimś więcej niż kolegą. Pracowaliśmy razem w restauracji. Ja byłam kelnerką, a on szefem ochrony. Często rozmawialiśmy.

– Czy spotykała się z nim pani?

– Czasami tak. Był bardzo przyjazny. Lubiłam z nim rozmawiać.

– Czy mógł odebrać pani zachowanie jako przejaw zainteresowania?

– Nie powinien. Kilkakrotnie mu powiedziałam, że nie jestem nim zainteresowana, ponieważ mam męża. Zresztą wspomniałam mu, że nawet gdybym była wolna, to nie jest w moim typie.

– I jak zareagował?

– Nijak. Dosłownie. Nic się nie zmieniło.

Bła, bła, bła. Lowe był spięty do granic możliwości. Niby jakim cudem, do cholery, miałby wpłynąć na wyrok? To rozprawa przedwstępna, decyduje większość głosów. Szantażysta chyba naprawdę musiał w niego wierzyć, skoro zakładał, że on, zwykły księgowy, zdoła przekonać innych do swoich racji. Zresztą jakich racji? Ten Kao nie miał żadnych szans.

– Umówiła się ze mną, ale nie przyszła – mówił spokojnie Kao. –

Zmartwiłem się. Wyrzuciła męża z mieszkania, bo ciągle chodził pijany i był agresywny. Poszedłem sprawdzić, czy wszystko jest okej. Ale nie było. Kiedy zapukałem, nikt nie odpowiedział. Zamiast tego usłyszałem coś, co przypominało odgłosy walki. Wszedłem do środka i zobaczyłem go, jak trzyma Lavonne za włosy. Leżała na podłodze. Twarz miała we krwi. Była naga, a właściwie miała na sobie sukienkę, ale rozerwaną. Było jej widać... No, wie, wysoki sąd, wszystko. Skoczyłem do faceta i uderzyłem go kantem dłoni w krtani. Zginął na miejscu. Ale zrobiłem to w obronie życia Lavonne. On by ją zabił.

– Skąd pan to wie? – zapytał oskarżyciel.

– W jego oczach czaił się mord.

– Ach, więc w jego oczach czaił się mord. – Prokurator się roześmiał. – Rozumiem. A co pan na to, że pani Hendrix zaprzecza, jakoby była napastowana przez męża, i twierdzi, że zabił go pan z zazdrości?

Kao zamilkł. Spojrzał na Lavonne, która jednak zupełnie się nim nie interesowała.

– Panie Kao, jest pan z nami? – zapytał oskarżyciel. – Grozi panu zastrzyk, niechże się pan skupi.

– Nie wiem, dlaczego tak powiedziała – odparł w końcu Kao.

Powiedziała tak, bo tak było, idioto! Lowe nienawidził teraz Kao w takim samym stopniu jak Lavonne, prokuratora, obrońcy, sędziego i całej masy tych błaznów, którzy siedzieli obok niego w ławie przysięgłych.

Chryste, dlaczego mnie to spotkało? Dobiorą mi się do konta na Kajmanach. Zabiorą dom. Zabiorą samochód. Charlotte odejdzie, ale to akurat dobrze. Starzeje się, znajdzie się jakaś młodsza. Ciekawe, ile lat grozi za defraudację pięciu baniek? Jeśli je znajdą, będę musiał oddać, to na pewno, ale czy trafię do pudła? Przejebane.

– Thomson przeciwko stanowi Nebraska – mówił prokurator. – Lyle Thomson wdarł się do mieszkania kobiety, którą wcześniej prześladował, i zabił jej męża.

– To nie może stanowić precedensu dla obecnej sprawy – przerwał obrońca. – Mój klient nie prześladował żony swojej

ofiary.

– Żona ofiary twierdzi coś innego. Dała mu do zrozumienia, że nie chce się z nim więcej spotykać.

– I dlatego umówiła się z nim w dniu, gdy zamordowano jej męża?

– Pani Hendrix zaprzecza, jakoby się z nim umówiła.

Lowe spojrział na zegarek. Rozprawa ciągnęła się jak flaki z olejem. Kolejni świadkowie utwierdzali go w przekonaniu, że jest już skończony. Za nic w świecie ten głupi gnojek nie umknie karzącej ręce sprawiedliwości. Jego wina nie budzi żadnych zastrzeżeń. Zresztą może nawet nie chciał źle. Ta Lavonne wygląda na zwykłą kurewkę, ładną, owszem, ale takie są najgorsze. Może naobiecowała mu nie wiadomo co, a teraz pieprzy głupoty, żeby wyciągnąć odszkodowanie. Ale Kao jest winny. Każdy to widzi.

– Nie, nie słyszałam – przysięgała stara kobiecina. – Schody są u nas bardzo stare i trzeszczą. A ja mam doskonały słuch. Niekiedy po skrzypieniu schodów poznaję, kto wchodzi na górę. Śmieją się ze mnie, że jestem osiedlowym monitoringiem, ale wysoki sąd spróbowałby trochę pomieszkać w moim mieszkaniu. Hałasy z klatki są nie do wytrzymania. Skrzypienie, tupanie, czasem jakieś wrzaski. No nie idzie żyć normalnie.

– Więc nie słyszała pani, jak oskarżony wchodzi na piętro? – spytał prokurator.

– Na pewno nie wszedł po schodach. Dlatego właśnie mówiłam, że oknem. I pani Lavonne to potwierdza. Jak jej mąż wchodził, to owszem, słyszałam. Ale potem już nie.

– A czy słyszała pani jakieś odgłosy z mieszkania? – zapytał z kolei obrońca. – Krzyki? Słyszała pani krzyki? Czy stamtąd często dochodziły krzyki?

– Ja tam w małżeńskie sprawy się nie wtrącam – odparła kobieta. – Mówię tylko, że ten tu na pewno nie wszedł po schodach na górę. Musiał przejść balkonem z sąsiedniego budynku. Tam u nich jest dosyć blisko i wysportowany mężczyzna da radę. Dlatego nie wierzę, że przyszedł tam przez przypadek.

– Wysoki sędzie, proszę o zaprotokołowanie, że oskarżony stanowczo zaprzecza, jakoby wchodził przez balkon. Twierdzi, że po prostu potrafi cicho chodzić – rzekł obrońca, a z sali odezwały się przytłumione śmiechy.

Mecenas westchnął głęboko. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w jego głosie wyraźnie dawało się słyszeć rezygnację. Ta sprawa po prostu nie mogła się dobrze skończyć.

Dokładnie to samo myślał Lowe. Teraz, kiedy obrońca, jego jedyny sojusznik, wyraźnie się poddawał, Alain zastanawiał się, czy lepiej będzie przeprowadzić się do Meksyku, czy może raczej gdzieś dalej. Urugwaj? Nie, zaraz. Urugwaj i Meksyk odpadają. Mają chyba ze Stanami umowy ekstradycyjne. Czy nie? Trzeba będzie poszperać i sprawdzić, które kraje nie mają. Może Litwa? Litwa? To chyba gdzieś w Rosji. Czy mamy umowę ekstradycyjną z Ruskimi? Ale cholera, żyć w Rosji? Tak na co dzień?

– Wysoki sędzie! – Prokurator wyglądał na pewnego siebie. Już otwierał szampana. Sprawa była wygrana, a on miał jeszcze to i owo w zanadrzu. – Niewinni nie uciekają. Tymczasem pan Kao w ciągu sześciu miesięcy zbiegł z dziewięciu zakładów karnych, co, przyznaję, stanowi nie lada wyczyn. I to nie byle jakich zakładów. Przetrzymano go między innymi na odludziu Ely State Prison w Nevadzie, w Louisiana State Penitentiary w Angoli i na Wyspie Rikera w Nowym Jorku. Najwyraźniej pan Kao nie tylko potrafi cicho chodzić, ale również umie cicho pływać.

Sędzia uderzył kilka razy młotkiem, żeby uciszyć rozbawioną publiczność. Obrońca podniósł się ze swojego miejsca.

– Uzupełniając wywód pana prokuratora, pragnę tylko przypomnieć, że za każdym razem pan Kao dobrowolnie oddawał się w ręce policji. Twierdzi, że uciekał, ponieważ w więzieniu nie czuł się bezpiecznie, a nie dlatego, żeby uniknąć procesu. Czego dowodem jest fakt, że siedzi tutaj z nami.

Sędzia podrapał się po głowie.

– Panie Kao, proszę wstać – powiedział.

Oskarżony podniósł się, pobrzękując kajdanami.

– To będzie bardzo nieprofesjonalne pytanie, ale chciałbym

zaspokoić swoją ciekawość. W jaki sposób, na Boga, przepłynął pan East River?

- Nie wydaje mi się, żeby pan uwierzył – odparł skazaniec.
- Proszę mnie wypróbować.
- Chodzi o wiatr, wysoki sądzie. Bardzo silny wiatr.
- Nie rozumiem.

- Najkrótsza droga ucieczki z Wyspy Rikera prowadzi wprost na pas numer dwadzieścia dwa lotniska LaGuardia. Ale samoloty startują tam tylko wtedy, gdy z powodu wiatru nie mogą korzystać z innych pasów. Bardzo rzadko. Zmontowałem sobie prymitywne urządzenie do nasłuchu wieży kontrolnej i ATIS. Słuchałem, słuchałem, aż usłyszałem, że maszyny będą startować z pasa numer dwadzieścia dwa. Ucieczka ze spacernika nie była trudna. Z mojego bloku do nabrzeża naprzeciwko pasa biegło się dwie minuty. Pozostało tylko przepłynąć sześćdziesiąt metrów i już można było się wdrapać na pas.

- Przecież ktoś musiałby pana zauważyć.

- Dokładnie tak. I dlatego musiałem poczekać na kołujący samolot. Kiedy podjechał, wdrapałem się po goleni głównego podwozia i poleciałem do Bostonu.

Sala znów wybuchła śmiechem, sędzia gniewnie uderzał raz po raz młotkiem.

- Cisza! – krzyknął. – Pan sobie robi ze mnie żarty, panie Kao. Nawet gdyby to się panu udało, zamarzyłby pan w locie.

- Wysoki sąd ma rację – odparł Kao. – Tak by było przy długim przelocie. Ale to był bardzo krótki lot i przez to na stosunkowo niewielkiej wysokości. Wiedziałem o tym.

- I jak pan z niego wysiadł? Z tego samolotu.

- Jak gdyby nigdy nic. Samolot odholowano na serwis i stał tam przez całą noc. Wysiadłem, ubrałem się w leżący tam kombinezon mechanika, wymieniłem przewód hydrauliczny podwozia, bo lekko przeciekał, i z końcem zmiany poszedłem do domu.

- Pan kłamie! Pan kłamie! – wrzasnął sędzia.

- Być może, wysoki sądzie. Ale fajna historyjka, no nie?

Sala dla publiczności zamieniła się w widownię teatralną. Na

scenie grano jakąś głupią farsę, toteż publika śmiała się do rozpuku. Sędzia walił młotkiem w podstawkę i zasądził Kao karę porządkową. Taki był czerwony na twarzy, jakby od tygodnia nie rozstawał się z bourbonem. Co było akurat prawdą. Ludzie umierali ze śmiechu. A Lowe ze strachu. Zbliżał się moment, w którym od tego, co zrobi, będzie zależało całe jego dalsze życie. Spojrzał na kartkę z notatkami. Była pusta. Podobnie jak jego głowa. Niczego nie zapamiętał.

O Boże, to koniec – pomyślał.

Z rozmyślań wyrwało go szuranie krzesel. Zorientował się, że przysięgli wychodzą na naradę. Serce zabiło mu mocniej. Opuścił ławę dziesiąty i zarazem ostatni. Na filmach ława przysięgłych ma zawsze dwanaście osób. Ale to bzdura. Może być ich mniej.

Niech to szlag, dlaczego jest nas tak mało? Ale może to lepiej? Mniej osób będzie trzeba przekonać – myślał Lowe.

Szedł powoli przez salę, czując na sobie ciekawskie spojrzenia publiczności. Tak wiele osób na rozprawie przedwstępnej? Ten Kao naprawdę budził zainteresowanie. W końcu Lowe zniknął za drzwiami i odetchnął. Woźny prowadził przysięgłych długim korytarzem, na którego końcu znajdowały się drzwi do niewielkiej sali.

Alain wszedł do środka. Ujrzał wielki owalny stół zastawiony ciastkami. Drzwi zamknęły się z hukiem. Po korytarzu rozeszło się echo, ale w sali było cicho jak makiem zasiał. Nikt się nie odzywał. Lowe usiadł i położył na stole pustą kartkę. Intensywnie myślał, co ma teraz zrobić, ale nic mu nie przychodziło do głowy. W końcu podniósł wzrok. Zlustrował twarze swoich towarzyszy. Szare, bez wyrazu. Anonimowi ludzie, od których decyzji być może zależy życie człowieka.

Cisza. Alain spojrzął na największego z nich. Bardzo grubego Indianina siedzącego dokładnie naprzeciwko niego. Potem skierował wzrok w lewo i ujrzał starszą panią albo po prostu wyglądała na starszą panią. Po prawej stronie od grubasa siedział rudy facet w śmiesznych okularach. Lowe przyglądał się im w milczeniu. Obejrzał dokładnie każdego z nich. Wyglądali na przerażonych.

Wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i szaleńczo. Wszyscy patrzyli na niego jak na wariata.

– Wy też, prawda? Wy też to dostaliście.

Niespełna trzy kwadranse później sędziowie przysięgli powrócili na swoje miejsce. Publika szumiała, w końcu jednak obecni na sali się uspokoili. Oskarżony wstał.

– Czy sędziowie przysięgli ustalili wyrok? – zapytał sędzia.

– Tak, wysoki sędzie – rzekł Indianin, wybrany podczas narady na przewodniczącego. – My, wielka ława przysięgłych sądu federalnego, uznajemy, że dowody zgromadzone w śledztwie nie dają podstaw do rozpoczęcia procesu Nathaniela Kao.

Sala zamilkła. Kao spojrział na grubasa, a w jego oczach dało się wyczytać bezgraniczne zdumienie. Podobny wyraz twarzy miał jego obrońca, który aż zaniemówił z wrażenia.

– Zeznania świadka Lavonne Hendrix – ciągnął grubas – uznajemy za niewiarygodne, ponieważ jest ona stroną bezpośrednio zyskującą na skazaniu pana Kao, a jej zeznania są ze sobą sprzeczne. Z jednej strony twierdzi, że nie była zainteresowana oskarżonym, a z drugiej spotkała się z nim przynajmniej dziewięć razy. Zeznania świadka Beatrix Connaway uznajemy za niewiarygodne z powodu wyraźnie dostrzegalnego w jej wypowiedziach uprzedzenia wobec pana Kao. Być może na tle rasowym, ponieważ, jak wszyscy wiemy, pan Kao jest obywatelem amerykańskim mającym rodziców Chińczyków. Zakładamy, że skoro pani Connaway nie słyszała awantur, które, jak zeznali inni świadkowie, co jakiś czas się tam zdarzały, to mogła również nie usłyszeć odgłosu kroków na schodach.

Grubas z precyzją i prędkością karabinu maszynowego podważał wiarygodność kolejnych świadków i na koniec dodał:

– Sprawa Thomson przeciwko stanowi Nebraska nie może być brana pod uwagę w tym procesie, ponieważ w przypadku rozpatrywanej obecnie sprawy pani Hendrix wykazała daleko posuniętą poufałość, przekazując oskarżonemu między innymi swój numer telefonu. W przypadku sprawy Thomson przeciwko stanowi Nebraska skazany był dla żony ofiary osobą zupełnie obcą.

Cisza zamieniła się w szum niezadowolenia. Sędzia znów musiał użyć młotka. Miał zresztą bardzo niezadowoloną minę. Nie podobał mu się ten wyrok. Nie był jego zdaniem sprawiedliwy. Ale dura lex sed lex.

– W naszym przekonaniu nie istnieją żadne dowody rzeczowe, które uzasadniłyby konieczność przeprowadzenia procesu pana Kao. Nie ma również poszlak wskazujących na jego motyw, ponieważ żona ofiary kilkakrotnie poinformowała oskarżonego, że nie jest zainteresowana bliższą znajomością, jak sama przyznaje, nie tylko z racji stanu cywilnego, ale również dlatego że, cytuję, „nie jest w moim typie”. Oskarżony nie miał więc podstaw przypuszczać, że zabicie męża oskarżonej może cokolwiek pod tym względem zmienić. Naszym zdaniem zemsta również nie wchodzi w grę, ponieważ zbrodni nie dokonano w miejscu zamieszkania ofiary, tylko w domu jego żony, w którym ofiara przebywała incydentalnie, co stoi w sprzeczności z logiką mówiącą o zaplanowanej zemście.

Uzasadnienie sentencji wyroku przedłużało się, ale Lowe zupełnie się tym nie przejmował. Przygryzał delikatnie wargi, żeby się nie roześmiać. Zastanawiał się, gdzie w tym podłym mieście jest jakaś kwaciarnia. Kupi Charlotte ładny bukiet. Może nawet skutecznią małe bzykanko wieczorem? Albo pojedą na wakacje. O, to jest świetny pomysł. Chyba ostatnio zanieczyścił trochę rodzinę.

Przez kilka chwil zastanawiał się, w jaki sposób szantażyście udało się dotrzeć do wszystkich sędziów przysięgłych. Ba, musiał przecież mieć wpływ na ich selekcję. Jednak po chwili uznał, że nie chce się tym zajmować. Każdy wiedział, że w tym kraju istnieją siły znacznie potężniejsze, niż zwykły człowiek może sobie wyobrazić. Po co więc próbować? Życie jest piękne, a zbyt rozległa wiedza potrafi je często poważnie oszpecić.

– Podsumowując – zakończył grubas – uznajemy, że na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego nie sposób przyjąć, że oskarżony przekroczył granicę obrony koniecznej.

Sędzia orzekł, że zarzuty wobec oskarżonego zostały oddalone. Procesu nie będzie, z czym najwyraźniej nie mógł się pogodzić

zdenerwowany prokurator. Wykrzykiwał coś do sędziego i ławników, ale nikt go już nie słuchał. Publiczność opuszczała salę.

Więzień został rozkuty. Rozmasował obolałe nadgarstki, rozejrzał się i wolnym, spokojnym krokiem ruszył przed siebie. Teraz czekała go jeszcze krótka wizyta w areszcie, skąd odbierze swoje rzeczy. Kroki stawiał powoli, jakby każdy metr wolności sprawiał mu nieopisaną radość. Patrząc pod nogi, nie zauważył stojącego odrobinę z boku, obserwującego go mężczyzny. Wpadłby na niego, gdyby ten zawczasu się nie odsunął.

- Przepraszam pana - rzekł z uśmiechem Kao.
- Nic nie szkodzi - odparł Baldur Eysturvind.

ROZDZIAŁ 52

Pędzili w dół z boczna śliską, wąską ulicą. Aleks obejrzał się i przez tylną szybę ujrzał duże terenowe auto wypadające z dziedzińca Szkoły Wiatru.

– Spoko! – krzyknął Baldur. – Mają strasznie dużą gablotę. Zgubię ich raz dwa.

– Ładnieście to sobie wykombinowali. – Gall się roześmiał. – Jakieś wyjaśnienia? Może pan, panie Bu-Bu-Bu. Nie pomyliłem imienia czasem?

– Ależ skąd – odparł Kao, szczerząc nieskazitelnie białe zęby. – Bu... Bu... Bu...

– Jak zobaczyłem twoje zdjęcie w dokumentach na biurku, to musiałem się powstrzymać, żeby nie parsknąć. Jeszcze bym opluł dyrektora, a to chyba spory dyshonor.

– Raczej tak. A ty i tak już jesteś w Japonii na cenzurowanym.

– I kto to mówi, sierżancie Yōko? Na twoim miejscu unikałbym Iwo Jimy przez kilka najbliższych turnusów wakacyjnych.

Wybuchli śmiechem. Nawet Baldur, który mimo wszystko pozostawał skupiony. Wbrew jego przewidywaniom terenówka się zbliżała, dlatego coraz mocniej dociskał gaz wynajętej mazdy. Samochód wyraźnie tracił trakcję na zakrętach. Już dwa razy otarł się o metalową barierę. Baldur zdawał sobie sprawę, że trzeci raz może się okazać tragiczny. Ale musiał przejechać jeszcze dziewięć kilometrów. Dziewięć kilometrów szaleńczego, górskiego rajdu.

– Aleks – powiedział, korygując lekko kurs. – Wiem już, po co Halfield ciągnęła cię do Atlanty. Prawdę mówiąc, niezła z niej była sprytcuła. Dzwonił do mnie Honoré Bonaparte. Urządzili u niego zasadzkę. Wkręciła ci ślady po materiałach wybuchowych, żebyś pojechał do Honoré, gdzie już czekał komitet powitalny.

– Nic mu nie jest?

- No, skoro dzwonił, to znaczy, że żyje. A jak znam tego popaprańca, to ci pozostali nie mieli tyle szczęścia. Jeden z nich nazywał się Carter.

- No i dobrze. Jeden problem z głowy. Ale zaraz będziemy mieli kolejny, jeśli się nie skupisz na drodze.

- Spokojna twoja - wystękał Baldur, cudem omijając leżący na poboczu kamień.

- Jesteś jak Colin McRae - pochwalił Kao.

- W dupie mam Colina McRae - powiedział Baldur. - Jestem jak Tom Kristensen.

- Przecież to był kierowca wyścigowy, a nie rajdowy!

- No to sobie wyjrzyj przez okno, a zobaczysz, że właśnie się ścigam.

- A myślałem - zaśmiał się Gall - że wy, Farerzy, nie znosicie Duńczyków.

- Tylko tych, co nigdy nie byli na Wyspach Owczych - oznajmił Baldur. - A Kristensen raz był.

- Od kiedy tu jesteś? - zapytał Aleks, zwracając się do Kao.

- Tu, to znaczy gdzie? Do Japonii przyleciałem dzień przed wami. Myślałem, że Baldur ci powiedział.

- Przepraszam, Aleks - rzekł Baldur. - Nie chciałem tego przed tobą ukrywać, ale kiedy okazało się, że jedziemy na wyspę osobno, nie było już sensu o tym gadać. Należało szybko działać.

- I co wymyśliłeś?

- Miałem sporo roboty. Zebrałem kilka informacji o profilu działalności szkoły i postanowiliśmy z Nate'em, że go tam pošlemy jako pacjenta. Musiałem trochę podziałać przez moich japońskich przyjaciół. Szybko wykonałem odpowiednie papiery. Nawet za szybko, obawiałem się, że nie będą dość dobre. Ale się udało. Nate zamelinował się w szpitalu i zaczął szperać. Jak to on.

- Już pierwszej nocy wydostałem się z izolátky. Banalna sprawa. Tylko ze strażnikami był kłopot. Na szczęście miałem coś, dzięki czemu smacznie sobie pospali.

- A jak się komunikowaliście? - zapytał Aleks.

- Normalnie - odparł Nate. - Pacjent może mieć komórkę.

- Po co komórka facetowi, który potrafi powiedzieć tylko: „bu,

bu, bu”?

– Dobrze pytanie. Na szczęście nikt go nie zadał – oznajmił Baldur.

Nathaniel Kao dołączył do oddziału AQIR w dwa tysiące piątym roku, zaledwie miesiąc po tym, jak został uwolniony od zarzutu morderstwa. Od tego czasu pracowali razem aż do początku dwa tysiące dziesiątego roku, kiedy Aleksowi urodziło się dziecko i postanowił odejść. Zresztą oddział nie był już taki sam, od kiedy ich dowódca, kapitan Dwayne Kowalsky, niespodziewanie porzucił karierę wojskową i zaczął działalność polityczną. W dwa tysiące siódmym roku dostał się do Kongresu, a dowodzenie oddziałem przejął kapitan Ted Harris. Straszny dupek.

O Kao po raz pierwszy usłyszeli w telewizji. Podniecona reporterka relacjonowała na żywo obławę na oskarżonego o morderstwo mężczyznę, który właśnie bez pytania opuścił swój betonowy apartament w więzieniu Holman w Alabamie. To była pierwsza i jedyna ucieczka z tego zakładu, szczyłającego się przecież mianem Supermax. Na Kowalskim zrobiło to duże wrażenie i stwierdził, że stanowczo chce mieć tego chłopaka u siebie. Bez względu na koszty.

Baldur bardzo się postarał, by pozbawić Kao przyjemności obcowania z zastrzykiem śmierci. Przez trzy doby zbierał informacje o potencjalnych sędziach przysięgłych. I na każdego coś znalazł, ponieważ zawsze można coś znaleźć. Reszta była banalnie prosta.

Wysiłki Baldura przyniosły oddziałowi dużą korzyść. Zresztą czy mogło być inaczej w przypadku faceta, który w ciągu sześciu miesięcy nawiał z dziewięciu zakładów karnych? W tym sześciu o zaostrzonym rygorze? Kao potrafił dotrzeć wszędzie i uciec z każdego, nawet najlepiej strzeżonego miejsca, pozostając absolutnie niezauważony. Ucieczka ze Szkoły Wiatru była dla niego dziecinną igraszką.

Mazda dojechała do rozwidlenia dróg, jednak zamiast skręcić wraz z biegnącym w dół zbrocza asfaltem, wyskoczyła z szosy wprost na szutrową, ale dobrze ubitą drogę biegnącą w poprzek góry. Baldurowi udało się nieco oddalić od ścigającej ich

terenówki, ale wiedział, że na szutrze tamci szybko ich dopędzą. Dlatego jeszcze przyspieszył.

– No to znalazłeś coś ciekawego? – zapytał Aleks, a mina Nate’a świadczyła o tym, że owszem, znalazł.

– Drugiej nocy przejrzałem archiwum. Wyobraźcie sobie, że w całej szkole nie ma ani jednego komputera. Odcinają pacjentów od świata. A wszystko, co ważne, piszą na papierze. Miałem cztery godziny, żeby to sobie przeszperać. I znalazłem coś interesującego. Praktycznie wszędzie, pod każdą fakturą, pod każdym zamówieniem, pojawia się jedno nazwisko. I to nie byle jakie. Kamui Kage. Mówi wam to coś?

– Kamui Kage? – nie dowierzał Aleks. – Przecież to japoński minister obrony.

– Właśnie – potwierdził Kao. – I właściciel Szkoły Wiatru. Jestem co do tego całkowicie przekonany.

– Cholera, Aleks! – krzyknął zza kierownicy Baldur. – To się zaczyna składać w jakąś całość, no nie? W Japonii rozbijają się japońskie samoloty, nawala japoński rządowy system kontroli lotów. Nadzorowany przez Ministerstwo Obrony. Ginie japoński kontroler. Wszystko pasuje.

– Hmm.

– Oho – Kao zrobił minę – nasz pan detektyw coś wyniuchał.

– Nie. Zupełnie nie. Tylko przez ostatnie dni zastanawiałem się, czy przypadkiem katastrofa samolotu Weroniki też nie była z tym wszystkim jakoś powiązana. Ale to bez sensu. Amerykański samolot rozbija się w Los Angeles bez awarii amerykańskiego systemu kontroli lotów. Coleman, kontroler lotu, popełnia samobójstwo, policja wyklucza udział osób trzecich, zarówno w formie bezpośredniej, jak i pośredniej. Pomijam fakt, że tam byłem. Zbadałem to. I wyciągnąłem poprawne wnioski.

Baldur nie miał na to dobrej odpowiedzi. Aleks kontynuował:

– Ale jednak to podejrzana sprawa, że w dziwnych okolicznościach rozbijają się samoloty Birda. To jego jedyne katastrofy. Ta Weroniki była pierwszą katastrofą w historii great birda. A teraz to.

– Myślisz, że teściu mógł maczać w tym palce?

– Wiem tylko tyle, że świadomie nigdy nie skrzywdziłyby Weroniki. Ale zastanawia mnie to, co powiedział Chase. O tym, że giną ludzie z oddziału starego. Może ktoś chciał się na nim za coś zemścić?

– Dlaczego Japończycy chcieliby mścić się na twoim teściu, Aleks? – zapytał Nate.

– Nie słuchasz mnie. Jestem absolutnie pewien, że przy katastrofie samolotu Weroniki nie majstrowali żadni Japończycy. To musi być coś więcej.

– À propos Chase’a – wtrącił Baldur. – Niepokoi mnie fakt, że tak łatwo cię odnalazł w Atlancie. Zastanawiam się, czy nasz agencik nie siedzi w kieszeni Vessny.

– Też o tym myślałem. Ale w takim razie dlaczego Halfield nie pozwoliła mu mnie aresztować? Po co przykładała mu broń do skroni?

– To dość proste – odparł Farer. – Gdyby to Chase cię dostarczył, nie miałyby żadnych atutów. A tak? Liczyła, że wymieni cię na życie.

– Sensowne – zgodził się Aleks. – Ale ona musiała się skontaktować z Vessną, zanim mnie przejęła od Chase’a. Vessna miała pełne prawo przypuszczać, że Carter mnie dopadnie u Leo. Dopiero kiedy to nie wyszło, Pauline mogła rozpocząć negocjacje. A jednocześnie wyskoczyła z tymi materiałami wybuchowymi zaraz potem, jak uciekliśmy Chase’owi. Rozumiecie? Od tej nocy na porębie do chwili, kiedy powiedziała o śladach materiałów wybuchowych na fragmencie nosa, cały czas była ze mną.

– No i co z tego? – zapytał Baldur. – Mówiłem. To spryčiuła. Mogła powiedzieć Vessnie cokolwiek. Na przykład, że uciekliście Chase’owi, jesteście razem, tylko poszedłeś się odlać. Jeśli Vessna to łyknęła, to wystarczyło jedynie przejąć cię z rąk agencika i po sprawie.

– Owszem. – Aleks westchnął. – Tak właśnie musiało być. Innego wytłumaczenia nie widzę. Vessna przekazała jej tę formułkę o RDX, Pauline miała mnie zwabić do Honoré, a tam już czekał Carter. Ale najwidoczniej Vessna się zabezpieczyła i posłała do miasta również Chase’a. Podwójne zabezpieczenie.

Jeśli podsłuchiwała telefon Depree, to znała każdy mój ruch.

– No – uśmiechnął się Kao – to wszystko jasne.

– Niezupełnie.

– Co masz na myśli, Aleks?

– To, że ktoś mnie wybawił od Chase'a. W tym zaułku. Ktoś był na dachu parkingu. Z karabinem wyborowym. I wykonał precyzyjną robotę. Wyeliminował Chase'a bez zabijania. A potem sobie poszedł. Co oznacza, że mam sprzymierzeńca. Tylko kogo? Dlaczego mi pomógł? I skąd wiedział, gdzie będę? I jeszcze jedno: Chase mi zdradził, że ktoś mnie ściga, ale nie on. Pytanie tylko, czy to była groźba, czy ostrzeżenie.

– Za dużo pytań – podsumował Baldur.

– I za mało odpowiedzi – uzupełnił Kao.

– Wygląda na to, że muszę porozmawiać z teściem. Może powie coś ciekawego.

– Ale zanim wybierzesz się na rodzinny zlot – przerwał Baldur – musimy opuścić tę jebaną wyspę. W miarę możliwości żywi. Więc trzeba będzie solidnie się sprężyć.

– Spokojnie. Wiem, jak się stąd wydostać. Dzwoniłem rano do przyjaciela. Powiedział, że mamy czas do północy i...

– Potem mi to wyjaśnisz. A na razie posłuchaj, co wymyśliliśmy. Nate, opowiedz mu o planie.

ROZDZIAŁ 53

Ogromna czarna toyota hilux, pikap z podwójną kabiną wyładowaną ludźmi, wskoczyła na szutrową drogę. Dajsuke Rari dodał gazu. Jeszcze kilka chwil temu widział zarys srebrnej mazdy axela, którą ci durni Amerykanie, czy kim tam oni są, nazywają zapewne mazdą 3. Rari był spokojny. Wiedział, że bez problemu dopędzi uciekinierów. Jego hilux miał potężny prześwit i nie musiał zwalniać na dziurawej drodze. Tamci urwą zawieszenie, jeśli dalej będą tak pędzić.

Dynamicznym, kontrolowanym poślizgiem pokonał łuk. Wszystkie cztery koła chwyciły ogromnymi bieżnikami ziemię i auto, sunąc bokiem, wyskoczyło na prostą drogę. Srebrna osobówka była tuż-tuż. Jej kierowca naprawdę znał się na rzeczy. Być może nawet Rari nazwałby go mistrzem, ale najwyraźniej mistrz miał kłopoty. Z całych sił starał się opanować maszynę. Nie nawykł do prowadzenia auta z kierownicą po prawej stronie, bo jego pojazd znosiło lekko na lewą stronę. Standardowa przypadłość wszystkich, którzy rzadko siadają w takim samochodzie.

Rari wdepnął gaz do dechy. Jego trzech towarzysze w milczeniu obserwowali popisy swojego kierowcy. Mazda co chwila znikwała skrywana przez leśnie wiraże, by za chwilę pojawić się znowu, za każdym razem bliżej.

Przecinali las pełen wiekowych klonów, aralii i wspaniałych drzew wiśniowych. Rari, jak każdy uczeń Szkoły Wiatru, fanatycznie wręcz kochał swoją ojczyznę, jej dziedzictwo i przyrodę. Miłość tę wtłaczano mu do głowy codziennie przez ostatnich sześć lat. Aż w końcu nadszedł dzień, kiedy dalsze nauki, niejednokrotnie kończące się dotkliwą karą, jeśli nie przynosiły zamierzonego efektu, nie były mu już potrzebne. Jego miłość była szczerą i bezinteresowną. Został wojownikiem, obrońcą swego kraju. Kamikadze.

Dlatego nie bał się jechać coraz szybciej. Był gotowy poświęcić swoje życie, jeśli zajdzie taka konieczność. I wiedział, że jego towarzysze myślą tak samo jak on.

Teraz jednak nieco zwolnił. Odwaga i gotowość na poświęcenie to jedno, ale frajersko wypaść z drogi i położyć zadanie to zupełnie inna sprawa. Zbliżali się właśnie do najniebezpieczniejszego miejsca trasy. Dwóch ostrych łuków. Pierwszy biegł w lewo i kończył się długą, prawie półtorakilometrową prostą. Potem następował bardzo ostry zakręt w prawo.

Rari się uśmiechnął. Znał tę okolicę. Odbywał tu szkolenia. Za drugim łukiem będzie prosta, która wychodzi z lasu. Wtedy uciekinier znajdzie się na wielkiej kwiecistej łące, która kończy się nagle stumetrowym urwiskiem. Tam już nie będą się mogli schować.

Mazda skryła się za pierwszym zakrętem. Rari zdjął nogę z gazu, redukując bieg. Silnik zawył na wysokich obrotach, ale toyota zwolniła. Przetoczyła się przez zakręt. W końcowej fazie kierowca dodał ostro gazu i terenówka skoczyła w poprzek wirazu. Teraz Rari pędził z całą mocą dwustu czterdziestu pięciu koni mechanicznych. Do kolejnego zakrętu miał półtora kilometra prostej drogi.

Znajdował się w najpiękniejszym miejscu na całej wyspie. Dookoła wznosiły się drzewa. Dzięki bezustannym opadom zieleń była tu zieleńsza niż gdziekolwiek na świecie. Po lewej stronie drogi Rari zobaczył drewniany płotek, postawiony tam jeszcze za cesarza Sanjo, prawie tysiąc lat temu. Wyznaczał stary pieszy trakt ku górze Miyanoura. Była to wędrówka tylko dla najwytrwalszych, a wielu śmiałków, którzy się na nią decydowali, ginęło właśnie tutaj. Na moście linowym rozciągniętym ponad dopływem wodospadu Ohko-no-taki. Kawałek dalej, po drugiej stronie przeprawy, wśród odrzewionych skał górowała stara świątynia dziękczynna. Wybudowano ją, by składać hołd Shichifukujin, siedmiu bóstwom szczęścia. Teraz popadła w ruinę.

Niebezpieczny zakręt zbliżał się bardzo szybko. Rari gwałtownie wcisnął hamulec. Toyotą rzuciło trochę w bok, lecz

płynnym ruchem wyprowadził ją z poślizgu. Jego towarzysze nawet nie drgnęli.

Pokonali bezpiecznie łuk i natychmiast usłyszeli huk rozszalałego morza, uderzającego o kamienne urwisko. Las skończył się tak szybko, jakby go nigdy nie było. Znajdowali się na ogromnej łące, grube opony toyoty miażdżyły kolorowe kwiaty, a serce Rariego krwawiło. Tyle pięknych skimii, azalii i gęsto ścielących się runianek.

Przez zalaną deszczem szybę dojrzał rozmyty kontur srebrnej mazdy stojącej przy urwisku. Jeszcze paliły jej się światła. Podkręcił obroty wycieraczek. Teraz już wyraźnie zobaczył niewielkie auto. Jego silnik wciąż pracował, bo z rury wydechowej dobywał się dym. Ale wszystkie drzwi pojazdu były otwarte.

Podjechali bliżej. Rari doskonale wiedział, że uciekinierzy nie mieli się gdzie ukryć. Teren dookoła nich był zupełnie płaski i pusty. Wprawdzie trawa wyrosła na pół metra, a barwne kwiecie sięgało jeszcze wyżej, ale nawet wyszkolony wojownik nie potrafiłby się stamtąd wyczołgać niezauważony. Jedyna droga ucieczki wiodła w las, lecz ci trzej nie zdołaliby dotrzeć do niego niezauważeni.

A jednak samochód był pusty.

Czterech mężczyzn wyskoczyło z toyoty. Jej rozgrzana maska parowała na chłodnym deszczu. Mazda miała włączone radio. Z głośników płynął spokojny kobiecy głos. Melodyjnie wyśpiewywał odbiorcy, że ma się serdecznie pierdolić, bo on i cała jego ekipa są znienawidzeni, więc niech przypadkiem nie pozostają w kontakcie.

Lily Allen. Prawdziwa poetka.

Rari się skrzywił. Świetnie znał angielski. Podobnie jak niemiecki, włoski czy perski. Uczono go tego w Szkole Wiatru, a on był bardzo pojętny. W dodatku znał Lily Allen.

- Obejrzyj klif. Może tamtędy uciekli - rozkazał jednemu ze swoich ludzi, który natychmiast spełnił polecenie. Wrócił po kilku sekundach.

- Nikogo tam nie ma. Zresztą tamtędy nie da się zejść. Nie ma

żadnej ścieżki. Tylko skały. Bardzo śliskie.

Rari rozejrzał się, usiłując byстрым wzrokiem pochwycić jakikolwiek ruch w okolicy. Nic z tego. Gdzieś daleko, cztery albo i pięć kilometrów na południowy zachód, na rozfalowanym morzu unosiły się wielkie cielska kilkunastu kontenerowców. Rzecz absolutnie zwyczajna. Często kotwiczą w tym miejscu, czekając, aż zwolni się szlak w zatłoczonej o tej porze dnia zatoce Kagoshima. Nie było żadnej łodzi, jachtu czy choćby nawet często przecinającego te wody promu.

– Gdzie się, do cholery, ukryli? – Rari czuł, jak traci nad sobą panowanie. – Sprawdziłeś bagażnik?

– Ja sprawdziłem – rzekł jeden z towarzyszy. – Pusto. Nikogo nie ma. Przepadli. Nie ma też żadnych śladów na ziemi.

– Czyli mam rozumieć, że wyparowali. Czy tak? Rozpłynęli się w powietrzu?! – krzyknął Rari.

Niech to szlag. Tyle lat starał się nauczyć powściągać gniew. I gówno.

– Może spadli w przepaść i się potopili, szefie? Chcę powiedzieć, że może usiłowali jakoś zejść.

– To by było bardzo niekorzystne dla nas wszystkich – odparł Rari. – Pan Shinu chciał mieć ich żywych. Muszą gdzieś tu być. Przeszukać całą łąkę. Kępkę po kępcę. Trawa jest dość wysoka. Może się czołgają. Do roboty!

– Rari, przecież będziemy szukać aż do jutra. To wielki obszar.

Nie skończył, bo twarda pięść wylądowała na jego szczęce. Rari spoglądał z góry na swego podwładnego, a w jego oczach widać było smutek.

Tyle lat staram się nauczyć powściągać gniew. I gówno.

– Zepchnąć samochód ze skarpy – polecił, odzyskując spokój. – Może się pochowali i zechcą wrócić po auto, jak już pójdziemy. To się zdziwią.

ROZDZIAŁ 54

– Już jesteś? Nie za szybko? Zwykle po postrzale ludzie biorą więcej wolnego – zdziwiła się Jenny.

– Wielkie dzięki. Tęskniłaś? Czy wprost przeciwnie?

Chase nie znosił laborantki. Może dlatego, że otwarcie i przy wszystkich nazywała go gejem. I uważała, że to takie fajne. „Nie poddawaj się, Chris”. „Więcej odwagi, Chris”.

Minął ją i poszedł dalej. Przez ostatnie kilka dni sporo stracił ze swojej szlacheckiej pozy. Przede wszystkim ten idiotyczny chód. Wyraźnie utykał na prawą nogę. Poza tym schudł trzy kilo, a jego skóra nie odzyskała właściwej barwy, nawet mimo transfuzji krwi, którą przeszedł w szpitalu Grady Memorial, położonym o dwie i pół minuty drogi karetką od miejsca fatalnego postrzału.

Jedno się jednak nie zmieniło. Chase nie zamierzał się poddać. Pchnął szklane drzwi do pokoju techników. Kiedy wszedł, ucichły wszelkie rozmowy. Dwóch młodszych pracowników natychmiast opuściło pomieszczenie. Pozostał jedynie Diego Gigari, z pochodzenia Urugwajczyk. Diego był człowiekiem, którego Chase potrzebował. Całej reszty uciekających w popłochu młodzików nawet nie zauważył.

– Dobrze cię widzieć, Chris – rzekł Gigari, poprawiając nieznacznie palcem grube czarne oprawki okularów. Widomy znak, że pomimo pozornego luzu był zdenerwowany.

– Ciebie też, Diego – odparł Chase absolutnie nieszczerze. – Czy dowiedziałeś się tego, o co cię prosiłem?

– Nie. Niezupełnie. W sumie zupełnie nie.

– Chyba jestem rozczarowany.

– Nie, nie. Poczekaj. Mam dla ciebie coś w zamian.

– Nie mogłeś tak od razu?

– Chciałeś, żebym ustalił, co to za numery. Tego nie dało się zrobić. Były już nieaktywne. Wykreślone z bazy. Definitywnie i na stałe. U operatorów nie znalazłem kompletnie nic.

- Bardzo szybko - zauważył Chase. - To może wiele oznaczać.

- Nawet nie wiesz jak wiele, Chris. - Gigari westchnął.

Diego zabębnił palcami po blacie biurka, zaśmieconego rozmaitymi komputerowymi podzespołami i narzędziami do prac precyzyjnych.

- Mów! - rzucił Chase.

- Nie udało się ustalić, co to za numery, ale za to udało się sprawdzić, skąd były wykonywane rozmowy. W pewnym przybliżeniu, rzecz jasna. Ale to przybliżenie jest piekielnie nieprzyjemne. Numer Zero ostatni raz łączył się z komórką z Waszyngtonu, gdzieś w kwadracie: Trzecia Ulica, Constitution Avenue, Pierwsza Ulica i Independence Avenue. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, kurwa, co masz na myśli. Numer Zero łączył się z Kapitolu.

Chase zamilkł. Robiło się wesoło. Kapitol? Niech to szlag.

- Coś jeszcze? - zapytał Chase.

- Tak jakby. Natrafiłem na kilka dziwnych rzeczy. Numer Cztery łączył się ostatnio ze stacji bazowej Pensacola w Lesie Pisgah, a wcześniej kilkakrotnie z Japonii.

- Czyli Numerem Cztery była ta dziewczyna. Pauline Halfield. Znaleźli jej ciało z odstrzeloną głową dzień po tym, jak mnie zraniono. Zakładam, że była wtyczką. Gall się jej pozbył. Czyżby kolejny kamyczek do jego i tak już zagraconego ogródka?

- Jest też pewna ciekawostka dotycząca Numeru Dwa.

- Mianowicie?

- Ostatnie połączenie również nastąpiło z Lasu Pisgah.

- No i? Ci ludzie zorganizowali sobie tam małe polowanko, więc co w tym dziwnego?

- Bo było dość dobrze zaplanowane, Chris. Ostatnie połączenie nastąpiło ponad dobę przed przyjazdem Galla.

- Czyli musieli obserwować chatę Burley.

- Przynajmniej od dwudziestu czterech godzin.

- No proszę. Mam nieodparte wrażenie, że ktoś mnie tu robi w wała. Wszystko jest częścią jakiegoś zasranego przedstawienia, w którym dla mnie przewidziano rolę statysty.

I strasznie mnie to wkurwia, Diego.

– Jeśli mogę coś zasugerować. – Technik zdjął okulary i zaczął przecierać szkła rękawem koszuli. Nieco zbyt nerwowo. – Ja bym to na twoim miejscu zostawił. To jakaś grubsza afera. Nie wiem, czy opłaca się walczyć z Kapitołem.

– Dzięki za radę, Diego – rzekł Chase, wychodząc z pomieszczenia.

Kuśtykał przez korytarz w stronę drzwi. Tym razem nie odezwał się do Jenny ani słowem. Nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Myślał.

Tak, jasne. Zostawić to. Taki chuj. Ja wam jeszcze pokażę, skurwysyny. Statysta zamierza odegrać nieco istotniejszą rolę w waszym małym, chorym przedstawieniu. I będzie tym dobrym. A dobrzy zawsze zwyciężają.

ROZDZIAŁ 55

– O ile dobrze zrozumiałem – rzekł Baldur – to chcą zepchnąć samochód w przepaść.

– Że ty w ogóle coś słyszysz. – Aleks się zaśmiał. – Bo ja tylko tę muzykę. Czyj to pomysł?

– Nate’a. Autorski. O, cisza. Znaczy, że pluskwę szlag trafił. Pewnie już zepchnęli wóz.

– Będziesz się musiał tłumaczyć w wypożyczalni.

– Aaa, no tak... – Baldur spojrzał na przyjaciela z wyraźnie urażoną miną. – Bo tobie się pewnie zdaje, że podałem swoje prawdziwe nazwisko i wylegitymowałem się prawdziwym prawem jazdy. Naprawdę, Aleks. Sprawiasz mi dużo zawodu.

Pagoda miała siedem pięter, a każde z nich poświęcono innemu spośród bóstw szczęścia. Oni znajdowali się na najwyższym poziomie, tuż obok wielkiej drewnianej rzeźby boga Ebisu. Amerykanin nazwałby go po prostu krasnałem. Ebisu opiekował się rybakami, zapewne dlatego jego kultowi poświęcono ostatnią kondygnację, z której doskonale było widać całą zatokę.

Dotarcie do pagody nie nastąpiło im problemów, dlatego że Baldur zawczasu przewiesił nad przepaścią dwie mocne liny. Aleks naprawdę podziwiał zapobiegliwość przyjaciela.

Kiedy pokonali pierwszy łuk i na moment zniknęli z oczu napastnikom, wyskoczyli z auta. Kao przejął kierownicę i pojechał dalej sam. Kto jak kto, ale on sobie na pewno poradzi. Aleks i Baldur schowali się w krzakach i poczekali, aż minie ich potężna toyota, po czym ruszyli w stronę pagody. Tu z pewnością nikt ich nie będzie szukał. Dla każdego Japończyka wejście do świątyni stanowiło świętokradztwo. To cud, że nieremontowany od stuleci budynek jeszcze nie runął. Aleks chciał nawet powiedzieć coś wesołego na ten temat, ale zorientował się, że Baldur zasnął. Nic dziwnego. Nie spał od siedemdziesięciu

godzin.

Obudził się dopiero po godzinie.

– Kiedy zjawi się *Earl*? – zapytał nieoczekiwanie. Aleks, który w tym czasie błędził gdzieś myślami, potrzebował chwili, by powrócić do realnego świata.

– *Earl* już jest – odparł w końcu, wskazując palcem na rozmywający się w deszczowej mgiele kontur wielkiego kontenerowca.

Gigant leniwie huśtał się na fali. To lekko przegłębiał się na dziób, to na rufę, i tak sobie trwał na przekór coraz gwałtowniejszemu żywiołowi.

– Zatem? – powiedział Baldur.

– Czekamy – wyjaśnił Aleks. – Łódź przybędzie po zmroku. Ale musimy dotrzeć do portu, bo tę stronę wyspy na pewno obserwują. Zresztą tu nie da się zejść do wody. A do portu mamy spory kawałek.

– Mam nadzieję, że Bu-Bu-Bu sobie poradzi. – Baldur westchnął.

– Bu-Bu-Bu już tu jest – odezwał się głos za ich plecami. – Ale nie nadużywajcie tej ksywki, bo się pogniewam.

Przywitali go radośnie, nie zwracając uwagi na to, że od stóp do głów umazany jest błotem.

– Było ciężko – przyznał Kao. – Musiałem się stamtąd wyczołgać. Kiedy ten najważniejszy kazał reszcie przeszukać zarośla, leżałem nie dalej niż pięć metrów od niego.

Nate wyszedł na drewniany taras pagody i pozwolił, by deszcz obmył jego ciało. Wiatr dął coraz silniej.

– Znowu będzie sztorm – rzekł, kiedy zaschnięte błoto zamieniało się w ziemistą breję i wraz z wodą spływało mu po twarzy. – Nie masz szczęścia, Aleks.

– Przeciwnie. Zobacz, jak tu pięknie, kiedy pada deszcz.

ROZDZIAŁ 56

Dochodziła dwudziesta druga i Chase naprawdę się spieszył. Koniecznie musiał dotrzeć do kostnicy, zanim Finn Downey skończy pracę.

Downey był słabo maskującym się homoseksualistą. Chase ze swym androgynicznym urokiem mógł wyciągnąć od niego każdą informację. Czego nie można było powiedzieć o Stamptonie, który przyjdzie na trzecią zmianę. Chase docisnął gaz. Noga zabolęła, więc zaklął paskudnie.

Podjechał pod kostnicę przy Massachusetts Avenue pięć minut przed dziesiątą. Wygramolił się z caymana i pokuśtykał do wejścia. Mignął legitymacją przed oczami zaspanego strażnika i wszedł do wnętrza budynku. Windą zjechał do podziemia. To tylko jedno piętro, ale ta cholerna noga...

Downey właśnie szykował się do wyjścia.

– Och, witaj, Chris. Co tu robisz? – zapytał niemal dziewczęcym głosem.

– Przyjechałem cię odwiedzić, Finn – powiedział Chase z uśmiechem, starając się, by w jego głosie zabrzmiała romantyczna nutka.

– Naprawdę? Cóż. Właśnie wychodziłem.

– To zajmie tylko chwilkę. Zawsze chciałem tu przyjechać po godzinach. No wiesz. Zwiedzić kostnicę od zplecza.

– Od... Od zplecza?

– Zwykle przyjeżdżam tu służbowo. Na okazania. Chciałbym zobaczyć coś więcej.

– Co na przykład? – zapytał zaciekawiony Downey.

– Ciało. Jak ono wygląda po śmierci?

– Dokładnie tak samo jak na okazaniu.

– Pokaż mi.

– No nie wiem, Chris. Mogę mieć kłopoty.

– Finn... Myślę, że nikt się nie dowie, jeśli będziemy mieli jakiś

mały sekret. Czy dwa.

Chase uśmiechnął się promiennie. Downey odpowiedział takim samym uśmiechem.

– No dobrze. Ale szybko. Kogo chcesz zobaczyć?

– Może Burley?

– Burley, Burley... A wiem. Ta śledcza z NTSB. Niedawno ją przywieźli z... No, skądś tam. Czekaj, muszę zerknąć w papiery.

Downey przerzucił kilka kartek.

– A tak, wiem już. Chodź za mną.

– Weź ze sobą dokumenty.

Ruszyli długim, ciemnym korytarzem. Chase miał w głowie mętlik. Nie podobało mu się to wszystko. A najbardziej to, że Hazel zabronił mu schwycić Galla w Atlancie. „Masz tam pojechać i go spłoszyć. Przejmie go ktoś inny. To rozkaz, Chase”. Ale Chase nie przywykł do takich rozkazów. Miał celowo zrezygnować z ujęcia zbiega? No to chyba mnie jeszcze nie znacie, skurwiele – pomyślał. Gall miał rację. Zrobili z niego zwykłego psa gończego. Niedoczekanie. Więc postanowił zrobić swoje. A teraz może i ma strzaskaną nogę, ale za to pozbył się kłapek z oczu.

Kilka faktów mu się nie zgadzało. Gigari uważał, że inwigilacja domu Burley zaczęła się przynajmniej dwadzieścia cztery godziny przed dotarciem Galla na miejsce. Bzdura. To nierealne. Samolot z Japonii wylądował o dziesiątej rano. Na konwój napadnięto około południa. Kiedy mogli się zorientować, że Gall zabrał dyski? Może o pierwszej po południu. Mieliby dziesięć godzin, żeby wyciągnąć wnioski i wysłać na miejsce obserwatora. To się nie trzymało kupy. Jediną osobą, która mogła odebrać ten zaszraną telefon, był ktoś, kto przebywał na miejscu. Leonore Burley. Pieprzona Numer Dwa. To musiała być ona. Cholernie głęboko zakonspirowana stara suka. Gallowi pęknie serce.

Kiedy Chase zdał sobie z tego sprawę, przypomniał sobie jeszcze jeden fakt. Oględziny posesji Burley świadczyły, że stara miała psa. W nieobjętej pożarem kuchni stała miska z suchą karmą. Na werandzie druga. Na podmokłym gruncie znajdowały się ślady psich łap. Ale w okolicy nie natrafiono na żadnego psa. A ten, sądząc po śladach, był dość duży, więc trudno by go było

przegapić. Co się z nim stało? Nie znaleziono jego truchła, więc nie został zabity. Stara musiała go stamtąd zabrać. Upozorowała swoją śmierć i uciekła ze zwierzakiem. Bo niby jaki pies po śmierci właściciela tak po prostu poszedłby sobie w las? Nie, nie. Na pewno nie.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił Downey.

Odnalazł odpowiednią szufladę i wysunął ją. Na metalowym, sterylnym łożu leżała przykryta prześcieradłem postać.

– To może być dla ciebie dość trudne – powiedział Downey. Wobec braku reakcji Chase’a podniósł biały materiał. Zwłoki były niemal doszczętnie spalone. Z twarzy nic nie pozostało. Tylko dłonie i stopy wydawały się nienaruszone.

Chase zerknął w swoje notatki. Zanim tu przyjechał, przetrząsnął komputery, zarówno w FBI, jak i w NTSB. Dzięki temu zdobył kilka ciekawych informacji.

– Odciski palców, jak rozumiem, należą do Leonore Burley – rzucił Chase.

– Owszem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Podejrzewasz, że to nie ona?

– Czy ja wiem? – Chase się uśmiechnął. – Sprawdzam tylko. Słuchaj, według moich informacji Burley miała wstawiony bypass. Możesz to zweryfikować?

– Już to zrobiłem. Denatka z całą pewnością przeszła pomostowanie aortalno-wieńcowe. Na oko przynajmniej sześć lat temu. Ciało jest wprawdzie mocno uszkodzone, ale kości zachowały się w dobrym stanie. Widać zrosty na żebrach po operacji serca.

Szlag. Dokładnie sześć lat temu. Wszystko się zgadzało.

– A jakieś ślady po złamaniach?

Downey spojrzął w swoje dokumenty.

– Rozumiem, że chodzi ci o starsze urazy?

– O wszystkie.

– Złamanie kości promieniowej, bardzo dawno temu. Ponowne złamanie kości promieniowej. W innym miejscu. Również dawno temu. Złamanie kości strzałkowej. Stare. Kilka śladów po urazach żeber. Do tego mamy jeszcze złamanie kości jarzmowej i kości

skroniowej, ale to już na pewno post mortem. Ktoś pewnie myślał, że stara jeszcze żyje i wpakował jej kulę.

Chase był rozczarowany. Wszystko się zgadzało.

– Przebyte choroby?

– Nic poważnego. Gruźlica w dzieciństwie.

Agent westchnął. Schował swoje notatki do kieszeni.

– Dzięki, Finn. Nie musisz mnie odprowadzać. Trafię do wyjścia.

– Jasne. Tylko... Wiesz, właśnie kończę. Pomyślałem, że może wyskoczmy na drinka? Tu niedaleko jest taki fajny...

– Finn – przerwał mu Chase. – Czy ja wyglądam na pedała?

ROZDZIAŁ 57

– Jesteś bardzo niegrzeczny, Misiaczku. – Zachichotała. Misiaczek nie odebrał tego jako reprimendy i nadal usiłował wsunąć jej dłoń pod sukienkę. Ze słabym skutkiem. Raz, że sukienka była naprawdę obcisła, a dwa, że stanowczo za dużo wypił.

Nie powiedziałyby, że jest w jej typie. Starszy nawet od niej. W dodatku tęgawy. Ale zadbany, dobrze ubrany i dopóki nie wypili razem morza alkoholu, nie śmierdziało mu z ust. A to naprawdę duża zaleta.

Ona również nie była w typie Misiaczka. Na pewno już po pięćdziesiątce, więc na oko ze dwa razy starsza niż dziewczyny, które zwykle wybierał. I miała naprawdę ogromny tyłek. Ledwo się mieścił w tej niebieskiej kiece. Ale mimo to uważał ją za dość zgrabną. Może i duża z niej była kobitka, ale na górze miała tyle samo co na dole, a pośrodku znacznie mniej, dzięki czemu wyglądała naprawdę atrakcyjnie. Zadbane czarne włosy, wyzywający, ale kobiecy makijaż, przyjemnie rozchodzący się po nozdrzach, lekko słodkawy zapach perfum, który zapewne maskuje zapach starzejącego się ciała, dokładnie taki sam, jaki on maskuje swoją wodą kolońską. No i miała jeszcze jedną zaletę. Taką, dzięki której znaczyła dla niego więcej niż te wszystkie młode siksy. Była za darmo.

Choć w słusznym wieku, Misiaczek wciąż miał duże potrzeby. Zaspokajał je często, ale już dawno mu się nie zdarzyło po prostu kogoś poderwać.

Zauważył ją zaraz po tym, jak wszedł do knajpy. Bo takie kobiety jak ona zawsze przyciągają spojrzenia. Gapił się w jej dekolt tak intensywnie, że w końcu go na tym przytapała. Ale uśmiechnęła się tylko i zrozumiał, że coś jest na rzeczy. Podszedł, zaproponował drinka. Przystąpiła na propozycję.

Powiedziała, że ma na imię Coco, w co ani przez chwilę nie

uwierzył. On z kolei przedstawił się jako Antonio, w co nie uwierzyła ona. Mniej więcej po trzecim kieliszku nazywała go już Misiaczkiem, a jemu to się spodobało. Trochę jak w starych pornosach. A to było zachęcające.

Trochę sobie pogadali. Co robisz w życiu? E, takie tam nudy, a ty? No ja też. Gdzie twoja żona? Nie mam żony, zmarła dwadzieścia lat temu. Ojej, przykro mi, ja się rozwiodłam, bo bla bla ba. I tak im płynął czas. A z każdą chwilą Misiaczek czuł, że nadciąga upragniona chwila. Najwspanialszy wieczór od lat. W końcu nieśmiało zaproponował, by przenieść się w cichsze miejsce. Ona z kolei powiedziała, że chciałaby już jechać do domu, ale on może wpaść „na drinka”.

Dlatego jechali teraz taksówką, nie kryjąc już swoich pragnień, szepcząc sobie na uszka świństewka, po jakich zaczerwieniłyby się nawet sam Ron Jeremy.

Cholerna, obcisła sukienka – wściekał się w myślach Misiaczek. W końcu zrezygnował. Ostatecznie zaraz będą na miejscu, a wtedy...

Kierowca się nie spieszył. Cholerny, leniwy Polak. W dodatku co jakiś czas zerkał w lusterko. Pewnie miał nadzieję, że zobaczy choć kawałek cycka. Ale tego wieczoru Misiaczek nie zamierzał się dzielić. A w każdym razie nie kobietą. Wyjął z kieszeni marynarki sto dolarów. Miały być na dziewczynę, no ale skoro jest tu Coco... Postukał kierowcę w ramię.

– Setka dla pana, jeśli trochę pan przyspieszy – oznajmił.

Kierowca wziął banknot i trochę przyspieszył.

W końcu odrobinę po północy dotarli do jej mieszkania przy Siedemnastej Północno-Zachodniej. Coco w locie przywitała się z portierem, ciągnąc Misiaczka za rękę, zupełnie jakby go próbowała przemyścić do akademika. Gdy wcisnęła guzik windy, czuł, że już nie wytrzyma, ale portier przypatrywał mu się badawczo, więc rzucił się na Coco dopiero wtedy, gdy weszli do windy. Błyskawicznym ruchem podwinął jej sukienkę. Podjechała w górę, jakby tylko na to czekała. Coco zaśmiała się, ale nie pozwoliła się obrócić.

– Jeszcze chwileczka, Misiaczkule. Jeszcze momencik –

zamruczała, poprawiając materiał.

Wydał z siebie pomruk jak lew na sawannie, a ona ponownie zachichotała.

Wypadli z windy. Ona oczywiście nie mogła znaleźć klucza przez dłuższą chwilę. Gdy znalazła, nie mogła nim trafić do dziurki. Misiaczek zawarczał.

W końcu pchnęła drzwi i wślizgnęła się do środka, a on za nią. Gdy za nimi zamknęła, przez chwilę było zupełnie ciemno.

Zapaliła światło, a on ujrzał mężczyznę siedzącego w fotelu. I mierzącego do niego z broni.

– Co? Kim pan...

– Zamknij się – odparł spokojnie Venom, podnosząc się z fotela. Powoli podszedł do Coco.

– Pięknie wyglądasz – powiedział z uśmiechem, a ona wzięła się pod boki.

– Nie czaruj, nie czaruj – odparła. – Wiesz, kiedy ostatnio miałam na sobie coś takiego?

– Wczoraj?

– Bardzo śmieszne. W każdym razie pamiętaj, że nie wbijam się w takie kiecki za darmo. Nawet dla takich przystojniaków jak ty.

– Spokojnie. Zapewniam cię, że twój były mąż już nigdy nie sprawi ci przykrości. A teraz uciekaj, bo muszę porozmawiać z naszym gościem.

Ruszyła w kierunku drzwi. Nim wyszła, zakręciła pupą. Zupełnie jakby chciała jeszcze raz poczuć na sobie męski wzrok.

– Wiesz, co to jest? – zapytał Venom, pokazując Misiaczkowi pistolet. Ten pokiwał głową. – No, to siadaj.

Misiaczek posłuchał. Trzymając uniesione dłonie i wbijając przestraszony wzrok w Venoma, podszedł do fotela. Gdy w nim usiadł, morderca się zbliżył.

– Jest tak wiele rzeczy, o których musimy porozmawiać – rzekł, stawiając na stoliku dyktafon. – A raczej, o których ty będziesz mi musiał powiedzieć, van den Crooigh.

ROZDZIAŁ 58

– To jest absolutnie niesamowite – stwierdził Baldur, spoglądając na wzburzone morze przez jedną z dziesiątek szyb ogromnej sterówki.

Mimo wysokiej fali i silnych podmuchów wiatru statek wydawał się stać w miejscu. Nie wychylał się na żadną z burt, a oscylacja wzdłużna nie przesuwiała nawet kubka z gorącą kawą stojącego na stoliku obok. Jedynym odczuwalnym ruchem było delikatne nurzanie, kiedy załadowana po brzegi jednostka przysiadła lekko na fali, a potem się wznosiła.

MS Earl Mærsk do niedawna był największym kontenerowcem świata. Należał do tej samej serii, co jego starsze i bardziej znane siostry – Emma i Eleonora. Potem na ocean wypłynęły jeszcze większe giganty – Marco Polo przedsiębiorstwa CMA CGM i McKinney Møller Mærsk.

Prawie czterysta metrów długości, pięćdziesiąt sześć metrów szerokości na szczycie owreża i piętnaście tysięcy dwudziestostopowych kontenerów na pokładzie. Baldur nie mógł uwierzyć, że stoi prawie pięćdziesiąt metrów nad powierzchnią wody. I że pod jej powierzchnią znajduje się jeszcze piętnaście kolejnych metrów blaszanego cielska.

Earl na pełnym morzu potrafił się rozpędzić do około trzydziestu węzłów. Pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Sto siedemdziesiąt jeden tysięcy ton, licząc z ładunkiem. A wszystko dzięki silnikowi głównemu od Wärtsilä i pięciu caterpillarom, generującym łącznie sto pięćdziesiąt tysięcy koni mechanicznych. Jednak najbardziej ze wszystkiego zdumiewał Baldura fakt, że do obsługi tego wystarczy trzynaście osób. Gęstość zaludnienia na statku była nawet mniejsza niż na jego rodzinnych Wyspach Owczych.

Ruszył wzdłuż mostka, który stanowił długi na pięćdziesiąt pięć metrów korytarz. Dokładnie pośrodku znajdowała się ogromna

sala. Centrum dowodzenia.

Pomieszczenie świeciło pustkami. Przy dziesiątkach emanujących delikatnym światłem monitorów siedziało jedynie dwóch marynarzy.

Pierwszym z nich był sternik, który obecnie nie miał za wiele do roboty, ponieważ statek stał na kotwicy. Jego jedynym zadaniem było utrzymywanie niskich obrotów maszyny, bo korektę dryfu wykonywał komputer. Dzięki temu nie istniało ryzyko, że gigant zerwie się z uwięzi.

Drugi z mężczyzn miał około sześćdziesiątki. Długi siwy zarost i kraciasta flanelowa koszula nadawały mu raczej wygląd szypra kutra rybackiego niż kapitana potężnego kontenerowca.

Kapitan Andrzej Malinowski był dowódcą tej jednostki od czasu jej pierwszych prób morskich i jednym z najlepszych fachowców na morzach i oceanach.

– Musicie mieć dobre szkoły w tej Polsce – zagadnął Baldur. – Byle komu chyba się takich statków nie daje.

– Skromność zabrania mi przytaknąć – odparł z uśmiechem kapitan. – Ale moi rodacy pływali i na większych łajbach.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Zapewne nie słyszał pan o kapitanie Wiktorze Bąku.

– Z przykrością przyznaję, że nie.

– Był swego czasu kapitanem TT Knock Nevis. Największego statku wybudowanego kiedykolwiek przez człowieka. Ponad czterysta sześćdziesiąt metrów długości, siedemdziesiąt metrów szerokości i dwadzieścia pięć metrów zanurzenia.

– To jakiś potwór!

– Tak. I co ciekawe, zatonął podczas wojny irańsko-irackiej. Dostał pociskiem w śródokręcie. Ale go podniesiono z dna i wyremontowano.

– Że coś takiego w ogóle pływa!

– I to całkiem niezłe. Służył równo trzydzieści lat. Z czego dwadzieścia po podniesieniu z dna. To kawał historii. Ale świat idzie do przodu. W grudniu zostanie zwodowana Prelude *FLNG*. Po prawdzie to jedynie pływająca platforma wydobywcza, bez własnego napędu. Widziałem ją niedawno na pochylni w stoczni.

Mówię panu, nawet TT *Knock Nevis* nie może się z nią równać. Czterysta osiemdziesiąt osiem metrów długości i siedemdziesiąt pięć szerokości. Mieści trzysta pięćdziesiąt tysięcy ton LNG. Mój Earl to przy niej kajak.

– No to nie chciałbym być jej dowódcą. – Baldur westchnął. – Trzysta pięćdziesiąt tysięcy ton gazu zapewne potrafi nieźle dmuchnąć, gdyby tam przyłożyć jakąś iskrę. A ja całkiem sporo palę.

– Amerykanie twierdzą, że wybuch takiej ilości LNG miałby większą moc niż siedemdziesiąt bomb zrzuconych na Hiroszimę. Ale taki wybuch jest nieprawdopodobny. Po prostu nie ma możliwości, by ulatniający się gaz zyskał odpowiednio duże stężenie. Gazowce są całkiem bezpieczne. Jeszcze żaden nigdy nie zatonął. Są objęte dużo bardziej restrykcyjnymi przepisami i mają tyle elektroniki, że kablami oplółby pan kulę ziemską ze sto razy. No, ale niestety palić na nich nie można.

– Wszystko pięknie – powiedział Baldur. – Ale pozostają jeszcze ataki terrorystyczne.

– To fakt. I piraci idioci. A nuż sobie taki uwidzi, że zwinie gazowiec w Zatoce Adeńskiej. Wtedy może być naprawdę groźnie.

Kiedy wsiedli na statek, Aleks poszedł spać. Baldur nie mógł tego zrozumieć. Choć urodził się i wychował na Wyspach Owczych, choć służył w elitarnej jednostce morskich komandosów, zawsze odczuwał pewien niepokój w czasie sztormu. Być może to przez szacunek dla siły przyrody, którego uczyła go matka. W każdym razie mały Farer mógł zmierzyć się z każdym człowiekiem na świecie, ale teraz zwyczajnie miękły mu nogi. A Gall po prostu poszedł spać.

– Długo pan zna Aleksa? – zapytał Baldur, czując, że rozmowa się urywa.

Kapitan wzruszył ramionami. Przez szybę spoglądał na umieszczony wysoko ponad dziobem punkt obserwacyjny. Chwilę temu wysłał tam człowieka, żeby sprawdził, czy statek nie przegłębia się za bardzo na dziób. Elektronika elektroniką, ale Malinowski wierzył, że marynarz z dobrym okiem poradzi sobie

z tym zadaniem lepiej niż komputer. Wciąż jeszcze ogromna metalowa wieża pozostawała pusta. Najwyraźniej marynarz tam nie dotarł. W taką pogodę trzeba być ostrożnym. Łatwo się pośliznąć na mokrym gretingu i wypaść za burtę.

– Miał wtedy osiemnaście lat. Późną jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku płynęliśmy z Gdyni do Reykjavíku, zahaczając zresztą o pańskie Wyspy Owcze. Odbywaliśmy rejs na Pegi, regacie szkoleniowej Politechniki Gdańskiej. Niecałe dziesięć godzin po tym, jak wypłynęliśmy z Torshavn, dobrze po drugiej w nocy weszliśmy zupełnie niespodziewanie w obszar występowania gór lodowych. Nie spodziewaliśmy się ich tak daleko na południu. Przy sterze stał oficer wachtowy. Prócz niego wachtę pełniło jeszcze sześciu kursantów, w tym Aleks. Reszta spała. Kapitan również. Pierwsze uderzenie rozwalilo bukszpryt, który wyłamał się na prawą stronę, ciągnąc za sobą kliwry. Statek zsunął się z góry i mocno pochylił na sterburtę. Przechył przekroczył siedemdziesiąt stopni. Pierwszy maszt uderzył o górę i pękł jak zapałka. Poleciał na lewo i wpadł do wody. Liny pociągnęły i Pegi przewróciła się na burtę. Woda zerwała relingi i zaczęła się łać przez pokład.

– Moment! – rzucił Badlur. – Znam tę historię. Mój stary płynął tam z pomocą. Był rybakiem. Ale wtedy wszystko dobrze się skończyło.

– Dzięki Aleksowi.

– Co zrobił?

– Właściwie wszystko. Można powiedzieć, że przejął dowodzenie jednostką, bo oficer wachtowy zgłupiał. Kazał pozamykać wszystko, co się dało, i dzięki temu woda nie wdarła się za szybko do wnętrza statku. Toporem pościął wszystkie liny i żagiel zatonął. Ale łajba wstała.

– Tak. Teraz sobie przypominam. To była głośna sprawa. Ale patrz pan, tyle lat się znamy z Alekssem, a on nigdy mi tego nie opowiedział.

– Niewiele o sobie mówi.

– To fakt. Pamiętam, że żaglowiec przyholowano do stoczni w Skáli. Byłem tam, żeby na niego popatrzeć. Kto wie. Może

nawet widziałem Aleksa.

– Raczej nie. Załogę ewakuowano śmigłowcami do Reykjavíku. Dobę później wszyscy byli już w Polsce. Prócz kapitana.

– Tak, tak. Nasze gazety dużo o tym pisały. Kapitan spał. Jak go obudzili, okazało się, że był pod wpływem alkoholu.

– To ja byłem kapitanem – przerwał stanowczym głosem Malinowski. Stanowczym, ale cichym i przepełnionym goryczą.

Zapadło niezręczne milczenie. Baldur czuł sympatię do tego starego wilka morskiego. Ale nie wiedział nawet, jak ją w takiej sytuacji okazać. Powiedzieć, że nic się nie stało? Że każdy popełnia błędy? To chyba ostatnie, co on sam chciałby usłyszeć, będąc na miejscu Malinowskiego.

Stary kapitan wyciągnął papierosy. Poczęstował Baldura. Zapalili.

– Dostałem cztery lata, które odsiedziałem w paskudnym zakładzie karnym w Iławie. I siedmioletni zakaz wykonywania funkcji kierownika statku we flocie handlowej. Jeden wyrok gorszy od drugiego. Ale przemęczyłem się. I wróciłem. A alkoholu nie tykam. Od wtedy.

– Nie ciągnie pana?

– Ani trochę. Ale niech pan pomyśli: gdyby nie Aleks, poszlibyśmy na dno. Zakładając nawet, że udałoby mi się przeżyć, moi załoganci potopiliby się jak szczury. Zapewne zgniłbym w więzieniu. A co gorsza, nigdy już nie zobaczyłbym morza. Dlatego Aleks jest dla mnie szczególną postacią. I dlatego bez wahania zgodziłem się wam pomóc.

– No to szczęście, że Earl był w pobliżu, kapitanie.

– Tak, to istotnie szczęśliwy zbieg okoliczności, ale i bez tego byśmy was stąd zabrali. Widzi pan te wszystkie kontenerowce? Tam, za nami kotwiczony Gerd, dowodzony przez mojego dobrego przyjaciela, kapitana Josha Catterby. Za Gerdem buja się Stepanique. Jej kapitanem jest rdzenny Nigeryjczyk, kapitan Banyingela Tshombe. Jeden z najlepszych w fachu, a nie ma nawet pięćdziesięciu lat. Znam wszystkich. Każdego kapitana każdego kontenerowca świata. Aleks doskonale wiedział, że każdy z nich udzieli wam schronienia na swoim statku. A w tej

zatoce zawsze coś cumuje.

– Trym w normie, kapitanie – rzekł głos w krótkofalówce. Najwyraźniej marynarz dotarł w końcu do punktu obserwacyjnego.

– Przyjąłem. Wracaj – odrzekł kapitan. – Bądź ostrożny.

– Tacy jesteście solidarni? – dopytywał Baldur.

– Kiedy jeden prosi drugiego o tego typu pomoc, to nigdy sobie nie odmawiamy. Tshombe swego czasu szmuglował swoich rodaków do Europy. Kiedy przybijał do Lagos, Pointe-Noire czy innego portu w Afryce, zawsze zabierał na pokład kilka osób. Ale przesadził. W zeszłym roku w ślad za nim popłynęły dwa patrolowce US Navy. Na środku Atlantyku, przy wyjątkowo podłej pogodzie, awaryjnie przejąłem od niego pasażerów. Dwie doby później amerykańscy żołnierze przetrzepali mu statek z góry na dół. Nikogo nie znaleźli. Myśli pan, że kapitan Tshombe odmówiłby mi pomocy?

Chwilę jeszcze pogadali, ale wkrótce kapitan zarządził przygotowania do podjęcia marszruty. Do portu było blisko, a pogoda sprawiała, że inni woleli pohuścić się na kotwicy, niż wpływać w wąskie gardło zatoki Kagoshima.

– Rozumiem, że nie będzie pan spał, panie Eysturvind – rzucił jeszcze Malinowski, nim zajął się swoimi sprawami.

– Nie, raczej nie.

– W takim razie sugeruję, by zjechał pan na pierwsze piętro. Mamy tam coś w rodzaju living roomu.

– Brzmi trochę jak drzemka na kanapie.

Malinowski zaśmiał się krótko. Mostek zaczął wypełniać się ludźmi.

– Powiedział pan, że drzemka go nie interesuje. A na pierwszym piętrze mamy duży telewizor. I konsolę.

Oczy Baldura zrobiły się okrągłe jak u każdego trzydziestoparolatka, gdy ma wolny wieczór i dostęp do pada.

– Niech pan nie mówi, że jest Fifa.

– Ba. W trakcie każdego rejsu rozgrywamy mistrzostwa.

Nic mu więcej nie trzeba było mówić. Baldur wszedł do windy i zjechał na dół. Salonik nie załapałby się nawet do

dwugwiazdkowego hotelu, ale miał skórzaną kanapę i kilka worków z granulatem. I był zupełnie pusty.

Baldur odpalił Fifę. Wypis Owczycy nie było w grze. Odruchowo wybrał reprezentację Danii. Tak to już z nami jest – pomyślał. – Niby ich nie cierpimy, ale jak przychodzi co do czego, to wybieramy reprezentację Danii. Jako rywala zaznaczył Polaków. Pewnie dlatego, że Aleks by ich wybrał, gdyby nie poszedł kimać.

Ile to już się znali? Długo. Baldur miał wtedy dwadzieścia osiem lat. A może dwadzieścia dziewięć? Początek tej znajomości nie wróżył wielkiej przyjaźni. Baldura drażnił chłód Aleksa, a Aleksa irytowała gorąca krew Baldura. „Jak to możliwe, że człowiek, który całe dzieciństwo przeżył w temperaturze szesnastu stopni, tak łatwo się podpala?” – pytał. Raz się nawet pobili.

A jednak Aleks był jedynym człowiekiem na świecie, dla którego mały Farer poświęciłby życie.

Ostatnio długo się nie widzieli. Po śmierci Weroniki Aleks zniknął. Oczywiście przed Baldurem nie dało się po prostu schować. Ale przyjaźń zobowiązuje. Ważne jest zaufanie. Toteż Baldur nie szukał Aleksa. Wiedział, że gdy przyjdzie czas, przyjaciel sam się do niego odezwie.

Jednak mimo to, mimo czterech długich lat rozłąki, Baldur wciąż potrafił czytać z Aleksa jak z otwartej książki. A wniosek z tego czytania mógł być tylko jeden.

– Nie mówisz mi wszystkiego, przyjacielu – mruknął pod nosem, a Lewandowski w tym czasie strzelał gola na jeden do zera dla Polski.

ROZDZIAŁ 59

Sądząc po zachowaniu, barman był również właścicielem knajpy. Miał bardzo duży brzuch, co dało Aleksowi do myślenia. Rozważał obecnie, czy grubas był jedynie niedouczonego nieszkodliwym idiotą, czy może wprost przeciwnie – douczonym i szkodliwym.

Oczekiwanie na Baldura, który obserwował wyjście Earla z portu, przedłużało się, więc Aleks wszedł do baru. Bar nosił nazwę Fat Man. Bar Fat Man w samym sercu Nagasaki. To trochę tak, jakby w Ground Zero założyć knajpę Al-Kaida.

Tonkatsu było pyszne. Aleks spałaszował je, zanim jeszcze dobrze ostygło. Nie rozumiał ludzi, którzy jedzą sushi. Kto normalny je surową rybę, jeśli może zjeść smażoną wieprzowinę?

Gdy był w połowie ostatniej porcji kotleta, w Fat Manie pojawił się Baldur. Usiadł koło Aleksa i zamówił sushi.

Aleks poszydził z niego kilka chwil. Potem porozmawiali o głupotach. W końcu Gall ziewnął.

– Jesteś zmęczony, bracie? – zapytał Baldur.

– Tak. Wracam do hotelu. A ty?

– Chciałbym jeszcze odwiedzić pewien przybytek rozkoszy.

– Kpisz?

– Coś ty. Ale spokojnie, nie chodzi mi o kurewki. W Nagasaki mam pewnego znajomka. Mówił mi kiedyś o ciekawym, zakonspirowanym ryneczku, gdzie można kupić bardzo fajne elektroniczne zabawki. Chciałbym skorzystać z okazji, jeśli pozwolisz.

– To zjedz spokojnie i zobaczymy się wieczorem w hotelu. Tylko nie zabaw za długo. Samolot odlatuje o piątej rano.

– Nie musisz mi przypominać. Weź taksówkę.

– Raczej się przejdę. Przestało padać i powietrze zrobiło się bardzo przyjemne.

Wyszedł na ulicę. Słońce faktycznie przebiło się przez chmury i robiło, co mogło, by choć na chwilę rozradować przemoknięte i zmarznięte miasto.

Szedł powoli, bo nigdzie się nie spieszył. Zastanawiał się, czy aby na pewno jest dobrze przygotowany. Dużo się nauczył od Leo, to prawda. Ale teraz czuł się zagubiony. Tyle pytań bez odpowiedzi. Tworzył rozmaite teorie, ale każda konstrukcja była wadliwa i waliła się w gruzy, gdy tylko położył na niej zbyt duże obciążenie.

Spacerując, Aleks zauważył, że Nagasaki, jak na japońskie warunki, jest miastem cichym i powolnym. Dużo mniejszym niż Tokio, to oczywiste. Ale również mniejszym i nie tak gęsto zaludnionym jak choćby jego rodzinny Gdańsk.

Zamierzał dotrzeć do Parku Pokoju i na własne oczy zobaczyć słynną Strefę Znaków Pokoju. A przede wszystkim Kwiat życia i pokoju, kamienną rzeźbę zaprojektowaną przez Mariusza Kulpę i przekazaną mieszkańcom Nagasaki jako dar od narodu polskiego. Ale żeby dotrzeć dokądkolwiek w japońskim mieście, trzeba być Japończykiem. System adresowy jest tak skomplikowany, że Aleks nawet nie próbował się go nauczyć.

Zamiast do Parku Pokoju dotarł na stadion baseballowy, nazywany przez miejscowych „Big N”. Obiekt miał niezwykłą architekturę, więc Aleks zapragnął zrobić mu zdjęcie. Pomacał się po kieszeniach. Znalazł portfel. *Ale gdzie, do cholery, podziła się komórka?*

Odpowiedź nie nadeszła nigdy, bo donośny huk przerwał jego rozważania. Zaledwie dwadzieścia metrów od niego mała biała honda uderzyła w stojący przy drodze znak. Niezbyt mocno, ale kierowca chyba stracił przytomność, bo nawet nie próbował otworzyć drzwi. Przechodnie rzucili się na pomoc. Aleks również ruszył w kierunku rozbitego auta, nim jednak postawił stopę na ulicy, drogę zajechał mu czarny van mitsubishi.

Samochód zahamował gwałtownie, spod kół rozległ się nieprzyjemny chrobot ABS-u. Środkowe drzwi odsunięto z impetem. Gall ujrzał trzech Arabów mierzących do niego z AK-74. Nie musieli wysiadać ani nic mówić. Zaproszenie było

jednoznaczne.

Zachował spokój. Wzruszył jedynie ramionami i wsiadł do vana. Jeden z napastników zasunął drzwi. Samochód ruszył z piskiem opon.

– Bardzo sprytnie – ocenił Gall. – Drobną kolizją świetnie odwraca uwagę przechodniów.

Nikt mu nie odpowiedział. Jeden z Arabów wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer. Chwilę odczekał, po czym oddał komórkę Gallowi.

– Witaj, Aleks – rzekł przyjazny męski głos. Młody i nieco neurotyczny, ale przyjazny. – Wybacz mi tę odrobinę prymitywizmu. Chciałem to przeprowadzić maksymalnie bezinwazyjnie.

– Witaj. I do rzeczy, proszę.

– Do rzeczy, powiadasz. A cóż dokładnie chciałbyś wiedzieć?

– Takie tam. Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz? Dlaczego mnie śledzisz? Standardowy zestaw pytań uprowadzonego wprost z ulicy w biały dzień.

– Ależ nie. Nie zostałeś uprowadzony. Co najwyżej chwilowo zatrzymany. Co do pytań, dwa ostatnie mają tę samą odpowiedź, ale o tym za chwilę. Na początek o mnie. Czy słyszałeś kiedyś o Baszirze Ibn Saladinie?

– Nie.

Rozmówca westchnął. Nieco zbyt teatralnie.

– No dobrze – kontynuował. – A Sługa? Mówi ci coś pseudonim Sługa?

Aleks nie odpowiedział.

– Ach, więc coś ci mówi – ucieszył się Baszir. – To ja jestem Sługą. A raczej nie jestem. Jestem i nie jestem. No cóż, zdaję sobie sprawę z tego, że to bardzo skomplikowane. Ale wkrótce wszystko zrozumiesz.

– Czyżby?

– Owszem. Ponieważ mam zamiar zaoferować ci gościnę. Tutaj. U siebie.

– I sądzisz, że przyjadę?

– Tak. Ci mili panowie chętnie będą cię eskortować.

- I to by było tyle w kwestii chwilowego zatrzymania.
- Nikt cię nie zmusi, żebyś tu przyjechał. Ale wiem, że to zrobisz. Mam dla ciebie bardzo dużo użytecznych informacji.
- Takich jak...?
- Wiem na przykład, kto i dlaczego zabił twoją żonę. Tak, została zabita, tego już się chyba domyślasz. Wiem, dlaczego rozbiły się Nippon 1111 i 1212. I wiem, kto za tym stoi.
- Nawet gdybym uwierzył, że masz takie informacje, a nie wierzę, to i tak nie podjąłbym ryzyka.
- A co ty na to, że Weronika pracowała dla mnie?
- Aleks nie skomentował tej informacji.
- Zaskoczony? - ciągnął Sługa. - Pracowała dla mnie i musiała zginąć.
- Kłamiesz. Weronika była modelką.
- Jesteś naiwny. - Sługa wybuchnął śmiechem. - Weronika była agentką CIA, która miała mnie szpiegować. Ale przeciągnąłem ją na swoją stronę i szpiegowała dla mnie. Myślisz, że jeździła na pokazy mody? Przykro mi. Przylatywała do Afganistanu. Ale dość tego. Dostałeś dość dużą darmową próbkę. Więcej usłyszysz na miejscu.
- Wciąż nie wydaje mi się, aby miało do tego dojść.
- Nie jesteś ciekawy, Aleks?
- Jestem. Ale nie obraż się, źle trafiłeś. Ja z ciekawości nie robię głupot.
- Spokojnie. - Baszir się zaśmiał. - Nie obraziłem się. Ale też przesadnie się nie przejąłem. Ponieważ wiem, że przyjedziesz.
- Poważnie?
- Poważnie. Jestem o tym do tego stopnia przekonany, że załatwiłem już samolot. Cały szerokokadłubowy odrzutowiec tylko dla ciebie.
- Dlaczego? Skąd ta pewność?
- Ponieważ, drogi przyjacielu - szepnął Sługa - mam tutaj twoją córkę.

ROZDZIAŁ 60

– Kurwa mać! – rzucił Chase, wdepnąwszy w gówno.

Od dobrego kwadransa robił sobie wyrzuty, że po tej eskapadzie jego piękne granatowe mezlany będą się nadawać tylko na śmietnik. Ale to już przesada. Unurzać w gównie but z pary wartej tysiąc zasranych dolarów?

Samochód zostawił kawałek dalej. Przyświecając sobie latarką, szedł w górę szutrowej drogi. Za najbliższym łukiem powinien już dostrzec bramę posesji Leonore Burley. A gówno, w które wdepnął, stanowiło niezbity dowód, że ten cholerny kundel wciąż gdzieś tu jest. Żadne dzikie zwierzę nie wysrałoby się na środku drogi.

Okolicę zalegała zupełna ciemność. Agregat na posesji Burley milczał, a wisząca nad nią lampa została zupełnie strzaskana kulami. W okolicy nie było żywego ducha, jednak Chase na wszelki wypadek zacisnął mocniej dłoń na pistolecie ukrytym w kieszeni skandalicznie drogiego płaszcza.

Delikatnie odsunął bramę. Nie zaskrzypiała. Poświecił latarką na ziemię, ale nie dostrzegł żadnych śladów. Szedł bezszelestnie. Choć ubrudzone psimi odchodami, buty spisywały się doskonale. Idealnie dopasowana skóra nie wydawała żadnego odgłosu. I co ważniejsze, nie obcierała pięt.

Minął placyk służący za parking. Poszukiwanie śladów opon zakończyło się fiaskiem. Chase nie spodziewał się niczego innego. Deszcz rozmył miękką szuter.

Kiedy postawił stopę na wypalonej werandzie, ta skrzypnęła nieprzyjemnie. Zamarł, ale nic się nie wydarzyło. Odetchnął głęboko i ruszył dalej.

Był w połowie drogi do stopionych i pokrytych sadzą szklanych drzwi, gdy nagle, tuż za plecami, usłyszał głośnie ujadanie. Robiąc błyskawiczny obrót, wyciągnął z kieszeni berettę. Zdążył jeszcze ujrzeć wielkiego buldoga amerykańskiego z obnażonymi kłami,

po czym świat nagle zawirował i zgasł.

Leonore Burley pogłaskała psa po głowie.

– Dobra, mądra psinka. Wie, jak odwracać uwagę złego pana policjanta.

Wytarła krew z kolby mossberga, po czym odłożyła broń na stolik. Pogwizdując cicho, przeszła nad nieprzytomnym Chase'em i usiadła na plastikowym krześle. Zarzuciła nogi na stół. Wyjęła telefon i wybrała numer. Po chwili odezwała się automatyczna sekretarka.

– Panie kongresmanie! – śpiewnie zawołała Burley. – To ja.

Prawie natychmiast usłyszała cichy trzask.

– Leo, na litość boską.

– Wiedziałam, że jeszcze jesteś w robocie, ty cholerny pracocholiku.

– Chryste, mówiłem ci, żebyś tu nie dzwoniła.

– A niby gdzie mam dzwonić? Przecież nie żyję. Oficjalny kontakt wygasł.

– Gdzie jesteś?

– U siebie. Muszę wyremontować chałupę. Na szczęście szkody są mniejsze, niż się obawiałam. Ale nieważne. Miałam tu pewną sympatyczną wizytę. Niejaki agent Chase zagościł w moich skromnych progach.

– Na Boga, Leo. Mam nadzieję, że nic mu nie zrobiłaś. To nie byle kto.

– Wiem, wiem. Synalek znanego tatusia. Oberwał tylko kolbą.

– Nie synalek znanego tatusia, tylko jeden z najlepszych agentów federalnych. Oczekujesz, że co ja niby zrobię?

– Niczego nie oczekuję. Melduję jedynie pewne niecodzienne zajście. Co do policjancika, sama się nim zajmę.

– Sama się nim zajmiesz? Czyli co masz zamiar zrobić?

– Myślę, że przekonam go do naszej sprawy.

– Niby jak?

– Mam dar od Boga.

ROZDZIAŁ 61

Podróż była długa. Trwała dobre dwanaście godzin, choć Aleks nie dałby sobie za to uciąć ręki. Najpierw zapakowali go na pokład prywatnego boeinga 767. Zwykłe bogate dupki kupują sobie jakiegoś learjeta. Ten bogaty dupek, kimkolwiek był, kupił szerokokadłubowy odrzutowiec.

Przez lotnisko przemknęli bez żadnej odprawy. Po prostu weszli tam bocznym wejściem przez nikogo niezauważeni. Kimkolwiek byli ci ludzie, świetnie się przygotowali do akcji. Ale jeśli we wszystkim maczał palce japoński minister obrony, to nie było się czemu dziwić. Wszystkie okienka samolotu zasłonięto.

Lot trwał dobre dziesięć godzin. Trochę dłużej niż potrzeba, aby dolecieć z Japonii do Afganistanu, ale najwyraźniej taką strategię obrali Arabowie. Przez kilkugodzinny holding Gall nie potrafił wyliczyć, w której części kraju się znajduje.

Kiedy w końcu wylądowali, najpierw przewiązali mu oczy. Przesiadka do helikoptera trwała dwie i pół minuty, po czym maszyna oderwała się od ziemi. Opaska pozostała na oczach Aleksa. Nie zdjęto jej również wtedy, kiedy przesiadali się do terenówki, ale Gall i tak nie miał wątpliwości, że znajdują się na pustyni. Piasek zgrzytał mu między zębami i dostawał się do butów.

Podróż samochodem trwała około godziny. W pewnym momencie Aleks poczuł, że samochód opuścił miękkie piaski i wjechał na kamieniste podłoże. Zatrzymali się kilkanaście minut później. Podróż dobiegła końca. Napastnicy zdjęli Gallowi opaskę. Znajdowali się w górskiej grocie.

Prowadzili go podziemnymi korytarzami. Pokonali w ten sposób dobry kilometr. System jaskiń był ogromny. Gall zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy słońce.

W końcu wprowadzili go do części mieszkalnej kompleksu. Był już bardzo zmęczony, jednak natychmiast zażądał widzenia ze

Sługą. Odmówiono mu. Dowódca bazy udał się już na spoczynek, co zalecono również Aleksowi. Licząc ze zmianą czasu, musiało być krótko przed północą.

Otrzymał luksusowy pokój, w którym stało ogromne, wygodne łożo z czystą i pachnącą pościelą z kaszmiru. Podłogę wyłożono drewnem i przyjemnie grzała w stopy. Musiała zostać wyposażona w system podgrzewania. Łazienka przylegająca do apartamentu była ogromna. Pośrodku wyłożonego zieloną terakotą pomieszczenia stała duża wanna z jacuzzi. Na dobrą sprawę przy odrobinie dobrej woli można by ją zakwalifikować jako mały basen.

Jedyne, co odróżniało jego apartament od tych w Hiltonie, to fakt, że gospodarze zamknęli go na klucz. No i brakowało okien.

Aleks wykąpał się, co zajęło mu pięć minut. Stwierdził, że jeśli ma wypocząć, to lepiej w łóżku niż w wannie. W głowie mu huczało. Płatanina myśli, dziesiątki teorii, wszystko to nagle zeszło na dalszy plan.

„Tatusiu”.

Usłyszał to wyraźnie.

Kiedy Anna zginęła – kiedy zdawało mu się, że zginęła – miała zaledwie sześć miesięcy. Oczywiście nie mówiła jeszcze, ale Aleks bez trudu rozpoznał jej głos. Całą swoją podróż do Afganistanu uzależnił od tego jednego słowa. Chciał je usłyszeć. Mała nie mogła wiedzieć, z kim rozmawia. Najwyraźniej Sługa kazał jej powiedzieć ten jeden wyraz. To było dobre posunięcie.

Obudził się wyspany. Musiał spać kilka godzin.

Zapukał w drzwi. Stojący za nimi strażnik natychmiast otworzył.

Na spotkanie ze Sługą szli kilka minut, mijając kolejne odnogi skalnego labiryntu. W końcu dotarli do części biurowej. Strażnik otworzył mu drzwi. Aleks wszedł do środka. Usiadł w wygodnym fotelu i czekał kilka chwil. Obejrzał się, gdy usłyszał za sobą hałas.

Ujrzał młodego mężczyznę. Mógł mieć najwyżej trzydzieści lat. Uśmiechał się i wyglądał na bardzo zrelaksowanego. W niczym nie przypominał terrorysty rodem z tabloidów. Ubrany był w zwykłe dżinsy i zieloną bluzę z kapturem, na której naszyto

logo Boston Celtics. Wyglądał na beztroskiego nastolatka, odkrywającego świat przyjemności przeznaczonych tylko dla dorosłych. Nie miał nawet brody.

– Witaj, Aleks – powiedział mężczyzna po angielsku, bez cienia jakiegokolwiek obcego akcentu. – Wow, ale się cieszę, że w końcu się spotkałiśmy. Napijesz się czegoś? Może coli? Albo czegoś mocniejszego? Mam tu sporo dobrych rzeczy. No?

– Chcę zobaczyć córkę.

– Tak myślałem. Ale jeszcze nie mogę spełnić twojego życzenia. Dopiero po tym, jak mnie wysłuchasz. A mówić będę dość długo. Dlatego zapytam raz jeszcze. Napijesz się czegoś?

– Kawy. I zjadłbym coś.

– Śniadanie jest już w drodze. Kanapki z twoją ulubioną pastą jajeczną.

– Widzę, że przygotowałeś się do naszego spotkania.

– Owszem. O paście dowiedziałem się kiedyś od Weroniki. Zdradziła mi, co najbardziej lubi jeść jej mąż. Dlatego na obiad będą... Jak to się nazywa? Ruskie pierogi?

W tym momencie w pomieszczeniu pojawiła się kobieta spowita w długą czarną suknię. Jej twarz okrywał kwef. Jednak paznokcie miała pomalowane na niebiesko, podobnie jak powieki widoczne pomiędzy połami materiału.

Kobieta przyniosła tacę z jedzeniem.

– Kawa. W dzbanku – polecił gospodarz, kiedy kobieta postawiła tacę na stole. Skłoniła się i szybko wyszła. Mężczyźni usiedli do posiłku.

– Więc mówisz, że kim jesteś? Sługą? – zapytał Aleks.

– Sługa nie istnieje – odparł mężczyzna i wybuchnął śmiechem.

– O rany, rany! Ale super. Ciebie też nabrałem. Takiego gościa! Sługa nie istnieje. A raczej istnieje jedynie w świadomości ludzi. Ja nazywam się Baszir Ibn Saladin. I wymyśliłem Sługę.

– Po co? – zapytał Aleks, zatapiając zęby w miękkiej bagietce.

– Dla pieniędzy oczywiście. Dla dużej kasy. To było zlecenie.

– Czyje?

– Nie domyślasz się? CIA.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Po chwili przyniesiono kawę.

Bardzo dobrą kawę.

– Skoro więc Sługi nie ma, to w jaki sposób przeprowadza zamachy? – zapytał Gall.

– To proste, nie przeprowadza ich. – Baszir sprawiał wrażenie rozanielonego za każdym razem, gdy zaskakiwał swego gościa. – To jedna wielka iluzja. I zaraz wszystko zrozumiesz, bo widzę, że kończysz śniadanie. Proponuję zatem małą wycieczkę. Spodoba ci się.

Kiedy po kanapkach pozostało jedynie kilka okruszków, wstali z miejsc. Baszir otworzył drzwi i puścił gościa przodem. Przez kilka chwil szli w milczeniu wąskim, ale wysokim korytarzem. W końcu weszli do gigantycznej, wykutej w skale jaskini. Aleks aż przystanął ze zdumienia. Wszystkiego mógł się tutaj spodziewać, ale nie tego. W jaskini wybudowano supernowoczesny kompleks biurowy i studio filmowe. Całe pomieszczenie zastawione było dziesiątkami biurek i nowoczesnym sprzętem filmowym. Wszędzie krzątali się młodzi pracownicy. Aleks oglądał to wszystko z zawieszonej sto pięćdziesiąt metrów nad podłogą pomieszczenia platformy.

– Witaj w mojej fabryce iluzji, Aleks – rzekł z dumą Baszir. – Chodź, oprowadzę cię. Wkrótce wszystko zrozumiesz.

Wcisnął guzik na panelu dotykowym i przywołał przeszkloną windę.

– Jak już wspomniałem – gospodarz uśmiechnął się, gdy dźwig ruszył na dół – nie ma kogoś takiego jak Sługa. Ja jestem jedynie skromnym reżyserem. Można by rzec filmowcem, ale to nie do końca prawda. Realizuję tutaj bardzo złożone pomysły. Stworzyłem człowieka i sprawiłem, że świat uwierzył w jego czyny.

– Co to za miejsce?

– To moje prywatne studio. Stara kopalnia. Nie mam pojęcia, co tu wydobywano, ale ja uzyskuję złoto w najczystszej postaci. Fajne porównanie, no nie?

Wysiedli z windy. Przeciskając się między biurkami, szli w kierunku szklanych drzwi. Aleks wykorzystał okazję, by spojrzeć w jeden z monitorów. Młody chłopak montował na nim

film przedstawiający egzekucję.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że Sługa to mistyfikacja?

– O to to. Człowiek, którego nie ma, a który jednocześnie jest. Mówi się, że media to czwarta władza, Aleks. Ale to nieprawda. Media to władza najwyższa. I jedyna. To media kształtują świat. Wystarczy pokazać coś w telewizji, by stało się prawdą. Ktoś wysadził samolot? W porządku. Ale nie miał dość siły przebicia, by świat się o tym dowiedział. A ja w tym czasie kradłem jego robotę. Zalewałem świat filmami, wywiadami i sfabrykowanymi dowodami. Ktokolwiek dokonał jakiegoś aktu terroru, świat momentalnie dowiadywał się, że to robota Sługi.

– I po co to wszystko?

– Aleks, Aleks, Aleks. Kasa, człowieku. Już ci mówiłem. Dostaję ogromne pieniądze od wielu rządów. W interesie elit leży, żeby zwykli ludzie się bali. Świat arabski płacił mi, bym straszył Amerykanów. A Amerykanie... Też, żeby straszył Amerykanów. Rozumiesz?

Śmiech Baszira zaczynał Aleksa drażnić. Ale jak zwykle nie dał niczego po sobie poznać.

– Amerykanie również ci płacili?

– Przyjacielu, Amerykanie mnie powołali do życia. Początkowo pracowałem tylko dla CIA. Stworzyłem im warunki do rozpętania globalnej wojny z terroryzmem, na której zarabiają kolosalne pieniądze.

– Nie bardzo rozumiem, po co im twoje usługi? Al-Kaida to samograj. Nie trzeba nic płacić, a powody do najeżdżania kolejnych krajów arabskich rosną niemal na drzewach.

Tym razem Baszir zaśmiał się tak głośno, że kilku skupionych dotąd na swoich zadaniach pracowników spojrzało na niego z nieśmiałym wyrzutem.

– Faktycznie, Aleks. Nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz. Nie ma czegoś takiego jak Al-Kaida, chłopie. To w stu procentach mój projekt. Od tego zacząłem. Stworzyłem organizację, która nie istnieje, a jednak boją się jej wszyscy ludzie na świecie. Czyż to nie wspaniałe dzieło?

Szklana brama rozsunała się przed nimi, nie wydając przy tym

najmniejszego dźwięku. Po lewej stronie Aleks ujrzał kolejne drzwi. Baszir podążył w tamtym kierunku.

– Popatrz. To jest moje studio filmowe. Cały kompleks. Ależ jestem podekscytowany! Ty też powinieneś. Dotąd nie oglądał tego nikt prócz moich pracowników i mocodawców.

– Wymyśliłeś Bin Ladena?

– Ibn Ladina, Aleks. Wyrażajmy się precyzyjnie.

– Przecież każdy człowiek na świecie zna jego twarz.

– Każdy człowiek na świecie zna twarz starego afgańskiego pastucha, zresztą niespełna rozumu, którego nakręciłem ze sto razy w różnych sytuacjach. Al-Dżazira łykała wszystko jak leci. A kiedy oni coś puszczali, to za chwilę miało to cały świat. Tak to właśnie działa. System pośredników, gdzie każdy kolejny coraz bardziej uwiarygadnia materiał. Po jakimś czasie nikt już nie pamięta, że przekaz pochodzi z mało wiarygodnego źródła.

Aleks pokiwał głową. Studio, które ujrzał, było niesamowite. Pośrodku znajdowały się trzy pełnowymiarowe kadłuby samolotów. 747, A380 i GB91. Same największe szerokokadłubowce. Po prawej stronie, na specjalnym podwyższeniu, umieszczono stanowisko do nagrywania egzekucji. Dwóch mężczyzn z zasłoniętymi twarzami zabijało właśnie trzeciego. Huknął strzał i zakrwawiony mężczyzna upadł na podłogę. Ale reżyserowi upadek się nie spodobał, dlatego po chwili ofiara się podniosła, technicy zmyli sztuczną krew ze sztucznego kamienia i zarządzono dubla.

– Musiałeś dawno zacząć, Baszir – rzekł cicho Aleks. – Pierwsze harce Ibn Ladina miały miejsce już w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Przypuszczam, że miałeś wtedy nie więcej niż trzynaście lat.

– A gówno! – Baszir młodniał w oczach. Śmiał się całym ciałem i nie potrafił utrzymać rąk na wodzy. Machał nimi jak dyrygent rozpędzający Carminę Buranę. – Gówno, Aleks. Nie było żadnego zamachu w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Nie było zabójstw amerykańskich żołnierzy ani cywilów w amerykańskiej ambasadzie w Kenii. Ludzie myślą, że to wszystko się wydarzyło. Ale myślą tak tylko dlatego, że ja im to powiedziałem. Po

jedenastym września stworzyłem Ibn Ladina i sfabrykowałem dowody przeciwko niemu. Człowiek z fatalną przeszłością, rzekomymi miliardami na koncie i powiązaniami z saudyjską arystokracją. Cały świat zaczął o nim mówić. Myślisz, że ktokolwiek pamięta o tym, co było w dziewięćdziesiątym trzecim roku? Wmówiłem im to prawie dziesięć lat po domniemanym fakcie. I okrasilem solidną porcją „utajnionych dotąd” materiałów. Nagrań, fotografii, dowodów, wszystkiego.

– W takim razie pozostaje mi zadać kluczowe pytanie. – Aleks się zamyślił. – Skoro nie Ibn Ladin i nie Al-Kaida, to kto przeprowadził zamachy na WTC?

– Nie wiem. Ale mogę ci powiedzieć, że CIA zapłaciła mi dwa miliardy dolarów, żebym przekonał Amerykę o grożącym jej niebezpieczeństwie. Każde nagranie z katastrof powstało w tym studiu. Każdy wywiad ze świadkami. Każdy wywiad z Ibn Ladinem. Zresztą, żeby było śmieszniej, pastuch dość szybko umarł na jakiś nowotwór. I tak naprawdę Ibn Ladina grało czterech aktorów, a raz nawet sam się wcieliłem w tę rolę. O rany, to było naprawdę zabawne.

– No więc po co CIA miałyby ci płacić za zrzucenie winy na Arabów?

– Sam sobie odpowiedz na to pytanie. Bo trochę nie wypada, by zadawał je tak inteligentny facet jak ty. W każdym razie ja nie mam pojęcia, kto przeprowadził zamachy. Czy CIA, czy wynajęci przez nich bandyci, czy ktoś zupełnie niezwiązany z Agencją? Amerykanie, Żydzi, Arabowie, Rosjanie, Marsjanie? A może Hans Gruber ze Szklanej pułapki jednak przeżył? Ale Ameryce najbardziej opłacało się dowieść, że to Naftowierzy. Rozumiesz tę delikatną sugestię? Masz ochotę się zabawić? Chodź.

Ruszyli w kierunku podwyższenia. Reżyser wciąż nie był zadowolony z efektów pracy swoich aktorów. Baszir krzyknął do niego coś po arabsku.

– Masz, weź. – Podał Aleksowi plastikowy karabin, który do złudzenia przypominał słynnego kałasznikowa.

Aleks wahał się przez chwilę, ale wziął broń.

– Nie martw się. – Baszir zachichotał. – To nie pójdzie w świat.

Gall podszedł do płaczącego i błagającego o litość zakładnika. Przyłożył mu lufę do skroni i bez słowa nacisnął plastikowy spust. Ofiara odskoczyła gwałtownie i runęła na ziemię.

– Cięcie! – wrzasnął reżyser po angielsku, żeby Aleks mógł go zrozumieć. Martwy zakładnik natychmiast ożył. – Fantastyczne. Widzicie? Tak macie to robić. Bez niepotrzebnych emocji. Na chłodno. No? Jeszcze raz.

Aleks i Baszir zeszli z podestu. Gospodarz poprowadził ich w poprzek pomieszczenia. Minęli kilka planów, na których toczyły się wyimaginowane, ale dramatyczne wydarzenia. Baszir pchnął drzwi. Tym razem stalowe i ciężkie. Znaleźli się na ogromnej strzelnicy. Za kontuarem recepcji siedział podstarzały brodaty mężczyzna. Za jego plecami na ścianie wisiały dziesiątki oszklonych szafek. W każdej z nich znajdowała się inna sztuka broni.

– Jak ci się podoba nasza strzelnica? – zapytał Sługa. – Tutaj już nie ma plastikowych karabinów. Chcesz postrzelać? Wybierz sobie coś.

– Zawsze kusił mnie AK-47.

– A nie wystarczy ci zabicie tego nieszczęśnika na podeście? – Baszir zaśmiał się jak dzieciak na karuzeli, po czym skinął dłonią. Mężczyzna zza kontuaru otworzył jedną z szafek, wyjął z niej kałasznikowa i zaczął przygotowywać.

– Czyli nie dokonałeś żadnego z zamachów Sługi?

– Żadnego. Weź pod uwagę, że prawie wszystkie odbyły się w dzikich zakątkach świata. Przypisać sobie zamach przeprowadzony przez jakiegoś amatora na kompletnym zadupiu to kaszka z mleczkiem. Nie zauważyłeś przypadkiem, że czasami do jednego zamachu przyznaje się kilka grup? Ostatecznie i tak wygrywa ta, która najlepiej udokumentuje swój udział w akcji.

– Moment! A ataki na pociągi Amtraka?

– Ach, prawda. – Baszir się uśmiechnął. – Amtrak. To wspinała historia. Spóźniony o kilka dni prezent urodzinowy. Wyobraź sobie, że w tamtym czasie Amtrak przeżywał poważne problemy finansowe. Zwalniali ludzi na potęgę. Maszynistów, mechaników,

drużyny trakcyjne, wszystkich. Jednym ze zwolnionych był pewien maszynista z Chicago. Wyrzucili go pół roku przed emeryturą. Zdenerwował się. Zdążył podłożyć trzy bomby, zanim udało mi się go powstrzymać.

– Powstrzymałeś go?

– Pewnie. Nie mogłem pozwolić, by zmarnował swoją pracę. Jeszcze jeden czy dwa ataki i FBI wpadłoby na jego trop. Ale moi ludzie go przejęli. Wyciągnęliśmy od niego wiele interesujących informacji, dzięki czemu stworzyliśmy bardzo przekonującą iluzję. Poinformowaliśmy władze i społeczeństwo, gdzie były umieszczone bomby, co to były za bomby i tak dalej. Wszyscy nam uwierzyli. Właśnie tak to działa.

– A maszynista, jak przypuszczam, zginął?

– Nie mogę ci zdradzać informacji operacyjnych, ale mylisz się, jeśli uważasz, że nie potrafimy załatwiać takich rzeczy w dalece bardziej cywilizowany i opłacalny dla naszych współpracowników sposób.

– Lotniskowiec Thomas Woodrow Wilson?

– A to jeszcze lepsza historia. Statek wysadził oficer, którego przyłapano na wynoszeniu broni. Zginął w wybuchu. My jedynie przekonaliśmy świat, że broń wynosił dla nas. Bo był naszym człowiekiem. Tyle wystarczyło. Banał. I tak można ze wszystkim, Aleks. Ze wszystkim.

Z kałasznikowa strzelało się bardzo ciężko, toteż szybko sięgnęli po inną broń. PM-98, steyr TMP, portugalska lusa, węgierski KGP-9. Potem przyszły karabiny ze Stonerem M63 i rosyjskim Pieczeniگیem na czele. Cokolwiek jednak brali, Aleks nagminnie pudłował. Pomimo całonocnego snu czuł się bardzo zmęczony. Albo dopadł go solidny jetlag, albo wysypali mu coś do kolacji. Zastanawiał się, ile godzin tak naprawdę spał. Według swojego zegarka dziesięć. Powinno być około południa. Więc dlaczego jest w tak kiepskiej kondycji?

Kilka chwil postrzelali z broni snajperskiej. Gall zawsze chciał spróbować, jak to jest trzymać w rękach karabin wyborowy. Kolejno wypróbował konstrukcje amerykańskie, rosyjskie i niemieckie. Na deser zostawił sobie polski karabin wyborowy

Bor, zwany również Aleksem. Całkiem śmieszne.

– No dobrze, Baszir. Wydaje mi się, że nadszedł już czas, byś mi powiedział, czego ode mnie chcesz.

– Doskonała myśl. Naprawdę przednia. Chodź ze mną. Pogadamy o interesach.

ROZDZIAŁ 62

Venom nie należał do ludzi, których przeraża byle co, a jednak trząsał się jak osika.

– Pięć minut! – krzyknął przez interkom pilot.

Hałas silników casy C-295 niemal zagłuszył komunikat i Venom pomyślał, że jego towarzysze po prostu go nie usłyszeli. Ani drgnęli. No prawie. Każdy z nich ruszał zuchwą, żując gumę. Za chwilę wstaną i zaczną się przygotowywać do skoku. Zabójca wzdrygnął się i pomyślał, że czas się opanować. Nie chciał, by inni spostrzegli, że zaraz nasra w gacie ze strachu.

Dookoła było zupełnie ciemno. Szum wytwarzany przez dwa wielkie śmigła niemal usypiał. Nocny skok ze spadochronem niósł ze sobą spore ryzyko. Tym bardziej jeśli miał być wykonany z niedużej wysokości. Ostatecznie nikt z nich nie chciałby, aby maszyna została wychwycona przez radary.

A sam skok to i tak bułka z masłem w porównaniu z tym, co miało nastąpić później. Atak na silnie strzeżony podziemny kompleks. To się musi zakończyć klęską. Nawet gdy ma się do dyspozycji dziesięciu doskonale wyszkolonych najemników.

Venom nie potrafił zrozumieć zleceniodawcy. Już dawno się w tym wszystkim pogubił. Najpierw miał zabić Galla. Potem wprost przeciwnie – pilnować jego bezpieczeństwa. A teraz kazano mu porwać to dziecko. I bądź tu, człowieku, mądry.

– Trzydzieści sekund – zachrypiał głos w interkomie.

Najemnicy wstali. Byli spokojni, zupełnie jakby skok z dwustu metrów przy kompletnym braku widoczności stanowił dla nich rutynowe działanie. Venom jednak po raz setny sprawdził uprząż.

– Strefa zrzutu! – usłyszał.

Czerwona żarówka zaczęła migać. Rampa C-295 opuściła się bezgłośnie, choć możliwe, że po prostu hałas spowodowany przez jej siłowniki zagłuszyło wdzierające się do wnętrza

maszyny powietrze.

Ubrani w czarne uniformy mężczyźni kolejno wyskakiwali w mrok.

– Szybciej! – warknął interkom. – Bo przelecimy.

Wszyscy byli już na zewnątrz. Venom raz jeszcze sprawdził uprząż. Zamknął na moment oczy. Otworzył. Zrobił krok i oddał się nocy.

ROZDZIAŁ 63

Gall uznał, że gabinet Baszira był prawdopodobnie najbardziej luksusowym pomieszczeniem biurowym, jakie w życiu widział. W progu zdjęli buty, ponieważ drewnianą podłogę wyściełano grubymi perskimi dywanami. Pośrodku pokoju stał zabytkowy drewniany stół. Tylną ścianę w całości stanowiło potężne lustro.

– Od czego by tu zacząć? – powiedział Baszir. – Chyba od tego, że ludziom z CIA powoli przestały wystarczać moje małe sztuczki. Wyobrażasz to sobie? Spoko. Lubię wyzwania. Poprosili mnie, bym wymyślił coś bardziej spektakularnego. Oczywiście wahałem się, bo co innego tworzyć iluzje, a co innego naprawdę zabijać ludzi.

– Ojej, Baszir. Jesteś takim empatycznym, wrażliwym człowiekiem – rzucił Aleks.

– Mimo wszystko ostatecznie się zgodziłem. Pracowałem nad tym jakiś czas i w końcu przedstawiłem im pierwszą wersję operacji „Wniebowstąpienie”. Plan był bardzo prosty. Zdobyć dostęp do producenta samolotów i wykonać w nich modyfikacje, dzięki którym będzie można je strącić w dowolnym momencie w sposób absolutnie niewykrywalny. Sam nie byłem do końca przekonany do tego pomysłu. I że to kupią. Okazało się, że mają nie tylko producenta, ale również organizację, która przyjmie na siebie przeprowadzenie operacji. Producentem jest, niespodzianka, twój teść. Wolę nie wiedzieć, jakie CIA ma na niego haki. O wykonawcach nie wiem za dużo.

– Mów dalej, Baszir. Robi się ciekawie.

– Musisz wiedzieć, że moja współpraca z CIA jest bardzo delikatna. Ja nie ufam im, a oni nie ufają mnie. Dlatego od początku pracy nad operacją, czyli jakieś pięć lat temu, przydzielili mi, jak to określili, „kogoś do pomocy”. Młodziutką agentkę, która miała nadzorować działania z ramienia CIA. Czyli mnie szpiegować. Dziewczyna z pochodzenia była Iranką. I jakoś

tak się stało, że po krótkim czasie zaczęła szpiegować ich. Dla mnie.

– Rozumiem, że...

– Tak, Aleks. Dobrze rozumiesz. To była Weronika. Twoja żona. Świetne, nie? Myślę, że ta dziewczyna nie była przypadkową osobą. Miała zaledwie osiemnaście lat. Po prostu mieli coś na Birda, więc wciągnęli jego córkę do gry. I od tego momentu mieli na Birda jeszcze więcej. A Weronika? Wiesz, jak oferujesz osiemnastoletniej dziewczynie pracę, z którą wiązą się podróże, przygody i pół miliona dolarów rocznie, to niemal zawsze przewrócisz jej w głowie.

– Opowiadasz rzeczy tak nieprawdopodobne, że zapewne nigdy w nie nie uwierzę.

– Myślę, że już wierzysz, Aleks. Wkrótce się przekonasz, że nie kłamię. Czy słyszałeś o Vessnie Fuego?

– Obiło mi się o uszy.

– Jezu, chłopie. Straszna suka. Przerażająca. Mam ciarki na samą myśl o niej. Zarządza całą operacją.

– Jest z CIA?

– Z tego, co się orientuję. Aczkolwiek ona należy do tego typu ludzi, z którymi nigdy nic nie wiadomo. Jest też dość znana w pewnych kręgach. Ściga się w czymś tam. Osobiście uważam, że to doskonale wykreowana postać. W każdym razie zarządza operacją z ramienia Agencji. To dla niej pracowała Weronika. I ja. Ale nigdy jej nie ufałem i dzięki Weronice przekonałem się, że Vessna chce mnie wsadzić na minę.

– Wsadzić na minę?

– Wykorzystać i wyrzucić. Mnie. Człowieka, który stworzył całe gównno.

– Ale po co, Baszir? Po co ta cała operacja? Mało efektów dawała twoja dotychczasowa działalność?

– Oczywiście, że nie. Jednak Vessna – czy też może jej mocodawca – chciała mieć możliwość pozbycia się każdego przywódcy świata. Rozumiesz? Great bird święci triumfy. Airbus, boeing, embraer, wszystko to obecnie uchodzi za szmelc. Oczywiście prawda jest zupełnie inna, ale umówmy się, że

marketing Birda zrobił fantastyczną robotę. Zamówienia spływają z całego świata. Wyobraź sobie, że Francuzi zamówili dla swojego prezydenta GB91. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby prezydent żabojadów latał czymkolwiek innym niż airbus. Do cholery, przecież rząd francuski ma udziały w Airbusie! To tylko pokazuje, jaki sukces odniósł Bird. Może zdominować branżę na wiele lat. A teraz wyobraź sobie, że każdy światowy przywódca, który kupuje GB, dostaje w pakiecie utajniony zestaw małego sabotażysty. I jeśli kiedykolwiek CIA zapragnie takiego człowieka usunąć, to po prostu go usunie. Nie wzbudzając podejrzeń. Ot, wypadek. Czyż to nie wspaniałe?

– Taaa... Dlaczego zginęła moja żona? I gdzie jest moja córka? Powinna być z matką.

– Tak, właśnie. Powinna. Ale nie była i powinienesz za to mi podziękować.

– Poważnie?

– Owszem. Podejrzewałem, że Vessna w końcu zacznie się czegoś domyślać. Ostrzegałem twoją żonę za każdym razem, gdy się widzieliśmy. Oczywiście ty musiałeś co jakiś czas pojechać na wojenkę. Tacy jak ty po prostu nie mogą spokojnie usiedzieć w miejscu, jeśli czasem kogoś nie zabijają. Potworność. Wtedy Weronika zabierała ze sobą dziecko. Można powiedzieć, że u mnie była względnie bezpieczna. W każdym razie byłaby, gdyby mnie posłuchała. Tak czy inaczej przyjeżdżała tu z córką, kiedy ty nie mogłeś się nią zajmować. W dniu, kiedy zginęła, oboje mieliśmy lecieć do Stanów. Wbrew temu, co myślisz, ja mogę się dość swobodnie poruszać po świecie. Przecież świat szuka Sługi, a nie Baszira Ibn Saladina.

– Tym bardziej że przecież wcale się tak nie nazywasz.

– Prawda, że proste? Czasami warto się zgubić w gąszczu fałszywych tożsamości. Zresztą sam coś chyba o tym wiesz, panie Gore. Tamtego dnia z innych swoich źródeł dowiedziałem się, że Vessna planuje próbę operacji. Dodałem sobie dwa do dwóch i wyszło mi, że po prostu chcą się mnie pozbyć. Wiadomo. Wszystko już opracowałem, więc po co trzymać świadka? Zwłaszcza takiego jak ja. Oczywiście powiedziałem o tym

Weronice, ale mi nie uwierzyła. Postanowiła lecieć. Tobie się zdaje, że była na pokazie w Los Angeles. Ale tak naprawdę to miała tam jedynie przesiadkę z Kabulu. Wkurzyłem się na nią, przyznaję. Pomyślałem, że skoro chce zdechnąć, proszę bardzo. Pozwoliłem jej. Ale szybko mi przeszło. Wysłałem za nią swojego człowieka. Hossama. Kazałem mu przywieźć ją bez względu na wszystko. Niestety Hossam wrócił jedynie z dziewczynką. Weronika poleciała.

– Jak to wytłumaczył?

– Nie będę ci nawet powtarzać tych kłamstw. Hossam nienawidził Weroniki. Sam nie wiem dlaczego. Być może dlatego, że widział w niej zagrożenie dla własnej pozycji, co było dla niego tym bardziej upokarzające, że przecież to kobieta. A może się w niej podkochiwał? Nie wiem tego, Aleks. Ale faktem jest, że ten skurwiel posłał Weronikę na pewną śmierć, najpierw przywłaszczając sobie jej dziecko.

– Jak to „przywłaszczając”?

– Zwyczajnie. Uważa się teraz za jej opiekuna. Ubiera ją w te śmieszne muzułmańskie ciuszki i za dwa, trzy lata zapewne sprzeda ją rodzicom jakiegoś zamożnego kawalera. A raczej sprzedałby, bo zakładam, że go zabijesz i zabierzesz dziecko.

– Dlaczego chcesz, bym go zabił, Baszir? Dopiero co powiedziałeś, że to twój człowiek.

– Owszem. – Sługa się uśmiechnął. – Sęk w tym, że ja się go po prostu boję. Ten facet to beczka prochu. W każdej chwili może wybuchnąć. Wiem, to brzmi idiotycznie. Mimo że jest raczej wiernym żołnierzem, ja mu nie ufam.

– Czegoś nie rozumiem. Nie ściągnąłeś mnie tu po to, żebym zabił twojego człowieka. Sporo sobie zadałeś trudu i przekazałeś mi wiele informacji. Czego ode mnie chcesz? Zapytałbym jeszcze: co za to dostanę, ale w tym wypadku odpowiedź wydaje się jasna. Co wcale nie oznacza, że prawdziwa.

– Brawo, Aleks. To dobrze, że nie ufasz takim jak ja. Dzięki temu dłużej pożyjesz. A ja cię potrzebuję żywego. Niemniej zapewniam, że po wykonaniu zadania pozwolę ci zabrać córkę.

– Zamieniam się w słuch.

– Jestem pewien, że Vessna mnie zdradziła. Chcę, żebyś ją zabił. Stała się zbyt niebezpieczna, chcę ją zastąpić kimś innym. Swoim człowiekiem. Ona zarządza operacją, ale nie jest w niej najważniejsza. Ma mocodawców. Da się ją podmienić bez straty dla wszystkich zainteresowanych. Mam już kilka kontaktów, również w samej Agencji. Niestety nikt nie podniesie ręki na pannę Fuego. Boją się jej i jej powiązań. Co ty na to?

Gall wstał. Powolnym krokiem podszedł do lustra. Spojrzał w oczy samemu sobie.

– Nie jestem zabójcą – odparł Aleks.

– Daj spokój. Ona zabiła twoją żonę.

– Nie jestem zabójcą.

– Kiedy to zrobisz, dowiesz się wszystkiego. Poznasz nazwiska. Niektóre z nich ocierają się o Kongres Stanów Zjednoczonych. Jedne cię zaskoczą. Inne bardzo zabolą. Ale zrozumiesz wszystko. Każdy, nawet najmniejszy aspekt tej sprawy.

– Chcę zobaczyć córkę.

– To oczywiste.

– Teraz, Baszir. Dość mam już tego całego pierdolenia. Pokaż mi moje dziecko albo stąd spadam.

– Czy wiesz, ilu mam tu uzbrojonych ludzi?

– Potrafię w ciągu trzech sekund gołymi rękami zabić żołnierza uzbrojonego w automat. Robiłem już takie rzeczy. Jak myślisz, Baszir, ile czasu zajmie mi zabicie ciebie? I czy twoi ludzie zdążą się tu pojawić?

Baszir się roześmiał. Albo szczerze, albo był doskonałym aktorem.

– Jeśli miałem co do ciebie jakiegokolwiek wątpliwości, to właśnie je rozwiązałem. Takiego człowieka mi potrzeba. A teraz bądź łaskaw podejść do stołu. Widzisz tamten panel dotykowy? No? To dotknij go. W końcu od tego właśnie jest, prawda?

– Po co?

– Koniec ze sztuczkami. Zaraz spotkasz swoją córkę.

Aleks nie wahał się już. Gdyby Baszir chciał go zabić, zrobiłby to jeszcze w Nagasaki. Zwykły strzał z pistoletu załatwiłby sprawę. Podszedł do stołu i nacisnął panel. Może nawet nieco za mocno

jak na kogoś, kto nigdy nie daje się ponieść emocjom. W pomieszczeniu niespodziewanie zrobiło się jaśniej. Aleks odwrócił się szybko. Lustro wędrowało do góry, odsłaniając ogromną szybę.

Po drugiej stronie lustra weneckiego znajdował się dziecięcy pokój. Pośrodku grubego, różowego dywanu siedziała mała postać, szczelnie okryta niebieską burką. Tuż obok dziecka stał potężny mężczyzna. Musiał mieć przynajmniej dwa metry wzrostu i ważyć ze sto trzydzieści kilo. Jego twarz skrywała arafatka. Olbrzym trzymał AK-74, nowszą i lepszą wersję starego kałacha.

Mężczyzna spokojnym wzrokiem wpatrywał się w Aleksa. Nie mógł go widzieć, ale Aleks na wszelki wypadek przesunął się nieco w bok.

Baszir wcisnął przycisk interkomu.

– Hossam. Zdejmij z niej tę szmatę. Nasz gość chce zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Olbrzym nawet nie drgnął.

– Hossam – powiedział Baszir, tym razem dużo ostrzej.

Wielkolud ruszył się w końcu i Gall przez chwilę miał wrażenie, że w jego oczach odmalował się strach.

Serce Aleksa zabiło mocniej. Chyba pierwszy raz w życiu. Czy to możliwe, że Anna żyje?

Anna żyła.

Natychmiast rozpoznał swoje dziecko. Rzucił się do szyby i z całej siły uderzył w nią pięścią. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Ani dziecko, ani Hossam się nie poruszyli.

– Uspokój się! – krzyknął Baszir. – Nic nie zdziałasz. To bardzo grube szkło. Kuloodporne. I wygłuszone. Nie widzą cię i nie słyszą. Mała nawet nie wie, że tu jesteś. Szczerze mówiąc, wątpię, czy w ogóle cię pozna.

– Nazwała mnie tatą. Przez telefon.

– Bo jej kazałem, idioto.

Aleks uspokoił oddech. Odwrócił się do Baszira.

– Jeżeli mojemu dziecku włos spadnie z głowy, to cię zabiję. Rozumiesz to, prawda?

– Przestań mi grozić, bo zaczyna mnie to strasznie wkurwiać. Masz wykonać zleczone przeze mnie zadanie. Wtedy odzyskasz dziecko.

– Nie ufam ci.

– A ja mam to głęboko w dupie – odrzekł szeptem Baszir.

I wtedy się zaczęło. Zgasło światło, nastąpił wybuch, a orkiestra zagrała symfonię na karabiny automatyczne, granaty hukowe i jeszcze kilka innych instrumentów, których w ogólnym rozgardiaszu Aleks nie potrafił rozpoznać. Dookoła sypało się szkło, więc odruchowo wskoczył za dębowy regał.

ROZDZIAŁ 64

– Czy wszystko okej? Halo, proszę pana?

Baldur otworzył oczy, ale natychmiast ponownie je zamknął.

– Chryste, człowieku – jęknął. – Tego was uczą w tych waszych akademiach? Żeby świecić ludziom po oczach?

Młody policjant wahał się przez chwilę, ale facet leżący na ławce w West Potomac Park nie wyglądał ani na włóczęgę, ani nawet na zwykłego pijaka.

– Dzięki – rzekł Baldur, kiedy funkcjonariusz zgasił w końcu latarkę. – Nic mi nie jest. Czekałem tu na kogoś i zasnąłem.

– Mogę panu jakoś pomóc?

– Nie może pan. Ale dziękuję.

Baldur podniósł się z ławki. Na nikogo nie czekał, ale przecież nie mógł gliniarzowi powiedzieć, że martwi się o kumpla, który dwa dni temu wyszedł z knajpy w Nagasaki i dotąd nie wrócił.

Pomacał kieszenie. Komórka i portfel wciąż były na miejscu. A tyle się mówi o przestępczości w Waszyngtonie. Policjant chwilę mu się poprzyglądał, zadał kilka idiotycznych pytań, aż w końcu sobie poszedł.

Baldur zadzwonił po taksówkę. Przez cztery godziny siedział pod pomnikiem Weteranów Wojny Koreańskiej. Przyjechał tu prosto z lotniska. Sam nie wiedział dlaczego. Nigdy nie był w Korei, Aleks też nie. Obaj byli na to o wiele za młodzi. Jednak jakaś dziwna siła przywiodła go właśnie w to miejsce.

Taksówka zjawiła się błyskawicznie. Baldur wsiadł do niej i kazał się zawieźć do domu. Tej nocy znowu się nie wyśpi. Wybierze się na długi spacer po Internecie. I będzie spacerował tak długo, aż w końcu trafi na jakiś ślad Aleksa.

Gall był świetnym żołnierzem, ale tylko człowiekiem. A każdemu człowiekowi zdarza się czasem zgubić klucze, zapomnieć portfela albo zostawić specjalnie zmodyfikowaną komórkę, pozwalającą na namierzanie właściciela w kajucie na

jebanym kontenerowcu. Życie!

Baldur odzyskał telefon od Malinowskiego, ale nie zdążył go oddać Aleksowi. Chciał to zrobić, ale był tak podekscytowany wyprawą na czarny rynek elektroniki, że zapomniał. I za ten błąd będzie musiał zapłacić wieloma godzinami pracy.

Zresztą sen i tak jest dla słabeuszy.

ROZDZIAŁ 65

Zaledwie po trzydziestu sekundach system zasilania awaryjnego zabrał się do pracy i w pomieszczeniu znowu zapaliły się jarzeniówki. Dookoła panował chaos. Aleks zatkał dłońmi uszy w obawie o swoje bębni. Hukowi strzałów i świstowi kul towarzyszyły ludzkie krzyki, tak niepokojąco bliskie, że Gall postanowił nie czekać na pewną śmierć.

Ostrożnie wychylił się ze swojej kryjówki. Jakiś człowiek leżał na ziemi. Nie miał głowy. Aleks nie potrafił rozpoznać, czy to Baszir. Dywan był mokry, bo wypełniające wschodnią ścianę akwarium zostało strzaskane przez kule. Na podłodze, tuż obok bezgłowego ciała, podskakiwał niewielki rekin. On też wkrótce umrze.

Strzelcy tymczasem nie zdejmowali palców ze spustów. Kule najpierw ślizgały się po podłodze, potem uderzyły w lustro weneckie. Grube szkło rozsypało się w pył i tak umarł mit o jego rzekomej kuloodporności. Aleks przeczołgał się w tamtą stronę. Martwił się o córkę, jednak Hossam zareagował błyskawicznie. Gdy tylko szkło eksplodowało, chwycił Annę i wybiegł z pomieszczenia, trzymając ją na rękach.

Z korytarza dobiegały odgłosy potężnej bitwy. Aleks zrozumiał, że bazę musiały napaść jakieś wrogie siły, na dodatek doskonale uzbrojone.

Tymczasem w pomieszczeniu pojawił się napastnik. Miał na sobie czarny mundur, twarz zasłaniała mu kominiarka, a głowę ochraniał kevlarowy hełm. Gall ukrył się pod niewielkim stołem. Nie łudził się, że napastnik go minie, ale mógł zyskać element zaskoczenia. Jedyne, co dawało jeszcze nadzieję na przeżycie. Zamaskowany mężczyzna zbliżał się powoli, a gdy był tuż obok, Gall wyskoczył spod stołu. Precyzyjne uderzenie łokciem w krtań zakończyło walkę. Napastnik nie żył, nim upadł na podłogę.

Aleks nigdy nie wdawał się w żadne bijatyki. Nauczono go, że

walka jest jedynie drogą do celu, a nie celem samym w sobie. Dlatego też wyznawał filozofię jednego ciosu. Jedno uderzenie musiało załatwić sprawę. Odruchowo porwał leżący na ziemi karabin. Zdawał sobie sprawę, że i tak nie będzie mógł go użyć. Gdzieś tam była Anna.

Przez rozbite lustro wszedł do drugiego pokoju i ujrzał niedomknięte drzwi. Biegiem ruszył w ich kierunku. Rany na rękach i nogach boleśnie go piekły. Bose stopy poraniło szkło.

Drzwi prowadziły na korytarz. Najwyraźniej było to zaplecze kompleksu, bo na skałach nie ułożono żadnej okładziny, a za dostarczanie światła odpowiadały stare lampy budowlane zasilane przez luźno biegnący pod sufitem kabel. Korytarz wiódł ostro pod górę. Aleks przyspieszył. W szalonym pędzie ocierał się o skalne ściany, ale wiedział, że skoro taki olbrzym jak Hossam przeciskał się przez coraz węższe przesmyki, to on też może.

W pewnym momencie korytarz się skończył i Gall wbiegł do zupełnie ciemnej groty. Nie paliła się tu ani jedna lampa. Hossam musiał je stłuc. Mimo to Aleks dostrzegł dwa ziejące czernią otwory. Dwa wyjścia. Które, do cholery, wybrać? Zastygł. Czuł przerażenie. On, człowiek, który nigdy niczego się nie bał, teraz umierał ze strachu, że znów straci swoje kochane dziecko.

Nagle coś usłyszał. Dźwięk był cichy, ale bardzo wyraźny. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Nie miał cienia wątpliwości. To był odgłos silnika samochodu. Dobiegał z prawej komory. Rzucił się w tamtą stronę. Teraz trzeba się było naprawdę śpieszyć. Wyciągnął przed siebie rękę, na wypadek gdyby w zupełnej ciemności wpadł na jakąś ścianę. Pokonał w ten sposób dobre sto metrów. Odbijał się od skał i nieustannie potykał. Bał się, że straci orientację i nie będzie wiedział, w którą stronę bieć. W końcu ujrzał delikatne światło, które z każdym krokiem stawało się coraz jaśniejsze.

Dopał oświetlonej groty. Kątem oka ujrzał zamykającą się bramę wjazdową. Był w garażu.

Do wyboru miał całą flotę pojazdów. Najwyraźniej udawanie terrorysty przynosiło Baszirowi niezłe pieniądze. W rzędach stały range rovery, nissany navara, humvee i kilka hiluxów.

Wszystkie czarne. W navarze Aleks znalazł kluczyki. Uruchomił silnik i nie bawiąc się w rozgrzewanie turbiny, wdepnął gaz do dechy. Dwuipółlitrowy diesel zawył i auto skoczyło do przodu. Pikap rozerwał bramę na strzępy i Gall znalazł się na zalanej mrokiem pustyni. Bezczesną ciemność rozświetlały tylko sierp księżycy i odległe o kilkaset metrów czerwone lampy uciekającego pojazdu.

Co zrobię, kiedy go dopadnę? Nie mogę strzelać. Nie mogę go zepchnąć z drogi. Trudno z nim będzie walczyć. Facet jest wielki jak słoń.

Uciekinier był już tak blisko, że Aleks mógł dojrzeć numery rejestracyjne samochodu. Najwyraźniej nie był rewelacyjnym kierowcą.

On z pewnością też się zastanawia, co teraz powinien zrobić. Raczej nie chce narażać mojej córki. Nie po to ją przecież porwał. Przy odrobinie szczęścia może mi się uda...

Huk i sypiące się szkło.

Aleks poczuł, jak eksploduje mu szyja. Złapał się za nią dłonią. Poczul lepłą ciecz pod palcami, a tymczasem ktoś wypuścił w jego kierunku kolejną serię. Gall szarpnął kierownicą, navara odskoczyła w bok i uderzyła w kamień.

Terenówka wystrzeliła w górę jak piłeczka tenisowa. Obróciła się w powietrzu i upadła na dach. Masywne pałaki wytrzymały, ale pojazd nie skończył jeszcze swego śmiertelnego tańca. Kilkakrotnie przekoziołkował i w końcu stanął na kołach. Spod zmiażdżonej maski zaczął dobywać się ogień.

Muszę uciekać – przemknęło przez myśl Aleksowi.

Głowa bezwładnie uderzyła o kierownicę. Z rany na szyi płynęła krew. Serce zwalniało.

Aleksander Gall umierał.

ROZDZIAŁ 66

Hossam Hassam zdawał sobie sprawę, że nie jest i nigdy nie będzie dobrym kierowcą. Jazda po pustyni, zwłaszcza w nocy, wymagała od niego nadludzkiego wysiłku. Palce już mu zbielewały od ciągłego zaciskania ich na kierownicy, ale nie zwalniał nawet na chwilę. Gall wprawdzie nie stanowił już zagrożenia, bo najprawdopodobniej zginął od kuli, jednak pozostali wkrótce się zorientują, że to on zabrał dziecko, i będą chcieli go dorwać.

Płacz małej niemłosiernie go irytował. Nie mógł się skupić na drodze. Szarpał kierownicą to w lewo, to w prawo, dość rozpaczliwie usiłując wymijać głązy co chwila pojawiające się w zasięgu reflektorów.

Sięgnął dłonią w kierunku fotela pasażera. Namacał komórkę. W kompletnych ciemnościach światło z dużego wyświetlacza niemal go oślepiło. Instynktownie zdjął nogę z gazu. Drżącą z nerwów ręką znalazł w końcu numer na liście i wybrał połączenie. Nie czekał długo.

– Dlaczego do mnie dzwonicz? – odezwał się głos. – Miałeś nie dzwonić.

– Zabiłem Galla.

Cisza.

– Musiałem go zabić – powiedział Hossam. – Jak tamci to odkryją, jestem trupem.

– Co z dzieckiem?

– Jest ze mną.

– Posłuchaj mnie...

– Nie. Dość mam już słuchania ciebie. Teraz ty posłuchaj mnie. Zrobię to po swojemu, rozumiesz? I zrobię to teraz.

– Nie możesz, do cholery! Jeszcze nie.

– Mam tego dosyć. Teraz ty zrobisz, co ci każę.

Zakończył połączenie i otworzył przesuwaną elektrycznie szybę. Do środka wdarł się ryk silnika i szum wiatru. Hossam

wyrzucił telefon dokładnie w tej samej chwili, gdy ten zaczął wibrować.

ROZDZIAŁ 67

Kiedy otworzył oczy, zobaczył przyjemną sylwetkę kobiety, która się nim zajmowała. Kilkakrotnie mrugnął, a jego źrenice zwęziły się w końcu i oślepiający blask znikł. Aleks podniósł się na łóżku i poczuł ból. Odruchowo dotknął szyi ukrytej pod grubym, elastycznym bandażem. Chciał się odezwać, ale udało mu się jedynie stęknąć i wychrypieć coś, czego dziewczyna na pewno nie zrozumiała. Mimo to młoda Azjatka skłoniła się lekko i przeszła do sąsiedniego pomieszczenia, tak lekko i bezszelestnie, jakby unosiła się nad ziemią.

Gall odsunął kołdrę i wstał z posłania. Rozejrzał się dookoła i odkrył, że znajduje się w luksusowym apartamencie. Podszedł do ogromnego okna. Ujrzał budzący się ze snu Manhattan. Musiał się znajdować gdzieś w okolicy setnego piętra. Potok żółtych taksówek rozlewał się po mieście. Ludzie wyglądali jak mrówki.

Co ja robię w Nowym Jorku?

– Aleks, ja pierdołę.

Gall odwrócił się i zobaczył Baldura.

– Dzięki, że pytasz. Całkiem nieźle się czuję, a co u ciebie? – wychrypiał Aleks.

– Nieciekawie.

W drzwiach pojawił się Kao.

– I ty tutaj, Nate? – zdziwił się Gall. – Ale po kolei. Co ja tu, do cholery, robię? Gdzie jesteście?

– U mnie w mieszkaniu – powiedział Baldur.

– Przytulnie. Ale myślałem, że mieszkasz w Waszyngtonie.

– Owszem. Jednak w Nowym Jorku też mam melinę.

– I jeszcze gdzieś?

– W Los Angeles, Atlancie, Chicago, Minneapolis, Dallas, Filadelfii, Bostonie i... Nie zmuszaj mnie do wyężdżania pamięci. A nie, czekaj. Wiem już. W Buffalo. Rozumiem, że pytasz o Stany?

– Już o nic nie pytam. – Aleks podniósł ręce.

– Jesteśmy przyjaciółmi – uśmiechnął się Baldur – ale wielu rzeczy o mnie nie wiesz. Zajmuję się dość niebezpiecznymi rzeczami. Za to bardzo dochodowymi. Mam swój kąt w każdym większym mieście na świecie. Z Warszawą włącznie.

– Kąt, dobre sobie – wtrącił Kao. – Gdybym zliczył metraż zamieszkiwany przez całą moją rodzinę do piątego pokolenia wstecz, to nie wyszłoby tyle, ile ma twoja łazienka. Nie ta tutaj. Mówię o tej mniejszej, na końcu korytarza.

– Kiedyś o tym pogadamy – uciął Baldur. – Ale teraz mamy ważniejsze tematy.

– Kim jest ta dziewczyna? – zapytał Aleks.

– Pielęgniarką. – Baldur wyszczerzył zęby. – Pomyślałem, że przyda ci się taka opieka. No wiesz. Na wypadek gdyby ci się zrobiły odleżyny.

– Odleżyny? – Aleks wyraźnie się zaniepokoił. – Długo tu leżę?

– Pięć dni. Jest dwudziesty piąty sierpnia.

Gall poczuł nieznośny ból głowy. Zachwiał się lekko, ale Kao natychmiast go podtrzymał.

– A gdzie byłem wcześniej? Pamiętam rozmowę z Baszirem. To było trzynastego albo czternastego. Nie wiem dokładnie. W każdym razie gdzieś mi wsiąkły prawie dwa tygodnie życia.

– Dobrze, że tylko tyle. – Kao westchnął. – Masz naprawdę paskudną ranę na szyi. Właściwie powinieneś nie żyć.

– Rana raną – przerwał Baldur – ale kto to jest Baszir?

– Zaraz wam opowiem. Ale najpierw mi powiedzcie, skąd się tu wziąłem. Bo ostatnie, co pamiętam, to all inclusive zdecydowanie daleko stąd.

Kao i Baldur spojrzeli po sobie.

– Pięć dni temu wieczorem zadzwonił do mnie jakiś facet – zaczął mały Farer. – Właśnie siedziałem w Hard Rocku i topiłem smutki. Powiedział mi, że znajdę cię w starym pomieszczeniu dla górników w pobliżu zamkniętej dawno temu stacji metra na Osiemnastej Ulicy. W Nowym Jorku. Nie wiem, dlaczego tutaj, i nie mam pojęcia, kto to był, ale...

– Jak to nie masz pojęcia, kto to był? Nie mów, że nie sprawdziłeś.

– Dzwonił z zastrzeżonego numeru.
– Umrę ze śmiechu, jeśli mnie będziesz przekonywać, że to cię powstrzymało.

– Posłuchaj mnie. Facet dodał, że jesteś ciężko ranny. Nie bawiłem się w szpiega, od razu przyleciałem pierwszym samolotem. Zadzwoiłem do Nate'a. Tylko on mógł cię niepostrzeżenie wyciągnąć z nieużywanej stacji używanego tunelu metra. Spisał się. Było z tobą kiepsko. Ktoś pozszywał twoją ranę, ale raczej nie miał wielkich umiejętności. Mój dobry przyjaciel musiał cię zoperować. Rekonstrukcja fragmentu tętnicy szyjnej. Zrobił to tutaj.

– Będzie blizna. – Aleks westchnął.

– Może tak, może nie. To dobry chirurg.

– I zapewne wisiał ci przysługę.

– Żebyś wiedział. – Baldur uśmiechnął się złowieszczo i zatarł dłonie. – Właściwie to ja i on jeszcze nie jesteśmy kwita, ale w końcu udało mu się zyskać mój szacunek. Zrobił świetną robotę. W każdym razie kiedy później usiłowałem namierzyć gościa, który dzwonił, znalazłem jedynie jego komórkę. Leżała w śmietniku. Klasyczna jednorazówka. Więc raczej gówno wiem. Tylko tyle, że uratował ci życie.

– A teraz – wtrącił się Kao – opowiedz nam, gdzie bez nas balowałeś.

Aleks streścił im historię w najdrobniejszych szczegółach, od momentu porwania aż do ucieczki przez pustynię. Mówił dość długo i bardzo się męczył. Gdy skończył, zapadło długie milczenie, które w końcu przerwał Baldur.

– Jesteś pewien, że to była Anna?

– Tak – odparł Aleks.

– No to sprawa nieco się popierdoliła – rzekł Kao.

– Nie martw się. – Baldur poklepał Galla po ramieniu. – Jeśli twoja córka faktycznie żyje, wydobędziemy ją choćby spod ziemi. Czyli mówisz, że ten dupek zabrał cię do Afganistanu?

– Powiedziałem, że mi to zasugerowano. Ale jestem przekonany, że to nie był Afganistan.

– Kurwa, geograf się znalazł – rzucił Baldur. – Po czym

poznałeś? Po kolorze piasku?

– Kiedy mnie przywieźli, była noc. To znaczy powiedzieli mi, że zbliża się północ. Poszedłem spać. Obudziłem się około dziewiątej rano. Napaść nastąpiła... Chyba nie później niż trzy, może cztery godziny po śniadaniu. A jednak kiedy wydostałem się na zewnątrz, był środek nocy.

– Czyli musieli cię przywieźć w dzień – domyślił się Kao. – Ale dlaczego powiedzieli, że jest noc?

– To oczywiste, chcieli ukryć prawdziwą lokalizację bazy – oznajmił Baldur.

– Chcieli ukryć coś więcej – wyjaśnił Aleks. – Skoro wyleciałem z Japonii około południa i przyleciałem na miejsce w dzień, a nie pod wieczór, to znaczy, że nie lecieliśmy wcale na zachód. Rozumiecie?

– Lecielście na wschód! – krzyknął Baldur.

– O kurwunia – dodał Nate po polsku. Od pewnego czasu uczył się tego języka. Ściśle mówiąc, od chwili gdy Gall poinformował go, że polski to najtrudniejszy język świata. Kao przyjął wyzwanie. Ale żeby już zdrabniać przekleństwa? Aleks był pod wrażeniem.

– Dokładnie tak, jak przypuszczacie – ciągnął. – Afganistan to ściema. Baza jest gdzieś w Stanach. Myślę, że zabrali mnie do Nevady albo Arizony. Ewentualnie do Utah.

– Albo do Nowego Meksyku, Teksasu czy gdzie tam jeszcze – wtrącił Baldur.

– Podejrzewam, że nie – powiedział Gall. – Usiłovali mi wmówić, że Weronika zginęła, wracając przez LA z Afganistanu. To kłamstwo. Myślę, że ich baza jest gdzieś niedaleko Los Angeles. Gdyby była w Teksasie, Weronika leciałaby z Dallas albo San Antonio czy Houston. Wszystkie te miasta mają połączenie z Waszyngtonem.

– Podobnie Phoenix, Las Vegas czy Salt Lake City – wtrącił Baldur.

– Zgadza się. Mimo wszystko z Arizony i Nevady jest znacznie bliżej do LA niż z Teksasu.

– A dlaczego nie bierzesz pod uwagę, że to mogło się dziać

w samej Kalifornii? – zapytał Nate.

– Przeczucie. Po prostu w Nevadzie łatwiej ukryć działanie tak potężnego kompleksu. Nie licząc Las Vegas i Reno to niemal bezludny stan. W dodatku są tam stare, od dawna nieeksploatowane kopalnie złota.

Zamilkł na moment. Coś jeszcze chodziło mu po głowie.

– Wydaje mi się, że cała ta inscenizacja jest daleko bardziej posunięta, niż nam może się wydawać – kontynuował. – Pokazali mi Annę owiniętą w burkę. Według zasad islamu burki noszą dopiero kobiety, u których występuje menstruacja. Weronika mi o tym opowiadała. Odnoszę wrażenie, że nikt tam nie był muzułmaninem. Wiedzieliby takie rzeczy.

– Niewykluczone – rzekł Kao. – Za to bardzo chcieli utrzymać cię w przekonaniu, że twoja córka znajduje się w rękach strasznego islamskiego terrorysty, który w każdej chwili może ją zgwałcić, o ile zdążył już zdjąć z kutasa kozę.

– Jeszcze raz sobie zażartujesz w tak kretyński sposób – syknął Aleks – a sprawię, że twój mózg niedostrzegalnie wycieknie przez otwór w dupie.

– Dobra, dobra. Przepraszam. Aleś się zrobił nerwowy.

– Uspokójcie się obaj! – Baldur uderzył pięścią w blat stołu. – Gubię się już trochę w tym, kto i po co zabił twoją żonę, skupmy się więc może na obecnej sprawie. Mówisz, że samolot rozbito celowo.

– To jakieś brednie, Baldi. Baszir powiedział mi, że chcieli mieć możliwość zgładzenia dowolnego przywódcy świata. Ale ani na pokładzie 1212, ani na pokładzie 1111 nikogo takiego nie było. Więc po co ten cyrk?

– No właśnie? Po co?

– Baszir to sprytny zawodnik. Myślę, że ukrywał kłamstwa i półprawdy wśród najprawdziwszej prawdy. Przychodzi mi na myśl, że skoro dotąd zarabiali pieniądze na ludzkim strachu, to może chcieli go ponownie podsycić.

– I przenieść na nowy kontynent. Po co?

– Bo ja wiem? Może minister Kage też chciał zarobić? Trudno powiedzieć. Ale wiem, kogo możemy zapytać.

– Birda? – zapytał Nate.

– Nie. Vessnę Fuego.

– Jak to zrobimy? – chciał wiedzieć Baldur.

– Czy masz jakiś jednorazowy telefon? – zapytał Aleks.

– To pytanie mnie obraża – rzucił Farer. – A tak na marginesie, zostawiłeś swoją komórkę na *Earlu*. Malinowski mi ją oddał, więc możesz z niej skorzystać. Jest niewykrywalna jak jasna cholera.

– Nie rozumiałeś mnie, przyjacielu – odrzekł Gall. – Nie chcę niewykrywalnego, tylko jednorazowy.

Baldur rozdziawił usta, ale wiele wspólnych misji nauczyło go, żeby bezgranicznie ufać Aleksowi. Podszedł więc do stojącego pod oknem regału. Otworzył szufladę i wyjął niewielki telefon.

– Odpal Internet – poprosił Aleks i Baldur spełnił jego prośbę.

Od włączenia leżącego na stoliku laptopa do załadowania się strony Google minęło nie więcej niż sześć sekund. Gall w wyszukiwarce wpisał tylko trzy litery. Wcisnął enter i na ekranie natychmiast pojawiła się witryna CIA. Aleks wybrał zakładkę „kontakt”.

– Chyba żartujesz? – rzucił Baldur.

Gall znalazł numer i wystukał go na staroświeckiej klawiaturze starej nokii. Usłyszeli automat kolejno przeprowadzający ich przez menu centralki. W końcu uprzejmy męski głos rzekł, by w razie chęci połączenia się z konsultantem wcisnąć zero, co Aleks natychmiast uczynił.

– Centralna Agencja Wywiadowcza – odezwała się jakaś kobieta.

– Dzień dobry. Nazywam się Aleksander Gall. Chciałbym rozmawiać z panią Vessną Fuego.

– Przykro mi. Nikt taki u nas nie pracuje.

– To dziwne. W takim razie dziękuję.

Aleks rozłączył połączenie.

– Kłamie – ocenił Kao. – Dla CIA pracuje kilka tysięcy osób, a licząc z agentami terenowymi, to pewnie kilkaset tysięcy. Nie wierzę, by wszystkich znała. Gdyby nie kojarzyła nazwiska, musiałyby sprawdzić, a przecież odpowiedziała od razu.

– Czyli zależało jej na tym, żebyś uwierzył, że Vessny Fuego nie ma na ich liście płac – dodał Baldur. Wyglądał na

niepocieszonego. – Co jest w sumie zrozumiałe. Agencja przecież nie zdekonspiruje swojego człowieka. Zwłaszcza jeśli mówimy o tak znanej osobie. Naprawdę nie wiem, co chciałeś osiągnąć, Aleks.

– Poczekajmy. Założę się, że oddzwoni w ciągu minuty. Najwyższy czas spotkać się z panią Fuego. Ciekawe, co mi powie.

– Zabijesz ją? – zapytał Baldur.

– Jeszcze nie wiem. Nie mam zamiaru być zabawką Baszira. Tym bardziej że on nie żyje. Ale kto wie, co się wydarzy. Mam nadzieję, że dzięki Vessnie odnajdę córkę.

W tym momencie nokia wypluła ze swoich głośników cichą, polifoniczną melodię. Aleks uśmiechnął się i odebrał.

– Witam ponownie, panie Gall – rzekła Vessna. – Cieszę się, że w końcu pan do mnie zadzwonił.

– Spotkajmy się. Fontanna Bartholdiego. O dziewiętnastej. – Zakończył połączenie i zwrócił się do Baldura: – Potrzebuję nowej tożsamości. Al Gore figuruje już w zbyt wielu bazach.

– A co ja jestem, cudotwórca? Mam ci zrobić nowe dokumenty i wprowadzić dane do bazy w ciągu godziny? To się robi kilka dni.

– Przestań się zgrywać. Dobrze wiem, że masz szufladę pełną moich fałszywych paszportów.

Baldur prychnął i udając obrażonego, podszedł do stołu, na którym leżała niewielka torba.

– Przy sobie mam tylko dwa. Wolisz być Eisenhowerem czy Whitmanem?

ROZDZIAŁ 68

Kiedy Vessna Fuego rozłączyła połączenie, przez chwilę zastanawiała się, co to wszystko znaczy. Gall żyje. W takim razie może jest jeszcze dla niej szansa? Gdyby miała rejestratory, sprawa wyglądałaby inaczej. Mogłaby dopaść Tyne'a. A tak? Nic nie miała na kongresmana. A on na nią bardzo dużo. Ale teraz okazuje się, że Gall żyje. I z pewnością ma te cholerne dyski. Wciąż można odzyskać kontrolę nad operacją.

Nie!

Za dużo się wydarzyło. Tyne już wie, że poszła na swoje. I zabije ją, jak tylko zdoła znaleźć odpowiedniego człowieka. Prawie tydzień nie miała z nim żadnego kontaktu. Kongresman zapadł się pod ziemię zaraz po tym, jak zaprzestali poszukiwań Galla, uznając go za zmarłego. Nie zadzwonił do niej. Nie powiedział jej, że operacja dobiegła końca. Po prostu przestał się kontaktować.

Usiadła na hotelowym łóżku. Spojrzała na spakowane walizki. Vessna Fuego się bała. Gardziła Tyne'em, ale doskonale zdawała sobie sprawę, jakie ten facet ma możliwości. I że tym razem na pewno jej nie wybaczy. Ale może zdoła uratować skórę, jeśli da mu dowód lojalności. Jeśli wyciągnie z rękawa asa. A Gall może być takim asem. Jeszcze nic nie jest stracone. Jeśli tylko dostarczy Tyne'owi Galla...

Uśmiechnęła się cierpko i z listy kontaktów wybrała numer kongresmana. Chwilę czekała na połączenie. Najwyraźniej zastanawiał się, czy odebrać. W końcu usłyszała jego głos.

– Czego chcesz?

– Gall żyje. – W słuchawce zapanowała cisza. Vessna słyszała przyspieszony oddech Tyne'a. – Gall żyje i chce się ze mną spotkać. Operacja trwa.

– Operacja już cię nie dotyczy – odparł Tyne, siląc się na spokojny ton.

– Chyba mnie nie rozumiałeś...

– To ty mnie nie zrozumiałaś, Vessno. Nawaliłaś. Kolejny raz. Już ci nie ufam.

– To nie moja wina. Nie wiem, kto napadł na studio. Nie miałam z tym nic wspólnego.

– Nie obchodzą mnie twoje wymówki. Gall prawie zginął. Kolejny raz. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności.

– Posłuchaj...

– Nie mam zamiaru. Pewien człowiek przyjechał do Waszyngtonu w twojej sprawie. Masz dwadzieścia cztery godziny, zanim spuszczę go ze smyczy. Jeśli spróbujesz się skontaktować z Gallem, zginiesz szybciej.

– Popelniasz błąd.

– To ty popełniłaś błąd, Vessno. Nie doceniłaś mnie. Nigdy mnie nie doceniałaś. A tak przy okazji: mam przysłać kogoś, żeby ci pomógł z walizkami?

Połączenie zostało przerwane. Vessna ze złości rzuciła telefonem o ścianę. Skąd wiedział, że zamierza opuścić miasto?!

Nigdzie nie wyjadę, dopóki nie załatwię tego do końca – pomyślała. – Teraz mnie popamiętasz, kongresmanie. Ja ciebie nie doceniłam? To ty nie doceniłeś mnie. Skoro i tak jestem skończona, to zabiorę cię ze sobą.

ROZDZIAŁ 69

Ariel Child miała dwadzieścia osiem lat i płakała. Łzy spływały po jej policzkach, rozmazując delikatny makijaż, mimo że podobno był wodoodporny. Wczoraj też płakała. I przedwczoraj. Dlatego zeszłego wieczoru kupiła specjalny podkład, którego nie powinien zmyć nawet deszcz. I wszystko to gównem dało.

Siedziała na kamiennym obmurowaniu fontanny Bartholdiego w samym sercu Waszyngtonu, trzymając na kolanach książkę i niewielki plecak. Zmierzchało. Kilka ostatnich bezdeszczowych dni spowodowało, że mieszkańcy stolicy wylegli na ulice miasta. Skwerek przy fontannie był pełen ludzi. Jedni siedzieli na murku, tak jak Ariel, inni na pobliskich ławeczkach. Dzieciaki, które z pewnością powinny już spać, jeździły dookoła fontanny na rolkach i deskorolkach.

Było głośno. Fontannę wybudowano w ciasnym trójkącie pomiędzy ruchliwymi Independence Avenue i Washington Avenue a wąską, odgrodzoną szlabanami i zamkniętą dla ruchu Pierwszą Ulicą. Ariel drażniły te wszystkie odgłosy. Marzyła o tym, by wszyscy ci ludzie wyparowali. Żeby mogła zostać sama ze swoim smutkiem.

W czystych, zadbanych dłoniach obracała fotografię przedstawiającą młodego czarnoskórego mężczyznę. Jeśli istnieje coś takiego jak gęba typowego przestępcy, to Keyshawn ją miał i Ariel zdawała sobie z tego sprawę. Tyle że on nie był bandytą. Zajmował się finansami. Uczciwie się nimi zajmował. Całkiem nieźle sobie radził na giełdzie nowojorskiej. I nigdy nie zrobił nikomu krzywdy. Nikomu oprócz niej.

Pociągnęła nosem. Dzień przed jej dwudziestymi ósmymi urodzinami zażądał rozwodu. Po dziesięciu latach małżeństwa. Kiedy miała osiemnaście lat, zaliczyli wpadkę, w której wyniku na świat przyszła Theresa. Trzy lata później pojawił się Penny. Ariel i Keyshawn mieli problemy, ale życie układało im się raczej

dobrze. Radzili sobie jakoś z długimi rozłąkami, kiedy ona wyjeżdżała na kontrakty, a on musiał spędzać noce w pracy. Pozostali sobie wierni. Ona na pewno. On – prawdopodobnie. Nigdy go nie sprawdzała, ale też nie dał jej powodów do podejrzeń.

Zaczęło się psuć dopiero pół roku temu. Trudno jej było znaleźć przyczynę. Po prostu po tylu latach spędzonych razem coś pękło.

W końcu cztery dni temu poprosił o rozwód, a ona mu go dała. Kochała go nad życie, ale wiedziała, że tak trzeba. Nie była zła. Odczuwała jedynie smutek. Keyshawn powiedział jej, że nikogo nie ma, więc poprosiła, by jeszcze przemyślał swoją decyzję. Zastanowił się, czy mogą zrobić coś, co zaspawa luki, jakie czas wydarł w ich związku. Obiecał, że to zrobi. Że pomyśli.

Ariel nie łudziła się, że będą jeszcze razem. Co gorsza, czeka ich zapewne sądowa batalia o dzieci, które Keyshawn kochał tak samo jak ona. Oboje z pewnością się zgodzą, by to drugie bez przeszkód mogło spotykać Theresę i Penny'ego. Ale każde z nich będzie chciało zatrzymać przy sobie dzieci na stałe.

Przymknęła oczy. Łzy skapywały jej z policzka na książkę, którą trzymała na kolanach. Otworzyła ją ze trzy godziny temu, ale dotąd nie przeczytała nawet strony.

Westchnęła głęboko i zamknęła książkę.

– Przepraszam. Czy wszystko w porządku? – spytał ktoś.

Ariel otworzyła oczy. Przez delikatną mgiełkę zobaczyła dość przystojnego faceta. Nie mógł być od niej wiele starszy. Jego twarz porastał kilkudniowy zarost. Miał na sobie powycierane džinsy i czarną, sportową bluzę z kapturem. Szyję osłaniał jakiś dziwny szalik w biało-zielone pasy. Ariel już kiedyś widziała coś podobnego. To chyba szalik piłkarski.

– Tak – odparła lekko zmieszana. – Wszystko okej. Dziękuję. Przepraszam.

Mrugnęła oczami o jeden raz za dużo i natychmiast się na tym przyłapała. Był przystojny. Z pewnością dałaby mu się zaciągnąć do łóżka bez większego wahania. Seks. Kiedy ostatni raz się nim cieszyła? Z Keyshawnem nie uprawiali go od dawna. Tłumaczyli się wzajemnie zmęczeniem i brakiem czasu, jednak prawda jest

taka, że zar zwyczajnie przygasł. Być może właśnie z tego powodu ich drogi się rozeszły.

Ariel pragnęła mężczyzny. Od dawna. I miała niejedną okazję, by sobie jakiegoś wziąć. Ale nie mogłaby zrobić tego Keyshawnowi. Nawet teraz.

– Jestem Aleks – rzekł nieznajomy. – Mogę pani jakoś pomóc?

Możesz mnie przelecieć – pomyślała i błyskawicznie rozebrała go w myślach.

– Aleks, dziękuję ci. Ale chcę być sama.

– Nie ma sprawy. W razie czego będę tam.

Uśmiechnął się i odszedł kawałek dalej. Widziała, jak opiera swój zgrabny tyłek... Wróć, do cholery... Widziała, jak siada na murku. Spogląda na zegarek. Czeka na kogoś. Z pewnością na kogoś czeka. Na kobietę. Dlaczego więc podszedł? Pomyślała, że już go nie lubi. Najwyraźniej nie miał problemów z tym, by bajerować dwie laski naraz. Już go nie lubi, ale i tak wpuściłaby go do łóżka. O popierdolony świecie.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Co ją obchodzi jakiś casanova?

Wróciła do życia. Ujrzała przed oczami twarz Keyshawna. To dla niego zaraz się spotka z tą kobietą. Żeby ratować małżeństwo. A jeśli nawet się nie uda, to przynajmniej by zachować dzieci. Tak, teraz to one powinny być najważniejsze.

Te pieniądze są jej potrzebne.

Aleks wydawał się coraz bardziej zniecierpliwiony. Co chwila spoglądał na zegarek i bardzo często ogarniał wzrokiem cały plac. Ariel nie umiała powiedzieć, czy ten mężczyzna nie może się kogoś doczekać, czy raczej boi się, że ktoś go tu dostrzeże. Jego zachowanie coraz bardziej jej się nie podobało. Podskórnie wyczuwała, że coś jest nie tak.

Wtedy usłyszała znajomy ryk. Suzuki hayabusa. Motocykl, który kochała nad życie. Keyshawn miał jeden taki, ale nie wiedzieć czemu zdecydowanie wolał jeździć na tym przereklamowanym kawasaki ninja. Nie rozumiała tego, ale nie narzekała, bo dzięki temu to jej przypadała hayabusa, kiedy wypuszczali się na wspólne wycieczki. Tak dawno temu...

Czarny ścigacz przejechał po chodniku, strasząc przechodniów. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, zaraz jednak powrócili, krzycząc coś nieprzyjemnego w stronę motocyklisty. Ten zaś podjechał do Aleksa. Zatrzymał się. Zgasił silnik. Potężny potwór z dwoma wałkami rozrządu w głowicy w jednej chwili ucichł. Ubrany w czarną skórę motocyklista zdjął czarny kask.

Ariel gwizdnęła cicho, gdy zobaczyła rudowłosą kobietę. Na dodatek piękną. Dopiero gdy ta postawiła maszynę na nóżce i wyprostowała się przed Alekssem, Ariel dostrzegła jej niewiarygodnie seksowną sylwetkę. Poczwała przez moment ukłucie zazdrości. Taki facet jak Aleks nie mógłby wybrać jej, szarej myszki, jeśli na co dzień obok niego przewijają się takie piękności jak ten rudzielec. A może z Keyshawnem jest tak samo?

Pieprzona dziwka. Nawet suwak od skórzanego kombinezonu ma niedopięty.

Rozmawiali ze sobą, ale Ariel wyraźnie widziała, że nie była to przyjazna wymiana zdań. Aleks spoglądał na rudą z nieukrywaną nienawiścią. Ona zaś odwdzieczyła mu się tym samym, dorzucając przy okazji pogardliwe lekceważenie. A więc ci dwoje nie byli parą. To dobrze. To bardzo dobrze. On jest dobrym chłopakiem, z pewnością zasługuje na kogoś bardziej wartościowego niż ona.

Ariel wstała. Podeszła do kłóczącej się pary.

– Aleks – powiedziała cicho.

Ruda natychmiast przestała się głupio uśmiechać. Spojrzała na Ariel z tak skandalicznie nieukrywaną wyższością, że zapłakana dziewczyna aż spuściła wzrok.

– Miałeś być sam – rzuciła ruda.

– Jestem sam – odrzekł spokojnie Aleks, po czym zwrócił się do Ariel. Na jego twarzy zagościł uśmiech. Trochę wymuszony. – O co chodzi? W czym mogę pani pomóc?

– Musisz na siebie uważać – szepnęła.

Po czym wyjęła z plecaka berettę i dwukrotnie wypaliła rudej prosto w twarz.

Vessna Fuego umarła, nie zrozumiawszy, co się stało. Jej ciało runęło do fontanny, barwiąc wodę na czerwono. Wszystko

odbyło się niemal bezgłośnie, na pistolecie znajdował się tłumik. Jednak plac w jednej chwili opustoszał. Ludzie rzucili się do rozpaczliwej ucieczki. Słychać było krzyki i płacz. Tylko Aleks się nie poruszył. Wpatrywał się w zabójczynię spojrzeniem tak bezgranicznie spokojnym, że aż na moment zapomniała, po co tu przyszła. Ale tylko na moment. Wymierzyła pistolet w twarz Aleksa.

– Jesteś fajnym chłopakiem i nie mam na ciebie zlecenia, ale jeśli nie przestaniesz mi się przyglądać, będę musiała cię zabić.

Nie odpowiedział. Ariel opuściła broń. Aleks skinął głową i odszedł bez pośpiechu. Gdzieś zza rogu dało się słyszeć pierwsze policyjne syreny. Ariel podniosła kask Vessny. Nim go jednak włożyła, wyjęła z plecaka komórkę i wybrała numer.

– Zrobione? – zapytał Tyne.

– Owszem – odrzekła Ariel. – Kontrakt wykonany. Ale płacisz podwójnie. Obiekt nie był sam.

– Przepraszam. Oczywiście, zapłacę podwójnie. Wysyłam pieniądze za trzydzieści sekund. Do następnego.

– To moja ostatnia robota. Przynajmniej na razie. Teraz spróbuję uratować małżeństwo.

– Powodzenia.

Rozłączyła się. Wcisnęła na głowę kask. Po chwili silnik hayabusy ryknął przeraźliwie.

I już jej nie było.

ROZDZIAŁ 70

– Jak to nie żyje?! – krzyknął Baldur.

– Nawet ty byś nie żył, gdybyś oberwał dwie kule w głowę z odległości pół metra. Zaraz u ciebie będę – odrzekł Aleks i się rozłączył.

Światło zmieniło się na zielone, więc wraz z całym potokiem pieszych ruszył po pasach w poprzek Constitution Avenue. Był zmęczony. Nie odzyskał jeszcze sił, a na spotkanie przybył wprost z samolotu.

Minął park, a tymczasem znowu się rozpadało. Tak po prostu, zupełnie z niczego. Jeszcze kwadrans temu niebo było niebieskie, a teraz ciężki nimbostratus otulał miasto mokrym płaszczem. Takie rzeczy to tylko na Wschodnim Wybrzeżu. Pogoda się zmieniała, ale wiało niezmiennie od początku lata. Gall przyspieszył kroku. Ostatni kilometr niemal przebiegł. W końcu jednak ujrzał zaparkowanego przy Columbus Circle czarnego forda explorera. Gdy chwycił klamkę, w oddali rozległ się pierwszy grzmot.

Zatrzasnął za sobą drzwi. Silnik auta pracował. Klimatyzacja brzęczała cicho. Baldur od razu włączył się do ruchu.

– To było zlecenie – rzucił Aleks. – Najwyraźniej Vessna zaczęła komuś przeszkadzać.

– Zdążyła ci coś powiedzieć?

– Tylko jedną rzecz. Że Weronika miała kochankę. Tego Hossama czy jak mu tam. To by mogło tłumaczyć, dlaczego porwał Annę.

– Nie wkurwia cię to?

– Nie mam na to czasu.

– Co teraz?

– Teraz będziemy musieli się włamać do komputera Vessny.

– Który komputer masz na myśli? – zapytał Baldur, włączając kierunkowskaz i zjeżdżając w North Capitol Street.

– Wątpię, by Vessna miała swój gabinet w Langley. To typowy agent terenowy. Ale z pewnością na jakimś agencyjnym serwerze ma ukryte dane operacyjne. Tylko tam mogła trzymać coś, co nas może zainteresować.

– Nie ma szans. Nie zrobimy tego. Nie da się.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś w stanie się włamać do sieci CIA?

– Dokładnie to chcę powiedzieć. Oni mają taki firewall, że...

– To złam go, do cholery.

– Aleks, przyjacielu. Jestem naprawdę dobry w tym, co robię. Na całym świecie jest tylko dwóch, może trzech lepszych ode mnie. Zgadnij, gdzie pracują.

Gall milczał.

– No właśnie – ciągnął Baldur. – Agencja przeprowadza najwięcej hakerskich ataków na świecie. Ich ludzie naprawdę znają się na swojej robocie. Wiedzą, że ofensywa to jedno, a defensywa to drugie. Oczywiście, proszę bardzo, wejdę na serwer, trochę poszperam i zdobędę dane, które zostały tam umieszczone dla podpuchy. Rozumiesz? Nie ma możliwości, by włamać się do głównego serwera CIA z zewnątrz.

– Doskonale. Zatem włamiemy się tam od środka.

Baldur zamilkł. Włączył kierunkowskaz i poprowadził eksplorera w stronę swojego mieszkania na Columbia Heights. Nie odzywał się przez dobre dziesięć minut i Aleks wiedział dlaczego. Niepozorny Farer zamienił się właśnie w potężną maszynę obliczeniową. Analizował fakty, planował posunięcia i dokonywał przeglądu zasobów. A wszystko to prowadząc auto z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. *Multitasking, level Baldur.*

– Jak wspominałem, Langley to najlepiej strzeżony kompleks świata – odezwał się w końcu Farer. – Nawet bardziej niż Pentagon czy Biały Dom. CIA dba o swoje interesy. I tak jak wszędzie, są u nich ważni i ważniejsi. Nie mamy szans dostać się do biura szefa szefów czy nawet zastępcy wiceszefa szefów, ale możemy spróbować dostać się na przykład do budynków administracji. No wiesz, ludzi dbających o zarządzanie terenem,

ochronę, funkcjonowanie wszystkich urządzeń i o to, żeby w każdej drukarce zawsze był papier. Z tego, co wiem, w Langley taki budynek znajduje się dość blisko głównej bramy wjazdowej. Wystarczy pod jakimś pozorem dostać się na teren kompleksu i może się udać. To znaczy nadal będzie to piekielnie trudne zadanie, ale nieporównywalnie łatwiejsze, niż gdybyśmy chcieli odwiedzić siedzibę któregośkolwiek z wydziałów.

– Myślisz, że administracja ma dostęp do głównych serwerów Agencji?

– Oczywiście. Przecież stamtąd wychodzą wszelkie dyspozycje. Po prostu w Langley wiedzą, że nikt normalny nie zaatakuje kompleksu. Z pewnością system wyposażono w wiele poziomów dostępu i zwykły pracownik administracji nie może przeglądać danych operacyjnych. Ale dla mnie to nie problem. Znajdziemy się za firewallem, więc dalej to będzie łatwizna. Musimy tylko poszukać człowieka dość szalonego, by zgodził się niepostrzeżenie wejść do kompleksu.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Aleks sięgnął po komórkę.

– Dzwonię do Nate'a.

ROZDZIAŁ 71

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i japoński minister obrony Kamui Kage ujrzał w nich swego sekretarza. Młody mężczyzna był przerażony. Doskonale wiedział, że jego szef nie lubi, gdy mu się przeszkadza w posiłku.

Minister zmarszczył brwi. Sekretarz stanął dwa kroki od niego. Ukłonił się głęboko. Może nawet trochę za głęboko. W końcu podał szefowi telefon.

– Kage – rzucił do słuchawki minister.

– Vessna nie będzie już dla nas kłopotem – oznajmił Tyne.

– Powiedziałeś, że dałeś jej dwadzieścia cztery godziny.

– Kłamałem – odparł Tyne, a w jego głosie dało się słyszeć lekkie zniecierpliwienie. – Poza tym spotkała się z Gallem. Zabroniłem jej tego. Zlekceważyła moje polecenie. Tak czy inaczej mój człowiek załatwił sprawę.

– Dobrze – odparł Kage, nieskrępowanie żując fugu. – Czy możemy kontynuować operację?

– Tak. Możemy to kończyć.

– No to zgarnij Galla i kończmy.

– Za dwa dni. Najpierw chcę zobaczyć, co teraz zrobi. Mam wrażenie, że Vessna ukrywała przede mną kilka rzeczy. To niebezpieczna kobieta. Nie chciałbym zaliczyć żadnej wpadki.

– Owszem – odparł Kage, przełykając rybę. Niedobrą rybę. Trzeba będzie zmienić firmę cateringową albo zastrzelić jej właściciela. – Nie chciałbyś zaliczyć żadnej wpadki.

ROZDZIAŁ 72

Około północy większość niewielkich miasteczek Wschodniego Wybrzeża pogrąża się we śnie. Silniki aut stygną spokojnie na parkingach, a ludzie odpoczywają w łózkach. Jedni śpią w nich sami, drudzy uprawiają seks ze swoim partnerem, a jeszcze inni z cudzym partnerem. Ulice pustoszeją, życie zamiera. Czasem jakieś wyrostki wracają z imprezy i wykrzykują przekleństwa lub nazwę ulubionej drużyny baseballowej, koszykarskiej czy futbolowej. Nie trwa to długo. Miasteczka wchłaniają młodych pijaków, którzy prędzej czy później odnajdują drogę do łóżka.

Każde miasteczko Wschodniego Wybrzeża jest podobne. Prócz Langley w stanie Wirginia. Tam o północy zaczyna się trzecia zmiana, która trwa do rana.

Mówi się, że CIA nigdy nie śpi. To nie do końca prawda. Większość zatrudnionych pracuje w tym miejscu na takich samych zasadach jak każdy inny Amerykanin. Przyjeżdżają na ósmą rano i wychodzą o szesnastej. Wielu nigdy nie było w Langley. Agenci pracujący w terenie mają wiele przyczółków, ale żaden z nich nie mieści się w obrębie Langley Oak's Park ani w najbliższej okolicy. Ale kompleks w Langley to wciąż miejsce pracy kilku tysięcy osób. Dokładne dane są utajnione, nie zmienia to jednak faktu, że ktoś o tych ludzi musi zadbać. I to najlepiej wtedy, kiedy będzie najmniej przeszkadzać. Dlatego kiedy szeregowy pracownik CIA wychodzi do domu, w okolicę zaczynają ściągać zastępy śmieciarzy, sprzętaczy, cateringowców, wszelkiego rodzaju ekip remontowych i serwisowych.

Niewielka furgonetka z napisem „Electric Power” nie wzbudzała niczyich podejrzeń. Wjechała sobie spokojnie od strony George Washington Memorial Parkway i skierowała się ku głównej bramie. Azjatycki kierowca prowadził pojazd bardzo spokojnie. Nie odzywał się. Jego towarzysze milczeli. Mieli do wykonania

poważną robotę.

Furgonetka dotoczyła się do budki strażniczej. Strażnik otworzył szybkę.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Mamy pracę do zrobienia w gabinecie dyrektora.

– Jakiego dyrektora?

Azjata spojrział w papiery i przeczytał:

– Dyrektora Wydziału Administracji. Pana... Kurde, niewyraźnie mi napisali. Czekaj... Pana Beniamina T. Fedberga. Chyba. Jest tu taki?

– Czy mogę zobaczyć zlecenie? – Strażnik poruszył się niespokojnie.

– Jasne.

Mężczyzna otworzył drzwi budki i wyszedł na parking. Kierowca podał mu dokument. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Były wszystkie niezbędne sygnatury. Azjata uśmiechnął się, ale facet nie odwzajemnił uśmiechu.

– Czy coś nie tak? – zapytał jeden z pasażerów.

– Nie, nie – odparł z wahaniem strażnik. – Ale nie mam takiej dyspozycji w swojej rozpisce.

Azjatycki kierowca spojrział na plaketkę zdobiącą pierś mężczyzny.

– Michael – powiedział. – Wydajesz się zdenerwowany. Jesteś tu nowy?

– Tak, proszę pana – odparł zrezygnowany Michael.

– Skąd pochodzisz? Widzę, że chyba z tych samych stron co ja. Urodziłem się w Kambodży. A ty?

– W... w Stanach. Mama była Wietnamką. Tata ją tam... Muszę sprawdzić to wasze zlecenie. Zrozumcie. Nie wolno mi nikogo wpuścić do gabinetu jakiegokolwiek dyrektora, jeśli nie mam takiej dyspozycji.

– No to zrób to – rzekł niecierpliwie ten trzeci. – Tylko pospiesz się. Nie mamy całej nocy. Musimy potem jeszcze jechać do Federal Highway Administration.

– To... To blisko – bąknął Michael.

Mężczyzna w furgonetce nie odpowiedział, więc strażnik wrócił

do swojej budki. Spojrzał na telefon. Nad jednym z klawiszy przypisanych do numerów widniało nazwisko dyrektora. Czy powinien go budzić?

Zamiast tego wybrał inny klawisz. Połączył się bezpośrednio ze strażnicą od strony Dolley Madison Boulevard.

– Południowa strażnica – odezwał się głos w słuchawce.

– Cześć, tu Michael Dalton, z...

– Cześć. Widzimy, skąd dzwoniś. Mam identyfikację. O co chodzi?

– Słuchaj, przyjechało tu trzech elektryków. Mają zlecenie.

– To wpuść ich.

– Ale oni chcą do biura dyrektora Fedberga. Nie mam takiej dyspozycji.

W słuchawce zapanowała cisza. Michael spojrzął na mężczyzn w furgonetce. Byli wyraźnie poirytowani.

– No to masz przejebane – rzekł w końcu głos w słuchawce.

– Jak to?

– Musisz do niego zadzwonić. A on się bardzo wkurwi, bo to kawał chuja. Wozi się, jakby był przynajmniej szefem operacyjnym, a dba jedynie o to, żeby poważni ludzie mieli srajtaśmę w kiblach.

– No to może kazać im spadać na drzewo? – zapytał naiwnie Michael.

– Wtedy wkurwi się rano, jeśli faktycznie zamawiał elektryków.

– Długo jeszcze?! – krzyknął Azjata z furgonetki.

– No dobra. Dzięki – odparł Michael i zakończył połączenie.

Wziął głęboki wdech i wdusił przycisk z nazwiskiem dyrektora. Przez dłuższą chwilę nikt nie podnosił. W końcu jednak usłyszał ciche kliknięcie.

– Czego? – odezwał się Fedberg.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Mówi Michael Dalton z północnej strażnicy. Nie przeszkadzam?

– A jak, kurwa, myślisz?

– Przepraszam, panie dyrektorze. Przyjechała ekipa elektryków. Mają wystawione zlecenie na prace w pana gabinecie, ale nie mam takiej dyspozycji i nie mogę...

– Poczekaj – połączenie urwało się i Michael usłyszał Mazurka a-moll Chopina. Nie trwało to długo. – Halo? – Głos Fedberga nie brzmiał już tak wrogo. – Wpuść ich. Moja sekretarka zapomniała przesłać dyspozycję do strażnicy. Głupia dziwka. Auu...

Dyrektor zdążył nakryć słuchawkę dłonią, nie na tyle jednak szybko, by Michael się nie zorientował, że w łóżku dyrektora nie przebywa obecnie jego żona.

– Jesteś tam? – rzucił dyrektor.

– Tak – odparł Michael.

– No to wpuść ich.

– Dobrze, proszę pana.

– Ty jesteś ten nowy, tak?

– Tak, proszę pana.

– Dobrze się spisałeś – pochwalił dyrektor i się rozłączył.

Strażnik westchnął głęboko i wcisnął guzik podnoszący szlaban i opuszczający kolczatkę.

– No w końcu. – Azjata w furgonetce się zaśmiał. – Wpadnij w jakiś piątek do Asia Nine, na E Street. Ludzie tacy jak my spotykają się tam, żeby pogadać o wyższej kulturze. Czyli naszej.

Kierowca roześmiał się i wdepnął gaz. Furgonetka powoli przetoczyła się przez kolczatkę i zniknęła w głębi parku.

ROZDZIAŁ 73

Michael Dalton jęknął cicho. Ten prawdziwy Michael Dalton. Ten, który leżał teraz nagi, związany i zakneblowany na podłodze swojej strażnicy. Ubrany w jego mundur mężczyzna spojrzał groźnie na swą ofiarę i przyłożył palec do ust. Michael zrozumiał aluzję i zamknął się.

Nathaniel Kao wyciągnął komórkę i wybrał numer.

– Mów – usłyszał głos Baldura.

– Nie uwierzysz – szepnął Nate. – Właśnie rozmawiałem z dyrektorem Wydziału Administracji.

– Czyś ty oszalał?! – krzyknął Baldur. – Może jeszcze znajdź pierwszego lepszego strażnika i zapytaj go, jakie jest hasło do wi-fi, bo chciałbyś ukraść trochę danych!

– Uspokój się. To długa historia. W każdym razie mamy problem. Przepuściłem pewną furgonetkę.

– Na litość boską, Nate. – Farer westchnął. – Ty nie dorabiasz tam sobie na strażnicy, tylko masz robotę do wykonania.

– Nie musisz mi przypominać – rzucił Kao. – Podjechali akurat, jak się przebierałem. Gdybym nie zareagował, toby zaczęli trąbić. A to byłoby dla nas raczej niewygodne, prawda?

– Dobra, i co z tą furgonetką?

– Elektrycy. Do gabinetu dyrektora Fedberga. Czyli dokładnie tam, gdzie kazałeś mi się podpiąć.

– Prądojeby – mruknął Baldur. – Nie mogłeś ich wysłać do diabła?

– Nie, nie mogłem – zdenerwował się Nate. – Zrobiłem wszystko, by ich nie wpuścić, ale się nie dało. Mieli zlecenie i gdybym ich nie wpuścił, to narobili by rabanu. Ktoś by się zjawił. Miałem jeszcze nadzieję, że dyrektor każe im spierdalać, ale nie kazał.

– Dobra, uspokój się. Będziemy improwizować. Może nawet na tym skorzystamy. Skoro elektrycy będą majstrować w gabinecie

dyrektora, to strażnicy w budynku będą musieli odłączyć alarm.

– Umieć sobie radzić z alarmami.

– Nate, to nie jest konkurs na najfajniejszy włam, tylko poważna robota. Pospiesz się, na Odyna.

– Na Odyna?

– Och, stul dziób i daj znać, jak będziesz na miejscu.

Baldur rozłączył się, a na twarzy Kao po raz pierwszy tego wieczoru zagościł uśmiech. Nie miał wątpliwości, że fascynacja Baldura nordycką mitologią skończy się szybciej niż letni niż, który nadciągnął znad Atlantyku i tak skutecznie usypia to miasto. Pod pewnymi względami Farer wciąż pozostawał dzieckiem.

Podszedł do strażnika i wbił mu w szyję igłę strzykawki z midazolamem. Chciał nawet powiedzieć swojej ofierze, że to nic szkodliwego, ale Dalton natychmiast stracił przytomność. Kao odczekał chwilę i wymknął się ze strażnicy. Minie przynajmniej godzina, nim biedny Michael odzyska przytomność. Oby nikt w tym czasie tu się nie zjawił.

Nate ruszył przed siebie. Zwykle w takich sytuacjach szukał możliwie najciemniejszego szlaku, tym razem jednak nawet nie próbował. Cały teren, włącznie z licznymi parkingami i zadrzewionymi drogami dojazdowymi, oświetlały wysokie latarnie.

Prawie kilometr. Tyle mniej więcej dzieliło go od budynku Wydziału Administracji. W każdej chwili mógł spotkać kogoś, kto nawet jeśli się nie zorientuje, że Nate to nie Michael, to z pewnością zastanowi się, dlaczego cholerny strażnik wyszedł z budki. Dlatego też Kao nie zamierzał poruszać się głównymi drogami. Nie planował też iść w poprzek parkingu. Właściwie w ogóle nie chciał iść.

Pierwszy z pięciu wielkich parkingów rozpoczynał się zaraz za bramą wjazdową. Wystarczyło tylko niezauważenie wejść w usypaną z szutru dróżkę, by po trzydziestu sekundach postawić stopę na asfalcie. Nate tak właśnie uczynił i zgodnie ze swoimi przewidywaniami zobaczył samochód ochrony. Dotknął maski. Zimna. Nikt nie korzystał z tego pojazdu przynajmniej od

sześciu godzin. Nowa zmiana niedawno się zaczęła, więc ogromny ford E-350 do rana będzie jedynie ozdobą parkingu.

Siedem i pół sekundy zajęło Nate'owi dostanie się do pojazdu i uruchomienie silnika. Miał swoje sposoby. Powoli ruszył przez parking. Nie spieszył się. Zostało jeszcze sporo czasu. W głowie natychmiast zaczęły się pojawiać plany i schematy, które oglądał. Dysponował specyficznym typem pamięci. Wpatrując się nawet w najbardziej skomplikowany dokument, potrafił w ciągu kilkunastu sekund przyswoić go sobie i błyskawicznie utrwalić. Ze wszystkimi szczegółami. Na plan kompleksu, rozkład pomieszczeń w budynku zarządu oraz schematy instalacji alarmowej i sieci komputerowej patrzył w sumie trzy minuty i piętnaście sekund.

Talent Nate'a miał jedną wadę – jego pamięć szybko się resetowała, jeśli nie przeglądał w głowie zapamiętanych obrazów. Kiedyś przeprowadził test, podczas którego dowiedział się, że zapamiętane rzeczy ulegają całkowitemu zatarciu po dwudziestu jeden godzinach. Nigdy nie ustalił, jak szybko znikają pojedyncze szczegóły.

Przywołał w pamięci plan budynku. Widział doskonale okno, przez które dostanie się do środka. Znajdowało się na ostatnim piętrze budynku i jako jedyne nie zostało podłączone do alarmu, ponieważ dyrektor lubił sobie w nim zająrać. Nie tylko papierosa. No a komu wadzi brak alarmu w jednym oknie, na ostatnim piętrze i w dodatku na terenie kompleksu pieprzonej CIA?

Kao lubił taką pracę. Zwłaszcza jeśli plany dostarczał mu Baldur, bo zawsze były aktualne i dokładne. Zebranie materiałów do akcji zabrało Farerowi dobrą część. Część uzyskał bezpośrednio z serwerów CIA, a te, do których dostępu strzegł firewall... No cóż, Baldur wszędzie miał ludzi, którzy wisieli mu przysługę. W CIA też. Od tego wieczoru ta lista dłużników skróciła się o jedno nazwisko. Oprócz informacji o rozpięciu alarmu w oknie delikwenta Baldur uzyskał również kilka schematów budynku i informację, który z kwadracików na planie należy do Fedberga.

Nate podjechał do właściwego budynku. Zaparkował przy głównym wejściu, ponieważ przyszła mu do głowy szalona myśl.

Pomysł, który był tak bezczelny, że aż mógł się udać.

Po chwili wahania otworzył drzwi i wysiadł na zewnątrz. Powolnym ruchem poprawił pas z kaburą, który zabrał Michaelowi. Nie żeby chciał korzystać z broni, po prostu doskonale wiedział o dwóch rzeczach. Po pierwsze, strażnicy czy policjanci zawsze tak robią, gdy wysiadają z auta. Po drugie, obserwowano go. Czarna czasza kamery umieszczona nad wejściem była niepozorna i niewielu by ją zauważyło. On tak.

Ruszył w kierunku wejścia. Gdy podszedł do drzwi, odezwało się ciche brzęczenie. Strażnik wewnątrz otwierał mu elektromagnetyczny zamek. Kao chwycił podłużny uchwyt i szarpnął szklane drzwi do siebie. Znajdował się na nich napis „Pył Ziemi” i według informacji Baldura tak właśnie nazywał się budynek administracji. Pył Ziemi. Widać w departamencie nazewnictwa CIA pracują niespełnieni poeci.

Wszedł do obszernego patia, pośrodku którego stała recepcja, o tej porze okupowana przez dwóch strażników. Jeden z mężczyzn nie podniósł wzroku. Wciąż wpatrywał się w ukryte pod kontuarem monitory. Drugi obserwował przybysza.

– Cześć – rzucił Nate.

– Cześć – odparł tamten, a ton jego głosu dowodził, że oczekuje dalszych wyjaśnień.

– Mieliście tu elektryków?

– Owszem. Są na górze. U Fedberga.

– Kurde, nie wiem, czy dobrze, że...

– Co jest? – zapytał ten drugi, który właśnie przestał się wpatrywać w monitory.

– Jestem Michael Dalton. Nowy. Przepuszczałem ich na bramie. Niby wszystko było okej, zlecenie wyglądało na autentyczne, ale...

– Ale?

– Nie było dyspozycji.

Podał strażnikowi spis dyspozycji, który zabrał Michaelowi. Wcześniej nie potrafiłby wyjaśnić, po co to zrobił. Tak podpowiadała mu intuicja, a on jej zawsze słuchał. A potem pomyślał, że to naprawdę zabawne, iż w dwudziestym

pierwszym wieku w budynku najbardziej zaawansowanej technologicznie organizacji świata dyspozycje wciąż się spisuje na papierze.

Strażnik wpatrywał się chwilę w dokument.

– I przepuściłeś ich? – zapytał w końcu.

– Tak samo jak i ty – odparł Nate.

– Ja tu nie sprawdzam dyspozycji. Od tego są strażnice przy bramach. Ja tylko kontroluję, czy zlecenie jest poprawne. A oni mieli poprawne.

– To co miałem zrobić?

Strażnicy spojrzeli po sobie.

– Zadzwoń do dyrektora – rzekł ten od monitorów.

– No to sobie dzwoń. – Nate się skrzywił. – Może i jestem nowy, ale chłopaki już mi powiedzieli, jak Fedberg reaguje na takie telefony. A ja nie chcę podpaść zaraz na samym początku.

– Ale i tak już podpadłeś – odezwał się ten pierwszy.

– Jeśli mnie podpierdolicie.

Strażnicy znów spojrzeli po sobie. Widać było, że nie wiedzą, co zrobić. Kao dostrzegł to wahanie natychmiast i uśmiechnął się w duchu. A więc jednak istnieje jeszcze coś takiego jak solidarność zawodowa. Strażnik od monitorów powrócił do gapienia się w monitory. Najwyraźniej był mniej wygadany od kolegi i męczyła go już ta konwersacja.

– Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku, bo to jednak gabinet dyrektora – powiedział Nate.

– Myślisz, że coś nam może grozić?

– A bo ja wiem? Alarm musieliście wyłączyć.

– Mamy monitory – rzekł strażnik, ale w jego głosie dało się wyczuć nutkę zaniepokojenia.

– Gównno macie – odparł Nate. – Przecież nie będą grzebać przy kablach pod napięciem. Zaraz wyłączą prąd i będzie ciemno. Zresztą kto ich tam wie, co oni za jedni? I co mogą podłączyć do systemu.

– Święta racja, chłopie – zgodził się w końcu strażnik. – Trzeba będzie pójść to sprawdzić. Wolę nie myśleć, co by było, gdyby...

– Ja pierdolę – rzucił ten od monitorów. – Przecież oni

zablokowali windy. Na trzecie piętro z buta?

– Spoko, przejdę się. Po to tu podjechałem – odparł spokojnie Kao, a obaj mężczyźni przy kontuarze spojrzeli na niego nieco przychylniej. – Kontrolujcie sytuację w systemach, a ja pójdę na górę. Ja spieprzyłem, ja posprzątam.

– Wiesz, dokąd iść?

– Jasne. Byłem tu już. Do końca korytarza. Po lewej będą windy, a po prawej schody i schody awaryjne. Na trzecim piętrze w prawo i do końca. Gabinet Fedberga jest w narożniku.

Milczenie trwało bardzo krótko.

– Dobra – rzekł w końcu strażnik. – To idź. Ale szybko wracaj.

– Poczekaj – odezwał się ten drugi. – A co z bramą? Opuściłeś posterunek.

– Tak. Ale przez najbliższe pół godziny nikt nie powinien się tam zjawić. Tak mam w dyspozycjach.

– Elektryków też miałeś?

– Spokojna głowa, za pięć minut wracam – odparł Nate, mijając kontuar recepcji i kierując się w stronę holu.

– Ja pierdołę. No co za frajer! – krzyknął strażnik gapiący się w monitor.

– I co się tak podniecasz? Przecież znasz wynik od trzech dni.

– Nie oglądałem.

– No to masz pecha. Będzie jeden do jednego.

– Kurwa!

Kao się uśmiechnął. Od dłuższej chwili podejrzewał, że na ekranie toczy się powtórka meczu DC United. Żaden strażnik świata nie poświęca swojej pracy aż takiej uwagi. To musiał być mecz. A jeśli mecz, to tylko MLS, bo inne ligi nie grają w sierpniu. I owszem. Było jeden do jednego. United wygrywali do przerwy, ale Toronto zremisowało w sześćdziesiątej minucie. Kao lubił piłkę nożną.

Dotarł do windy. Zatrzymał się na chwilę. Raz jeszcze przejrzał w głowie schemat budynku. Zastanawiał się, czy nie pojechać windą, ponieważ dźwigi miały osobne zasilanie. Jednak się nie zdecydował. Strażników wyraźnie zmartwiła perspektywa wędrówki na trzecie piętro. Czyli nie wiedzieli o osobnym

zasilaniu. Najwyraźniej ich też nikt nie traktował tu poważnie. Nie wiedzieli, więc on również nie powinien. Inaczej mógłby się narazić na nieprzyjemne pytania.

Kao doskonale wiedział, że dwa kilometry dalej znajduje się centrum bezpieczeństwa, gdzie strażnicy są bardziej skupieni na swoich zadaniach niż ci dwaj przy wejściu. I mają kilkadziesiąt monitorów z podglądem na cały obiekt. Nawet na Wydział Administracji. Zapewne nie poświęcają mu zbyt wiele uwagi. Być może nawet reagują dopiero wtedy, kiedy włączy się alarm. Nate nie był o tym przekonany, więc nie zamierzał ryzykować.

Pchnął drzwi i znalazł się na klatce schodowej. Szybkim krokiem ruszył w górę. Po dwa stopnie naraz. Pomiędzy pierwszym a drugim piętrem zgasło światło. Elektrycy zabrali się do roboty. Nate zatrzymał się na moment, czekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności. Zajęło mu to zaledwie kilkanaście sekund. Brak światła przestał być jakimkolwiek problemem. Od dziecka widział w ciemnościach jak kot. Ruszył w dalszą drogę i po chwili dotarł na trzecie piętro.

Uchylił drzwi i gdyby to nie był on, wpadłby pewnie na azjatyckiego elektryka, który przyświecając sobie latarką, majstrował przy szafie z bezpiecznikami. Jednak Kao nie zaliczał takich wpadek. Nigdy. Wycofał się na klatkę schodową i sięgnął po komórkę. Wybrał numer Baldura, a ten zgłosił się po pierwszym sygnale.

– Jesteś na miejscu? – zapytał Farer.

– Niezupełnie. Prądojeby panoszą się po całym piętrze. Mogę tam wejść i ich trochę pozaczepiać, ale nie będę przy nich grzebał w komputerach. To raczej nie są przypadkowi ludzie i wiedzą, co jest, a co nie jest normalne w tym budynku. Stoję na klatce schodowej.

– Gdzie? Jakim cudem? Miałeś...

– Miałem wejść przez okno gabinetu dyrektora, bo jest najwyższe i nie ma w nim alarmu – przerwał mu zniecierpliwiony Kao. – Ale sytuacja się zmieniła. Ja cię nie uczę, jak stukać w klawiaturę, więc ty nie mów mi, jak mam wykonywać swoją robotę.

– Wyluzuj, chłopie! Pytałem z ciekawości.

– Wszedłem przez główne wejście, poprosiłem dwóch strażników, żeby mi pozwolili zajrzeć do gabinetu szefa, po czym ruszyłem schodami na trzecie piętro.

– W porządku, zrozumiałem. Nie wnikam więcej.

– W każdym razie muszę tu poczekać, aż elektrycy się wyniosą.

– Po co?

– Baldi, proszę cię, dobrze? Kazałeś mi dotrzeć do gabinetu Fedberga, więc...

W słuchawce rozległ się śmiech, który natychmiast zirytował Nate'a. Protekcyjnalny, wiecznie przemądrzały ton Baldura zawsze doprowadzał go do szału.

– Kazałem ci się dostać do tego gabinetu, bo według schematu tam są urządzenia, dzięki którym najłatwiej się wpiąć do sieci. Ale skoro wchodzisz inaczej, to mam lepszy pomysł. Tak naprawdę chodzi jedynie o to, żebyś podpiął się do jakiegoś komputera. Jak już ci mówiłem, drogi nieuważny kolego, nawet jeśli Vessna miała tu kiedykolwiek jakiś komputer stacjonarny, to i tak dawno go zutylizowano. Ale na serwerze z pewnością są jej dane. Takich informacji nie archiwizuje się od razu. Wystarczy, że się do niego dostaniemy. Musisz znaleźć działający komputer. Zejdź na drugie piętro.

– Drogi nieuważny kolego, nie ma prądu. Poszukam laptopów.

– Szkoda czasu. Na pewno mają hasła startowe. Banalne, ale przecież z zewnątrz tego nie zrobię. A ty sobie z tym nie poradzisz.

– To co robimy?

– Jesteś na drugim piętrze?

– Jeszcze nie. Oddzwonię za minutę.

Rozłączył się. Był na klatce schodowej, tuż przy drzwiach na korytarz. I musiał coś przemyśleć.

Może i Pył Ziemi nie był najbardziej chronionym obiektem w Langley, ale nadal znajdowało się tu więcej kamer niż na przeciętnym amerykańskim lotnisku. Kamery z pewnością nie były podłączone do głównego źródła zasilania, bo gdyby nastąpił atak z zewnątrz, to napastnicy w pierwszej kolejności odciąłiby prąd. A kamery muszą pracować nadal. Na trzecim piętrze Nate

nie musiał się ich obawiać. Jego obecność tam była uzasadniona. Co innego piętro niżej. Gdyby go tu dostrzeżono, z pewnością miałyby problemy z wykonaniem zadania.

W budynku wciąż zalegały ciemności, jednak Kao był zbyt doświadczony, by z tego skorzystać. Przecież elektrycy mogli włączyć światło w każdej chwili.

Zamknął oczy i raz jeszcze przywołał w myślach plan piętra i schemat rozmieszczenia kamer.

Nie ulegało dyskusji, że albo plan zawiera błędy, albo system projektował wyjątkowy partacz. Szesnaście kamer na korytarzu. Osiem po lewej i osiem po prawej stronie. Co dziesięć metrów. Naprzemiennie. Każde urządzenie po prawej stronie korytarza wisiało pod sufitem w połowie odległości pomiędzy dwiema kamerami po lewej stronie. Dzięki temu pozornie udało się objąć zasięgiem cały korytarz.

Pozornie, bo w rzeczywistości Kao bez większego zastanowienia potrafił znaleźć przynajmniej dwie drogi, dzięki którym mógł przedostać się niezauważenie na każdy z końców pomieszczenia. Kamery dysponowały szerokim kątem widzenia, ale się nie obracały. A taki sprzęt zawsze ma jakieś martwe pole. Zwykły człowiek nie umiałby go zlokalizować, Kao znalazł po dwa na każdą kamerę.

Uchylił lekko drzwi. Uśmiechnął się. Rzut oka na pierwszą kamerę upewnił go, że przecucie go nie myliło. Człowiek odpowiedzialny za rozmieszczenie kamer był zwykłym idiotą. Pierwsza kamera wisiała dokładnie na wprost podwójnej windy. Na pozór miało to uzasadnienie. Ale tylko dla laika. Bo dzięki temu wyjście z klatki schodowej pozostawało w martwej strefie. Dokładnie tak jak na planach dostarczonych przez Baldura. Czy jeśli ktoś wpadnie na pomysł, by włamać się do CIA, skorzysta z windy, robiąc masę hałasu i zwracając na siebie uwagę centrum bezpieczeństwa? Bardzo wątpliwe. Gdyby Nate'owi ktoś zapłacił za zaprojektowanie systemu bezpieczeństwa, klatka schodowa stałaby się najbardziej strzeżonym miejscem świata. Tymczasem na niej akurat kamer nie zamontowano.

Wyjął komórkę.

- Co tak długo? – rzucił Baldur.
 - Jestem na drugim piętrze.
 - Dobrze. Pamiętasz schemat Pyłu Ziemi?
 - Tak.
 - Po lewej stronie na końcu korytarza znajduje się spora otwarta przestrzeń.
 - Zgadza się. Urzęduje tam administracja. Administracja administracji. Dobrze.
 - Właśnie. I tam znajdziesz komputer, który będzie mieć własne zasilanie i na pewno działa.
 - Skąd to wiesz?
 - Bo wiem. Jaką masz sytuację z kamerami?
 - Opanowaną.
 - Świetnie. Zadzwoń, gdy dotrzesz na miejsce.
- Kao ruszył powoli labiryntem krzyżujących się ze sobą martwych pól. Był pewnie jedynym na świecie włamywaczem, który w absolutnych ciemnościach przejmował się kamerami. Ale przypuszczalnie właśnie dlatego był jedynym na świecie włamywaczem, który może bezkarnie dotrzeć do serwera CIA.
- Dojście na miejsce zajęło mu dwie i pół minuty. Światła nie włączono. Ponownie zadzwonił do Baldura.
- Test na inteligencję. – Farer się zaśmiał. – Jaki komputer będzie na pewno włączony i ma własne zasilanie?
 - Test na inteligencję – odparował Nate. – Po jakim czasie strażnicy przy wejściu zaczną się zastanawiać, dlaczego ich kolega, który poszedł sprawdzić, co się dzieje na trzecim piętrze, jeszcze nie wrócił?
 - O kurwa, stary. Ty nie żartowałeś z tym wejściem przez drzwi?
 - Nie żartowałem.
 - Dobra. Komputer, którego szukasz, to serwer drukarek. Administracja ciągle coś drukuje. Muszą mieć kilka drukarek i serwer. A serwer z pewnością wisi na zasilaczu UPS.
 - Baldi, dobrze się czujesz? Serwer drukarek? Myślisz, że z komputera, który może obsługiwać każdy, da się wejść w głąb systemu?
 - Ważne, że nie będzie zahasłowany. Tak przypuszczam. Moja

zabawka spokojnie go spenetruje.

– Dobra. Widzę drukarki. Jest też komputer, ale wyłączony. Chociaż nie, słyszę wentylator.

– Pewnie ekran jest wygaszony. Porusz myszką.

Nate podszedł do kamery wiszącej tuż nad monitorem i zakleił ją czarną taśmą. Teraz trzeba było się spieszyć. Odszukał mysz i wyciągnął w jej kierunku dłoń. Szybko jednak ją cofnął.

– Baldur – rzekł cicho. – Musisz mi dać jeszcze trochę czasu.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. Ale jeśli ruszę tą zasraną myszką, to ekran się rozświekli. Tu jest ciemno jak w dupie, więc światło z ekranu na pewno nie ujdzie uwagi strażników z centrum bezpieczeństwa. Ich monitory rozjarzą się jak po wybuchu fajerwerków.

– Masz jakiś pomysł?

– Muszę zakleić najbliższe kamery. Jest ciemno, więc i tak się nie zorientują. O ile elektrycy nie włączą prądu. Bo wtedy mam przejebane.

– No to zrób to.

– Najpierw muszę się zastanowić, ile kamer może zarejestrować światło. Oddzwonię.

Kao narysował w głowie mapę zasięgu kamer. Przynajmniej trzy z nich, nie licząc tej już zaklejonej, uchwycą światło ekranu.

Tym razem nie bawił się w kluczenie. Teraz liczył się czas. Jeśli zasilanie powróci, plaster na kamerze wywoła taką samą reakcję centrum bezpieczeństwa, jak nieuprawniony do przebywania w tym miejscu strażnik. Zakleił wytypowane kamery i podszedł do komputera. Spieszył się.

– Kiedy wrócę, to pogadamy sobie o tej akcji, Baldi – rzucił do słuchawki. – Jest tak beznadziejnie przygotowana, że jeśli się powiedzie, powinieneś mi postawić butelkę macallana. A gdyby tu nie było tych elektryków? Wtedy cały ten plan mógłbyś sobie wsadzić w dupę.

– Gdyby ich nie było, wszedłbyś przez okno do gabinetu Fedberga. Dokładnie tak, jak planowałem. Do gabinetu, w którym nie ma ani jednej kamery, ponieważ dyrektorzy nie życzą sobie

ich mieć. Nawet Fedberg, dyrektor od srajtaśmy, uważa, że jego spotkania powinny być tak tajne, że ja pierdolę. Następnie skorzystałbyś z serwera drukarki, ponieważ tak się składa, że CIA ma więcej niż jedną drukarkę, a Fedberg ma własny serwer podpięty do tej samej sieci, w której teraz grzebiesz. Tak by było, gdyby nie elektrycy. Czy rozwiąłem już twoje wątpliwości?

– Na litość boską, Baldur. Pospiesz się.

– Masz pendrive, który ci dałem?

Kao poruszył myszką i ekran się rozświetlił. Następnie wysunął z kieszeni niewielki dysk przenośny z trupa główką namalowaną na obudowie. Cały Baldur.

– Mam.

– Włóż go do portu USB. Któregokolwiek.

Nate wykonał polecenie. Zawartość dysku automatycznie pojawiła się na monitorze. I stanowiło ją tylko jedno zdjęcie.

– Baldur... – zaczął Kao, ale Farer przerwał mu.

– Widzisz plik JPG? Kliknij go.

– Jakaś wyspa – powiedział do słuchawki.

– Nie jakaś wyspa, tylko Mykines. Najpiękniejsze miejsce na świecie. Mieszka tam czternaście osób, w tym po części również ja, bo mam tam dom, ale nigdy w nim nie byłem.

– Baldur...

– Wyjmij dysk.

Kao wyciągnął pendrive z portu. Zdjęcie natychmiast znikło.

– Wyjąłem. Co teraz?

– Jak to co? Spierdalaj.

– A dane?

– Dane już spływają.

– Praca z tobą wyprowadzi mnie kiedyś z równowagi!

– Mykines to mój autorski trojan. Tak naprawdę to nie jest plik JPG, ale program, który zmienia kod firewalla. Mam teraz dostęp do serwera, a ty powinieneś się stamtąd zawijać. I to szybko. Bo mówię o dwóch strażnikach przy wejściu. A ja już widzę podgląd z kamery nad recepcją i jest tam tylko jeden.

Kao wyłączył monitor komputera. Rano być może ktoś się zorientuje, że nie powinien być wyłączony, a jedynie wygaszony,

ale Nate miał to w dupie. Rano będzie daleko stąd. Zresztą pani czy pan z administracji z pewnością nie znajdą powodu do obaw. Najwyżej opieprzą kolegę lub koleżankę, że źle się obchodzi ze sprzętem.

Zerwał taśmę z kamery nad komputerem. Następnie, klucząc po martwych polach, usunął pozostałe. Po jego obecności nie było już śladu.

Gdy dochodził do klatki schodowej, rozbłysło światło. Nate zatrzymał się w pół kroku. Wziął głębszy oddech. Ufał sobie i wiedział, że wciąż jest niewidoczny dla kamer. Usłyszał ciężkie, powolne kroki na schodach. To z pewnością strażnik. Ten, który oglądał mecz. Ten drugi był mniejszy i wydawał się w lepszej formie.

Kao wstrzymał oddech i modlił się, by nadchodzący mężczyzna nie postanowił sprawdzić, co ciekawego dzieje się na drugim piętrze. Jeśli sprawdzi, będzie miał pecha. Nate potrafił zabić człowieka i robił to nie raz, choć bez szczególnej przyjemności. Kroki stawały się coraz głośniejsze. Kao napiął mięśnie, wiedząc, że jeśli dojdzie do konfrontacji, centrum bezpieczeństwa natychmiast ogłosi alarm. Nie przejmował się. Nie w takich sytuacjach radził sobie z ucieczką. Ale musiał być gotowy do działania, by nie pozostawić niczego przypadkowi.

Ale to właśnie przypadek mu dopomógł. Światło znowu zgasło. Załedwie na kilka sekund. Najwyraźniej elektrycy dokonywali jeszcze jakichś poprawek albo testów. Kao bez zastanowienia wyskoczył na klatkę, starając się nie trzasnąć drzwiami.

– Kto tam jest?! – krzyknął strażnik i poświecił latarką.

– Zgaś to – powiedział Nate. – To ja.

– No co tak długo, stary? Miałeś tylko sprawdzić elektryków.

– I sprawdziłem. A potem poszedłem się wysrać. Elektrycy robią swoją robotę i nic nam nie grozi.

– Co tam dłubią?

– Klima u Fedberga nie działa. Tylko nie mogą znaleźć przebicia. Może będą kuli.

– Ja pierdołę. Znowu się nie wyśpię. – Strażnik wyciągnął krótkofalówkę i rzucił do niej: – Wszystko okej. Elektrycy

w porządku, a nasza zguba poszła się wysrać.

ROZDZIAŁ 74

Siedzieli we trójkę w apartamencie hotelu Holiday Inn. Baldur cieszył się jak dziecko. Ostatecznie włamał się do serwera CIA. Zawsze o tym marzył.

Pakiety danych płynęły nieprzerwanym strumieniem od kilku godzin. A najlepsze było w tym wszystkim to, że Mykines nie pozostawiał żadnych śladów działalności. To znaczy, owszem, jeśli przysiądzie do niego zdolny spec od bezpieczeństwa sieciowego, to z pewnością zauważy przepływ danych. Ale żeby to nastąpiło, ktoś musi zacząć coś podejrzewać. A nie zacznie. Co więcej, ten specjalista może odkryje, że wytransferowano informacje, ale nigdy się nie dowie, jak to zrobiono. Nie znajdzie luki w firewallu, a jeśli się bardzo mocno postara i prześledzi drogę, jaką dane wypłynęły z serwera, to dotrze do hotelowego wi-fi. I tu ślad się urwie. Baldur nie po to był jednym z najlepszych fałszerzy w tym kraju, by się meldować pod własnym nazwiskiem.

Przeinstalowanie zapory nie przyniesie skutku, ponieważ Mykines tworzyło kopię zapasową ukrytą na serwerze i w razie reinstalacji automatycznie dobierze się do nowego oprogramowania. Jedyne, co może je zatrzymać, to całkowite sformatowanie głównego serwera, które zapewne wcześniej czy później nastąpi. Ale do tego czasu Baldur zyskał dostęp do najlepiej strzeżonych archiwów na kuli ziemskiej. Czuł, że kilka najbliższych miesięcy powinien poświęcić na zgłębianie tajemnic świata.

Mykines było jednym z jego najwspanialszych dzieł. Zaczął je projektować na specjalne zlecenie dla jednego z dalekowschodnich klientów. Kiedy program był już gotowy, postanowił go sobie zatrzymać. Wiedział, że pewnego razu mu się przyda. Klient w zamian otrzymał innego trojana. Takiego, jaki mógł napisać byle utalentowany szczeniak ze sprawnym

laptopem. Ale tego klient nie mógł wiedzieć. I dlatego zapłacił dwa miliony dolarów.

Dane zapełniały kolejne dyski i Baldur był zły, że nie zdążył skończyć pracy nad Fugloy, przełomowym projektem nośnika o niewielkich rozmiarach, ale niewyobrażalnej pojemności. Również na własny użytek. Baldur przypuszczał, że Fugloy zdoła pomieścić petabajt danych i w razie potrzeby będzie można go ukryć nawet w odbycie. Ależ by mu się teraz przydała taka zabawka. Za miesiąc pewnie będzie już ją miał. Tymczasem najcenniejsze dane świata kompletował na dyskach terabajtowych. Zapełnił ich już pięć w ciągu pięciu godzin. Akcelerator pobierania jego autorstwa nazywał się Kunoy. Baldur nie zastanawiał się na razie, jak będzie nazywać swoje wynalazki, kiedy skończą się nazwy farerskich wysp. Było ich tylko osiemnaście. A osiem miał już zajętych.

Zapełnione dyski natychmiast oddawał Aleksowi. Ten błyskawicznie podłączał je do Hestur, superszybkiego komputera zbudowanego przez Baldura w zeszłym roku, bazującego na systemie operacyjnym Kalsoy. Hestur wydajnością dorównywał niektórym komputerom NASA, może nie tym najnowszym, ale za to mieścił się w zwykłym laptopie.

Podpięte do Hestur dyski Aleks skanował najnowszym dziełem Baldura. Aplikacją Vágar, szybką wyszukiwarką słów kluczowych zawartych w nazwach dokumentów i ich treści. W panelu wyszukiwania wpisał „wniebowstąpienie”, „fuego” i „bird”. Na razie nie otrzymał żadnych wyników.

– Pięćdziesiąt dwa dni minęły od katastrofy i niczego nie wiemy – odezwał się Gall. – Kiedy tylko coś znajdujemy, okazuje się, że to gównem warte.

– Lepiej spójrz na to – powiedział Baldur.

Ten popatrzył na przyjaciela wpatrującego się w ekran. Widział wyraz jego twarzy. I znał ten wyraz wystarczająco dobrze, by milczeć.

– Aleks – rzekł w końcu mały Farer. – Musimy porozmawiać.

– Znalazłeś coś? – zapytał Gall.

Baldur skinął głową.

– No to mów, kurwa – rzucił Kao. – Odpuść już sobie ten teatrzyk i gadaj.

– Jakie hasło dało trafienie? – zapytał Aleks.

– „Bird”.

– I co o nim masz?

– Nic.

– Nie rozumiem.

– Nie o nim, Aleks. Musimy poważnie porozmawiać o twojej żonie.

Zapadło milczenie. Każdy z nich chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak zacząć. Dlatego przez chwilę słychać było jedynie szum hotelowej klimatyzacji i deszcz zacinający o szybę. W końcu Baldur zapytał:

– Co o niej wiesz, Aleks? To znaczy, jasne, była twoją żoną, więc wiesz o niej wszystko. Pozornie. Chodzi mi o to, czy miała coś do ukrycia?

– Sługa zdradził mi, że była agentką CIA. W normalnych okolicznościach nigdy bym w to nie uwierzył. Ale okoliczności nie są normalne. Co dokładnie chcesz wiedzieć, Baldur?

– Chcę wiedzieć, gdzie się urodziła.

– Co? W Honolulu. Na Hawajach.

– Nie rób ze mnie durnia! – rzucił Baldur. – Wiem, gdzie to jest. Ale dlaczego tam? Z tego, co pamiętam, Weronika miała irańskie pochodzenie.

– To skomplikowana historia.

– Mamy czas.

– Bird służył w Iranie. Poznał tam matkę Weroniki i zakochał się w niej, ale ona była muzułmanką, więc spotykali się w tajemnicy. Trwało to dość długo, aż w końcu dziewczyna zaszła w ciążę. Najwyraźniej wiara nie przeszkodziła jej w baraszkowaniu z niewiernym. Tyle że brzucha nie da się ukryć. Kiedy jej bracia dowiedzieli się o ciąży, chcieli ją ukamienować. Chcieli i zrobili to. Przeżyła, ale obrażenia były bardzo ciężkie. Jej rodzina myślała, że dziewczyna nie żyje, więc Birdowi udało się ją ukryć. Ale ich kłopoty się nie skończyły. Weronika lada dzień mogła przyjść na świat, a wedle irańskiego prawa nie mogła dziedziczyć

obywatelstwa po ojcu. Natomiast dziecko urodzone w USA automatycznie otrzymuje amerykańskie obywatelstwo i gdyby tak się stało, to urzędasy Chomeiniego mieliby związane ręce.

– To on jeszcze wtedy żył? – zapytał Nate.

– I tak, i nie – odparł Gall. – Zmarł trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Dokładnie w dniu, kiedy urodziła się Weronika. Tak czy inaczej Bird miał sporo znajomości w wojsku i załatwił transport do bazy na Hawajach. Weronika urodziła się zdrowa. Dostała obywatelstwo i nazwisko po ojcu. Jej matka zmarła w czasie porodu.

– Aleks – rzekł cicho Baldur – czy nie widzisz, że to się zupełnie kupy nie trzyma? W owym czasie po całym regionie rozsianych było mnóstwo baz wojskowych. W jednej z nich stacjonował Bird. Amerykańska baza wojskowa to enklawa. W dodatku z doskonałą opieką medyczną. Rozumiesz? On nigdzie nie musiał lecieć. Weronika mogła dostać amerykańskie obywatelstwo, gdyby urodziła się w bazie. Więc po co ta wyprawa przez pół świata?

– Dobrze pytanie. – Gall westchnął.

– A żebyś wiedział. Sęk w tym, że odpowiedź nie ma znaczenia.

– Jak to?

– Bo to wszystko ściema.

Aleks wstał. Miał dość słuchania tego.

– Co tam znalazłeś?

Farer zrozumiał, że żarty się skończyły. Aleks spokojny i Aleks porządnie zdenerwowany wyglądali i zachowywali się dokładnie tak samo. Ale on znał obu bardzo dobrze. I potrafił ich od siebie odróżnić.

– Fotokopię aktu urodzenia twojej żony, przyjacielu – oświadczył Baldur.

– I co z niego wyczytałeś?

– Dokładnie to, co przed sekundą mówiłeś. Weronika Bird. Urodzona trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego w Honolulu.

– W czym więc problem?

– Aleks, ten dokument jest fałszywy. W pierwszej chwili

pomyślałem, że może ludzie Vessny spreparowali coś przeciwko Birdowi. Ale skoro dokument zawiera prawdziwe, a w każdym razie powszechnie znane informacje, to znaczy, że spreparował go sam Bird. Podejrzewam, że dzięki temu dokumentowi zmusili Birda do współpracy.

– Poczekaj – przerwał Gall. Zajęło mu kilka chwil, by zrozumieć znaczenie tego, co powiedział Baldur. – Skąd wiesz, że to fałszywka?

– Ponieważ jestem fałszerzem. To jest niezła podróbka, w sensie technicznym niezła, ale w życiu nie widziałem, by na akcie widniała ta sama data dla urodzenia i wydania certyfikatu.

– Chcesz mi wmówić – uśmiechnął się Aleks – że na podstawie tak błahej przesłanki jesteś zdania, że dokument sfałszowano? Nie przesadzasz?

– Mogę do tego dodać jeszcze kilka argumentów. Na przykład taki, że amerykańska administracja jest leniwa i nie pracuje w soboty. Trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego wypadła sobota.

– Skąd to wiesz, do diabła?

– Umiem policzyć w pamięci, jest na to pewien sposób i... Nieważne. Kolor dokumentu też się nie zgadza. Za mało zielony. Widywałem już papiery o tym kolorze, ale były one bardzo stare.

– W porządku. Ale nadal nie jestem przekonany.

Baldur się uśmiechnął. Miał nadzieję, że uda mu się wciągnąć przyjaciela w małą gierkę. Dzięki temu puenta będzie mocniejsza. Farer uwielbiał takie zabawy. I doskonale wiedział, że Aleks ich nie znosi.

– Czy wiesz – zapytał z perfidnym uśmieszkiem na twarzy – gdzie urodził się Barack Obama?

– W Honolulu – odparł nieco zaskoczony Aleks.

– No właśnie. A dokładniej w Kapi’olani Maternity and Gynecological Hospital. Spójrz na ten dokument i powiedz mi, gdzie urodziła się twoja żona.

Przyjrzał się skanowi. Przeczytał go bardzo dokładnie. Literka po literce. Ale nie znalazł błędu.

– W Kapi’olani Maternity and Gynecological Hospital – rzekł

w końcu Aleks. – Do czego zmierzasz?

– Do tego, że nie ma czegoś takiego, jak Kapi’olani Maternity and Gynecological Hospital. A raczej jest, tyle że od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku nazywa się Kapi’olani Medical Center for Women and Children.

– Skąd ty, do cholery, to wiesz? – zapytał zdumiony Kao.

– A czy ja się ciebie pytam, jak zwiąłeś z Wyspy Rikera? Każdy ma swoje zainteresowania i małe tajemnice. Powiem tylko tyle, że fałszowałem już hawajskie akty urodzenia. I w przeciwieństwie do autora kopii, którą oglądasz, odrobiłem lekcje i dowiedziałem się, co można na dokumencie umieścić, a czego nie.

– No dobrze – rzekł Aleks. – Wydaje mi się, że nadszedł już czas, żeby uciąć sobie pogawędkę z teściem.

– Cholerna racja – odparł Baldur.

– Ale najpierw – Gall usiadł na hotelowym łóżku i przetarł twarz dłonią – muszę wam powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Bardzo ważną. Nie byłem z wami do końca szczerzy. Teraz jednak koniec z tajemnicami.

ROZDZIAŁ 75

Annapolis przywitało ich hukiem fal w zatoce Chesapeake. Silny, wiejący prawie nieprzerwanie od dwóch miesięcy wiatr rozhuśtał w końcu leniwe wody zatoki. Mieszkańcy Annapolis z niepokojem spoglądali na majaczące w oddali, bezustannie obmywane przez morską falę obie nitki mostu Williama Prestona Lane'a. Siedmiokilometrowa przeprawa trzymała się dzielnie, ale nie projektowano jej z myślą o dzikich sztormach. W tym miejscu po prostu zwykle ich nie ma.

Baldur zatrzymał samochód na chodniku przy State Circle. Nieobecny wzrokiem wpatrywał się w powolny ruch wycieraczek, które nie nadążały już za ulewą.

– Nie podoba mi się to – powiedział do Aleksa, który właśnie wiązał sznurki od kaptura.

– To jest nas dwóch.

– Jesteś pewien, że chcesz tam pójść sam?

– Nie ma innego wyjścia. Jeśli Harvey z kimkolwiek szczerze pogada, to tylko ze mną.

– Dobrze masz z nim układy?

– Poprawne.

Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Do wnętrza pojazdu natychmiast wpadł zimny, porywisty wiatr. Zrobiło się nieprzyjemnie.

– Mam poczekać? – zapytał Baldur.

– Nie. – Aleks pokręcił głową. – Wrócę autobusem. Dużo ważniejsze jest, żebyś pojechał prosto do Kowalsky'ego i opowiedział mu o wszystkim. Jego pomoc może się okazać bardzo potrzebna.

– Zrobię to – odparł cicho Baldur. – Gdzie się spotkamy?

– Zadzwoń.

Wysiadł i zatrasnął drzwi. Poczuł przenikliwy chłód. Cienka letnia kurtka nie zapewniała mu należytej ochrony przed

zimnem, więc ruszył dziarskim krokiem w poprzek ronda, na wschód od Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Nie minęła nawet minuta, a już był całkowicie przemoczony. Obejrzał się. Samochód Baldura wciąż stał na chodniku. Farer wpatrywał się w niego przez szybę.

– No jedź! – krzyknął Aleks, machając ręką w kierunku przyjaciela.

Baldur w końcu puścił hamulec i auto wtoczyło się na pas ruchu.

Gall ruszył przed siebie. Deszcz zalewał mu twarz, musiał ją więc osłaniać dłonią i przez to niewiele widział. Ale bywał już tutaj. Dawniej nawet często. Znał drogę na pamięć.

Niemal biegiem pokonał most na Compromise Street i znalazł się na East Port. Skręcił w kierunku Sycamore Point, gdzie rozciągał się kompleks pomieszczeń biurowych. Wybudowano go niedawno, ze stali i szkła, w miejscu kilku niewielkich domów. Oczywiście nie obyło się bez protestu mieszkańców. Zwłaszcza tych wysiedlonych. I choć protesty nic nie dały, to Great Bird Inc. nie mogło liczyć ani na przychyłość, ani choćby życzliwość sąsiadów. Dlatego też kompleks miał dość rozbudowany system ochrony, której pierwszym punktem była żelazna brama.

Aleks podszedł do dotykowego panelu przytwierdzonego do bramy. Chwilę się z nim męczył, bo deszcz zalewał wyświetlacz. W końcu jednak się udało. Ku zaskoczeniu Aleksa w głośniku nie rozbrzmiał żaden głos. Od razu dało się słyszeć cichy brzęczyk zwiastujący otwarcie bramy. Popchnął drzwi i wszedł do środka, gdzie stała niewielka budka strażnicza.

– Dzień dobry, panie Gall. Pan Bird czeka na pana – rzekł beznamiętnie strażnik, pochylając się do niewielkiego, umieszczonego w dole szyby kuloodpornej otworu. Nawet nie wyszedł z budki. W sumie trudno mu się dziwić. Kto chciałby wyłazić z ciepłego pomieszczenia tylko po to, by w ciągu jednej chwili kompletnie przemoknąć?

Gall przeszedł jeszcze dobre sto metrów, nim w końcu dotarł do głównego wejścia. Zmierzchało. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Fotokomórka rozsunęła szklane drzwi i Aleks wszedł do patia. O tej porze w budynku nie było już nikogo.

Wsiadając do windy, zawahał się. Całe trzecie piętro stanowiło jeden wielki gabinet Birda. Żeby się tam dostać, trzeba było mieć specjalny klucz, który właśnie tkwił w otworze, tuż obok przycisku realizującego specjalne połączenie z trzecim piętrem. Bird faktycznie musiał go oczekiwać. Aleks wziął głęboki wdech i wdusił trójkę, która natychmiast rozświetliła się delikatną czerwoną poświatą. Dźwig ruszył z miejsca. Dotarcie na samą górę zajęło mu dziesięć sekund.

W gabinecie było zupełnie ciemno.

– Tu jestem.

Stary i zmęczony głos dobywał się ze skórzanego fotela stojącego w północnej części piętra. Aleks nie widział siedzącego w nim mężczyzny, ale głos poznał bez problemu. Ruszył w tamtym kierunku. Gdy się zbliżał, w nozdrza uderzył go mocny zapach gurkha black dragon, najdroższego cygara świata, ponad tysiąc sto dolarów za sztukę. Aleks nie potrafiłby tego rozpoznać. Po prostu wiedział, jakie cygara pali jego teść.

– Powiedziano mi, że jesteś w biurze. – Gall wciąż jeszcze rozmawiał z ciemnością. Być może dlatego właśnie szeptał. Jakby nie chciał spłoszyć ukrytego w fotelu starca. Ten jednak nie zamierzał nigdzie uciekać.

– Czekałem na ciebie, Aleks.

Fotel powoli się obrócił. Gall ujrzał zmęczonego, siwego, lekko już łysiejącego mężczyznę. Mężczyznę, który w dłoniach trzymał strzelbę. Jego prawa dłoń nieprzyjemnie błędziła wokół spustu.

– Fajna zabawka – rzekł Aleks. – Benelli M4?

– Benelli M4 super 90 – uzupełnił Bird. – W końcu się zjawiłeś. Ile już wiesz?

– Niewiele.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Być może jeszcze nie jest za późno.

– Za późno na co, Harv?

Bird zaciągnął się cygarem. Przez chwilę delektował się smakiem tytoniu, po czym wypuścił z ust chmurę dymu.

– Są takie rzeczy, Aleks, których nie powinienes wiedzieć. A raczej, których nigdy nie miałes się dowiedzieć. I ode mnie się ich nie dowiesz. Ale są też rzeczy, o których opowiem ci chętnie.

Może przyniesie mi to ukojenie, a może nie. Zobaczymy. Szczerze mówiąc, wątpię.

– Co zamierzasz zrobić z tą strzelbą, Harv?

– Jeszcze nie wiem. To będzie zależało od wielu rzeczy. No więc? Co już wiesz?

– Wiem, że bierzesz w tym udział.

– W tym? To znaczy w czym?

– W operacji „Wniebowstąpienie”.

– Tylko tyle? Na Boga, chyba cię przeceniłem. Myślałem, że przyjdiesz do mnie lepiej przygotowany. Że przynajmniej będziesz podejrzawać, dlaczego wziąłem udział w tym gównie.

– Myślę, że ma to związek z Weroniką.

Bird przyglądał się chwilę zięciowi. Podejrzewał, że ten chłopak więcej wie, niż mówi. Aleksander Gall nie był pierwszym lepszym żołnierzem. To był ktoś, kto stanowił najpoważniejszy wpis w portfolio błędów Tyné'a. I dobrze mu tak, podłemu skurwysynowi.

– Mów dalej – powiedział Bird.

– Miałem nadzieję, że to ty będziesz mówił. Wiem tylko tyle, że akt urodzenia Weroniki jest sfalszowany. Liczę, że wyjaśnisz mi dlaczego. Jeśli nie, to wydarzy się jedna z dwóch rzeczy. Albo mnie zastrzelisz, albo zacznę kopać i w końcu się czegoś dokopię.

– Bardzo wątpię, by ci się udało.

– Nie zabiłeś jeszcze wszystkich kumpli z oddziału. Bo to ty ich zabijasz, prawda? Wiem o tej sprawie od Chase'a.

Szaleńczy śmiech Birda zaskoczył Aleksa. Starzec przez chwilę nie panował nad mimiką twarzy, a potem rozkaszał się na dobre.

– Wiesz, Aleks – rzekł, gdy w końcu się uspokoił – zawsze cię lubiłem. Lubię cię nawet teraz, choć czuję, że tylko jeden z nas wyjdzie żywy z tego pomieszczenia. W każdym razie naprawdę się cieszyłem, że Weronika właśnie ciebie postanowiła mi ofiarować za zięcia. Jesteś mądrym chłopakiem. I jestem z ciebie dumny.

Gall milczał. Bird ponownie zaciągnął się cygarem. Trzymał dym w ustach nieco zbyt długo, bo gdy go w końcu wypuścił, ponownie zaniósł się kaszlem. Ale trwało to tylko chwilę.

– Wiem, gdzie służyłeś – powiedział w końcu. – I wiem, że były to operacje w czasie pokoju, a więc wymagające szczególnej ostrożności. Ja też służyłem w takim oddziale. Ale byliśmy gorsi. Byliśmy tymi złymi. Pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku wojna pomiędzy Irakiem a Kuwejtem wisiała na włosku. Ale Wujowi Samowi ten konflikt był bardzo na rękę. „Pustynna Burza” miała przynieść wiele korzyści amerykańskiemu skarbnikowi. Jak się zapewne domyślasz, operację przygotowano z pewnym wyprzedzeniem, inwestując w nią dziesiątki miliardów dolarów. Stało się więc wyższą koniecznością, aby konflikt się szybko zaognił. Pomóc w tym miały tajne oddziały prowokatorów. Byłem dowódcą jednego z takich oddziałów. Pięćdziesiąte urodziny spędziłem w zakonspirowanej kwaterze, usytuowanej w pobliżu bardzo podłego miasteczka Al-Fau. Z punktu widzenia wojskowych planistów to była idealna lokalizacja. Miasteczko leży w Iraku, ale na samej granicy z Iranem. Wystarczyło cisnąć kamieniem, by przerzucić rzekę Szatt al-Arab i trafić w żołnierza z amerykańskiej bazy w Arwandkenar. Często się tam wybieraliśmy. Ale niemal tak samo blisko było do Kuwejtu. Dysponując zodiakiem, można się tam dostać w pół godziny, licząc z przepłynięciem estuarium Chaur Abd Allah.

Kaszel. Chwila przerwy.

– Podłe z nas były skurwysyny. Takie mieliśmy zadanie. Żeby nas nie lubili. I byliśmy stanowczo nadgorliwi. Nikt nam nie patrzył na ręce. Traktowaliśmy ich wszystkich, mieszkańców Al-Fau i okolic, jak arabskich brudasów, a oni nie pozostawali nam dłużni. Tyle że my mieliśmy nowoczesną broń, a oni najwyżej kamienie. Byliśmy pieprzonymi panami życia i śmierci, rozumiesz? Któregoś razu, gdzieś w połowie listopada, zasadziliśmy się na pewnego młodego pastucha. Stanowił dla nas idealny cel. Krzykliwy, najgłośniejszy protestujący przeciwko naszym akcjom. Ludzie go słuchali. Dopadliśmy go na pustyni, nieopodal miasta. Jechał na śmiesznym motorku, wioząc z tyłu całkiem fajną arabską dupeczkę. Kiedy go zastrzeliliśmy, okazało się, że ta dupeczka była jego siostrą. Rozumiesz? Pustynia,

absolutny środek niczego, żywego ducha w promieniu przynajmniej piętnastu kilometrów, panowie świata i arabska fajna dupeczka. Postanowiliśmy się z nią zabawić. Grupowo.

Przerwał na moment. Wpatrywał się w Aleksa pustym wzrokiem.

– Wiem – rzekł cicho. – I widzę w twoich oczach, że ty także wiesz. To, co zrobiłem, było ohydne. Ale taki właśnie był dawny Bird. Nie masz pojęcia, jak bardzo siebie za to nienawidzę. W jakim stopniu zmieniło to moje życie.

– Dawny Bird? – zakpił Gall.

– Tak, ale nie uprzedzajmy faktów. Choć postanowiliśmy się z nią zabawić wspólnie, to tak naprawdę zabawiłem się tylko ja. Bo dziewczyna zemdłała. Zerznąłem kukłę i nawet się nie zorientowałem. Ale kiedy przyszła kolej na chłopaków, stracili zainteresowanie. Więc po prostu sobie poszliśmy. Zostawiliśmy ją, by zdechła. Taka jest prawda.

Nastało długie milczenie. Aleks robił wszystko, by nie oceniać Birda. Nie szukał dla niego usprawiedliwień. Po prostu starał się nie bawić w sędziego. Harv miał mu jeszcze sporo do powiedzenia. A wyraźnie się rozgadał. Po co więc psuć nastrój?

Starzec zaciągnął się cygarem. Tym razem nie zakaszłał, ale i tak trwało to bardzo długo. Aleks wyjął z kieszeni paczkę marlboro. Znalazł w niej przedostatniego papierosa i zapalił.

– Nie trafiliśmy dobrze – ciągnął Bird. – Albo raczej powinienem powiedzieć, fantastycznie trafiliśmy. Chłystek na motorze okazał się jednym z siedmiu braci przywódcy miasteczkowych dżihadystów. Nic bardzo poważnego, ale zrobiło się gorąco i nie mówię o temperaturze powietrza. Może to dlatego, że cały region już się gotował. Wojna wisiła w powietrzu, mówię ci, Aleks. My zaś przeszliśmy do zadań jawnych. Przemalowano nas na siły stabilizacyjne. Mieliśmy patrolować okolicę jako bezstronni obserwatorzy i pilnować, by nie dochodziło do incydentów. Oczywiście mówię o oficjalnych zadaniach, bo w gruncie rzeczy robiliśmy dokładnie to samo co wcześniej. Czyli dawaliśmy miejscowym wszelkie powody do tego, żeby nas nienawidzili. Formalnie operowaliśmy już po irańskiej stronie, ale

w rzeczywistości co chwila przekraczaliśmy pas graniczny. Na jednym z patroli dotarliśmy do małej wioski, około piętnastu kilometrów na północny zachód od tego przeklętego Al-Fau. Była trzecia nad ranem, ale tam nikt nie spał. Trwała jakaś awantura. Tak zaciekała, że nawet nie zauważyli naszego przybycia. Wysiadłem z humvee pierwszy. Za mną czterech moich ludzi. Podeszliśmy bardzo blisko. Zobaczyłem mężczyzn rzucających kamieniami w bardzo młodą dziewczynę. Osobiście widziałem, jak kawałek skały rozwalił jej twarz. W jednej chwili miała twarz, a za sekundę już jej nie miała. Ale ta sekunda wystarczyła. Poznałem ją w blasku płonącego ogniska.

Bird przerwał i nie odzywał się więcej. Jakby nagle zatrzymało się jego życie. Jakby wszystko przestało mieć znaczenie...

– Co było dalej? Harv! – Gall gwałtownym ruchem zgasił papierosa. Rzucił się w kierunku Birda. Chwycił go obiema dłońmi za koszulę i szarpnął potężnie. – Harv, do diabła! Od tego może zależeć życie mojej córki, dlatego przysięgam ci, że wyduszę z ciebie tę informację. Muszę odzyskać dziecko, rozumiesz?

– Już nigdy nie odzyskasz Anny – szepnął Bird.

– Zabiję cię.

– Może tak, może nie, ale dziecka nie odzyskasz. Ono umarło.

– Nieprawda, widziałem...

– Ono umarło dla ciebie.

– Co z nim zrobiłeś? Gdzie jest Anna, Harv?

– Przecież ci mówiłem. Są rzeczy, których się ode mnie nie dowiesz.

– Powiedz chociaż, że jest bezpieczna. Przecież wiem, że nic jej z twojej strony nie grozi. Mam rację? Harv!

– Przykro mi.

– Co się stało w tej wiosce? Ta ukamienowana kobieta. To ta sama, którą zgwałciłeś, tak? Matka Weroniki!

– Spostrzegli nas w końcu i kamienie posypały się w naszą stronę. Schroniliśmy się w jakiejś zrujnowanej chacie. Gdyby mieli granat, byłoby po nas. Ale na kamienie starczyło nam ognia. W chacie mieszkała jakaś stara wiedźma. Zapytałem ją, co tam się

stało. Dlaczego zabili tę dziewczynę. Wiesz dlaczego, Aleks? Bo zaszła w ciążę po gwałcie. Zabili ją rodzeni bracia. Gwałt nie jest tam żadnym wytłumaczeniem. Nie dla tych ludzi. Tam uznano, że skoro została zgwałcona, to jest dziwką. A dziecko jest zwykłym bękartem. Ale męski bękart to zawsze lepiej niż żeński bękart. Dlatego zapowiedziano jej, że jeśli urodzi chłopca, to przeżyje. A jeśli dziewczynkę, obie umrą. Egzekucja matki odbyła się chwilę po porodzie. Matko przenaświętsza, cóż ja zrobiłem...

– Nie rozklejaj się, Harv. Mów dalej.

– Wstąpił we mnie wtedy diabeł. Prawdziwy szatan. Zupełnie nie wiem dlaczego, ale poczułem się odpowiedzialny za to dziecko. Moje dziecko. Wypadłem tam z karabinem i zabiłem ich wszystkich, Aleks. Całą wieś. Kobiety, mężczyzn, nawet dzieciaki. Wszyscy oni byli winni. Każdy małolat wyglądał jak morderca. My albo oni. Trwało to dobry kwadrans. Potem zabrałem Weronikę i uciekliśmy.

– Czyli Weronika tak naprawdę pochodzi z Iraku.

– Tak. Zabrałem ją i zaczęliśmy spierdalać. Byle tylko przez granicę. Zajął nam to trochę czasu, bo musieliśmy objeżdżać estuarium, ale się udało. Tylko że...

– Tylko że...?

– Chciałbyś poznać prawdziwą datę urodzin twojej żony?

– Chciałbym.

– A mówi ci coś data drugi sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku?

Gall się nie odezwał. Wiedział, co to za data i co ona oznaczała. Starzec kontynuował:

– Kiedy myśmy strzelali do pastuchów, Irak rozpoczął inwazję na Kuwejt. W bazie panowało straszne zamieszanie. Problem w tym, że patrzył na nas cały świat. A to, co zrobiliśmy, nagle uzyskało status zbrodni wojennej. Wybiliśmy całą wioskę. Gdy dotarło to do mojego przełożonego, prawie mu pikawa pierdolnęła. Dowództwo odmówiło mi prawa przebywania na terenie bazy. Uznali, że muszę natychmiast zniknąć, a oni w razie czego po prostu się nie przyznają. Nie mogłem załatwić żadnych formalności związanych z narodzinami dziecka – ciągnął Bird –

nie mogłem ubiegać się o potwierdzenie narodzin w bazie, czyli na terytorium Stanów Zjednoczonych. Nic nie mogłem. Zostałem sam z uprowadzonym dzieckiem. Na szczęście, pomimo tego, co pewnie teraz o mnie myślisz, ja jednak miałem pewne zasługi dla tego kraju. I to niemałe. Znalazł się ktoś, kto to docenił i udzielił mi pomocy. I nie był to byle kto, bo sam dowódca bazy, generał Willis. Oczywiście nieoficjalnie. Zapakował nas na pokład transportowego C5 lecącego na Hawaje. I tyle. Na miejscu znalazłem przekupnego urzędasza, który powiedział mi, że jeśli będę miał sfałszowany akt urodzenia z datą urodzin przynajmniej sprzed roku, to on wprowadzi go do systemu. Zapłaciłem za to pięćset dolców jakiemuś lokalnemu fałszerzowi. Koniec historii.

Cisza. Kaszel.

– Musiałem oczywiście odejść z armii, ale jakoś nie narzekałem. Moja rodzina zawsze należała do majątnych, a mnie się udało rozkręcić biznes. Każdego poranka spoglądałem w lustro i miałem ochotę strzelić sobie w łeb. Zacząłem za dużo myśleć. Na dalekiej pustyni byłem pozbawionym uczuć pieprzonym samcem alfa, ale Weronika w moim życiu zmieniła wszystko. Coraz częściej myślam wracałem do jej matki. Tej nieszczęsnej dziewczyny, którą pozbawiłem nie tylko życia, ale i godności. Zakochałem się w niej, Aleks. W matce Weroniki. Wspominam ją jak zmarłą żonę, od lat codziennie z nią rozmawiam w myślach. Te rozmowy pchnęły moje rozważania na tory, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Założyłem fundację wspierającą zgwałcone kobiety. I drugą, która walczy z wojennymi gwałtami. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile tego jest. Myślisz pewnie, że Stany to cywilizowany kraj. Młodzi chłopcy, którzy jadą na misję, w domu nigdy by nie pomyśleli, żeby kogoś zgwałcić. A tam? Przecież nikt się nie dowie. Przecież ludzie, których krzywdzą, właściwie nie są ludźmi. Tak to działa, Aleks, i ja zacząłem z tym walczyć. Usiłowałem ukoić własne sumienie. Ale nie zdołałem. W tej chwili moje fundacje zatrudniają pięć tysięcy osób na całym świecie i drugie tyle wolontariuszy. Płacę na to setki milionów rocznie. Ale nadal cierpię. I wiesz co? Czasami się z tego cieszę.

Ktoś taki jak ja powinien cierpieć. Powinien smażyć się w piekle, Aleks. Gdyby nie Weronika, już dawno strzeliłbym sobie w łeb.

- Nie myśl sobie, że będę cię żałował, Harv. Mów, co było dalej.
- W dwa tysiące dziewiętnastym przyszła do mnie ta ruda kurwa.
- Vessna?

- Potwór, nie kobieta. Bo kobieta powinna mieć jakieś uczucia. Jakąś wrażliwość. Ona nie miała. I przyszła w najgorszym momencie. Dobrze mi się układało. GB11 święcił triumfy. GB91 był na wykończeniu i wszystko wskazywało na to, że kompletnie zdominuje konkurencję. Z kolei fundacje działały bardzo prężnie i w końcu zacząłem wierzyć, że powoli odkupuję swoje winy. Nieważne. Przyszła do mnie i powiedziała, że wszystko wie. I cały świat też się dowie, jeśli nie zrobię tego, co mi każe. Na pewno się orientujesz, co mi kazała zrobić.

- Zmodyfikować samoloty.

- Niezupełnie. Tak naprawdę miałem im je jedynie przekazać. Modyfikacje zrobili sami. Rękami mojego głównego inżyniera. Poznałeś go.

- Daimler van den Crooigh! Będę musiał z nim porozmawiać.

- To niestety niemożliwe. Mój człowiek już się nim zajął.

- A wyciągnął chociaż coś z niego?

- Owszem. Zdawałem sobie sprawę, że do mnie przyjdiesz. Chciałem ci coś dać. Mój człowiek wymusił na nim zeznanie. Nagrał wszystko na dyktafon. Wiem już, co i dlaczego się stało. Ale to dość skomplikowane.

- Wypróbuj mnie.

Kaszel. Długi. Aleks zastanawiał się, czy stary Bird naprawdę już tak bardzo zmasakrował swoje płuca, czy pragnął jedynie ukraść kilka sekund, by lepiej przygotować swoją opowieść.

- Od czego by tu zacząć, żeby wszystko miało ręce i nogi. - Zawahał się. - Chyba od tego, jaki był plan. Van den Crooigh nie połapał się, o co chodzi, ale ja dość łatwo się domyśliłem. Modyfikacje, o jakich mowa, mogły prowadzić tylko do jednego. Do rozbicia samolotu w Tokio.

- Tyle to ja już sam wiem.
- Zawsze był z ciebie bystry gość. Cztery lata temu wykonali

prostą modyfikację. Sam zbadałeś wypadek samolotu, którym leciała Weronika, więc wiesz, że pękł zamek luku bagażowego. A raczej tak ci się wydaje. W rzeczywistości wcale nie pękł. Po prostu wbudowano w niego niewielki ładunek wybuchowy, który rozerwał skobel. Ładunek odpalono zdalnie.

– Nie za bardzo chce mi się to wierzyć, Harv. Wyrwanie drzwi luku bagażowego powoduje rozerwanie fundamentu, na którym umocowano komputer. To się mogło zdarzyć, ale raczej wątpię, by komukolwiek udało się coś takiego zaplanować.

– I oczywiście masz rację. To była klasyczna zasłona dymna. Do takiej operacji nie potrzebowaliby mojego głównego inżyniera. Modyfikacja polegała na przebudowie tylnej grodzi ciśnieniowej. Została wymieniona na dużo słabszą. Kiedy samolot się wznosił, ciśnienie wzrosło i w końcu rozerwało przegrodę. A ona wyrwała fundament. Ten samolot rozbiłby się i bez otwarcia luku.

– To po co ta cała szopka?

– Bo tamta katastrofa miała wyglądać jak wypadek. W przeciwieństwie do tej obecnej. Ta z kolei miała wyglądać jak zamach.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Ale wróćmy do zderzenia Nippon 1111 i Nippon 1212. Jak już wspomniałem, było ono dziełem niesamowitego zrzędzenia losu. Nippon 1111 miał zostać rozbity w Tokio. Mieli tego dokonać piloci samobójcy. Nishi-Shinjuku, biznesowa dzielnica Tokio, z dziesiątkami drapaczy chmur i setkami tysięcy ludzi znajduje się dokładnie na przedłużeniu pasów trzydziestego czwartego lewego i trzydziestego czwartego prawego. GB91 zawsze siadają na tych pasach, bo są one o pół kilometra dłuższe niż dwa pozostałe. Wystarczyło więc zgłosić jakiś drobny kłopot i odejść na drugi krąg, by za chwilę znaleźć się nad najbardziej zaludnionym miejscem w mieście. Ale tu się pojawia problem.

– CFITA.

– O, widzę, że jesteś przygotowany. Świetnie. System zapobiegający kontrolowanemu lotowi ku ziemi. GB91 nie da się celowo rozbić. Wiesz, jak to działa?

- Czytałem o tym trochę. Nie pozwala lądować poza lotniskiem.
- Otóż to. I wyłączyć go może tylko główny komputer, jeśli stwierdzi awarię zmuszającą załogę do natychmiastowego lądowania. Historia zna zaledwie kilka przykładów udanego lądowania odrzutowcem poza lotniskiem, więc zaprojektowaliśmy to tak, że naprawdę musi się sporo wydarzyć, by komputer wyłączył system. A pilot nie może tego zrobić. I tego właśnie dotyczyła modyfikacja. Van den Crooigh wprowadził możliwość wyłączenia systemu w dowolnym momencie. Każdy z pilotów otrzymał specjalny przycisk. By dezaktywować CFITA, wystarczyło, by obaj wcisnęli swoje przyciski jednocześnie i przytrzymali przez trzy sekundy.

- Po co?

- Co po co?

- Po co tak? Po co dwa przyciski? Po co trzy sekundy? Skoro miało to służyć jedynie rozbiciu tego konkretnego samolotu, to wystarczyłby jeden przycisk.

- Aleks. Ci ludzie to zawodowcy i wszystko dokładnie zaplanowali. Nie wiem konkretnie, co zamierzali, ale skoro miało to wyglądać na zamach, to prawdopodobnie chcieli, by celowe rozbicie samolotu wyszło na jaw. A jak celowo rozbić samolot, którego nie da się celowo rozbić?

- No jak?

- Otóż po katastrofie producent, czyli ja, miał ogłosić, że z powodów bezpieczeństwa system CFITA został zmodyfikowany. I teraz można go dezaktywować z poziomu kokpitu. Ale pamiętaj, że to urządzenie miało zapobiegać między innymi samobójstwom pilotów. Tyle że piloci zwykle nie popełniają samobójstwa we dwóch. Dlatego van den Crooigh wymyślił to sobie tak, że system może dezaktywować tylko dwóch pilotów. Jeden przycisk jest po jednej stronie kokpitu, drugi po drugiej i trzeba je przytrzymać trzy sekundy. Czyli jeden człowiek fizycznie nie byłby w stanie tego wykonać. Rozumiesz? Bajeczka dla mediów. Ale bardzo dobrze przygotowana. Okazuje się, że nie tylko zmodyfikowano system, ale również sfalszowano dokumenty. Nowa wersja CFITA jest opisana w oficjalnych

projektach, prace nad nią są nieźle udokumentowane, a samolot, który się rozbił, jest pierwszą i jak dotąd jedyną maszyną, którą w niego wyposażono. Wszystko legalnie. Jeśli śledczy będą chcieli przejrzeć papiery, znajdą te informacje. A wiarygodności miałem wszystkiemu dodać ja sam, stając przed kamerami i opowiadając te wszystkie bzdury. Tak to sobie skurwysyny wymyślili. Tyle że to oczywiście ściema. Nie ma żadnej nowej wersji CFITA. Jest jedynie ordynarne obejście systemu, które zaprojektował van den Crooigh. Gdyby nie odstawili całej tej szopki, ktoś szybko doszedłby do wniosku, że aby przeprowadzić tego typu zamach, potrzebne są modyfikacje techniczne. A to z kolei wykluczałoby działalność zwykłego islamskiego terrorysty, a raczej wskazywało na daleko posunięty sabotaż.

– No dobrze. W takim razie co poszło nie tak? Bo coś musiało.

– Owszem. Po prostu van den Crooigh przeszarżował. Łatwo jest przeprojektować przegrodę ciśnieniową. Właściwie nawet nie trzeba projektować. Wystarczy osłabić łączenia i wykorzystać gorszej jakości materiały. Ale mieszanie w oprogramowaniu to zdecydowanie wyższa szkoła jazdy. CFITA to naprawdę skomplikowana zabawka. Licząc z testami, projektowaliśmy to rozwiązanie sześć lat. Współpracuje niemal ze wszystkimi czujnikami samolotu. Oprogramowanie jest tak skomplikowane, że przy wdrażaniu niektórych rozwiązań potrzebowaliśmy specjalistów z NASA. A ten idiota myślał, że wystarczy wpiąć dodatkowy obwód. Z oprogramowaniem nie ma tak łatwo. Zmienisz jeden parametr, a tysiąc innych zmieni się bez twojej intencji. Na CFITA składa się dwadzieścia milionów linijek kodu. To więcej niż całe oprogramowanie boeinga 787. Tego się nie da tak po prostu zmodyfikować. Zwłaszcza na szybko. Bo tak się śpieszyli, że nawet tego nie przetestowali. Kiedy wy wyszliście w morze, van den Crooigh popłynął do Japonii, gdzie skorzystał z symulatora Nippon Air. Wprowadził do oprogramowania identyczną modyfikację, żeby sprawdzić, co się stało.

– I co się stało?

– Sprzężenie zwrotne się stało. W razie potrzeby komputer dezaktywuje CFITA na wysokości trzystu metrów. A Nippon

1111 znajdował się na poziomie lotu dwieście pięćdziesiąt. Dwadzieścia pięć tysięcy stóp. Ponad siedem tysięcy sześćset metrów nad ziemią. Więc oprogramowanie uznało, że musi natychmiast sprowadzić maszynę na trzysta metrów.

– Przecież to idiotyzm.

– Oczywiście. Ale układ nie został zaprogramowany, by przetwarzać takie dane. Komputer odciął zasilanie i postawił hamulce aerodynamiczne. Samolot natychmiast przepadł.

– Ale w takim razie dlaczego FDR nie zapisał obniżenia lotu?

– Aleks, nie słuchasz mnie. Van den Crooigh wyznał, że po wprowadzeniu modyfikacji w symulatorze wystąpiło ponad trzysta milionów błędów krytycznych. Trzysta milionów, rozumiesz? Cały symulator się zawiesił. Aż dziwne, że wszystko to nie wzbudziło podejrzeń Japończyków.

– Nie wzbudziło, bo van den Crooigh miał potężnego japońskiego protektora.

– No to musiał być naprawdę potężny.

– Ale dlaczego oni wyłączyli system tak wysoko i tak daleko od lotniska?

– To już będziesz musiał sam ustalić, panie detektywie. W każdym razie można przyjąć, że po dezaktywowaniu CFITA nic już w tym samolocie nie działało, z rejestratorami włącznie. I po prostu zlecieli biednemu 1212 prosto na łeb. Nigdy sobie tego wszystkiego nie wybaczę.

– Biedny, stary Bird – zakpił Aleks.

– Nie oceniam mnie w ten sposób! Myślisz, że dlaczego robię to wszystko? Dlaczego strzelam do ludzi, których dawniej nazywałem rodziną? Bo nie godzę się, by moimi rękami mordowano zwykłych ludzi. Któryś z moich kolegów się rozpruł, jak mawialiśmy w wojsku. Wygadał Vessnie, co stało się w Iraku. I miała mnie w garści. Nie chciałem czekać z założonymi rękami. Wypowiedziałem Vessnie wojnę. Postanowiłem, że zabiję wszystkich kumpli z oddziału. To był dokładnie ten sam skład. I w Al-Fau, i później. A jak już ich zabiję, wtedy ta ruda dziwka straci swoje argumenty i będę mógł ją dopaść. Doszły mnie słuchy, że kręciła jakąś aferkę na boku. Chciała przejąć kontrolę

nad operacją. Stać się wielkim szefem, a dotychczasowego wybebeszyć i powiesić na drzewie. Nienawidziła go.

– Dotychczasowego?

– Kongresmana Tyne’a. – Bird wymówił to nazwisko z wyraźną niechęcią. – Tak nazywa się skurwysyn, który tym zarządza. Był wystarczająco sprytny, by ją zlikwidować, zanim ona zlikwidowała jego.

– Tyne? Ten, co ścigał Sługę?

– Nie wygłupiaj się, Aleks. Grają ze Sługą w jednej drużynie. Od zawsze. Jeśli tylko będziesz miał okazję, zabij go.

– A będę miał?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Co zamierzasz zrobić z tą strzelbą, Harv?

– To zależy od tego, czy zechcesz spełnić moją prośbę, Aleks. Jeśli tak, nikomu nie musi się stać krzywda. Ale jeśli nie...

– Czego ode mnie chcesz?

Bird wyprostował się w fotelu. Jego twarz była surowa. Siwy, niezmienny od lat zarost wydawał się teraz bardzo zaniedbany. Dziwne u człowieka, który nigdy się sam nie goli, bo woli, żeby robił to za niego osobisty fryzjer. Spojrzał na Aleksa jednym z tych spojrzeń, po których zwykły człowiek straciłby przytomność ze strachu. Wiedział, że na Gallu nie zrobi to żadnego wrażenia, ale nie grał. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wygląda jak galopująca śmierć.

– Podałem ci nazwisko, Aleks. Tyne. Kongresman Harold Tyne. To jest facet, który stoi za tym wszystkim. To facet, przez którego zginęła Weronika. Szef operacji „Wniebowstąpienie”. Nic więcej nie wiem, ale jeśli dopadniesz tego gnoja, to rozwikłasz sprawę. On jest kluczem. Tylko on. Dlatego chcę cię prosić... Nie kop głębiej. Są rzeczy, których nie powinieneś się dowiedzieć o Weronice.

– Jak choćby to, że pracowała dla CIA? A może dla Sługi?

– Są rzeczy, które sprawiają, że będziesz bardzo nieszczęśliwy. Ona nie żyje, Aleks. Czy nie lepiej, byś zapamiętał ją tak, jak zapamiętałeś? Każdy ma swoje tajemnice. Ja i ty. I ona także. Pozwól im umrzeć wraz z nią. Nie wyciągaj na światło dzienne

tego, z czym sobie nie poradzisz. Tylko o to cię proszę. Zgoda?

– Przecież znasz odpowiedź.

– Aleks...

– Dowiem się wszystkiego, Harv. Wszystkiego, rozumiesz? Zrobię każdą rzecz, by odnaleźć swoje dziecko, nawet jeśli miałbym wywlec najgorsze brudy twojej rodziny na światło dzienne. I to jest twoja wina. Bo to ty starasz się ukryć przede mną moją córkę. Ale nie uda ci się. Będziesz musiał mnie zabić.

W jego głosie nie zabrzmiała ani jedna fałszywa nuta. Nic, co wskazywałoby na jakikolwiek objaw zdenerwowania. Aleks odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem skierował w stronę windy.

– Spodziewałem się tego! – krzyknął za nim Bird.

Ostry dźwięk przeładowywania broni rozniósł się po całym piętrze. Aleks się nie zatrzymał. Nawet nie zwolnił.

– Sam tego chciałeś! – krzyczał starzec. – To twoja wina.

Gall podszedł do panelu windy. Wcisnął strzałkę skierowaną w dół. Drzwi otworzyły się natychmiast.

– Zależało mi tylko na Weronice. – Głos Birda był coraz cichszy.

– Oni myśleli, że mogą mnie terroryzować, bo nie chcę, by świat się dowiedział, co zrobiłem. Bo mógłbym zbankrutować. Ludzie nie chcieliby latać moimi samolotami. Mam to gdzieś, Aleks. Gdyby tylko o to chodziło, już dawno oddałbym się w ręce władz albo strzelił sobie w łeb. Liczyła się tylko ona. Nie mogła wiedzieć, co zrobiłem jej matce.

Ogromne lustro w windzie zadrżało od huku wystrzału. Wibrowało jeszcze, gdy drzwi się zamknęły i dźwig ruszył. Aleks zamknął oczy. Dotarcie na dół zajęło mu dziesięć sekund.

Kiedy drzwi się rozsunęły, ujrzał zaniepokojonego strażnika.

– Ach, to pan! – zawołał zaskoczony mężczyzna. – Zdawało mi się, że słyszałem strzał.

– Nie zdawało ci się – odparł Aleks. – Pan Bird popełnił samobójstwo.

Strażnika zatkało. Chciał coś powiedzieć, ale mu się nie udało.

– Na co czekasz, durniu?! – krzyknął Gall, by wywołać lepszy efekt. – Zapieprzaj na górę. I wezwij policję.

Strażnik bez słowa wykonał polecenie. Nie wyjął paralizatora. Nie kazał Aleksowi położyć się na ziemi. Nie skuł go. Nie wpadło mu do głowy, że mężczyzna wychodzący z gabinetu rzekomego samobójcy powinien obudzić w jego głowie dzwonki alarmowe. Chłopak był młody. Za młody do tej roboty.

Aleks nie martwił się przesadnie. Całe piętro Birda usiane było kamerami, które z pewnością wykluczą jego udział w niespodziewanej śmierci teścia. A dzięki temu, że teraz się zmyje, być może zdąży wreszcie zakończyć tę sprawę.

ROZDZIAŁ 76

Aleks zrelacjonował Baldurowi przez telefon ostatnie wypadki. Farer nie był zadowolony, delikatnie mówiąc. Jednak Gall nadal uparcie twierdził, że poradzi sobie sam. Oczywiście kłamał. Nie miał pojęcia, co go czeka. Ale rola, którą przewidział dla niego Tyne, to klasyczna solówka, dlatego będzie musiał dać sobie radę bez pomocy.

Tyne. Wszystko się zgadzało.

Autobus przebijał się nie tylko przez zatłoczone miasto, ale również przez kaskady wody lejącej się z nieba. Gall spoglądał w okno. Było mu żal Birda. Naprawdę lubił tego starca. Ale nie na tyle, by nie dostrzec, że przed śmiercią kłamał jak z nut. Właściwie kłamał od dawna. Od zawsze.

Autobus zatrzymał się na przystanku w Woodland i Aleks, nałożywszy kaptur, wyskoczył na zewnątrz. Był ostatnim pasażerem. Ruszył wolno przed siebie. W głowie świtało mu pewne podejrzenie, które właściwie nabierało już cech pewności. Być może dlatego w centrum spontanicznie przesiadł się do autobusu, który jechał właśnie tutaj.

Wysłuchiwał się w szum deszczu błędzącego w koronach stuletnich lip.

Woodland. Najbardziej zadrzewiona część Waszyngtonu. Właściwie wielki park, tu i ówdzie poprządkany niewielkimi zameczkami, usilnie stylizowanymi na barok. Jakby ktokolwiek mógł się na to nabrać.

Skręcił w wąską parkową uliczkę. Szum drzew się nasilił. Jakby wiatr i deszcz wspólnie usiłowały go odwieść od jego zamiarów. A on na nic nie zważał, tylko szedł tam, gdzie czekała kolejna odpowiedź. Kolejny fragment układanki. Pewnie jeszcze nie ten decydujący, ale z pewnością ważny. Być może najważniejszy ze wszystkich.

Za zakrętem wyrósł przed nim zameczek z szarego kamienia.

Otoczony był dwumetrowym murem. W oknach paliły się światła. Dziwne. Bird już nie żyje. Kto mógł tak bezczelnie urzędować w jego domu? A może to nie był już jego dom? Kto wie, w jakim stopniu CIA przejęła jego życie?

Brama była zamknięta, ale Aleks nie zamierzał dzwonić. Pokonanie muru zajęło mu dwie i pół sekundy. Ruszył w kierunku drzwi wejściowych. Nie włączył się ani jeden alarm. Gall bywał tu wystarczająco często, by nie zapomnieć, gdzie znajdują się czujniki fotokomórek. Po kamiennych schodkach wszedł na niewysoki ganek. Wstukał kod wejściowy na panelu dotykowym. Kod również pamiętał.

Wszedł do środka. W wielkim holu panował półmrok. Jednak nie na tyle gęsty, by Aleks nie dostrzegł wycelowanej w jego twarz lufy.

– Spokojnie – rzekł męski głos. – Podnieś ręce. Chcę mieć pewność, że nie będziesz się wygłupiać.

Aleks uniósł ręce, ale się nie zatrzymał. Obszedł nieco przeciwnika, by w świetle latarni wpadającym przez okno zobaczyć jego twarz.

– Poznaję cię. Spotkaliśmy się w motelu. Jak on się nazywał? Chamblee?

– Dobra pamięć. – Venom się uśmiechnął. Naprawdę imponował mu ten facet. Przede wszystkim spokojem. Tym bardziej jednak należało uważać. Na wszelki wypadek zrobił krok w tył.

– Zdecydowanie zbyt wiele ludzi z bronią spotyka się w tym mieście – powiedział Aleks.

– No co zrobić. Takie życie.

– Teraz ty będziesz próbować mnie zabić, a ja będę robił wszystko, by ci to uniemożliwić, czy tak?

– Skąd pomysł, że chcę cię zabić? – odparł rozbawiony Venom.

– Celujesz we mnie z broni. Zresztą tym się chyba zajmujesz. Zabijasz ludzi. Co tam masz ciekawego?

– Owszem. Zabijam. Smith & wesson M&P.

– Tłumik?

– Oczywiście. TAC 65.

– Pięknie.

– Powiedz, Aleks, czy gdybym chciał cię zabić, to ratowałbym ci skórę w Atlancie? Czy gdybym chciał cię zabić, to walczyłbym przez tydzień o twoje życie? Tam, na pustyni. To nie było łatwe. Na szczęście znalazłem człowieka, który polecił mi dobrego lekarza. A w każdym razie dyskretnego. Czy przywiózłbym cię nieprzytomnego do Nowego Jorku? I dałbym znać twojemu kumpłowi?

– Dlaczego Nowy Jork?

– Bo tylko tam miałem kogoś, kto mógł mi pomóc. Sam bym nie dał rady.

– Skąd wiedziałeś o Baldurze?

– Mam swoje źródło informacji.

– Kłamstwo. Bird nie znał Baldura.

– Mylisz pojęcie „zleceniodawca” z pojęciem „informator”.

– Znowu kłamiesz, kolego. Harv nie był twoim zleceniodawcą.

– Mówisz?

– Jak cię nazywać?

– Jak chcesz. Ja lubię, jak mnie nazywają Venom.

– Fajna ksywa. Też lubiłem Spidermana.

– Poważnie? To są nas już dwa miliardy i jeden na całym świecie.

– Gdzie jest moja żona, Venom?

Napastnik się zawahał. Trwało to sekundę, ale Gallowi wystarczyło. Już wiedział.

– Gdzie ona jest? – powtórzył.

Venom uniósł pistolet i wycelował prosto między oczy Aleksa.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To dlaczego we mnie celujesz?

– Bo mnie irytujesz.

– Gdzie ona jest, Venom?

– Chyba jednak będę musiał cię zabić.

– Spróbuj, a szczątki twojego mózgu znajdą nawet na poddaszu. Nie takich już chłystków rozbrajałem. Gdzie ona jest?

– Żegnaj. – Venom się uśmiechnął.

Aleks napiął wszystkie mięśnie, przygotowując się do skoku. Wbrew pozorom nawet dobry strzelec może chybić z odległości

pięciu metrów. A tyle obecnie ich dzieliło. Venom wyciągnął broń przed siebie.

– Nie!

W tym pustym domu niosło się niesamowite echo. Kobięcy głos brzmiał jeszcze przez kilka chwil, zanim w końcu ucichł. Venom opuścił pistolet.

– Już dobrze – rzekła cicho Weronika. – Zostaw nas samych, proszę.

Venom zastanawiał się przez chwilę.

– Jesteś pewna?

– Jestem. Idź.

Aleks odwrócił się powoli. Ujrzał ją w delikatnej poświacie. Miała na sobie niebieskie dziurawe dżinsy i czarny podkoszulek. Wyglądała cudownie. Piękniej, niż zapamiętał.

– Witaj, Aleks.

Jego serce biło z prędkością stu dwudziestu uderzeń na minutę. Ani nie przyspieszyło, ani nie zwolniło. Czasami chciałby reagować jak inni ludzie. Bardziej emocjonalnie. Dojrzałe. Ale nie dziś. Dziś był zadowolony z tego, że nie pokaże jej, jak bardzo jest wzburzony.

Weronika podeszła do niego. Jej ruchy były miękkie, ale w jakiś sposób niepokojące. Przywodziły na myśl lamparcicę szykującą się do skoku.

– Musimy porozmawiać – oświadczyła.

– Raczej tak – odparł Aleks.

– Ale najpierw się upijmy. Nie wiem, czy na trzeźwo dam radę.

Zgodził się. Przeszli do salonu wielkości hali odpraw na lotnisku O'Hare. Weronika nalała whisky do szklanki. Potem dołała. A potem jeszcze raz.

– Nie wiem od czego zacząć – rzekła w końcu.

– Może od tego, gdzie jest moja córka.

– Nie. Od tego nie. Do tego dopiero dojdziemy. Teraz muszę ustalić, gdzie jest początek tej opowieści. Co tak naprawdę już wiesz?

– Dużo.

– Dobrze. Powiem ci wszystko, a ty nie przerywaj. Przekonasz

się, że nie kłamię.

Aleks wyciągnął paczkę marlboro. Wyjął jednego papierosa. Drugiego wysunął do połowy.

– Zapalisz?

– Rzuciłam.

– Ach, tak.

– Nic o mnie nie wiesz, Aleks.

Milczała chwilę. Już zdecydowała. Chciała mu wszystko wyjawić. Ale nim zaczęła, Aleks powiedział:

– Weroniko. Harv nie żyje.

– Wiem. Biedny, stary dureń.

– Myślę, że zabił się dla ciebie.

– Zabił się, bo był śmierdzącym tchórzem i bał mi się powiedzieć, co zrobił mojej matce.

– Wiedziałaś o tym?

– Aleks, pracowałam dla CIA. Pewnie już o tym wiesz. Nie ma takiej rzeczy, której nie można się dowiedzieć, kiedy tam pracujesz. A historyjki mojego ojca brzmiały wystarczająco pokrętnie, bym szybko się zorientowała, że kłamię. Sprawdziłam to, choć nie było łatwo. Początkowo się przeraziłam, potem na jakiś czas go znienawidziłam. A potem... Nigdy nie znałam matki. A on był całym moim życiem. Nie chciałam, by cierpiał, choć niewątpliwie sobie zasłużył.

Przerwała. Wzięła głęboki wdech.

– Ale po kolei, bo zaraz się pogubimy w tym gąszczu kłamstw i kłamstewek. Oczywiście nigdy nie byłam modelką. Mówiąc szczerze, straszny z ciebie naiwniak, że się na to nabrałeś. Ja modelką? Z tak wielkim tyłkiem?

– Nie skomentuję.

– Aleks, ty i ja... To nie był przypadek. Byłeś moim obiektem.

Tętno przyspieszyło mu o jedno uderzenie serca na minutę. Jak na niego była to kaskada emocji.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego ja? Czego ode mnie chcieliście?

– Nie wiem. Znasz Vessnę Fuego?

– Znałem.

– Racja. Odstrzelili tę głupią dziwkę. Pracowałam dla niej przy

pewnej operacji. Nazywała się...

– „Wniebowstąpienie”.

– Być może wiesz więcej niż ja. Znam tylko nazwę operacji. Nie mam pojęcia, o co toczyła się gra. Zadanie było proste. Poznać cię. Rozkochać w sobie. Pilnować. Zabrać cię czasem tu i ówdzie. Na przykład na wakacje do Egiptu.

– Te pamiętne wakacje.

– No właśnie. Te pamiętne. Muszę powiedzieć, że spodobała mi się ta robota. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Nie jestem pewien. Kiedy trafiłaś do CIA? Przecież jak się poznaliśmy, miałaś osiemnaście lat. Osiemnaście i pół, jak lubiałaś powtarzać. A właściwie siedemnaście i pół, biorąc pod uwagę, że jesteś rok młodsza, niż myślałem.

– Zwerbowali mnie trzy miesiące wcześniej. Zaproponowali fajną kasę i przede wszystkim przygodę życia. Faktycznie, przeżyłam przygodę. Cudem. W każdym razie nigdy nie wpadłam na to, że dostałam tę fuchę tylko dlatego, żeby mogli mieć w garści mojego ojca. No wiesz, jeśli wziąć pod uwagę jego przeszłość, to musiał dostać szału, kiedy się dowiedział, że Vessna ma jego córkę na wyciągnięcie ręki.

Zabrakło jej tchu, więc zamilkła. Deszcz się nasilił i wygrywał smutny nokturn na blaszanym parapecie. Aleks wsłuchiwał się w ten stukot. Podświadomie przypisywał mu stare, posępne melodie, które zawsze uwielbiał. Albinoni, Faure, Barber. Kotłowało mu się w głowie od tego smutku. Tylko dlaczego? Przecież od dawna nie było to dla niego tajemnicą, że Weronika go okłamuje. Nie spodziewał się, że żyje, ale cała reszta nie stanowiła dla niego zaskoczenia. A jednak żałował, że los pchnął ich w takim kierunku.

– Dostałam pełne wsparcie, by móc cię wiarygodnie okłamywać – podjęła Weronika. – Zdjęcia i nagrania wideo z rzekomych sesji, bilety lotnicze, prowadzili mi nawet profil na Facebooku. Dasz wiarę? A ja zamiast do Mediolanu czy Barcelony latałam w tajemnicy do pewnego ośrodka na pustyni Mojave w Nevadzie i...

– W Nevadzie. Wiedziałem.

- Wiedziałeś?
- Byłem tam.
- Wiem, ale...
- Wiem, że to nie był Afganistan, Weroniko. Mówiąc szczerze, Baszir nie był aż tak cwany, jeśli myślał, że się na to nabiorę.
- Widać jesteś mądrzejszy od niego. Dlaczego mnie to nie dziwi? W każdym razie jeździłam tam, składałam raporty i odbywałam briefingi. Najprościej mówiąc, stanowiłam most łączący Waszyngton i Sługę. A raczej Baszira.
- Jak oni ze sobą żyli? Vessna i Baszir?
- Bardzo dobrze, dlaczego pytasz?
- Chciał, żeby zlikwidował Vessnę.
- Bzdura, Aleks. Musiało chodzić o coś innego. Oni siedzieli w tym razem, a ponad nimi był jeszcze ktoś z Kongresu. Nie wiem kto, ale Vessna nie darzyła go szczególną sympatią. Pewnie o to właśnie poprzytykała się z Baszirem? Być może sama chciała zarządzać operacją, ale jeśli chodzi o samo „Wniebowstąpienie”, to działali zgodnie. Zresztą nie mam pojęcia, po co cię tam zabrali. Ale do tego jeszcze dojdę.
- Co się stało na tym lotnisku?
- Chcieli mnie zabić. Nie wiem dlaczego. Nie mieli żadnego powodu, bo w żaden sposób ich nie zdradziłam, a z zadania wywiązywałam się właściwie. Choć było mi coraz ciężej. Ty i ja... Nieważne. Myślę, że chcieli przeciwżyć operację, ale dlaczego moim kosztem? Nie mam pojęcia. Na szczęście był tam Hossam. Poznałeś Hossama?
- Owszem. Poznałem. To on wprowadził Annę.
- Hossam w ostatniej chwili, dosłownie w ostatniej, wyciągnął mnie z samolotu. Miałam już bilet i byłam z Anną na liście pasażerów. Po prostu wysiadłam przed samym startem.
- A Anna?
- Anny ze mną nie było. Została z Baszirem. Uważał, że nie ma sensu, by leciała ze mną, skoro za czterdzieści osiem godzin mam zjawić się z powrotem. Zostawiłam ją pod jego opieką. Właściwie pod opieką Hossama.
- W rozmowie ze mną Baszir twierdził, że to był zamach na

niego. Że byłaś jego wtyczką i dzięki tobie się dowiedział, że CIA chce się go pozbyć. Odwołał więc swoje loty i ciebie też do tego nakłaniał. Ale nie posłuchałaś.

– Same kłamstwa, Aleks. Nie byłam żadną wtyczką, bo Agencja i Baszir ściśle ze sobą współpracowali. Stanowili jedną ekipę. Baszir pracował dla CIA. I nie można się go było pozbyć. On był mózgiem tej operacji. Szefem był ktoś z Kongresu, zarządcą Vessna, a Baszir wykonawcą. Dlatego na pewno nikt na niego zamachu nie urządzał. Faktycznie, początkowo miał lecieć ze mną. Ale w ostatniej chwili odwołał swój lot. Jednak nie poinformował mnie dlaczego i nie nakłaniał, żebym ja też została. Po prostu wiedział, co się stanie.

– Co było potem?

– Potem ukrywałam się u Hossama przez kilka dni, aż załatwił mi transport do Waszyngtonu. Bardzo oryginalny transport. Tam w okolicy był taki jeden ćpun. Frank Cane. Weteran wojenny, z kompletnie skrzywioną psychiką. Ale fantastyczny pilot. Organizował loty nad Wielkim Kanionem. Zgodził się przerzucić mnie do Waszyngtonu, co wcale nie było takie łatwe, zważywszy na to, że jego samolot miał dobre siedemdziesiąt lat, nie bujał się szybciej niż sto dziesięć węzłów i w dodatku co sześć godzin musiał lądować, żeby uzupełnić paliwo. Ostatecznie cała ta wyprawa trwała dwadzieścia pięć godzin i zakończyła się na lotnisku Hartwood, skąd odebrał mnie ojciec. Mówię ci, nigdy więcej nie chcę lądować na trawie.

– Myślałem, że to lotnisko jest już nieczynne.

– Bo jest. Dlatego właśnie Cane tam wylądował. Biedny dureń. Musiałam posłać Venoma, żeby go zabił. Szkoda. Ale ten facet miał swoje problemy. A ludzie z problemami niekiedy nie potrafią trzymać języka za zębami. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że przeżyłam. Ojciec co tydzień chodził na mój grób, bo wiedział, że te mendo go obserwują. Dzięki temu nie nabrali podejrzeń.

– A co z Anną, Weroniko? Dlaczego nie próbowałaś jej odzyskać?

– Próbowałam. I w końcu odzyskałam. Ale to dość skomplikowane.

– Gdzie ona teraz jest?

- Tutaj. Śpi na górze.
 - Chcę ją zobaczyć.
 - Aleks... Ona śpi. Później ją zobaczysz. Teraz daj mi skończyć.
 - Jeżeli ją odzyskałaś, to musiał ci ją dostarczyć Hossam.
 - Owszem. Dostarczył mi ją. I również musiał zginąć. To było dla mnie trudne, ale musiałam tak postąpić.
 - Był twoim kochankiem. Vessna mi powiedziała.
 - Vessna ci powiedziała...
 - To bez znaczenia, skoro nasze małżeństwo było fikcją.
 - Aleks... Hossam nie był moim kochankiem.
 - W takim razie dlaczego...
 - On był moim mężem. I to on, a nie ty, jest ojcem Anny.
- Aleks poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Zakręciło mu się w głowie.
- Kłamiesz! – krzyknął i gwałtownie chwycił ją za nadgarstek.
- Przestraszona, odsunęła się od niego.
- Puść mnie!

Aleks puścił. Zdał sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu całkowicie stracił nad sobą panowanie. Tylko na chwilę, ale stracił. We wszystko mógł uwierzyć. Wszystkiego się spodziewał. Ale nie tego, że jego ukochane dziecko nie jest jego. W jednej chwili zrozumiał wszystko, co chciał mu powiedzieć Bird. Jeśli nie odpuścisz, będziesz nieszczęśliwy. Są takie rzeczy, których nie powinieneś wiedzieć o Weronice. Już nigdy nie odzyskasz swojej córki.

- Wysłałam za niego dwa miesiące po dołączeniu do CIA. I miesiąc po tym, jak go poznałam. Ojciec się wściekł, ale za bardzo mnie kochał, by mi to zbyt długo wypominać. Hossam też pracował dla firmy. Zwerbowała go Vessna. Zresztą on wcale nie nazywał się Hossam, tylko Ernesto. Był Włochem. To dlatego nie miałam oporów, by zabierać ze sobą Annę. I dlatego nie martwiłam się, że została pod jego opieką. Wiele złych rzeczy można powiedzieć o Erneście, ale naprawdę kochał swoją córkę. I mnie.

Zapadła cisza. Aleks zastanawiał się, czy może usłyszeć coś, co zaboli go jeszcze bardziej.

– Nie mogłam w żaden sposób odebrać Baszirowi dziecka. Na szczęście zawczasu podjęliśmy z Ernestem decyzję, by nie ujawniać tego, co nas łączy. Jednak sytuacja i tak była podła. Ja nie mogłam odzyskać córki, a on musiał pilnować jej non stop i udawać, że jest mu obojętna. Gdyby nie Baszir, z pewnością powiedziałby jej, kogo powinna nazywać ojcem. Ale bał się, że wtedy Baszir ją zabije. Anna przestałaby mu być potrzebna. On ją trzymał dla ciebie. Przez wszystkie te lata. Przestraszyłam się, kiedy Ernesto mi przekazał, że Baszir ściąga cię do siebie. Dopóki nic się nie działo, Anna była bezpieczna. Ale teraz miało się coś wydarzyć. Uznałam, że sytuacja dojrzała do stanowczego ruchu. Wysłałam Venoma z kilkoma doświadczonymi komandosami, żeby odzyskali dziecko. Sam wiesz, co było dalej.

– Strzelanina.

– Ernesto zadzwonił do mnie i powiedział, że cię zastrzelił. A ja zadzwoniłam do Venoma, żeby spróbował cię znaleźć. Miałam nadzieję, że... Znalazł cię. Gdyby nie to...

– Już bym nie żył.

– Hossam spanikował. Zabrał Annę i przyjechał wprost do mnie. I wydał na siebie wyrok śmierci. Naraził mnie. I Annę. Nie mogłam pozwolić, by popełnił kolejny błąd. Aleks... Nasze uczucie, moje i jego, dawno wygasło, ale kiedy mnie poinformował, że cię zabił, naprawdę zaczęłam go nienawidzić.

Nie chciał tego dłużej słuchać. Nie chciał mierzyć się z konsekwencjami tego wszystkiego. Jeszcze nie teraz. Ale coś jeszcze trzeba było wyjaśnić.

– Ten Venom... Spotkałem go wcześniej. Przed wyjazdem do Nevady.

Weronika westchnęła. Była zmęczona kłamstwami, ale najbardziej męczyło ją to, które zaserwowała samej sobie. Że Aleks jest dla niej jedynie pracą. Że te wszystkie drobne gesty, uśmiechy, bliskość to tylko czysty profesjonalizm. Że to nie przez niego nie układało im się z Ernestem. Że nie przez niego własny mąż stał się jej obcym człowiekiem. Ernesto z pewnością cierpiał, wiedząc, że inny mężczyzna zajmuje jego miejsce. Jednak dopóki wierzył, że to tylko praca, dawał sobie z tym jakoś radę. Potem

przestał wierzyć. I miał rację.

– Chciałam cię zabić – rzekła w końcu, a po jej policzku pociekły łzy.

Aleks zbliżył się do niej i objął ją ramieniem. Delikatnie. Z dystansem. Wyczuła to.

– Od dawna już nie wiem, co właściwie do ciebie czuję – kontynuowała Weronika. – Ale Anna jest dla mnie najważniejsza. A ty wiedziałeś zbyt wiele. Nie mogłam pozwolić, byś zaczął mówić. Zwłaszcza FBI. Mogliby zacząć węszyć i odkryć, że żyję. Moja śmierć była elementem planu Baszira. Gdyby do jego uszu doszło, że jednak nie umarłam, musiałby podjąć jakieś działania. A przecież cały czas miał przy sobie Annę. Mógł z nią zrobić wszystko. Zresztą ostatecznie miałam rację. Dowiedziałeś się, że żyję. Jesteś tu.

– Ale dopiero dziś. Tylko dlatego że twój ojciec niechcący się wygadał. Krzyknął za mną, że zawsze zależało mu jedynie na tobie. Że opinia innych ludzi kompletnie go nie obchodziła, podobnie jak biznes, pieniądze i całe to gówno. I ja mu uwierzyłam. Problem w tym, że mimo twojej rzekomej śmierci on nadal kontynuował swoją krucjatę. Usuwał z drogi potencjalnych świadków. Ludzi, którzy mogli wyjawić prawdę. Po co miałby to robić? Odpowiedź nasuwała się sama. Dlatego że ty żyjesz. Wciąż musiał walczyć, by ukryć przed tobą swój sekret.

– Uznałam, że musisz umrzeć. Ale nie chciałam tego. Kiedy dostałam informację, że uciekłeś federalnym, odwołałam Venoma. Świącie wierzyłam, że nigdy mnie nie zdradzisz. Nawet jeśli poznasz prawdę o... o nas. Ale na wszelki wypadek wysłałam Venoma w ślad za tobą. Żeby sprawdził, ile tak naprawdę wiesz.

– I co teraz będzie, Weroniko?

– Nie wiem. Vessna nie żyje. I Ernesto. Venom mi mówił, że akcja w jaskiniach była dość agresywna. Być może więc Baszir też nie żyje. Jeśli tak, nie ma już nikogo, kto by o mnie wiedział. Nic już nie grozi ani mnie, ani Annie. Możemy wrócić do normalnego życia.

– Nie możecie jeszcze tego zrobić.

– Myślisz, że nadal coś nam grozi?

– Wiem, kto za tym wszystkim stoi. Myślę, że warto jeszcze chwilę zaczekać.

– Aleks... Oni szykują coś naprawdę nieprzyjemnego. I boję się, że szykują to dla ciebie. Nie mam pojęcia, czym im podpadłeś, ale przecież cały mój udział w tej operacji to teatrzyk dla jednego widza. Od początku byłeś centralną postacią tej gry. Setki razy zastanawiałam się dlaczego.

Nie odpowiedział. Wtuliła się w niego, żeby raz jeszcze poczuć jego ciepło.

– Co z nami będzie, Aleks?

– Nie ma żadnych nas.

– Wiem. Jestem... Po prostu... Może kiedyś...

– Mamo!

Odwrócili się jak na komendę. Anna szła powoli w ich stronę. W rękach trzymała pluszowego misia, którego Aleks kupił w dniu jej narodzin.

Podeszła do matki i schowała się za nią, obserwując przybysza. Być może podejrzewała, kim jest ten dziwny pan. Czterolatki zawsze są ciekawskie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Anna przeżyła bardzo dużo. Odzyskała matkę, której nie mogła przecież pamiętać. A teraz...

– Kochanie – szepnęła Weronika. – Nie bój się. To twój tatuś. Mówiłam, że do ciebie wróci?

– Tata?

Powolutku wysunęła się z za mamy. Spoglądała na niego wielkimi niebieskimi oczami. Zbliżała się. Bardzo powoli, nieśmiało.

Aleks pochwycił ją w ramiona. Kolejne uderzenie serca do minutowego bilansu. Szaleństwo. Po policzku spłynęła mu łza. Czy to możliwe, że Anna nie jest jego córką? Jedno wiedział z całą pewnością: kochał to dziecko nad życie. Była jego córką. Nawet jeśli... Nieważne. Była jego córką i nie zamierzał z niej rezygnować.

Weronika odsunęła się na bok. Nie chciała im przeszkadzać. Ona również płakała. Wszyscy płakali.

Potem poszli spać. W wielkim łóżku Weroniki zmieścili się

wszyscy troje. Anna natychmiast zasnęła, a Aleks i Weronika przegadali całą noc. Zastanawiali się, co dalej z nimi będzie, ale nie podjęli żadnej decyzji. Oboje doszli do wniosku, że czas zadecyduje za nich. Jedno wiedzieli na pewno. Za to, co ich połączyło, żadne z nich nie pobierało pieniędzy. Już nie.

W końcu zasnęli.

ROZDZIAŁ 77

Obudził się w południe, choć przez moment nie zdawał sobie z tego sprawy. Za oknem było ciemno, zupełnie jakby słońce zasnęło do pracy. Weronika przyrządziła mu pastę jajeczną i dwie parówki. Tak jak dawniej. Mimo tych wszystkich przepełnionych bólem lat wciąż pamiętała, co lubi. Zjadł, popił kawą, powiedział, że wróci, ale nie wie kiedy, i wyszedł na deszcz. Na podjeździe stała czarna panamera Birda. Pierwsze czterodrzwiowe porsche. Profanacja dobrego smaku i wieloletniej tradycji. Ale za to ze świetnymi wynikami sprzedaży. Weronika z pewnością się nie obrazi, jeśli pożyczycy wóz. Kluczyk tkwił w stacyjce.

Ulice były puste. Zapewne dlatego, że każda stacja radiowa nadawała komunikat o zbliżającym się huraganie Olga. Nic szczególnie przerażającego. Zapewne nie dojrzy nawet do trójki w skali Saffira-Simpsona, ale to wystarczy, żeby wywiać z ulic zmęczonych wyjątkowo nieprzyjemnym latem mieszkańców stolicy.

Fale wiatru uderzały w samochód, ale system stabilizacji jazdy spisywał się bezbłędnie. Panamera płynęła po asfalcie jak wojenna korweta. Bo i kierowca szykował się na wojnę.

Czas już się spotkać, Tyne.

Zawieszona ponad ulicą kratownica z sygnalizatorami świetlnymi drżała na wietrze i wyglądała, jakby lada moment miała się urwać. Aleks przyspieszył. Z kieszeni wyjął komórkę, którą zabrał Birdowi, gdy ten był pochłonięty swoją opowieścią. Stary i tak nie żyje, więc nie będzie jej potrzebował. To właściwie nawet nie kradzież, bo Weronika, z którą nie miał podpisanej intercyzy, była jedyną krewną Birda i teraz wszystko, co dotąd należało do niego, przejmie ona. Z tą komórką włącznie. I panamerą. A skoro ona, to i on. Nawet jeśli ich małżeństwo jest fikcją, to całkiem dobrze udokumentowaną.

Ulice były szerokie, proste i puste. Sygnalizatory mrugały pomarańczowym światłem. Auto stabilizowało tor jazdy. Aleks mógłby włączyć jakiś film i oglądać go, a i tak nie miałyby szans, żeby w cokolwiek wjechać. Włączył więc komórkę i sprawdził książkę telefoniczną. Znalazł numer, którego szukał. Podpisany był jako „Skurwysyn Tyne”.

Podświadomie odczuł ulgę. W telefonie Birda nie było żadnego Numeru Jeden i Numeru Dwa, co najlepiej świadczyło o tym, że stary nie kłamał. Nie był członkiem zespołu, a jedynie szantażowanym, zastraszanym starcem. Ta myśl uzmysłowiła mu, że zna już wszystkich uczestników spisku. Numer Zero to Tyne, Numer Jeden to Vessna. Pod trójką skrywał się Carter, a pod czwórką Halfield. Do zidentyfikowania pozostawały Numer Dwa i Numer Pięć. Jednym z nich był Baszir, to pewne. A drugim... Wszystko powoli układało się w całość.

Najwyższy czas to zakończyć.

Musnął opuszką palca zieloną słuchawkę przy opisie „Skurwysyn Tyne”. Czekał zaledwie chwilę.

– Czego chcesz? – odezwał się nieprzyjemny, arogancki głos.

– Spotkać się, Tyne.

Usłyszał niemiły dźwięk, jaki wydaje ślina, kiedy przepływa z gruczołów do jamy ustnej, mijając po drodze nieco zbyt wąską krtani. Tyne się bał. Jego własny organizm go zdemaskował.

– Czy to pan, panie Gall? Jakże mi miło. A gdzie się podziewa pański teść?

– Z pewnością pan wie. W miejscu, do którego wysłał pan już bardzo wiele osób. Powinni dać panu jakiś procent za generowanie obrotu.

Przełknął ślinę.

– Zabił go pan?

– Nie wygłupiaj się, Tyne. Mam tego dość. Spotkajmy się.

– Wspaniale – odrzekł wesołym głosem rozmówca. Tym razem jego radość z pewnością nie była udawana. – Sam chciałem to zaproponować. Czy zna pan Baltimore?

– Trochę.

– Niech pan znajdzie opuszczony teatr Mayfair. Urządzą tam dla

pana mały pokaz.

– Rozumiem, że mam być sam.

– Niekoniecznie, panie Gall. Ale taki właśnie wybór bym sugerował przez wzgląd na niemożliwe do oszacowania konsekwencje dla pana ewentualnego towarzystwa.

– O kurwa, ćwoczyłeś tę kwestię? Czy naprawdę jesteś takim złamasem?

– O dziewiętnastej, panie Gall.

Rozłączył się.

Aleks wymacał w kieszeni drugą komórkę. Tę od Baldura. Miał tam numer, pod który chciał zadzwonić już od dłuższego czasu. Ale dopiero teraz był gotów. Tym razem na połączenie czekał dobre dwie minuty. Ale w końcu się doczekał.

– Kto mówi? – zaskrzeczał nieprzyjemny głos.

– Przecież doskonale wiesz. Wątpię, by ktokolwiek inny mógł do ciebie zadzwonić.

– Ha. Bystry jesteś. Zawsze o tym wiedziałem. Czyżbyś mnie chciał odwiedzić?

– Być może. Ale najpierw chciałbym cię poprosić o przysługę.

– Zamieniam się w słuch.

Aleks mówił krótko i precyzyjnie. Nad ranem, gdy Weronika w końcu zasnęła, przemyślał sobie dokładnie tę rozmowę.

– Uuu, ryzykowne – stwierdził rozmówca, gdy monolog dobiegł końca.

– Wiem. Ale przecież mi nie powiesz, że o tym nie marzyłeś.

– Właściwie to nie marzyłem. Tak wspaniała perspektywa nawet mi nie przeszła przez myśl. Zgoda. Wchodzę w to. Potwierdź mi termin.

Połączenie znów zostało przerwane. Aleks przyspieszył. Przed wyjazdem do Baltimore musiał jeszcze odwiedzić Kowalsky'ego.

ROZDZIAŁ 78

Olga rozszalała się na dobre. Wzięła w obroty drzewa, znaki i sygnalizatory drogowe, dachówki i ozdoby ogrodowe, które Amerykanie namiętnie umieszczają przed domami. Ale, jak to kobieta, nie byłaby sobą, gdyby przyjemnego nie połączyła z pożytecznym, chwyciła więc za miotłę i wzbijała w powietrze tumany kurzu oraz śmieci zostawiane na skwerkach przez mało zdyscyplinowaną młodzież.

Takie było tego dnia Baltimore w stanie Maryland.

Ponad pięćdziesiąt kilometrów Aleks pokonał w trzydzieści pięć minut. Spóźnił się pół godziny. Wielkie mi rzeczy.

Zatrzymał panamerę przed wejściem do teatru. A raczej do tego, co z niego zostało. Dość tych subtelności, tego parkowania kilka przecznic dalej. Badania terenu. Teraz to wszystko nie miało już znaczenia. Samochód Tyne'a, mercedes SLS AMG, stał tuż obok. Aleks znał już to auto. Baldur pokazał mu fotografię.

Teatr Mayfair wyglądał, jakby stał tam od zawsze. Jednak w rzeczywistości miał niewiele więcej niż sto lat, co jak na amerykańskie warunki i tak stanowiło wcale niezły wynik. W tym czasie budynek popadł w kompletną ruinę. Teraz pomieszkiwały w nim szczury i czasami bezdomni. Szczury zostawiały po sobie mniej zanieczyszczeń.

Aleks spojrział na fasadę. Niewiele różniła się od wciąż działających prywatnych teatrów. Ale metalowe drzwi wyglądały, jakby były przyspawane na stałe. Szarpnął za klamkę. Rozległo się nieprzyjemne skrzypienie. Przesząpił próg i znalazł się w zrujnowanym foyer. Połowy dachu nie było. Stare panele ścienne, zardzewiałe mocowania, drewniane i metalowe elementy konstrukcji foteli, wszystko to trzęsło się od podmuchów wiatru. Na podłodze walały się puszki, papiery, resztki jedzenia i ekskrementy. Sceneria była wyjątkowo podła. Aleks dobrnął do potrójnych, ledwo trzymających się

w zawiasach drzwi prowadzących na widownię. Pchnął je, pokonując opór wiatru.

Po drugiej stronie było znacznie spokojniej. Głównie dlatego, że tutaj ostał się dach. Olga została na zewnątrz, tłukąc z wściekłością we wszystkie ściany pomieszczenia. Zniszczona widownia tonęła w mroku. Właściwie prawie jej nie było. Wiadomo, dobry specjalista od recyklingu materiałów metalowych dociera ze swym wózkiem wszędzie. Stalowe ramy krzeseł zyskały zapewne nowe życie.

Kawałek dalej, na proscenium, stały dwa fotele. Oba były skórzane i z pewnością bardzo wygodne. Nówki. Kilka metrów przed nimi rozpięto duży biały ekran. Aleks poczuł się, jakby przyszedł tu na film. Brakowało jedynie popcornu i coli.

Tyne wyszedł z niewielkiej wnęki. Podeszedł do Galla i podał mu dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Walczymy ze sobą, ale fair play musi być, człowieku”. Aleks przyjął tę grę. Ucisnął dłoń, patrząc przeciwnikowi prosto w oczy.

– Cholera, Tyne. Nie wiedziałem, że to randka. Włożyłbym garnitur. Swoją drogą, bardzo dawno nie byłem w kinie.

– No widzisz, jak dbam o twoje potrzeby? – Kongresman zaśmiał się, ale śmiech ten bynajmniej nie dodał mu luzu. – Zapewniam cię, że repertuar, który wybrałem, z pewnością ci się spodoba. Usiądź, proszę.

– Przyjechałeś tu sam?

– Nie, ale na razie będziemy mieli trochę czasu, by się sobą nacieszyć. Coś sobie obejrzymy, trochę pogadamy, a potem ja pojedę do domu. A co się z tobą stanie, tego nawet ja nie potrafię przewidzieć.

– Zżera mnie ciekawość, Tyne. Mam nadzieję, że reklamy przed filmem nie będą zbyt długie.

– Możesz mi mówić po imieniu, Aleks. Jestem Harold.

Gall przewrócił oczami.

– Błagam. Skończ już tę idiotyczną komedię. Nie wychodzi ci to dobrze. Nie masz umiejętności aktorskich. Steven Seagal to przy tobie oblubieniec Melpomeny.

– Daruj – uśmiech nie zniknął z twarzy Tyne'a i Aleksowi

naprawdę przestawało się to podobać – ale nie mogę się powstrzymać. W gruncie rzeczy ta sceneria nie jest przypadkowa. Są tacy, co mawiają, że życie to teatr. Trudno mi się z tym nie zgodzić. Wyobraź sobie, że to, co dla ciebie przygotowałem, to nic innego jak show. Iluzja.

– Iluzja. To samo mówił Baszir. Opowiedz mi o „Wniebowstąpieniu”, Tyne.

Kongresman zaniósł się śmiechem. Dzikim, szaleńczym. Z pewnością jednak cokolwiek sztucznym.

– Nie ma czegoś takiego jak operacja „Wniebowstąpienie”, chłopcze. Zrozum to w końcu. Cała ta akcja to jedynie przedstawienie, które przez wiele lat reżyserowałem wyłącznie dla jednej osoby. Dla ciebie.

– Po co?

– Po to, żeby dzięki temu wyreżyserować jeszcze jedną rzecz. Tym razem jednak dla świata!

Znów zaniósł się śmiechem. Gall zastanawiał się, ile w nastrojach Tyne’a jest podłego aktorstwa, a ile najprawdziwszego szaleństwa. Powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że szaleństwo przeważa. I poczuł się nieco rozczarowany.

– No dobrze, przejdźmy do meritum – kontynuował Tyne. – Zacznę od tego, że w dwa tysiące piątym roku na świecie pojawił się najgorszy terrorysta świata. Taki, przy którym Carlos vel Szakal był jedynie zdziadziałym amatorem. Ten terrorysta przedstawił się światu jako Sługa. I to przedstawił się niezwykle wymownie. Nie będę wnikał w listę jego dokonań, bo z pewnością od dawna ją znasz. Wiesz również, że w rzeczywistości Sługa był zwykłą ściemą. Jednak ja nie wiedziałem tego bardzo długo. W dwa tysiące szóstym roku zostałem wybrany do Kongresu i z miejsca otrzymałem polecenie zorganizowania wielkich łowów na tego skurwysyna. Zajęło mi to dwa lata. Dopadłem go pod koniec dwa tysiące ósmego. Ukrywał się w Afganistanie. Zacisnąłem wokół niego tak szczelny pierścień, że w końcu skapitulował. Wtedy poznałem jego sekret. Szokujący sekret. Że to nie żaden terrorysta, a zaledwie zręczny

sztukmistrz. Wyobraź sobie moją sytuację. Przez dwa lata szukam kogoś, kogo tak naprawdę nie ma. To oznaczało kłopoty. Duże kłopoty. W najlepszym wypadku kompromitację i kopa w dupę z Kongresu. W najgorszym nawet więzienie za narażenie budżetu na straty. Oczywiście to drugie tylko wtedy, gdyby komuś zależało, żeby mi poważnie zaszkodzić. A były takie osoby w Kongresie. Z drugiej strony miałem w ręku człowieka, który mógł mi stworzyć dowolną iluzję. Ktoś z takimi umiejętnościami jest bezcenny. Może przygotować i przeprowadzić każdą prowokację. Uznałem, że Ameryka nie może mieć w nim wroga. On powinien dla Ameryki pracować. Więc ściągnąłem go do Stanów.

– Jak to się ma do tego, co mówił on sam? Że tak naprawdę stworzyła go CIA dla pozorowania ataków Al-Kaidy na WTC?

– Aleks, zapomnij o wszystkim, co ci nagadał Baszir. Przyjmij w końcu do wiadomości, że każde jego słowo, co do jednego, zostało wcześniej zaplanowane. Naprawdę uważasz, że to on wymyślił Ibn Ladina i Al-Kaidę? Bez żartów. Podejrzewałem, że masz nieco więcej oleju w głowie. No, nieistotne. Tak naprawdę to tylko lepiej dla mnie. Wracając jednak do opowieści, udało mi się złożyć Baszirowi propozycję, która go zainteresowała. Oczywiście nieoficjalnie. Nikt o tym nie wiedział. I to stanowiło pewien problem, bo był już dwa tysiące dziewiąty rok i brak namacalnych efektów pracy mojej grupy zaczął niektórym działać na nerwy. Stałem przed wyborem. Pozyskać Baszira i ogłosić klapę przedsięwzięcia czy stracić go, ale odtrąbić sukces mojej misji? Wybrałem trzecią możliwość. Baszir został ze mną, a ja poszukałem kozła ofiarnego. I teraz pytanie na inteligencję, Aleks. Jak myślisz? Kto został moim kozłem?

Gall milczał.

– Widzę przecież – uśmiechnął się Tyne – że już to wiesz. I masz rację. Tak. Ty.

– Naprawdę myślisz, że to ci się uda? W FBI nie pracują idioci.

– Może i nie. Ale nie doceniasz Baszira. On wszystko przygotował. Długo na to czekałem.

– No ba, ile przecież można siedzieć w niższej izbie Kongresu?

Zamarzył ci się pewnie fotel senatora.

– Albo i prezydenta. Mając Baszira, mógłbym wszystko. Ale potrzebowałem ciebie. Najlepiej żywego, choć nie był to warunek konieczny. Te dwa tygodnie, zanim w końcu wypłynąłeś w Nowym Jorku, to był koszmar. Mój osobisty. Tyle lat pracy. I tak spektakularnie zmarnowany wielki finał. Ale na szczęście wróciłeś do gry. A ja jeszcze dziś powiem światu, że oto schwytałem Sługę.

Śmiał się całym ciałem. Policzki nadymały mu się jak żagle w szkwale, podbródek drżał, klatka piersiowa i brzuch falowały, a z gardła dobywało się nieprzyjemne rżenie.

– Jak mam to rozumieć, Tyne? – przerwał ten wybuch Gall. – Że pójdziesz do FBI, powiesz im to, co mnie przed chwilą, i natychmiast mnie zamkną?

Tyne nie odpowiedział. Wpatrywał się w oczy Galla, z jego spojrzenia powoli znikła niepewność. Dzwonki alarmowe, które włączyły się w głowie Aleksa, zawstydzilyby system wczesnego ostrzegania na niejednym lotniskowcu. Kongresman uniósł dłoń i machnął nią od niechcenia. Ukryty gdzieś w ciemnościach na tyłach teatru człowiek włączył projektor.

– Czas na show, Aleks. W razie potrzeby puszcze ci jeszcze raz.

Na ekranie pojawiła się postać. Obraz był bardzo niewyraźny, wykonany przez typową kamerę przemysłową. Gall bez problemu poznał człowieka na filmie. Był nim on sam. W dłoniach trzymał kałasznikowa. Powoli, bez zbędnych emocji, podszedł do klęczącego człowieka i strzelił mu w głowę, która znikła w jednej chwili, a pozbawione centrum dowodzenia ciało zważyło się na podłogę. Wszędzie dookoła była krew. Mnóstwo krwi.

– Dwulicowy skurwysyn. – Gall się uśmiechnął. – Mówił, że to nie pójdzie w świat. Przyznaję, sprytnie to załatwiliście. Tyle że to podróbka, a są ludzie, którzy z całą pewnością się na tym poznają.

– Nie doceniasz specjalistów Baszira, Aleks. Oni robią takie rzeczy najlepiej na świecie. Poza tym tak się składa, że najlepsi spece od rozszyfrowywania takich materiałów siedzą w CIA.

I pracują dla mnie. Jak myślisz? Co orzekną? Właśnie obejrzałeś jeden z najważniejszych dowodów swojej winy. Myślę, że już jutro będzie w Internecie. Nazwijmy to „małym przeciekami oficjalnych materiałów śledczych”. Ale jeśli sądzisz, że to wszystko, to się grubo mylisz.

– Fajne nagranie. Ale co by było, gdybym nie przyjechał do Japonii? Skąd byście mnie wprowadzili?

– Nie bądź naiwny, chłopcze. Najwyraźniej nie rozumiesz jeszcze jednej rzeczy. Zresztą może nie dość wyraźnie ci to zasugerowałem. Byłeś śledzony, Aleks. Przez ostatnie pięć lat. Non stop. Dzień w dzień. Przez własną żonę i wielu innych agentów. Moich ludzi. Zrobili ci w tym czasie ponad dziesięć milionów zdjęć. Wiedziałem, że przyjedziesz do Japonii, wiedziałem, kiedy do niej przyjechałeś i co miałeś zamiar zrobić. Popatrz na ekran.

Pokaz slajdów na płótnie dowodził, że Tyne nie kłamał. Zdjęcia zmieniały się co sekundę. Było ich mnóstwo. Aleks pamiętał wiele sytuacji, w których zostały zrobione. Każde zostało zmontowane.

– Co to za miejsca, Tyne? To ja jestem na zdjęciach, ale tło jest wmontowane.

– Och, naprawdę nie poznajesz? Tu jesteś na lotnisku JFK, tu w Atlancie. Minneapolis, poznajesz? Boston. Jacksonville. Abudża. Rijad. Monrovia. Kojarzysz?

– Miejsca, w których Sługa rzekomo dokonywał zamachów.

– Zgadza się. Zaszyte w plikach metadane dowodzą, że zdjęcia te robiono w dniach, kiedy przeprowadzono zamachy. Byłeś tam. Byłeś za każdym razem. Metadane nie kłamią.

– Właśnie widzę.

– Opowiadam ci o tym wszystkim, bo sobie na to zasłużyłem. Na tę odrobinę zarozumialstwa. Ale prócz ciebie nikt się o tym nie dowie. Dowody nie tylko są mocne, ale i będą weryfikowane przez moich ludzi. Krótko mówiąc, przegrałeś.

– A nie wpadłeś na to, że mogę mieć na sobie podsłuch?

– Owszem. Wpadłem. Dlatego jeśli spojrzysz w tamtą stronę, o tam, pod zadaszeniem, ujrzysz małe, ale sprytne urządzenie

blokujące przepływ jakichkolwiek fal. Naprawdę, Aleks, wystarczająco długo pracowałem w CIA, żeby nie popełniać takich błędów.

– Myślisz, że to wystarczy? Mam na myśli te filmy i zdjęcia.

– Oczywiście, że wystarczy, ale mam znacznie więcej ciekawych rzeczy. Chcesz posłuchać? Pewnie, że chcesz. Pamiętasz zamach na lotniskowiec Thomas Woodrow Wilson?

– To trochę tak, jakbyś mnie zapytał, czy pamiętam zamach na WTC.

– Racja. Tę sprawę bardzo dokładnie zbadano, ale wyniki badań zostały utajnione przez wojsko. Sługa się przyznał, nie było sensu wyjawiać ludziom, że tak naprawdę jednostkę wysadził oficer systemów uzbrojenia. Biedak nie mógł się pogodzić z tym, że został podejrzany o wynoszenie ze statku broni, wisiał nad nim sąd wojskowy i w najlepszym wypadku dyscyplinarne usunięcie z armii. Do takiego wniosku doszli śledczy i raport trafił do tajnego archiwum. Tym oficerem był niejaki porucznik Ted Bronson, który został uznany za zmarłego w czasie wybuchu. Na twoje nieszczęście dokumenty zostały właśnie odtajnione i poszerzone o nowe dowody, z których wynika niezbitcie, że porucznik Ted Bronson to w rzeczywistości niejaki Aleksander Gall, szerzej znany jako Sługa. Nie przeżył oczywiście nikt, kto mógłby temu zaprzeczyć, ale sam Gall zdążył się ewakuować. Mamy na to dużo dowodów. Zdjęcia, filmy z lotniskowca oraz kartotekę wojskową Teda Bronsona. Już na pierwszy rzut oka sfałszowaną. Wdowa po poruczniku szybko się zorientuje, że nie jesteś jej mężem. Ale znajdziemy wyjaśnienie. Po prostu zabiłeś go i ukradłeś jego tożsamość.

Na ekranie pojawił się film, na którym Aleks rozmawia z jakimś mężczyzną. Nie pamiętał tej sytuacji. Nie mógł jej pamiętać, ponieważ nigdy nie był na mostku Wilsona. A najwyraźniej tam właśnie toczyła się akcja.

– Właśnie rozmawiasz z kapitanem Edelsonem, świeć Panie nad jego duszą.

– To śmieszne – rzucił Aleks. – Ten mundur miałem na sobie podczas dorocznego balu przebierańców u generała Tucketa.

– Zgadza się. A kostium dostarczyła ci biedna, niczego niepodważająca Weronika. Czyż nie? Wykonanie tej podróbki zajęło nam cztery miesiące. Gwarantuję jednak, że nikt się nie pozna. Jesteś Sługą, Gall. Powinieneś powoli się do tego przyzwyczajać. Zadbam o to, byś nie uniknął kary śmierci. A tak przy okazji, czy wiesz, że ostatnie testy wraku samolotu twojej żony wykazały ze stuprocentową pewnością istnienie śladów po materiałach wybuchowych? Na swoje nieszczęście dziewczyna zgromadziła mnóstwo dowodów na temat twojej terrorystycznej działalności. Wśród szczątków znaleziono laptop, a w nim sporą część z oglądanych przez ciebie materiałów. A także tysiące faktur i dowodów zakupów. Potwierdzenia przelewów na konta znajdujących się pod obserwacją handlarzy bronią, umowy i potwierdzenia przychodzących przelewów z Iranu i Arabii Saudyjskiej, dowody na współpracę z wieloma osobistościami półświatka terrorystycznego, choć po prawdzie przynajmniej połowę z nich wymyślił i stworzył Baszir, bilety lotnicze, skany fałszywych paszportów, praw jazdy, wiz i innych dokumentów. Bardzo szczegółowe, mieszczące się w tysiącach plików, plany niemal każdego rodzaju odrzutowców. Dokumenty instruktażowe, rozkłady jazdy Amtraka, tajne plany wojskowe, za których posiadanie można dostać czapę, nie mówiąc już o ich wykorzystywaniu do działalności terrorystycznej. Wszystko to wykradła ci twoja własna żonka, więc ją zabiłeś. Boże jedyny, bogobojne amerykańskie społeczeństwo cię znienawidzi. Tym razem Sługa nie przyznał się do zamachu, co jest zrozumiałe. Za to pojawił się niejaki Aleksander Gall i szybko wykluczył zamach terrorystyczny. Jakże to sprytne.

– Chciałbym jedynie zauważyć, że i bez niejakiego Aleksandra Galla śledczy nie odkryli śladów materiałów wybuchowych i obarczyli winą kontrolera.

– Przeciwnie. Ślady oczywiście odkryto, ale ponieważ natychmiast zrodziło się podejrzenie, że mamy do czynienia ze Sługą, sprawę przejęły FBI i CIA, a wszystkie dowody utajniono. Tak właśnie się to robi w tym kraju.

Zapadło milczenie, ale nie cisza. Huragan się wzmacniał. Aleks nie

słyszał niczego oprócz własnych myśli. Zastanawiał się, jakim cudem dał się tak podejść. W duchu przyznawał, choć niechętnie, że Tyne zrobił naprawdę dobrą robotę.

– Więc po co katastrofa Japonii? Wielki finał?

– Dokładnie. Mieliśmy pięknie spreparowane rejestratory. Baszir wspiał się na wyżyny. Na CVR wyraźnie słyhać, jak ludzie Sługi zmuszają pilotów do wyłączenia CFITA, a potem ich zabijają i rozbijają maszynę w mieście. A tuż przed śmiercią jeden z nich przesyła pozdrowienia od Sługi. Dobre, nie? A nieco później ja chwytam Sługę, zostaję bohaterem i tak dalej.

– Co poszło nie tak?

– Silnik w samolocie nawalił. Piloci zdecydowali się kontynuować misję, ale musieli zmniejszyć prędkość. Niestety, nie zostali prawidłowo przygotowani. Ludzie, którzy decydują się oddać życie za sprawę, powinni wiedzieć jak najmniej. Im mniej czasu na przemyślenia i rozmowy, tym większa szansa, że nie wycofają się w ostatniej chwili. Dlatego nikt im nie wyjaśnił, po co właściwie mają odłączyć CFITA. Czekali na polecenia. Tuż przed lądowaniem mieli otrzymać przez radio zakodowany rozkaz rozłączenia systemu, potem odejścia na krąg i na koniec rozbicia maszyny. Niestety, nie zameldowali o opóźnieniu marszruty i operator o tym nie wiedział. Dlatego wydał rozkaz dokładnie o zaplanowanej godzinie. No i sam rozumiesz, że nagle kwestia rejestratorów zrobiła się bardzo drażliwa. Nie mogliśmy podłożyć tego, co przygotowaliśmy, a jednocześnie straciliśmy możliwość przejęcia oryginalnych nagrań. Musieliśmy improwizować.

– Dlaczego ja, Tyne? – zapytał w końcu zrezygnowany.

– Och, to nic osobistego. Zostałeś wytypowany przez wzgląd na pewne cechy charakteru, a także historię służby w AQIR.

– Kto mnie wytypował?

– Miałem nadzieję, że o to zapytasz. Wiesz, solidnie założyłeś mi za skórę. Dlatego z przyjemnością poharatam ci serce. Wyzaczył cię twój dobry przyjaciel. Który w rzeczywistości jest jednym z moich najlepszych ludzi.

– Kłamiesz, Tyne! – krzyknął Aleks.

– Nie. Nie kłamie – odezwał się głos z rogu sali.

Aleks nigdy nie widział, by uśmiechała się w ten sposób. Biła od niej zwyczajna, pospolita podłość.

Leonore Burley. Numer Dwa.

– Leo...

– Nie tak łatwo mnie zabić, Aleks. Kiedy ludzie Vessny ostrzelali twój konwój i nieomal zniweczyli wiele lat naszej ciężkiej pracy, od razu stało się jasne, że ona gra na boku. Podejrzywałam to nawet wcześniej. Zdałam sobie sprawę, że Vessna nas zdradziła. Była moim szefem od początku tej operacji, ale wiedziałam, że kiedy przestanę być potrzebna, to się mnie pozbędzie. Dlatego skontaktowałam się z kongresmanem Tyne’em, a potem przygotowałam sobie specjalną lodówkę ze spalonym nieboszczykiem, na wypadek ataku na mój dom. Żeby w razie czego podrzucić ciało i upozorować swoją śmierć, gdybym musiała zniknąć. Miałam zaplanowaną drogę odwrotu.

– Nawet mnie zaskoczyła tym, że przeżyła – wtrącił rozbawiony kongresman.

– To było bardzo proste – kontynuowała zadowolona z siebie Leo. – Mam przyjaciół w CIA. Podmienili moje dane w Centralnym Rejestrze Medycznym. W karcie znalazły się wszystkie charakterystyczne dane zdrowotne nieboszczyka z lodówki. Odciski palców, przebyte choroby i tak dalej. Analizując to wszystko, dochodziło się do przekonania, że to ja. A ta ruda idiotka nie miała o tym pojęcia. I nic dziwnego. Kiedy ja robiłam już w tym biznesie, ona jeszcze na stojąco wchodziła pod szafę.

Tyne z zadowoleniem odnotował, że Aleks stracił resztki nadziei. Wstał, jakby chciał się jeszcze bronić, zaraz jednak opadł ciężko na fotel. Nie miał już argumentów. Pierwszy raz w życiu Aleksander Gall dał się przechytrzyć.

– Leo... Dlaczego to wszystko? Dlaczego mi to zrobiłaś?

– Zadałeś mi przez ostatnie lata bardzo wiele pytań, ale to zdecydowanie było najgłupsze ze wszystkich. Naprawdę się nie domyślasz? Pieniądze, synu. Bardzo dużo pieniędzy. Niewyobrażalna ilość pieniędzy.

– I co ci po tych pieniądzach? Byłaś jedną z najlepszych śledczych NTSB. Miałaś szacunek i uznanie. A kim stałaś się teraz? Zwykłą pazerną...

Uderzenie w twarz zrzuciło go z fotela. Leo była stara, ale wciąż biła mocno.

– Zamknij się, smarkaczu! Niech ci się nie wydaje, że mnie na tyle znasz, żeby mnie oceniać. Urodziłam się w biednej rodzinie. Nawet nie wiesz, ile pracy kosztowało mnie, żeby...

– Litości! Daruj sobie te idiotyczne gadki. „Wychowałam się w getcie”, „na ulicy”, „ojciec pił”, „matka miała trzy etaty i dorabiała jako kurewka w barze ze striptizem”. Rzygać mi się chce.

Leo uderzyła jeszcze raz. I ponownie. Biłaby jeszcze, gdyby Tyne jej nie powstrzymał. W dali wyraźnie dało się już słyszeć policyjne koguty.

– Zostaw go – powiedział Tyne. – Dla niego to i tak już koniec. FBI zaraz tu będzie. Słyszysz, chłopcze? FBI już jedzie.

– Jesteś żałosny – wysapała Burley. – Gdyby nie ja, w życiu byś nie ustalił, co się stało z samolotem twojej żony. Musiałam cię prowadzić za rękę. Taki z ciebie specjalista.

Aleks podniósł się z ziemi. Dłonią otarł cieknącą z wargi krew. Pełnym smutku wzrokiem spojrzął na Leo. Swoją najlepszą przyjaciółkę i zarazem największego wroga. Burley wytrzymała spojrzenie. Uśmiech ani na moment nie zniknął z jej twarzy.

W dwie minuty ruiny zaroily się od agentów federalnych. Aleks został powalony na ziemię i skuty.

– Mówiłem ci wiele razy, Gall, że jeszcze się spotkamy. – Chase wynurzył się z zalegającej teatr ludzkiej masy. Miał na sobie drogi garnitur i drogie buty. Jak zwykle.

– Ty też tutaj, Chase? – zapytał cicho Aleks.

– No pewnie. Myślisz, że mógłbym ominąć aresztowanie stulecia?

– Wiesz dobrze, że jestem niewinny.

– Nie pierdol, Gall. Mamy tyle dowodów, że będziemy się przez nie przekopywać latami. Już na pierwszy rzut oka widać, że kawał z ciebie skurwiela.

Przerwał mu cichy śmiech.

– Co się tak głupio śmiejesz? – zapytał rozeźlony agent.

– Sprzedałeś się, Chase. Sprzedałeś się Tyne’owi. I tak oto umiera mit uczciwego policjanta. Ciekawi mnie, ile musiał zapłacić, żeby cię mieć kieszeni. To musiały być olbrzymie pieniądze.

– Zamknij się! – krzyknął agent. – Powiedziałem ci. Są mocne dowody.

– Jesteś zwykłą kurewką – wysapał Aleks, śmiejąc się coraz głośniej. I coraz bardziej bez nadziei.

Chase podskoczył do niego i nim ktokolwiek zareagował, wymierzył Gallowi solidnego kopniaka. Aleks upadł, a agent chwycił go za bluzę i uniósł kawałek nad podłogę.

– Zadbam o to – wycedził przez zęby – by cię odpowiednio wyobracali w celi.

– Dziękuję – odparł Aleks, plując krwią. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Nic nie mogło wyprowadzić go z równowagi. Nawet najpodlejsza zdrada. Chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył. Kolba beretty spadła na jego skroń. Świat wypełnił się mrokiem.

EPILOG

Aleksander Gall miał rozciętą wargę, a jego oczy zasłaniał czarny prostokąt. Ręce skuto kajdankami, a potężny, zamaskowany agent FBI wykręcał mu barki.

Tytuł wrzeszczał: SŁUGA W KOŃCU SCHWYTANY!

Kongresman Harold Tyne uśmiechnął się i odłożył egzemplarz „Washington Post” na siedzenie obok. Artykuł przeczytał już trzy razy i czuł satysfakcję. Gryzpiórek napisał o wszystkim, o czym powinien napisać. Najpierw przypomniał długą listę dokonań najbardziej poszukiwanego terrorysty świata, potem napisał o Gallu. Przytoczył niektóre dowody i opis filmu z egzekucji, który zresztą hulał już w Internecie. Wspomniał o zamordowaniu Weroniki. Wprowadził nawet bezczelną, ale jakże inteligentną insynuację, jakoby Sługa, a raczej Aleksander Gall, został złapany w Baltimore, gdzie przygotowywał kolejny zamach, tym razem w stolicy. Kto wie, może nawet poślakomiał się na Biały Dom? Za to należy się kara śmierci i nikt nie ma wątpliwości, że po zaznajomieniu się ze wszystkimi dowodami Sąd Najwyższy z pewnością ją wymierzy.

Światła w samolocie były przygaszone, dokładnie tak, jak lubił. Maszyna przecinała nocne niebo i zapewne w ciągu kwadransa wyląduje na tokijskiej Naricie. Tyne spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Musiał przyznać, że Kage naprawdę miał gest. Jako kongresmanowi zdarzało mu się już latać w luksusie, ale mieć do wyłącznej dyspozycji airbusa A380?

Był zmęczony. Zaraz po aresztowaniu Galla poleciał do Sydney, gdzie miał do załatwienia prywatny biznes. Zajął mu to pół dnia, potem wsiadł na pokład czekającego już i w pełni gotowego do drogi airbusa. Kage zadbał nawet o najnowszy numer „Washington Post”. Słodkie.

Kongresman zajął fotel na górnym pokładzie, gdzie znajdował się najbardziej luksusowy przedział. Myślał o tym, by się

zdrzemnąć, ale jak tu drzemać, kiedy dzieje się tak wiele? Nie spał od aresztowania Galla, ale czuł, że i tak nie zmrużyłby oka. Wyciągnął się jednak wygodnie na rozkładanym fotelu i czekał na lądowanie. Już jakiś czas temu kapitan uruchomił sygnalizację „zapiąć pasy”, a Tyne poczuł, że wielka maszyna wyraźnie zwalnia. Redukcję wysokości również odczuł. To była jego ulubiona część lotu. Uwielbiał ten stan, do jakiego doprowadzała go świadomość, że trzystutonowa, hermetyczna rura nagle opadała kilkadziesiąt metrów, niosąc ze sobą jego, drobny pyłek, maleńkiego, zaledwie stukilogramowego człowieka.

Ale tym razem coś było nieco inaczej. Maszyna nagle przestała opadać. Można nawet było odnieść wrażenie, że odrobinę zwiększa pułap. Tyne wyjrzał przez okno i ujrzał w oddali rozświetlone Tokio.

Co jest, do cholery?

Po kilku minutach w przedziale pojawił się japoński kapitan airbusa.

– Panie kongresmanie, mamy niewielki problem – powiedział po angielsku.

– Jak niewielki? – zapytał zaniepokojony Tyne. – Często niewielki problem w rzeczywistości okazuje się kurewsko poważnym problemem.

– Nie tym razem – odparł kapitan. – Nad Pacyfikiem zaginęł duży samolot. Zniknął z radarów i nie ma z nim kontaktu.

– Jezu Chryste.

– Zarządzono pełne pogotowie. Haneda i Narita są zamknięte do odwołania. Podobnie jak cały obszar. Nie usiądziemy tam.

– Co pan proponuje?

– Są trzy rozwiązania. Po pierwsze, możemy odlecieć na lotnisko zapasowe. Niestety jest to Nagoja. Dość daleko. Po drugie, możemy też chwilę powisieć w holdingu. Paliwa wystarczy na jakieś pół godziny. Może w tym czasie coś się zmieni. Ale osobiście wątpię. Wybór należy do pana.

– A trzecia opcja? Mówił pan o trzech rozwiązaniach.

– Tak, jest jeszcze jedna możliwość. Ten lot realizowany jest na zlecenie Ministerstwa Obrony w trybie wojskowym. Mogę

poprosić o zgodę na przelot i lądowanie na wojskowym lotnisku Yokota. To na zachodzie miasta, około pięćdziesięciu pięciu kilometrów od centrum.

– Nie wygląda pan na przekonanego.

– Bo nie jestem. Tam oczywiście jest bezpiecznie. Bardzo długi pas i ILS. Tyle że będę się musiał z tego solidnie tłumaczyć. Nie mam kart podejścia i...

– No to będzie się pan tłumaczył, ponieważ za bardzo się spieszę, by lecieć do Nagoi. Proszę powiadomić o sytuacji ministra Kage.

Kapitan skłonił się lekko i wrócił do siebie. Wkrótce maszyna przechyliła się na prawe skrzydło w dość ciasnym zwrocie.

– Mamy zgodę na podejście do pasa osiemnaście – odezwał się kapitan przez interkom. – Musimy okrążyć miasto. Lądujemy za dziewięć minut.

Tyne ponownie wyrzął przez okno. Światła miasta znikły, gdy maszyna skierowała się na północ. Potem nastąpił kolejny zwrot i miasto ponownie stało się widoczne. Tym razem przez okna po lewej stronie. Przechył trwał dłuższą chwilę, aż w końcu maszyna wyrównała, ustawiła się w osi pasa i rozpoczęła podejście do lądowania. Potężny airbus leciał z minimalną prędkością, przed samym przyziemieniem unosząc jeszcze wysoko nos. Lądowanie należało raczej do tych twardych. W dodatku pas z pewnością nie był pierwszej jakości i strasznie trzęsło. No ale niecodziennie na wojskowym lotnisku ląduje airbus A380.

Ledwo samolot dotknął asfaltobetonu, natychmiast załączono przeciwną hamulce i Tyne stracił do niego resztki szacunku. Potrafił zrozumieć, że lądowanie na obcym lotnisku, bez mapy podejścia i niemal na ślepo może sprawiać problemy i powodować nieco stresu, ale bez przesady.

Kolorowe lampy oświetlające pas startowy wciąż migały bardzo szybko, ale wyraźnie zwalniały. Po chwili Tyne mógł już odczytać umieszczone na nich krzaczkę. Nigdy nie miał ochoty uczyć się japońskiego. Mimo że miał tutaj dom i kawałek ziemi.

W końcu samolot się zatrzymał.

I to się Tyne'owi nie spodobało.

Wyrzał przez okno. Ogromny airbus stał na pasie startowym. Silniki gasły jeden po drugim.

I co? Będziemy tu stać? Nie ma żadnego terminalu? A może wojskowi jeszcze nie wiedzą, dlaczego wylądował u nich airbus A380? Może przyjadą tu z bronią?

Wypatrywał wojskowego konwoju, który już dawno byłby na miejscu, gdyby lądowali w Stanach. Amerykańscy żołnierze właśnie podstawialiby pojazd ze schodami, dowódca wspinałby się na górę. Kapitan lub załoga pokładowa prosiłaby, żeby pozostać na miejscu aż do wyjaśnienia sprawy. Ale nie. W cholernej Japonii zawsze wszystko musi być na opak.

Silniki się zatrzymały. Światło przygasło, zasilane jedynie przez APU.

– Halo. Jest tam kto? Kapitanie! Spieszę się! – krzyknął Tyne, wstając z fotela.

– Siadaj, Tyne. Nigdzie się nie śpieszysz – odezwał się niespodziewanie głos tuż za uchem kongresmana. Przerazająco znajomy głos. Tyne zamarł. Mężczyzna w sportowej marynarce z czarnego tweedu, podartych na kolanach dżinsach i kremowych trampkach Converse wyłonił się z mroku. Uśmiechał się. Tyne krzyknął tylko i uskoczył w tył. Zahaczył o fotel i upadł na skórzane obicie.

– Piszczysz jak młoda panienka, panie kongresmanie – rzekł Aleksander Gall, przypalając papierosa.

– Skąd się tu wzięłeś, do diabła?

– Z Australii. Leciałem z tobą całą drogę. Oczywiście byłeś zbyt leniwy, by zajrzeć na dół, więc skąd mógłbyś to wiedzieć?

– Nic nie rozumiem!

– Och, nie martw się. Z przyjemnością ci wszystko wyjaśnię.

Błyskawicznym ruchem chwycił Tyne'a za marynarkę, podniósł i cisnął nim w stronę przejścia do kolejnego przedziału z siłą, o jaką Tyne by go nigdy nie podejrzewał. Kiedy już się tam znaleźli, Aleks wskazał Tyne'owi fotel, w którym ten natychmiast usiadł.

– Takie zrobiłeś fajne przedstawienie, Tyne, tyle się nagadałeś

o tym, jak to specjalnie dla mnie przygotowałeś show. Sęk w tym, że było dokładnie odwrotnie. To ja przygotowałem show dla ciebie. Ale po kolei. Zacznę od historii pewnego małego skurwysynka, który w dwutysięcznym roku był zastępcą dyrektora Biura Technicznego Gromadzenia Danych CIA. Tak, mówię o tobie. Ameryka potrzebowała wtedy impulsu i zleciła ci przygotowanie komórki, która będzie odpowiadała za pozorowanie zamachów terrorystycznych. Nie udało mi się dowiedzieć, czy stałeś za WTC, czy nie, ale to ci niewiele pomoże. W każdym razie zrekrutowałeś do tej roboty niejakiego Malika Noyana, vel Baszira Ibn Saladina. Razem rozkręciliście całkiem fajną aferę. Jednak po zamachach na WTC twój pracodawca się przeraził i komórkę rozwiązano, a wszystkie efekty jej działań utajniono. Na twoje nieszczęście mam przyjaciela, który ostatnio włamał się do głównego serwera CIA i zdobył dla mnie masę bardzo przydatnych informacji. Wynika z nich między innymi, że w dwa tysiące trzecim roku na krótki czas przywrócono twój zespół do życia. To było akurat wtedy, kiedy ważyły się losy inwazji na Afganistan.

– Nie można się włamać do komputera CIA – wyjęczał Tyne, lecz jakoś tak bez przekonania.

– Jednak nauczony doświadczeniem – ciągnął Aleks – wiedziałeś, że ta robota szybko się skończy. A wraz z nią niezła kasa z budżetu. Chyba nie myślałeś, Tyne, że się nabiorę na twoje pseudopatriotyczne gadki? Od początku chodziło tylko o kasę. W każdym razie wpadliście na genialny plan. Noyan zmienił alias na Baszir Ibn Saladin i powołaliście do życia Sługę. W waszych śmiesznych telefonach Numer Pięć. Zapewne zastanawiasz się, skąd to wiem. A stąd, że wszystko wyśpiewał. Moi ludzie dopadli go tuż przed naszym spotkaniem w teatrze. Resztę życia spędzi w jednej z zagranicznych placówek CIA. Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że nie możemy mu pozwolić zeznawać. Jest naszym Sługą. A swoją drogą, musisz przyznać, że elegancko odegrałem swoją rolę, co? Wystarczająco łzawo? Mam szansę na Oscara? Nawet nie wiesz, ile wysiłku mnie kosztowało, by się nie roześmiać.

Tyne milczał, a jego twarz stawała się coraz bardziej sina. A Aleks kontynuował:

– Sługa szalał w najlepsze. Kongres stanął nagle przed sporym wyzwaniem. Zamiast zlecać CIA przygotowanie prowokacji, musieli zmierzyć się z realnym zagrożeniem. W dwa tysiące szóstym roku figurant z CIA, czyli znowu ty, dostaje się do Kongresu i może zacząć działać naprawdę. Rozpoczyna wielkie polowanie na Sługę, którego sam stworzył. I dostaje na ten cel pięć miliardów dolarów rocznie. Do tej informacji bez trudu dotarłem, ponieważ Kongres jest wystarczająco duży, żebym i ja miał w nim człowieka, który wie to i owo. Ale z tego doskonale zdajesz sobie sprawę. No właśnie. W dwa tysiące dziewiątym roku wciąż ciągniesz kasę z budżetu państwa, a efektów nie ma. W kongresowych kuluarach zaczyna rozbrzmiewać dyskusja, czy aby na pewno jesteś potrzebny. A do tego nie możesz dopuścić. Kto by rezygnował z pięciu miliardów dolarów rocznie? Muszę przyznać, że to było genialne. Pięć miliardów na szukanie człowieka, który siedział obok i śmiał się do rozpuku. I w dodatku jego działalności terrorystycznej nie trzeba było finansować, bo ona nie istniała. Funkcjonowanie studia kosztowało promil budżetu. Reszta trafiała do waszych kieszeni. Jestem przekonany, że umieliście przekonująco fałszować rachunki, by się uwiarygodnić przed Kongresem.

Tyne otarł pot z czoła. Klima nie działała i w samolocie robiło się gorąco, ale kongresman pocił się z innego powodu. Umierał ze strachu. Aleks nie zwalniał jednak tempa.

– Twoim głównym wrogiem w Kongresie był Dwayne Kowalsky. Zupełnie przypadkiem mój były dowódca. A raczej to wcale nie był przypadek, ale nie uprzedzajmy faktów. Kowalsky od dawna podejrzewał cię o jakiś przewał. Pod jego naciskiem Kongres dał ci dwa lata na znalezienie Sługi. Dwa ostatnie lata. Ostatnie dziesięć miliardów. Każdy normalny złodziej wzięłby z pocałowaniem ręki. Ale nie ty, głupi, pazerny sukinsynu. Ty postanowiłeś zniszczyć Kowalsky'ego i położyć łapę na jeszcze większej kasie. Do akcji wkracza Vessna Fuego, za starych czasów twoja asystentka, potem wtyka w CIA. Teraz w końcu

dyrektor operacyjna. To jej człowiekiem była Leonore Burley. I na jej polecenie wytypowała dawnego podwładnego Kowalsky'ego do roli Sługi.

Mówił jak nakręcony. Ale nic dziwnego. Przez lata na to czekał. Podniósł stojącą na stoliku butelkę wody należąca do Tyne'a, odkręcił ją i upił łyk, żeby choć trochę zwilżyć gardło. Zaczynało go drapać, a miał jeszcze sporo do przekazania.

– Plan był prosty. Wrobić mnie i oskarżyć Kowalsky'ego o wspieranie światowego terroryzmu, a przynajmniej skompromitować i pogonić z Kongresu. Kłamałeś, mówiąc, że chodzi o mnie. Od początku chodziło o Kowalsky'ego. Tylko on stał na drodze do wielkich pieniędzy. Przekalkulowałeś sobie wszystko i doszedłeś do wniosku, że wydanie Sługi może ci się opłacić bardziej niż kontynuowanie dotychczasowej działalności. Za trzy lata wybory prezydenckie. A Amerykanie kochają bohaterów. Wygrałbyś w cudłach. Pieniądze na kampanię masz. Wysoko postawionych przyjaciół masz. A gdybyś zasiadł w Białym Domu, to te pięć miliardów rocznie stałoby się zaledwie drobnymi. Mając do dyspozycji Baszira, mógłbyś zdobyć cały świat. Wywołać dowolną wojnę, przeprowadzić każdą prowokację, powołać komórkę do zwalczania terroryzmu i dać jej takie pieniądze, jakie sobie wymarzysz. Mówimy już nie o nędznych miliardach, a o bilionach dolarów.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Z bardzo dobrego źródła, kongresmanie. Od ministra Kage. Czy wspominałem już, że jemu również złożyliśmy wizytę? Przyszło do niego trzech smutnych panów. I pokazało mnóstwo dowodów jego winy. Mam bardzo utalentowanego przyjaciela, który jak już zna nazwisko, to potrafi z Sieci wyciągnąć prawdziwe cuda. Dotyczyły głównie przekrętów związanych ze Szkołą Wiatru, która okazała się wspaniałą pralnią brudnych pieniędzy yakuzy. Zgodnie z moimi przypuszczeniami pan Kage odrzucił możliwość skorzystania z usług służby penitencjarnej i wybrał nieco bardziej osobliwą metodę odbycia kary. Seppuku. Wcześniej jednak powiedział nam, co chcieliśmy wiedzieć, w zamian za to, że wykażemy się powściągliwością w dzieleniu się ze światem

zebranych materiałami. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli. I wykażemy się. Świat nigdy się nie dowie, że Kage miał żywotny interes w przeprowadzeniu wielkiego zamachu na terenie Tokio. A ściśle mówiąc, miała go jego żona, większościowy udziałowiec Seigi Arashi, największego japońskiego koncernu zbrojeniowego, z masą rządowych kontraktów, które ostatnio zaczęto wygaszać. A przecież zabawa w wojnę z terroryzmem daje ogromne korzyści. Udział Kage w waszej małej zabawie od początku był bardzo prawdopodobny. Dokonano przecież inwazji na skomplikowany i nowatorski system kontroli ruchu powietrznego. Poginęły zapisy i backup. A to przecież najprostsze zadanie świata, jeśli jest się człowiekiem, który ten system stworzył i nim zarządza. Człowiekiem ministra Kage. Tego gagatka też już mamy, choć minister odmówił wskazania współników. O reszcie już sam powiedziałaś. Mieliście przejąć rejestratory i podrzucić fałszywki. Kaszka z mlekiem. Zamiast tego poufne dane znalazły się w oceanie. Co rodziło dwa problemy. Raz, że skoro ich nie mieliście, to nie mogliście zagrać falsyfikatami. A dwa, że Jordan nie dał się odwieść od wypłynięcia w morze i w końcu odnalazł czarne skrzynki. A wy ich nawet nie potrafiliście porządnie ukraść, bo mój człowiek was wykiwał. Ale i bez tego sfabrykowaliście dość dowodów. By ich wymowę jeszcze wzmocnić, zaprosiliście mnie do studia, żeby zrobić kilka dokrętek. Nieźle. Oczywiście, gdybym zginęła na Dekishi, to i tak byś mnie wrobił. Ale nie byłoby takiego efektu. Ludzie wciąż przeżywają ten wypadek. Dziennikarze ciągle drążą i podsycają emocje. Pokazując mnie teraz opinii publicznej, naprawdę stałbyś się bohaterem. Wszystko się pięknie poukładało. Nawet fakt, że samolot nie rozbił się w Tokio, nie stanowił dla ciebie problemu. Katastrofa to katastrofa. A tym bardziej tak spektakularna. Kage też był zadowolony. Ostatecznie to japoński przewoźnik stracił samoloty i japońscy obywatele w nich zginęli. Obaj osiągnęlibyście swój cel.

Nieopodał coś zadudniło. Kroki. Wiele kroków na dolnym pokładzie. Ci, co szli, nie spieszyli się zbytnio. Czekali na jego znak. Ale i tak wiedział, że musi się pospieszyć.

– Musimy pogadać o jeszcze jednej osobie – rzekł Aleks. – O Numerze Dwa. Leonore Burley. Zaufanym człowieku Vessny. To ona mnie wytypowała do waszych celów. I tutaj właśnie robi się ciekawie.

– Ciekawie? – wyszeptał Tyne. Aleks spojrział na niego ze szczerym politowaniem. Kongresman w niczym nie przypominał pewnego siebie mężczyzny z poprzedniego wieczoru. Twarz miał czerwoną i mokrą od potu. Oczy rozbiegane, usta zaciśnięte. Nieświadomie zgrzytał zębami, masakrując szkliwo.

– Bardzo ciekawie. – Gall się uśmiechnął. – Bo Kowalsky cię przejrzał. Dawno temu. Twoje częste kontakty z byłą podwładną z CIA wzbudziły jego podejrzenia. A on nie jest facetem, z którego łatwo zrobić wała. Dlatego przez siatkę znajomości wprowadził do zespołu Vessny swojego człowieka. Leonore Burley. – Wybuchnął śmiechem. Ale nie śmiał się zbyt długo, bo zdał sobie sprawę, że Tyne go nie rozumie. – Leo Burley – wyjaśnił Gall – to nasz człowiek. Naprawdę wierzyłeś, że ona pracuje dla ciebie? Cholera, ależ jest dobra! Wciągnąłeś ją do gry i zleciłeś wybór człowieka, a ona pierwsze, co zrobiła, to pobiegła z tym do Kowalsky’ego. A Kowalsky wyznaczył mnie. Rozumiesz? Cała ta gra zaczęła się dużo wcześniej, niż ci się wydaje. Ponieważ Leo nie była przez Vessnę wprowadzona w szczegóły, wiedzieliśmy tylko, że coś kombinujesz. Musieliśmy się dowiedzieć co. I przystąpiliśmy do zabawy. Od początku się orientowałem, że Weronika jest przez ciebie podstawiona. Przyjąłem jej grę. Choć odnoszę wrażenie, że i ją, i mnie to zadanie nieco przerosło. Jeszcze zobaczymy. Zapewne nie wiesz, ale moja żona żyje. Jej śmierć zaplanowaliście na samym początku. Miała stanowić kluczowy dowód mojej winy. A przedtem w ogóle włączyć mnie do akcji. Genialne. A potem wysłaliście Leo, żeby mnie poprowadziła za rękę. Gdy mi pierwszy raz opowiedziała, że na twoje polecenie ma mnie urabiać, to oboje prawie pękliśmy ze śmiechu.

– Myślałem... To nie może być prawda. Widziałem wczoraj...

– Tak, widziałeś. Byłem wczoraj trochę niepewny, bo naprawdę dobrze wykonałeś swoją robotę. Zastanawiałem się, ile

Kowalsky'emu zajmie wydostanie mnie z pudła. Niepotrzebnie się martwiłem, bo on i Leo wciągnęli do zabawy Chase'a. Policjancik zdjął mi kajdanki, gdy tylko znaleźliśmy się w samochodzie.

– Ten samolot... nad Pacyfikiem nie zaginął żaden samolot, prawda? Chcieliście mnie tu po prostu ściągnąć.

– Mylisz się, Tyne. Nad morzem trwają właśnie zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Pasażerska maszyna znikła z ekranów radarów. Ta maszyna, Tyne. Z tobą na pokładzie. I niestety, jak się wkrótce okaże, roztrzaskała się w morzu. Taką informację za kilka godzin otrzymają twoja żona i syn. A potem media na całym świecie. Kongresman Harold Tyne zginął w katastrofie lotniczej u wybrzeży Japonii. Oczywiście zacznie się śledztwo, zapewne za jakiś czas samolot zostanie odnaleziony. Ale zwłoki nie dadzą się już rozpoznać.

Tyne był błądy jak sama śmierć. Gall uznał, że nie do końca już kontaktuje.

– Co ze mną będzie? – zapytał kongresman. – Zabijesz mnie? Tak po prostu?

– Ależ skąd – odparł Aleks i skinął głową w kierunku mężczyzny ukrytego dotąd w drzwiach przedziału. – Śmierć to dla ciebie za mało.

Zastłonka pomiędzy przedziałami została gwałtownie odsunięta. Do wnętrza przedziału weszło pięciu Azjatów. Byli tak ogromni, że gdyby lecieli tym samolotem, każdy musiałby wykupić cztery bilety, żeby pozostać fair wobec przewoźnika. Pochwycili Tyne'a, a on nawet nie protestował. Gdy już go dobrze trzymali, do przedziału wkroczył niewysoki mężczyzna, o fryzurze przypominającej nieco pokład USS Saratoga, amerykańskiego lotniskowca typu Forrestal, wycofanego ze służby dwadzieścia lat temu. Fryzura gościa też już raczej była niemodna. Ale poza tym prezentował się bardzo okazale. Głównie dlatego, że miał na sobie idealnie skrojony garnitur za dobre dwadzieścia patyków, a takie rzeczy świetnie odwracają uwagę od niedoskonałości ciała. Jeśli Tyne był dotąd błądy, to teraz jego twarz zupełnie straciła kolor. Śmiertelne przerażenie parowało mu przez skórę,

wydzielając straszliwy odór.

– To nie możesz być ty... – rzekł cicho Tyne, ale bez przekonania. Bo wiedział doskonale, że jego koszmar jest zupełnie prawdziwy. I tak naprawdę dopiero się zaczyna.

– A to niby dlaczego? – zapytał po angielsku Kim Dzong Un. – Witaj w Pjongjangu.

– Co? Nie. To niemożliwe.

– Wylądował pan w Korei Północnej – powiedział Kim Dzong Un. – W kraju, w którym ja mam boską władzę. Oczywiście rozumiem pana zaskoczenie. Ostatecznie o to właśnie chodziło. Musieliśmy się trochę postarać, żeby nie nabrał pan podejrzeń. Poleciałem nawet włączyć światło w całym mieście, żeby ładnie wyglądało z góry. Myślę, że moi obywatele będą panu za to wdzięczni. Może nawet sprawię im przyjemność i ogłoszę jakieś święto narodowe na pańską cześć. Pomyślę o tym.

– Nie wierzę! – Tyne był bliski łez. – Nie wierzę w to wszystko. Widziałem zasaną gazetę. Cholerny „Washington Post”.

– Panie Tyne – rzekł pogodnie Koreańczyk. – Pańscy koledzy z Kongresu twierdzą, że u nas najlepiej na świecie fałszuje się amerykańskie dolary. Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Ale gwarantuję panu, że jeden egzemplarz „Washington Post” potrafimy sfalszować wyśmienicie.

– Co ze mną zrobicie?

– Proszę się nie obawiać. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, więc pana nie zabijemy, choć mam wrażenie, że sobie pan na to zasłużył. W zamian popracuje pan przez jakiś czas w jednym z moich obozów karnych. Powiedzmy, że do końca życia. Aleks, prosba. Racz nikomu nie powtarzać tej rozmowy. Wiesz, oficjalnie nie mówimy tu o tego typu rozrywkach.

Gall zrobił gest, jakby zamykał sobie kluczykiem kłódkę na ustach. A potem wyrzucił kluczyk.

– Nie uda ci się to! – krzyknął Tyne.

– Już mi się to udało – rzekł spokojnie Najwyższy Przywódca, a potem rzucił jakiś rozkaz w swoim języku. Pięciu olbrzymów natychmiast wyprowadziło więźnia, który nie zdążył nawet wygłosić jakiegokolwiek protestu. Po prostu był i po chwili już go

nie było. Koreańczyk podał dłoń Aleksowi, a ten ją uścisnął.

– Dzięki. Sprawiliś mi niezwykłą przyjemność. Mieć u siebie amerykańskiego kongresmana? Miałaś rację. Zawsze o tym marzyłem.

– Cała przyjemność stanowczo po mojej stronie.

– Twój samolot wylądował minutę temu. Kongresman Kowalski jest na pokładzie. Możecie odlecieć, kiedy wam się podoba. Możecie też zostać tak długo, jak chcecie.

– Dziękuję. Jednak startujemy od razu. Muszę w końcu porozmawiać z żoną.

Odwrócił się i wyszedł z przedziału. Po schodkach zszedł na dolny pokład wielkiego airbusa, a następnie po innych schodkach na asfalt. Niewielki learjet stał kawałek dalej. Aleks wolnym krokiem udał się w jego kierunku.

Niby Pjongjang, a padało tak samo jak w Waszyngtonie.

Podziękowania

Wiecie, jak jest. Debiutant zawsze musi komuś podziękować i zwykle ta lista jest bardzo obszerna. Postaram się skrócić Wam te męki i zastosuję tryb skrótu telegraficznego.

W pierwszej kolejności dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy. Za to, że daliście szansę debiutantowi, choć przecież wszyscy wiemy, że to bywa ryzykowne. Mam nadzieję, że się nie zawiedliście. Od samego początku przyświecała mi idea bawienia ludzi. Chciałem dać Wam coś, coś Was rozerwie, odpręży i ukradnie Wam trochę czasu. Prostą, ale uczciwą rozrywkę. Jeśli Wam się spodobało, to uspokajam. Aleks, Baldur, Nate i cała reszta powrócą szybciej, niż Wam się wydaje.

Dziękuję ludziom, bez których tej książki by nie było lub byłaby zupełnie nie taka, jak powinna. Są to: Olga, Mateusz i Małgorzata z Filii, Michał Szolc, Kuba Ćwiek, Kinga Eysturland, Rafał Cichowski, Grześ Wyszyński, Przemek Romański, Paweł Wielopolski, Adrian Tomczyk, Adam Szaja, Jacek Ring i Mariusz Banachowicz.

Dziękuję ludziom, którzy przez lata kształtowali mnie nie tylko jako pisarza, ale również, a może przede wszystkim, jako twórcę. Są to: profesor Lidia Niedorezo, Adam Jagiełło-Rusiłowski, Abelard Giza, Marzena Nieczuja-Urbańska, Marzena Paludan, Wojtek Tremiszewski, Kuba Firewicz, Leszek Kwiatkowski, Jacek Szulecki, Darek Zatorski, Kuba Korolczuk i Patryk Gumkowski.

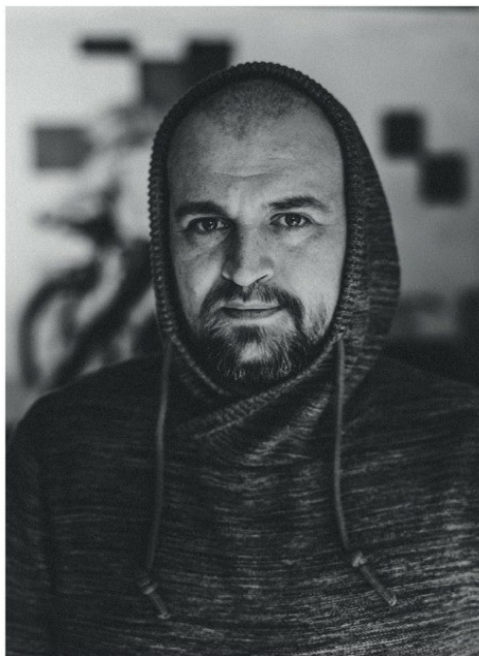
Dziękuję tym, którzy byli ze mną zawsze wtedy, kiedy potrzebowałem wsparcia. Albo gdy po prostu chciałem wyskoczyć z kimś na piwo. Są to: ponownie Patryk Gumkowski, Marta i Kuba Stradomscy, Michał Jarzab, Natalia Grossman, Karolina Wojciechowska-Engel, Krzyś Dobrowolski, Rafał Szultk, Kuba Warzecha, Marek Zmysłowski i oczywiście Monika Stepianiak. Zwłaszcza Monika.

I na koniec, bo ponoć na koniec należy zawsze zostawić to, co

najważniejsze: dziękuję pięciu osobom z Gdańska, osobom, bez których by mnie nie było. Rodzicom i braciom. Kocham Was.

No, mówiłem, że będzie krótko. To na koniec jeszcze jedno: odwiedzajcie mnie na Facebooku, komentujcie, krytykujcie, wygrażajcie i piszcie, gdzie autorowi się noga powinęła. Pamiętajcie, że to właśnie dzięki Wam w przyszłości będę lepszy :)

Torshavn, 5.04.2018



Grzegorz Brudnik niemal 15 lat pracował jako copywriter i dyrektor kreatywny. U szczytu kariery zawodowej rzucił wszystko praktycznie z dnia na dzień i skupił się tylko na książkach i podróżach. Od lat ma nietypową pasję: gromadzi bazę wiedzy i materiałów na temat katastrof drogowych, kolejowych, morskich i lotniczych, a także sposobów ich wyjaśniania. Po latach uznał, że jest gotów, by stworzyć własną katastrofę. Duża wiedza, tytaniczny research i pierwiastek pozytywnego szaleństwa autora sprawiają, że *Mayday* i *Fracht* to klasyczne page turnery, których nie sposób odłożyć przed zakończeniem.